

UNIVERSITY OF TORONTO



3 1761 00394044 2

HANDBOOK  
AT THE



UNIVERSITY OF  
TORONTO 1827







LISTY

Z KRAKOWA.

**Wydanie Adama Zawadzkiego.**

*Wahlebernst*

# LISTY Z KRAKOWA.

*NAPISAŁ*

JÓZEF KREMER.

---

**Tom Trzeci.**

---

*DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.*

CZĘŚĆ DRUGA.

---

W I L N O.

NARŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

---

1 8 5 5.

*a. Waw. 3. Bar. 1855*

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury  
prawem oznaczonej liczby exemplarzy.— Wilno, 26 Sierpnia 1855 roku

*Cenzor* PAWEŁ KUKOLNIK.

B

46 11

K743L5

1855

± 3

## LIST XX.

### *Historja Fantazyi u różnych ludów.*

*(Ciąg dalszy.)*

#### FANTAZJA LUDÓW KLASYCZNYCH.

##### Grecya.

Wstęp.— Stosunek Grecyi do starego Wschodu.— Stanowisko Grecyi w Historji Powszechniej.— Znaczenie fantazyi klasycznej.— Piękność i młodość cechą Grecyi.— Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków.— Jak Grecy pojmują obyczaj.— Idealizują nawet potrzeby cielesne.— Uczucie piękności rozpowszechnione.— Mitologia grecka.— Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową.— Te szczepy jednoczą się językiem, religią i spólnemi igrzyskami.— Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zdradza charakteru niby z jednego odlewu.— Z tej harmonii i historia grecka jest areydzielem.— Aspazya wyrazem ducha greckiego.— Sokrates.— Czasy greckie i nowożytne.— Grecya umiera na piękność.

Może i ty doznałeś, w latach młodości swojej, owych nezuć pełnych niewymównego szczęścia i uroku, gdy po ciężkiej, długiej niemocy, po przebytej złowrogięj chorobie, jakby odrodzony, weczesnym porankiem, pierwszy raz stanąłeś wśród świeżej natury, co równie odrodzona wiosną, równie jak ty tehnęła rozkoszą i weselem.

W tych chwilach błogich zapomniałeś wszystkich przemożonych cierpień twojego ciała, uniosły się z duszy wszystkie męki fizyczne, któreś przeboleał; lecz została przecież, jakby na rąbku wspomnień, pamięć smętna

owej duchowej niemocy, która cię niby zmora gnębiła w czasie choroby twojej; została pamięć owych krzywd sromotnych wyrządzonych jasnej myśli od demonicznych potęg natury; jeszcze straszą cię ciemnym zarysem widziadła ohydne, gorączkową fantazją wymarzone, co cię trwożyły wśród jasnego dnia, a nawiedzały w nocach długich, jak wieczność; jeszcze jakbyś widział one twarze straszliwe a larwy dziwaczne, które, ciągle przerażając się w nowe a zawsze w okropniejsze poezwary, unosiły się zawrotnym tanem a szyderezym chichotem nad łóżem boleści twojej.

Leez teraz na serce twoje młode tchnęło zaranie świeżego żywota natury i rozbudziło w niem radości weselne, dawno oniemiałe. Odetchnąłeś głęboko, szeroko; owe straszidła potworne, owe mary uciekły w dal, straciwszy swoją groźną moc, jak ucieka chmura nocnej burzy na ostatni rąbek nieba, gdy ją złoci i barwi promień magiczny młodego dnia.

Ten piękny Boży świat teraz otacza cię do koła, uderza na duszę falą rozkoszy, nie zdołasz się pojąć w tém morzu szczęścia! Wszystko w kółko gra i śpiewa, cała natura jest muzyką czarowną. Wiosna, dziewica skrzydlata, z wysokości niebios spuściła się na ziemię i przebudziła geniuszki śpiące w pączkach, a geniuszkom ciasno i duszno w pączkach, więc odemknęły sobie liście małowane i siedzą w otwartych wonnych kwiatach, i kołyszą się i śpiewają. I patrzysz w siebie; a wiosna młodego życia przebudziła aniołki niebiańskie w piersiach twoich; przebudziły się wiary, nadziei i miłości aniołki; a tym wieczności dzieciom nie ciasno, nie duszno w sercu twojem, i one śpiewają radości i szczęścia pie-

sni, bo im tak szeroko, domaszno w tém sereu, w którémby się już w téj chwili świat cały pomieścił. Geniuszki kwiatów kolyszą się na wonnych liściach i nucą ziemskie piosenki swoje, a roje pszczołek i robaczków oskrzydłonych bucząc, brzęcząc, wtorują ich śpiewkom i spijają rosę z kwiatów, a nie bronią im też tego geniuszki, bo te robaczki i pszczołki to przecież ich grajki nadworne a skrzypki weselne. Otóż i w szafirach niebiańskich odzywają się chóry skrzydlatych muzykantów, i drzewa i krzewy grają, bo i tam świegotny a lekko-myślny ludek ptasi założył szmaragdowe pałace swoje, więc baja i gada i śpiewa i roznosi płatki miłosne. Swiegocą role, łąki i dąbrowy, bo i tam ludno i weselo. Ale już najpiękniejszy koncert wygrywa światło samo, jakby po klawiszach przebiera po tym pięknym cudnym świecie; tam grzmia tonem głębokim ciemne boru tajemnice; ówdzie znów dźwięki najwyższej jasności spinają się po szczytach drzew, grodów, wież dalekich, aż nie uleca na lekkie złociste obłoczki; tu światło drga na dygocących liściach; tam znów, niby echem przezczystém, opływa fioletem eterycznym dalekie góry, i nuci światło, i brzmi we wszystkie barwy i cienie i dźwięki: ztąd w tobie rozwarło się serce tkliwością i stanęło na rozcień otworem. A aniolki w piersiach twoich rozmawiają z tą całą przyrodą uroczą, rozumieją ptasie gadanki, znają mowę brzęczącej pszczołki, słuchają gry światła i cieniów, i same śpiewają tak cudną harmonią, tak wdzięcznie i rzewnie, że też nakoniec cała ta drużyna weselna natury—grajki i skrzypki, organisty skrzydlate, przodem—wstępuje radośnie do piersi twoich, jakby do weselnie ustrojonego domu.

Wtedy w piersiach ludno i ochoczo i skoczno; promień z góry wgląda w te niedawno puste ciemnice duszy, co teraz tak jasne, radośne, pełne wieńców i świeczek. W duszy kołyszą się wonią kwiaty i śpiewają i śmieją się aniołkowie niebiańscy i geniuszki ziemskie, i igrają światła i brzęczą i buezą muzykanty i mlaskoty wesołe (\*). Bo w sercu twojem niebo i ziemia obchodzą weselne śluby swoje, geniuszki natury i anioły wieczności wiążą się miłości przymierzem. Ztąd ci się już zdaje, żeś i ty jednym z tych kwiatów, jednym z akordów dźwięcznych, jednym z tych jasnych promieni. I rozplynęła istota twoja w téj naturze i zda ci się, że ty i natura to jedno, że to jeden i ten sam boży raj. Ale czyli to tylko z tą przyrodą, tak cudów pełną, zawarłeś to kochania przymierze? O nie! I ludzie i świat i życie, rzeczywistość całą zamknąłeś w objęciu twojem; jeszcze pełnem życiem żyje w tobie wiara w ludzi, nadzieja przyszłości, i miłość co ogarnia świat. Wszystko co jest, co tylko istnieje, jest ci tak lubém, tak drogiem, jakbyś je wynosił w ciepłych piersiach twoich, jakby ci się było zrodziło we własném sercu twojem. Patrzysz oczyma ducha na zewnątrz siebie, a wszystko co tam widzisz, jest niby zwierciadłem własnój, wewnętrznej twojej treści; rzeczywistość a myśli i uczucie zestrojone, nawzajem sobie wtornijac, spływają w jedną harmonią szczęścia pełną. Tu jeszcze nie wdął się dźwięk fałszywy! Tutaj jeszcze nie cofnąłeś się w siebie, a serce nie zaboląło jeszcze żadną raną! Jeszcze kochasz tę rzeczywistość, i ona cię serdecznie mi-

---

(\*) Grajki krakowskie.



luje, niby kochanka swojego. Bo sam jęj kochankiem będąc, używasz jęj co jeno w tobie najzaenniejszego i stroisz ją i zdobisz własnemi skarbami duszy twojęj.

Otóż, takim porankiem błogim, cudnym, taką chwilą młodości i wesela była dla dziejów ludzkich Greeya. Człowiek już przeboleł, przebył one czasy jęctwa swojego, gdy oddany na łaskę demonicznym potęgom natury, straszony, gnębiony larwami gorączkowej fantazyi, przebywał długie wieki pod oczynieniem ślepookich moey materyi. To sponiewieranie jasnej myśli się skończyło. Widma, obrazy potworne indyjskich bogów, dręczące, miotające zagadki egipskie, zeszy jakby chmura słoty nocnej, z jasnego nieba myśli na ostatni horyzontu rąbek. A człowiek w wiosnie młodości swojej stanął wśród natury, a ta natura nie jest mu więcęj panią ciemną, złowrogą, ale kochanką lubą. Chaos zamętny, Uranus i Gea, i wszystkie one pierworodne bogi, co dopiero były głuchemi potęgami materyi, spadły z tronu wszechrzeczy, i powalone są straszliwe Tytany, sturękie potwory (Hekatoncheiry) i ród ogniowładny Cyklopów. Po nich zasiadł na panowaniu Kronos (Saturn) zwycięzca—Czas, chłonaący własne dzieci swoje. Ale Czas, choć sam przez się nie jest więcęj materją, jest atoli jeszcze trzonem a dnem wszech materyi, a potomstwem jego są wszelkie rzeczy skończone, rodzące się i umierające po sobie. Ztąd siłą ducha świadomego siebie dźwignął się przeciw niemu Jowisz i zatrzęsła się ostatnia twierdza wrogięj materyi, runęło z kolei szerokowładne królestwo Saturna, a on sam wtrącony do najgłębszych ciemnie Tartaru—tam żyje na wieki bez czei i sławy. Nie spoczęły atoli jeszcze owe moce śle-

pěj przyrody. Zuchwałe i pełne pychy Tytany podniosły się wojną a buntem na Jowisza. I znów łamały się siły bezrozumne z bogiem-duchem. Słuchaj o téj wojnie starą pieśń, którą zabrzmiała arfa Hezyoda przed trzema tysiącami lat; posłuchaj dźwięku ze szarych świtów ludzkiej historyi, a głosu wieszczu o postaci mglistej, rozwiewnej: »Wzdęła się grzmotnym szaleńcem nie-  
 »skończoność mórz! Łamie się przepaścią ziemia, ję-  
 »kły wysokich niebios sklepienia; w najgłębszych po-  
 »sadaach swoich zadrżały Olimpu szczyty. Zadudniły  
 »nawet Tartaru nojne otechanie i zatrzęsły się od hukusłomotnych hałasów i pocisków ciężkich; a wokoło grzmot  
 »walki wznosił się wzgórze bijące o gwiazdzisty strop....  
 »Lecz bogi niebios jasnych przemogły. — Tytani, rzuceni w piekłów głębie, tam w czarnych bezdeniach,  
 »w gardzieli wiekuistych ciemnie, u kończyn świata legli. — Posejdon (Neptun) ścisnął ich wokoło murem i  
 »przywalil bramą śpiżową.«

Tak jest! W Grecyi wybawiony świat z pod przewagi ciemnych sił przyrody, co odparte do kończyn wiedzy straciły swoją ślepą moc.

W Grecyi pierwszy raz stanął ród ludzki w wieńcu zwyciężkim; tu zabrzmiały wiekuiste tryumfy jego. Ta natura, której dawniej był poniewierką, która go niegdyś dławila ciężką przemocą, teraz promieni się jego duchem, stała się wyrazem jego chwaly i zwiastuną jego treści. Tu, na téj ziemi błogiéj Hellady, duch z nieba zrodzon obchodził święto młodości swojej. Ani dawne wsechodnie ludy, ani wieki, które były później zrodzone, nie zaznały już więcej tych ślubów ducha a przyrody, téj harmonii wewnętrznej treści a zewnętrznego świata.

Bo i ludzki ród, jak i człowiek pojedynczy, raz tylko jest młodym, raz tylko kwitnie wiosną życia; a ta wiosna młodości jest niepowrotną nigdy.

Jakoż, cheć baczyc, owe pradziadowe rody Azji i Egiptu, choć się migocą tak różną między sobą barwą, mają wszystkie to sobie wspólnego, iż natura zmysłowa, górując nad duchem człowieka, trzyma go na uwięzi swój; pierwiastek niebiański u nich gore przyémiony ziemskim wyziewem. Religia, społeczność, fantazyja, myśli i uczucia ich ulegają przemocy materji, a dzieje tych ludów są jedynie szamotaniem się, sileniem instynktowém, by się wydobyć z pod brzemienia przewagi natury. Tu jest wprowadzić jedność ducha i materji, wewnętrznego a zewnętrznego świata; ale ta jedność jest raczej pomieszaniem dwóch pierwiastków, jest to jedność rodząca się z panowania natury nad myślą człowieka, ale nie z harmonii swobodnej tych dwóch światów.

Po skonaniu Grecji odwrótny dramat występuje na widowni historyi. Wtedy duch wzrasta w olbrzyma, bo uznał siebie; góruje nad materją i nad magią jej zjawisk; on później nawet odepchnie od siebie naturę, jako wroga, nie uzna bynajmniej rzeczywistości, która go wkoło otacza; ona go więcćj nie zadowolni, będzie obcą dla niego. Duch i przyroda, wewnętrzne światy a zewnętrzne jękną dysharmonią, struny duszy się pozrywają, a dzieje rodu ludzkiego gorąco zapragną ukojenia boleści i ziemskiej tęsknoty.

Otoż w samym środku tych dwóch ogromnych epok dziejowych staje szczęśliwa, uroków pełna Hellada. Jak tutaj duch człowieka nie podlega już naturze, tak też jej nie przerósł jeszcze; on jej nie odepchnął od

siebie; stawając z nią na stopie równości, łączy się z nią harmonią. To miłośne przymierze nie jest już bynajmniej oném pomieszaniem zamętném dwóch światów; bo duch ludzki w tych ślubach swoich z naturą wie że on jest czemś inném, czemś różném od niej. Przecież zważ: mimo tego, że lud grecki umiał już odzielić istotę duchową od przyrody, przecież nie zdołał był jeszcze sobie wyobrazić ducha samego przez się, lecz, wzywając na pomoc fantazją, odziewał go niby szatą ciałem materyalném. I nawzajem, Grek nie zdoła zrozumieć, iż naturą, temi zjawiskami fizycznemi, rządzą pewne abstrakcyjne ustawy, prawa odwieczne; ale uważa jakoby jestestwa duchowe były władcami tych zjawisk, jakoby się w nich pojawiały. Tak w Helladzie nie ma materyi bez ducha, nie ma ducha bez materyi. Treścią jest duch, a natura, materya—formą; nie ma treści bez formy, nie ma myśli bez ciała; Grek myśląc obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. Tu przeto nieskończoność istoty duchowej odziewa się w postaci widome z natury wzięte; a toć właśnie jest stanowisko piękności (List XI i XII) i to właśnie jest powodem że Hellenowie są ludem wskroś artystycznym. Gdy tutaj duch, treść z jednej strony, a natura, forma z drugiej są sobie odpowiednio co do potęgi, gdy się równoważą, zatem wszystko, co jest w treści, wyrazi się w formie, i nawzajem wszystko, co jest w formie, w wyrażeniu zewnętrzném, znajdzie się w treści; aleć to właśnie, jak wiesz, jest stanowisko idealu: ztąd Greeya jest mistrzem nad mistrzami. (Tamże).

Te kilka słów rozświecają nam serce tego wielkiego, choć tak nielicznego ludu; możemy go tedy już przej-

rzec wskrós. Co tylko jeszcze o Grekach powiemy, będzie tylko dalszym rozwojem tych pierwszych lekkich naszych zarysów. Chciój atoli pamiętać, że jakim trybem zachowuje się duch Hellady do natury, do materji, takim też trybem staje do całego zewnętrznego świata, do całej rzeczywistości, do całego rzeczywistego otoczenia swojego i w niém się przeziara, jakby w miłości swojej. Ztąd też ta Grecya tak szezęśliwa! jćj tak lekko, tak błogo na sereu; ona nie zna, co rozdwojenie wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata; u nićj co jest w duszy to znajdziesz i w rzeczywistości. Grecya więc w dziejach swojego ludu, w mitach religijnych, w posągach swoich bogów, w pieśniach, w prawie, w obyczaju swoim, we filozofii wypowiedziała całą treść wewnętrzną duszy swojej, nie już w tajnych piersi przybytkach nie zostawując: człowiek tutaj żyje z tym światem jakby ze sobą samym, jakby z kochanką, która rozumie najcichsze głosy ducha jego. Dla tego też Grecya w każdym kierunku cielesnego i umysłowego życia jest mistrzem, bo każdy, choćby najskrytszy, pierwiastek ducha jćj znajduje wyrażenie swoje zewnętrzne, a tak iście zamienia się na piękności dzieło.

Uważ, powiedzieliśmy dopiero, że w Helladzie właśnie każda treść duchowa znajduje swoje wyrażenie i zewnętrzną formę swoją, a formę zupełnie wyczerpującą, tak dalece, że co jest w treści, to i w formie, a co w formie, znajduje się oraz i w treści duchowej; otóż ta zupełna równowaga, to zupełne odpowiadanie sobie tych obu stron, ta doskonała ich harmonia stanowi właśnie istotę fantazyi *klassycznej*.

Wnet obaczymy, że ta wdzięczna harmonia raz tyl-

ko pojawiła się w ludzkich dziejach; do téj harmonii tęskniły późniejsze ludy, dorabiały się jój ciężkim trudem a pasowaniem się z sobą, nie widząc atoli nigdy końca swojej pracy a krwawego znoju. Wszelako Grecya miała ją darem, bo jako skutek prosty swojego stanowiska w dziejach ludzkich; ona z nią przyszła na świat, ta harmonia była jój naturą, ona nawet nie przezuwała dźwięków fałszywych; jój usposobienie duchowe, uczucia jój i świat cały wkoło są usposobieniem, uczuciem, światem młodzieńczym; boć wiesz, że i na wiosnę żywota, duch i rzeczywistość, zaślubione wzajemnem kołaniem, śpiewają razem radości himny. Hellada przez życie całe była młodą, ztąd też tak trafnie powiedziano, że dwóch młodzieńców mogiły wznoszą się na dwóch kończynach dziejów Grecyi: na jednej stanęła Achillesa postać, jakby gwiazda poranna, przyświecająca zrodzeniom dziejów greckich, a na drugiej, jakby luna zachodu, promieni się nad skoniem Hellady młoda postać Macedońskiego Alexandra. Bo gdy inny duch miał nastać w świecie, gdy człowiek miał cofnąć się w siebie, wtedy Grecya umarła, a umarła za młodu. Ztąd też lud ten w pełnem uczuciu szczęścia swojego widzi świat tak błogim, uroczym, a życie tak pięknem; ztąd zadrgał w sobie niewymówną rozkoszą i wieńczy się w kwiaty i rodzi z siebie ideały cudne, a te ideały, niby orlęta młode, wzbijają się na jasne niebios wysokości, kędy zasiadło wesółych bogów grono; bo co w sercu ludzkim zacne, piękne, wdzięczne,—tutaj—staje się bóstwem. Jakoż widzisz, zjawiska natury, jój potęgi, nderzające myśl człowieka podziwem, były tylko lekkim zewnętrznem

potrąceniem fantazyi, która też owe potęgi, owe zjawiska odziała w postaci cudne, uosobiła w niebiany uroczę. Tak tedy całe grono olimpijskich Bogów wywodzi z własnej duszy człowieka rody swoje.—Olimp niebiański wprzód tu zamieszkał w piersiach człowieka, zanim zasiadł na tronie świata. Na ziemi niéma krwawego trudu, nie straszą więcéj potworne Indyów potęgi, ustały walki z nieużytym granitem, zamknęły się ciemne katakomby Egiptu, owo głuche państwo umarłych; a natomiast brzmią zewsząd pieśni wesela i radości; życie uśmiecha się wieczną wiosną, strzela pączkiem wonnym, nigdy niezwiędłym kwiatem; a to życie hoże, świeże, przepływa bezkłopotnym tanem wśród dźwięku i kochania. Wszak tutaj wszystko jest piękności ideałem, »śmierć nawet nie jest straszidłem ohydne, to geniusz, pełen wdzięków, z wieńcem kwiatów na białém czole, co wywraea żywota pochodnią« (Schiller) a zanim uprowadzi w elizejskie ogrody, zanim zealuje z ust białych boleści skonania, przyśpiewuje duszy umierającego starą pieśń pociechy—pieśń Homerową: »Ciebie »poprowadzą sami bogowie na ziemi kończyny, »poprowadzą do ciebiego szczęścia elizejskich pól, kędy »mieszka Radamant błogi. Tam bez trudu, w pogodnym, »nigdy niezamąconym pokoju żyją śmiertelni! Tam nie »ma śniegów, ani zimowej zawiei, ani gromów, ani »deszczów. Tam wiecznie szepee tehem lubym zarania »powiew zachodu, a posyła go Oceanos łaskawy, by »ochłodził rozpalone trudem śmiertelnych czola."

I na Olimpu jasnej wysokości płynie bogom bezkłopotne, wiecznie młode życie; na czole ich wiecznie rozlany pokój i wesele; więc zehodzą na ziemię i wplata-

ją się do spraw ludzkich, bo i na ziemi tak pięknie, tak wesoło a miło, i córki ludzkie tak uroczę a wdzięku pełne i tęskne kochania! A wszędzie obecną i wśród bogów i ludzi jest Venus Aphrodite, owa przeważna pani, a wszędzie broi jej synek, owo skrzydlate, swawolne pachole. Choć się przeto z sobą niekiedy i pokwaszą i powaśnią uroczę mieszkańce niebios, one znów się godzą w Olimpie, gdy zakipi czara ambrozyi i nektaru; przy puharze wraca im się pamięć nieśmiertelności, wraca przyjaźń i jedność, wesele i żarty, a radośnym, serdecznym śmiechem bogów brzmią niebiańskie pałace.

Co w sercu ludzkim radości, smutku, rozkoszy, tęsknoty, toć żyje całą pełnią i w bogach nieśmiertelnych, choć uzaenionych fantazyą i wzniesionych do idealu; bogowie Grecyi, to Grecyi areydziała! Człowiek idealami swojemi zaludnił Olimp. Widzisz tedy, jak tu człowiek wstęgą uroczą fantazyi połączył się z bogami a spokrewnił się z całym gronem mieszkańców niebios. Więc też syn Hellady proroczem, choć bardzo ciemnym jeszcze, przeczuciem odgadł pierwiastek niebiański, tlejący we własnych piersiach jego. Dla tego uważał tę swoją postać cielesną za dzieło piękności, bo te formy cielesne, również jak dzieła sztuki, są zmysłowym objawem nieskończonej istoty ducha. Zrozumiesz przeto, że Grek uzaeniał nawet to ciało swoje, uszlachetniał je by z niego uczynić posąg żywy, bogom podobny. O tém wszystkiem atoli obszerniej jeszcze pomówimy; te dotychczas rzucane słówka niechaj ci będą przegrywką wstępną do przyszłej rozprawy naszej o tym ludzie, nad którego nie było wyższego



w sztuce, o tym ludzie tak ukochanym od natury i od Bogów swoich!

Uwierzysz mi też przyjacielu mój, że z całego serca rad, że przecież razem już z tobą stanąłem na tej błogięj ziemi Hellady, w tej ojczyźnie piękności, przebywszy wędrówką one wszystkie dawne zapadłe stolecia i zamroczone ludy. Niechaj nas przeto tutaj witają słowa Sofoklesa, nad którego świat zaiste nie zaznał wyższego wieszeza; posłuchaj pieśni, którą niegdyś ateński jego chór uczeił Edypa króla-wygnańca, przyjmując starego znękanego na attykiej ziemi: »Tu »z gajów zamroczonych liści spletem, z pod sklepu »powojów ciemnych, dzwoni tłumnych słowików pieśń! »a pieśń się żali rzewną miłości tęsknotą. W tych »gajach nietkniętych stopą śmiałą, w tych gajach świę- »tych cieniów, złoistych owoców, nie ma wiechrów, »nie ma burzy. W tych gajach sam jedynie weseli »się radości bóg, co wodzi za sobą ochotne drużyny i »i orszaki nimf cudnych uroków. Tu pod niebios won- »ną rosą, pod zwojem nocnym jagod winnych, wечно »rośnie, wечно kwitnie narcyz bujny; a szafrany »świecą złotem, a nie zasną nigdy strumieni szeptu, »co się toczą od Kefizu wód, pojone kryształową nieba »strugą, a szerzą się tu wkoło miękkie pagórza, kę- »dy płasają nieśmiertelne muzy; tych pagórów nie »omija nigdy miłości bogini.«

Gdy się przypatrzysz tej krainie, która się zwała dawniej Grecją, wyznasz że ona w porównaniu z ogromem dzisiejszych państw jest niby żarłakiem ducha historyi, a przecież ta krainka zaważyła tysiącami lat w cywilizacyi ludzkiej; my żyjemy ciągle i żyć zawsze

będziemy puścić ją. Gdyby tej Europie stariej przyszło oddać to wszystko, co albo wprost wzięła spadkiem po Grecyi, albo czego się dorobiła za potrąceniem ducha Hellady, zaprawdę pod wielu względami powtórzyłaby się bajeczka o onej kawee, ustrojonej w obec piórka. Wierząc, gdyby kiedyś utonęło w nocny grubiej barbarzyństwa co tylko zacnego i pięknego na świecie, gdyby człowiek miał kiedy zapomnieć o wiekuistym pochodzeniu swoim i zapaść się w otchłani nienetwa i zmysłowości; mógłby jeszcze z głębi swojego ponizenia, z pośród sromoty swojego upadku podnieść się i urosć samém wspomnieniem stariej Hellady; sama pamięć, że duch Grecyi był przecież także duchem ludzkim, byłaby ratownym talizmanem wracającym mu uczucie własnej godności jego; ten duch napoiłby ufnością i wydzwignąłby z rozpacz i pogardy siebie. Dziś z tych gruzów Ateńskich, z tych kilku ułamków starych kolumn, z tych kilku ksiąg, z tych posągów marmurowych wieje na świat dech ożyweży, co ratuje późne pokolenia od zgnilizny a dżumy duchowej.

Powiedziałem wyżej, że stanowisko Greków w dziejach ludzkich zrodziło właśnie ową równowagę, harmonią między duchem człowieka a naturą, między myśleniem a rzeczywistością, między całą treścią wewnętrzną a zewnętrznym światem; zgodzisz się zaiste ze mną, iż to stanowisko jest tak jedyne w świecie, tak oryginalne, tak wyjątkowe, iż warto, byśmy choć lekkim przelotem przejrżeli wszystkie objawy greckiego żywota, a wtedy cecha fantazyi tego ludu wypłynie nam już sama przez się.

Spójrzij na samo ukształtowanie geograficzne ziemi

Hellenów, czyliż ona sama nie jest już jakoby sztuki dziełem? Zaprawdę tutaj natura sama stała się artystką. Ta kraina grecka, to kamea kosztowna; widzisz jakby misternym dłótkiem, czy pilnikiem powycinane po-brzeża morskie i zatoki, kształtne góry, doliny, przy-lądki; cała rzeźba wyrobiona niby wedle rysunku geni-alnego mistrza. I znów obacz, jak te formy lądów dziwnym splotem wiążą się z żywiołem wodnym. Tak przeto już w téj twardej i głuchej naturze masz wypisane hieroglifem stworzenia losy Grecyi; te jej rzeźby geograficzne— toć nieme nuty do przyszłej pieśni cza-rującej. W budowie azyatyckich lądów, jakby w grubiej kamieniarskiej robocie, uderza cię potęga tak olbrzymich rozmiarów, iż wyraźnie widzisz, że człowiek, uchwycy-cony ich mocą, staje się jeńcem natury własnego kraju swojego, że tutaj lud od ludu odeity to przegrodą nie-przemożoną górskiego pasma, to piaszczystym grobem umarłej pustyni, to stepem tęsknym, nieskończonym. W Helladzie, przeciwnie, rzeźba i cała natura kraju jest dość silną, aby wpłynęła na usposobienie różnych szcze-pów i wplotła się w ich historią i kulturę, jednak-że, z drugiej strony, ta przyroda nie jest znowu tak przeważną, by zdołała ujarzmić niewolą mieszkańców i wziąć ich pod wyłączne panowanie swoje. A klimat! Tu nie ma ostateczności złowrogich, tu nie ma śnież-nych zamieci, nie ma mrozów ścinających życie ciepłe, ani spieki pustyni arabskiej. Tu żywioły splotły się wdzięczną harmonią, żaden ich przemagający ton nie głuży téj czarodziejskiej muzyki natury; a lądy i mo-rza, góry, skały i rzeki, niebo, światła i barwy, ni-by służebnice téj błogiej krainy ubrały ją na świątni-

cę piękności, na ojezyznę tego co zaane i wielkie na świecie.

Takowe jest pierwsze zestrojenie ducha a materyi, człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata, czyli téj geograficznój przyrody jego ojezystej ziemi; tu spotykamy tedy pierwsze akordy oniej harmonii, będącej tonem żywotnym Greeyi i czyniącej tę geograficzną naturę kraju ziemią klassyeczną. Dla tego też w Greeyi zapukało serce piérwszy raz gorącą miłością dla ojezystych drogich stron; tém ciepłem duszy swojej Grek uduchowcił i ziemie swoje i pobraża i góry i doliny swoje. Téj miłości nie ma na Wschodzie, bo tam natura jest dla człowieka hardo-władną panią; téj miłości nie znajdziesz w krajach przecewilizowanych, kędy człowiek, skurezony na sercu, wybuja jałowym rozsądkiem; wtedy strony ojezyste i ich głosy ogłuchną, onie mieją dla niego; on tę naturę czyni swoją sługą a wyrobnicą. Natura Hellady nie jest dla Greka ani panią ani sługą; on jej sercem zaślubiony, on ją kocha jako przyjaciela, małżonkę lub oblubienicę swoją. Ulisses wśród rozkoszy, którą go czaruje Kalipso, tęskni do Penelopy, życia swojego połowicy drogiój, on tęskni do wyspy rodzinnej, a serce mu zadrgało dreszczem radości na wspomnienie dymu z chatek ojezystych.

Drugim pierwiastkiem przyrody jest pochodzenie szczepe. Zaiste te różne greckie szczepe nigdy nie starły z siebie piętna właściwego, które każdemu z nich było przyrodzone a które tak silnie odróżniało je między sobą; lecz z drugiej strony te szczepe wszystkie połączyły się razem w jeden wieniec cudny, bo te różnice od natury pochodzące ugłaskał, ulagodził ogół-

ny duch Greeyi, uduchowił je i nastroił do siebie jako do spólnego kontrapunktu. Tak ów mężski, butny, hardy, pełen grozy a powagi charakter dorycki stanął obok pełnego wdzięku a słodczy miękkiój jońskiego szepu; tak wszystkie różnice przyrodzone, nie tracąc siebie, pogodziły się w związku a sojuszu ogólnym. Widzisz tedy jako ten ród szczęśliwy Hellenów umiał nawet te różności swoje, z natury pochodzące, obrócić na zdrowie a korzyść dla siebie, bo i tu zespolił ducha ogólnego harmonią z potęgami rodowemi.

A uczucia serea, a skłonności jego i tęsknoty? Wszak i one, rzekniesz, są tą potęgą od natury człowiekowi wrodzoną,—jakże się do nich zachowuje Hel-lada?

Widziałeś jak tam w głębi Azji, w Indyach zapadłych, albo katusze zadawane ciału i serea uczuciom, albo utopienie duszy w rozpuszcie bezdennój, zapomnienie zawrótnie siebie w chuei, oddanie się na pastwę rozhukanym zmysłom jest sprawą zasługi, idącą na chwałę bóstwu Sziwy.

W nowożytnój Europie, przeciwnie, wznosi się głos potężny, głos mędrca sławnego w poprzek świata, (Kant) co na cię woła: »Wyplew, jako chwast wymietny, co »jeno miłe a drogie serea, ogłuchnij w duszy choć »płoną uczucia boleścią; niechaj istota twoja będzie »wolną pustą świątnią filozofii, kędy jeden tylko wznosi się ołtarz, na nim samotny rozumowój powinności »majestat. Przed tym ołtarzem zabij na ofiarę wszystkie »skłonności serea, wszystkie uczucia twoje, bo tu »jedynie czyn pójdzie ci w zasługę którego dokonasz

»wbrew serca dążnościom z czystej czei rozumowej dla  
»ustawy moralnej, wskazującej ci postępowanie twoje.«

Słuchaj co radzą mędry Grecy: »Zajrzyj w sie-  
»bie, we własne piersi twoje, spytaj się popędów,  
»uczucie, pragnień twoich, one ci same wskażą jak so-  
»bie postępować masz; lecz nie oddawaj się równie na-  
»oślep tym wrodzonym ci potęgom, bo byś spadł po ni-  
»żej siebie, i ugrzązł w zwierzęcości twojej natury:—  
»uduchownij żądze i popędy twoje, by były godne isto-  
»ty ludzkiej. Dosięgniesz zaś harmonii między tą na-  
»turą twoją a duchem, jeżeli same wszystkie te popę-  
»dy, ochoty, pragnienia, skłonności razem zestrosisz tak-  
»że harmonią; boć one są wiele między sobą różne a  
»nawet sobie przeciwne, więc żadnemu nie pozwalaj  
»zbytecznie wybujać, by nie przytłumił sobą innych,  
»niechaj wszystkie się nawzajem miarkują i wąż, bo  
»miara jest doskonałością wszech rzeczy. To miarko-  
»wanie i zestrojenie wszystkich dźwięków twojej istoty  
»wykonane być może jedynie pod sterem ducha twoje-  
»go,— duch, wiążąc je spólną harmonią, sam się har-  
»monijnie z niemi wiąże.« (Arystoteles).

Tak tedy tu obyczaj poważny zestroił ducha i na-  
turę, sprzymierzył rozum ze sercem; tak też ta zgoda  
i jedność dwóch światów przejęła sobą nawet zwyczaj  
powszednie, bo ona doleciała dźwiękiem do spraw co-  
dziennych człowieka i uszlachetniła nawet fizyczne po-  
trzeby jego. Powiedz, czyli może już być niższa pro-  
za jak potrzeba pokarmu i napoju?— otóż i tu Grek jest  
artystą, on zidealizował, upoetyzował tę prozę i pozło-  
cił urokiem fantazyi. Ucztę, choćby najwykwintniejszym  
wymysłem przyprawioną, zwał biesiadą beocką, jeżeli

w niej brakło soli attyckiej, niby doweipu attyckiego. A wiesz, że Beocya, to szary kąt Grecyi; mieszkańcy jej poszli na języki, na drwinki a przycinki, boć nie grzeszyli podobno zbytnią bystrością, ale za to mkt im nie wyrównał przy uczeie bogato zastawionej. Wstyd nas, gdy czytamy te biesiady greekie, to zaiste poemaciek mały—więc wieńce na głowach i kwiaty, i strojno w sali i strojno w duszy; więc żarty, wiersze, pieśni, tańce i muzyka, zagadki, igraszki doweipu i śmieszki,—a to wszystko tak grzeczne, tak uprzejme, lekkie i gładkie, iżby nam się już trudno było na coś podobnego zdobyć, nam, cośmy tak już wyschli powagą, czyli raczej zgburowacielei na duszy. O tych biesiadach, co to iście klasyczne, raz jeszcze mówić będziemy.

A przypatrzno się, teraz tym ich łóżom, stolikom, lampom, dzbanom, słowem, wszystkim sprzętom i narzędziom codziennego życia, co je wykopano w zapadłych onych miastach starych,—a zdziwisz się, ile tu smaku i poezyi, ile artystycznej elegancyi! A wiesz dla czego? Oto te sprzęty wszystkie, że służą potrzebom fizycznym, tę fizyczność trzeba było zakryć, zidealizować, trzeba ją było owionąć tehem ducha, co jest swobodny i wolny, trzeba było i w tych drobiazgach okazać idealność istoty ludzkiej, co, choć do materyi przykuta, kładzie przecież na niej piętno duchowej swobody. Pomyśl eoby Grecya uczyniła z lokomotywy naszej, gdyby ją zaznała, jakaby fantazją ją przybrała!

Słowem, czego się ta Grecya dotknęła, wnet jakby czarem przybierało formy urocze, wdzięczne, boć ona była co się zowie ludem-artystą. Miło też było przed takim ludem popisywać się malarstwem, rzeźbą i nie żał

było czytać mu choćby najgłębsze poezye, bo miał instynkt artystyczny w oku, w sercu, w słuchu! Ztąd też zdarzały się u niego rzeczy, które nam dziś ani przez myśl nie przejdą: naprzykład razu jednego Sofokles, młody poeta tragiczny, będący dopiero na dorobku swojej sławy, zerwał się, by o prym pójść z Eschylem, okrytym już dawno wieńcem jasnej chwały. Zbierają się do teatru niezliczone tłumy widzów;—po odegraniu obu tragedyi pytanie, która lepsza?—Wrzawa, spór zacięty, zagrzewają się serca i głowy, namiętności kipią; na szczęście, wśród téj burzy wchodzi do teatru wódz naczelny Cymon,—on wraca z tryumfem z wyprawy perskiej, za nim dziesięciu generałów, towarzyszy jego zwycięstw: więc laury na skroniach, więc wkoło okrzyki radości, więc ciżbą tłoczą się tłumy z uwielbieniem w sercu, w oku, na ustach. Szczęśliwi jak bogi Olimpu, wojownicy wchodzi do teatru; w téj chwili lud okrzykuje wodza i generałów sędziami tragedyi. Nieprawdaż że to dziwnie! coś podobnego nie tak łatwo by się dziś stać mogło,—Sofokles odniósł pierwszeństwo. Zważ, później, po kilku latach, ten sam Sofokles, za napisanie swojej tragedyi *Antygona*, został wraz z Peryklesem obrany naczelnym wodzem! toć podobno jeszcze dziwniej! to podobno trudniej jeszcze dziś by się zdarzyć mogło! Lubo Perykles po skończonej wyprawie orzekł o pocię: »nie ma co mówić, żołnierz dzielny, ale wódz nie osobliwy!« Posłuchaj jeszcze, ten sam Sofokles, ot tak sobie poeta, był nawet i w starości troszka hulaką, więc na wesółych kompanijkach hojnie szafował majątkiem. Syn jego Jophon zażądał od sądu kuratora majątku, twierdząc, że ojcu dla późnego wie-



ku zabrakło już rozgarnienia. Wesóły tragiczok powołany staje przed sądem, ale, zamiast obrony, trzyma w ręku świeżo napisanego *Edypa w Kolonii*, przeczytał, i pyta — cóż się wam zdaje, mamże rozgarnienie? — Sędziowie odpowiedzieli grzmiącym twierdzeniem, a Jophon sprawę przegrał.

Jednak czas wielki na nas byśmy nawrócili do rzeczy! Widziałeś jak Hellada umie łączyć w harmonią ducha i materią, jak tedy po mistrzowsku uduchowienia świat fizyczny — naturę. Przecież właśnie z téj dążności zradza się ich wielobożeństwo. Bo gdy oni nie pojmowali istoty ducha samej w sobie, ale w postaci zmysłowej, ztąd też ich idea bóstwa rozpromieniła się, rozszczepiła się na mnóstwo jestestw duchowo-zmysłowych; bo co zmysłowe jest zarazem jednostkowym, bo aby wiedzieć o Bogu jedynym trzeba pojąć istotę ducha jako czystą i wolną od materii. Te bogi ich, z jednej strony, są własną treścią człowieka uosobioną, a tak stają się pogodzeniem wewnętrznego człowieka a formy zewnętrznej, lecz z drugiej strony też bogi są potęgami, siłami natury, którym tu człowiek fantazją nadaje znaczenie duchowe, nżyczając im postaci ludzkiej, czyniąc je osobami. Te bogi tedy są zarazem i treścią ludzkiego ducha (jego uczuciem, skłonnością i t. d. i t. d.) i mocą fizyczną, naturą, (np. znaczą powietrze, ogień, urodzaj i t. d.) one tedy łączą w sobie dwojake znaczenie; a to właśnie dla tego, że Grek sam z istoty swojej jest zespoleniem ducha i natury. Ta dwojakość istoty bogów okazuje się właśnie w tém, że widzimy w nich duchowość odzianą ciałem. Ale to właśnie jeszcze obszerniej wyłożymy.

Tak niebios wysokości, obłoczne pałace, knieje ciem-

ne, tajemnicze, i góry i strumienie, i morskie zuchwałe przestrzenie, kwiaty, wichry zaludnia fantazya grecka bogami i drobniejszą ich czeladką. Cała natura pełna duchów wielonych, wszystko wkoło oddycha, czuje, raduje się, smuci, tęskni i weseli niby człowiek. Cała głębina piersi ludzkich i wszystko, co w nich żyje, jest wyczerpaniem w tych bogach, przybiera ich kształty pełne poezyi; boć w tych postaciach ich jest nieskończoność, co świeci nieprzymroczonym nigdy piękności promieniem, i dla tego właśnie one są najwyższem fantazyi dziełem. Bogowie Hellenów są duchami, ale obleczonemi w ciało ze sreem ludzkim; tak one przeto są harmonią ducha i przyrody, i dla tego znów właśnie człowiek sam siebie w nich przegląda.

Tutaj nie spotkasz widoku pełnego ohydy a poniżenia, owych głów zwierzęcych na ciele ludzkim, owych potworów spaczonych, straszliwych. Te formy skręcone i zwierzęce kształty straciły tu na znaczeniu, one poszły jakoby na gawiedź dworską i służą u głównych bogów, przebrawszy się w satyry, syreny, trytony, nereidy, dryady, harpie; a co więcej, ta cała niższa przyroda niekiedy jest tylko prostym godłem panów Olimpu np. paw' Junony, gołabki bogini miłości, orzeł Jowiszowy. Nakoniec uważmy że ta przyroda zwierzęca przypomina się lekkim odgłosem w samej postaci głównych bogów: pan Nieba potrząsa włosy niby lew grzywą, z czoła u Posejdona spływają kędziory, jako fale morskie burzą kołysane, Apollo wiatronogi, śmigły, lekki jakby jelen' skoczny. A lubo te bogi wszystkie są wprawdzie wyobraźnikami potęg natury, nad którymi oni czuwają, niby baczne ich opiekuny, jednakże ta

strona przyrodzona ulatnia się i znika obok znaczenia duchowego bogów. Rzekliśmy dopiero, iż każdy z tych niebian greekich wyraża głównie jeszcze jakąś treść żyjącą w sercu człowieka; nie rozumięj atoli, że te bogi są jedynie jałowym symbolem, czezą allegoryą, abstrakcją téj lub owéj serea ochoty lub zdolności umysłowej. Owszem każdy z nich ma swoją historią a żywot pełny wdzięku i uroku; fantazya tak bogata a lekko-myślna Hellady przypięła każdemu z nich jakieś powiastki genialne, a czasem nawet jakieś swawolne, awanturnicze komeraże i plotki. W tych jednak mitach i plotkach najczęściéj żyje myśl głęboka a znaczenie wzniosléj mądrości, odzianéj w cały urok nadziemskiéj poezyi. Te mity rosły jakby kwiaty polne, bezświadome siebie; nikt ich nie siał, nikt nie sadził, one się same rozwinęły po różnych greekich ziemiach, jako dech i uczucie serdeczne różnych szepców. Późniéj dopiero uszczeknione, zwite w jeden wieniec, złożone zostały na ołtarzu boga, do którego się odnosiły, stanowiąc całość dziejów jego (\*).

Checiéj baczyć: z postaci bogów spadły niedostatki i wszelka nieudolność ziemskiéj natury; ta postać, wolna od krzywd materyalnego świata, króluje na wysokościach w młodości wiekuistéj a w nieśmiertelnym wdzięku; a przecież — przecież każdy z tych bogów odziany jest postacią indywidualności pełną, nadającą mu charakter osobny, właściwy, odróżniający go od innych niebiańskich mieszkańców. Z drugiéj atoli strony, choć w tém wielobożeństwie, tak w sobie rozdzieloném, znaj-

---

(\*) Ob. Vischera Estetykę o fantazyi różnych ludów, od § 434.

dziesz najwyższą różnaitość indywidualną, choć w niém rozstrzelona jest, jakby różnobarwnym promieniem, całość treści duchowej człowieka i jedność bożej idei, toć znowu wszystkie te promienie, te różne bogi zlewają się w całość swobodną. Jakoż przewodniczy im wszystkim Olimpu Pan, ów niebowładny Zews; on jest ich wspólném ogniskiem i głową; jednak rządy jego nie są panowaniem ciężkiem, on niy pierwszy między równymi, więc zwykle to złagodzi, to pogodzi; tu pogłaska, tu poswata, czasem się zmarszczy i przywołuje do porządku; słowem, jak może radzi sobie z témi niebianami swojemi. Lecz krom téj powagi Jowiszowej, jest jeszcze inne połączenie tych bogów, jest to ono głuche bezdenne fatum, owo przeznaczenie, będące niy ciemném tłem, na którém rysują się żywe, ciepłe postaci bogów i ludzi; ale to fatum grozi i straszy ludzi, grozi i straszy bogów nieśmiertelnych. Fatum samo jedno nie jest osobą, nie ma postaci, nie ma ciała; jest to głucha abstrakcyja, moc przepaścista, bezdenna, nieznana, i dla tego tak okropna; jest to jako bezkształtna moc natury, a przecież rozumna, a przecież sprawiedliwa! Śmiałym powiedzieć, że to fatum, co siłą nieznaną zawieszane jest nad światem, na którego wspomnienie przejęte są zgrozą i lękiem bogi wszystkie i sam nawet gromowładca Zews,— że to fatum, które wedle starych a niezłomnych wyroków stracić ma wesóły Olimp z wysokości świata stolicy, jest z jednej strony jeszcze lekkim zidealizowaniem, odgłosem eichym indyjskiego Bramy, a z drugiej strony jest ciemném przeeczuciem o innym Bogu — o Bogu, przed którym kiedyś zestapia z podnóża Olimpijskie bóstwa i, opuszczając świątynie reli-

gijne, schronią się do artystycznych piękności przybytku.

Uważ następnie, że te niebiany łączą się jeszcze z sobą innym trybem, bo ogniwami natury; wszak one, jak wiesz, nie zaparły się bynajmniej ziemskich serdeczności, więc ich wiąże urok wzajemnego pokrewieństwa i rodzinnych ogniw: ci dwoje, to brat i siostra; a tamta dama, toć znów córka onego boga; a owa pani, co tak harda i gniewna zasiadła obok Jowisza, co tak się sępi, a dumna a myśli, to jego małżonka zazdrośna; zapewne doleciała ją jakaś świeża plotka o małżonku niewiernym; może pan Olimpu, jakto on lubi, incognito spuścił się na padół ziemskie, a przebrawszy się za jakiego tam łabędzia, czy za obłok lub wołu zwykle figle płatał. Znasz kopciem zaczernionego Wulkaną; inne bogi nie rade się z nim parać, gdyż on «reprezentuje» jeszcze jedną z potęg przyrodzonych, bo ogień, a oni przecież duchy z duchów, więc on nie równy im z pochodzenia a rodu. Wszysey pamiętają, jak go niegdyś nawet wyrzuceno z Olimpu na ziemię, z czego też okulał. Teraz «intruza» już jako tako «tolerują», a co więcej jeszcze, najszeptniejszemu z bogów najendniejsza z niebianek, Wenus, oddała rączkę swoją — oczywisty «mezalians!» Ale cóż począć, kiedy tę biedaczkę tak już ogadali, że już dla samej «reputacyi» swojej zdecydowała się pójść za kulawego kowala. I dobrze obojgu z tém, boć niechaj sobie gadają co chcą, on tam nie dba na przyeinki, plotki, doweipki i komeraże. Zresztą, inni nie lepsi; nie jeden z nich ma pokrewnego w jakimś śmiertelniku ziemskim, więc gdy temu dokuczy jeden z olimpijskich mieszkańców, on u drugiego znajdzie pro-

tekeyą i dobrodzieja, co jakoś tę sprawę jego nadrobi i sprostuje.

Widzisz tedy, iż te bogi Hellenów, choć każdy z nich samodzielnego osobnego piętna, pod każdym względem wiążą się jednak w całość, a pod ich panowaniem nie najgorzej jeszcze wiodą się rządy świata.

Jakie rządy na Niebie, takie i na Ziemi. Tutaj jeden duch, jeden ród Grecyi rozstrzelił się niby na różnobarwne promienie, na różne państewka, co choć drobne miniaturki polityczne, a przecież każde z nich miało pretensyjki do własnego piętna, i, nawzajem, lubo każde gospodarzyło po swojemu u siebie, a przecież znów wszystkie wiedziały się być jedną całością. Spólny język, wspólne bogi, wspólne pochodzenie i wspólny sąd, rozstrzygający spory między niemi, wiązały te ludki i ziemie różne w jedną całość; a przypominały ciągle tę ich jedność owe uroczystości zaenych zabaw a igrzysk, co, jako święta religijne a polityczne, od czasu do czasu pukały do serca Hellady, wzywając do wielkich czynów a szlachetnej ochoty.

Jakby rzewną a wzniosłą epopeją spływały ludy starogreckie na uświęcone równiny, by oddać na tych igrzyskach bogom a raezj własnemu duchowi cześć i chwałę.

Jakżeś okiem puścił, szeroko, daleko rozlały się niby falą żywą o sercu wrzącem nieprzeliczone tłumy, co stojąc gronami, lub zasiadając na pagórach czy chodząc i prawiąc, grupując się instynktem przyrodzonym piękności, gotowały się ku radosnej chwili, kiedy urodziwość ciała, zwinność i moc, szlachetność jego ruchów i mężna odwaga pasując się z sobą wystąpiła w szranki. Tu przepych form ludzkich, dźwięczność muszku-

łów zagrała w postaci człowieka jako w areydziele natury; w téj dzielności a pięknoście cielesnej duch Grecyi siebie obaczył i sobie samemu oddał pokłon, bo w nich ujrzał uwidomienie swoje, boć w tych formach cudownych zamieszkał jako w przybytku swoim. Tak przeto stapiało się ciało i duch w muzykę niemą, widomą, pełną wymowy i dźwięku.

Przebrzmiały te poemata żywój rzeźby, a cisza święta, uroczysta zamknęła słowa w piersiach wszechwidyów nieprzejrzanych; milezenie nabożne cześć przejęło duszę,—z wzniosłego pagórza toczą się słowa poważne, świąteczne.

Słuchaj — brzmią akordy głębokie; teraz wiesz przygrywa na lutni, przebiera w tonach, jak w barwnych promieniach ducha, i splata i wiąże dźwięki strun. Zamarł wszelki głos na ustach ludu, oczekiwanie napręża się, potęguje się serca jego uderzenie; bo lud przeczuwa, że pieśń wieszczą sprowadzi bogów na Ziemię. Mistrz z lutnią w ręku słucha dźwięku jój złotych strun, i dusza jego tonie w błękitach niebiańskich pałaców; on miał poczucie bogów we własnych piersiach, bogi są w nim obecne, więc uwierzył w nie, więc je uczył w sobie, on z bogami rozmawia na pieśni, on ich poufałym kapłanem. Stąd wiesz na tłumy ludu patrzy tak dumnie, on jakby wszystkich serc król, on wielomocny ich mistrz. Ta piękna Grecya, te ludy wszystkie i serca wszystkie, to jego państwo, on tém państwem włada jako królestwem a domem rodzinnym, jakby własną wolą swoją. Gdy się w nim odezwą gromem bogi, gdy go posiedzie ich potęga, wtedy, porwany ich natchnieniem, wznosi się, ulatuje z ziemi, wzbija się pod

obłoczne dziełnice i z zawrótnąj wysokości patrzy na lądy, na morza, na miasta, toczy okiem po starych upłynionych dziejach i duchem widzi senne postaci nadechodzących pokoleń, i mierzy czas i waży żywych i umarłych, a pieśń jego tak dumna, tak hardego majestatu! On sam w promienistój koronie rozdaje korony chwały najwyższój, on bogów wybrańcem, przemawia ich językiem; myśli niebian, ich uczucia i potęga płyną jego pieśnią jak światłości rzeką.

Gdy dotknie umarłych, już tony jego lutni promieniem odzieją wzniosłą ich pamięć, już on ją postawi na jasnych wysokościach. «Kogo z żyjących z wysokości wspomni słówkiem, to słówko splata się w wieniec nigdy nie zwiędłej chwały, już on szczęśliwym wybrańcem; bez posagu, bez pomników rzeźbionych staje się nieśmiertelności synem, i żyć będzie na wieki w pieśni, bo pieśń na skrzydłach promiennych uniesie go w późne stólecia, w cudze narody, w obce lat tysiące.» (Pindar).

Innym razem, na innych igrzyskach, gdy oniemiała wesola wrzawa, milezenie przeleciało po ludzkich rojach, znów z podwyższenia słychać głos!—Kto to?—Historyk czyta greekim ludom ustępy z ojeowskich dziejów, a tych ludów fale stanęły niewzruszone, zakłète; cała ich dusza cofnęła się w serec, wszystkie ich zmysły utonęły w słuchu. Jako pierwszy powiew rannego wschodu dreszczem budzi śpiącą dąbrowę, a dąbrowa szepnie, zadrza w sobie, i zatrząsie się drzewo każde, i zadygocze listek każdy, a niewidomy duch od listka do listka, od drzewa do drzewa rozniesie po całej kniei tajemniczy szept; tak na głos przeszłości zadrzały dreszczem każde piersi, zadygotały najgłębsze uczucia, a nie-



widomy duch rozniósł po tysiącnym słuchaczu przeszłości głos. Cisza święta, uroczysta padła na ciżby tłumne, zatrzymał się dech, każdy słyszy tylko własnego serea gwałtowne bicie; te ludy wszystkie, choć tak różne, mają jedno serea uderzenie — jedno wielkie, wspólne seree. Stało nieruchome morze zgromadzonych tłumów, nad równiną żeglują milczące złociste obłoki; wszystko oniemiało, słyhać tylko loty orłów, co płyną po wysokościach; słowa dziejów wionęły z ust proroka przeszłości i przywiał tehem cienie maratońskie i postaci z Termopilów i obrazy Salaminy. Po nad ludem kroczą widziadła ojców, słyhać ich pochód i oddech i szereg broni i wołanie tryumfów. I patrz, każdy w tej ciżbie, choćby maluczkiego serea, choćby wątłego ducha, rośnie w olbrzyma, w bohatera, dźwiga się sam nad siebie. Bo wielka przeszłość jest wielkiej przyszłości zasiewcą!

Przeminał już dawno historyka głos, umilkł prorok ojcowskich spraw, a w duszy ludu wzniosło, uroczysto, świąteczno; piersi każdego stały się jako panteon wysokich imion o jasnej sławie.

Takie były zabawy, takie igry Greków! Widzisz jak w ruchach ciała, i w dziejach, i w pieśni Grek sam własnego ducha obaczył, jak wewnętrzną, najświetniejszą treść jego znalazła w zaćnej formie zaćne wyjawienie swoje, jakto ludy różnej natury przecież spływały mocą duchową w jedną całość, nie zacierając atoli przyrodzonego piętna.

Wszak te same ludy łączą się jeszcze w jeden wielki naród mocą wyroczni, a te wyrocznie same, choć wiedzą z natury poczęcie swoje, są jednak natchnione,

zidealizowane duchem. W wyroczniach greekich: w Dodonie, w Delfach, proroczej natura mocy; szeleścą liście, gaworzą gaje święte, szumią strumienie tajemniczą pogadanką; tam znów Pitya na trójnogu, owiana ziemskim wyziewem, bezprzytomna sobie, rzuciła słowa bezświadczone. Zaiste, szelesty i gawory drzew, pomruki wodne, ciemne wyrazy pityjskiej kapłanki, toć jeszcze mowa tajemnicza bezrozumnej natury; lecz kapłani ujęli te głosy duchem, wysłuchali z nich mowę bogów i przetłumaczyli ją na język poetyczny, pełen mądrości a harmonii; a tak i tutaj widzisz uduchownienie natury w najszlachetniejszym znaczeniu. Pomnij, gdy nadejdzie w Grecyi czas, w którym o prawdzie przemówi wyrocznia we własnym wnętrzu człowieka, wtedy Grecya skona; lecz ten czas jest daleki, jeszcze żyją stare wyrocznie, jeszcze natura zewnętrzna uzacniona jest ducha jaśnią, jeszcze treść głęboka znajduje zaciąg a odpowiednią zmysłową formę swoją.

Patrz, ta harmonia, która, jak mówiłem, jest istotą Grecyi, wiąże też każdego z pojedynczych ludzi z kraikiem, w którym żyje; ogół tej drobnej społeczności jest obrazem własnej istoty jego, ogół i człek pojedynczy są wzajemnym sobie wtórowaniem. Stąd też każdy człowiek jest tutaj jako posąg z jednego odlewu. Bo jego życie, jego sprawy, ochoty, jego wiara i myśli i uczucia są wszystkie z sobą w zgodzie, i w zgodzie jest człowiek z rzeczywistością, która go otacza. On więc zawsze jest jeden i ten sam. Tu przeto ojezyczna charakterów. Jakoż i charakter jest zgodą treści wewnętrznej a formy zewnętrznej, bo harmonią zasady i przekonania a całego wątku żywota. Gdy w Grecyi treść

jest pełna, niesprzeczną z sobą samą, ztąd i żywot cały jest z jednego odlewu. Stolecia nowożytnie są tak ubogie w charaktery, bo albo znajdziesz ludzi, co przędą to życie swoje jednostajnie, bez walki, bez treści, albo też są inni, których życie pełne treści, ale w ich piersiach ta różna życia treść budzi co chwila inne moce, które same między sobą waleczą, pasują się i szarpią a zwycięztwo każdej z nich od chwili zależy; więc nie znajdziesz zgody i powiązania tych potęg, bo brak siły, któraby je ujęła i zestroiła akordem. Nie dziw też, iż nie jeden, gdy go spłoszy rzeczywiste życie, chowając się sam przed sobą, cofa się jak ślimak do najskrytszego zacisza duszy swojej.

W Neapolu, w oném światosławném muzeum, wśród oniemiałych dziś bogów, wśród orszaku bohaterów, co niby skamieniałą Epopeję przemawiają do biednego wędrowca z północy, wśród tych wszystkich marmurowych cudów piękności, które po dawno już pochowanych świetnych stoleciach dostały się puścizną karłowatym pokoleniom, stanął, jako żywy wizerunek, posąg Arystydesa. Jest to jedna z tych postaci, co gdy je choć raz w życiu obaczysz, już nigdy więcej nie ustąpią ze świętych głębin duszy twojej. Taka postać, zamknięta w przybytku piersi naszych, może być przypylona kurzawą powszedniego życia, mgły słotne świata mogą ją pokryć jakąś oponą żalobną, ale przecież obraz tój postaci nie zemrze nigdy w sercu. W godzinach szczęśliwszych, gdy choć na chwilkę zajaśnieje pogoda w wnętrzu naszym, gdy do ducha naszego, jakby do czystego przybytku, wstąpi posłaniec boży i przyniesie pokój domowi temu, wtedy rozwiane są posępne tumany

a rozświeci się ta postać cudowna i wystąpi w pełnym a eichym majestacie swoim. Widzisz jakby oczyma tu na jawie to oblicze nadziemskiej ciszy a przecież tak pełne nieskończonej treści; rysują się te kontury czyste, melodyjne, widzisz wszystkie fale spływających włosów, każde zagięcie miękkie draperyi. Tak jest,—wołasz ze czcią radośną i serdeczném zachwyceniem—toć to jest Perskiej dzieczy pogromca! toć wybawca swojego kraju, toć jest ten obywatel co spokojnym ducha majestatem patrzył na rozhukany lud, który w złej chwili zapomnienia nie mógł wielkiemu człowiekowi przebaczyć wielkości! i powiesz: tak jest, z tém obliczem Arystydes przechadzał się wśród tłumów nieopatrnych, gdy one tego najzaśniejszego syna Aten wskazywały na wygnanie; z tém też obliczem głębokiego pokoju wrócił, gdy kraj znowu jego usługi potrzebował; to jest całkowity, to jest klasyczny człowiek! Nie będę tu mówił o piękności artystycznej dzieła tego, które jest areydzieniem sztuki; wszak sam Thorwaldsen nawet oznaczył na posadzce miejsce dla widza najstosowniejsze do wpatrzenia się w to dziwo piękności; ja przywiodę je tylko jako najpotężniejsze, najzaśniejsze objawienie się charakteru. Kogoż nie uderzy ta powaga, ta moc woli, niby ze spiżu ulanej, a jednak splecionej z nieskończoną słodyczą i uśmiechem dobroci, ta niebiańska jakby pośmiertna spokojność na tej twarzy, obok najwyższego udziału w tém wszystkiém, co innych boli i weseli? Tutaj widzisz treść ogromną duszy, treść ogarniającą wszystkie stosunki człowieka, a przecież spływającą z sobą głębokim i pełnym wdzięku akordem. Tutaj, w tej twarzy marmurowej a tak jaśniejącej życiem

najwyższém promieni się zgoda człowieka ze światem, z ludźmi, z losem i z sobą samym. Cała ta postać otulona płaszczem, nawet rękę znać tylko z pod szaty, trzyma ją na piersiach; a przecież ten charakter, ten sam duch płonie w całym marmurze, niby w czystém kryształowém przezroczu, żyje w każdój linii, w każdym zarysie, w każdym załamku téj szaty jego. A przecież, a przecież to nie zjałowiały pedant o skurezoném sercu, to nie pełen cynicznój pychy stoik; on Grekiem, on zna życia radośne wesela, ale je uszlachetnił, on je umiał uduchownić i podnieść do zaerności obyczajów i otulić artystycznym wdziękiem. W nim tedy zaślubiona treść człowieka z jego formą, bo żywotem zewnętrznym, w nim zespolony duch z naturą; tu przeto klasycyzność występuje w całej potęgze swojej. Dla tego wierząc, że taki posąg, taka postać może być tylko wizerunkiem Greka; tu znać, że Arystydes jest także artystą w najszlachetniejszém znaczeniu; samo życie jego jest areydzieniem sztuki jego, ten żywot jest także posągiem, jest formą doskonale objawiającą treść wewnętrzną ducha. Patrząc się na tę postać, czujemy że człowiek takowy mógł rozgrzać zaernością, wznieść szlachetnością całą społeczność swoją, mógł się treścią ducha podzielić ze wszystkimi, a przecież zbogacić jeszcze samego siebie tym podziałem. Wstyd bierze nowocześnie Europę, gdy pomyślimy jakich to Hellada rodziła mężów! Cóż dziwnego że, jakby z instynktem własnego niedostatku w sercu, rzucamy się pełni tęsknoty w objęcie owego ludu, że radzi otrzeć się o niego choć myślą, by przecież, ile siły naszej, samych siebie uzupełnić. Zaiste, uczucia nasze, myśli nasze, wypusz-

ezone z duszy, jakby pszczołek rój, ulatują po nieśmiertelnych kwiatach Grecyi, pijąc z nich osłodę i po-  
krzepienie w życia naszego goryczy i omdleniu du-  
chowym.

I cheiěj baezyć że jaki był tu żywot pojedynczego człowieka, taka też była historia całego ludu tego; jak wielkie charaktery, będąc mistrzami siebie samych, wyrabiały się na własne arcydziela, tak też cała Grecya artystyczną potęgą stworzyła swoje dzieje niby rzeźbę eudowną. Żaden kraj, żaden naród, nie miał takiego żywota, eoby był tak zupełnie całkowitością ukończoną w sobie, tak doskonałym objawieniem wewnętrznej treści. I historia Hellady jest z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona jest zawsze wierną samėj sobie. Grecya nigdy nie zaznała różnorodności sprzecznych sobie pierwiastków, co przywiane z obcych ludów, z obcych stó-  
leciów, matwają się z sobą, a tak czynią zbyt często narody niepodobne do siebie samych. Grecya od nikogo nie pożyczyła swoich obyczajów, zwyczajów, swoich praw i religii; bo eokolwiek z obcych żywiołów w pierwszych czasach do niěj przyplątać się mogło, toć ona przeisto-  
czyła w sobie nie do poznania, przerobiła na własną krew, na własne soki, a tak rozwijała samoistnie dzie-  
je swoje.

Ona sama sobie wymyśliła początek pradiadowej historii swojej, ona niby sama siebie poczęła, sama sie-  
bie zrodziła: Grecya wszystko sobie samėj winna, ona jest własnym swoim dziełem. Stąd też, nad wszystkie inne historye, historia Greków tak jest ucząca; jest to wzór dziejów narodu, jest to wyrocznia historycznej mą-  
drości. Tu nie ma gwałtownych przeskoków, ani przerw

w wątku żywota, tu nie ma cofania się przed nowym postępem, tu nie ma zaparcia się siebie. W tych dziejach każda epoka tak przezroczysta i zrozumiała, w każdej epoce możesz policzyć pulsa, podслуchać pukanie serca tego ludu, tu niema zagadkowych zjawisk; Grecya od kolebki do skonu nigdy nie odstąpiła siebie. Te dzieje są istic dramatem artystycznie ukończonym w sobie; rzekłbyś, że jakiś arcymistrz odważył wszystkie figury, wszystkie akta, każdą scenę w téj endownej kompozycyi. Czytając te dzieje Greeyi widzisz w nich prawidła jak narod się rodzi, rośnie, dosięga szczytu swojego, zstępuje z niego i kona.

Niechaj nas tedy nie dziwi, że grecki historyk, opisujący dzieje ojczyzny swojej, jest również artystą, mistrzem; jego opowiadania i przedstawienia, to plastyka endowna, to marmurowe rzeźby, nie dodać, nie ująć nie zdołasz. To są areydziała; a przecież są u nas, którzy nie pojmują, za co to literatury i języki starożytne są uznane za warunek wszelkiego wychowania rzetelnego—»wszak wystarczą nam tłumaczenia!« wołają zewsząd.—Tłumaczyć ich nie można, boć to są dzieła sztuki, mające nie tylko treść ale i formę, tu forma artyzmem: i o nią to właśnie chodzi, ona jest rzeczą. Tłumaczenie! Dla czegoż każdy się zgodzi, że litografia nie zastąpi ei oryginałów Rafaela, a litografia przecież odda ei zupełnie treść jego obrazów? Treść jest dana, forma zaś to dzieło ducha!

Zrozumiesz przeto, że ta historia Hellenów, tak w sobie jednolita, tak artystyczna, gdy stanęła na szczycie swojego żywota, rozwinać się musiała najwonnijszym kwiatem swojej istoty, bo czeią i holdem serdec-

cznym dla wdzięków i urody duchowej, dla istnjej piękności. Wszak to właśnie w samo południe chwały greckiej pojawiła się w Atenach Aspazya, co jakby gracya niebiańska zamieszkała wśród ludzi; a patrz! Perykles, ten szlachetny wielki człowiek, co skinieniem swojego geniuszu prowadził losy swojej ojezyny, ten Perykles zaślubił sobie Aspazję, a tym trybem uwidomił śluby historyi i wdzięków w Grecyi. A jak u Hellenów jedna i taż sama świątnia bywała przybytkiem Muz i Gracyi, tak też dom Aspazyi stał się świątnią, kędy się zbierali wybrańce muz, ludzie jaśniejący chwałą to w umiejętności, to w sztuce, to genialnym dowcipem. Wszakże nie sama piękność ciała była magiczną siłą, którą czarowała Aspazya, ale raczej te powaby niewymowne duszy, woń rozmowy, wdzięki uroku pełne trzymały wielkich mężów jakby w zaklęciu misterném. Wymienię kilku z tych ludzi; oni zaiste ludźmi nie na małą stopę! Bywał w domu Aspazyi naprzód głęboki Anaxagoras, który pierwszy wyrzekł, że pod szatą rzeczy zmysłowych, że na dnie gry atomów żyje w świetle myśl, co rządzi wszech jestestwy, a tak w jego filozofii pierwszy raz z głębin ciemnych natury spójrzały na człowieka jasne oczy ducha. Obok filozofa, Phidias; wszak usta nasze jeszcze w pachołecych latach wymawiały ze czeią to imię, a dziś koronie pamięci jego oddajemy cześć, boć on areykapłanem piękności! Dalej Sokrates, męczennik prawdy, co gotował ścieżki wyższym jeszcze prawdom w dziejach ludzkiego rodu; dalej Aleybiades, awanturny geniusz, co wielki w enoty, wielki w występki, w światła i cienie, co potężnym wrogiem i potężnym ratownikiem oj-



czynny swojej, choć błyszczącą sławy, był przecież zwiastunem, iż w Grecyi już dójrzała choroba i śmierci zaród. Wszysey ci ludzie, pomijając innych, znajdowali wdzięczną rozkosz w towarzystwie Aspazyi; te imiona, toć świeciste gwiazdy, które ona wplotła sobie w kwiaty wieńca swojego. Przyznasz, że ten »salon literacki« Aspazyi nie ma dziś równego sobie w świecie, boć w nim bywali ludzie, z których każdy w swoim sposobie stanowił epokę w dziejach ludzkiego rodu. Od tych imion liezymy wypadki obchodzące świat cały; one nie do historii greckiej należą, one są historii powszechniej własnością.

Uważ naprzykład jednego z nich— Sokratesa; on uczynił zwrót myśli człowieka. Na samotnych przechadzkach niekiedy stawał, jakby martwym posągiem, jakby bezprzytomny sobie, nie słysząc, nie widząc wrzawy światowej i ruchów powszedniego żywota; lud nazywał te stany katalepsyą, chorobą, snem na jawie i litował się nad biednym nauczycielem; aleć to raezj ten lud sam śnił na jawie, świat to społeczny drzemał bezprzytomny. Te chwile wrzekomj bezprzytomności były chwilami świętymi, bo duch nieskończony, wszechobecny i przytomny we wszystkiem, co jest, obecny więc i w człowieku, wybrał sobie za pierwszego świadka a kapłana swojego czyste Sokratesa serce, zapukał w duchu mędrca i dawał mu znać o sobie: i słuchał mędrzec pukania tego; to nie bicie serca jego ciała, toć serce świata w nim biło. I słuchał Sokrates tajemnych szeptów, uczących o najwyższj bezwzględnej mądrości. Tak sam zwłokł z siebie zwyczajnego codziennego człowieka, a gdy z utonienia nawrócił do siebie, nie rozu-

miejąc, co mu się stało, wmawiał w siebie, że jakiś geniusz (demon) w nim szepeze. Wyrzekł przekonanie, że człowiek w sobie ma miarę wszech rzeczy, że się niezego ze zewnątrz nie nauczy, że uczenie się jest rozwijanie treści wewnętrznej naszej, jest wyśledzeniem tego, co od wieków w nas zarodem spoczywa. Słuchaj jeszcze: gdy Sokrates tonął w przepaściach duchowego pocucia tego, gdy na polu tylko sam rozumiał wieszce głosy przemawiające w nim, a tęsknił rzewnie, a bolał za uczniem, eoby zdołał rozsnuć te myśli jego, zdarzyło mu się jednéj noey, że go nawiedził proroczy sen: śniło się bowiem jakoby piastował na kolanach młodziehnego łabędzia, a łabędź ten tak był śnieżną bieli, tak cudnych kształtów, tak łuby a potulny że się już nim nie mógł dość nacieszyć, napięścić. Lecz, patrzy, a tu o dziwy! młode skrzydła ptaszcica nagle zaczęły rość i rość, i rosły w olbrzymie loty, i o dziwy! łabędź zaśpiewał cudowną, wdzięczną pieśnią i rozwinął te loty swoje i uniół się w górę, uleciał nad ziemię, i wyżej i wyżej ulatywał, i wyżej i wyżej dzwonił pieśnią swoją, wzbił się nad świat i śpiewając zniknął w niebie! Nazajutrz, gdy Sokrates myślał nad tym dziwnym snem swoim, przyprowadzono mu nowego ucznia, młodego *Platona*, który, gdy urosł w skrzydła geniuszu, z wysokości nadświatnych zaśpiewał, wszystkim stóleciom i wszystkim rodóm przyszłości na podziw, mądrości pieśń.

O tym śnie Sokratesa, o łabędziu, pełna była wszystka starożytność i wierzyła marzeniom proroczym, a wyznaj, że ta powieść, idąca z pokolenia w pokolenie, nie tylko poszła uczniowi i mistrzowi na cześć, lecz i na chwałę całemu ludowi owemu, co umiał tak wielbić wielkich

ludzi swoich, że ich aż odziewał poetycznym fantazyi urokiem.

Chodzi i druga wieść z pokolenia do pokolenia: oto szeptano sobie, że ten Sokrates, co mądrością swoją dał hasło nowój epoce w dziejach świata, że ten Sokrates sam tęsknił miłością ku Aspazyi! a Aspazya, Aspazya nawet miała pisywać do niego jakieś poemata, jakieś dźwięczne wiersze, niemi go pocieszając. Oto głęboka mądrość znalazła siebie, przejrzała się we wdzięku niewieścim.

Przecież dość tych moich bladych zarysów owego pięknego i pełnego życia, co kipiało całym warem uczucia i świeciło całą barwą radośnego wesela. Tutaj wszędzie a wszędzie we wszystkich sferach rzeczywistości znajdziesz cudowny zestrój treści wewnętrznej a zewnętrznego objawu. Wszak widziałeś tę harmonią ducha Hellenów i z naturą geograficzną ich kraju i ze szepowem ich pochodzeniem; widziałeś jak się u nich splotła powinność z rozumu płynąca z tęsknotą sercu wrodzoną, jak nawet potrzeby cielesne były uzaconie tchem duchowym. I też same wdzięczne akordy dwóch wtórujących sobie światów właśnie sprawiły, że człowiek, czując się spóldźwiękiem wszech rzeczy, wszędzie sam obaczył siebie, bo wszędzie uduchowiał materią i nawzajem wszędzie ducha ubierał w szaty materyi; więc obaczył się też i w swoich bogach, w tych jestwach duchowo-zmysłowych, ujrzał się całkowicie w społeczności swojej i w igrzyskach swojego ludu, i w dziejach własnej ziemi, i w wielkich ludziach tych dziejów. Otoż i sami ei wielcy ludzie byli artystami swojego żywota, i widzieli się we własném życiu, tak

jak się widział historyk - mistrz w arcydziele swojém, jak się przejrzał mędrzec ich w najwyższym wdzięku niewieścim. Tutaj wszystko jest artystyczném, bo wszędzie duch przybiera na się ciało godne jego istoty nieskończonój, słowem, co było w głębiach ducha występowało radośnie na jaw; cały człowiek wewnętrzny wypowiedział się na zewnątrz.

Inaczéj przeto tam było, niż w naszych posępnych stóleciach o namarszczoném czole: w Greeyi dusza rozkwita tysiącnym pączkiem wiosennym, a choć te kwiaty jéj z ziemi zrodzone, przecież kąpią się w powodzi światłości słonecznój, pojone rosą niebiańską, pieszczone powiewem promiennego dnia. W nowożytnych sercach dziejach inaczéj bywa. Najzaśniejsza, najświętsza treść duszy wtedy się rodzi, gdy życie zgaśnie do koła, gdy oślepną wszystkie zewnętrzne barwy i światła; wtedy dopiero w przepaściach duszy wschodzą gwiazdy, i płoną i goreją niewidzialne dla ludzi, zapoznane od świata; ale ufajmy że ten sam Bóg, co na miłości skrzydłach unosi się od planet do planet, od słońca do słońca, tą samą miłością, którą strzeże firmamenty przez siebie stworzone, jest też obecny tym gwiazdom zrodzonym w piersiach śmiertelnego człowieka. A choć je zapoznają ludzie i nie przeczuwa świat, Bóg zna te gwiazdy, i kiedyś zabierze je do swojej chwały, by były klejnotem strojącym Jego nieskończoności tron.

I Greeya umarła, ale wszystkie zaśniejsze ludy, ludy - wybrańce dziejów oddały cześć téj uroczéj dziewicy. Greeya umarła, »bo wszystko co piękne umiera« bo duch nigdy nie zdoła na zawsze zaślubić się skończonemu światu i materji śmiertelnój; te śluby

zradzają wprowadzić piękności dziwy, ale te śluby są doczesnemi ślubami, piękność nie jest jeszcze najwyższą prawdą; duch jest wiekiistości synem, on przeraża materją, zrywa związki z doczesnością znikomą, ona mu nie wystarcza, a wtedy piękność kona. Nie dziw tedy, że Greeya umarła na piękność, będącą jej żywotnym pierwiastkiem.



# LIST XXI.

## Grecya.

(*Dalszy ciąg*).

Pestum.—Świątnice Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiej, jako ściśle klassycznej.—Wróżba o skonaniu Hellady.—Mit o Prometeuszu i Herkulesie.—Torso belwederski Herkulesa.—Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiej, zatém rzeźba jest sztuką najwięcej celującą w Helladzie.—Wysokie znaczenie urody cielesnej u Greków, stąd tańce i gmnastyka tak ważnym pierwastkiem ich żywota.—Uczta ateńska i Sokrates.

»Jeszcze chwileczkę cierpliwości, signori! jeszcze troszkę, a staniemy na miejscu!« Tak wykręciwszy się na koźle do ciebie przemówił veturino, chłop przepysznych kształtów, piękny jak posąg z brązu i zaświecił oczami dużemi, co wilgotne a płonące jako węgiel żarzący, a zaświecił śnieżnemi zębami i poprawił kapelusza, zrzucił do reszty kurtkę aksamitną, zawieszoną na lewém ramieniu, zatrząsł kolezykami i zaciął konie, a rześko dalej a dalej popędziły koła po równinie brunatnej, przepalonej na popiół.

Słońce bije pionowo w ziemię i ssie z niej ostatki życia; natura wkoło mdleje w żarach skwarnych; oddychać jej ciężko. Tu i ówdzie po pustkowiach głuchych zabłąkały się jakieś drzewa chude, jakieś krzewy ubogie, a te drzewa i krzewy smętne, samotne wygnane ze szczęśliwszych stron; żaden powiew nie ucałuje ich liści biednych, żaden szept nie pocieszy; stoją w milezeniu oniemiale. Powietrze rozpalone płonie, dygocze, skacze, więc się zdaje że wszystko wkoło się rusza, i trzęsie się i łamie, niby febryczną gorączką dotknięte. Każda gałązka na drzewie drży, wije się, łamie z osobna; rzekłbyś, że to drzewo potwór sturęki, że to ramiona olbrzymich gramolących się polipów. Równina bura, głucha, ociążała zaległa cię wkoło zaspą, i marzy bezprzytomna, a słońce strzela ogniem i pali żarem; słyszysz tętna bijące w skroniach, czujesz wary we własnych pulsach.

Tu i ówdzie pastuch na poły nagi, wycieńczony, sehorzały przepędza krowy i kilka kozek; tu i ówdzie siedzi i duma chatka obdarta, wykrzywiona, spaczona, i sapie i ziewa, a gdzie nigdzie rozlały się błotne młaki, co dyszą złośliwym wyziewem, w nich rusza się gad, nad niemi chmury komarów; w trawach przepalonych świerszczą świerszcze,—toć jedyny głos wśród grobowej ciszy. Nad równiną burą sklepi niebo złociście błękity swoje; one tak głębokie, czyste, pogodne, jakby wesole, wiecznie spokojne mieszkanie starych bogów téj ziemi. A tęskno ci do tych gór, co w dali się piętrzą jakby ziemskie pałace tych bogów szczęśliwych; tam na wysokościach wieją chłody, tam szumią strumienie świeże; tam co żywe, oddycha szeroko, głęboko,

a kontury szczytów, lekkie, eteryczne spływają z jasnym nieba tłem. Te góry, niby napowietrzne grody, ochuchane to złotem różowym, to fioletem promiennym; a te barwy tak lekkie, tak czyste, jakby rumieniec pierwszój miłości dziewczęj; te góry tak eteryczne, przezroczyste, jakby malowania na szybie kryształowej przeświecanėj światłem słonecznym.

Pędzą dalej a dalej kola równiną skwarną, śpiękłą. Gdy puścisz okiem po tych pustkowiach głuchych, po tych umarłych bagnach i stęchłych młakach, uwierzysz, że tu ezatują w łęgowskach swoich wrocie febry, nieprzerwane nigdy, idące smętném dziedzictwem z pokolenia na pokolenie, niby jedyna puścizna tych pastuszków nagię, co, jako upiory przed śmiercią, wloką to życie nędzne starzejąc się za młodu; uwierzysz, że obok febry jadowitėj hulają tu jadowite węże, jedyne żywe stworzenia, którym tutaj zdrowo i ochoczo. Znów wykręca się na koźle *veturino* i pokazując biezyskiem w dal, woła: «Vedete—Pestol!» Z dala na równinie rysują się budowania jako grobowce stare; są to pradziadowe świątynie pradziadowych lat, cel twoich pragnień i wycieczki z Neapolu. One dziwnie się odbijają na tle płynnych szafirów morskich fal, co posypują się siejbą złotych isker w promieniu słonecznym.

Tak jest, to Pestum Rzymian, a niegdyś Posidonia Greków. Ta tu równina, co dziś jest ementarzem niemym, łęgowskiem moru i zdradnėj zarazy, a panowaniem zatrutego gadu—niegdyś, przed bardzo dawnymi laty, była onych Sybarytów rajską ojezyczną; bo Pestum to osada ze Sybaris! Tutaj przeto mieszkał ów ludek z uśmiechem nigdy nie zwiędłym na ustach, co



duszką spełniał wszech uciechy i radości ziemskie; tutaj to on żył i śpiewał, tutaj się kochał i pieścił, tutaj rozkoszował ciesząc się niezamąconym życia weselem; on to przetłumaczył sobie całą treść życia i świata i natury na rozkosze doczesne, i płynął mu wiek mlekiem i miodem wśród woni róż. Zaiste, wśród róż, bo cała starożytność sławiła Posidonii różę, co dwa razy do roku rozwijały przepych swojej endobarwniej woni. Choć Rzym później szpizową pięścią zadławił życie rozkoszne, pełne słodyczy i wdzięku, i zabił kwiaty w ludzkich sercach, toć te różę zostały, a umizgały się do nich rzymskie wieszczki. Wirgiliusz wyznaje, że gdyby nie był party pośpiechem, jeszczeby zawrócił statkiem i dobił do brzegów cudnych i zaśpiewałby o kwiecistych ogrodach bujnych, hodowanych troskliwą miłością—zaśpiewałby o różach, co dwa razy do roku rozłulają liście wdzięczne chuchając zapachem. A ten biedak Owidiusz, wygnaniec ze stolicy świata, wykwinu i smaku, za to iż podobno wmięszal się w miłostki Julii, onęj zbyt tkliwych uczuć córki Augusta—ten Owidiusz, marząc gdzieś na północy i biedując wśród Getów, zaklinając się woła: »Wprzód Babilon nie zazna ognistych »skwarów, wprzód Pontus straci mrozy swoje, wprzód »nagietki apteczne zagłuszą wonie pestek róż, niż....» i t. d. A Martialis, co tak dowieipny a ucinkowy, choć człek o cieplej duszy, pragnąc oblaskawić dla siebie serce jakiejś rzymskiej damy, zapewnia, że jej usta waleczą o prym z różami Posidonii.

Patrząc się dziś na tę naturę głuchą, co niby całunem ciemnym, śmiertelnym rozwlekła się nad życiem wszelkiem, zaiste, one wieści czarowne o starych stó-

leciach, są jakby snem i niby senném marzeniem; zdaje się też, gdy pomyślisz, żeś to dopiero wczoraj wyjechał z Neapolu, zdaje ci się że na setki mil gdzieś zostały one pomarańcze i pieśni wesole, one makarony i bukiety, tarantelle i kawiarnie szkliste, Wezuwiusz i pulcinello, okręta masztowe i osielki dzwoniące, one oficery świeciste i damy o strzelistych oczach, lemoniady i serenady i pomidori!

Stałeś przed nędzną locandą, dochodzisz do onych budynków, które dźwigiły stare czasy, na pół tysiąca lat przed chrześcijańską erą; należą one do najszcześliwiej dochowanych pomników po Grekach starych. Jakoś ci w sercu świątecznie, uroczysto, niespokojnie, bo masz obaczyć dziwy, o których ci się niegdyś w młodości przyśniło!

Teraz już zatrzymujesz się w obec najwyższej z trzech budowli, patrzysz się na świątnię *Poseidona*, co go rzymianie Neptunem nazwali.

Ale czy to doprawdy ta sama świątnia, o której tyle się nasłuchaleś, naczytałeś, która ci tak często obrazem wplotła się w marzenia twoje? To budowanie przed tobą takie drobne, takie nikle! wszak one nie wyrównywa ogromem nawet w części wielkim świątnicom chrześcijańskiego świata!

I żal ci się robi na duszy i smutno ci. Spodziewałeś się gwałtownych wrażeń, olbrzymiego dzieła, co by zatrzęsło całą istotą twoją, a tu budowanie tak skromne, ciche! czyli to znów jeden z zawodów w życiu? Radbyś podziwiać, bo cię wstyd że cię jednego niby nie rozpała uniesieniem widok, którym się wszyscy zachwycają; więc zaledwie sam sobie wyznajesz, żeś nie tego się

spodziewał! Może ten brak wspaniałości spodziewanej pochodzi też ztąd, że ta świątlnica nie należy jeszcze do czasu najwyższego rozkwitu sztuki hellenickiej, to nie geniusz Peryklesowych czasów, który stawiał te świątynie, więc też dla tego one nie zagrzewają chętniej miłości twojej.

Pocieszając się radbyś tedy obaczyć w tém budowaniu choć pomnik starych wieków i ludów, co dawno już przemknęły się sceną historyi; wpatrujesz się w wyszczerbione glazy, śledząc tropów wielkich wydarzeń, które tedy przeszły, zanim przebrzmiały jako jęk ostatni wędrowca na głuchej pustyni. Ziola, krzewy, kwiaty powiewne wyrosły na połamanych murach i umiały zwietrzałe ciosy; toćto wianek śmiertelny, którym natura ustroiła skronie przeszłości zmarłej.

Ale, wśród dumania, wśród marzeń twoich coś zadrgało w tych głazach! coś gada w tych martwych ciosach! I patrzysz i oczyma toniesz w zwaliskach, a one się ruszają, i jakieś dźwięki dziwne wionęły po gruzach, gruzy zmartwychwstają, kolumny rosną, dźwigają się majestatem, rośnie potęga kapitelów, biją wdzięczną falą linie, grają światła i cienie. To budowanie, dopiero tak skromne, drobne, teraz urosło olbrzymem! jakże wspaniałe, uroczyste, jak poważne i pełne grozy! sehyliłeś czoło oddając wielkości zapoznaną przez ciebie pokłon i cześć! Teraz cię wstyd, żeś wielkość massą mierzył, żeś ją mierzył na stopy i kroki!— Wszak na naszej północy chodzą wieści o dziwnych obrazach malowanych: w zaśnieżonych ramach bieleje jakaś postać zapomniana, obraz spłowiały, przypylony o omdlałych zarysach; mówią też ludzie, że są pewne dnie i godzi-

ny nocne, gdy rozświecą się barwy, gdy postać ożyje, odetchnie, wystąpi z ram i odrodzona wdziękiem cudownym rozpowie dzieje swoje; lecz usłyszysz, obaczysz postać uroczą tylko ten, kto w łasce, kto rozumie mowę duchów — kto ma oczy ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu. Tak, bądź w łasce, znaj się na mowie duchów, zapadnij w tych gruzach całém sereem, całą myślą, a ze starych, spłowiałych rozsypisk wystąpi piękności geniusz, i obaczysz postać jego odrodzoną wdziękiem cudownym, obaczysz ją na własne oczy twoje — ogromną, niebotyczną. Jakimże dziwem ta świątelnica tak skromnych wymiarów urosła w tę wspaniałość wzniosłą, w ten majestat dumny a potężny?—Bo to budowanie jest ducha weieleniem, bo jest harmonią skamieniałą, bo w niej wszystkie szczegóły, każda kolumna, każdy kamień, każda linia spływa wspólnym akordem z całością; dodaj, zmień, ujmij choć drobnostkę, a już znieważysz tę harmonią, pełną tak cudownych dźwięków i obrazisz ją tonem fałszywym. Jak w organizmie ludzkim, w tém areydziele stworzenia, każdy organ, każdy członek odpowiada każdemu innemu w szczególności, a tem samym całej budowie żyjącego jestestwa; tak téż w téj architekturze cudownej zespolenie wszystkich szczegółów czyni z niej organizm dziwnego zestroju, co brzmi i śpiewa, jakby one starodawne muzyki kościelne, co tak proste i rzewne, a przecież budzą wtórujące dźwięki w piersiach twoich, nawet tobie samemu nieznane. I to jest zaprawdę cała tajemnica téj potęgi czarodziejskiej, którą ten stary budownik grecki przygrywa na strunach duszy twojej. Bo zważ — i duch nasz jest także całością, także ogółem pełnym treści różnej; on jest morzem uczuć, myśli, tę-

sknot, wyobrażeń tak różnych między sobą a związanym przeczniej jednością harmonijną; więc dla tego też ma za mieszkanie dane sobie ciało, które, będąc również doskonałym zestrojeniem rozmaitości w jedność, jest wyrażeniem zmysłowem, godnym téj harmonii ducha naszego. Stąd też to budowanie greckie jest jakby zwierciadłem duchowej istoty; w niém przeziera się duch nasz i w niém znajduje ducha ludu, który je stworzył. Ten starodawny lud umarł dla zmysłowego świata, ale część jego wiekuista oddycha w tych głazach martwych, ona z niemi zaślubiona, ona odziała je nadziemskim urokiem; więc byleś miał oczy duchowe, a już przez organizm kamienny téj świątńey, przez to głuche ciało głazów dojrzysz ducha, który w nich mieszka, a on cię powita jako brata w piękności; on, choć dawno umarły i zapomniany od ludzi, dla ciebie wiecznie młody, wiecznie odradzający się nieskończonym wdziękiem. Zrozumiesz tedy, dla czego ta architektura jest tak wspaniałości pełną, dla czego ona się dźwiga tak dumnym majestatem!

Widzimy także jak się tutaj w architekturze naprzód prawdziwa zasada wyrzeczonej o Greeyi w liście ostatnim, że w niej duch w dziele sztuki znajduje doskonałe wyrażenie swoje jako we formie zupełnie odpowiedniej; a tak i budowanie Hellenów jest klasycznym budowaniem.

Stary Egipt przez całe swoje życie szamotał się i łamał z materją, a łamał się z nią aż do śmierci, aby ją przewyciężył; ztąd olbrzymie rozmiary jego budowania, ztąd ogrom straszliwy jego granitowych ciosów, ztąd chmurotyczne piramidy, a praca niesłychana, nie-

wypowiedziana męka są jedyną oznaką jego tryumfów nad martwą, głuchą materią; lecz ta architektura jego nie jest jeszcze wizerunkiem istnym ducha, w niej nie znajdziesz organicznej harmonii, onego zestrojenia rozmaitości szczegółów w jedną całość. W Egipcie, równie jak w Indjach, w Chinach, nie obaczysz architektonicznej całości; możesz dobudować drugie tyle gmachów, komnat, dziedzińców, bram; możesz zburzyć ich połowę, a całości nie pogwaleisz, bo jej tutaj nie ma. Tak podobnie dzieje się w naturze nieorganicznej—możesz roztrącić ów kamień, a każda część będzie także kamieniem, tylko drobniejszym. W Grecyi nie znajdziesz tych wymiarów tytanicznych, bo ona nie pragnie już grubych tryumfów nad materią, samą tylko mocą siły fizycznej dokonanych; te tryumfy są li ujemne, negatywne, one są mniej godne Hellady; jej tryumfem jest raczej uduchownienie głazów, zatem jej celem jest architektura, będąca symboliczną mową jej ducha.

I zważ dobrze, owa harmonija wszystkich części nie jest bynajmniej harmonią dla samego tylko oka, nie jest samym zestrojem estetycznym; tu zestrój a wzajemne zestawienie wszystkich części jest ugruntowane na technice, jest obrachowane wedle praw mechaniki, statyki, tutaj najściślej obliczona ciężkość, moc materiału. Otóż, jak nie możesz zmienić najdrobniejszych szczegółów bez znieważenia piękności ogółu i zgwałcenia estetycznego uczucia, tak też zmiana tych szczegółów byłaby zgwałceniem praw mechaniki, nadwierżającą moc i trwałość budynku. Co tu jest pięknnością artystyczną, jest zarazem techniczną potrzebą, i nawzajem: w budowaniu greckim możesz rozumowa-

niem wyprowadzić znaczenie każdej części. Podobnie, gdy cię uderza proporcja i piękność członków w jakiejś postaci ludzkiej — możesz śmiało wnosić o sile i czystości człowieka tego. Chcielibyśmy, ta zgoda artystycznej piękności z potrzebą techniczną jest właśnie zgodą i harmonią ducha a materji. To zastosowanie się ściśle estetyki a praw fizycznych natury jest właśnie powodem, dla którego architektura grecka jest wiecznie młodą i kwitnie nieskończoną nigdy wiosną; tu masz rozwiązanie zagadki, że to hellenickie budowanie nie jest bynajmniej tylko budowaniem jednego narodu, jednej epoki, ale jest własnością świata i wszystkich stuleciów. Tak przeto i tutaj znów wypłynęło nam zestrojenie dwóch światów, stanowiące klasycyzm greckiej fantazyi. Obaczysz w innym liście, iż nasza, tak uroczysta a pełna właściwych sobie wdzięków, architektura średniowiekowa jest jakby wołaniem, że duch chrześcijańskich ludów już przerósł materję, że na skrzydłach wiary wzniósł się nad wszelkie jej prawidła, że uleciał tehem duchowym. Stąd też ta ogromna jej różnica od budowy greckiej. Patrz na gotyckie śmiałe budowania: tutaj zaiste właśnie chodzi o to, aby ukryć prawa materji, aby ona, wbrew swojej ciężkiej natury ku ziemi cisnącej, stała się lekką, eteryczną; słupy w świątyniach naszych niby nie dźwigają sklepienia, one, jak pieśń nabożna, strzelają w górę, a sklepienie z nich zrywa się, rozwija się jako konary palmowe; zważ te wieże ciosowe, dziergane w koronkę; tutaj kamień przezroczysty, przez niego światło, promieni wiekuisty błękit niebiański; te przypory ciosowe, z których, jakby ogrody boże, wyrastają kwiaty, gałęzie kamienne a igrają i bawią się wdzie-

cznym splotem budując kapliczki wysoko wzniesione na mieszkanie ludzi. W świątnicy gotyckiej nie chodzi o naturę, bo tutaj zakryte jest stosowanie się ducha do jej praw; tutaj znać o sobie daje swoboda duchowa, niedbająca o rzecz, ale pragnąca wyrazić siebie w rzeczy, w świecie zewnętrznym.

Spójrzij na tę Posejdona świątnicę — lat tysiące i promienie słoneczne oblały ją barwą ciemnego złota, a koloryt ten tak ciepły i miękki, a jednak tak poważny; rysuje się ona na czystych głębokich nieba lazurach, w koło cicho i spokojnie; cała natura umilkła nabożeństwem; niekiedy tylko stado dzikich gołębi przelatuje po nad gruzy, jak przelatowały z kolei stolecia długim szeregiem, dotykając ciężkiem skrzydłem swoim świątnice ludów starych. Tu, w stolicy dawnego szczęścia i ziemskich rozkoszy, oparł się teraz na kolumnie chłopczyzna schorzały w lachmankach — i żebrze; dalej na gruzach siadła matka blada, bawiąc zgłodniałe dziecię Ma-donną zawieszoną na szyi.

W koło otoczył uroczyste budowanie zastęp doryckich kolumn potężnych; słupce nie są weale czezym przystrojem, one dźwigają doprawdy brzemię budowy jak bohaterów szereg, na którym spoczywają losy drogiego im kraju; a moc podpierająca tych kolumn, a ciężar cisnący najendniej zestrojone z sobą; praca dźwigania zaiste nie lada, nie łatwa, lecz ona im przychodzi bez męki i zbytniego mozolu; one nie mają podnoża, bo dzielne ich zgrubienie od dołu zastępuje im podstawę; lecz aby znowu ulagodzić ich butność zbyt poważną, fantazya artystyczna poprowadziła wzdłuż ich żłóbki głę-



bokie kanelury (rówki), w których mienia się światła i cienie lekką falą, a od góry głowica dzielnie występując podtrzymuje brus a zarazem wdzięcznie łączy się z okrągłym trzonem; a tak każdy słupiec jest prawie całością dla siebie i prawie sam w sobie harmonią. Te kolumny przemawiają tutaj jakby ludzką mową, duch przez nie spogląda, one są więcéj niż ciosem, niż martwym nieczułym kamieniem. Ba! wszak nawet do kolumn swoich Hellenowie, jakby do swoich bogów, przypieśli legendy a mityczne podania, a tak tehnęli na nie życie indywidualne i wyraz duchowy. Posłuchajno co nam baje Vitruvius o powstaniu kolumn greeckich: on, areyprozaiczną rzymską duszą będąc, bierze za prawdę te podania i wierzy im co do litery, nie pojmując téj poczyi, co nam w nich płynie z dawnych lat. Osadnicy greecy w Jonii, powiada, pragnąc stawiać świątynie, a nie mając prawideł sobie danych, wzięli się na sposób, chcąc otrzymać kolumnę poważną, butną; zabrali się do mierzenia postaci mężczyéj, a gdy stopa męzka jest właśnie szóstą częścią całego ciała, «wice, powiada Vitruvius, uczyli kolumnę mającą te same wymiary, a tak zrodził się dorycki słup.» Innym razem znów «osadnicy, radzi widzieć kolumnę lekką, pełną uroku a strojnego wdzięku, jęli się mierzyć wysokość postaci niewiasty i jęj stopę, a tak z bezkształtnego bałwana, niby wdzięczna dziewczica, wyskoczyła na jaw kolumna jońska, w której podnoże jest tylko ósmą częścią wysokości, a przystroili téż jęj głowicę w lube zwoje ślimacznice, udających jakby włosy niewieście, wijące się w drobne kędziory, a kanelury, idące po kolumnie, udają długie szaty spływające fałdami.» Otoż masz w téj powieści zaślubienie

ducha i materyi, jestto odgłos daleki postaci ludzkiej, oblatujący nawet kolumnę grecką.

Przed laty, a jest temu bardzo dawno, umarła w Koryncie dziewczyna młoda, i była zaniesiona do grobu jako nieroztulony pączek kwiatu, od śmierci podeity; umarła dziewczyna zostawując łzy i serdeczne żale po sobie. Płakała ją też w zaciśy z boleścią rzewną nianka stara, boć ona dziecię wykołysała na ręku miłością gorącą, a płakała dniem i nocą nianka biedna, aż pragnąc ukoić cierpienia duszy swojej chodziła po domu i pozbierała ze łzami bawidła i sprząci, które niegdyś najmilsze były zmarłej dziecinie, i ułożyła je wszystkie w koszyczek sehludny i z koszyczkiem poszła na grób kochania swojego, i złożyła go na grobie, a chroniąc od słoty zimowej przykryła koszyczek cegielką małą. Gdy atoli na wiosnę nad grobem odezwały się pieśni ptasząt, przebudziły pieśni rośliny śpiące, przebudził się też acanthus, co także był drzémal w grobie obok śpiącej dzieciny; on ożył i puścił łodygi zielone i strzelił w liście, a liście jego objęły miłośnie koszyczek, zwijając się misternie pod cegielką ową. Zdarzyło się, iż przechodził tamtędy rzeźbiarz Kalimach, człek, co miał w oku seree, i patrzy, i zachwycony wdzięcznym widokiem siadł i przerysował koszyczek, i cegielkę i liście, i uczynił z tego głowiec do kolumny; i takito jest początek koryckiego kapitelu, a opowiedziałem go biorąc sobie za tło podanie Vitruviusa.

Otoż tu podechwyeliśmy grecką fantazją na uczynku; ona z niewinnych bawidełek i z liści wyrosłych na grobowem młodej dziewczyny stworzyła sobie architektoniczną formę, ochuchawszy kolumnę tehem poezyi lu-

bój. Proszę cię nie myśl atoli, jakoby ten kapitel koryncki, choć strojny we formy od roślin pożyczone, był naśladowaniem natury; w Grecyi już natura przemieniona, ona tutaj jest tylko jeszcze szatą dla ducha, przezroczym lekkim, przez które on się patrzy.

Te liście korynckie— toć nie kopia rzeczywistości, to wesołe drwinki, lekkie żarty igrającej fantazyi greckiej; ona uśmiechając się przetwarza sobie formy roślinne na ornament architektury. A tak i pod tym względem widać ześlubienie ducha a natury.

Hellada nie jest Egiptem, nie jest Azją; ona wie, że kolumna nie jest lodygą, że kapitel nie jest pączkiem ani kwiatem. Dla tego Grecy równie nie lubili Karyatyd onych postaci ludzkich wyrzeźbionych, co zastępują dźwigające kolumny; im jakoś było wstrętne, duszno patrzeć się na to poniżenie form ludzkich, które przecież są ducha przybytkiem. Przepych takowy chętnie zostawiali barbarzyńcom wschodu, rzadkim tylko wyjątkiem używając postaci ludzkich zamiast słupów, bo jedynie wtedy, gdy chodziło o pamiątkę odniesionych tryumfów; a tych przykładów na palcach się doliczysz. Owe zaś Kanefory, owe dziewice marmurowe cudownej piękności, niosące koszyczki na głowie a podtrzymujące tram w jednej z kapliczek ateńskich, pewnie nie razily uczucia, boć te dziewice tak hoże i wdzięczne, belkowanie zaś z umysłu uczynione tak lekkie i eteryczne, a wejrzenie niewiast tak spokojne, iż znać, że ich praca istnym żartem.

Dla instynktu artystycznego Greków wystarczyło, by samą proporcją kolumn oznaczyć ludzką postać, a nawet pleć. Różne zaś porządki słupów wypłynęły z róż-

nego uczucia różnych szczepek greckich. Jońska i Koryneńska kolumna mają podnoża, a tak każda z nich, choć do ogólnej całości budowli należy, jest znowu jakby całością o sobie stojącą. Dorycka kolumna zaś nie ma osobnego podnoża, ona z całym szeregiem swoich równie osadzona na wspólnej podstawie. Tak też działo się w rzeczywistym świecie; w państwach jońskiego pochodzenia rozwinęła się swobodnie indywidualność każdego z osobna obywatela, w państwach zaś doryckiego rodu indywidualność była starta; ogół brał górę nad odosobnieniem się ludzi, on był im spólną ogólną podstawą. I zważ, że gdy w Atenach tak rześko, tak świeżo i bujnie zakwitła indywidualność ludzka, więc też tutaj weześnie, niż w innych ziemiach właściwej Grecyi, rozwinął się joński porządek. A lubo prawda, że w czasie najświetniejszego rozwoju sztuki pięknej za czasów Periklesa porządek dorycki był w Atenach przeważający i dla tego właśnie tracił tam swoje wejście ponure i butne, a kolumna dorycka wyzwolona z pod ucisku wznosiła się pełna swobody i nabierała kształtów wysmukłych; co więcej, ona w architekturze owoczesnej (w Propyleach) wdzięcznie umiała się łączyć z kolumną jońską— był to jakby cudowny śpiew męzkich i żeńskich głosów, którymi duch Hellady śpiewał chwałę swoją.

Z tych różnych kolumn, różnych szczepek, mógłbyś wywróżyć różnicę usposobienia tych ludów, różnicę ich żywota, ich losu i skonu. Te dwa porządki kolumn mają się do siebie jak Solon łagodny, a twardy Lykurg, jak Ateny a Sparta.

Patrząc na tę naszą Posydońską świątnię, znać,

że ona wyprzedziła Periklesowe czasy, że te jój kolumny zachowały jeszcze całą starą zadumę zuchwałą; one spoglądają na cię tak hardo i poważnie, tak są uroczystości i grozy pełne, a przecież spójrzenie ich tak rzewne i tkliwe, tak serdeczne a poruszające, że już na widok ich same ci się powtarzają w duszy słowa owego termopilskiego grobowego napisu: »Przychodniu! »powiedz Sparcie, żeśmy tu legli, posłuszni jój prawom!« Ty, wędrowiec z zimnej północy, sereem gorącym, miłością wrzącą wlałeś niezucia twoje w te głązy południowego świata, wskrzesiłeś do życia świątynię zmarłej przeszłości, a Poseidon, stary gospodyń domu tego, miłość miłością placąc, życie za życie dając, przemienił nawzajem seree twoje na świątynię,—na świątynię tego, co wielkie i zaene na ziemi; on w tych piersiach twoich zamieszkał, więc też się patrzysz na to budowanie Hellady własnymi jego oczyma.

Jak Hellady seree żyło w harmonii ze światem zewnętrznym a wesółym dramatem natury, tak też jój świątynie zwracały na zewnątrz całą piękność architektury swojej; i ta nasza świątynia nie ukryła się wewnątrz siebie, ale zwróciła te jasne, wesole podsienia, te kolumnady swoje do świata, na znak zgody z naturą i przymierza z ludźmi.

Stąd te podsienia zalewa radośnie powódź światłości; do nich miał przystęp ów lud mówny, ruchawy, o jasnym oku a sereu wesółym, poufalący się z bogami swojemi. A pięknie też tym kolumnom, co tak uroczysto rysują kształty swoje na jednostajnej ścianie świątynicy, bo w tych ścianach nie ma okien, co by krzyżowały, nie pokoiliły, bałamceili kontury kolumn,

Gdy szerokość budynku wyrównywa prawie połowie długości jego, ztąd też te wymiary tak eudownie się miarkują i równoważą. I takąż równowagę znajdziesz w stosunku wymiarów poziomych do wysokości całej. Tu nie obaczysz ani rozehodzenia, szerokiego rozeźligiwania się budynku po ziemi jak w Indyach, ani sennego zrywania się wzgórcę piramid Egitu. Nie ma też tu przesady w przystrojach rzeźbionych jak w budowniach nadniłowych, kędy czasem trudno zgadnąć czy rzeźby są dla budynku, czyli budynek dla rzeźby. Grecka fantazya oszczędnie używała skulptury, nie zacierając nigdy właściwej cechy architektonicznój; owszem ta rzeźba, również jak malowanie, jak pozłota była budownikowi tylko pomocą, by charakter każdej części, każdego członka architektonicznego podnieść, wyrazić i spotęgować.

Leżąc słońce, mając się już ku zachodowi, rozplywa złotem po tój ciosowej poezyi i zapala na nięj światła różowe i pełne głębokie cienie bronzowe; nie czas ci już prawie o tym mistrzowskim rytmie, którym sobie wtórnją części belkowania, o współdźwięku, którym się odzywa brzus, stropowie i wieniec. Odbuduj sobie jedynie w myśli dach, który zaiste od lat tysiąców runął. Chciój baczyć, iż jak w Egipcie szczegółowe budynki, pilony, dziedzińce, choć należące do jednej i tój samej świątńicy lub pałacu, nie wiążą się przecież w organiczną całość; tak też każdy z tych budynków nie jest całością w sobie skńczoną, a nie jest taką całością już nawet i dla tego, że dach nie jest widny dla płaskości swojej; brakuje tedy estetycznego zamknięcia z góry, uzupełnienia całości. W Grecyi, przeciwnie, wi-

dzisz dwa szczyty po dwóch węższych bokach świątnicy, i im odwrotne po dłuższych bokach dwa połączenie dachu, dwa okapy; sam kierunek kalenicy tedy okazywał kierunek całego przybytku. Tak tedy pochyłość piramidalna, będąca w egipskich budynkach formą przeważającą, tutaj w greckiej architekturze odzywa się tylko jeszcze w kształcie dachu, stała się tylko jednym z pierwiastków całości.

Zważmy, jeżeli na wschodzie, a mianowicie w Indyach, fantazja budownika, będąc bezmiernym sennym marzeniem, niota się i szamocze, nie znając praw rozumu, w Grecyi istnieją prawa i ustawy sztuki; ale wśród tych ustaw znówu z wolnością i swobodą porusza się geniusz artystyczny. Jest prawo, że świątnica jest domem podłużnym, zamkniętym w sobie, otoczonym w koło kolumnadą, każdy porządek ma sobie dane liczebne proporce, a przecież fantazja może swobodnie urozmaicić całość świątnicy. Podobnie, też prawidła, odnoszące się do liczebnych stosunków i proporcji, kładą jedynie im pewne granice (stanowią jedynie ich minimum i maximum) których przestąpić nie wolno. Dla tego, mimo tych przepisów sztuki, nie znajdziesz w całej Grecyi dwóch świątnic zupełnie do siebie podobnych. Tak i tutaj, jak i we wszystkich kierunkach żywota greckiego, prawo zewnętrzne i indywidualność osobista człowieka zaślubione są wolnym, swobodnym przymierzem; i tu nie ma ani swawoli bezuzdnej, ani duszności krępującej.

Wstąp teraz do wnętrza naszej świątyni Neptuna. Ten wewnętrzny przybytek spokojny, cichy jako serce zamego starca po burzach żywota i krzywdach światła-

wych. Ziemię zasłały ogromne, zgruchotane ciosy, spiętrzone w pagóry, a na pagórach jakby na grobach wyrosły bujne krzewy kwieciste i zioła pachnące; ściągają się po nich motyle, owe maluchne zmartwychwstania wieszeze. Tam, pod ochroną długiego cienia kolumny, zasiadł samotny artysta—i on, jak widać, synem obcej dalekiej ziemi; pędzlem, ołówkiem chwyta wizerunek tych dziwów, by mu już towarzyszyły na zawsze przez świat. Szezęśliwy to ród tych artystów! Ich życie także motylim żywotem; kędy się roztworzy piękność barwą i wonią tam zlatują i ssą słodycze niebiańskiej neiechy i karmią się nieskończoności kwiatem. Co piękne, co uroczne a wdzięczne to jest ich ojeowizną, to ich własnością.

Jak świątynię na zewnątrz otoczyły kolumny, tak we wnętrzu, w kierunku długości, stanęły dwa ich rzędy; na nich spoczał ogromnej potęgi brus ciosowy, na którym znów wznosi się drugi rząd kolumn nierównie mniejszych. Dziś z tych słupów zwierzchnich pięć tylko przetrwało potrącenie stóleciów, co tędy do wieczności przegnały, inne spadły z wysoka, drzemią śmiercią wśród ziół i kwiatów. Uważ, te wierzełnie mniejsze kolumny niegdyś podpierały dach. Zapewne i tutaj ten dach, jak wszędzie w większych świątnicach dla ich oświecenia, był w środku wycięty szeroko; w mniejszych bożnicach otwory wąskie w stropowiu wystarczały dla celu tego. Tak tedy środkowa część wnętrza miała niebo za strop, a słońce i gwiazdy patrzyły się w serce świątnicy, opływając jasnością posąg boga, który się tutaj wznosił w milezącym majestacie. Ta postać jego była olbrzymia w porównaniu przybytku



samego; całe budowanie, choć pełne wspaniałości, małało, skromniało w obec olimpijskiego mieszkańca. Świątynia Hellenów nie była już pustą łupiną jak egipska, ona w rzeczy samej jest domem a mieszkaniem gospodynia, co tu włada uosobioną potęgą.

Rozpuść raz jeszcze oczy i niezucie twoje po tych głazach, niechaj ci ta lira kamienna raz jeszcze zaśpiewa pożegnaniem, niechaj ci po raz ostatni jej dźwięki uroczyste a łube wsiąkną w duszę, byś je uniósł z sobą kędy zimne wieją wichry, kędy natura lodami krzepnie a gorące serce w piersiach żyje. Raz jeszcze, i już na zawsze, pożegnaj przybytek ten! spójrz na niego po raz ostatni; a choć ci smętno i chmurno w duszy, pomnij, że i chwilka mała, co ci upłynęła w obec piękności, zaważy długie lata tego zwyczajnego, tak biednego żywota; chwilka takowa, choć przelotna, w której ci się udało oko w oko obaczyć piękność i rozmówić się z tém, co zaiste i wielkie na świecie, jest zaiste szczęśliwém podejściem własnego losu i ogromną, niespodzianą wygraną w życie!

I patrzysz się na tę świątynię, a trudne, a bolesne z nią rozstanie; aleć bo i jej samej czegoś tak smętno i chmurno, może i jej żal pożegnać się z tobą! Może i jej mile było i lubo, że ktoś zrozumiał tajemniczą jej mowę; a żeś te nieśmiertelne jej wdzięki sercem ukochał, uwielbił, żeś podsluchiwał jej ukryte, a tak głębokie boleści, stąd też i ona, przy rozstaniu z tobą, nastroiła tony żałobne wtórujące strunom duszy twojej. Ba! tej świątyni też smętno i chmurno; ona zaiste od urodzenia swojego, od poczęcia już ukrywa w sobie boleści głębokie! Stały w świątyniach bogi radością, weselem

promienne, z uśmiechem pokoju na ustach, otulone w uroki i wdzięki niebiańskie. A tym bogom rodziły się też ludy o sereu radośném, weselném—dzieci szczęścia i ziemskiej rozkoszy. Kwiaty i wieńce i wonie składały te ludy na ofierne swych świątnie ołtarze; a brzmiały, pieśni i lutnie i tany bogom na dzięki, na cześć, za żywot tak błogi, za losy bezchmurne, za wiosenne ich dzieje, za urok tak młody. Kwitły tym ludom róże miłości, kwitły im róże na ścieżce żywota.

Leżąc gdy noc głęboka samotna po ziemi, po niebie rozleje swe cienie, gdy mrokiem smętnym obejmie te wdzięczne bogów postaci, już one są tak zadumane, tak tęskne, a boleścią tak rzewną, tkliwą owiane, żeć się zdaje że ta cicha kropelka, co po ich spływa obliczu, nie jest nocnej rosy kropelka, ale łęku i troski łza.

Czegoż te cienie, te mroki nocne tak smucą, trwożą tych bogów postaci? z kąd tym bogom ta żalność bolesna, z kąd im te lęki i tęskne przeczucia?—Słuchaj, od wieków, od wieków zapadłej przeszłości idzie zgromy pełna wieść—wieść, co jęczy w ichych nocnych powiewach, co szeleści w liściach oliwnych, w gajach cyprysów i laurów bogom poświęconych, co się żali w szeptach strumienia, którą nawet słyszą bogi w cichém kwiatów i ziół westchnieniu. Słuchaj co niesie straszna owa wieść! Gdy jeszcze panował rodzącym się dopióro ślepym potęgom przyrody Kronos, ów złowrogi, chłonący dzieci swoje Czas, gdy jeszcze nie było na stolicy świata Jowisza, boga bogów, ani jeszcze żyła Hera, niebomoca pani, ani żył Posejdon morzowładny, ani żaden z jasnych niebian Olimpu, wtedy noc ciemna, bezdenna zrodziła dzieci swoje, dzieci okropności

pełne. Wystąpiła z Iona jej Ker — śmierć blada, »wiewro-skrzydła,« »sereołomna« śmierć; a drugim ciemnym porodem noey było Przeznaczenie, owo nieprześlągane, nieodwrotne głuche Fatum. A zrodziła noc te straszliwe dzieci, bez małżonka, bez miłości. Ker ściga ludzi, a Przeznaczenie potężniejsze nawet niż niebian potęga. Więc niesie wieść że ta córka noey zamknie kiedyś w swych otchłaniach ciemnych, bezdennych całe jasne grono promienistych olimpijskich Bogów. Tę to wieść szepcą strumienie, szeleszczą liście gajów i noene powiewy; tę wieść proroczą wyrocznie. Ztąd więc tym bogom tak smętno, tak straszno, tak rzewno i bolesno, gdy zapada noc — ich przeznaczenia zwiastuna. Bo co piękne, ze światem doczesnym jest ześlubione; co piękne, tego śmierć jest przeznaczeniem!

I ziściły się straszne przepowiednie; otworem stały otchłanie bezdenne, ciemne, a z jasnych światnie, pływających w powodzi światłości słonecznej, wystąpiły bogi, a bogi smętne, żałobne; ciągną długim pogrzebnym orszakiem, za nimi płyną nieprzejrzany tłum ich ludy ukochane; a bogi i ludy wchodzą razem do otchłani bezdenniej, ciemnej. Fatum jako grób, przyjęło, nocą nieprzespaną nigdy i Olimp jasny i ludzi radosnych i cały ten wdzięczny, luby świat.

Spełniły się straszne wróżby twoje, o ludu biedny! Na ciebie i na bogi twoje padło przeczucie tęskne, bolejące, że umrą bogi twoje, boć one są z tego świata bogi, bo one, jak i ty, doczesności dzieci! Chmurno ci było i smętno; boleśno i żałośno było bogom twoim, bo ciebie i niebian twoich miała otulić ciężka gruba noc. Lecz ta ciężka noc waszego skonu stała się dla swia-

ta wiekuistój światłości zdrojem, ona stała się dla świata nocą Zmartwychwstania! stała się Wielką-Nocą! Tobie zgasły gwiazdy wszystkie, ale zapaliła się owa gwiazda Boża nad Betleemską strzechą; w onój nocy zrodziło się świata Zbawienie!—Zbawienie z ciemnej nie-przespanej nocy! Spełniły się proroctwa, bo śmierć umarła śmiercią. Śmierć nie jest więc nieprzespanym snem, śmierć stała się żywotem.— Sama tylko pusta świątnica stoi, i duma, i marzy w upadku swoim; jej tylko samój bolesno i żałobno po tych jej bogach zmarłych.

Ale nie! te bogi nie zmarły; one ustąpiły z wysokiego Olimpu, ustąpiły z rządów świata; one już nie wodzą słońca po niebie, ani rozkazują morzom, one już nie wywołują kwiatów z ziemi, ani sądzą już więcej umarłych pośmiertnym sądem; lecz im oddane inne panowanie, inne świątnice. Te bogi wprowadzie otuliło noene fatum bezdenne, one zniknęły z żyjącego świata; ale o dziwy! dwanaście stuleciów przeszumiało ciężko nad ludzkim rodem,— dwanaście długich stuleciów,— wtedy bogi powstały z długiej senniej niemocy, podniosły się z ciemnej grobowej, a nie wróciły już do Olimpu, lecz zostały z nami,— z nami na ziemi; one zebrały się w piękności świątyniach i tam, odziane marmurową bielą, stanęły posągami na wzniosłym podnożu; tam promienia się i świecą wdziękiem nieskończonym. Patrz, tam w wiekuistój Rzymie dźwigły się watykańskie pałace i Świętego Piotra gród, a obok apostolskiej stolicy, w samych watykańskich pałacach dziś zgromadziły się dawne Olimpu mieszkańce w bogato dla nich ustrojonych przybytkach. Wiara z miłością użyczyła

prztyłku wiecznie żyjącej piękności dawno zapadłych ludów.

Zaprawdę, w owęj Wielkiej Nocy dokonane było, co drgało poczućiem w tych starych ludach, bo i w nich żyła wiekuistości wróżba, a świata zbawienie poruszało się w sercu zapadłych narodów i dawało znać o sobie to widmem senném, to tęsknieniem marzeniem i przemawiało przez usta proroków; o niém wieszczyły Sybille natchnione i tajemnicze wyroczni słowa. To przezucie zbawienia tak pukalo w duszy ludów i ubierało się w poezją ich mitów, jak młode serce dziewczyny, nie zaznawszy jeszcze miłości, przezuwa ją atoli we wróżbie uczuć i w postaciach fantazyą stworzonych, jak lekkie obrazy i gry porannego snu wyprzedzają prawdę jawną i rzeczywistości pełną.

W Grecyi chodziła z pokolenia do pokolenia dziwna wieść, co ją zrodził lud przezuciem z głębi ducha swojego i odział fantazyą najcudniejszej poezyi, a wieść, jako mit uroczy, żyła w ustach i piersiach ludu. Hezyod wypiewał ten mit proroczy swojej arfy dźwiękami, a Eschylus nosobił go i unaoecznił w tragedyi.

Wierzył helleński lud wiarą serca, że w zaraniach ludzkiego rodu biedził się twardo z życiem człowiek, że na myśli jego cisnęła ciężka pomroka »więc patrzył a nie widział, i słuchał nie słysząc,« powiada starowieczne podanie.

Ulitował się atoli rodu ludzkiego jeden z Tytanów, ów światłodawca Prometeusz, boć w trwożne serce człowieka zaszezepił choć uludne pośmiertne nadzieje, a śpiawszy się w niebo, uniosł zazdrośnym Bogom ogień niebiański, i światłem nadziemskim rozjaśnił ludzkiej

duszy ciemnieć. Człowiek przejrzał: więc zaznał się-  
 by polne i nauczył się jak wschodzą i zachodzą gwiaz-  
 dy, jak zrozumieć wróżby rzeczy przyszłych i jak  
 proroczy ptasi polot; a wiadomość wszelka i sztuka  
 wszelka wstąpiła w głuchą myśl człowieka. Lecz za-  
 wistny ludzkiego szczęścia Zews (Jowisz) zemstą nieuży-  
 tą rozkazał przykuć Tytana do samotnej skałnej igli-  
 cy odsadzonego od świata Kaukazu, i nasłał nań  
 sępa, który wiecznie mu rozdzierał wicecznie odrasta-  
 jące wnętrzności. Cała natura wkoło przychodziła cho-  
 rem żalonym płakać nad przeznaczeniem dobroczyń-  
 cy ziemi; wystąpił z przepaści ciemnych Okeanos wo-  
 dowładny i bałwany zagrzmiały żalonym jękiem, i przy-  
 płynęły rzeki i źródła westchnęły stroskaniem, a ile  
 ludów zamieszkało świętej Azyi równiny, tyle bolesne-  
 go współzucia, tyle było łez wylanych w ofierze; na-  
 wet Tartaru otehlanie i urwiska nocne jego odezwa-  
 ły się głuchym smętkiem. Prometeusz trwał w cier-  
 pieniu, bo jasnym przeczuciem widział, że i Jowisza  
 doczesne jest panowanie, że i on runie ze stolicy rzą-  
 dów nad światem.

Przeplnęły stólecia po stóleciach, przeleciały lat  
 miryady a Prometeusz cierpiał nieskończone i niewy-  
 powiedziane katusze. I znowu umierały i rodziły się  
 nowe stólecia w mękach bez granic, aż z Jowisza, naj-  
 wyższego króla Olimpu i Alkmeny, śmiertelnej niewia-  
 sty, zrodził się Herkules; ztąd też dwojaki w bohaterze  
 tym ważył się pierwiastek: ojcowski unosił go ku bo-  
 gom, gdy pierwiastek po matce zatrzymywał jeszcze na  
 ziemi, nakazując cierpienie i twarde pasowanie się z ży-  
 ciem i pracą, trudu pełną, by się nieba dosłużył i aby

się stał jako jeden z bogów. Tak żywot jego jest pasmem poświęceń krwawych i trudem trudów. Herkules, jeszcze dziecięciem będąc, dał świadectwo przyszłości swojej dławiąc dwoje węzłów w kolebec niemowlęcej; a gdy wyrosłszy na młodzieńca stanął na rozdrożach żywota, już odwrócił się od dziewicy, wabiącej przelotną ziemską rozkoszą, a poszedł za drugą, co, polecając ścieżkę cierniów i boleści, zwiastowała mu tryumfy nieśmiertelne.

Przeszedł światem bohater wśród zwycięstw, okupionych walką a cierpieniem i stanął pod Kaukazem. Poznał go Prometeusz,—a poznał że właśnie ten najukochańszy syn Zewsa będzie zbawcą jego. Pomodlił się bogom strzałosławny Herkules i przeszył krwiożerczego sępa, i wybawił z mąk Tytana i wyzwolił z długowiecznych katuszy: a Prometeusz na oznakę swojej winy i pokuty uwieńczył czoło koroną oliwną i nadział na palec pierścień żelazny, jako przebytego jęctwa znamię. I znów poszedł Herkules przez świat szeroki, by wyswobodzić człowieka ród i przemógł hydrę stugłową i ludożereze rumaki i srogie szaleństwem woły, i lwy zajadle, i potwory, co na poły ludzkiej, na poły zwierzęcej potęgi:—Tak padło pod ciosami jego, co tylko tętnęło chucią zmysłowej natury; i przemógł też Cerbera, stróża ohydnych pieklów i wywlokł go na jaw dzienny. Cięższym atoli trudem nad te wszystkie prace były cierpienia, które wytrzymał Herkules oddając się w służby poniżające, a posłuszeństwo dobrowolne z ubliżeniem zaeności swojej.

Zwalał Herkules trudy po trudach, aż znalazł w bolesnej śmierci ukoje ziemskich prac. Małżonka

Dejanira krwią niecnego centaury Nessusa skropiła szatę białą bohatera, by go oczynić miłością wierną na wieki. Zatruta krew potworu, zrodzonego z młaku materji, żarem jadu paliła członki; Herkules zrzuci z siebie zdradną szatę, lecz z nią zdarł zarazem poszarpane ciało swoje,— ciało doczesne przystępne jadom doczesnym. Przeto, na górze Oeta sam wznosił sobie stół ofiarny i wśród płomieni umiera oczyszczony z zuzelie ziemskich; umiera atoli samą tylko śmiercią tuteczną, bo na płonące ognie stosu spuszcza się obłok, a Herkules, umieszczony do nieba, został zaślubiony z Hebą, młodociej wiekuistej boginią, z oną wdzięczną cześnicą bogów nieśmiertelnych, co im nalewa napój wiekuistej radości i niebiańskiej uciechy. Sam jeden Herkules ze wszystkich ludzi wzięty jest do Olimpu, on sam jeden stał się równienikiem niebian z cierpień i dosługi.

Tak w tej starzej Herkulesowej mitycznej wieści znajdziesz w połączeniu niebiański i ziemski pierwiastek i tryumfy ducha nad chucią zmysłową; tu widzisz uzaenioną materję, ciało duchem świecące,— obraz człowieka łamiącego się z życia trudem o wieńce wiekuiste. Przecież to wszystko jest dopiero marzeniem noseniem pierwiastkowej, nieprzebudzonej jeszcze Historji ludzkiej; są to widma, wróżące we śnie o nowym żywocie, co się kiedyś zrodzić miał w dziejach świata! są to przepowiednie o zbawieniu rodu ludzkiego, zamknięte jeszcze w pączku bożego kwiatu! W tych prociwactwach sennyh a poczuciach duch nie jest jeszcze duchem w sobie; on jeszcze zmysłami oczyniony i odziaany jeszcze powłoką cielesną, choć uzaenioną, promienistą! Ta stara wieść, niby fosforescencya duchowa a



błędne noene światelko, miała zgasnąć za nadejściem porania prawdy, a wschodem niebiańskiego słońca.

To podanie pradziadowe o Herkulesie było wyrażeniem istoty greekiego ludu, owój harmonii ducha a ciała uzaenionego poświatą jego, téj istoty będącej zestrojeniem treści wiekuistój z formą uwidomioną w materyi. I dla tego ten Herkulesowy mit jest sztuki i piękności zwiastunem. Bo i piękność jest wiekuistością odzianą we formy materyi, i ona dwoistego jest pierwiastku: jeden z nich z nieba, drugi z ziemi pochodzi. I piękność wybawiła świat z grubój zwierzęcej ochoty i przemogła dzikie materyi potęgi; i dla tego ona zostawia zwłoki ciężkie na poniżach natury a wyswobodzona ogniem od doczesnych zuzelie, ciałem przezystém unosi się do Olimpu: tam żyje w wiekuistój młodości, w niezamąconém weselu. Zrozumiesz przeto, że podanie o Herkulesie dziwnie się nadawało greekim wieszczom i artystom.

»Zgruchotany, sponiewierany do ostatka, bez rąk,  
»bez głowy, bez nóg pojawia się nam posąg ten; lecz  
»kto zdolen wpatrzeć się w tajemnicze tonie sztuki,  
»obaczy go w promieniach dawnój piękności jego. Mistrz  
»w tym Herkulesie wykonał ideał wzniesiony nad zwy-  
»czajną przyrodę, a ideał przyrody nieskończenie wyż-  
»szych stóleciów, spotęgowanej do szczęśliwości nie-  
»bian. Ta jego postać pojawia się nam oczyszczona  
»z doczesnych pyłów, zasiadająca nieśmiertelnością w po-  
»śród bogów stoliey.« Temi słowy zachwycenia zawo-  
łał niegdyś Winkelman, gdy ujrzał owe marmurowe  
dziwo, ów okruch posągu, który dziś zowiem *belwederskim torso*.

Z gorącą ezeią w sereu, z niemém milezeniem na ustach wstępujesz w progi Belwederu w Watykanie Rzymskim. Przed tobą bieży galerya, jakby ulica sklepiąna długości nieprzejrzanej. Ona dziełem nieśmiertelnego Bramante. Wspaniale, a przecież lekko sklepi się nad galeryą strop; strop lekki, eteryczny, by cię nie cisnęło tęsknotą to olbrzymie budowanie. Choć cię Rzym nazwyczaił do ogromnych wymiarów, choć cię wyuczył mierzyć rzeczy ludzkie na lat tysiące, na wielkości światowładne, choć cię oswoił ginać okiem w niedościgłych przestrzeniach ręką ludzką zbudowanych, choć w tym Rzymie wszystko, na co kiedyś patrzałeś i co kiedyś przesunęło ci się myślą, knrezy się w karła, toć przecież ten korytarz z całym rzędem nieprzeliczoych okien swoich przemawia do ciebie, jakby ustami długich wieków.

Pochód tą galeryą jest iście podróżą. Od dołu, od góry, z prawej i z lewej, wzdłuż ścian cisną się grobowce, popielnice, napisy, sarkofagi, jedne puścizną pierwszych chrześcijan, inne nieme świadki starych pogańskich stóleciów. Zatrzymujesz się niekiedy słuchając rzewnej mowy cichych głązów, ale cię prze do pośpicchu jakiś niepokój wewnętrzny. Na inną chwilę zostawując te pomniki stare, udajesz się w dalszą pielgrzymkę, i znów dalej a dalej towarzyszą ci ciżba nowe szeregi napisów, pomników, grobowców. Daleko jeszcze przed tobą ciągnie się ta galerya, teraz widzisz atoli już wyraźnie jej granice; tam schody marmurowe wznoszą się ku bramie żelaznej, przeźroczystej, zdobnej, ale do końca galeryi, do tych stopni jeszcze daleko. Na uboczy pod ścianą, siadł na stolku prosto-duszny syn

Alpów, gwardzista szwajcarski; halabardę średniowieczną oparł o sarkofag, hełm złożył na posadzkę; i strojno mu i dobrze w téj sukni opiętój, uszytej ze skrawków błękitnych, żółtych i czerwonnych wedle rysunku, jak prawią, Rafaela; szwajcar podkarmioną świecistą twarzą ziewając patrzy i na te pomniki dawne i na podróżnych gości. I znów dalej się puszczasz wzdłuż korytarza, i teraz już przy ścianach obok siebie, nad sobą ustawione posągi, popiersia, grupy, postaci bogów i bogiń, bohaterów. Te stoją hardo opierając się na sobie, te spoczęły zadumane, owe witają cię z uśmiechem na ustach, te z obłokiem gniewu na czole; jedne pomniejsze, inne kolosalne. Nakoniec minąłeś i ten Olimp kamienny, już stanąłeś w końcu galeryi. Ze stopni wspinających rzuciłeś jeszcze spójrzeniem na przebieżoną drogę, jakby na całe długie życie, któreś przewędrował przez szereg lat. Wstępujesz po za ową bramę kraciatą, a objął cię w koło przysionek niewielki, lecz poważny jak kaplica piękności, pełna prostoty a dumy szlachetnej. W środku téj świątniczki na sześciennym gładzie jakby na ołtarzu: **TORSO BELWEDERSKI!** kadłub — od ramion odtrącone ręce, od kolan nogi, z głowy pozostała tylko część szyi, i piersi nawet uszkodzone; na podstawie wyryte słowa: «**APOLLONIUS SYN NESTORA Z ATEN.**»

Jest to zaiste Herkules spoczywający, bo o tém przekonywa skóra lwia na której siadł, a dziś już bystrość badawcza odkryła, że przy nim stała druga postać, pewnie Hebe; więc bohater już do nieba wzięty, już świecący w chwale niebiańskiej po przebytych trudach, po boleściach. Ten okruch posagu jest całym światem piękności! on źródłem marmurowym, co bije krynicą ni-

gdy niewyczerpanych rozkoszy duchowych. I obchodzisz do koła ten end wdzięków najwyższych, a wpatrujesz się w każdą linią, w każdy ruch, w każdy ton tych muszkułów, eo tu występują to potężnie i silnie, to miękko i łagodnie. Jakże pełne wysokięj prawdy te słowa Winkelmana, gdy w dalszym ciągu tak o tym torcie prawi: »Niechaj artysta podziwia zarysy tego ciała, jakto te formy jego nawzajem z siebie wypływają, »i jak one niby fale to wzbierają, to niżą się, by się »znów z sobą spoić i zlać harmonią. Pozna artysta że »niezdola być pewien siebie gdy się zabierze do odry»sowania tych cudownych kształtów; bo gdy mu się »zdawać będzie, że już, już dojrzał kierunku jakiejś formy, że mu się już tylko trzymać jęj biegu, a jużci nie»dostrzeżonym zwrotem forma zlekka zboczy i z ezarodziejska złudzi i oko i rękę jego.

Stajesz to z tęg, to z owęj strony, a eo raz to nowe niewidziane piękności budzą ci się w tym zimnym marmurze, a z każdą chwilą wznaga się magia, która cię trzyma i czaruje. Radbyś wykapać oczy tym urokiem nadziemskim, by je na zawsze uświęcić na służbę piękności, byś siebie samego wychrzcil ze wszelkięj skazy i zmazy tuteecznej, byś serce twoje wyzwolił od pyłów powszedniego żywota. I zaiste, głos wewnętrzny ci szepee, żeś w tęg chwili urosł nad siebie, żeś wyszlachetniał: jakże w tęg chwili najczystszej uciechy zdają się być marne i drobne te troski, te biedy, które cię tak bolały w żywocie twojem! Rzeklbyś, że duch, przebywający w tym posagu, tehał w serce twoje, że ten cichy jego majestat nadświatny rozniecił w tobie przeczucie onęj błogięj nieskończonęj spokojności po-

śmiertnej, zagrobowej! I stajesz i wielbisz starego mistrza, który w tym Herkulesie i siebie uwielbił i uwielbił zaeność ludzkiego ducha.

Leez serce nasze ludzkie za słabe, by zniosło na długo wielkie rozkoszne wrażenia, jak nie znosi długo głębokich boleści. Stąd radbyś pofolgować wzruszeniu, przerwać niezucia; w przysionku, na przeciw Torso, na uboczy postawiona z marmuru laweczka, na niej siadasz, byś duchem odetchnął, Spójrzałeś oknem na zieloną tak artystyczną rzymską naturę; zlekka kołyszą się mirty dziewicze, ciemne pinie, smętne cyprysy, laury harde i kwitnące oleandry; w dali, w przezroczy różowej rysują się cudowną falą sabińskie góry. Znów oczyma do przysionku nawracasz. Iście ten Rzym, toć stolica dziwów, wiecznie nowych, wiecznie się rodzących. Na przeciw siebie, za Torso, obok ściany, widzisz sarkofag ciemny, pełen grozy; on zdobny fryzem doryckim, między trygłifami róże, na nim napis: CORN. LUCIUS. SCIPIO. BARBATUS.— Scipio! i on walezył z trudem żywota, a łamał się ze światem pełen chwały!

I znowu czarem pociąga cię do siebie torso, i znów duchem w nim toniesz; zdaje ci się że duch twój a ta postać w jedno spłynęły! Co kto przejdzie, stanie w milczeniu; nikt się nie waży dotknąć nawet ledziuchno dzieła tego, bo każdy, choćby nieświadomy sztuki, instynktem czuje, że ten ułomek jest własnością wszystkich stóleciów, wszystkich narodów, że jest klejnotem całego ludzkiego rodzaju. Już tedy przeszły i przechodzić będą, niby rzeką, długie fale różno-języcznych pokoleń, a każdy z wędrowców zatrzymuje się tutaj z hołdem i podziwieniem, i choćby już wiele, wiele razy był wi-

dział Herkulesa tego, nie opuści Rzymu, by mu po raz ostatni nie oddał pożegnalnej czei. A tęskno ci a bolesno, gdy cię uderzy myśl, że i na ciebie niezadługo przyjdzie rozstania chwila!

Już podobno nie ma czego prowadzić cię po innych skarbach Watykanu; ten torso, ten kadłub zgruchotany wystarczy nam za wyobraźnika najwyższej piękności rzeźby greckiej.

Ale, skąd tej greckiej rzeźbie ta magia nadziemską, co cię unosi po nad własną istotą twoją? Skąd tym posągom ta uroda niebiańska?—Lud Hellenów jest areymistrzem nad wszystkie ludy powszechniej Historyi. Ale co więcej! ze wszystkich znów rodzajów sztuki, rzeźba jest sztuką Grekom właściwą, ona jest ich sztuką żywotną, narodową. Prądem pełnym światłości uderzyła dusza Hellenów w sztukę, w niej się zbierając jako w ognisku swoim; uboczne tylko promienie padły na architekturę, malarstwo i poezję.

Prawda, że te Greków świątnice, ich malowane obrazy i mozaiki ich wieszece jaśnieją po przez wieki, rozświecając ducha prawniczych pokoleń, rozgrzewając ich serca wzorami najwyższych, najezystszych wdzięków; toć przecież stolicą żywota Grecyi, najświętszym jej sercem jest rzeźba. Widzisz tedy, zkad przyszła tym posągom ta magia nadziemską, ta uroda niebiańska: oto, że cała potęga ducha Hellady wstąpiła w sztukę. Stąd też także architektura tutaj była organiczną całością, niby ledzielnym przypomnieniem ciała organicznego, które właśnie jest główną osnową rzeźby; stąd też ów lekki oddźwięk postaci ludzkiej odzywającej się nawet w kolumnach greckiego budowania.

Ujdzie ci, choćbyś porównywał Shakespeara, Dantego z Homerem i Sofoklesem lub Eschylem, nasze tumy gotyckie ze świątnią Hellenów, bitwę Konstantyna w Stanzaeh Rafaela z bitwą Aleksandra na mozaicee pompejańskiej, ale Thorwaldsen sam nie śmiałby się równać z areydziałami rzeźby greekiej,— a Canowa? temu źle się przysłużono umieszczeniem w Watykanie jego Perseusza w sąsiedztwie Apolina belwederskiego i Laokoona. Słusznie ktoś rzekł, że »wieki i ludy, idące po »Grekach, wyrobiły sobie właściwą architekturę, osobną i wielką szkołę malarstwa i muzyki, zrodziły sobie właściwą rodzimą poezję; ale co do rzeźby są tylko słabymi naśladowcami i uczniami Greków.« Fantazyja Hellady jest wskrós plastyczną.

Pytasz atoli, dla czegoż znówu skulptura jest tą sztuką od Greeyi wybraną i ukochaną nad wszystkie inne, dla czegoż właśnie ona a nie inna stała się formą a wyobraźnikiem jój duchowego żywota? Wiele o tém rozprawiano i szeroko pisano. Może mnie się uda choć w krótkich słowach porozumieć się z tobą; co tém snadniej nam przyjdzie, jeżeliś się zgodził na zdania objęte we wstępie poprzedniego listu.

Wiesz, że istotą ducha Hellady, że piętnem jój fantazyi jest owo zestrojenie ducha a materyi, owe pełne miłości zrękowiny nieba i ziemi. W tym współdzwięku dwóch światów, żadna strona nie przeważa; tutaj duch przenika materją wiekuistą poświatą swoją, a nawzajem natura staje się powłoką przejrzystą ducha. Wszak to porównanie tych dwóch potęg było właśnie powodem, że Greeya, choć wiedziała o duchu i знаła

go być osobą, toć jednak nie umiała jeszcze pomyśleć ducha bez ciała. Właśnie dla tego jój bogi obok niebiańskiej istoty odziane są ziemską naturą; wiesz równie, że to doskonale równoważenie się treści i formy, ducha i materji stanowi klassyczność sztuki greckiej. Leez z tego wszystkiego wprost wypływa, że dopiero postać ludzka jest najwłaściwszym przedmiotem dla fantazyi Hellenów. Bo cielesność człowieka iście już sama przez się jest ducha przybytkiem, więc objawem osoby; tutaj istotnie brzmi harmonią zestrojenie onych dwóch swiatów, ducha i materji, nieba i ziemi, wiekności i doczesnego żywota. Postać ludzka, jój ruchy i rytm, jój fizyognomia i postawa, owa tajemnicza muzyka ciała—są odgłosem ducha obecnego we formach widomych cielesności. Stąd idzie też ogromne znaczenie, jakie miało u Greków ciało rzeczywistego, żywego człowieka, a zarazem poznać możesz, że doprawdy ono było osnową najwięcej odpowiednią artystycznój fantazyi Hellady. Tak tedy się dzieje, że architektura, lubo brzmi w Grecyi w tak eudownych formach, nie mogła być przecie sztuką odpowiednią w zupełności usposobieniu Hellady; budowanie nie wyraża jeszcze w zupełności ducha, nie objawia go wprost; jest ono dopiero symbolizowaniem jego i cehem dalekiem. Dzieło architektury nie ma jeszcze własnego swojego ducha, w niém dopiero żyje duch pożyczony od mistrza, który je stworzył. Sama świątelnica nie wyraża osoby, sama świątelnica bez niebiańskiego mieszkańca jest dopiero głuchą lupiną, piersią upiora bez serea. I dla tego właśnie ludy wschodu, stojące po niżej Grecyi, a mianowicie Egipt, były dopiero ludami budownikami; bo nie znając ducha



istoty, nie wiedząc go być osobą, w architekturze znalazły dostateczne, wystarczające wyrażenie swoje.

Zgodzisz się tedy już ze mną, że architektura nie była sztuką najwłaściwszą dla fantazyi Greków, i że raczej sztuka, mająca za ośnowę postać człowieka, nierównie więcej była odpowiednią ich artystycznemu usposobieniu. Spytasz się jednak, dla czegoż takową sztuką właśnie miała być koniecznie rzeźba, gdyż przecie i malarstwa najzaśniejszym celem jest ludzki kształt z całym dźwiękiem tonów duchowych odżywających się w nim. I spytasz dalej, czém się to dzieje, że wieki późniejsze, a mianowicie ludy chrześcijańskie nie miały również celować w rzeźbie, boć to przecież na łonie wiary Zbawienia dopiero wypiastrowała się wiedza o istocie duchowej, o znaczeniu duchowém osoby?— Wytlómaczę się, ile zdołam najkrócej.

Jakoż widzieliśmy, że w Grecyi chodzi o zestrojenie ducha i materyi, o zupełną równowagę tych dwóch światów, wypada tedy, aby duch nie przemagał nad materją, aby ona zachowała istotę swoją. Istotą zaś materyi jest jój byt w przestrzeni, więc trzy wymiary przestrzeni, zatém wysokość, długość, szerokość; dalej istotą materyi jest ciężkość. W malarstwie zaś, w obrazie malowanym ta istota materyi ginie; obraz jest-li powierzchnią, ma tylko dwa wymiary: długość i szerokość, a ztąd same przedmioty malowane mają jedynie wymiary zmyślane ale nie rzeczywiste; miłowe oddalenia, skrócenia, perspektywa, ciężkość, cienie i światła i t. p. są tutaj jedynie złudzeniem zmysłów, są jedynie idealne, duchowe, istnieją tylko dla widza, ale nie mają rzetelnego, materialnego istnienia. Ta przewaga

duchowości nad materią w malarstwie okazuje, że ten rodzaj sztuki będzie mniej właściwym dla Grecyi, która jeszcze równoważy ducha i materią, a stanie się rodzajem sztuki właściwszym dla ludów chrześcijańskich; boć w nich materią jest przemożona, starta, a duchowi wyrosły wiekuistości skrzydła. A cóż dopiero muzyka! w której przestrzeń przypomina się tylko jeszcze drganiem muzycznego narzędzia i dygotaniem powietrza, onego jakby duchowego pierwiastku ciężkiej materii. Muzyka, która jakby nie z tego świata zrodzona, która jakby aniołem, co nas wita przelatując do nieba, będzie zaiste po nad wszystkie inne sztuką chrześcijańską.

W rzeźbie, przeciwnie, znajdziesz wszystkie trzy wymiary właściwe przestrzeni, zatém materii. Tutaj ducha zmateryalizowanego ciałem widzisz przed sobą, możesz się nawet dotknąć jego form czarownych. Tutaj oddalenia, skrócenia, kształty, nie są złudzeniem, ale rzeczywistością, a cienie i światła nie są udane, ale są rzetelne, same się rodzą. A ciężkość?— Ba, tu nie tylko materią, nie tylko ten marmur lub spiż ciąży, ale sam posąg ciąży na sobie, na swoich członkach, on sam opiera się na sobie. Słowem, co tu widzisz, to jest rzeczywiście; co istnieje dla ciebie, dla ducha, toć istnieje i zewnątrz ciebie i materialnie: tak i pod tym względem jest zgoda ducha i materii — człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata. A gdy w Grecyi właśnie chodzi o wyrażenie ducha w cielesności, stąd tutaj piękność i forma ciała jest głównym warunkiem; przeto też drape-rya nie ukrywa eudności tych form, lecz właśnie służy aby wyświecić ich urok i najwyższy wdzięk.

Chciej baczyc, że w tém całym rozumowaniu nie miałem bynajmniej na celu przeczenia, jakoby wieki chrześcijańskie nie szczyciły się wieńcami chwały Michała Anioła lub Thorwaldsena, albo jakoby Hellada nie wykwitła arcymistrzami malarstwa; chodziło mi raczej o wskazanie dążności artystycznej, przeważającej we dwóch światach, tak wskrós różnych od siebie. Ten spłot wiekuistości a świata fizycznego w sztuce plastycznej Greków jest powodem, że potęgą endowną rzeźby ich bogi uwidomiły się na ziemi; wszak i bogi są nieskończonością uzmysłowioną; stąd one ublagane mistrza fantazją spuściły się z wysokiego Olimpu, stanęły wśród ludzi i pojawiły się oczom śmiertelnym.

Właśnie atoli dla tego, że skulptura była sztuką wybraną, najukochańszą Greków, stąd też Hellada cała się jej powierzyła, w nią wlała całą miłość swoją, w niej złożyła całe własne życie i wszystkie tajemnice duszy swojej. Nie dziw tedy, że rzeźba w Grecyi żyła długą nieprzekwitłą wiosną, odradzając się ciągle arcymistrzami nowymi, że ona przetrwała wszystkie inne sztuki Hellenów, że przeżyła nawet byt polityczny ich ojczyzny. Dawno już owa Roma nieużyta, harda i twarda położyła brzemie miecza swojego na pełnej wdzięku Helladzie; dawno już dawno i poczyła nawet z ostatnim lutni dźwiękiem umarła na ziemi i uleciała w nadświatne krainy, by w nich przeczekać długą, kilkunasto-wiekową noc, co miała paść grubą, ciężką emą na ludzki ród. Przeczucie smutne cisnące serce świata niby zły sen, niby mara, dręczyło duszę zwolna konającej Grecyi; wtedy sama jedna skulptura została z Helladą, jakby matka u śmiertelnego łoża najukochańszej

swojej córę i przebyła z nią cierpienia i boleści wszystkie; i pocieszała ją długo jeszcze szeregiem postaci marmurowych bogów, co świeciły pięknnością wśród tęsknego mroku, a bogi zstępowały na smętną ziemię jako wspomnienia przeszłości wielkiej chwały, uczuć dawnych i upłynionych dziejów. Nie było już pieśni radości, wszystkie tony przebrzmiały w głuchocie. Po ziemi Hellady wdziękiem uświęconej, teraz gruzami zasłanej, grzmiał jedynie pochód ciężki, spizowy rzymskich legionów. Lecz geniusz Grecyi, zanim się uniósł do nieba Historyi, jeszcze długie lata przemieszczał w ciuchę nadziemskiej piękności tych posągów; one śnieżne, bez skazy, z uśmiechem innego świata, broniły długo jeszcze ród ludzki od rdzy barbarzyństwa, a uzaeniając nawet onych synów od wilezyey karmionych, chroniły długo jeszcze Historyą od wrogięj potęgi nadchodzącej już noey.

Uważ, że co było u Greków powodem tego przeważnego znaczenia skulptury, stało się też powodem owęj ogromnej wartości, jaką miały u nich postać i ciało rzeczywistego żywego człowieka. Piękność i urodziwość ciała uchodziły u nich za zasługę, dla tego też gimnastyka stała się tak celnym warunkiem greckiego wychowania; lecz ona nie była bynajmniej owém samém rubaszném ćwiczeniem muszkułów i kości i pięści, gotującém obrońców, gdy o płatne pójść miało; zaeniej-sza strona gimnastyki imiała się duszy człowieka, ucząc młodzież jak wyrobić estetycznie, muzycznie ciało, aby cała postać i wszystkie jej ruchy stały się ducha wyrazem, aby osoba cała była żywym posągiem, do bogów podobnym. Kto tego dokazał, nazywał się u Greków mu-

zycznym człowiekiem. Gdy zas te bogi same są wiekuistością uwidomioną w najwyższej piękności, cóż już dziwnego, że ułożenie, że ruchy pełne wdzięku, że tańce ściśle się łączyły z obrządkiem religijnym i z ofiarą, którą człowiek czynił niebianom swoim. Zaiste wiele ludów starych odprawiało tańce na cześć bóstwa, ale sami Grecy, ów lud-artysta, zaprawdę znał istotę prawdziwą jego. Tutaj, pod tym głębokim nieba błękitem, a przecież wiciecznie promienném, jasném,— tu, w ojczyźnie wszystkich wdzięków, tańce był zaiste sztuką piękną, bo był rzeczywiście weieleniem nieskończoności ducha i odbiciem nadzmysłowego świata; tutaj duch a natura, bo ciało, zaślubione wieszczém natechnieniem, równoważyły się harmonią artystyczną. Dla tego też nie tylko nogi, ręce, były wyjawieniem wiekuistej treści człowieka, ale i głowa i oblicze i całe ciało spletało się mimiką i pantomimną cudowną.

Dla tych to właśnie ślubów ducha i cielesnej postaci, uczuć i natury, tańce nie przekraczał nigdy naturalności granie, nie znieważał gwałtami zadaniami ciała przyrody jego, i z téj to właśnie przyczyny tańce grecki jest sztuką piękną; a z tego także właśnie powodu, balet nam współczesny jest często raczej sztuką łamaną, przeistaczającą te szlachetne formy ludzkie na fruczki, kołowrotki, sadząc się na skoki desperackie i na to wszystko, co jest wbrew przeciwne piękności przyrodzonej. Wszak i między naszymi towarzyskimi tańcami znajdzie się i taki co jest jawném świadectwem barbarzyństwa naszego czasu, tańce, w którymby się nawet nie puścił i Faun grecki bez ubliżenia sobie.— Faun grecki!—W muzeum neapolitańskim jest Faun

z brązu, znaleziony w jednym z pompejańskich domów. Kto widział, przyzna, że ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie, ani w Warszawie nikt piękniej nie tańczy jak ten wisus mały. Jakaż to lekkość, jaka nieskończona graeya w téj drobnój figuree! To ułożenie jego, ta fizyognomia tak jest pełna radości, iż ei się już serce śmieje, gdy się patrzysz na tego malea. On cały piosenką wesolą; to anakreontyk, to cały świat uciech i szczęśliwości niezem niezamąconych. On weale z twarzy nie ładny, ani też bardzo młody; owszem, znać po nim, że już wiele w świecie nadokazywał; ależ jakże on zgrabniutki, jaki śliczny! jaki on kontent z siebie i ze świata! Ta radość a wesele, rozlane na całej jego postaci, od stóp do głowy, występuje w każdym muskule, w każdym ruchu, więc on też może dla tego taki piękny i wdzięczny. Wszak on blizkim sąsiadem onych tanecznie Herkulańskich, onych małych obrazków, eo się stały podziwem ludzi. Dziś te małe obrazki zblakowały, przygasły, ale któraż ze sławnych dam tańczących dziś po Europie w baletach przewyższyć je zdoła! A jeżeli która z pań tych istotnie porywa poezją swoich ruchów, toć zapewne o tyle, o ile się zbliża w pojmowaniu tańca do Greków, o ile, nie hołdując panującemu smakowi, prostuje go raczej, ucząc świat, czém jest taniec, jako sztuka piękna.

Ideał rozwija się w duszy mistrza obrazem z natchnienia zrodzonym; i ideał rośnie, wzmaga się, wznosi się w toniach twórczych mistrza, aż mu zaboli w duszy, aż mistrz, folgując wewnętrznym cierpieniom, wieczi ideał w duchu poczęty, to w rzeźbę, to w malowanie lub architekturę, lub wypuści go z piersi na

świat uskrzydloną pieśnią. Gdy atoli ideał jednym gromem uderzy w duszę, gdy w jedynj chwili płomieniem ogarnie całego człowieka, gdy ovladnie, uchwyci, jakby czarodziejską potęgą, własną osobę jego, wtedy ruch wewnętrzny duszy występuje na jaw poruszeniem ciała, a ideał wieła się w taniec. Wszak ruch jest zmianą przestrzeni odbywającą się w czasie, a zmianą czasu w przestrzeni. Stąd ruch uduchowiony wyraża się jako przestrzeń pięknoscią linii, a jako czas rytmicznoscią (taktem). Jak taniec w ogólnosci jest harmonią ducha i ruchów ciała, tak pięknosć linii tych poruszeń i ich rytmicznosć w każdj jednostkowj chwili objawia się harmonią wszystkich członków. One wszystkie zatém razem tworzą w tój chwili artystyczną calosć, kompozycją, one są jakby jednym widomym akordem. Następnie znów wszystkie odmiany ruchów, we wszystkich po sobie upływających chwilach, zlewają się znou w jedną calosć wielką, w jedną wielką kompozycją.

Tanec u Greków jest zdoprawdy rzeźbą żywą, uwiomioną poezią, muzyką niemą, stąd też towarzyszy mu pieśń i dźwięk lutni. Spadanie i wznoszenie się tonów muzyki wieła się w poruszenia ciała, a rytm lutni jest ich miarą i prawem. Lecz gdy muzyka wtóruje tanom, toć nawzajem i taniec towarzyszy muzyce. Muzyka podnieca, podsyea duszę ogniem niebiańskim, by wystąpiła na jaw ruchem ciała; przecież znou rytm muzyczny trzyma dzikie potęgi natury zmysłowej na wodzy, miarkuje je i łagodzi, by te moce bezprzytomne przyrody nie buchły ślepą, niezacną ochotą.

Gdy taniec jest wystąpieniem na zewnątrz wewnę-

trznego człowieka, przeto też Hellenowie najczęściej tanom towarzyszyli śpiewem, bo i on wytryskuje z głębin wewnętrznych, z duchowego źródła, jest tedy właściwszym dla człowieka, niż muzyka wydobyta na martwem narzędziu, która zawsze jest czémś obcém i cudzém i niby zewnętrzném.

Widzieliśmy w liście poprzednim, jak Hellenowie, jak ten lud-areymistrz nadawał nawet sprawom codziennym fizycznego życia artystyczne piętno, jak nawet naczynia i sprzęty, służące potrzebom powszednim, za dotknięciem się jego ręki przybierały postać estetyczną; otóż podobnie umiał on sobie upoetyzować i prace i roboty zwyczajne, mające na celu zaspokojenie potrzeb przyrodzonych. Każda z tych prac miała piosenki osobne do siebie zastosowane, a każda z nich była również przedstawioną sobie właściwym tańcem; były tańce udające winobranie, żniwo, pieczenie chleba i t. d. Takiego drugiego ludu już nie będzie na świecie; on sam siebie umiał wyrobić na areydzioło piękności, on sam z siebie uczynił pieśń uroczą, posąg pełen wdzięków eudownych. Ta gracya postaci ludzkiej, ten instynkt ułożenia stały się zaiste wonią całego ludu Grecyi; on potem przeszedł do Italii i spadł pradziadowém dziedzictwem na społeczne nam ludy Włoch; patrz, jak ów transteveranin rzymski, okryty galgankami, trzyma się, jak on stanął lub jak usiadł. Miałby mu czego pozazdrościć nie jeden elegant krajów północnych, kędy już dziś nawet do areyrzadkich dziwów należy, jeżeli kto umie porządnie chodzić.

Nie będę ci mówił o Orchestyce, o owęj wyższej sztuce tańców w Helladzie, byłaby to zbyt obszerna



osnowa. Lepiej podobno uczynimy, jeżeli puścimy, choć mimochodem, oczy w ściany domowe Greka i obaczymy, jak się bawił, gdy się z przyjaciółmi zebrał na uztę wesolą. Tutaj żywcem uchwycimy artystycznego ducha tego ludu, a o to właśnie najwięcej nam chodzi. Nie braknie nam też materiałów, mamy je nawet z pierwszej ręki, a z jakiej jeszcze! Oto, z pióra Platona i Xenofonta; każdy z nich opisał biesiadę takową, a na każdej z nich był obecny Sokrates, ich nauczyciel wspólny. Pierwszy z nich wieszcz-filozof urósł nie tylko swojej Greeyi, ale wszystkim ludom i krajom i stóleciom, ba, całemu rodowi ludzkiemu na chwałę. Wszak to nasza dzisiejsza Europa, wykluwając się z ciemnie średniowiekowej myśli, świeciła przed obrazem Platona dniem i nocą lampy, obchodząc jakoby święto odrodzenia swojego, a zarazem chcąc ucześć pamięć wielkiego męża, i sama pochwalić się zachwyceniem, którym rozgorzała dla olbrzymiego geninszu jego. Xenofon również jak i Plato był uczniem Sokratesa. Gdy Plato potęgą mądrości natchnionej uchwycił mistrza swojego porozrzucaną ułomkami naukę i z niej dźwignął budowę—wysoką,— a tak wysoką, że aż w niebo zaglądała; Xenofon wprowadzić nie został filozofem, bo jakoś zbyt z żołnierska zabierał się do spekulacyi, ale za to stać go było na co innego. Oto, któż nie słyszał o odwrócie dziesięciu tysięcy Greków! Otóż to właśnie był ten sam Xenofon, który ich, krajem obcym, manowcami przez kilkaset mil zwyczajko przeprowadził. Wyznaj, że to wódz nie na żarty! Gdy boje ucichły, Xenofon zawiesił szablę na ścianie domowej, bogów świątnice ustroił w laury zdobyte i zabrał się do pióra i jał się

pisać historią. Dokonał też areydziała na wzór wszystkim wiekom. Wszak dziś, po dwóch tysiącach lat z okładem, młodzież po szkołach uczy się na jego książce i długo się jeszcze na niej uczyć będzie kunsztu pisania historyi. Wiązała też Xenofonta cześć serdeczna do Sokratesa; on się nie nauczył od niego filozofii, lecz nauczył się zaenności prawego, niezém niezachwianego żywota. Wszysey też w Atenach wiedzieli, jako Sokrates, co to także nie czezy teoretyk, raz w krwawej bitwie widząc Xenofonta powalonego dzidą z konia, wziął go na barki, a odcinając się tłumnym nieprzyjaciółom mieczem, wyniósł z eiżby. Odsłużył mu się też nawzajem Xenofon. Nie mogąc odeprzeć wyroku, którym był Sokrates na śmierć wskazany, wystąpił z całą uczeiwą odwagą broniąc czei i sławy swojego niesłusznie potępionego nauczyciela.

Dość już tych przedmów, wypiszę ci najważniejsze następny z Xenofonta malującego ucztę, na której był i Sokrates obecny. Żał mi, że cię nie mogę uraczyć tłumaczeniem całego opisu, bo to rzecz bardzo długa: niechaj ci tedy wystarczą te pojedyncze kamyki kosztowne, które ci podaję, domyślisz się z nich całego obrazu téj mozajki przeslicznej. Wyimki te cheiěj uważać za dosłowne tlómaczenie.

Zaczyna Xenofon opis swój od wyrazów: »mnie-  
»mam, że wieczystej pamięci są godne nie tylko po-  
»ważne sprawy wielkich mężów, lecz że warte zachowa-  
»wania i to wszystko, co czynią na żart i zabawę; dla  
»tego tutaj publicznie ogłaszam rzecz, na którą sam  
»się patrzałem!«

Zaiste i dla nas rzecz ciekawa i wielce zajmująca

wejść do sali jadalnej tych starowiecznych ludzi i patrzeć się na nich i słuchać, co rozprawiali przy obiedzie, dwa tysiące trzysta lat temu.— Scena w Atenach, we dworku nad morzem.

W Atenach żyje Kallias, człek bogaty, lubiący wyprawiać obiadki literackie.— Otóż zdarzyło się, że przyjaciela jego, młody *Antolikus*, przecudnej urody młodzieniec, odniósł nagrodę na wyścigach konnych. Kallias, pragnąc uraczyć zwycięzcę, zaprasza go wraz z ojcem na ucztę, a gdy mu zarazem przyszła myśl zaszczycenia domu swojego obecnością ludzi znakomitych, bardzo mu było na rękę, gdy obaczył grono mężów słynnych po przez Grecyę całą, stojących razem, rozmawiających z sobą o sprawach ważnych i zajmujących kraj cały. Był to Sokrates, Krito bulus, Xenofon, Antysthenes i kilku innych. Co się tyczy tego Antysthenesa, przypominam ci, że on był wprowadzić początkiem szkoły Cyników, ale proszę, byś go nie mieszał z onemi obszargańcami starożytnego świata, u których nieochędństwo moralne i fizyczne a bezezorność stanowiły całą filozofią, obyczajaje zaś uliczne i dowiep brukowy całą mądrość. Antysthenes był iście postacią zaeną i szlachetną, daleką od wszelkiego baragulstwa. Kallias zbliża się tedy do onego kółka, wzywa na obiad do siebie, puszczając się więc w komplementa powiada: »wierzajecie mi że będę ucztę moją za nierównie świetniejszą uważał, gdy mężowie czystego serea bytnością swoją przyozdobią dom mój, niż wtedy, gdy przyjmuję u siebie dowódców jazdy lub takich, co gonią za dostojenstwem.« Oni też, trochę się podrożywszy, poszli. W końcu obiadu wstępuje do sali jadalnej aktor

ze Syrakuzy, mając z sobą wyborną fleecistkę, dalej tanecznicę, a nakoniec pachole przedziwnéj piękności. Chłopczyzna ten tak już cudownie przygrywał na cytrze i tańczył z tak niewypowiedzianym wdziękiem, że goście unosili się z radości.

Wtedy *Sokrates* do gospodarza: »Jak mi Zews miły, do-  
»skonale nas podejmujesz, bo i obiad przewyborny a teraz  
»jeszcze uraczasz oczy i uszy najwyższą przyjemnością!«

—*Kallias* »pozwólcie proszę, bym kazał jeszcze  
»przynieść pachnącej wody, radbym was woniami  
»uczestować.«

—*Sokrates* »daj temu pokój!— zostawmy pachnidła  
»niewiastom, ot zdaloby się dla córek naszego Kritobu-  
»ła, zwłaszcza iż, jak słyszę, te panienki za mąż idą.  
»Lecz co do nas, cheiejmy zważyć iż lada kto może skro-  
»pić się wódką pachnącą, a jaki taki może pod tym  
»względem wyrównać najzaciejszym ludziom. Już to  
»dla nas mężczyzn nie ma zapachów wyższych, jak  
»woń czynów szlachetnych; tą jedynie oznaczyć się  
»możemy nad innych.«

Tymczasem trwały tańce uroczne, a te ruchy mło-  
dziej taneczniczy zachwycały wszystkich.—*Sokrates*, wpa-  
trując się w wyraz duchowy jej postawy, w harmonią  
artystyczną jej poruszeń, zawołał:

»Przypatrzcie się dobrze téj dziewczynie, a przy-  
»znajcie, że kobiety w niczym nie są niższe od nas.  
»Ich zalety przyrodzone zaiste wyrównują naszym.  
»Kto tedy z was ma żonę, niechaj ją kształci, a może  
»być pewien, że się wszystkiego nauczyć zdoła!«

—*Antysthenes*— »Jak to! i tyż to tak mówisz! dla  
»czegoż sam nie wyedukujesz sobie wprzód twojej Xan-

»typpy, dla czegoż żyjesz z kobietą najniecznośniąszą  
»ze wszystkich, które są, będą i były na świecie?«

—*Sokrates*, »Jużcie to prawda! nie ma co mówić!—  
»Lecz zważ,—ja pragnąłem nauczyć się obezwania  
»z ludźmi,—wybrałem sobie zatem tę niewiastę, bo  
»myślałem, że jeżeli mi się już uda znieść taką żonę,  
»toć mi z innymi ludźmi pójdzie jakby z płatką.« .....  
»Ale cóż wam się zdaje, czyli ten chłopczyzna nie sto-  
»kroć piękniejszy w tych poruszeniach wdzięcznych,  
»niż wtedy, gdy w miejscu spoczywa?«

—*Charmides*:— »Ty coś wysoko cenisz sobie ta-  
»niec, Sokratesie!«

—*Sokrates*: »I wielce, bo widzicie, jak to całe cia-  
»ło, nogi i ręce i szyja i głowa wchodzi do gry, a tak  
»wszystka postać nabiera giętkości wdzięcznej.« ....  
»Ot, wiesz co Syrakuzanie, jabym się chciał tych po-  
»ruszeń i kroków od ciebie wyuczyć!«

—*Syrakuzanin*: »A tobie co po tém?«

—*Sokrates*: »Jak Zews żywy, tańcowałbym!«

—Uśmiechnęli się wszyscy, bo każdy wyobrażał  
sobie tańczącego Sokratesa, co i podeszły i słynny ze  
szpetności swojej i z tuszy obwisłej i t. p.—*Sokrates*,  
sam wytykając te niedostatki swoje, na poły doprawdy,  
na poły żartem dowodzi, że właśnie dla sprostowania  
tych niedostatków ciała zdałby mu się taniec, nakoniec  
woła:

— »Otóż macie tutaj obecnego nam Charmidesa, py-  
»tajcie go, czy mnie dziś rano nie zastał tańczącego.«

—*Charmides*: »Na Zewsa, prawda! wyznaję, że  
»się z razu nie mało przestraszył, byłem pewien, że  
»cię coś złego opadło. Gdy jednak później słyszał,

»jak zdrowo a mądrze rozprawiałeś, więc przyszedł-  
 »szy do domu, nie tańcowałem wprawdzie, bom się te-  
 »go nigdy nie uczył, ale machałem przynajmniej rę-  
 »kami na wszystkie strony.«

—*Kallias*: »Pamiętajże Sokratesie, proszę cię, daj  
 »mi znać, gdy się będziesz miał uczyć tańcować, będę  
 »chętnie twoim współuczniem.«

Tak wśród ciągłej muzyki i tańców toczyła się żartobliwa gawęda, przeplatana niekiedy i bardzo poważną i bardzo głęboką rozmową. Nakoniec, na wniosek Sokratesa, stanęło na tém, aby każdy z kolei wyznał, którą ze swoich zalet najwięcej sobie ceni.

—Bogaty *Kallias* chwali szczodrość, bo powiada, że  
 »ona wspierając ubogich uprzedza złe rodzące się naj-  
 »częściej z biedy i nędzy.«

*Nikerat*: »Ojciec mój, pragnąc mieć ze mnie ucze-  
 »wego człowieka i wychować w enotach i prawości,  
 »dopilnował mnie, abym się nauczył Homera. Otóż ja  
 »umiem całą Iliadę i całą Odysseę na pamięć; i to  
 »właśnie wazę sobie najwięcej ze wszystkich przymio-  
 »tów moich. Homer śpiewał o wszechrzeczach ludz-  
 »kich,—kto tedy z was chce być doskonałym gospoda-  
 »rzem, albo rządcą, albo wodzem, ten niechaj się  
 »mnie trzyma, a ja mu doradzę.«

—*Kritobulus*: »Wszak nieraz przysięgaliście, że  
 »bardzo piękny i urodziwy, a wam wierzę, bo was mam  
 »za ludzi rzetelnych i uczciwych. Wiedzieć o tém,  
 »żebym ja téj mojej urody nie ustąpił za całe ogrom-  
 »ne państwo Wielkiego Króla (perskiego);—bo piękno-  
 »ścią można wpłynąć wszechwładnie na ludzi, piękno-  
 »ścią zdołamy wpoić w nich miłość do pracy, do umiar-

»kowania, do wstydu i dodać im męztwa w ciężkich  
 »potrzebach. Ja uważam tych za szaleńców, którzy  
 »nie wybierają sobie chętnie pięknych ludzi na naczel-  
 »ników wojskowych! Wiecie, że ja się gniewam na noc,  
 »która ciemnością zasłania mi Kliniasa, który tak prze-  
 »ciętnej urody, a z całej duszy wdzięczny jestem słoń-  
 »cu, że mi pokazuje jego postać urocza! Wyższaby dla  
 »mnie było przyjemnością oddać wszystkie moje mająt-  
 »ki Kliniasowi, niż przyjmować od innych skarby.....  
 »Powiadacie, że uroda wnet przemija, ale ja wam po-  
 »wiadam, że kto był pięknym pacholęciem, będzie i  
 »młodzianem i mężem pięknym, i w późnym wieku  
 »nie straci wdzięków swoich. Wszak wiecie, że dobie-  
 »rają najurodziwszych starców, by nieśli gałązki oliw-  
 »ne przed pochodem uroczystym, i t. d.—i t. d.«

Otóż masz gorącą apoteozę piękności! — powiedz,  
 za coby miano człowieka, któryby się w naszych cza-  
 sach podobnie odezwał? Zdanie Kritobulusa było pra-  
 wie powszechnym przekonaniem u Greków: wszak Kro-  
 tona wystawiła Filipowi posąg jedynie za to, że był  
 tak prześliczny.

*Sokrates:* z kolei uważa, że »najwyższą zaletą  
 »w człowieku jest sztuka jednania sobie serc ludzkich  
 »i wiązania ich między sobą wzajemną przyjaźnią, bo  
 »tym trybem można wiele dobrego na świecie dokonać.«

Tak następnie ciągnie się rozmowa, która się koń-  
 czy na sporze pełnym dowcipu, żartów i konceptów  
 między szpetnym Sokratesem a urodziwym Kritobulem:  
 Sokrates dowodzi, że jego nos zadarty, oczy wystające,  
 usta duże i t. p. odpowiadając jak najdoskonalej prze-  
 znaczeniu swojemu, są arcydziełami natury i że są prze-

to nierównie cudniejsze niż cała piękność Kritobula. Nie mogąc go przekonać, żąda sądu i głosowania: padły kréski za Kritobulem.— »Sędziowie przekupieni!« zawołał Sokrates.

Tymczasem przy gawędzie, muzyce, tańcu i winie, coraz to głośniejsza wrzawa i gwar, wszysej mówili razem a mało kto słuchał. Wtedy *Sokrates*: »Ponieważ wszysej radziłyśmy mówić, więc zaśpiewajmy razem!« i zaintonował piosenkę wesolą.

Gdy zaś tanecznica w końcu zaczęła wyprawiać jakieś sztuki łamane, wtedy *Sokrates* do Syrakuzanina:— »Prawda, że to są rzeczy trudne i dziwne, ale czyli »maganie koziołków, a skakanie przez miecze dobyte »są miłym dla widza? czyli jest wdzięczniejszém niż »wejrzenie na ciało kwitnące pięknnością i pełne spokojnego powabu? Słuchaj, ja mniemam, iż gdyby »tanecznicy twoi wykonywali mimiki przypominające »nimfy, graeje i Hory, toćby im łatwiej przychodziło, »a nam sprawiłbyś widok uroczy i stosowniejszy dla »uczty.« Zgodził się tamten; więc na zakończenie biesiady odegrano pantomimę: »Spotkanie się młodego Bachusa z kochanką swoją Aryadną na wyspie »Chios.« Przedstawienie było tak czarujące, że goście patrzący zagrzmieli pełnym, hucznym oklaskiem; uniesieni najwyższém zachwyceniem, głośnym okrzykiem oddali piękności hold.

Podziękowawszy serdecznie gospodarzowi, wrócili jedni-pieszko, drudzy konno do domu.

»Tak się skończyła ta uczta,« powiada Xenofon.

Z uczty opisanéj przez Platona, pozwól, bym choć



jeden przywiódł zarys:— Agathon, młody poeta, otrzymawszy wieniec' za napisanie tragedyi, w radości serca wyprawia gody, zaprasza na nie przyjaciół swoich, do których należy i Sokrates. Biesiada trwa trzy dni. Drugiego dnia Sokrates nakłonił towarzyszy, aby pili z umiarkowaniem. Gdy wszyscy bawią się wesoło, ale spokojnie, wpada do świetlicy jadalnej Alecybiades już nieco podochocony. Widząc wszystkich trzeźwych, rad był ich wzniesć z prozaicznych nizin rozsądku i postawić na wysokości własnego natchnienia. Bierze puhar do ręki, ogłasza się królem biesiady, pije z kolei do wszystkich, pomija atoli Sokratesa, mówiąc: »tego nie warto zaczepiać, praca stracona, bo chociażby spełnił najrzęstsze puhary, nie zmieni się i będzie zawsze jeden i ten sam.« Udało się też Alecybiadesowi:— wszyscy z kolei zasnęli na wezglówkach. Budzą się dopiero na jutro z rana, a z wielkiem podziwieniem spostrzegają Sokratesa, jak sobie stał najspokojniej z puharem w rękę, rozmawiając z Arystofanesem, owym sławnym pisarzem komedyi;— rozbierali oni głęboko istotę tragedyi i komedyi, a mianowicie pytanie, czyli ten sam człowiek może być zarazem wielkim autorem tragedyi i komedyi. Potém, jakby nigdy nie, Sokrates udał się wprost do swoich dziennych zatrudnień.

W tych moich wypisach, choć tak niedostatecznych, nie znajdziesz zaiste ani wyrazu, któryby nie był potwierdzeniem tego, com dotychczas powiedział o usposobieniu artystyczném Greków, tego nadzwyczajnego ludu. Obejdzie się tedy bez komentarzy, bo zrozumiesz powód dla którego te ustępy przytoczyłem, choć w skróconej treści.

Zważ tylko jeszcze, ten Sokrates nie jestże wskrós Hellenem, ten cały jego stosunek do życia powszedniego, do natury, do obyczajów, nie jestże wiernym wyrażeniem i przedziwnym odbiciem téj harmonii cudownej wiążącej treść duchową z całym zewnętrznym światem? A treść duchowa w tym Sokratesie zaważyła ludzkość, ona była ogromna, olbrzymia. Ta treść, zrodzona w duchu jego, stała się, jak już rzekłem, nową epoką wykluwającą się w ludzkich dziejach; stała się onym nawrótem ogromnym świata do wewnętrznych głębin duchowych. Nauka, co płynęła z ust Sokratesa, usłała ścieżki dla wiekuistych prawd, które po trzech stuleciach miały odrodzić człowieka i wyświęcić go na pracownika bożego zakonu. Powiedziałem już dawniej, że silnie a potężnie biło wielkie serce tego człowieka, a w toniach jego ducha szeptały głosy jakiejś na pół zrozumiałej wyroczni;—lecz to serce, które w nim tętniło, było zarazem sercem świata, sercem całego ludzkiego rodu,— a te głosy, które w nim szeptały, były mową ducha Historyi. Ten duch ludzkich dziejów wszechobecny, choć rozlany po wszechświecie, choć wszędzie przytomny, jeszcze milczał, odezwał się jedynie w duchu Sokratesa, w przeczystym sercu jego. Ten Sokrates był dziejów wybranem, a zapłacił też życiem to wybranie swoje.

Widziałeś jakim on był na tych biesiadach z przyjaciółmi swoimi; on, choć tak wielki a niebotyczny, nie jest pysznym, hardym pedantem,— a zaiste nie jest hardym, bo jest prawdziwie wielkim człowiekiem. On czuje po ludzku; on jest chętnym uczestnikiem darów zwyczajnego żywota, a tak mile umie podzielać uciechy

ludzi powszednich! Ale już w téj chwili, gdy z ust jego płyną żarty lekkie i ironia uprzejmości pełna, i słodycz serdeczna, już około głowy jego, przez historią na śmierć namaszczonej, opływała aureola wybrannictwa jego. Jakoż on z tą samą słodyczą na ustach i lekkim screen umierał. Kochał to życie i kwiaty jego, a przecież nie chronił się skonu, choć mógł go unikać; on umarł, bo uważał, iżby było nieprzyzwoicie niechcieć umrzeć, gdy padł taki na niego wyrok współziomków jego.

Gdy w przybytku duchowym tego człowieka położone były ostatki jednej epoki a zawiązki drugiej, następnej,—gdy w nauce jego wyrzeczony był nawrót umysłu ludzkiego ze świata zewnętrznego do własnych głębin duchowych; stąd też ta nauka, mimo wiedzy samego Sokratesa, była zwiastunem skonania pierwiastku żywotnego Greeyi, bo owéj harmonii wewnętrznej treści a zewnętrznego świata, owéj harmonii, stanowiącej właśnie piętno fantazyi klassycznej, greckiej.

Greeya i fantazyja jéj umarła na filozofią Sokratesa, lubo on sam w życiu towarzyskiem swoim był jeszcze tak wierném wyrażeniem a prawdziwém odbiciem onéj cudownéj harmonii. Lecz o tém obszerniej jeszcze pomówimy w liście najbliższym.



## LIST XXII.

G r e c y a.

(*Dalszy ciąg*).

Poezya grecka.— Jój charakterem jest plastyczność.— Bliższa cecha poetów greckich.— Homer i świat jego.— Lira grecka.— Tragedya grecka.— Tragedya w Helladzie jest wróżbą jój skonu.— Znaczenie Tragiczności w świecie greckim i nowożytnym.— Eschilus — Sofokles.— Euripides oznaką blizkiego skonu.— Arystofanes.— Sokrates i Arystofanes.— Grecya umiera na filozofią Sokratesa.— Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków.— Sokrates i Antygona Sofoklesa.— Filip i Alexander Macedoński.

**P**amiętasz zapewne, że mi w tych kilku listach bynajmniej nie chodzi o to, abym ci rozwinął obraz historyi sztuki; wziąłem jedynie na siebie obowiązek skreślenia w kilku lekkich rzutach dziejów fantazyi; i ztąd mniemam, że to wszystko, com dotychczas o Grekach powiedział, mogłoby już zupełnie wystarczyć, zwłaszcza że ja nieco za obszernie się rozpisałem, mówiąc o architekturze i rzeźbie Hellady, a tak wyjaśniłem, jakoby przykładami, pojmowanie nasze o jój fantazyi. Uwolnisz mię przeto zapewne od bliższej charakterystyki jój malarstwa i muzyki, ale za to pozwolisz że jeszcze dodam tu kilka słów o poezyi Hellenów. Trudno

ją pominąć milezkiem, boć to jest poezya, która odrodziła nowożytną Europę. Grecya umarła niby dziewczyna młoda, złożona z wiankiem kwiatów do grobu. Lecz wianki kwiatów, choć w grobie, nie zwiędły nigdy, a lutnia Grecyi, uniesiona do nieba przez geniuszów piękności, tam zawieszona na obłoku, niedowidziana z poziomów ziemskich, przeczekala w milezeniu siedemnaście stuleciów. Gdy atoli nocne émy wieków średnich, rozwiane tehem ducha historyi, pierzechnęły ze sceny świata, a dzieje ludzkie znów zaświeciły wiosną młodą, kwiaty wyrosły z grobu, a lutnia owa, dawno zapomniana, ożyła i zagrała z nadziemskich wysokości— jakby skowronek zadzwoniła z pod obłoku na zaranie, na podziw światu i serdeczne wesele. W sercu słuchających ludów odezwały się pieśni echem, niby muzyka nowa a przecież jakby kiedyś dawno w młodości słyszana; a dusza ich, pięknoscią odmłodniona, nurzyła się w falach tych tonów, jakby w piérwszej kąpieli po odrodzeniu swoim.

Dziwne to losy téj Grecyi,—poezya był jój żywot, poezya jój skon i rodzenie. Na szczytach stromych północnych, w dolinach głębokich Tracyi i Tessalii urodziła się poezya Hellenów. Tam, na wzniosłych Helikonu przyezolach zabrzmiała owa cudnowdzięczna pieśń siostr dziewięciu, a gdy muzy śpiewały o prym, Helikon skalny, uchwycony ezarem tonów, unosił się ku niebu; ale zatrzymał górę w polocie i utwierdził ją na ziemi Pegaz; a kędy uderzył nogą rumak skrzydlaty, trysnął z Helikonu hipokreński źród, — źród co daje wieszcom natchnienie, co ich unosi do stolicy nieśmiertelnych Bogów. Na téj północy Orfeusz zaśpiewał cześć

i wielbienie Bogom, a Hezyod uczy Helladę o Bogów zrodzeniach i wiąże wieści o losach w jeden wieniec akordem swój lutni, bo oni kapłani i wieszczę swojego ludu. Lecz wnet ożyweze, świeże, górskie powiewy zaniósł na południe Helleńskie te pieśni; więc na nizinach, na wyspach, na jońskich pobrzeżach zagrała poezya, jakby na strunach Apollina — śpiewnego boga, — wszędzie budząc drzemiące w kwiatach pieśni, a pieśni, owiane ciepłem jasnego bezelmurowego nieba, rozwinęły się wonnym poezyi ogrodem.

Pierwsza Jonia zabrzmiała Homerowym śpiewem — Iliada i Odyssea wyniańczyły bohatérskiego ducha Grecyi; w nich wieszczę kapłanem i filozofem i prawodawcą zarazem. Dziś pytają się nawzajem, badają i radzą, azali rzeczywiście istniał jaki Homer? Czyli może nie było nawet więcej Homerów? Otóż te pytania i badania dowodzą właśnie, czém była poezya u Greków: ona żyła w sereu, we krwi, ona żyła w powietrzu; śpiewała w drzewach, szeptała w strumieniach, gadała w ptakach; poezya była wszędzie obecną, żywą. Iliada, Odyssea, ba, cała poezya grecka była warunkiem żywotnym Hellady, a zarazem objawem koniecznym jój żywota. Ona rosła, kwitła, nie siana, nie sadzona; sama strzeliła z sere, z ziemi; ona należała do natury tego kraju i tego ludu. Stąd też ten lud zaśpiewał, — zaśpiewał z wolnych szerokich piersi, z całej duszy, bo nie straszyły go więcej mary fantastyczne, bezmierne a rozplynne, rozwiewne Indyów, ani grobowe zagadki w granitach egipskich zakłète. Hellada odetchnęła całemi piersiami i zaśpiewała, bo nie mogła nie śpiewać. Ta poezya sama siebie zrodziła, powstała bez wzorów, lubo się stała wzorem

dla wszystkich późniejszych stóleciów, powstała bez prawideł i reguły, nie była więc bladém, wymokłém dziecięciem rozumowania i krytycznego rozbiorn. (\*).

Z drugiej strony atoli nie była to już fantazyja opojona bezprzytomnym szalem Wschodu, który nieobecny sobie szamocę się podniecany marzeniem senném. Hel-lada śpiewała z natchnienia, ale ten zachwyt nie był nasłańcem ślepych a ciemnych potęg natury, on był darem idącym z jasnych wysokości Olimpu, był nawiedzeniem bogów. Więc wieszcz grecki, choć uniesiony zachwyceciem, nie tracił siebie; w nim przemieszkował duch, co obecny sobie miarkuje i mierzy i waży sprawy swoje. Tutaj duch i natura, treść i forma, przedmiot zewnętrzny i człowiek wewnętrzny wiążą się w dźwięczną jedność; poezya grecka jest wskróś plastyczna, i toć jest główną jej cechą.

Wytłumaczę się, ile możności mojej, jeszcze dokładniej z téj plastyczności. Rzekłem powyżej, że plastyka, że skulptura jest sztuką, będącą ze wszystkich rodzajów sztuk najwierniejszém odbiciem artystycznego ducha Greeyi i jej fantazyi, zatém znać, że i poezya Greków jest jakby rzeźba, że ich postaci poetyczne są jakby posągi. Że tak istotnie rzecz się ma, krótkie zastanowienie się wyjaśni. Okazałem bowiem powyżej że malarstwo jest sztuką nierównie więcej należącą do wewnętrznego człowieka, niż skulptura. Jakoż wymiary,

---

(\*) Ob. Co do Literatury starożytnój Małeckiego „Prelekye o Filologii“ Kraków, 1851, dalej dzieło, które skreślił K. O Müller, Bernhardt, Herrmann, Petterson, Schöll. Dla początkujących miłośników literatury greckiej najwięcej godne polecenia dzieło Munka. Jakoż co do literatury starożytnój najwięcej zasługi dziś położyli filologowie Niemiec.

oddalenia, kształty, cienie i światła i t. p., które widzimy w obrazie, są tylko udane, są tylko malowane, one nie istnieją zdoprawdy w obrazie, ale przemieszczają tylko w nas, w człowieku, w wewnętrznym przybytku naszym. Rzeźba zaś to ma do siebie, że jej formy, oddalenia, światła i cienie i t. p. istnieją rzeczywiście, że nie są złudzeniem, że przebywają w dziele sztuki, w przedmiocie samym zewnętrznym. Choć i malarstwo, równie jak rzeźba, winno mieć oczy i dusze otwarte dla natury, inaczéj atoli, jak widzisz, zachowuje się malarstwo do zewnętrznego świata, a inaczéj rzeźba. W plastyce treść duchowa, wewnętrzna najściślej zaślubiona jest formie materialnej; ta treść wewnętrzna nie istnieje duchowo, ale przemieszcza się w przedmiocie zewnętrznym, widomym, dotykalnym; w posagu dotykana, zmaterializowaną jest myśl i treść duchowa mistrza. Lubo tedy w rzeźbie duch przeistacza tę rzeczywistość zewnętrzną, tę naturę, tę postać żywą na ideał, na dzieło sztuki, toć jednak nawzajem i ta rzeczywistość, ta natura nie wypuszcza go na chwilę z objęcia swojego: ona mu się ciągle przypomina, wiecznie przemawia do niego stając mu żywcem na oczach. A gdy plastyka właśnie odnosi się do téj rzeczywistości, więc też rzeźba potężniejsza, niż którykolwiek inny rodzaj sztuki, chroni ducha, by nie puścił się luzem, by nie zbudował sobie we wnętrzu swoim światów osobnych, nie będących w żadnym związku z rzeczywistością, z przedmiotem rzetelnym, z postacią żywą. Rzeźba ma przedewszystkiem oczy otwarte na świat rzeczywisty.

Jeżeli tedy mówimy, że poezja Hellenów jest plastyczną, do rzeźby podobną, rozumiemy pod tém wyrażeniem,



że ona najściślej wiąże się z rzeczywistością; ona z jednej strony idealizując w pieśniach swoich przedmiot zewnętrzny, wzięty ze świata rzetelnego, uświęca go na dzieło sztuki, z drugiej strony uzmysławia po mistrzowsku treść duchową, wewnętrzną. Ta poezya grecka oddycha przeto w przedmiocie rzetelnym, jako w świecie prawdziwym, jako w żywiole swoim, nie odrywając się nigdy od niego. Wieszcz grecki nie zna nowożytnego cofania się duszy w siebie, nie zna tego utonienia w eichych tajniach piersi, kędy rodzą się mistyczne przeżucia, kędy szepeą tęskne głosy nieznanego świata; on nie zna owego niezgłębionego morza uczuć i osobistych sentymentów, które w każdym człowieku mogą być inne, bo nie zostają w żadnym związku ze światem rzeczywistym, zewnętrznym, który dla wszystkich jest jeden i ten sam. Grekom atoli za to obcą była ta uczuciowość, tak często chorowita, która się chowa w głębi duszy, jakby przed świętokradztwem zewnętrznego świata.

Zaiste, jak już dawniej rzekłem, szczęśliwym Grekom nie było jeszcze znane owo ogromne a pełne boleści rozdwojenie między światem wewnętrznym a zewnętrzną rzeczywistością. Owe radośne zrękowiny ducha i natury, serea a rzetelnego świata—będące, jak wiesz, istotą Hellenów,—uczyniły ich ludem artystą, nacechowały ich fantazją i uświęciły ich poezją. U nich co w sercu to w lutni; tu nie było ciemnych duszy zagadek, tu nie było treści, któraby była li wyłączną własnością; on nie dla siebie nie zachował w piersiach swoich, on wszystko z siebie wyśpiewał pieśnią; cała treść jego wystąpiła uzmysłowioną na jaw jasny,

stała się widoczną, dotykálną jakby rzeźba, posąg. A nawzajem co życie, co świat podawał, owa cała bogata treść rzeczywistości stała się poezyi osnową i zaświeciła w jasności ideału. Stąd treść wewnętrzna równa się zewnętrznej formie, a forma wyczerpuje treść;—wszystko co w duszy wieszczą teńło, było też prawdą w świecie, prawdą ogólną, rzeczywistą. Dziwnoż tedy, że Grek w swoim wieszczu widział kapłana uczuć wszystkich, swojego zakonodawcę a mistrza! Hellada przezierała się w tych pieśniach, jako w uzaenionym, opromienionym wizerunku swoim.

Stąd też, dla téj wrodzonej jedności wewnętrznego człowieka a zewnętrznego przedmiotu, grecki mistrz nie uczył się prawideł estetyki, obchodził się bez szkoły; prawidła i szkołę zastępowało u niego sumienie estetyczne, instynkt artystyczny i jasna świadomość rzeczy, która nie była pożyczoną, przyuczoną, ale była wyrobioną we właściwym duchu jego; on miał oczy duchowe, duchowy słuch; zatem wieszcz grecki dojrzał, dosłyszał, czego przedmiot jego poetyczny sam przez się wymaga; pod tehem artysty przedmiot sam się rozwinał w rękach jego, sam urosł, jak rośnie sama roślina — on tylko hodował tę roślinę przyświecając jój promieniem swojego geniuszu, ciepłem serca i pojąc rosą swojego natchnienia. Grecki mistrz jasnym okiem ujmuje zjawiska świata, widzi głębokie znaczenie w nich skryte, ujmuje ich duszę, nie uwodzi go ani samowolne zapatrywanie się na rzeczy, ani przypadkowe osobiste nastroszenie duszy. Nie było w poematach planu wprzód z góry obmyślanego, a przecież nie znajdziesz nigdzie w rozwoju ich treści ani jałowych suchot, ani

przesadzonych zbytków. Tak, jak w ciele organiczném, będącém osnową dla rzeźby, jak w budowaniu Greków, tak też rzecz się ma z ich poematem: co w nim jest, jest, bo tego wymaga przedmiot, a czego przedmiot wymaga, to pewnie znajdziesz w dziele poetykiém. To umiarkowanie skromne fantazyi, ta jój wstydliva wstrzeźmliwość wlewa w tę poezją greeką spokojność uroczystą i prostotę wzniosłości pełną, będącą zarazem cechą ich postaci rzeźbionych. Patrz np. na ich figury dramatyczne,—to istne posągi; tutaj nie doznasz tego naprężenia wszystkich namiętności, téj ciekawości demonicznej, którą cię prą nowożytnie, zwłaszcza najnowsze autory dramatów, byś brodził z niemi przez to ich błoto krwawe od sceny do sceny; i brodzisz i patrzysz z duszą jakby na męki wziętą, a zgadnąć nie zdołasz jak się to wszystko jeszcze obróci, na czém się to skończy, ani wiesz, czego się ta lub owa figura straszliwa jeszcze dopuści lub czego się uchroni: aleć ta figura sama siebie nie jest jeszcze pewną, bo nią szarpia i podrzucają wbrew sobie przeciwne uczucia i żądze, ona jest pastwą jędz i wewnętrznej walki. W tragediach greckich nie ma tych zagadek; bajka w nich zupełnie prosta, opowiesz ją w kilku słowach; tak też i postać każda w niej jest prostoty pełną, wyobraża tylko jedno uczucie, a wyobraża go z całą jasnością; ta figura jest tedy w zgodzie z sobą, odlana niby z jednéj sztuki. Jedna scena, jedna chwila wystarczy, byś tę postać wskrósł przejrzął; a na tém właśnie zależy plastyczność; wszak i w rzeźbie, więc właśnie w rzeczywistój plastyce, także widzisz figurę tylko w jedném chwilowém jój poruszeniu, w którym skamieniała, a przecież ta chwila wy-

starcza, zrozumiałeś zupełnie tę postać i mógłbyś się już szeroko rozpisać o jej znaczeniu, o wrażeniu, którym cię za serce chwyciła.

Stąd, wedle mnie, najwyższym, najprawdziwszym komentarzem, tłumaczącym poetów greckich a zwłaszcza dramaturgów, jest galerya posągów starożytnych; gdy cię w koło obstapiają te postacie marmurowe z tym głębokim a wzniosłym wyrazem na obliczu, wtedy iście przemawiać będą do ciebie językiem Homera lub Sofoklesa, i powiesz sobie, że tylko ta mowa wielkich wieszczów może być właściwą tym figurom. Lecz też dla tego czytujesz i znów odczytujesz te poczyty Greków, nie mogąc się do syta napoić ich pięknoscią; to tajemnicze ich życie jest dla ciebie samego jakby źródłem własnego żywota twojego. I stolecia i pokolenia i ludy różnego rodu, idące po sobie w dziejach świata, piły u tego źródła, a dopiły się w nim ochłody z trudu a poniżenia. Tym czasem owe, powyż'j wspomniane, nowożytnie dramata, choć tak bujne w pomatwaną intrygę, a wypadki napinające duszę, lubo szaleją warem kipiącej fantazyi, one raz przeczytane wystarczą, rzucasz książkę rad, żeś się z nią pokwitował na zawsze.

Dopiero lat kilka upłynęło, gdy świat, jakby palony febrą gorączkową, pochłaniał tę literaturę, a dziś, dziś ją mało kto weźmie do ręki; ona zapomniana mimo świetnego talentu swoich pisarzy. Jest to pokuta i kara. Kto się wyświęca na kapłana sztuki, niechaj służy jedynie prawdziw'j piękności, która jest wiecznie jedna, wiecznie ta sama; niechaj nie znieważa talentu swojego mizdrzeniem się do smaku i ochoty społecznego wieku,

bo mistrz niechaj będzie mistrzem swojego czasu, ale nie jego służalcem i zausznikiem. Smak się odmieni, nastaną inne ochoty, ów zausznik pójdzie w zapomnienie, wymieciony po za progi historyi.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości nie tylko uczyła Greków, jak widzimy, właściwej miary w rozteczeniu treści, lecz była mistrzowi światłem przewodniem pod każdym względem. Jednym rzutem myśli odgadywał czyli ten lub ów przedmiot nadaje się do epopei lub liry, albo dramatu; tym samym błyskawicznym instynktem przeczuwał styl właściwy dla pewnej treści, miarę wiersza i t. p.—Buffon niegdyś rzekł: «le style c'est l'homme» i to jest prawda, ale dla nowożytnych; dla Greków zaś styl był wypadkiem i człowieka i treści czyli osnowy jego (\*). Smak jest raczej zupełnie osobistym pierwiastkiem. Grecy dla smaku nie mieli nawet nazwy; a lubo w Grecyi do stylu mistrza każdego wplatało się jego usposobienie duchowe, indywidualne, przecież takowe było tylko lekkim odeieniem, nie paezającym treści, a strojącym się do niej harmonią. Jeżeli, jakto bywa często między nami, styl niewłaściwy zastosowany jest do przedmiotu, wtedy treść jest zgwałcona, wykrzywiona pod wpływem wewnętrznym, osobistym autora; wtedy nie widzimy rzeczy, o którą chodzi, ale raczej pisarza, wtedy też pisanie takowe nie jest już stylem, lecz naciąganiem, manierą. Cóż dopiero się dzieje, gdy treść właściwa np. dla epopei, romansu, weśniona zostaje w dramat. Te nierządy bezeene odbywają się codziennie pod

---

(\*) List VI, tam powiedzieliśmy w jakim sensie wypadaloby brać to zdanie Buffona, aby się zgodzić na orzeczenie takowe.

oczyna naszymi. Gdy jakaś powieść plugawa i krwawa, znieważająca święty obyczaj domowy, przypadła do smaku grymaśnej, bo chorej publiczności, już wtedy pojawiwszy się we felietonach i w książkach illustrowanych i nie illustrowanych, przeszedłszy wszystkie piątra i pięterka, strychy i zatyłki towarzystwa, przewędrowawszy od bogatych złocistych salonów do garderoby, kuchni, warsztatów, wytarłszy wszystkie kąty, zostawiwszy wszędzie jad swój, wkońcu przeistacza się w nowy kształt, bo wrzekomy dramat, na wielką radość umysłowej gawiedzi i kassy teatralnej; a ze sceny idzie prosto na odstawkę między rupiecie literatury, przeżywszy to życie kilkoletnie w nierządzie i bezwstydzie, ale huennie, ale szumnie. Mało która z główniejszych literatur europejskich nie przedstawiała tego dziwnego, ale niepocieszającego zjawiska.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości w Helladzie rozświeciła również w wieszczu jej onę instynktową świadomość własnego usposobienia; on patrzył w siebie i widział się, przejrzał do dna własnej istoty; ztąd nieomylnym przeczuciem odgadywał właściwy dla siebie rodzaj poezyi; liryk np. nie zabierał się do epopei ani do dramatu. Widziałeś nawet powyżej jako Sokrates z onym wielkim Arystofanesem rozbierają wątpliwość, czyli tragic może być zarazem komikiem. Stary mistrz umiał się mierzyć i miarkować, on znał rodzaj odpowiedni jego zdolnościom.

Co więc, ta poezya Greków rozwijała się jeszcze w różnych epokach ich Historyi i wśród różnych rodowych szczepów, osiadłych po licznych jej ziemiach. Jak tedy każda roczna pora roku występuje w wianku wła-

ściwych sobie kwiatów, jak każda składa właściwe owoce na cześć natury, tak fantazya Hellady, przeobrażając się w dziejach tego ludu, w każdój epoce występowała właściwym jój rodzajem poezyi; tak naprzód epopcją, później lirą, nakoniec dramatem. Co było na czasie, zabrzmiało w sereu, rosło i przybrało formę poetyczną, w którój się zwierciadlił czas. Każdy rodzaj poezyi był w swoim czasie całą poezją grecką, każda z tych postaci rozwinęła w tój sobie właściwój epoce cały żywot swój, a gdy przeszła wszystkie jój przemiany, już skonała na zawsze, nie budząc się już nigdy z martwych. Nakoniec zważ, że każdy z tych rodzajów poezyi wyrastał znów ze serea szepu właściwego sobie: Jonia wypiautowała Epos, ród dorycki zabrzmiał hymnem, a ta Attyka, co tak mowna, tak skora do przyłatrywania się rzeczom ze wszech stron, rozdzieliła te różne stanowiska pojmowania na różne osoby i stworzyła dramat.

Tak przeto każdy szep i ziemia, każdy peryod dziejowy, każdy wieszcz ograniczał się ściśle w sobie, nie przekraczając kończyn własnej istoty swojej; za to też w niej był jakby sam u siebie, oddawał się całém sercem tój poezyi jemu przyrodzonej, był w niej, jakby we własnej duszy, w niej zaważył całą pełnią ducha, nim nie miały chęci i pokusy obce jego fantazji; nie zaznał też przeto nigdy powątpiewania o sobie— o swojej zdolności. Mistrz, dla onój harmonii wiążącej ducha jego z przedmiotem, był też ściśle zaślubiony swojemu rodzajowi poezyi; ta poezya, jemu przyrodzona, stała się jego własną istotą nieodłączną, on w niej żył, w niej umierał.

Przecież z drugiej strony znowu cała poezya grecka była jedną całością cudowną. Tak jest! bo w Helladzie jak się uzupełniały epoki dziejowe, jak się uzupełniały ziemie i rodowe szczepów pierwiastki, tak uzupełniały się nawzajem rodzaje poezyi i wieszeze sami, składając jeden wielki Olimp mistrzów. Byli to ludzie, z których żaden nie zapragnął być każdym i wszystkim; każdy z nich znał się być tylko jednym dźwiękiem w tym wielkim akordzie Greeyi całej, i w tém umiarkowaniu widział chwałę swoją. Byli to ludzie na ogromną miarę, na olbrzymią historyczną stopę, byli to ludzie wieley, bo umieli się ograniczać, bo umieli przestawać na swoim. Otóż widziałeś, że poezya Hellenów, jak cała ich sztuka piękna, miała za cechę to zespolenie wewnętrzne-go a zewnętrznego świata. Ta istota jój odbiła się też w ludzie Greeyi; on téj poezyi słuchał z ust żywych, on słuchał śpiewców epopei, słuchał i widział liryka, gdy uniesion zachwytem wielbił Bogów na Olimpie, lub zaonych mężów na Ziemi. Lud ten patrzył i słyszał, gdy przez widownię sceny kroczyły wielkie dramatyczne postaci; co tylko w widzu, w słuchaczu odezwało się we wnętrzu głębokim, toć słyszał i widział przed sobą w dziele mistrza.

U nas inaczej się dzieje: my mamy książki; cofnąwszy się tedy w siebie z biedą samotnego ślimaka, czytamy, przenosimy się na chwilę w obce światy, żyjemy i czytamy w sobie i dla siebie. Ale gdy się książka zamknie, znów nas obleje zimna wodnista rzeczywistość, w koło nas stanie dawno opatrzona, wymokła proza, nie znająca żadnego związku z pieśnią, powieścią czytana; ten świat poezyi książkowy wydaje się tedy



marzeniem, cackiem dziecinném w obec grozy żywota. Za to też chłoniemy książkę za książką, pędzimy na wysegi, kto liczniejsze półki książek spożyje, kto je rychlój zapomni.

W pierwszych chwilach młodego zarania, gdy ziemia, morza Greeyi tehuły lekką powiewną mgłą, jakby lubą dziewczęą nadzieją, na niebie wschodniém grono obłoków, palących się złotem, stanęło wieńcem wkoło, słońce witając. Te obłoczne kształty świeciły w barwy mieniące, i, niby widma lekkiej fantazyi, budowały się to w baszty, to w grody, to w statki żaglowne, to malowały dziwnym zarysem postaci mężów zbrojnych szyszakiem i włócznią, to znowu spływały w miękkie niewieście formy. Te widziadła świeciste, napowietrzne—to Homerowy świat.

Śpiewał wieszcz w Iliadzie chwałę męztwa i butność wojowników, i śpiewał w Odysei dziwne czarnoksiężkie przygody i mądrość bohaterów wśród trudu pielgrzymki, co wiodła ich powrót przez świat, przez życie, do ojezystej ziemi.

Śpiewy wieszcz nie czytane, nie pisane,—on powierzył pieśni swoje rodzinnym powiewom i ustom swojej ziemi, a pieśni te, rozniesione tchem po krajach, po ludach, po pokoleniach, wpisały się w serce ludzi, wpisały się na wieki w duszę! Pieśni te przetrwały budowania marmurów hardych, przetrwały pamięć złożoną w mogiłach, bo wieszcz nie siebie śpiewał, on cały się stał pieśnią, on rozplynał w naturze, w głębiach ludzkiego ducha,—on był niewidzialnym w tej pieśni swojej; natura, ludzki duch, prawdy odwieczne przemawiały przez

usta jego. Stąd też postaci jego tak są wyraziste, tak pełne krwi i życia; zoezył je mistrz świeżem, jasnym okiem duchowem,—one tak potężne, tak prawdy pełne jakby dzieło samej przedwiecznej przyrody; a przecież te kształty wszystkie owiane, uszlachetnione wdziękiem nieskończonym fantazyi. Te bohaterzy, te wojownicy Homerowskie,—to dzieci ziemskich padołów, one cierpią i weselą się po ludzku; niemi podrzuca zemsta i miłość, niemi miotają tryumfy i trwogi, a przecież w nich puka sercem ciepłym natura ludzka, wzniesiona do ideału podobnego bogom. Tłem tych postaci, tych obrazów jest spokój niebiański, niezamącony nigdy, a ten spokój jest ową ciszą duchową wieszcza, co składa, wiąże, szykuje i splata części w całość artystyczną. Gdy mistrz przeniknął do dna prawdy żyjącej w tajniach świata i w sercu człowieka, gdy podслуchał w nich bicie pulsów, przeto też rozlał uczucie głębokie obyczaju po świecie przez siebie stworzonym. W lekkich i pełnych uroku tonach, w wierszach, co kroczą niby lotne graeje, płynie chwalebna zaeności, a wstręt do winy. Trojańskie boje okazały Grekom, że jeden jest ich ród, jedno pochodzenie, a pieśni Homerowe postawiły ołtarze tym spólnym bogom i spólniej Greków sławie. Księgi Homerowe, to księgi rodzaju pradziadowej mądrości dla Greeyi; na ich obrazach, malowanych niezgasłemi nigdy barwami, Hellada uczyła się własnej duszy swojej, uczyła się czytać tajemnicę natury i własnego serca.

Zaiste, te pieśni są zakonem obyczaju nieznanego Wschodowi,—w nich pierwszy raz występuje na świat wysokie znaczenie kobiety. Wszak wdzięki niewieście rozpalają wojnę Trojańską i stają się piastą Hiady, a Pe-

nelopa znów jest ogniskiem duchowém, idealném Odyssei, bo ostatecznym celem tęsknoty Ulissesa. Dla niej on cierpi, dla niej zwalcza trudy ciężkie i rozliczne przygody swojej podróży, bo ku małżonce również jak ku ojczyźnie zwrócone serce i myśli jego. Darennie pełna wdzięków Kalipso oczynia go czarodziejstwem uroków i szczęścia, napróżno ofiaruje mu wieczną młodość i życie nieśmiertelne; on wyznaje że niebianka iście cudownej nadziemskiej urody, że lata długie a przebyte w samotnej tęsknicy dotknęły zaiste boleśnie wdzięków małżonki, a przecież jedynie do żony śmiertelnej zwrócone myśli jego i serce; tęsknota do niej, do ojczystej ziemi jest jego gwiazdą przewodnią. Cześć ta, którą Homer, a z nim cała późniejsza Hellada, otacza niewiastę, była zarodem ucziwego obyczaju, który się atoli dopiero w całej pełni w chrześcijaństwie rozwinął. Wszak kobiety są kapłankami ogniska domowego i miłości rodzinnej. Czuł wieszczym geniuszem tę prawdę Homer, gdy kreślił postać tak zacną jaką jest Penelopa; rzekłbyś, że ona wychowana w świętym obyczaju chrześcijańskim—tak przeczysta, tak szlachetna i wzniosła ta postać! Od dawna rozechodzi się wieść że jej mążzonek już nigdy nie wróci z pod Troi na ojczyste brzegi, więc ją otacza tłum zuchwałych zalotników o jej rękę; w samotnej, smętnej komnacie przez długie, głuche lata wierne dochowuje i rękę i serce pierwszej i ostatniej miłości swojej, i tkala zeicha szatę ową, a praca dla niej tak nieskończona jak jej miłość, jak i tęsknota, jak wiara jest nieskończona. I czeka i wierzy, kocha i kryje lzy i nadzieję, uśmiechy i tę miłość co nigdy nie umrze w jej sercu. Nareszcie, gdy po długich, smę-

tnych latach pojawia się żebrak schylony starością na grodzie Penelopy; gdy pociesza serce królowej, troskami skolatane, wiadomością o małżonku, ona, najwyższą radością zdjęta, przyjmuje go ze czecią w pałacu, jakby przyjaciela, jakby brata od dawnych czasów, stroi i pieści żebraka. Wtedy senne widziadła wróżą jej blizkie przybycie małżonka, bo się jej śniło że orzeł, co wytepił jej gęsi na podwórzu, przepowiada blizki powrót Ulissesa. (Oddys. XIX 545). I ziściły się marzenia: żebrak zwleka szaty biedne i przed Penelopą staje jej miłość, jej małżonek—Ulisses w postaci odzianej cudowną męzką urodą! Toć jest obyczaj w całej piękności swojej. A ta Nauzyka,—to niezapominajka niewieścia, to cudowny kwiatek młodziuchny! Ulisses, rozbitek morski, sam jeden ze wszystkich towarzyszy falą wyrzucony na wyspę, kędy króluje jej ojciec. Nauzyka nieznajomego biedaka opatruje w szaty, i, by uniknąć plotek zawistnych, zatyłkami miasta prowadzi do rodzicielskiego pałacu (\*). Nikt nie zna przychodnia, on opowiada cierpienia swo-

---

(\*) Trudno mi się wstrzymać od przytoczenia krótkim wyimkiem ustępu z *Odyssei*, tak prześlicznie tłómaczonego przez L. Siemieńskiego. Rzecz taka. Nauzyka królewna, wybrała się ze służebnicami na brzeg morza dla prania bielizny. Po skończonej robocie, dziewczęta stają do piłki; wśród zabawy Nauzyka przyśpiewuje towarzyszkom; w tém piłka, rzuconą ręką Nauzyki, omija dziewczęta i wpada do wody; stąd śmiech i wrzaski. Aleć to właśnie tam w krzewach spał Ulisses, wyrzucony przez morze, zwałany morskiem błotem. Obudzony głośnie ochotą dziewcząt, w niepewności co czynić, zbliża się. Dziewczęta uciekły; jedna Nauzyka, jako wyższa duchem i sercem, została; wtedy już Odysseus, natchniony przez Palladę, w ten sposób do niej w prośby się udaje:

Błagam cię, bądź-cś bóstwem, bądź panną śmiertelną;  
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną.  
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona.

je, i trudy i prace przebyte, i wdycha, i gdy mu się na płacz zbiera, szatą okrywa oblicze. Pewnego razu Nauzyka stanęła w zaciszu niewidziana, Ulisses przechodzi,—dziewica długim, przeciągłym spojrzaniem

A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu,  
 Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,  
 Błogosławieni bracia! Jakżeż im gdzieś rośnie  
 Serec przy tobie, jak się rozplywa radośnie,  
 Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!  
 Lecz szczęściu oblubienica nie może nie sprostać,  
 Gdy po kosztownych darach zawiezie cię do domu!  
 Różnym jam się napatrzył, przeróżnym narodom,  
 A równiej nie znam tobie.

Tak zaczawszy, prosi by mu królowna dostarczyła szat, i przywodzi nieszczęście swoje, przecież nie przyznaje się być Ulissem, i dalej mówi:

A Bogi cię najniłszą opatrzą nagrodą:  
 Dadzą męża i domek; przenajświętszą zgodą  
 Pobłogosławia! skarb to najcenniejszy w świecie,  
 Kiedy męża z małżonką tkliwa miłość splecie,  
 A pokój włada domem. Wróg na to się skrzywi,  
 Cieszą druliy, a oni nad wszystkich szczęśliwi! —  
 Śnieżnoramienna panna w te ozwie się słowa:  
 „Widno żeś człek nie podly ani miałka głowa.  
 Darmo! woli Jowisza nikt się nie wybiega,  
 I czy pan czy chudzina losowi podlega.  
 Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię.  
 A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,  
 Okryjem cię, na niczém nie będzie ci zbywać,  
 Co tylko obcy tułacz może potrzebywać.  
 Do grodu drogę wskażę, dam ludu nazwisko:  
 My Feaki, tę ziemię zamieszkujem wszystką.  
 Jam córka Alkynoja — wyższego tu niema,  
 On władzy i potęgi w ręku berło trzyma.”

Pocém zawołała Nauzyka na służebnice by mu podały szaty ege-dogie, a Odysseus, oddaliwszy się, zmywa z siebie morskie brudy i piany. Bogini Pallas-Atene rozlała na całą postać jego uredę i krasę mężką—tak „iż był piękny bez miary.”

Ujrawszy go królowna, wielce zdziwiła się,  
 Więc po eichutku prawi do drużyny swojej:

utonąła w obliczu jego »i rzekła uskrzydłonemi słowy: niechaj ci życie będzie radością! lecz chciój też i na ziemi ojców swoich pamiętać o mnie, boć to ja przecież uratowałam ci życie!« I słusznie ktoś z estetyków powiedział, że nikt tak nie umie jak Homer kilku słowami skreślić pierwszy pączek przeczystej miłości, kłującej się w sercu niewinnej dziewczyny bez własnej jej wiedzy! Przypomnijmy sobie jeszcze postać smętną a tak uroczystą jaką jest Andromacha, i znów ową wykwinutą ale uzaenioną zmysłowość w Kalipsie, albo grubą ziemską namiętność, wyrażoną w Cyree, albo gminne pojmowanie życia i nieszlachetne uczucia w służebnicach Penelopy, a wyznaj, że Homer z mądrością głęboką skreślił wszystkie barwy i odcienia natury niewieściej.— A któż to jest ten Homer, kiedyż on żył?— Niewiedzieć! żył może na ośmset lat, może na tysiąc lat przed Chrystusem!

W Epopei artystyczny geniusz Hellady nauczył się

---

„Słuchajcie-no dziewczęta! tak mi się coś roi,  
 Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,  
 Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
 Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
 A teraz jak bóg który, niebianin promienny.  
 O, gdyby mi się trafił mąż coby mu sprostał  
 Z młodzi naszej, lub gdyby on sam moim został!—  
 Ależ jadło, napitek, co temu mu zanieście!”

(Orędownik rok 1844 N 45).

Otóż jest ułomek z owęj pradiadówęj pieśni którą wyśpiewał Homer bez mała przed 2700 lat. Widać iż co piękne i wielkie zawżę pięknem i wielkiem zostanie; a co do tłómaczenia, wyznaj, że jest takowe jakoby było napisane oryginalnie po polsku. Taką właśnie zaletę znakomitą a tak rzadką mają wszystkie tłómaczenia L. Siemieńskiego; zdaje mi się że gdyby się zabrał do przetłómaczenia całej Odyssei, jużby ta praca nie ustąpiła tłómaczeniom żadnej Literatury.

czystém, niezamąconém sercem, wolném od osobistych  
 uczuć patrzeć na świat;— więc mistrz własną duszę  
 swoją przetłómaczył na postaci olimpijskich bogów, na  
 bohaterów swoich, na sprawy ich i walki,— sam siebie  
 przeistoczył na sceny wielkie przyrody, na kołysanie  
 szumiących mórz, na cisze uroczyste wieczora, na lek-  
 kie dymy ojczystych chat, i na ten cały dramat natu-  
 ry, co zawsze jeden a zawsze świeży, nowy i zawsze  
 wielki. Jak serce, chwycione miłością, traci siebie gi-  
 nące w przedmiocie ukochanym, tak w Epopei greckiej  
 osoba mistrza przepadała w treści pieniów jego; on  
 tonął w świecie zewnętrznym, jakby w duszy kochan-  
 ki swojej.

Lecz zważ, właśnie ta istota Epopei, spotęgowana  
 do ostatecznych granic, nawróciła fantazją Greków do  
 nowego rodzaju poezyi. Gdy bowiem ta Epopeja dobi-  
 ła się szczytu swojego, gdy człowiek ujął już swoją  
 istotą cały ten świat zewnętrzny, gdy go przepatrzył  
 we wszystkim objawie jego,— teraz dziwnym, a jednak  
 koniecznym nawrótem, ten świat nawzajem wstąpił we  
 wnętrze człowieka i przetłómaczył się na głosy serca, na  
 uczucie własne duszy jego. Cały przeto ten dramat przy-  
 rody, wszystkie te bogi, bohaterzy, wypadki radośne i smę-  
 tne ludzkiego żywota wkroczyły w serce wieszca i za-  
 grały mu na uczuciach, jakby na wewnętrznych stru-  
 nach, a tak zrodziła się *liryka* grecka.

W lirze serce wieszca jest światem jego. Gdy  
 przeto treścią Epopei jest rzeczywistość cała roztoczona  
 w obrazach, treść liry zebrana jest w sercu jako  
 w ognisku swoim,— tą treścią są uczucia mistrza. I toć  
 właśnie stanowi tę wyrazistą cechę liryki greckiej, bę-

daćej wzorem po wszystkie wieki. Uczucia i budzenia się ich nie zależą od człowieka; uczucia są jednostkowe, a im które potężniejsze, tém silniej wyłącza inne; stąd każda pieśń liryczna ma tylko jedno uczucie za duszę swoją, za treść swoją; od uczucia zależy zrodzenie pieśni i ukończenie jéj; jest to część duszy, część siebie, którą z siebie wypuszczają serca przybytki. Co w piersiach się budzi, wyrывa się teraz na jaw,— to bogosławnym hymnem unosi się w obłoki, lub śmiało-skrzydłą odą wielbi czyny pradziadowe,— to wypływa potokiem rzewnej, tkliwej elegii,— to wyskakuje znów ze serca śmiejącą się, radośną ochotą Anakreontyka, ową lubą piosenką, co hula rzezko, dziarsko, brzmiąc chwiałą miłostek i puhara!

Cheiej atoli baezyć, że ta fantazya liryczna Hellenów, tak różna, tak bogata, choć wypadala zdrojem z wnętrza wieszcza, nie była przecież samym tylko osobistym wypływem jego, i tém ona różni się całą przepaścią od téj liry nowożytnéj, co bywa najczęściej fałszywie sentymentalna. Bo co mistrz grecki zaśpiewał, toć było iście tonem zrodzonym za potrąceniem ze-wnętrznego świata; te tony i dźwięki wieszczowych piersi, toć one właśnie są tym światem, ale przybranym niby w osobiste uczucia śpiewaka. To nie on sam, to świat, co w nim śpiewa i gra, ale świat już przeistoczony na własną duszę wieszcza. Treść duszy poety wzniesiona jest do ogólnego znaczenia; w lirze śpiewa nie ten pojedynczy człowiek, którego lud słucha, na którego się patrzy, ale w pieśni śpiewa i nuci ogólna wiekuista natura człowieka. Nie jest to liryczność nowożytna, nie jest to pieśń, co jest li osobistym śpie-



wem, co tak często chorobliwa tęskni i żali się, że świat nie rozumie uczuć, zrodzonych w tajniach serca wieszczą.

W lirze greckiej slychać wprawdzie także osobiste, własne uczucie mistrza, leez właśnie dla tego, że wieszczę był szerokiego, wielkiego serca, że żadna ciasnota samolubna nie odgraniczała go od świata zewnętrznego, nie krępowała jego swobody— dla tego właśnie ta rzeczywistość cała, bogata, pełna treści zdolna była wstąpić w tajne przybytki duszy jego. Co on zaśpiewał, choć party niby osobistém uczuciem, to rodziło się z rozwartych, wolnych piersi, to budziło uczucia wszystkich,— odbiło się echem w sercu wszystkich i po wieki wszystkie. Mógł przeto Pindar zaśpiewać »jam człowiek jeden, a powołanym dla całej społecznej sprawy.« W piersiach jego tchnęły bogi same, gdy śpiewał bogom. Stąd też gdy raz w Delfach, uchwycen potęgą natchnienia, uwielbił niebian na wysokim olimpie, tłumny słuchający lud, uderzony jakby obecnością bogów, zapada w zapomnienie siebie, staje słupem niemym, a grono kapłanów świętej wyroczni kroczy ku niemu w uroczystym pochodzie i wzywa wieszczą do świątyni na gody. Apollo, obecny w mistrzu i w śpiewie jego, wzywa śmiertelnego człowieka na ucztę do siebie, do domu swojego. Wieszczę— bogów gościem; on od nich uraczony, uczczony.

Rosa niebiańska błyszczy na listku, zbiera się w kroplę, co się pali jasnością słonecznych żarów, a im więcej kropelka się wzmoże, tém mocniej ona promieni wszech tęczy barwami; a gdy już zaświeci najcudniej całym niebios przepychem, spada, ginąc w zie-

mi, w matee wszystkiego żywota. Jest też stara gadka między ludźmi, że skon i kochanie — to dwa anioły bliźniaki; bo w miłości, w najwyższym życia nastroju, już zarodem budzi się śmierć. Tak Tragedya Grecyi, będąc najwyższym jej piękności tryumfem i najzaeniejszą jej fantazyi postacią, — jest zarazem zwiastuną już kroczącego jej skonu.

Gdy w Helladzie przeminęło dawno ono pierwszój wiosny tehnienie, co zrodziło śpiew Epopei, gdy lira już ciszej, a ciszej brzmiała w sereu śpiewaka, wtedy stanął wśród ludzi dramat, bo on jest zespoleniem zewnętrznego świata Epopei a świata wewnętrznego lirycznój poezyi. Dramat roztacza wspaniały obraz ludzkich czynów jak Epopeja, lecz tych ludzi już widzisz tuż w obec siebie, słyszysz jak w lirze te tajemnicze głosy co je prą do czynu. Jak w lirze sam śpiewca wyjawia wnętrze swoje, tak w dramacie każda jego figura jest wyobraźnikiem uczucia, co w nim robi a warzy; i znowu wszystkie te figury i ich uczucia splatają się w jedną całość artystyczną jak w Epopei, a ta całość tém więcej jest w dramacie ściśłą, artystyczną, iż te figury nawzajem się uzupełniają organicznie, tak dalece, że każda z nich wymaga koniecznie bytności drugiej. Ta ściśła łączność liry a Epopei w dramacie objawia się jeszcze pod innym względem, bo w chórze tragedyi greekiej. Chór należy wprowadzić do gry, ale udział jego jest tylko liryczny, a znów jest niby aktorem, a przecież znów tylko widzem, zachowując się jedynie biernie do wypadków odbywających się na scenie. Chór grecki godzi i miarkuje rozkolysane uczucia tragicznych bohaterów; on radby pojednać strony, które się zderza-

ją całą potęgą namiętności swoich. Chór atoli jest bez mocy, wysilenia się jego daremne, on świadkiem i walki i skonu wrogich pierwiastków. On ma słuszość po walec, po zgonie; jest to demos, lud, owa potęga ogólna co zostaje i nie ginie wśród gromów łomotnych, wśród skonu figur dziejowych. Chór ma słuszość; co on orzeka jest prawdą ogólną, którą przytłumiły w sobie figury główne, działając; jest tedy (wedle mego zdania) odgłosem owego fatum, będącego tłem tragedyi całej; i dla tego (śmiałybym powiedzieć) chór grecki i Przeznaczenie zostają w ścisłym związku z sobą. Co się w chórze dzieje niby biernie, co u niego jest śpiewem, jego wewnętrzną treścią, staje się w dramacie czynem, występuje na zewnątrz. Stąd każda postać tragiczna zderza się z inną a inną postacią, którą znów inne włada uczucie. Bo co w sercu zamknięte, to nasze,—co czynem się jawi, toć świata własnością, to bije w ludzi i w rzeczy, a tak rodzi się kolizya, zwarecie się potęg wrogich. (List X.)

Kolizya pierwiastków żywotnych nieznana była jeszcze w życiu Grecyi,—ona pierwszy raz pojawiła się w sztuce tragicznej proroctwem poezyi. Hellenowie patrzali się na te walki i łamanie się wrogich mocy, co się wieliły na scenie w osoby starogreckich bohaterów, królów i ich rodzin. Te postaci zamroczone, te dzieje mityczne, żyjąc tylko tradycją wśród ludu, zdawały mu się historią dawno odbytą, niepowrótą nigdy. Te króle i bohaterzy pradziadowych lat wystąpiły ze mgły przeszłości, świecąc całym urokiem piękności tragicznej, stanęły przed tym ludem i niby smętne zwiastuny przywiodły mu na oczy walki i zderze-

nia okropności pełne;— lud Grecyi patrzył na te obrazy zdumiony, struchlały. Zgroza serce ścisnęła; rozbiierały duszę jego trwogi i żale, a lud ten nie przeczuwał, że na téj scenie, w obec siebie widzi własne dzieje łzawej przyszłości swojej; nie przeczuwał że ta walka i zwarecie się potęg wrogich zestąpi nie za długo w rzeczywistość, że zdoprawdy na jawie Grecya odegra dramat, tragedya, że umrze na tę walkę własnych pierwiastków swoich, że pękną stróny cnój harmonii.

Grecya umarła na walkę tych pierwiastków swoich! bo owa ich harmonia, będąca żywotnym warunkiem, duszą Hellady, pękła rozsadzona za dotknięciem się ducha dziejów ludzkich, co idzie przez świat.

Ten cudowny, harmonijny zestrój wnętrza człowieka a zewnętrznego świata, ducha i natury, serca i rozumu, to zespolenie pełne wdzięków człowieka z prawem, obyczajem i bogami jego nie mogło się długo ostać w świecie greckim. Na dnie téj harmonii roztwierała się niewidomie sprzeczność bezdena, jakby otchłań grobowa, osłoniąca różami wonnemi. Gdy nadszedł czas, ziewnął ciemny grób i pochłonał róże wonne i Grecyą.

To zespolenie i harmonia były tylko chwilą piękną, ulotną w ludzkich dziejach; Hellada wprawdzie wiedziała o różnicy owych dwóch odwrótnych światów; to jej przeczucie jednak nie było dostatecznem, ona nie zdołała rozdzielić tych światów wskrós, do dna, i dla tego właśnie nie umiała uznać wzajemnego ich i prawdziwego stosunku i związać ich rzeczywistą harmonią. Grecya wiedziała o różnicy ducha a materji, a prze-

cież nie stało ją na to by pojąć ducha bez ciała, więc i bogi swoje oblekła zmysłowością, ciałem!— Nieskończoność była tedy u nich na wieki materji zaślubioną. Bogi były wiekuiste i nieskończone,— ale nieskończoność ta jest sprzeczna wielości ich, bo gdy było wiele bogów, już każdy z nich był koniecznie odgraniczony od wszystkich innych, był więc w sobie ograniczonym, a przecież on miał być nieskończonym. Te bogi były wiekuiste a cielesnością odziane! Dla tego też one w swoich posągach, choć z uśmiechem niebiańskim na obliczu, tak czegoś tęskne i rzewne,— po tym uśmiechu płynie łza! Jakby w przeeczuciu smętném téj sprzeczności, Grecy uznali fatum, ową straszną przynależność, co grozi ludziom i bogom. Stąd znów dalsza sprzeczność bogów a przynależności, stąd znówu następnie sprzeczność w samym ciemnym łonie téj mocy wrogiéj. Bo fatum nieubłagane, to raz ślepe, uderzające z przypadku, jakby obłąkanie w ciemnicy porwany bezprzytomnym szaleńcem— to znów sprawiedliwe i mszczące krzywdy,— to zawistne szczęściu ludzi, pełza mlekiem niewiedzie i zabija; ono wszędzie obecne a niedostrzeżone, aż nie uderzy całym nieszczęściem gromem. W Grecji człowiek jest już wolnej woli i mistrzem swoich czynów, a przecież odpowiada za przodków swoich; zbrodnia pradziada wlece się chyłkiem za późnem pokoleniem i ściga furjami wnuków. Te sprzeczności zradzały inne a inne, rysując najgłębsze podwaliny greckiego żywota; fundamenta Grecji się padały; zrazu te szczeliny lekkie, niedostrzeżone, rozwierały się z wolna jako rany śmiertelne, niewyleczone nigdy.

Tragedya Greków była cichą, dziś ledwie dla nas

dosłyszana wróżbą przyszłego jej skonu, a więc też najwyższém górowaniem sztuki Hellady. Trzy imiona przesławne jaśnieją też jako wyobraźniki jej, a te imiona gromadzą się w okół najświetniejszych tryumfów dziejów greckich, bo ich piastą jest owa Salamińska bitwa,— w niej Greków duch przemógł milionowe Xerxesowe tłumy. Eschylus, żołnierz-poeta, walczy jako mąż dójrzały w tej bitwie: skronie jego już wieńczy chwala tragedyi głośniejszemu sławy, a piersi jego jaśnieją uciezione już bliznami z pod Maratonu. Naówczas szesnastoletni Sofokles wśród grona najurodziwszych młodzianów, uroczystym tanem oddaje dzięki bogom za odniesione to zwycięztwo, i właśnie znów w dzień tej potrzeby salamińskiej rodzi się Eurypides. Grecya za młodu umarła,— było jej śpieszno z tem życiem. Liczny szereg wielkich mężów swoich i wielkich spraw streściła w krótkim życiu, nie rozlekając ich na stolecia i lat tysiące.

Wszak z dawniejszego listu i z tego, co powyżej rzekłem, wiesz czym wedle nas jest tragiczność (List X). Tutaj każda z postaci jest wyobraźnikiem jednego z tych uczuć, które rządzą sercem człowieka, ale żadna nie jest całą prawdą, prawdą, która łączy i jednoczy wszystkie szczegółowe prawdy i uczucia, która jest dnem światowładnym wszechrzeczy, która właśnie owe szczegółowe uczucia i prawdy wysyła z siebie niaby promienie pojedyncze. Postać tragiczna tedy, oddając się wyłącznie jednej z tych prawd i urzeczywistniając ją czynem, obraża inne figury tragiczne, bo z nich każda przyznaje się do innego osobnego uczucia, a tem samem każda z nich potraça i znieważa prawdę wszyst-

kich prawd, będącą ich wszystkich trzonem a podwaliną, będącą samą prawdą wiekuistą i nieskończoną. Postać przeto tragiczna z jednej strony jest w swoim prawie, ma słuszość, bo uczucie, które ją podżega do czynu i prze, jest przecież jednym z tych promieni téj prawdy nieskończonój; z drugiej strony atoli na téj samej postaci ciąży całym wrogiem brzemieniem winy, boć ona, nieopatrznie gruntując się na tém jednym swoim wyłącznym uczuciu, nie uznaje uczuć innych, a tak nie uznaje też onój prawdy bezwzględnej, nieskończonój. Ta prawda zrazu niewidziana, będąca oddalonym tłem, wysuwa się zwolna, straszenie z za kulisy świata, rośnie majestatem niebotycznym i uderza gromem, karząc winę skonem! Kara ta i skon mrozi strachem serce widza, sięgając do ciepłych głębin jego zimną, nieubłaganą ręką, bo widz uznaje, że to jest sprawiedliwość wiekuista, co tu karze! I znów zarówno widz uznaje, że to uczucie, za które skonem płaci postać tragiczna, mieści się w jego własnym sercu, że to samo uczucie jest obecne w nim, we widzu, niby demon śpiący, a gotowy co chwila się obudzić i porwać go w nieszczeście otehlanie; i dla tego widz truchleje,—stąd jego współuczucie tak jest głębokie!

Chciój jednak baczyć, że inne ma znaczenie tragiczność w sercu wypiaśtowanym mądrością nowoczesnego świata, a inaczej wcale ona zaważyła w Grecyi. U nas tragiczność i skon jest zgładzeniem winy, pogodzeniem się człowieka z sobą i z prawdą wiekuistą, bo w naszym sercu tak głęboko! tak przepaścisto! My instynktem, przeczuć, wiedzą, wiarą chrześcijańską wiemy, że ta prawda wszystkich prawd jest w nas samych

zarodem, że jest naszym własnym pierwiastkiem; ba, że jest własną istotą naszą wiekuistą! Stąd wiemy, że winą, że oddanie się jednemu uczuciu wyłącznie, będące obrazą prawdy wiekuistej, odstępstwem od niej, jest zarazem odstępstwem od właściwej istoty nieskończonej naszej; gdy przeto ta prawda uderzy karą, toć uznajemy własną istotę naszą w niej, więc godzimy się z nią, nihy z sobą. Zważ! tu zaiste zawarte są najgłębsze głębie duchowego naszego żywota! Kto się wyrzeka winy swojej, kto w niej widzi jedynie błąd złej chwili, kto się jej zaprze całą gorącą, serdeczną żalością, ten już zaiste nawraca z niej ku wiekuistej a przeczystej prawdzie, i w tej prawdzie miłością tonie. Wtedy już winą owa przestaje być winą, winą staje się dla niego obcą potęgą—ona zgładzona; a człowiek nie tylko w przekonaniu swoim osobistym, ale rzeczywiście, naprawdę uwolniony jest od winy; on staje znowu w zgodzie z sobą i z ową prawdą wiekuistą, przedwieczną. Kara uderza jedynie w błąd jego, ale nie w jego istotę; ona jest zniesieniem chwilowego obłędu, pogodzeniem się przez skon z sobą, z prawdą nieskończoną, nawrotem przez miłość do Boga; na grobie pokutnika wyrasta palma—godło przebaczenia. Jest to tragiczność żywota ludzkiego w najgłębszym znaczeniu.

Takowej tragiczności nie знаła Hellada, ona nie znalazła tych głębin ogromnych, przepaściowych ducha. Grecya żyła ze światem zewnętrznym w harmonii pełnej wdzięków; świat zewnętrzny był tedy brzemiennej dla niej wagi. Nie zdolając utonąć we własnych bezdeniach, Hellada korzyła się przed życiowładnym fatum, ślepekim losom przypisując przewagę nad sprawami i



żywotem człowieka. Jakoż oparcie się na sobie, zapuszczanie się nurkiem we własnych toniach, rozsadzające ową harmonią, byłoby antygreekiem.

Niech się tedy święci po wszystkie wieki geniusz tragików greckich, bo Eshylus, bo Sofokles wzięli na się jako zadanie swojego żywota przywieść ludowi na oczy sprawiedliwość bożą, karzącą złe, mszczącą krzywdy; oni uczyli jak miarkować seree, jak ważyć namiętności. Oni wskazali, jak człowiek łączyć ma wolną wolą swoją z rządem niebian losowładnych, jak czeić obyczaj i prawo, jak godzić rzeczy boskie i ludzkie. Tę drogę pierwszy wyłamał geniusz tytaniczny Eshyla, co wznosi się nad świat całą fantazją Wschodu, a mądrością i umiarkowaniem Greeyi, co tak zuchwały a potężny jakby natury moce, jako burze morskie, jak zrywające się ognie podziemne, jak trzęsienie ziemi lub pożar ciemnej noey.

Treść w jego tragedyi prosta; ona kroczy zwolna, harda, pełna grozy i głębi jako chmura, co niesie pioruny i grom. W tropy za nim idzie Sofokles. Sofokles—on tragikiem połowy świata! Ród ludzki czekał dwa tysiące lat, bo czekał aż się Shakespeare urodził, a z nim tragedia innego rodzaju. Sofokles i Shakespeare—to jakby dwaj reprezentanei dwojój tragedyi. Możnaby powiedzieć, że nie ma tragedyi, tylko ta co staje przy Sofoklesowój sztuce, albo ta co idzie wzorem Shakespeara; tu środka jakby nie ma. Choć okażemy w inném miejscu, że ta odwrótność nie dochodzi bynajmniej do gruntu samego rzeczy, że gdy jedna jest piękność, więc tragedia Shakespeara i grecka, czyli prawdziwie klasyczna, mają wspólne sobie tło i podstawę, i są może więc

ceją z sobą spokrewnione, niż się z wierzchu zdaje. Są to dwa dęby olbrzymie, łączące się pod ziemią w spólny pień, w spólne korzenie.

Sofokles treść powiązał z mistrzowska; figury jego są pełne, plastyczne, niby światem w sobie zupełnym, skończonym; z piersi ich płynie Pathos, jako rzeka wspa- niała, głęboka. A co w sercu jego bohatera rodzi się, to porywa inne figury, boć to jest uczucie włożone od wie- ków w duszę człowieka i żyje w niej nieprzemożoną nigdy potęgą, i żyje w świecie, jako jego krew a tę- tno. Sofokles roztwiera skarby, obłądy ciemne zam- knięte w duszy człowieka, podnosi opony zasłaniające historią serea i świata, a z wysoką sztuką splatając w jeden obraz dzieje tragiczne figur swoich, dotykając się wszystkich nezuć, niby klawiszów brząających, wydo- bywa z nich i jęki i żale, boleść, trwogi i gniew i szal i wszystkie ochoty i namiętności ukryte; aż w końcu te dyzharmonie różnych dźwięków, te zderzenia się ich i walki cichną, korząc się przed powagą ustawy oby- czaju. Bo ta ustawa jest konieczną, niewywrotną a prze- cięż ugruntowaną na woli człowieka, na téj woli będą- ceją z wierzchu tak ruchomą, kolysaną wichrem namię- tności, a spoczywającą przecież na tronie niewzruszo- nym i wiecznym.

Tak tedy Eschylus i Sofokles światłością geniuszu swojego rozjaśnili nocne tło przeznaczenia, okazując nosobijając się na niém postaci sprawiedliwych bogów i odsłaniając występującą z ciemnicy jego Nemesis, co ściga zbrodnie.

Tak ulagodzona jest nienżytość twarda nieubłaga- nego fatum w poczyi tych wielkich tragików; ale prze-

cież i oni, jako cały świat grecki, nie zdołali go zgłędzić, zetrzeć na zawsze. Rzekłem albowiem, że nie było w onym świecie starym owęj głębi chrześcijańskiego serea, bo ani Eschylus ani Sofokles nie zdołali zanurzyć się w topielach własnego ducha i zerwać do dna z potęgami, co broją zewnątrz człowieka. W nich niema tego głębokiego pogodzenia człowieka z wiekuistą prawdą w znaczeniu wielkiem nowoczesnego świata, niema tego zupełnego, całkowitego nawrotu do siebie; bo do tego trzeba, aby człowiek wiedział, że prawda wiekuista, nie ginie nigdy, mieszka w nim samym, że jest jego własnym istotnym pierwiastkiem; do tego trzeba było wiedzy żywěj o nieśmiertelności ducha człowieka. Żywot pośmiertny u Greków był cieniem bladym, smętnym, nierównie niższym, niż życie doczesne wśród jasnej promiennej rzeczywistości. Skon, nie ma u Greków tego znaczenia wysokiej prawdy jak u nas, cośmy dziećmi innęj wiary, innego świata.

Dla tego właśnie, że nieśmiertelność ducha stawiała w lekkim rozwiewnym obrazie przed oczyma Greków, stąd też oni żyli całą istotą swoją w rzeczywistości tu-tecznej, i dla tego też właśnie nie rozdzielali do dna wiekuistości od doczesnego świata; wynikało stąd, że najwyższym szczytem dla ich ducha, była ta harmonia owych dwóch światów, owa piękność fantazyi. Dla nas zaś, cośmy duchem urosli, dzieła piękności, te lubie fantazyi dzieci, wystarczą by sobie upięknąć, umilić tę ziemską tymczasową gospodę, ale ich nie stać by nam zastąpiły wieczność; a piękność jest nam o tyle drogą, o ile nam jest wieczności ziemską zwiastuną. W naszej tragiczności, czyli ona się roztoczy na teatrze, czyli w ży-

ein, grom, który spada na człowieka, choć piorunny, śmiertelny, znajduje usprawiedliwienie swoje we własném sereu, we własném przekonaniu tego, na którego nderza cios; bo karząca go wiekuista, władająca światem sprawiedliwość, zarazem zasiada w sereu jego. U Greków zaś karze fatum.

Dziś w estetyce słusznie przeważa zdanie, że fatum nie jest jedyną mocą działającą w tragedyi greekiej, bo to fatum, choć jest raczej mściwe niż karzące, choć kary jego straszliwe nie bywają w stosunku do winy, toć z drugiej strony prawda, że to fatum nie jest ślepą mocą, bo ono wywołane bywa z ukrycia przez własną winę człowieka. Zaiste, to zdanie estetyków jest słuszne, lecz trudnoby mi przyszło zgodzić się z tymi, którzy przesadzając twierdzą, jakoby fatum żadnej władzy nie miało w tych greekich tragediach. Fatum nie było starte ze świata, bo nie była jeszcze starta moc cielesna, bo duch nie był jeszcze w Greeyi samoistnym, samodzielny.

Greeya była ludem młodym, prawie pierwotnym, ona była jedną z pierwszych cór historyi; przeszłość dziejowa, która ją wyprzedziła, była jeszcze tak krótką, tak niedawną, przeto też i treść w człowieku nie była jeszcze w Greeyi tak bogatą, tak pełną osnowy jak w naszych stóleciach, które się wychowały długim pasowaniem się przez lat tysiące, które są wypadkiem wielkich cierpień, boleści niewymownych i tryumfów łzawych a krwawych. Z tego też powodu charaktery greekich tragedij były prostoty pełne, a to nie tylko dla tego, że były stworzone przez wieszczów należących do tego pierwotnego ludu o treści prostej, ale nadto dla tego, że wzięte nawet były z historyi pierwotnej, z mitów

tego pierwotnego ludu, z czasów porannego świtu jego. Stąd wynika prostota tych charakterów; każdy z nich wyobraża tylko jedną wyłącznie myśl, jedno wyłącznie uczucie; a jest cały tą myślą, tém uczuciem. W tragediach np. Shakespearą, każdy z charakterów jest wprowadzie także wyobraźnikiem jednego uczucia, jedną myślą, ale oprócz tego pierwiastku, panującego w nim i będącego w nim główną sprężyną działania, on jeszcze chowa w sereu treść bogatą, w nim waży się i kipi wiele uczuć i myśli, które razem wzięte dopiero stanowią jego indywidualność, jego właściwą fizyognomią duchową. Każda z tych figur brzmi wprowadzie jednym tonem panującym, ale z nim zarazem słychać i inne wtórujące akordy, a co więcej, prawda wiekuista, jako boży pierwiastek udzielony człowiekowi, nie usypia nigdy w sereu, a choć przygłuszony, budzi się przecieź jako anioła głos, co woła na ostateczne sądy Boże. Tego niema w tragediach greckich, w nich niema téj bogatej, różnorodnej treści, ujętej w jedność wiekuistą; w nich figury są niby niezmiennie maski o nieruchomój twarzy, bo w nich jedno tylko uczucie włada, a pierwiastek wiekuistej prawdy jeszcze nie zapukał w głębiach duchowych.

Nadto, warto nam jeszcze i na to zwrócić uwagę, że te figury przyszły Grekom tradycją, podaniem z dawnych lat, jako typy nietykalne, których zmieniać nie było wolno; wieszcz nie ośmieliłby się był nigdy przedstawić bohatera z dawnych lat wedle swojego własnego zapatrywania się; on go tak stawiał przed oczy widza, jak żył w wyobrażeniu i sereu ludu. Z drugiej strony te charaktery i typy już gotowe, już dane, były nie-

przebrany skarbem dla wieszczów jakim był Eschylus i Sofokles; oni zbadali tajemnicze i pełne wagi znaczenie tych typów, oni przeprowadzili je w obec ludu, jakby filozofią ojczystych dziejów. Stąd Arystoteles rzekł, że tragedia wyższa od sztuki pisanja historyi, «bo ta jedynie przedstawia rzeczy jak były z całą przypadkowością swoją, tragedia zaś bada duszę dziejów i dotyka się ich tętna.» Przyznasz mi jednak, że właśnie dla tego, iż Eschylus, że Sofokles nieyli czei dla bogów i praw i obyczajów, że przywodziłi w obec ludzi wieczną sprawiedliwość, już tém samém uznali potrzebę tego nauczania, a tak stali się dla nas wróżbą, że stara Grecja i harmonia jój z obyczajem i religią usuwała się już z dramatu rzeczywistego życia. Przyznasz, że gdy ta tragedia nakazuje człowiekowi rozpatrzenie się we własném wnętrzu swojém, już tém samém była cofniemieniem się jego w siebie i piérwszym zaczątkiem rozwołu między światem wewnętrznym ducha a rzeczywistością zewnętrzną.

Ta eccha przeradzając się, a raczej konającój Grecyi występuje z całą prawdą swoją w tragedyi Eurypideisa—on synem wskróś odmiennój epoki. Nastal czas gorączkowy; wyrывało się osobistą chęcią serec ludzi mianane namiętnością i podrzucane innemi potęgami, które dotychczas trzymane na wodzy czeią ogółu milezały na dnie duszy. Podwaliny pradiadowe społeczności, zakon dawnego obyczaju, straciły świętość swoją, a człowiek zdanie swoje jednostkowe, te chętki piersi własnych uważał za prawdę, za skazówkę postępowania swojego. Popękały dawne ogniwa, każdy uważał się być całością osobną dla siebie, a nie stojąc na zasadach ogólnych

jako na fundamentach swoich, nie brał też sił i żywotnych pierwiastków z głębin prawd rodzimych; stąd stał się wiotkim i słabym, bo był-li tylko na sobie oparty. Drzewo zeschło, a te liście, co niegdyś silnie trzymając się drzewa, jako spólnego tła, były ezerstwe i zdrowe, teraz zżółkły, spadły idąc na poniewierkę lada powiewom. Takim jest Eurypides, takie są jego figury. Owa harmonia, która była żywotną istotą Greeyi, czyniąc z jój ludu lud-artystę, która była dla nas wątkiem całego rozwoju naszego, ta harmonia znikła niepowrotnie ze sceny świata. W Eurypidesie nie ma owych potężnych i wspaniałych charakterów, w których żyje rdzeń żywota całej Greeyi, ale jawią się figury popisujące się błyskotkami swoich osobistych sentymentów. Postaci Sofoklesa działały partę wewnętrznym Pathos; tém Pathos było nie tylko ich uczucie osobiste, ale prawda istotna, ogólna, i dla tego tak olbrzymiego wrażenia. U Eurypidesa figury są rozwojem psychologicznym, są roztoczeniem swawolnej osobistej chętki sofistycznej; niemi miota jakaś tęsknota, jakieś na pół zrozumiane chorobliwe pragnienie. Gdy u tamtych tragiczków właśnie to Pathos, jako ogólne, wystarczało aby poruszyć wskrós widza i zatrząść sercem jego; Eurypidesa figury nie mają same przez się téj potęgi; więc rade zając jeszcze widza sztuczném powikłaniem bajki tragicznej, wymyślném naprężeniem ciekawości, wznieceniem jakiejś tęsknoty nieukojonéj. Te tragedye były wyrazem dziejów, które nastać miały w rzeczywistości, gdy już każdy w Helladzie uczynił się odrębném ogniskiem samego siebie, gdy Greeya rozjednostkowała się na atomy osobne. Był to czas wojny Peloponezkiej,

w której również one wszystkie ludy Greeyi, zrywając ogniwa jednoczące je w całość, stanęły do siebie kolliżą a bratobójczą walką. Tę wojnę opisując Tncydydes, mistrz dziejopisów, powiada, że: «dużo było rozkazujących a słuchających mało, że każdy upatrywał przyczynę każdej przegranej właśnie w tém, że jego tam brakowało, boć on byłby niby złemu zaradził.»

Słowem, ów, niegdyś cudnej piękności, żywot Greeyi wypaczył się, wydrzeźnił w ironią—on dojrzał w ośnowę dla komedyi. Bo gdy zniknęła cześć dla rzeczy publicznej, gdy zewsząd pechała się prywatą, gdy interes osobisty rozpierał się po świecie, siebie za piastę wszech rzeczy mając — wtedy zachodziła sprzeczność między tém, czém każdy się być mniemał, a czém w istocie był, a przekonanie się jego własne o téj sprzeczności zrodziło komieczność. I znalazł się tu komik! znalazł się starogrecki człek z krwawą boleścią w sercu, ze łzą w oku, ze śmiechem na ustach, a z jadem żółci w mowie: był to Arystofanes, komik długo zapoznany a przecież tak olbrzymi. On pisał tym Grekom komedye, a lud śmiał się na komedyi, chichotał z dowcipów, z konceptów lubieżnych, ze scen tak pociesznych! Ale na dnie tych dowcipów, konceptów był wyrok śmierci na lud ten; w nich brzmiał jego sąd ostateczny, w nich śmiała się rozpacz konającego.

Arystofanes palił dowcipem rany śmiertelne Greeyi; pod wesolością lekką ducha, pod drwinkami rozpusty chował uczeziwe, prawe nadzieje wyleczenia ludu swojego i nawrócenia go do starego obyczaju, do przeszłości: on się ludził, że zdolny włąć nowe życie w ten biędny kraj swój, on pieścił się myślą, jakoby ta choroba



Hellady była jedynie przechodnia; on za mało sobie ważył te pojawy nowego pierwiastku, który się na świat rodził. Ten pierwiastek, mający przeistoczyć dzieje ludzkie, już był obecny, już pukał pod ziemią, unosił się w atmosferze. Greeya nie tylko dla tego umierała, że była popsowana w sobie, ale psuła się, bo wybiła godzina, gdy inny zwrót miał nastąpić w historii ludzkiego rodzaju. Tym zwrotem był nawrót człowieka ku sobie, utonienie jego w duchu.

---

»Mężowie! ci wszyscy którzy podrobili świadectwa  
 »nastające na mnie, równie jak ci, co od nich wyucze-  
 »ni świadectwa dawali, krzywoprzysięstwem je uświę-  
 »cając— są to zaiste ludzie przekonani w duchu o niepra-  
 »wości i bezbożności czynu swojego. A czyliż mnie  
 »przystoi, abym w tej chwili mniej siebie ważył, niż  
 »przed zapadłym wyrokiem waszym? Wszak nie do-  
 »wiedliście mi żadnej winy, o którą przed was przy-  
 »zwany zostałem. Bo świadkiem mi Zews i Hera (Juno),  
 »żem nie czynił nigdy ofiar żadnym nowym bogom, ani  
 »też nie przysięgał nigdy na imię ich, anim ich kiedy-  
 »kolwiek uceził bogów imieniem!.... A czyliż ja mo-  
 »głem psuć młodzież? ja, com ją uczył zawždy, jak się  
 »miarkować, jak cierpieć! Śmierć moja niesprawiedli-  
 »wa, nie jest dla mnie wstydem, ale jest tylko hańbą  
 »tym, co mnie skazują na skon! Wiem, że nie tylko  
 »czasy przyszłe, ale cała przeszłość będą mi świadkiem,  
 »żem nikogo nie krzywdził w życiu mojem, żem nie gor-  
 »szył nikogo, owszem, że świadczyłem tyle dobrego,  
 »ilem tylko mógł, tym wszystkim, z którymi przestawa-

»łem; i to pewna, że uczyłem bez nagrody żadnej, jak to  
»być zacnym człowiekiem na świecie.«

*(Przemówienie się Sokratesa po skazaniu go na śmierć—  
z Xenofonta.)*

Wiadomo ci zaiste, że Plato w dyalogu swoim »Phaedo« powtórzył rozprawę, którą miał Sokrates z uczniami przed skonem, a mianowicie cały rozwój nauki jego o nieśmiertelności duszy człowieka— rozmowa, która po wszystkie wieki i po wszystkie ludy zostanie arcydziełem mądrości i filozoficznej głębi. Słusznie też powiedziano, że chwile uroczyste przedśmiertne mędrca oblały poświęcą swoją ten zacny przedmiot rozmowy, i nawzajem, że zacność przedmiotu uświęciła i podniosła ostatnie chwile i skon jego. »Phaedo« kończy się temi słowy: ów zaś sługa więzienny, który mu podał truciznę, pokazał nam jako Sokrates stopniowo od nóg drętwiał, i dodał: »gdy to dojdzie do serca, będzie po wszystkim!«— Niezadługo, drgnęło nim, sługa odkrył twarz, oczy zgasły.— Widząc to Kriton zamknął mu usta i powieki.— Taki był koniec naszego przyjaciela, tego męża, który wedle przekonania naszego jest najdoskonalszym człowiekiem, i pewnie też najrozumniejszym i najzacniejszym ze wszystkich.«

Zaiste był to człowiek najdoskonalszy, był to człowiek, co się urodził na chwałę rodzajowi ludzkiemu, a przecież ten człowiek bezświadomie, bo party duchem przyszłości w nim żyjącym, przez naukę swoją dał haśle na śmierć Hellady. Od powiewu jego filozofii zerwała się harmonia wewnętrznej treści człowieka a rzeczywistości— ta harmonia, która była Greeyi żywotem;—

więc uleciała i fantazyja artystyczna Grecyi, owa fantazyja klasyczna, której oddechem a istotą była właśnie owa harmonia wdzięków pełna.

Dziwném to zrządzeniem ta sama fantazyja, której szczytem była tragedia, ta fantazyja umarła na naukę męża, którego skon sam jest tak wysoką tragicznością. Dziwny to splot dla nas, ale nie dla Grecyi, bo ona jest taką całością pełną konsekwencyi! bo jój życie samo jest jakby arcydziełem sztuki!

Łatwo cię przekonać, że tak istotnie się rzecz ma; zechciej tylko przypomnieć sobie, co gdzieś wyżej rzekłem. Powiedziałem, że duch dziejów wszechobecny, krocząc przez ludy i stólecia, widział, że nadszedł czas, by człowiek uczynił nawrót ku sobie i zapuścił się w zapadliny głębokie własnej istoty swojej. Ten duch, obrał sobie za świadka a kapłana swojego czyste serce Sokratesa, a usta jego za wieszczę nadchodzącym stóleciem. Duch dziejów zapukał w jego piersiach i dał mu znać o sobie. A Sokrates, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, nie przeczuwając, skąd mu to parcie duchowe, przypisywał owe wewnętrzne wołania w duszy jakiemuś geniuszowi, co mu szeptał ciche wróżby; i zatonął, młodzieńcem jeszcze będąc, w onym napisie na wyroczni delfickiej »poznaj siebie samego.« I Sokrates myślą zapadał się w ducha swego, i poznał go, i dokonał zadania owej wyroczni; w sobie znalazł wyrocznię wszelkiej prawdy, więc też owa zewnętrzna delficka Pitya oniemiała,—umilkła. Gdy sam duch człowieka z głębi własnych rozpoczął proroctwa swoje, ona ustąpiła wyższym wieszczom.—Ale to nurkowanie, to zapadanie się ducha w siebie, było zarazem cofnięciem się jego

z rzeczywistego świata, więc skonem harmonii, którą płynęło owo piękne życie Hellady. Serce jój ciszej a ciszej biło,—w rychle miało stanąć i umilknąć na zawsze. Duch dziejów ludzkich oko swoje zwrócił na wnętrze swoje, więc dla niego świat doczesny, słoneczny stracił wartość. Duch przewidywał. Te dawne, pełne piękności marmurowe posągi bogów, były bez żrenicy, bez wzroku! one już miały zestąpić z wysokiego podnoża (\*)!

(\*) *Sokrates* był zaiste pierwszym z Greków, który zwrócił myśl na wnętrze duchowe, na myśl samą, a tak nauka jego już w zarodzie chowała pierwiastek antygrecki, bo gotowała zerwanie człowieka ze światem zewnętrznym, więc zerwania harmonii ducha z całą rzeczywistością, bo tak z naturą jak i ze społecznością;—a wiemy że ta harmonia była właśnie pierwiastkiem żywotnym Grecyi, jako klasycznego ludu. Lecz gdy to zerwanie było dopiero zarodem zamknięte w nauce Sokratesa, więc nie rozumiejmy jakoby ono zaraz, bezzwłocznie i w całej pełni wystąpiło z jego filozofią w świat; owszem ten nowy pierwiastek pojawia się dopiero w całej wyrazistości w późniejszej nierównie filozofii i w późniejszej epoce historii greckiej.

Jakoż, uważmy, to zwrócenie się Sokratesa do wnętrza duchowego wyraża się głównie tém: że Sokrates uważa iż pierwszym warunkiem wszelkiego prawdziwego poznania przedmiotu jest: „aby człowiek zwracał bacność na własne pojmowanie swoje, aby myśl własna stała sobie samą na straży.” Widzimy tedy że Sokrates jak z jednej strony cofa myśl we wnętrze ducha, a poznanie własnego trybu poznawania czyni warunkiem wszelkiego istotnego poznawania;—tak z drugiej strony nie zaprzecza prawdziwości rzeczywistych przedmiotów. Uczeń jego, *Plato*, posunął się jednym stopniem wyżej; u niego bowiem jedynym prawdziwym przedmiotem są myśli, są pojęcia—ale nie zwyczajne myśli ludzkie, ale myśli światorodne, idee istniejące we wszechbytności, wyrażające się w przedmiotach; świat zewnętrzny zaś, przedmioty rzeczywiste, otaczające nas do koła, są jedynie odbiciem, odgłosem tych idei.—Te idee, to myśli rządzące światem są, wedle Platona, rzeczywistością prawdziwą; to zaś co ludzie zwykle przedmiotami rzeczywistymi zowią, więc ten świat zmysłowy, materyalny, dotykalny, jest tylko cieniem onych myśli. Widzimy tedy, że *Plato* z jednej strony zrywa ze światem zewnętrznym, zwykle zwanym rzeczywistością, ale z drugiej strony na miejscu jego sadza prawdziwą rzeczywistość—ideje, które nie tylko mają istnienie we-

Rozumiész przeto, że sam ten Sokrates jest tak głębokiego tragicznego znaczenia. On ma słuszość, bo przez usta jego objawia się pierwiastek nowój nadechodzącej epoki świata,—i w tém jego prawo; ale z drugiej strony, choć bez wiedzy swojej, on zarazem obraża i śmier-

wnątrz człowieka, ale są prawdami i zakonem świata. Wszelako Platona filozofia ten ma niedostatek, że nie zdołała wytłómaczyć stosunku między dziedziną tych nadświatnych idei a rzeczywistością zmysłową, widzialną i t. d. To właśnie w nim gani uczeń jego *Arystoteles*, który dla tego całą potęgą geniuszu ku temu się ma, aby wytłómaczył styczność między idejami a światem widzialnym, między duchem a materją. Główną myślą w tym względzie jest u Arystotelesa zasada: że ten stosunek i styczność jest stosunkiem formy do osnowy; że myśli, że ideje są formą, a rzeczywistość zmysłowa materjałem, czyli osnową dla téj myśli a idei.

Nie rozszerzając się dłużej nad tym naszym rozwojem, wystarczy gdy powiemy, że filozofii Arystotelesa nie udało się rozwiązanie tego zagadnienia; stosunek formy do osnowy był niedostatecznym by zrównać łączność dwóch odwrótnych światów. Stąd znać że on, całym geniuszem pracując nad połączeniem dwóch tych odwrótnych biegunów, tém samém pragnął zatrzymać ową harmonią między myślą a materją, między człowiekiem wewnętrznym a rzeczywistością zewnętrzną. Była to więc dążność, pracująca w nim mimo wiedzy, aby utrzymać właśnie to, co było charakterem i warunkiem żywotnym Grecyi i świata klasycznego. Lecz z jednej strony, sama ta dążność jego, a z drugiej strony niedoprowadzenie do skutku téj dążności, tego zamiaru, okazuje że również jak w Platonie, jak w Sokratesie,—tak i w Arystotelesie widzimy naprzód zerwanie ducha ze światem wewnętrznym a rzeczywistością, a powtóre widzimy także, iż to zerwanie, że ten zwrót ducha ku sobie jest tutaj dopiero w pierwszym swoim stopniu.

Dopiero po Arystotelesie następuje nowa epoka Filozofii Greekiej—cofnienie się człowieka staje się zupełném, bo filozofowie nawet uczą: że człowiek opierać się winien sam na sobie, i w sobie samym szukać spokoju i zadowolenia, że świat nie da mu nigdy tego zadowolenia. Ten kierunek w najwyższej potęgce okazuje się w filozofii *skeptycznej*, która wyraźnie orzeka: że człowiek nie zdolen poznać prawdy, że nie zdolen poznać przedmiotu; a tém samém ta filozofia orzeka, że niema już żadnego związku między myślą człowieka a przedmiotami, między duchem a rzeczywistym światem.

telnie rani Grecyą, która umrze na ten właśnie nowy pierwiastek,— i w témjego winą. Nawzajem Ateńczyey, nastając na mędrca głoszącego prawdę, kłującą się w dziejach, stali się winni w obec zakonu historyi; lecz zaiste to nastawanie było znów ich prawem, bo było własną obroną Grecyi i jej żywota. Toć jest zderzenie się, kollisiona tragiczna dwóch stron odwrótnych.

Ateńczycy instynktem przeczuwali, że filozofia Sokratesa stanie się skonem Hellady;— oskarżają go tedy, że nie wierzy w dawnych bogów, ani w stare wyrocznie, lecz w demonium co w nim przemawia, że lekce waży obyczaj rodzinny, że młodzież psuje uwodząc ją nauką swoją. Utorował im już dawniej drogę Arystofanes—ów genijalny komik—wierzący w możność nawrotu do starogreckich obyczajów. On całym natchnieniem swojej żółci uderza na Sokratesa, szarpiąc dowcipem, szargając szyderstwem ucheiwą, nieskalaną sławę zacnego nauczyciela. Ateńczycy, zrazu na komedią oburzeni, wnet sami wytoczyli Sokratesowi gardłową sprawę i zadali filozofowi śmierć.— Nie wrócił już atoli stary obyczaj, a lud Ateński w rychle po skonie mędrca swojego, sam już przesiąknięty nowemi prawdami jego, skazuje onych oskarżycieli na śmierć lub wygnanie. W sercu własném całego ludu staje gościem wrogiem,— rozdwojenie.

Gdy się tak zerwały ogniwa między światem zewnętrznym a wewnętrznym, już nadaremnie późniejsze filozofie greckie pracowały, by połączyć oba te światy. Każda z nich trzyma się ostateczności: »Rzucaj się wyłącznie całą duszą w objęcie zewnętrznego, zmysłowego świata, on sam jeden jest prawdą« tak

woła *Epikureizm* późniejszy, zepsuty.— »Odepehnij od siebie tę rzeczywistość, pomiataj zakonem jój; zmysłowość jest kłamstwem, szukaj w sobie prawdy« uczą *Stoicy*, co, cofnawszy się w ducha, otulają się dumą enoty i przestawania na sobie. Nakoniec człowiek rozpacza i o treści ducha i o rzeczywistości i o myśli własnej, i o tém wszystkiém co istnieje, rozpacza tedy o wszelkiej prawdzie, o sobie samym— a tak zradza się *Sceptycyzm*. Sceptycyzm złożył zwłoki Grecyi do grobu i stanął na jój mogile, a serce człowieka spustoszało i ogłuchło. Świat w boleści swojej wołał ratunku.

Tak tedy słuszne było twierdzenie moje. Owe podania mgliste pierwotnych dziejów greekich, owe postaci poranne a mityczne historye, co się zdawały być greekiemu ludowi niepowrótą już nigdy przeszłością, odżyły naprzód poezią wielkich tragiców jego, prorocząc mu własną smętną przyszłość; a wnet też owe zderzenia się i walki zestąpiły ze sceny w rzeczywisty świat. Stało się przeto, że najwyższe arcydzieło poezyi: *Antygona* Sofoklesa, a losy Sokratesa, najjaśniejszego męża Hellady, co był wróżbitą skonu ojczyzny swojej, dziwnie są odpowiednie sobie (\*).

---

(\*) Dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, przypomnę tutaj treść *Antygony*. . . . .

Rzecz tak się ma:— Dwaj bracia *Antygony* walczą o tron zmarłego ojca *Edypa*. *Eteokles* z krzywdą brata zasiadł na stolicy Tebańskiej. *Polynikes*, dochodząc prawa swojego, na czele hufców obcych najeżdża miasto rodzinne. Stąd oba winni. W bitwie krwawej obaj bracia nawzajem zabijają się bratobójczą walką. Teraz *Kreon*, wuj ich, owładnął rządy w Tebach. On, jako wyobraźnik prawa i ustawy publicznej, chowa zwłoki *Eteoklesa* z całym przepychem i czcią należącą obrońcy miasta; ciało zaś *Polynikesa* zostawia na pastwę pastwu i dzikiemu zwierzowi a śmiercią grozi każdemu, ktoby je śmiał pogrzebać. Mimo ogłoszonego

Sokrates i Antygona! Dwadzieścia i trzy stolecia minęły, gdy natchniony geniusz Sofoklesa udarował ród ludzki tą tragedją swoją. A dopiéro kilka lat upłynęło, gdy teatru Berlina i Paryża, pragnąc przecież jakąś

zakazu tego, Antygona, idąc za natchnieniem miłości rodzinnej, powierza ziemi zabitego brata, a tak działając wbrew publicznemu prawu, winną się staje. Schwytana przy dopełnieniu powinności pobożnej, jest skazaną na zamurowanie żywcem w grobowcu. Toć jest cała treść tragedyi.

Kreon i Antygona zderzają się kolidyą jako dwa uosobnione, wręcz przeciwne sobie, pierwiastki,— są to dwie główne postaci smętnego dramatu. Obok Antygony staje siostra jej Ismena; ona przedstawia słodcz niewieścią, łagodność i bierność charakteru, a tak tém potężniej rysuje figurę siostry swojej.— Obok Kreona znowu Hemon, syn jego, narzeczon Antygony; on przemawia imieniem miłości; ujmując się za kochanką, zderza się z ojcem, zapomina o czci jemu należnej, a tak sam przewinił obyczajowi domowemu, powinnościom rodzinnym. Nakoniec kapłan i wróżbita Tyresias, starzec ciemny, od dziecięcia prowadzony, napomina imieniem bogów Kreona by się pomiarkował i nie obrażał świętych odwiecznych ustaw.— On jest głosem sumienia, radą serca; ślepotą zakryła mu świat zewnętrzny, ale oko duchowe otwarte i ezuwa, jasno wgląda w najdalsze, dla innych niewidzialne prawdy.

Każda z tych figur tragicznych ma słuszość, bo jest wcieleniem jednej z onych prawd; ale każda z nich, tém jednem uczuciem porwana, pomija względy należące się od niej innym prawdom:— ztąd brak umiarkowania, ztąd zderzenie z niemi a spadający grom nieszczęścia. Lecz każda z nich w końcu godzi się, miękniejąc traci szorstkość swoją. Antygona, w obliczu okrutnej śmierci, wraca do słodczy i łagodności niewieści, a mężne i szlachetne jej serce płacze nad własnym losem swoim. A Kreon, co nieużyty i twardy, bo jest uosobioną ustawą, rozplywa w końcu rozezuleniem nad losem rodziny swojej którą sponiewierał.— Ohraził bogów podziemnych nie grzebiąc ciała poległych nieprzyjaciół; jakoż dziki zwierz, ptastwo, roznoszą krwawe ich członki, kalając ołtarze ziem pogranicznych. Ludy sąsiednie ciągną gęstym zastępem, pomścić się świętokradztwa znieważonych ołtarzów bogów swoich.

Hemon, syn jego, zadaje sobie śmierć, nie chcąc przeżyć kochanki. Eurydyka, żona Kreona, rozpaczając nad śmiercią syna, ginie skolem samobójczym. Tak grom po gromie spada na głowę Kreona. On dawno już odwołał wyrok srogi, ale Antygona zamknięta w grobie sama sobie życie odebrała;— serce jego kruszy się pod brzemieniem nieszczęścia.



nowością podrażnić znudzoną, zużytą publiczność swoją wprowadziły Antygone na scenę. Tłumnie garnie się gadatliwa, dowcipkująca, wytworna ciżba, by się przypatrzeć dziwowisku, co zakłęte występowało z zapa-

Kończy się tragedia oddając upamiętaniu cześć i napomina śmiertelnych, by samowolą nie bluźnili bogom.

Zaiste warto byłoby te rozprawy nasze o fantazyi greckiej ukończyli kilku słowami z Antygony. Podaję ci tylko okruchy ułomków, a przecież one jakby klejnoty drogie z bogactw kosztownie tę biedną pracę moją. Nie ośmielam się korzystać z mistrzowskiego tłumaczenia pana Kaszewskiego, bo mając, jak rzekłem, podać jedynie okruszyny téj tragedyi, nie radbym zadać gwałtu pięknym a wdzięcznym wierszom tłumacza i spaczyć tak wielce zasłużoną a złą pracę jego.

Antygona, słysząc o zakazie pochowania zwłók braterskich, pyta Ismeny czyli zechce razem z nią dokonać pobożnego dzieła.

ISMENA. Pomnij że my niewiasty nie zrodzone by wbrew przemocy mężów stanąć do walki!—Ja się modlić będę umarłym o przejrzenie méj winy, żem zmuszona korzyć się przed powagą doczesnej ustawy. . .

ANTYGONA. Więc ja sama jedna zmarłego pochowam. I umrę radośnie po dziele tém, i złożę głowę moją obok mojego przyjaciela, ukochana od niego . . . . . Tym, co są pod ziemią, dłużej podobać się godzi niż żyjącym na ziemi, boć kiedyś przyjdzie na zawsze spocząć obok nich! Ty znieważaj prawa przez bogów uczczone! . . . . .

Straż donosi Kreonowi, że zwłoki Polynikesa pochowane ręką niewiadomą. Kreon grozi straży śmiercią, jeśliby nie odkryła sprawcy, a gdy Chór starców powiada, że przeczucie jakieś mu mówi, iż pogrzeb ten stał się z nakazania bogów, Kreon. . . . . Umilknij! a umiarkuj nieopatrznej mowy!—Śmiesz mówić, że bogi zasłaniają paizą swojej opieki tego, co na ich świątynie w kolumny strojne, i bogate w dary ofiarne, niósł pożogi, co w kraj ich opieki rzucił gwałcenie ustaw i praw! . . . . .

Zaczajona u grobu straż dostrzega Antygone, czyniącą błagalną ofiarę i chowającą zwłoki brata. Kreon pyta, czyli znała ogłoszony rozkaz

dłtych zbutwiałych grobów. Cisną się i garną ze zdaniem już gotowém: »Zapewne ten Sofokles był wielkim poetą na swój czas a lud; ale przecież od téj epoki, przez blisko półtrzecia tysiąca lat, tyle i tak dziel-

jego, i pyta, skąd jej ta śmiałość działania wbrew jego woli? Ona przyznając się do czynu powiada:

Ani od Zewsa, ani od bogów podziemnego świata płynęło rozkazanie twoje; ono nie jest wzniesione nad boże prawa, co niezmienne nigdy, nie pisane nigdy, nie dzisiaj, nie wczoraj zrodzone, żyją bez końca, a nikt nie wie kiedy stanęły wśród ludzi! więc mnie nie trwoży żadna groźba ludzka, bym miała gwałceniem tych praw wywołać na się bogów sądy!—Zaiste! nie minie mnie skon!—Lecz choć mię i przed czasem zabierze, będzie dla mnie wygraną. Bo kto mnie podobien, wśród katuszy wiedzie żywot swój, temu zaprawdę ukojeniem żalów jest śmierć. . . . Śmierć nie jest dla mnie boleścią, ale boleścią mi widok niepogrzebionego własnej matki syna!—

KREON. Ty go czeząc znieważasz drugiego brata!

ANTYгона. Zaiste, sam umarły nie sądzi sądem twym!—

KREON. Ten pustoszył kraj, tamten umarł w obronie jego!—

ANTYг. Państwo umarłych żąda dla obu jednakię czei!

KREON. Nieprzyjacieli nawet i w śmierci nie jest kochany!—

ANTYг. Ja nie znam, jak nienawidzić spólnie z innymi, ja tylko kochać umiem spólnie z innymi.—

Przyprowadzona Ismena chce dzielić z siostrą winę i śmierć.

ISMENA. Nie cheięd o siostrę pogardzać uczestnictwem mojem w skonie, i czią, którą uświęcę umarłego brata!—

ANTYг. Nie umieraj spólnie ze mną, ani nazywaj twojem dzieła, któregoś się nie tknęła nigdy. Moja śmierć wystarczy! . . . .

. . . . Tyś pragnęła życia, ja wybrałam śmierć.

. . . . Ty żyjesz, a dusza moja już skonała, by pójść umarłym w służby.

(Obie siostry odprowadzone pod strażą do pałacu; występuje Hemon; zrazu rozmowa jego z ojcem łagodna, lecz w miarę jak Hemon traci nadzieję sklonienia ojca do przebaczenia winy Antygonie, namiętność wzrasta w serce młodzieńca oburzeniem. Rozjątrzony Kreon nakazuje bez zwłoki wykonanie wyroku na Antygonie. Hemon grozi samobójstwem).

Wyprowadzają Antygonę.

»nych narodów pracowało nad cywilizacyą świata, a  
 »do tego o tyle wyższych od Greków smakiem, uczuciem,  
 »obyczajem, krajem, stanowiskiem, pojęciem rzeczy i t. d.  
 »Pójdźmy! obaczymy przecież jakąś odmianę wśród

ANTYGONA. Patrzcie na mnie, ziemi mojej synowie, jako śpiesznie  
 ostatnia wiedzie mnie droga, jako widzę ostatnią jasność promienistą  
 dnia, dziś i na wieki! Żywą wprowadza mnie podziemny bóg do Acheron-  
 tu brzegów. Ja nie uradowana nigdy pieśnią ślubną i tanem uroczy-  
 stym weselnym. Idę do weselnój Acheronta komnaty.—

## C H Ó R.

Lecz idziesz chwały pełna, czcią ustrojona do umarłych grodu. Ty  
 nie zaznasz męki długiej a zwolna trawiącej niemocy, ani od miecza  
 nagrodnej zapłaty. Ty żywa wstępujesz do państwa ciemnie sama je-  
 dna, a wedle własnej woli a własnej ustawy twojej—  
 . . . . .  
 . . . . . My śmiertelni z ludzkiego rodu! Stąd chwała, gdy choć  
 w śmierci doznajemy losu, jakiego doznają bogowie!—  
 . . . . .

ANTYGONA Te potoki zdrojorodne i ten pełen roskoszy Tebański  
 gaj, i cały świat w koło, wzywam na świadki jako bez płaczu przyja-  
 ciół, jako za onym wyrokiem zstępuję do więzień grobowych, pod skle-  
 py skalne niesłychanej zgrozy! Biada! Ja nieszczęsna nie będę ani wśród  
 umarłych ani wśród żywych, ani wśród ludzi, ani wśród martwych zwłok.

. . . . .  
 . . . . . I ty bracie mój— ty umarły zabijasz mnie żywą! . . . . .  
 . . . . . Nieopłakiwana, nieukochana, niezaślubiona, boleści pełna  
 idę przygotowaną już drogą. Nigdy, nigdy nie obaczę już onęj światli-  
 stęj dnia pochodni a jasnego niebios oka!— Nikt z przyjaciół nie west-  
 chnie nad samotném skonaniem mojem! . . . . .

. . . . . (Kreon wchodzi).

. . . . . Idę do was!— Wiem że mnie ojciec przyjmie miłością, przyj-  
 mie i matka serdeczném kochaniem! Boć i ja umarła uczciłam was  
 miłością, własną ręką umyłam ciało wasze i przyniosłam pośmiertne  
 ofiary. . . . . I ty bracie mnie przyjmiesz, bo czcząc zwłoki twoje  
 te zbieram nagrody . . . . .

. . . . . (Antygona odprowadzona).

. . . . . (Tyresias kapłan prowadzo-  
 ny od wróżbity wstępuje na scenę— Kreon. . . . .

. . . . .

»tęj jednostajności nudów śmiertelnych.« Tak rezonując zasiadają na ławach. Podniosła się zasłona. Spójrzyj po widzach,—uśmiecch litości i pobłażania—tu ówdzie poziewiają, szepeą żarciki, dowcipki. Ale tragedia roztaeza się jakby burza daleka; duch starego wieszczu kroczy przez scenę; szepty umilkły, drwinki onie miały, pręży się uwaga. Cisza głęboka,—każdy słyszy własny oddech swój. Coraz potężejc, dźwiga się tragedia, bije trwogą i strachem;—rzewność i litość

. . . TYRESIAS (do Kreona). Wiedz! nieliczne już obieży kołowroty swoje słońce, a ty umarłym z własnej krwi twojej za umarłych zapłacisz!—Ty zgrzeszyłeś bogom nadziemskim, wtrącając pod ziemię życie żyjące, a bluźniłeś Bogom podziemnym, bo zatrzymałeś ich własność nie pogrzebując zbezczeszczonego umarłych ciała!—One przeto potęgi, co nie/czą bezbożności zbrodnię, już tropią ciebie, czyhajac by cię umatnić równém nieszczęściem! . . . . .

. . . . .

. . . . .

Kreon w objęciu swoim trzyma zwłoki syna . . . . . Ciało Eurydyki przynoszą na scenę . . . . .

KREON. Biada! piętrzą się nieszczęścia, cierpienia; w objęciu dźwigam dziecię drogie i przed oczyma ciało matki jego.—Biada ci Matko.—Biada ci . . . nieszczęsne dziecię! . . . . .

Ach, ach szczują mnie strachy! Przeszyjcie obosieczném żelazem piersi moje!—Patrzcie na mnie! Biada! Przepadam w okropności morzu! . . . . . Nikt z ludzi niechaj niema winy, na mnie samego zwała się całe zbrodni brzemie.—Ja—ja sam zamordowałem się w szale moim. Tak jest, ja sam mordowałem siebie!—uchwyćcie mnie, trzymajcie mnie, odprowadźcie śpiesznie, odprowadźcie mnie śpiesznie, bo ja nie jestem już niczém na świecie! . . . . .

. . . . .

. . . . .

#### C H Ó R.

Najwyższém ze wszech darów dobrem jest mądrość!—Nie bluźnij bogom! bo słowo potęgą, gromem gwałtownym. Lecz przyplata za bujne zuchwalstwo uczy na starość upamiętania.

rozbiera słuchaczów; uczucia dawne, senne, co przychły w sercach, teraz dygocą i jęczą i bołą,—głębiej a głębiej przenika duszę ta dziwna poezya. Spójrzy wkoło,—łzy zrazu wstydzące się, ukryte, w rychłe już jawne—bo powszechnie. Zapadła kortyna,—jeszcze cisza,—teraz już grzmiące, serdeczne okrzyki i cześć staremu poecie, a te lekkoduche dzieci nowożytnego świata ścisną się nawzajem w najwyższém rozezuleniu. »Tak! »co prawdziwie piękne żyje na wieki i nie zna różnicy lat tysiąców ani narodu,« powiada Jules Janin, kończąc w swoim feljetonie powyższe swoje zdanie—sprawy o przedstawieniu *Antygony* i wrażeniu, jakie uczyniła na publiczności paryżkiej.

Toć się stało przed kilku latami, a przed kilku znów wiekami, właśnie w tém XV i XVI stóleciu, wtedy gdy Europa zmiatała z siebie sredniowiekową pleśń, a wróciła się całém uwielbieniem do Greków, odgrzebując ich poezya,—wtedy znów dała po swojemu dowód swojej czei dla *Antygony*. Wystaw sobie, ten przeczysty kwiat ludzkiego serca,—ta *Antygona* tak wówczas wszystkich zachwyciła, że rozbierano učenje pytanie, azali ta dziewczę, choćby sama jedna z pogańskiego świata, nie zasłużyła na żywot wieczny?!

Jak *Sokrates* tak i *Antygona* zderzają się z prawami kraju swojego; gdy atoli w nim, jako w mężu, przei robi rodzący się przyszłości głos, *Antygona*, niewiastą będąc, idzie za natehniem przyrodzonego uczucia; ona staje na straży miłości rodzinnej i życie za nią daje; boć niewiasty są kapłankami domowego ogniska i zacnego rodzinnego obyczaju. Nazwano też tę tragedya słusznie tragedya miłości. Jest to jednak miłość przeczysta, wolna

od potęg zmysłowych, bo nie dla kochanka poświęca się Antygona, ale dla brata. W téj miłości gra wprowadzie i różnica płciowa, ale idealizowana, ale wyswobodzona od samolubstwa materyi.

Sokrates i Antygona! obie te postaci były porwane potęgą wewnętrzną,—Antygona parło uczucie przyrodzone,—Sokratesa duch przyszłości; w niej natchnienie idzie od serea, na Sokratesa zaś wionął duch filozofii. Obie te postaci zerwały ze światem zewnętrznym, obie łamią się ze światem, z prawdami istniejącymi między ludźmi, i zerwana jest harmonia między człowiekiem zewnętrznym a wewnętrzną ogólną prawdą. Obie te postaci giną, bo śmierć—to ich tragiczne prawo; ale zginie także ten świat zewnętrzny, rzeczywisty. To rozdwojenie się rzeczywistości zewnętrznej, które Sofokles przedstawił w tragedyi swojej, a które teńnęło w filozofii Sokratesa, samo stało się rzeczywistością, wstąpiło w świat zewnętrzny, w historią. Demon wyłączny parł w każdym greckim ludzie; inaczéj więc one uderzyły na siebie wojną Peloponezką; zerwała się harmonia między wewnętrzném uczuciem tych ludów, a zewnętrzną ogólną prawdą, bo prawdą, która te ludy greckie czyniła jedną całością. Uderzyły na siebie te ludy i skonały z ran na wzajem sobie zadanych. Rozwiązał tę tragedię, Filip i syn jego Alexander, król Macedonii.



## LIST XXIII.

### R z y m.

Wstęp.— Forum Romanum.— Zadanie Rzymu w Historji.— Idea panująca w Rzymie.— Stąd usposobienie jego duchowe.— Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich.— Duch historji rzymskiej (użyteczność).— Rodzina rzymska.— Wielkość rzymska.— Bogowie rzymscy i greccy.— Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazji.— Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym ani filozoficznym.— Zemsta bogów.— Z tego usposobienia ducha wypływa też piętno ich fantazji.— Architektura rzymska i techniczność.— Rzeźba.— Kilka słów o poezji rzymskiej.

**W**róciłem do domu już dość późnym wieczorem. Noc cudnie piękna, całe miasto nasze kąpie się w powodzi księżycowej jasności. Wyznaj, że to jednak dziwna sprawa z tym księżycem, choć tak ogadana i oklepiana od dawna. On spowiednikiem miłości młodej, do niego wzdychają kochankowie i jemu się żalą z tęsknoty a biędzy swojej; a on duma i słucha niby i jak tam może pociesza, udając, że i on bardzo się frasuje ich troską. Lecz niechno stary ten ówik podpatrzy gdzieś razem tę parę, a już ją tak urzeczywieszczeniem swoim i tak ją zmatni, że to już na życie całe zostanie! Bo on, choć sam tak zimny, tak błady i samotny, lubi przecież być swątem lic rumianych i miłości wrzących a sere ognistych.

Na tych magicznych nocnych promieniach płyną też wielkich mistrzów pieśni, boć poezya sama jest tylko księżycową ducha naszego poświatą. »Niechaj nam żyje »zdrów nasz stary druh! Do ciebie księżycu pijem!« wykrzykuje wesoly ludek artystów, poetów! Dla tego też każdy młodzieńczy wieszczek, choćby ze sławą jeszcze w pestce zamkniętą, puszcza się w komplementa do księżycy; więc jak porwie nieboraczkę gęśl swoją, to ei pewnie, jak na gwałt, zaśpiewa o dziewczynie, o strumyku, o księżycu i słowiku.

Cicho, spokojnie w izbie;—noc głęboka—słyszać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholátko śpi w kolebce, a tu księżyc mileżkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę i świeci aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę; bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w téj jasności smętnéj takie blade, jakby umarłe; i trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zeałowała rumieńców jéj dziecinie i nie wysłała oczek niebieskich. Ba! inne jeszcze, a coś nie bardzo dobre rzeczy prawią o tym księżycu. Tak, np. rozgadali o nim, że to on promieniem swoim wyprowadza ludzi z komnat sypialnych, każąc im się spinać po dachach i gzęmsach i skałach zawrotnych, że miewa jakieś konszaktki na Łyséj górze, że owe złe ziółka, co to na śmierć lub na miłość służą, to w jego obecności zbierane, że to on przyswieca na ementarzach w pewne noce tanom zapustnym, gdy szkielety hulają po grobach. Przecież nie mówmy o tém; mogę cię zapewnić, że nigdy nie podobnego nie widziałem;



więc wolę wierzyć, że to plotki i bajki wierutne przez poetów zmyśłone, i nie wierzę aż się osobiście przekonam. Ale za to wiem, że księżyc czasem i bardzo usłużny; ten lub ów tak zapada po uszy w księgi, w szpargały nowe i stare, a tak się zaduma nad niemi, że już nie wie o sobie ani o bożym świecie; wtenczas niekiedy księżyc w całej parady solenniej występuje po nad dachy miejskie i brudne kominy, i jak ciśnie zadumanemu w oczy światłością, tak i obudzi, i da znać, że prócz papieru i atramentu jest przecież jeszcze i natura na świecie!

Co do mnie, jestem mu rad z całej duszy, bo, widzisz, ja jeszcze z dwóch powodów mam serdeczną słabość do niego. Zważ tylko—księżyc jest dla nas istną przypominajką (przepuść wyraz); jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką dobro-duszną twarz swoją zwróci do biednej ziemi naszej i jasnym spójrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy płacze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiej— a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli ekliwne, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz — ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarównem kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątynie i żyjących i umarłych. On mogiłom i świątyniom, żyjącym i umarłym na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń, pieśń o innych światach, kędy nie ma trudów życia, kędy nie ma lez i lęku skonania. A tak gdy, wśród téj pieśni jego, w sereu i w myśli uśnie troska dzienna, gdy z du-

szy uleci ciemna chmura, wtedy odetchniesz choć na chwilę i spojrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą, chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmura geniuszów nocnych, skocznych, lekkich krząta się, zwija i lata i biega; ciała ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i śpieszy i lata, i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kórtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi,—a już i gotowa scena z dawnych lubych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, niekają, a z głębi duszy twojej występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odegrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogiej; — i patrzysz i weselisz się i poklaskujesz wdzięcznej komedyi, której sam jesteś widzem i autorem. Tak, niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy, i raz jeszcze, choć na chwilę, nawracamy do uczty weselniej, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mru-ga i niby mówi «nie prawdaż? tak samo ci się uśmiechałem — tam! wtedy—pamiętasz?» Tak jest, ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stają przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary jasności nocy magicznej. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i ludzi, jednak pieści a koi. Ale o tych wskrzeszonych księżycem wspomnieniach lubych potem jeszcze więcej powiem.

Teraz naprędcie o drugiej przyczynie mojej przyjaźni dla księżycy. Prawda, że ta przyczyna traci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę technie sentymentem parafiańskim, ale może i ta moja parafia nie lada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżycy za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski! Trzeba ci było być ze mną przed chwilą, i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu też ślicznie w poświęcie księżycowej! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe trynki, to wszystko gdzieś się skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu. Za dnia te domy,—to tak sobie dawne kamienice — usiadły w kółko, niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, spiczastym niby w czépku czubatym; inne powykrawały sobie wierzchy we falbany, w cętki dziergane; inne, jakby marząc o królowej Bonie, udają włoszki i chowają dachy po za jakieś frontony. A już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym, rannym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych świateł zaleje miasto. wtedy proszę spojrzeć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! Niechoby one poczęły bajać, gadać a opowiadać, jużby stało czém zapisać grube księgi wieściami temi, a byłoby też po co czytać te stare bajki. Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat. więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni.

Wśród rynku, jakby zamknięta arka przymierza, ciągną się *Sukiennice* krakowskie; a choć one same opylone, obleciane i polatane, podpierają przecież jakieś sta-

rowieczne jatki i sklepiki i tulą do siebie domki i przy-  
 lepki jak z opłatków sklecone, to większe, to mniejsze,  
 to proste, to krzywe. Zwyczajnie jak to stary pan, który,  
 choć bięda około niego, wspiera jeszcze respektowe  
 szerepetki i, jak tam może, żywi szarą ezeladkę wziętą  
 dziedzictwem po ojeu. My, mieszczenie krakowsey, co  
 to znamy każdy strzęp naszego gniazda, cośmy z lat  
 dziecięcych, młodzieńczych, w tych domach i gmachach  
 krakowskich po kawałku duszę naszą zostawili, my, cza-  
 sem niewiedzieć nawet po co i na co, ciągniem jakoś  
 przez *Sukiennice* — ciągnie nas miłość do starych, tak  
 ukochanych gratów naszych. Stachowicz, co to także  
 dziecko krakowskie, raz w życiu swojém ruszył z Kra-  
 kowa, a to z księdzem Woronieżem, i to do Warszawy.  
 Zajechali. — Stachowicz co tchu w świątecznej kapocie,  
 w rękę trzeina srebrem kuta, czapka zuchwała z ba-  
 rankiem, na bakier, puszeza się na zwiady po stolicy —  
 i czegoś szuka, czegoś pyta, zaczepia ludzi i lustruje i  
 biega i mruczy. Wrócił do domu: — »Jedźmy sobie do  
 Krakowa, Mości księżu Biskupie! nie ma tu co robić!«  
 — »A coż to wam znów Panie Michale?« — »Co mi to  
 za miasto Excellentissime! Biedaki nie mają Sukiennic!  
 « — »Wiesz, że to istne factum historyczne; lecz  
 nie mów tam o tém Warszawianom — A co prawda to  
 prawda, może pan Michał i miał racyą! Bo trzeba wi-  
 dzieć te Sukiennice, gdy biją pełnym blaskiem nocnych  
 światłości. W koło cisza, jak w kościele, niby to orien-  
 talny bazar, niby olbrzymi gróbowiec. Podwójne ostro-  
 łukie bramy już z późnym mrokiem zatrzaska stara krata  
 żelazna, w środku gęsta noc, a dziwaczne jakieś o tém  
 ciemném wnętrzu chodzą wieści; starzy prawią o jakichś

płochych światełkach, co się migają, gonia i tańczą, i gdzieś giną w piwnicach zapadłych; prawią o gwaraach różnojęzycznych ludów, co je wysyłał Zachód zamorski, i głęboki Wschód; o owym nożu ojeobójezym, który, choć od wieków do swój ściany na łańcuchu przykuty, niekiedy w pewne pory kapie jeszcze krwią czerwoną, ciepłą. Ale lepiej nie mówmy o tém wnętrzu,—co nam do tego! — patrz raczój na to, co na widoku księżycu. Ciągną się długie boczne ściany, u góry wystrugane we floressy i essay kamienne, niby snycerskie koncepta prahabeczynych apteczek domowych. I za każdym essem jakaś głowa czy maskara ciosowa wycina się na tle nieba. Osobliwe to i straszne te głowy i twarze. Póki dzień biały, to jeszcze jako tako; snuje się wrzawa targowa i handryczy i huezy i gwarzy, i tysiączny przejdzie i ani się spostrzeże, co się tam u góry nad nim świeci. Gdy się zaś spuści nocna ćma, a miesiąc weźmie ciskać światła swoje, gdy się rynek wyludni a miasto zasnie, gdy ty sam jeden w téj kompanii zostaniesz, wtedy, jeśliś zuch, przystap i patrz się tym ichmościom oko w oko. Ten rozdziawił szeroką gębę i śmieje się do rozpuku, a śmiech jego iście z piekła rodem; na głowie czub zadarty w różki kończate; tam dalej drugi powieki zamknął i śpi i niby już umarł; trzeci ciężko zadumany, spuścił wargi i waży i myśli o czémś głębokiém a przemądrém; aleć z obu stron od twardych skroni potężne odstają uszy; sąsiad jego wywrócił głowę w tył, a oczy w słup, usta rozwarte, krzyczy,—on cierpi męki nie z tego świata! Tam znów jakiś zuchwalec szydzi i drwi, coś mu bardzo na sercu rado i śmieszno; a ów dalszy sąsiad jego ciska się i złości najeżywszy czupry-

nę a gniew jego piorunny, zacięty. Tak dalej a dalej, a co twarz, to inna a inna. Księżyc lunął im w ślęcie; ale właśnie w to im graj; cienie i światła migocą, majają po tych twarzach; więc te dziwaki mrugają, ruszają brwiami i gębą i wydrzeźniają się i krzywią udając niby że żywe! ale ktoby im tam wierzył!—Tuż obok Sukiennie stanęła nasza stara wieża, ongi ratuszna, dziś samotna sierota; jej suknię, z gotycka wyszywaną, posrebrzyła światłość nocna. Wierna strażnica, po staremu wywołuje miedzianemi usty godziny, przelatujące nad miastem, i długim przeciągłym cieniem znaezy w koło na domach księżycowe wędrowniki na niebie. Nad zegarem, na czterech rogach ustawione jakieś cztery pękate urny, o metalowych złożonych płomieniach; choć urny jakoś dziś już nie statkują, choć one płomienie szesnają, jednak księżyc, pocziwiece, po stariej znajomości spuszcza się ku ziemi i jeszcze zapala na onych płomieniach iskry dygocące, niby gwiazdkę białą, by się biedaczka wieża miała choć czém pocieszyć po nieboszczyku swoim mężu — ratuszu.

Z drugiej strony Sukiennie w głębokich cieniach przykleknął do ziemi skromny kościółek Ś. Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownej nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu goreje inna a nie pożyezona gwiazda: tam jaśniej światłość wiekuista, widna dla oczu duchowych, z niego wyszedł na świat dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościółka wyszło niegdyś wołanie anioła, głoszące ludowi, śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościółka zamknięty kamień, z którego niegdyś Męczennik Święty siał

w lud wiare zbawienia. W koło świątniczki wianek zielony topoli, — tych cyprysów i mirtów naszej północy. Spadają i odradzają się ich liście, świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Sehną z kolei podstarzałe jej drzewa, a pokolenia po pokoleniach, same odradzając się, dochowują stariej czei i na miejsce zwiedłych sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Po nad rynek i miasto, po nad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto, kościół Maryacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materya bezwładna, tu uskrzydłona pobożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na tle głębokiem nieba; on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną—stąd postać jego,—podobna do tajemnicy Wiary, co niby okryta mrokiem świętym, a przecież rozwidniona serca poczczeniem—jest wiekuistości zwiastowaniem. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej Ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką a przecież tak poważną! a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy, i w nich się nurzy i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną Wiary. Znowu wyżej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga-Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżej korony i u pod gwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata go-

dło; nad kulą, nad światem, chorągiew,—miłosierdzia sztandar,—na niej imię Maryi, pośrednicy Ziemi i Nieba! Świątnica ezuwa nad miastem, jako orędownica jego; w niej złożone jego nadzieje i miłości i ciebie wierzenia; w niej nas Krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niej wiążą ślubem «aż do śmierci», w niej nas Bogu oddają. W tym przybytku zamknięta Alfa i Omega wszystkiej naszej ziemskiej wędrówki!

Kościół oblekł się szatą uroczystą noenych cieni, wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu stromym rozplynęła rosa niebiańska, a po rosie téj księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w liliją śnieżną, w drobniechną, ertiaryczną świątniczkę gotycką; ścianki jój przejrzyste z marmurowej koronki — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, liści, słupków i wdzięcznym spłotem przerosła dach, i bieli się i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia. W kapliczce próżno, w niej nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam gospodyn, jest! tylko nie widny zdołu; tam, w tych śnieżnych, ertiarycznych, kwiecieistych kapliczkach siadają aniołkowie na straży małych dziattek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na Ziemi. Gdy dziecię chore, matka nocą chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, huśta i płacze i wstrzymuje tchy, i przemaga łzy, by nie przebudzić śpiącej dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serea ją tuli, a nie wie, że dziecię już umarło, że aniołek z bieluehną kapliczki już całuje i pieści jój dziecię, ulatując z bracijskiem — aniołkiem do nieba.



Raz jeszcze objąłem okiem i sercem ten rynek krakowski, i te domy i gmachy stare, wieże i kościoły lśniące w świątecznym uroku nocnej natury i wróciłem do domu. Przebacz, żem się tak bardzo rozgadał, że marzę o tém mieście naszym, ile mnie stać, miłością je strojąc; ale ty pewnie nie potępisz roślinki biednej, co, wyrosłszy ze szczelin starego grodu, zdobywa się na kwiatek mały i rozsypuje wonne listki jego po tych kamieniach siwych, jako ofierne dary miłości swojej. Bo widzisz, choć my Krakowianie między sobą wydziwiamy niekiedy na to nieboże miejsce nasze, toć jednak gdy kto do Krakowa przyjedzie a pochwali przed którym z nas tę uciechę chudobę naszą, i tę Wisłę naszą i te góry, doliny i mogiły i kościoły nasze, tak go za serce uchwyci, jakby mu rodzonego ojca uzczył.

Po téj pielgrzymce około rynku naszego jakoś mi było uroczysto i świecisto w duszy i tak czegoś rzuwno i nabożno, żem z eicha zapadał sam w sobie słuchając gwaru różno-mownych uczuć moich. Tym czasem księżyc zazierał przez szyby do izby, i po szafach, po książkach i szpargałach porozstawiał świeczki magiczne; po swojemu jał mrugać, jakto zwykle czyni, gdy nam chce przypomnieć jakąś noc wrażeń świątecznych, którąśmy kiedyś, gdzieś przeżyli, gdy on podobnie jak dziś jasnością swoją otulał świat. Więc też głosy zapadłych a uroczych chwil, obrazy dalekich żywota scen przełykały się w duszy mojej, to wypływając z morza wspomnień, to tonąc w jego głębiach. A tu znowna owa czeladka gnomków wyroila się z kątów i z kąci-ków i nuż się krzątać i kręcić i zwijać, aż mi książ-

ki i szafy i szpargały stopniały w oczach i gdzieś znikły, a na miejscu skromnej izby widziałem pagór ciemny, na nim gmach stary, groźny i sterczące samotne kolumny; w koło rozsypiska i bramy tryumfalne ze szczytem w kwiaty porośłym, z podnóżem w gruzach pogrzebioném; tam dalej dźwigiły się sklepienia szare, potężne, jakby dzieła skalne zbuntowanej przyrody; one na poły spadły, na poły wyciągają ramiona groźne w ciemną noc; w dali piętrzy się w rzędy łuków, jakby upiór ze starych lat, jakieś tytanów budowanie okrągłe, wyszczerbione, a spojrzaniem umarłym trwoży, mrozi serce późnych pokoleń. Tam na uboczu pagór ubrany w roślinność południowej natury: z gęstwiny wonnej jego brzmią nocne słowików pieśni, a nad nim rysuje kształty swoje cyprys żalobny, pinia rozłożysta i wawrzyn hardy. Świecisto i uroczysto było mi w duszy, rzewno i nabożno, boć to *Forum Romanum*, to rynek starego Rzymu—rynek, co był ogniskiem świata i ludzkiego rodzaju panem przez lat tysiąc. Ten stary Rzym tak jeszcze straszny, choć umarły, tak jeszcze wielkiego majestatu, choć już pod stopą twoją w rozsypaniu kości jego. Tak jest, tutaj, na to forum spływały dzieje a losy powszechnie świata; wszak ten pagór ciemny—to Kapitołińskie wzgórze, ten szary na nim groźny gmach,—to starorzymskie tabularium; z jego szczytów, jakby ze strażnicy historii ludzkiej, obaczysz przeżmżone ziemi przestrzenie. Od Szkoekich jezior do brzegów Indu, od skał Gibraltaru do pomorza Kaukazu—wszystko to, co stąd okiem ducha obejmiesz, wszystko to Rzymskie panowanie. Po prawej Kapitolu—przepaść Tarpejska; po lewej—duszne, czarne Mamertyńskie wię-

zienia; w nich zamorzony głodem Jugurta, wyobraźnik zamordowanej Afryki; w tychto podziemiach konały króle i wodze zgruchotanych w koło państw; w nich wyzionęli życie wspólnie Katyliny, co był jadowitym wyrzutem śmiertelnego moru, który miał stoczyć Rzym; tu czekał śmierci męczeńskiej on Apostoł, co był opoką, na której zbudowana Wiara. Patrz pod siebie, — tam w głębi odgrzebali szczątki mównicy odkopanęj—to dawny bruk, to głazy, po których chodził Cezar i Pompejus, Sulla i Marius, Nero i Tytus. Tuż przed tobą brama tryumfów nad odwieczną Azją: szesnaste rzeźby na niej prawią o zgromionęj Arabii, o zdeptanęj Babilonii, o upokorzeniu Eufratu. Tam w dali druga brama; ona stanęła, gdy Rzym bezświadomie dokonał proroctwa o zgładzeniu z ziemi Jerozolimy i o upadku świętego Syonu. Powyżej tego pomnika tryumfów łzawych wznosi się ów pagór czarodziejskich ogrodów — to Palatyńska góra! Tutajto ów, od wilezycy wymamczony, bratobójca położył kamień węgielny Rzymu; tutaj dziś, wśród splotu krzewów wonnych, a ciżby laurów i cyprysów, wśród noenęj słowików pieśni stanął cały świat zwalisk. Po nad wawrzyny i cyprysy wzniesione padające się ściany, popękane sklepienia, oberwane filary; te rozsypiska dziś jeszcze zdobne są w szczątki rzeźby marmurowej i w strój różno-barwnęj mozaiki; tu pod rumowiskiem spoczywały cudne postaci, posągi, co je niegdyś stwarzała Grecya, od Rzymu w służby wzięta. Te nagie, zwietrzałe mury, jakby olbrzymów szkielety, oplótłszy szatą zieloną, w kwiaty szytą, powój, latorośl winna i kaktus zwiesisty o pięknym i hardym kwieciu. Ten świat rozwalin, to szczątki pałaców Cezarów — tu Augusta gród,

tam Tyberyusza, Domicyana złote gniazdo sępie, krwią oszargane, trupem euehnące.

Z Palatynu wprost patrzysz się na one tytaniczne okrągłe budowanie: stają łuki na łukach, dolne piętro już dziś w ziemi ukryte, najwyższe tu ówdzie runęło z wysokości. Straszy to budowanie i serec wznosi świętości uczuciem, i lękiem mrozi, i rozgrzewa wzniosłością pamiątki, to jest *kolizeum*.— Tu świat stary konał wśród własnych tryumfów, tu świat nowy się rodził, a potoki własnej krwi były pierwszą kąpielą jego. To jest ów amfiteatr krwawej pamięci, kędy tysiące Chrześcijan męczeńskich waleczyło z tysiącami dzikiego zwierza. Ale krew—to ziarno; śmierć—to żywot. Dziś zapadły się ławy ciosowe, z których niegdyś w sto tysięcy był zebrany widz: cisnęła się ciżbą rozłukana gawiedź; od ziemi, od dołu do najwyższego piętra, wszere i wzdłuż, wkoło zapehana jest przestrzeń tym świetnym, hardym a rozjuszonym motłochem; olbrzymie budowanie zdaje się być doliną utworzoną z nieprzeliczonych ludzkich żywych ciał, a te tłumy, jakby ptastwo drapieżne, jakby zwierz posoki łaknący, przyciągnęły tu, bo nęci je nadzieja krwi świeżej i cuch przyszlanych trupów. W oczach wywróconych, rozpalonych rozkosz okropności, obłąkana chuć;—zrzeniec opojone krwią toną w zamęcie bitwy; walki, krzyki radości, wesela—Cezar kontent ze swoich zwierząt.— U góry, na niebie ciągną obłoki różowe, na nich stoją anieli z palmą w ręku; uśmiechają się anieli ze łzą, z niebiańską perełką w oku.— Na dole, na ziemi, w arenie, zrazu kłęby i tumany kurzu, wnet kłęby pogmatwanych ciał ludzkich i zwierzęcych— bagno krwi i błota—ryk, wy-

cie, jęki; pieśni, wściekłość lwów, tygrysów,— psalmy, modlitwy konających.

Dziś tu cicho, spokojnie,— dzieło dokonane.—W środku areny krzyż prosty, dwa drewna wpoprzek zbite wyciągają ramiona, by obtulić świat. Po tém drewnie śpinał się słowik śpiewając pieśń niebiańskiej miłości, i spał się na szczyt krzyża, i śpiewał, i piersi mu pękły!—(stara legenda).

Dwieście lat stała ta arena, gdy naprzeciw niej znów wzniosła się owa brama tryumfów, a tryumfów Wiary; dźwignął ją Konstantyn W. po zwycięztwie w znaku tego krzyża!

Od tego forum, od podnoża Kapitolu, niegdyś biegły bite gościńce na wsze strony świata:—te śpieszyły przez Gallię do kończyn Brytanii, tamte pod podnoża jerozolimskiego Syonu; po nich grzmiały żelazne Rzymskie legiony a prowadziły je orły złote na pogrom narodów i państw.—Dziś cicho, mileząco na tém forum,—po gruzach wiją się chwasty, przechadza się bydło; sąsiadami Kapitolu chaty biedne, gospody rzemiosł rozmaitych i wyrobników. I w dzień nawet tu głucho i pusto; niekiedy tylko przemknie się tędy wieśniak lub przeczołga się żebrak, lub stanie zadumany wędrowiec, lub pogonią swawolne pachołeta puszczejac w powietrze papierowe orły;—i znów cicho w kruchej zmarłych wielkości.—Glucho i pusto, tęskno i śmiertelno, ale świecą jasno ścieżki, któremi przechodził anioł pański, przewodnik wielkich dziejów na ziemi.

---

Rzym podbił świat, i nie było świata, tylko rzymski; ludy i państwa ciągnęły rydwan jego tryumfów, a

bogi narodów zabitych, sprowadzone jeńcem do Rzymu, stawały w jego Panteonie, jako pośmiertne upiory.

Rzym ogarnął całą świata ośnowę, cały dochówek jego i zamknął je w sobie. Gdy umierał na złotém łożu swojej boleści, cisnęły się ludów roje po dziedzictwo. Na wychrzozoną nowym żywotem ludzkość spadła pusteizna długich wieków, spadł dorobek duchowy staréj Azyi, zapadłéj Afryki i areydziała dawno zgaśléj Hellady. Jego pracą a dosługą wykarmiła się wędrowna dziez Wschodu; wszak cała Europa, wszak my wszyscy owocem trudu jego i znoju dotąd żyjemy, rozsiałszy się szeroko na ojcowiznie jego. Rzym był dwóch światów pośrednikiem; wszak to i on oborał rolę Pańską, na której siał zasiewca Boży;— a język nawet światobójeznej Romy stał się językiem Wiary zbawienia i miłości.— Taka sprawiedliwość Boża!

Rzym bezlitośną pięścią ścisnął ludzkości serec, a ludzkość wśród mąk niesłychanych, wśród poniżenia bez miary, wśród ogniów swojej boleści krwią wypociła z siebie pogańskie uczucia i parcie swawolnéj ehuci. Serec ludzkości, wypalone w płomieniach cierpień bezdennych, stało się jako zgłiszczé świątnicy, puste, głuche ale czyste i spokojne, godne by do przybytku jego wstąpił panujący Pan.

Zaiste, pod ferulą żelazną Rzymu świat skruszał; wzięty w karby nieubłagane przywykł do zrzeczenia się własnéj istoty swojej, nauczył się zaparcia się bez granic osobistych uczuć, samowolnych sądów; a tak w mękach i w żarach katuszy wytopił z siebie pierwiastki barbarzyństwa i dzikości i ukorzył się na głos wołającej wiekuistej prawdy, a budującej się we własnym

duchu jego. Tak! Rzym jest przygotowaniem rodu ludzkiego do nauki zbawienia, on jest ołtarzem ofiernym, na którym człowieczeństwo składa treść duszy swojej, zanim przystąpi do ołtarzów nieskończonej miłości Bożej.

Takie było powołanie Romy, takie też było odpowiednie usposobienie rzymskiego ludu! Ten lud hardy i twardy miał jedną, jedyną tylko ideę, której się poświęcał, której duszę swoją, żywot swój zaprzedał, której poprzysiągł ciężkie swoje służby;—tą ideą była wielkość jego Romy. Tą ideą lud Rzymski żył; ona mu była religią, sumieniem, boleścią i rozkoszą; dla niej on się rodził, dla niej umierał; słusznie powiedziano że lud ten »wierzył, że same Bogi chcą wielkości Rzymu:—Kurtius, Decius poświęcają się za Rzym piekłem. Lud rzymski wierzył, że Rzym powinien, że będzie światem władał,—więc też ta wiara jego stała się prawdą—Bogi nawzajem i jemu dochowały wiary,« a dochowały mu wiary i dodały siłę do wzrostu i potęgi, dla tego że ten lud rzymski stał na nieskalanej prawości, bo idea Rzymu wyrzuciła z niego wszystko, co małe, niegodne; bo czystość, prostota obyczajów, cześć dla prawdy i życia prywatnego bez plamy i zmazy, i enota były jego siłą i mocą.

Państwo rzymskie jest arcydziełem rzymskiego ludu. Ale państwo, wielkość jego, mądry rząd, jest sprawą najwyższą rozumu a bynajmniej artystycznój fantazyi kwiatem!—Państwo, fantazyą stworzone, nie ostałoby się w świecie, rozbiłoby się w Historji o rzeczywistość—bo Historia nie jest fantazyą, ale jest rozumem, jest logiką, której kartami są epoki dziejów ludzkich, a jój oddziaływaniami narodów żywoty. Rzymski

lud był przedewszystkiém logicznym i rozumnym. W téj pańszczyźnie pełnej znoju a cierpień umilkły dla rzymskiego ludu wszystkie serca głosy; tu nie ma mowy o sztukach, owych lubej fantazyi dzieciach; żywot był napawany grozą i zgrozą, łamaniem się i posłuszeństwem dla onój idei.—Lud rzymski nie miał czasu chodzić marząc po księżycu! w téj Romie nikt by nie był się rozpisał o poświęcie księżycowej, jak ja to uczynilem na wstępie listu tego, nikt nie byłby czytał obrazków takowych, jak to ty uczyniłeś. Przecież my jesteśmy też synami innego świata; dla nas rzeczywistość zewnętrzna nie jest całą istotą naszą; my we wnętrzu naszym chowamy *sanctissimum* w siebie zwrócone, co jest drugim a bezdennym dla nas światem; do niego się uciekamy, do niego wstępujem w rzewności chwilach. Z tych cichych przybytków serca patrząc na otaczającą nas rzeczywistość, odziewamy ją poświęcą naszego ducha i strojemy ją i ubieramy lśniącą szatą naszej fantazyi, a tak znowu się godzimy, ile nas stać, z tém otoczeniem naszym. Ów mój wstęp do listu tego choć na to się może zdał, by wyświecić różnicę między naszym światem a rzymskiém pojmowaniem; to nasze pieszczenie się z naturą wypływa z uczuć, których Rzymianie nie znali, znać nie mogli, i znać nie chcieli póki budowali i dźwigali tron Jowisza kapitolńskiego na podwalinach zgromionych ludów i państw. Tak, jest to prawdą niezachwianą że Rzymianie sami nie mają fantazyi w sobie, że nie są poetami, ale są ogromnym, niewyczerpanym przedmiotem dla poezyi (\*). Odwrótnie, dzieje Hellady są mniej poetyczne,

---

(\*) Vischer e. e §§. 442—446.



choć sami Hellenowie wskrósł są ludem-artystą. Rzymianie są dopełnieniem Greków,— co się rozpoczęło w Helladzie, doprowadzone było do ostateczności w Rzymie. Może jednak te zarysy i lekkie rzuty nie są dość wyraziste, wytłómaczę ci się z nich bliżej jeszcze.

Wiemy z listu przeszłego, że w Greeyi harmonia szczęśliwa, dźwięczna wiąże ducha ludzkiego z naturą i całą zewnętrzną rzeczywistością. Cała treść istoty ludzkiej, więc zmysły i uczucia, rozum, tęsknoty serca, myślenie, ochoty, i miłości jego, znajdują ziszczenie w świecie zewnętrznym. Świat wewnętrzny a zewnętrzny zupełnie się równoważą, całkowicie są do siebie nastrojone, są to tony jednego akordu. Ten zestrój i harmonia są Hellenom dane z urodzenia; Hellenowie z nią na świat przychodzą, ona jest skutkiem stanowiska Greeyi w ludzkich dziejach. Grek nie zrozumiałby żywota bez téj harmonii.— Wiész równie, że ta harmonia i współdźwięk, ta zgoda dwóch światów stanowi właśnie to, co my klasycznością zowiemy. Stąd też u Greków i fantazya jest klasyczną, bo treść mająca się uwidomić w dziele sztuki znajduje w niém zaiste swoje uwidomienie doskonałe. Zatem pierwiastek duchowy tak zupełnie wciela się i uzmysławia w formie zewnętrznej, że co jest w treści, znajdzie się wyrażone w formie, i nawzajem forma zawiera w sobie całą treść, ale też nie więcej krom treści takowej. O tém jednak pawiłem ci już w trzech listach poprzednich, tutaj przypominam jeszcze, że gdy duch Hellenów ku skonowi się ma, wtedy pęka ta harmonia; świat zewnętrzny nie zadowalnia więcej ducha, człowiek cofa się w siebie. Otóż to zerwanie z rzeczywistością, ten

rozwód wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata iść się ma do ostateczności w Rzymie, choć dopiero w dalszym okresie żywota jego ziści się nawet w całej okropnej postaci swojej.

Wszak i Rzym należy do okresu klasycznego historyi powszechnej, ale nie zupełnie w tém znaczeniu jak Grecya.— Rzekłem powyżej, iż w Rzymie nie cała już pełnia treści duchowej znajduje ziszczenie swoje w świecie zewnętrznym, lecz tylko jedna myśl téj treści, a tą jest, jakieś widział, idea państwa, idea wielkości Rzymu. Te ideę Rzymianin wciela w świat; on się sili i łamie, aby tę ideę urzeczywistnił, aby ten Rzym historyczny był iście takim, jakim go zapragnęło jego niezachwiane przekonanie,— aby tedy stanęła harmonia między rzeczywistością jego ojezyny a duchem, czyli tém niezłomnym przekonaniem wewnętrznym. Ten Rzym rzeczywisty jest przeto jakby formą, jakby uwidomieniem wewnętrznój treści duchowej człowieka, jest naczyniem jego boleści i rokoszy, jego krwi i znoju. Ta możność ziszczenia treści wewnętrznój w świecie zewnętrznym, w Rzymie, ta harmonia i zgoda obu stron, jest właśnie głównym względem dla którego Rzymian podobnie jak Greków klasycznym ludem nazywamy. Zważ że i Grek kocha i miłuje z serca chwałę ojezyny swojej; u niego atoli idea polityczna jest tylko jedną z wielu stron istoty jego; on obok téj idei ma inną jeszcze treść, której ziszczenie znajduje w rzeczywistości. On cały jest tedy wskrós ludem klasycznym. A gdy cała pełnia istoty jego wewnętrznój znajduje odpowiednią sobie rzeczywistość zewnętrzną, dla tego też żywot jego jest tak błogi i młodociany, tak ki-

pięcy radością a szczęściem. Rzym zaś właśnie dla tego, iż żył poświęceniem się i zrzeczeniem, iż przysłuszał wszelką inną treść swojego serca dla jednej wybranej idei,—dla tego żyje w ciężkiej a twardej służbie téj idei, i stąd też jest tak poważny, zadumany, tak posępny i pełen grozy a uroczystości. Grek się rodzi w téj harmonii, a Rzymianin dokupuje się jój okropnym sileniem i mocowaniem z sobą i ze światem.

Ludy Chrześcijańskie nie są z istoty swojej klasycznymi, bo w nich już się przebudził pierwiastek wiekuistości, który nie znajduje ziszczenia swojego w świecie tutecznym; ten pierwiastek nie będzie nigdy w harmonii zupełnej z tą rzeczywistością tego świata; żadne szczęście ziemskie nie zdola ukoić nieskończonéj serca tęsknoty; daremnieby nas doczesność pieściła i usypiała; i we dnie i w nocy, i we śnie i na jawie patrzą się na nas oczy, co nie z tego świata. U nas rzeczywistość gospoda, żywot wędrówką, grób przemienieniem, a człek przez życie całe obeym na téj ziemi. Dla tego też Rzym tak mrozi i nasyła dreszcze na serca nasze; on całego siebie poświęcił, on zabił siebie, on choć nie zna niebiańskich nagrodnych nadziei, odwraca się przecież od uczuć ziemskich, zadaje sobie męki bez granic, płaci krwią serdeczną, by ziścił ideę, która jest tylko ideą tuteczną—ideą wielkości doczesnej! A ta idea, ta wielkość będąc rodem z tego świata »przeminęła jako liść i uschła jako zióło polne!«

Widzisz tedy, że wszystka inna rzeczywistość, że wszystka inna treść duchowa, która nie była ideą ową, stała się w Rzymie tylko podrzędną i o tyle jedynie ważyła, o ile mogła służyć za środek dla téj idei po-

litycznej, jako dla celu swojego, zatem o ile była użyteczną wprost dla wielkości Rzymu, lub o ile się nadawała, by ustroić, by stać się ojczystej chwale zwastuną. Użyteczność, utylitarność jest przeto główną tętnicą żywota Rzymskiego. Więc co się nie może zdać wprost jako środek dla Rzymu, nie ma wartości, jest głuchą lupiną, dziecinną igraszką, echezem próżniactwem. Aby zaś umieć poznać, na co się co zdać może, aby umieć powiązać środki i cele, na to potrzeba, jakem rzekł, rozsądku, rozumu praktycznego, obcego wszelkiej fantazyi.—Nie było też drugiego już ludu w dziejach powszechnych, równego pod tym względem Rzymianom. Oni, bystrością błyskawiczną zgadując co na zdrowie ich państwu, genialnym praktycznym instynktem umieli obracać na korzyść swoją dorobki duchowe ujarzmiionych ludów. Rzymianie nigdy nie byli ślepymi naśladowcami obcych pomysłów; lecz, co im tylko narody i państwa złożyły na klęczkach kornym holdem, to przerobili, przeistoczyli, by służyło Rومی za podnoże wielkości jej światowładnej.

Ta logika nieublagana, ta proza matematycznej rachuby, odbiła się na całej umysłowej historii Rzymu. Patrz—każdy lud, gdy wzrośnie w siły, gdy się poczuje na scenie, lubi sobie złocić i mieć i zdobić pierwsze zaczątki żywota swojego; wieści uroczę, podania, pełne poezyi, dolatują z zapadłych wieków i przynoszą mu kwiaty, które urosły w krainie niemowlęcych jego lat, i te kwiaty cudowne fantazyi wplata w laurową koronę, zdobytą długim trudem i pracą krwawą. Jego góry i bory, mogiły i zwałiska stare, i błonia i rzeki, zaludnione duchami z dawnych lat, co pieszcza i

koją, prawią, gadają i stroją te wszystkie w koło ziemie. Lecz te powieści, podania i gadki są przejrzałym sereą ludu, on w nich siebie widzi i poznaje, boć to dech własnej duszy jego, toć to pierwiastki własnej jego krwi, a wykwit cudowny rodowej jego istoty. Rzymianie nie znali tych przystrojów początkowych historyi ubranej we wdzięki fantazyi czarującej, bo nie znali oni spólnego ojczystego domu, ani spólnego pochodzenia rodowego, ani spólnej krwi; wszak każdy z onych siedmiu królów był z innego narodu, a Rzym w swych początkach, jako niesie wieść, był zbiegowiskiem różnorodowej awanturniczéj gawiedzi. Kto ścigany od swoich, kto za progi własnego kraju wyrzucony z życiem uchodził, zbierał się też około Romulusa, dzikiego herszta zuchwałéj bandy, a on ujął tę rozhukaną czerń ręką śpiżową; nie mogąc jéj zakłąć na bogi spólne, — bo ich nie miała, — ani trzymać obyczajem spólnym, — bo każdy był gwałcicielem obyczaju, — więc okuł ją w prawa twarde i w karność bez serea. Bo prawo nie patrzy na różnobarwność usposobień ludzkich, pomija różnice wiary, pochodzenia, rodu, uczuć, zdolności, wieku, ale bierze człowieka w abstrakcyi głuchéj, beztreściwéj, żąda posłuszeństwa i łamie indywidualność. Prawo tedy, samo puste w sobie, jest ogniwem żelazném, łączącém pierwszych Rzymian. Prawo było warunkiem wewnętrznym bytu i siły; a na zewnątrz trzeba było się bronić od ściany wrogim sąsiadom, tchnącym nienawiścią i pogardą; — zatém miecz i wojenne rzemiosło było drugim żywotnym pierwiastkiem Rzymu.

Tak urósł tu człowiek w jurystę-żołnierza, a jak

prawo bierze człowieka w abstrakcyi nie wdając się we wewnętrzną jego treść, tak i żołnierz był abstrakcją; karność ślepa i bitność tu żywiołem, reszta obojętna. Sztuka wojenna Rzymian, żołnierski ich duch podbił świat; pod jego ciosem padały się państwa i ludy; runęła i Kartagina waląc się na 700,000 ciał wyciętych mieszkańców. A na takowe prawo, jak je miał Rzym, żaden już naród się nie zdobył; prawo rzymskie i ścisłość matematyczna jego pojęć, jest do dziś dnia wyewiką dla prawniczego rozumu; uczymy się go też na uniwersytetach, bo bez prawa rzymskiego można być i zręcznym i wymownym mataczem, ale prawnikiem—nigdy.

Prawo, żołnierz—otóż dwa pojęcia tak dalekie od wszelkiej fantazyi, tak abstrakcyjne i głuche w sobie jak sama idea Rzymu, której one służą. Ta idea potężna a groźna pomiotła też i świętą miłością rodzinną; Remus zabity od własnego brata, bo zbuntował się prawu, bo chybił karności. Rzymianie porywają niewiasty sąsiadów, bo rodzina, bo obyczaj jest czezem, pustem słowem, gdy chodzi o dobro Rzymu. A czemuż jest ta Rzymska rodzina! Jak każdy lud stroi sobie w kwiaty kolebkę pierwotnej historyi swojej, tak dla każdego niezepsutego człowieka, pamięć ojcowskiego domu otula się w złocisty obłok miłości i poezyi: uśmiechy ojca, pieczęty matki, to posag na życie dalekie, na świat szeroki; i unosisz je w duszy z sobą niby talizman święty, co cię broni od złego uroku i niedobréj sereci przygody. A choć liście na drzewie żywota twojego żółkną i pobladną, rzeźwią cię jednak i krzepią wspomnienia drogie z dziecięcych lat.—Zaiste, co w któ-

rym z nas dobrego, jest dobrój matki zasiewem, a często pamięć na matkę umarłą, więcej ma jeszcze mocy, niż jój przestrogi za życia dawane. Jak Rzymianie nie znają lubych i wdzięcznych mitów, strojących im pierwsze założenie ich państwa, tak i wspomnienia, wyniesione z ojcowskiego domu, nie tulą zaprawdę duszy ich wdzięcznym urokiem. Rzymska rodzina nie zaznała téj błogić, cichej miłości; tu nie powstały pieśszoty, a ciepło przyrodzone sereca zmroziła groza i despotyzm ojcowski. Ojciec jest panem życia i śmierci dzieci swoich:— on może sprzedać syna; syn nie posiada własności: czego się on dorobi twardą pracą, jest ojca majątkiem; a najwyższe dostojenstwa w państwie nie wyswobadzają od nieubłaganej władzy ojcowskiej, która jeszcze i na wnuków i na prawnuków całém brzemieniem spada. Gdy syna usamowalnia ojciec, używa formy pedanckiego prawa, sprzedając go pozornie po trzykroć mocą ważek i pieniążka. Wszak i małżeństwa zawiązują się kupując żonę, lub przedawnieniem, jak gdyby chodziło o rzecz jaką bezduszną.

Wierzmy chętnie, że mimo téj grozy, odzywały się uczucia sereca, jako wiekuiste prawo potężniejsze niż wszelkie ludzkie ustawy;— lecz przecież samo istnienie tych ustaw jawnie okazuje, jak nieśmiałe i lękliwe były głosy natury w obliczu posępnej powagi prawodawstwa. Jakże tu strasznie, jakże duszno było we własnym domu i ojeu i dzieciom! Miłości skromne, wykwitające z duszy młodej dziewicy, te pierwsze ducha rumieńce, one tu były wątłą roślinką, którą w rychłe zwarzył szron, która nie wypuściła nigdy lubego pączka fantazyi, co zamyka w sobie tęsknoty, nadzieje, i

marzenia, i sny kochania pełnego szczęścia.— Ale za to też niewiasta Rzymska jako matrona, jako matka-obywatelka, wychowująca synów dla Rzymu, świeciła pełnym uroczystości majestatem.

W tym ludzie, tak olbrzymim a tak nieużytem, rodzina była twardą szkołą, gotującą do twardszych jeszcze powinności publicznych; wszak cenzora oczy wglądały w tajne ściany domowe, w zacisze prywatnego życia, a kto chybiał obyczajom, prawu, na kogo padł cień czynu nieuczeiwego, niegodnego, był strącony z urzędu, choćby ze senatorskiego krzesła.

Tak Rzymianin poświęcał to bezhałaśne a głębokie szczęście domowe, eo się tak wdzięcznie uśmiecha ludom Chrześcijańskim, żyjącym życiem na wewnątrz zwróconém. W zamian, atoli, za tę szczęśliwość błogą, skromną domowego życia w naszym rozumieniu, wstąpiła tu do głuchego wnętrza człowieka idea wielkości ojezystego państwa i zasiadła w niém, jako na tronie swoim. Idea ta rozparła seree,— seree nabrzmiało ufnością i dumą szlachetną; tak Rzymianin dźwignął się w olbrzyma, wzniosł się nad samego siebie. Obok tej idei wielkiej, nie drobnego, nie niezacnego ostać się już nie mogło; w duszy ogłuchł egoizm samolubny; prawość nieugięta, enota wzniosłości pełna, dotrzymująca wiary i swoim i wrogom, poeziwość bez skazy w sprawach prywatnych i publicznych, harde przekonanie o powołaniu Rzymu i o własnej osobistej godności, stanowiły istotę obywateli rzymskich. Oni czuli się być wyobraźnikami, kapłanami jednej wielkiej myśli, a to kapłaństwo chroniło ich od wszelkiej zmayı moralnej, od zbrudzenia uczuć swoich, od wszelkiej



niekczemności. Czytaj tych historyków rzymskich;— enota niezachwiana ani strachem ani złotem, poświęcenia bez miary, czyny nadludzkiego heroizmu, któreby inne ludy rozniosły, prozopopeją nadętą chęlcąc się i szumiąc, były w starym Rzymie wypadkiem codziennym, rzeczą powszednią, która się niby sama przez się rozumiała; zatém takie czyny są wspomniane w ich dziejopisach zaledwie kilku jałowemi wyrazami. Lubo później uleciały enoty i poświęcenia starorzyskie, zostało jednak jeszcze wysokie uczucie przyzwoitości i poszanowanie siebie; Cezar umierając w senacie, wśród morderców swoich, zasłania sobie płaszczem oblicze, by boleścią ostatniej chwili wypaczone rysy twarzy nie ubliżyły jego godności.

Możemy nie lubić tych Rzymian, ale czeijmy ich enoty pierwotne, korzmy się zarumienionóm czołem przed ich wielkością. W téj idei duchowładnej Rzymu tkwi tajemnica tych figur tytanicznych, które, jakby galeryą olbrzymów ze spiżu ulanych stanęły w świątnicy dziejów ludzkich. Na taki szereg postaci nie zdobył się żaden naród w świecie, z takimi ludźmi Rzym mógł zagrać w kości ze światem— o świat. I Rzym wygrał ogromną stawkę. Przyczyn jeszcze w duchu rachubę mądrości politycznej, która przez siedmset lat snuła się kałkułem ścisłym, nie odstępując na chwilę od siebie samej. Stąd też ten organizm państwa, chłonaący w sobie wszystkie siły tych ludzi na stopę olbrzymią, był rzeczywiście areydzieniem mądrości ludzkiej, gdy przeciwnie skład rządów Greekich był w porównaniu z nim próbka dziecicęą, niedonoszoną, która dostać nie mogła gwałtowniejszym zderzeniom.

Patrz— ten Rzym jest jeszcze wielki nawet w pierwszych chwilach, gdy mu się już zbiera na ostatnią chorobę. Gdy na miejsce starorzymskich enót występują z za kulis świata zbrodnie potworne, te zbrodnie dziś jeszcze przerażają trwogą, mrówiem straszą duszę, ale nie budzą pogardy; są to zbrodnie odziane jakąś wielkością piekielną. Marius, Sylla, Tyberius kroczą przez teatr historyi, jako nieszczęścia olbrzymie demony, niosące na barkach swoich losy ludzkiego rodu; i oni są wieley po swojemu, i oni geniuszami na kolosalną stopę; im też chodziło o ogromną sprawę, ich żarła chuć władania Rzymem i poigrania ze śmiertelnie chorym światem. Później gdy wiara w bogów wygasła w piersiach człowieka, gdy na miejsce kapitońskiego Jowisza stanął na jego podnożu Kaligula, Klaudius, Nero, i cały ten szereg słabogłowych władców, cóż dziwnego, że myśl panowania świata śpięła im krew i zakipiała w mózgu obłąkaniem! Olimp dla nich był pusty, bez mocy, wyludniony z bogów; w sercu tych ludzi nie było więcej bojaźni istot nadziemskich; oni zostali w osamotnieniu, pełnem okropności, bez równych sobie na Ziemi, bez wyższych od siebie na Niebie. Ci ludzie straszliwi są jeszcze ludźmi na ogromną stopę, podobni do ślepowładnych mocy natury, nieświadomych złego, podobni do fatum, co ciemnym skrzydłem zaległo świat. Tak się stało, jakem rzekł, iż choć Rzym sam jest bez fantazyi, zdolen jest rozpać ogniem fantazyi nawet najgnuśniejszą wyobraźnię.

Olimp rzymski wymarł śmiercią, sam przeto Rzym był blizki skonania. On swoim Bogom sam gotował mor

zabójczy. Bo zważ—ta właśnie utylitarność, ta proza rozsądkowa, dławiąca wszelką fantazyę, była jadem śmiertelnym, który zatrul ziemię i niebo. Tu okazuje się z całą potęgą otechłań oddzielająca Greków i Rzym. Bogi Hellady ród swój wiodą z nadziemskiej krainy poezyi; Hezyod, Homer uderzyli pieśnią w struny lutni swojej, a struny zabrzmiały cudownemi tony; ulatujące dźwięki lutni uosobiły się w Bogów Hellady; postaci tych bogów tak urocze, napowietrzne, nadziemskie, jak akordy tonów, jak fantazyja mistrzów natechnionych; i jeszcze i jeszcze płyną pieśni one i zradzają rojami powiastki i mity cudne o tych bogach, a wieści te, jakby swawolne, skrzydlate geniuszki lekkim dworem oblatując niebian postaci, wybajały ich kochania i tęsknoty i słabostki i cały ich żywot wdzięczny. Stąd też te bogi i czarowne o nich plotki nie były owiane grubym tehem nizin ziemskich; one—swobodne dzieci swobodnej fantazyi—bujały na wysokościach przeczystych, kędy nie sięgają sprawy doczesne i biedy potrzeb codziennych. Te bogi Hellady i te przesłiczne a lube o nich mity, chowały w sobie wprawdzie głęboką treść i wzniosłe prawdy, ale ta mądrość rodziła się bezświadomie, ona wypłynęła z zachwytn, z jasno-widzenia poety, ona nie jest bynajmniej bezbarwnym owocem rozsądkowego zastanowienia się i chłodnej obrachowanej rozwagi. Tutaj jednem uderzeniem, jednym gromem powstała treść i forma. Dla tego, teżto bogi greckie są areydzieniem fantazyi i najwyższym piękności szezycem. (ob. List XI).

Inaczćj w Rzymie. Imiona jego bogów podszyły się wprawdzie pod endowną fantazyę Hellady, pod ten piękny Olimp grecki, ale one same nie zrodziły się z wie-

szezego natchnienia, są to robione trupie kwiaty, wydrzeźniające życie; one wyrosły wprost z potrzeby doczesnej, więc też służą ziemskiej potrzebie. Całe niebo Rzymian jest gronem praktycznych myśli przebranych w ludzkie kształty, a wszystkie odnoszą się do Rzymu, jako czeladź do wszechwładnego pana swojego. Stąd też na czele bogów stanął Jowisz Kapitolijski — uosobienie państwa rzymskiego; obok niego podrzędne bogi-pomocniki, wyrażające znów środki dla głównej idei; a poniżej tych, znowu stają niższe środki, niższe bogi, jakby sługi sług. Tak, mury miasta, pokój, wojna, granica, piec piekarski, febra, moneta i t. p., mają opiekuńczych bogów, niby bacznych stróżów pilnujących dobra Rzymu. Ile razy zjawiała się nowa potrzeba lub spadł jakiś nowy kłopot lub bieda, już też, jakby na rozkazanie, wyrósł nowy jakiś bóg, jakby na zawołanie nowy sługa. Zważ, że te bogi nie były nieczem same w sobie, one nie miały swojej osobistej historyi, swojego żywota dla siebie, ale były-li tylko środkiem pomocniczym dla ludzi i nie więcej. W Grecyi bogi rodzą się naprzód po swojemu i wedle istoty swojej; każdy z nich ma niby biografią swoją, a Hellada dopiero później w skutku tego ich żywota czyni ich opiekunem to téj, to owéj sprawy ludzkiej. Stąd też te bogi Greekie tak poetyczne obok jałowéj prozy rzymskich bóstw. Rzym bogów swoich uczynił służalcami, wyrobnikami doczesności; on ideę religijną, choć pogańską, poniżył, splugawił, czyniąc ją niewolnicą ludzkich spraw.

Ale te bogi zemściły się sponiewierania swojego.

Jakoż, potrzeby i tryb zaradzenia im są rzeczą rozsądną baczności; stąd te bogi są dziełem rzemieślni-

czém rozsądku. Są to myśli grubego praktycznego rozumu, które uosobiono, dobierając dla nich kształtów. Treść tedy, to jest owa myśl, a forma nie rodziły się razem w ścisłej jedności, nie były dziełem natchnienia fantazyi.

Rzymianie dla myśli już gotowój dorabiali, jakby na urząd, formę (nowego Boga) wyrażającą niby symbolicznie ową swoją treść; tak tutaj forma jest wymyślona, wymuszona, naciągana. Treść i forma nie stopione tutaj w jedność, odstają od siebie; jest to jedném słowem allegorya. Allegorya jest cechą Rzymu, on jest głównym jęj wynalazcą i hodownikiem, ona jest areydzieniem, na które się chłodna prozaiczna jego fantazyja zdobyć może. Jego bogi—to allegorye. Allegorya zawsze tam się rodzi, gdzie treść jest dziełem rozumu zimnego, i gdy zarazem dla téj treści, którą jest jakaś myśl, rozum dobiera formy (List XI). Ale o tém szeroko już mówiłem dawniej (List XI). Ta forma allegoryczna, zależąc atoli od wymysłu rozumu, może być różna bardzo, choćby dla jednéj i téj saméj treści; i nawzajem, taż sama forma nadać się może dla wiele różnych treści. Stąd węzeł obu stron jest wiotki; one nie trzymają się siebie (List XI). Z tego też powodu trzeba było Rzymianom uwypaczyć znaczenie tych postaci gołkami, atrybutami, symbolami i inną łataniną; więc te bogi ich takie zimne, abstrakcyjne, tak głuche, jak idea Rzymu, jak pojęcie osoby prawnej. Te bogi, jako abstrakcyjne, skostniały w sobie, one nie mają życia, nie mają dziejów, nie mają powieści; żadne mity nie łączą ich z sobą zwojem kwiatów; te bogi są samotne na swych podnóżach i dla tego tak posępne, tak groźne, tak nieżyte,

Widziałeś tedy dla czego Rzymianom tak łatwo o stwarzanie sobie nowych Bogów; otoż, z téj saméj przyczyny nie trudne im było przyswojenie bogów obcych. Oni ze zrabowanych świątnie wszystkich ludów uwieźli bogi pojmane na tryumfy swoje. Bóstwa Azyi, Egiptu, Grecyi zaludniły Rzym w kamienne postaci. W obec niemych tych posągów stawał zwycięzca barbarzyński i palcem gburowatym je wytykając, pyta po swojemu o znaczenie, o treść rozsądkową tych figur? Gdy mu ta treść przypada na rękę, przyjmuje bóstwo obec do inwentarza nieba swojego, dając mu w niém obywatelstwo. Wydobywając jednak treść z formy, zabija i treść i formę. Rzym wycisnął duszę, treść z tych bogów i bogi umarły; ciała ich—toć już martwe, trupie zwłoki. Takowe to są zawsze sprawy rozsądku, gdy się on rozsuchwala i sięgnie do wyższych dzielnic duchowych, do których nie urósł z istoty swojej. Rozsądek jest wprowadzić pierwszym warunkiem powszedniego żywota człowieka, bez niego nie obejdą się ziemskie sprawy, bo on rozsądza rzeczy różne, by się nie majaczyły zamętem. Ale właśnie też dla tego właściwą jego ojcowizną jest świat przedmiotów nawzajem się odróżniających, odgraniczających od siebie: a zatem przedmiotów ograniczonych, skończonych. Sferą właściwą rozsądku jest świat doczesności. Zatem go nie stać, by mistrzował w dzielnicach wiekuistości a nieskończonych prawd, które właśnie są odwieczną harmonią różnie, kontrapunktem różnorodnych dźwięków, akordem zlewającym niebo i ziemię, śmierć i żywot, tuteczność i wiekuistość. Powiedz, czyli rozsądek wystarczy gorącej serca twojego wierze, gdy do przybytku duszy twojej zapuka Pan!

Czyli ci on wystarczy, gdy anioł muzyki unosi się do nadświatnych krain, kędy nie dolatują doczesne westchnienia? Gdy w chwilach świętych żywota twojego spójrzysz w głębie nocnego nieba, i spójrzysz w głębie piersi twoich, a tu i tam obaczysz światła gorejące — ono pismo gwiazdziste, którem Bóg wypisał zakon i przykazanie światu; gdy w tych chwilach uroczystych odezwą się we wnętrzu twojem głosy, niby archaniołów wołania, i przemówią o zaerności, o wiekuistości twojej bezśmiertnej istoty, o sumieniu, o Bogu;— czyli w chwilach takowych jeszcze rozsądek winien być sędzią twoim? Gdy w koło natura rozłoży się obrazami swoich cudów, gdy w tych szczytach górskich śnieżnych, do nieba się pnących, w grzmiących organach morskich fal, w mroku zielonym śpiewnych gajów i w promienistych bloniach, obaczysz i usłyszysz własnego serca tęsknoty, modlitwy, nadzieje i uciechy twoje, gdy spłyniesz rozkoszą z tym cudownym bożym światem, i utoniesz w nim nieskończoną miłością, czyli wtedy, w tych chwilach rozsądkowanie nie powinno się ukorzyć i umilknąć przed tém wewnętrzném duszy nabożeństwem? Kto o wierze, o miłości rozsądkuje, nie ma ani wiary ani miłości, i sądzi o niej, jako bezoki o światłach, o wdzięku barw (\*).

---

(\*) Ta wrzekoma filozofia, która w zeszłym wieku tak zuchwale rozpierała się po świecie, czémże ona wojowała, jakąż bronią rzuciła się na wymordowanie tego wszystkiego, co człowiek jako wielkie, święte i wiekuiste piastował i tulił w sercu swoim? Tą taktyką a bronią było rozsądkowanie, dowiecipem naostrzone! Całą mądrość téj filozofii negacyjnój, w jakąkolwiek była przebrana formę, można sprowadzić do zarzutu jednego, który ona niby głównią rzuciła w duszę człowieka. Jest to ciągle przez nią czynione pytanie: „Jakto wy, gdy wam chodzi o rzeczy powszednie, codzienne, o rzeczy marne i zmysłowe, wy nie wierzy-cie omaćkiem, ale chcecie dowodu naocznego, dotykalnego, używacie

Nawróćmy atoli do Rzymu. Powiedzieliśmy, iż Rzymianie poniżyli bogów, czyniąc ich służalcami celów doczesnych, ziemskich, że przybierali tłumy obcych bóstw, że wycisnęli z bogów treść rozsądkową, a tak wypruli z nich serce, zostawując ich ciała, jako głuche łupiny i bezduszne lalki. Te tłumy bogów umarłych pomściły się swojej krzywdy, bo pomnażając coraz potężniej zastęp swój, dokonały zawrótnego zbałamucenia w duszy ludzkiej; wielość bezmierna rzymskich bogów, nie będąca kołem w sobie zamkniętą jak u Greków, ale mnożąca się bez końca, wylęła z siebie zubożenie dla wszystkich bogów.

---

„ciągle rozsądku, a wy na oślepie wierzycie co wam uczucie wasze gada, „co wam majaczy przez sen serce wasze o rzeczach nadziemskich, zaświatnych? Wy wierzycie wbrew rozsądkowi, mącąc z sobą rzeczy wręcz „sobie przeciwne; i ucho wasze nie słyzy dyzharmonii własnych mnic- „mań waszych!” Wiesz co się wtedy stało?—serce uległo, bo nie było zdolne obronić się napaści tej nauki, walczącej rozsądkiem, umilkło w głuchocie, zrabowane z całej treści swojej. Uległo uczucie, bo serce umie tylko czuć, ale nie jest umiejętnością; bo umie tylko instynktem wróżyć, ale nie jest filozofią. Przyznasz, że na ową filozofią ujemną, negatywną, skreconą, był tylko jeden sposób, jedna tylko broń—tę filozofią wrzekomą, złowrogą mogła tylko zwyciężyć filozofia prawdziwa. Bo co nanka krzywa zepsuje, to jedynie przez samą umiejętność rzetelną sprostowane być może! Trzeba więc było wtedy filozofii, któraby była wykazała, że ów rozsądek gospodarski jedynie rozstrzygać może o rzeczach skończonych a nie zdolne wznieść się do wysokości nieskończonych prawd; że do tych wysokości podniebnych weale innego rodzaju rozumowanie może sobie rościć prawo. Trzeba było naówczas filozofii rzetelnej, głębokiej, któraby była przyszła w pomoc onym wewnętrznym a cichym sercem pocuciom, któraby była drogą ścisłą, umiejętną przypomniiała światu, że jedynie rzeczy ułomkowe, tuteczne, więc przypadkowe, mogące być lub nie być, lub mogące być inaczej, wymagają naocznych dowodów. Taka filozofia byłaby okazała, że te głosy wewnętrzne są mową prawd wiekuistych, koniecznych, i obejdą się bez onych dowodów; że one są prawdziwe, co władają wszechrzeczami od początku światów, że one są technieniem Bożem wiejącem i po przez naturę bezduszną i po



Niewiara mroźna padła dżumą na ducha. Zdawało się, że te bogi bezduszne zstępowały w ciemnościach noenych z podnożów swoich, i jakby upiory wyssały śpiącym zwycięzcom świata krew serdeczną i mściwie wydławiły z nich nawzajem treść żywotną. Te bogi z kolei uczyniwszy teraz z Rzymian czeze mary, rzuciły ich na pastwę przesytnu, zwątpienia, rozpacz i samobójstwa. I zważ, jak Rzymianie nauczyli się wyjmować treść z bogów, tak że treść, fantazją zrodzona, umarła bez ciała będąc, a to ciało stało się zwłokami trupiem; tak później rzymskie państwo, będąc weieleniem wszystkich uczuć, całej duszy rzymskiego ludu, będąc areydzieniem i formą wszelkiej treści duchowej jego, stało się mimo wielkości swojej także marą głuchą i upiorem bez serca; bo lud ten później sam wycofnął z tego państwa, z téj światowładnej Romy duszę swoją, swoją treść; treść nie miała już formy odpowiedniej dla sie-

---

przez państwo duchów. Następnie umiejętność prawdziwa, okazawszy że te głosy prorocze serca są iście bożem technieniem wiejącem po przez wszystkie jestestwa, byłyby orzekła, że ono jest wszech-przytomne, wszech-obecne, a stąd wypłynąłby wniosek, że jak ten dech boży staje się ustawą dla martwego kamienia, że on to jedynie wedle pewnego prawa matematycznego spadać może, że jak ten dech boży staje się prawem dla rośliny, że ona tak a nie inaczej rozwijać się winna, tak też również te technienia boże są i obecne i przytomne i żywe w sercu człowieka, i w tém sercu o sobie znać dają owém proroczém przeczuciem, i kołacą i wróżą. Te głosy, wróżące o najwyższej prawdzie, pęty są ciemne, póki umiejętność prawdziwa, odgarnawszy od nich chętki osobiste, chwilowe, doczesne, nie ujmie w głębiach naszych tych niebiańskich wróżbitów i nie wysnuje z nich umiejętnego wątku i nie zestroi tych różnic i sprzeczności, którym poradzić nie zdołał rozsądek. Właśnie jednak wtedy, gdy owa wrzekoma filozofia negacyjna, rozsądkowa i drwiąca, wjadła się rakiem w duszę ludzi, nie było filozofii, coby obroniła wewnętrzną skarbnicę duchowej od napaści. Serce więc, zwątpiwszy o sobie, umierało na czeześć i rozpacz sceptyczną.

bie. To państwo, co dawniej było tą formą, stało się bezduszną łupiną, postacią bez serca i krwi, zatem runęło w końcu, przywalając rozsypiskiem swoim późne pokolenia dawnych budowniczków swoich.

Podobno cała nasza powyższa rozprawa zdoła już wystarczyć, by okazać, czém w istocie jest fantazya Rzymian; dość nawet wiedzieć jako się oni obeszli z bogami swojemi, aby osądzić ich usposobienie artystyczne. Mniemam atoli, że nie zawadzi, gdy choć przelotnie rzucimy jeszcze okiem na niektóre szczegóły ich życia i sztuki, bo nam to wyjaśni do ostatka wszystko com powiedział dotychczas o właściwej im fantazyi.

Cheć tylko, proszę, mieć w pamięci wypadki główne całego mojego wyводу; one będą kluczem do zrozumienia dobitnego przykładów i pojawów, które ci jeszcze choć ułomkowo przywiodę. Miej tedy przed oczyma naprzód ową wszystko chłonącą ideę Rzymian o potędze i wielkości ich państwa; dalej ich rozum prozaiczny, praktyczny, szukający w każdej rzeczy użytku; pamiętaj, że utylitarność była ich godłem. Następnie, pamiętaj że dążność do symbolizowania i allegoryi oznacza brak ścisłego zestrojenia formy i treści, co właśnie jest warunkiem żywotnym wszelkiej piękności. Nakoniec, cheć baczyć, że z owego braku wypłynęło późniejsze wycofanie się treści duchowej człowieka z zewnętrznej rzeczywistości, a mianowicie ze samej Romy będącej arcydziełem tego ludu.

Fantazya ta lekka i swobodna, «ta kapryśna a przecież tak wdzięczna córka Olimpu» (Göthe), zrodzona w nadświatnej krainie poezyi, stała się tutaj wyrobnicą najemną owej idei Rzymu; ona, jako niepraktyczna,

nie zdołała pomódz do ujarzżenia świata, więc jęj nakazano złościć i stroić rydwan tryumfujących zwycięzców; ona poniżona by floresem zdołała i ubierała w hafty świecisty płaszcz rzymskiej sławy. Fantazyja staje się tutaj przepychem bez miary, rośnie w hardą dumę i pańskość; jest zwiastuną głoszącą po wszystkie ziemie potęgę Romy, by świat znał olbrzymią wielmożność jęj majestatu.

Z tego już zrozumiesz, iż po nad wszystkie inne sztuki Rzymianie ukochali architekturę, boć ona więcej, niż którakolwiek inna sztuka piękna, zdołała unaooczyć moc gigantyczną panów świata i uwidomić ją w przestrzeni, materyalnie; bogactwo i bajeczna zamożność Rzymu mogły być tu mierzone na sążnie i ważone na massy piętrzących się marmurów. Tutaj pompatyczna uroczystość uderza przychodnie ludy ogromem zuchwałej wielkości swojej. Stał ta «grandezza» harda architektury, służąc do uwidomienia potęgi, była właśnie dla tego jakby czemś utylitarném.

Hellada ograniczała się szczupłością wymiarów swego budowania, bo jęj chodziło o ducha a nie o materyą. Rzym kocha bezmierność; on co mieczem powalił świat, on rozkazuje ciężkiej, nieużytej materyi; a materya się korzy i słucha swojego pana—pana, którego zawiął tehem wielkości Wschód azyatycki.

Nadto, co, jak wiész, wielce odpowiadało duchowi Rzymu, architektura jest nadewszystko sztuką symboliczną; wzniosłość i wspaniałość, światowładztwo butne, nie wyrażały się też postacią ludzką jak w rzeźbie, ale ruchem linii w przestrzeni, co choć nieme, równie tak butne i wzniosłe, tak głośnie i grzmiące. Nakoniec zważ,

że budowanie najczęściej łączy się jeszcze z użytecznością we właściwym znaczeniu, bo z jakimś celem praktycznym, co właśnie poszło Rzymowi w smak. Widzisz tedy, że on miał czego kochać architekturę, więc ją też z taką miłością pielęgnował.

Stań przed jaką staro-rzymską ścianą — co to za wykonanie! co to za robotnicy! Tutaj to znać ludzi systematycznych, porządných, pilnych, co nie pracują byle zbyć. Łuk do połowy zgruchotany; druga połowa, niby ramię, sięga w błękity powietrzny; puściła się na niem roślinność bujna, cisną się drzewa, zioła, kwiaty w nappowietrzne ogrody; na tém ramieniu budowaniem odpoczywają wędrowne obłoki, o niego biją wichry, burze i sloty od tysięcy lat, a ramię kamiennego olbrzyma sterczy i grozi jak przed tysiącem lat. Ba! aby tak budować trzeba było właśnie Rzymian, więc ładu, a ducha porządku, więc wytrwałości, więc dzielnego rzemieślnika, praktycznego rozumu, obchodzącego się bez fantazyi.

Fantazyja! uczucie piękności! Uwaga! — Greków cisnęło i parło uczucie potężne do dzieł sztuki, a co robiło, co wrzało im w sercu, to ułatwiała pieśnią, drgało życiem niebiańskiem w marmurowym posagu, lub zdumiewało ludzi cudem budowanego przybytku. U nich duch panem — a duch, syn nadświatnej krainy, wzniósł się nad przepychy ziemskie, nad bogactwa materji; on nie potrzebuje olbrzymich obszarów w przestrzeni, bo jego celem jest piękność, a piękność jest duszą Hellady. W Rzymie zaś chodziło tylko o Rzym i potęgę jego. Tutaj, im budowanie ogromniejsze i zuchwalsze, im głębsze wyczerpuje skarbee, im rzęsiściej znojem robotników ską-

pane, tém piękniejsze; bo tém potężniój roznosi sławę światogłośnej i ludobójczej Romy. Ona przystraja się w łupy świątnie Azyi, Egiptu, Grecyi, rabuje rzeźbione ich odrzwia, bramy, progi bronzowe, wywaza kolumny cudne i kosztowne; pilą odeina od murów malowane na nich arcydzieła. Tysiącami posągów obciąża okręty, a z tym zaborem wraca do domu, i, zadowolniona z siebie, ubiera niemi świątnice schlebiając swoim bogom, lub zdobi widowiska, Termy (łaźnie), mizdrząc się do pospólstwa, drugiego swojego boga, co głodny i z nudów ziewający, więc straszny, gdy krzyczy: *chleba i igrzysk!* Stąd jeden z konsularnych hardych korzy się, a potrzebując łaski tego ludu, buduje teatr na ośmdziesiąt tysięcy widza; jedno piętro jego odziewa marmurem, drugie szklaną mozaiką, trzecie pokrywa złotem, i trefi w 360 kolumn cudownych a w 3,000 spiżowych posągów, a kędy jeszcze miejsce próżne rozściela wschodnie kobierce lub rozstawia obrazy ukradzione Helladzie. Drugi chwycił się oryginalniejszój myśli: stawia dwa teatra, wprowadzie drewniane, ale posłuchaj — teatra półkuliste, odwrócone od siebie; przeto na obu jednocześnie odegrywano sztuki sceniczne, nawzajem sobie nieprzeszkadzając. Gdy się zaś dramata skończyły, teatra oba dziwnym przyrządem mechanicznym zaczynają się poruszać, wraz z widzami, nawracają się na czopach ku sobie, już się złożyły w jeden amfiteatr, w jedną arenę, kędy już gotowe gladyatory do wzajemnych mordów na wielką pociechę, a huczny okłask rozszałalój zgrai. A Termy? — to lazienki publiczne «gratysowe», dziś ich gruzy rozkładają się jakby miastem; w jednej z nich liczą trzy tysiące izb na lazienki — tu na rozkazy ką-

piele, to zimne, to letnie, to gorące; w tych termach są jeszcze teatra lądowe i wodne, galerye obrazów, biblioteki, amfiteatra, widowiska różnego rodzaju, wszędzie ściany wyzłacane, wszędzie posadzka z mozaiki. Wszak dziś jeszcze puszezając się po tych zwaliskach w kroku potracasz o sztukę barwną mozaiki, o przepych zgruchotanych kapitelów, wyrabianych misternie gźemsów; wszak pod tym gruzem odgrzebano Herkulesa i Wołu Farnezyjskiego, Laokoona i wiele tych dziwów piękności, nad które świat nie zna cudowniejszych arecydzieł mistrzów starych.

Daremnie podobno prawilbym ci o innych a niezliczonych robotach rzymskiej architektury, wzdętych przepychem i ogromem bez miary. Któż nie wie, jaki szal parł i prywatnych, gdy ich opadła żądza przesadzania się we wspaniałości swoich siedzib wiejskich, jak to oni równali góry, wybierali doliny, zamieniali morze na ląd, a ląd na morza, by dogodzić kapryśnej ochocie; jak stwarzali pełne wspaniałości pałace dla każdej pory roku, dla każdej zacheianki, i t. d. Ten zbytek, walezący o prym z marnotrawstwem Wschodu, zawiązał się jeszcze za czasów Republiki a wzmaga się i potęguje w cesarskich stóleciach. Patrz—sam ten Hadryan, co stawia wszystkim bogom świątnice, a w żadnego nie wierzy, co unosi się nad pięknnością idealną, niebiańską sztuki greckiej a rozpasany na chuć zwierzęcą, co lubi filozofią a wierzy w gusła i czary; on jest pełen tkliwych sentymentów a podejrzliwy i okrutny; on twardy i zahartowany, a zarazem nurzy się w morzu miękkich pieszczotliwych roskoszy; on lekarzem i muzykiem, poetą i matematykiem, gramatykiem i astrologiem; on umie

na pamięć książki przeczytane; on nawet zna na pamięć imiona wszystkich żołnierzy swęj armii; ten Hadryan jednym razem zerwał się i rusza, aby piechotą, z gołą głową zwiedzić cały ówczesny świat rzymski, i rusza pieszo i z gołą głową przez lat wiele i zwiedził państwo swoje od końca do końca. A gdy wrócił do Rzymu, nuż własnoręcznie rysować plany, nuż w Tiburze, eo dziś zowią Tivoli, budować sobie cały świat w miniaturze: i buduje świątnice i lycea, termy i teatra, akademie, prytanea i amfiteatra, pałace i galerye; a buduje z grecka i z egipska, po syryjsku i po persku, i mieści obok siebie bogów z różnych krańców świata, i stworzył sobie i piekła i pola elizejskie i Tartarus i Lete i Styx i już nie wiedzieć eo; a gdy tego wszystkiego dokonał, pojechał do Bajów i tam, tęsknąc do Tiburu, umiera. (\*). Dziś dzień cały chodzisz i jeździsz po tęj willi jego; wśród bujnej, pełnej natury, wśród zuchwałej, a przecież wdzięcznej roślinności stoją gruzy, zalegające ogromną przestrzeń zamętym labiryntem; i zamętem także skręca się myśl i ani się pochwycić, ani upamiętać możesz w tym świecie wielkości dawniej.

I zaiste, te budowania rzymskie z taką potęgą gwałtowną nderzają wyobraźnią, jakby wielkie dramata, które niekiedy odegrywa natura w obee ulęknionej duszy człowieka. Gdy patrzysz bowiem na te dzieła, przenika cię uczucie, jakbyś widział burzę, eo łomotem pędząc przez kraje, gruchooc puszcze odwieczne i pomiatam mieszkaniem ludzi; zdaje się, że słyszysz grzmiące

---

(\*) Mniej więcej w ten sposób jeden z badaczy dziejów skreślił ten charakter tak dziwny a tak znakomity cesarza Hadryana.

wichry i gromy piorunne, że patrzysz na rozjątrzone morza i buntowne fale jego, na powódź, na pożar, na Alp szczyty; stąd mimowolnie korzysz się tym budowaniem, tym prorokom zapadłych stóleciów, i powtarzasz mimowolnie: «co to za wielki naród! co za przeszłość olbrzymia!»

Zważ atoli—sztuka jest wolną córą ludzkiego ducha; ona nieczyją sługą, niezym środkiem; ona, użyta za środek, spacza się i skręca. Tak się stało w Rzymie — architektura, skazana na służebnię hardości i dumie, nie zniosła upokorzenia i ukarała budowników, wykrzywając w ich rękach czyste formy piękności. Dziś patrzymy się na te zwaliska rzymskie, jako na grobowce wielko-ludów historyi; przecież, gdy je bliżej zbadasz, obaczysz, że tym robotnikom hardym brakło estetycznego sumienia, że poniewierali sztuką i prawami jej tak jako poniewierali światem. Wśród przepychu, ogromu wspaniałego, wśród kosztowności materiału dźwięczą dysharmonią architektoniczne błędy. (\*).

---

(\*) Nie będę ciebie nużył głębszą krytyką występków popełnionych w Rzymie przeciw Estetyce, a mianowicie przeciw prawom kompozycji (List XII); dotknę się jedynie kilku wyrazistych przykładów, pochodzących ze źle zrozumianej żądzy przepychu.

Przysionek grecki o kolumnach, tak szlachetny i wzniosły, i w oczach Rzymian uchodził za arcydzieło architektury, i słusznie; ale zważ, co się dzieje. Mniejsza o to, że porządki greckie zdają się im być zbyt skromne, że budownicy rzymscy łączą głowicę strojną Koryntu z ogromem ślimacznie kapitelów jońskich i tworzą kapitel rzymski tak hardy i bogaty — o to mniejsza; zważ atoli, że same wymiary kolumn greckiego portyku nie wystarczają ich żądzy ostentacyi i okazałości pańskiej; stąd Rzymianie wznoszą kolumny kolosalne, olbrzymie. Rzecz jasna, iż w stosunku wzmagającej się wysokości i grubości tych słupów trzeba było i powiększyć przestrzeń między temi kolumnami i oddalenie ich od ściany. Lecz to było rzeczą niepodobną, bo brusy i tramy (belki) marmurowe



Rozumie się, że dwory wiejskie, świątnice, fora, pałace, ogrody, wymagały zaludnienia posągami. Zarządzono też téj potrzebie, posyłając do Grecyi i jéj osad okręta, które wracały tonąc pod brzemieniem dzieł ar-

mające u góry łączyć kolumny między sobą i ze ścianą, z natury rzeczy nie mogły mieć wystarczającego ogromu. Kolumny tedy te olbrzymie umieszczano zbyt blisko siebie. Tak tedy zrodziła się ciasnota a duszność przysionku. Pomyśl następnie, że obok tych gigantycznych a jedno-piętrowych przysionków, budynek sam ma wiele pięter. jako np. w teatrach lub amfiteatrach. Każde z tych pięter oznaczone jest na zewnątrz rzędem kolumn, choćby udanych, dekoracyjnych. Więc te kolumny są znów drobnostkowe i maluczkie w porównaniu do onych olbrzymich kolumn przysionku i wszystkich jego ogromnych rozmiarów. A tak zgwałcona była harmonia całego budynku.

Baczmy następnie, że do architektury rzymskiej przybył nowy pierwiastek, który stanowi ważną niezmiernie epokę w budowaniu; jest to sztuka stawiania sklepień. Tę sztukę wzięli wprawdzie Rzymianie od starych Etrusków, ale ją rozwinęli potężnie i wspaniale; bo też to była forma piękności tak dziwnie przystająca do ducha rzymskiego! Jak bowiem on rozpina nad światem potęgę swoją, tak sklepienie rozpina się nad budowaniem ogarniając sobą olbrzymie przestworza jego. Sklepienie jest tedy pierwiastkiem żywotnym rzymskiego budownictwa. Sklepieniem tedy głównie odróżnia się architektura rzymska od greckiej, która tylko zna stropy brusowane, zatem płaskie. Stąd też budynki greckie tak są pełne prostoty, a tém samém wielce do siebie podobne, gdy przeciwnie rzymskie tak są różne i tak bogate w rozmaitość. Lecz tutaj właśnie znajdujemy lęgowisko nowego błędu w architekturze rzymskiej; wszak ten dwojaki rodzaj pokrywania, bo płaski (poziomy), więc tramowany, a zaokrąglony czyli sklepiony, są wręcz od siebie różne. Rzymianie atoli, nie mając głębszego uczucia piękności, mieszają dziwnym zamętem oba te rodzaje, kładąc je też obok siebie. Z czego znów wynikło, że często bardzo ich kolumny nie wcale nie dźwigają i są czezą paradą nieusprawiedliwioną przez potrzebę.

Ten brak taktu estetycznego przywiódł ich równie do tego, iż używali wysokich kolumn za podnóża posągów, co jest błędem; bo kolumna jest wprawdzie jakby całością, ale przecież gdy jest przeznaczona na podporę budynku, przeto znown nie jest do tego stopnia całością, by mogła stać osobno i odrębnie. Kolumna np. Trajana w Rzymie jest wprawdzie wielce okazałą; ona barda i pełna majestatu spoziera na mrowiska ludzkie, krzątające się u jéj stóp; szczegóły jéj są prześliczne i szlachetne.

cymistrzów. Już to stary konsul Mummius umiał rabować na stopę wielką i systematyczną, choć, jak się okazuje, nie był osobliwym znawcą. On zdobywa Korynt. Wszedłszy do miasta, jako człowiek lubiący porządek, rozkazuje odstawić na bezpieczne miejsce, co kosztowniejsze, potem puszcza żołnierstwo na rabunek, rzeź — Korynt w płomieniach! Czego kilku-dniowym pożarem nie zniweczył Mummius, każe gruchotać taranami; po-

ale całość jest grzechem przeciw ścisłej piękności, a zwłaszcza gdy około kolumny obwinięta jest w śrubę wstęga płaskorzeźb wyobrażających świetne sprawy cesarza; linie przeto tej wstęgi nie zgadzają się z linią pionową samej kolumny, a tak rodzą dźwięk fałszywy w całym dziele. Gdy atoli i całą Europę na początku naszego stulecia zawiał powiew z Rzymu, więc też i suknie damskie i hafty i krzesła i świeczniki i herbatnice, imbryki i t. d., po wszystkich państwach zarywały na formy rzymskie: wrychle też dźwignęła się kolumna Vendôme na wzór kolumn Cezarów stariej Romy; i tu wstęga, i tu rzeźby, których oczyma gołemi nie dojrzysz. Dla tego wolę gładką kolumnę Zygmunta w Warszawie — ona mniej okazała, lecz też ma mniej „pretensyi.”

Następnie — Grecy byli ludem-artystą, czuli tedy, że dzieło budowane, jak każde inne dzieło sztuki, powinno być wyrazem jednej panującej w nim idei; dla tego też, mimo rozmaitości świątyni greckich, tak łatwo zdefiniować czém być powinna prawidłowa świątynia helleńska. Wystarczy powiedzieć, że ona jest prostokątem, którego szerokość jest prawie połową jego długości, a przytém wkoło obwiedzionym kolumnadą. W Rzymie nie ma tej idei panującej, dla tego też trudniej o definicyą ich świątyni.

Nakoniec zważ, że w Grecyi wszystkie członki architektoniczne w budynku, nawet najmniejsze części w kolumnie mają swój powód w technice; każdy z tych szczegółów może być usprawiedliwiony potrzebą, i toć jest właśnie chwałą geniuszu artystycznego Hellenów, że u nich to, co jest ozdobą i przystrojem architektury, jest zarazem wynikiem z przyczyny technicznej i nawzajem. Inaczej u Rzymian. Oni zapomnieli pierwotnego znaczenia szczegółów architektonicznych, uważają je za przystroję, więc nadużywają ich, nadając im kształty przepyszne, bogate, ale nieodpowiednie ich przeznaczeniu. Co więcej, oni mieszczą kolumny tam, gdzie ich niepotrzeba, i dla tych kolumn wymyślają ciężary, gźmisy, bramy i t. d., które są li dekoracyjne, a nie są bynajmniej wpływem z samej istoty rzezezy.

czém sprzedaje niewiasty i dzieci w niewolę i puszcza na licytacyą obrazy i posągi. Wysłannik króla Attalusa za jakiś cudny obraz ofiaruje (na nasze pieniądze licząc) 10,000 dukatów. Konsul Mummius co temu każe zatrzymać ten obraz, bo jest przekonany że niepodobna, aby malowidło samo miało mieć taką wartość; że tedy zapewne do obrazu jakieś czarodziejskie moce są przywiązane. Wnet też spostrzega, że jaacy żołnierze jego niezgrabnie i gburowato zabierają się do przenoszenia posągów, więc też krzyknął — «Ostróżnie tam z tém! bo jak który co złamie, to każe mu nowe zrobić!»

Takie to zrazu były dzieje areydział greckich w rękach rzymskich. Jednak znowu nie sądzmy, jakoby każdy z wodzów rzymskich, zwłaszcza z późniejszych, był Mummiusowi podobny. Niema wątpliwości żadnej, że i Rzymianie wyższego ukształcenia doznawali rozkoszy nieskończonej w podziwianiu dzieł artystycznych; a wysypując skarby za nie zaiste nie zawsze uważali posągi jedynie za sprzęty kosztowne, dogadzające czezéj próżności. I pod ich nawet własną opieką aż do czasów Trajana sztuka rozwijała się w całej pełnej piękności. Uważ też, że na paleach dziś zliczyć można rzeźby w Rzymie, o których jaką taką mamy pewność, że sięgają czasów kwitnącej Greeyi, i że stamtąd przywiezione były. Te dzieła z małym wyjątkiem przypadły w wywrotnych burzach historii. Te cuda rzeźbione przeto, które spotykamy po muzeach rzymskich, neapolitańskich, florenckich i po innych galeryach europejskich, po większej części wykonywane były za czasów Rzymian i z ich polecenia. Rzeźby przywiezione z Greeyi, choć niezliczone, nie wystarczyły potrzebie; wreszcie i dla bóstw wła-

ściwie rzymskich trzeba było właściwych form a mianowicie allegorycznych. Pamiętaj atoli także, iż w tym całym spisie mistrzów pracujących dla Rzymu ani jednego nie ma znakomitszego artysty pochodzenia rzymskiego! Najczęściej są to Grecy, którzy pracują około sztuki.

Wpatrując się w te postaci rzeźbione, które po świecie starożytnym na nas spadły, wyraźnie znać w nich, jakby dwie cechy różne: jedne są idealnej nadziemskiej piękności, dokonane stylem iście greckim, inne zaś mają na sobie piętno smaku Rzymian. Z tych ostatnich przeziara żywa rzeczywistość, występująca z całą, silną, zdrową prawdą; tu znać, że artyście chodziło o uchwycenie głębokie indywidualności oblicza i całego piętna żyjącego wzoru, który miał przed sobą; a przecież mimo téj prawdy a cieplej rzeczywistości, mimo téj fantazyi rzymskiej, trzymającej się ziemi, te prace tchną szlachetnością a zaciętą dumą, i są dalekie od gminnego, grubego pojmowania rzeczy, jak tego dowodzą nie tylko popiersia i postaci znakomitych mężów i cesarzów, ale nawet i osób prywatnych. W muzeum kapitolinśkiem niezmiernie też zajmującym jest ów zbiór ludzi bez głośniejszej sławy, niby galerya «*obscurorum virorum*», co przeżyli to życie swoje w zacięciu domowém, nie wysuwając się na widownię historyi; na tych twarzach kamiennych nie ma wielkich światonośnych myśli, ale za to ta proza powszednia, te kłopoty, biedki, radości, ohotki codziennego życia, zostawiły wyraziste ślady swoje. Patrząc na te oblicza, czujemy żeśmy między równymi sobie, między swoimi. Znać, że te głowy są podobne do żywych swoich wzorów. Bo Rzymianin utylitar-

ny uważał, że jeżeli popiersie ma być wizerunkiem, niechajże będzie podobnym a nie idealnym, bo inaczej szkoda pieniędzy. Ta wierność i prawda jest pod pewnym względem dla nas nieoszacowana; możemy się spoufalić z tymi poczeiweami, co żyli tutaj prawie przed dwoma tysiącami lat. Plinius, istny Rzymianin, sam wyraźnie powiada, iż sztuka rzeźbiarska właśnie tylko na to wynaleziona, aby oblicze umarłych w najwierniejszym naśladowaniu dostało się następcom (!). Ale ta chęć do wiernych wizerunków stała się upadkiem smaku, bo się wyrodziła w przesadę, która doszła do tego, że np. włosy wyrabiano w najdrobniejszych szczegółach, bo nawet świdrem je dziergano. W muzeach spotykamy marmurowe damy z rodzin cesarskich z fryzurami podobnymi do peruk dawnych markizek francuzkich; co więcej, z niektórych tych popiersi zdjąć można tę fryzurę kamienną; znać, że ją odmieniano, gdy zaszła nowa moda.

Za przykład stylu rzymskiego smaku, trzymającego się prozy życia, przywodzę ci jeszcze grupę z galerji neapolitańskiej. Dwóch setnych drabów stanęło przy kotle. Jeden z nich podmucha ogień, trzymając się ręką za kocioł, drugi sprawia nierogaciznę. Oba te hul-taje żywcem z rzeczywistości wzięte; mianowicie jeden z nich, — rzekłbyś, żeś go gdzieś spotykał na ulicach. Bądź pewien, że ta grupa zrodziła się we fantazyi jakiegoś rzymskiego Teniersa. Ba, w ogólności mówiąc, śmiałybym twierdzić, że smak rzymskiej rzeźby najeźsiej tak się ma do nadziemskich ideałów greckich, jak one malowania niderlandzkie do Rafaelowych anielskich widziadeł. Krom tej cechy w stylu rzymskich rzeźb, wypływającej z ich praktyczności, są jeszcze inne. Wspo-

mnę tylko o jednej z nich, będącej prostym skutkiem chęci okazałości,—jest to npodobanie w ogromnych wymiarach posągów. Jak wszędzie tak i tutaj Rzymianie wielkość mierzą łokciem. Tak np. cesarz August polecił ulanie posągu Jowisza Kapitolńskiego, który był tak gigantyczny, że go było widać od spadów wód tyburskich aż do albańskich pagórów; a Nero nakazał wykonać własny posąg swój ze spiżu 110 stóp wysokości.

Te bndowania Rzymian, majestatu pełne, te urozyste kamienne postaci, rozplynęły w muzyce ich poezyi; bo, co mileżacém proroctwem zapowiadają marmury, co w barwie malowanych obrazów patrzy na nas niemém ducha spójrzeniem—to staje się istnym żywotem w ustach wieszczów natchnionych. Wszak poezya, owa najukochańsza fantazyi córa, jest wierną duszy narodów malownicą, jest spotęgowaném biciem serea ludów i jasnym komentarzem zagadek wypisanych w tajemném ich wnętrzu. Ta treść bezdenna, te pączki światów, co ciśnione doczesności mrozem zimuują w piersiach naszych, one wszystkie się bndzą życiem pełném, goracém, nieśmiertelném, gdy po nich zawieje wiosenne poezyi tchnienie. Naród każdy samego siebie widzi w pieśni swojej, ale już się widzi w ułotnionej postaci, swobodą nadziemską uskrzydłonej, tak jak się widzi kochanek w miłości swojej. Ta poezya jego jest jego duszą bezśmiertną, wzniesioną nad doczesne doliny, nad nizinny tuteczne; ona okiem archanioła ogarnia lat tysiące co dawno pomarły, ona widzi lat tysiące co dopiero mają być poczęte w wiekuistości łonie; dla niej wszystko jest obecnością żywą, jest mapą Bożą, w której czas się zatrzymał, stając się widzialną przestrzenią. Poe-

zya wielkie czyny przeszłości i przyszłych czasów wróży promienne, i wesela i smutki obecne splata w jeden harmonii wieniec, jakby dla swojego ludu koronę. Ta poezya zbiera kwiaty z grobów i z ementarzów pokoleń dawno pogrzebionych, i telnie duchem na te kwiaty grobowe zmarłe a kwiaty ożyją, zapłoną światłem, jako te gwiazdy co, bożą miłością uskrzydłone, rozpromieniły przestrzeń nieskończoną, niemą, głuchą, przepaścisną. Poezja ma serce wielkie jak wieczność; ona rozumie i drganie duszy nieświadomój uczuć swoich dziewczyny, i błyskawiczne myśli wielkich ludzi w historii przeistaczające świat—ona sercem rozumie i westchnienia mogił ciebie. Ta poezja sprawia cuda, a jój mocą cudowna jest miłość nieskończona; ona świat cały pomieści w sercu swojém, ona kochaniem odechnęła co mrozem tutecznym zziębione, co zapoznane od ludzi, i odzieje jasności aureolą; ona stwarza czarodziejskie pałace, które przecież są prawdy najwyższej przybytkiem; ona stwarza jakby bajeczki dla małych pacholąt, ale te bajki jój są tak ciężkiej wagi jak mądrości najgłębszej wyroki.

Poezja — to wróżka nadniebna, zesłana aby ukoić cierpienia, by ochłodzić twardy ziemski trud,—krocząc przez ludy i wieki stanęła wśród synów nieubłaganej Romy. Bo i Rzymianie przecież dzielne pracownicy na téj ciężkiej roli ludzkich dziejów. Lubo prawda, że wszystkie ich łamanie się i silenie nie mają człowieka i uzaczenia jego na celu, ale jedynie ku temu zmierzają, aby dźwignąć ukochany Rzym swój; lubo prawda, że ten Rzym jako dzieło doczesne doczesnej idei runął, toć przecież i to pracowanie się ludu tego nie było stracone i po-

szło na zdrowie świata i cywilizacyi człowieka. Te robotniki znojem swojego trudu i krwią ciepłą serdeczną torowały ścieżkę aniołowi, co miał przejść światem — światu na zbawienie. Tak przeto, choć ta poezya rzymska nie może sprostać greckiej, jednakże i ona zasługuje bym jęj poświęcił list osobny. Jak bowiem jest widokiem wielce zajmującym i niełada, gdy obaczymy jak to poezya, z wyższych światów gość, przytula i swoi do siebie onych hardych synów cudowładnej Romy, tak też sprawą jest nie małej wagi poznanie choć pobieżne téj literatury, co wiąże świat staroczesny z nowożytnym, a nie jest to pewnie rzecz marna przypatrzenie się téj poezyi, co przemawiała językiem, który ogarnął wszystkie ludy oświecone i po dziśdzień żyje wśród nas żyjącą puścizną.





## LIST XXIV.

R z y m.

(*Dalszy ciąg*).

Poezya i język rzymski.— Wiek Augusta.— Piętno téj poezyi, odpowiedzialne usposobieniu tego ludu.— Allegoryczność.— Horatius i Wergilius.— Przewaga poezyi dydaktycznej.— Owidius.— Tybullus.— Dramaturgia.— Satyra, właściwa poezya rzymska.— Skon Rzymu.

**I**dealy nadświatne piękności nieskalanej— a logika nieublagana powszedniej życia prozy!— Poezya i Rzym! To są sprzeczności jakby dwóch wbrew odwrótnych światów! a jednak te przeciwieństwa zaślubiły się z sobą w Rzymie. Bo piękność, również jak prawda, jak cnota, od wiekuistości ród swój wiecznie, więc w samym wnętrzu człowieka ma swojego sprzymierzeńca pełnego potęgi. A łatwiej zagasnąć gwiazdom na niebie i olsnąć słońcom, niż zaginać téj wiekuistości w człowieku; żyć ona będzie w nim choćby w letargu, choćby żyweem pogrzebiona, i odżyje bylebyś znalazł słowo co ją zbudzi z martwych. Poezya ufała téj wielkiej prawdzie, więc stanęła wśród Rzymu, a rozebrana nieskończoną miłością zapragnęła umiać tym robotnikom czystem duszy wese-

lem krwawe prace i brzemie ekliwego żywota. Litując się chwały Rzymskiej tak wielkiej, tak bogatej w ofiary bezmierne i w cierpienia bezmierne, zrzekła się postaci niebiańskiej, przybrała na się doczesne formy, a tak stała się widzialną oczom rzymskim i przemówiła do twardych wojowników zrozumiałą im mową. Poezya w Rzymie wzięła na się rzymskie formy, śpiewa wojownikom to piosenki wojenne, to starodawną ojców ich chwałę, to wtóruje ich hasom i weselom, to ich bawi komiką figlarną, to uzaenia serca odą wzniosłą, to uczy, lub znowu przytula piosenką miłosną. Ta niebianka długo została na ziemi, wśród Rzymian; ona dotrzymała im dłużej wiary niż sława wojenna i wtedy dopiero ustąpiła z ziemi, gdy Rzym sam zapomniał siebie, gdy go za żywota toczył już pośmiertny robak zepsucia; wtedy poezya rzymska ze łzą w oku, z raną bolesną w sercu wróciła do niebiańskiej ojezyzny swojej.

Ta poezya rzymska miała też za szatę swoją mowę pełną uroczystego majestatu. Ten język rzymski jest to muzyka poważna, pełna szlachetnej dumy i uczucia własnej godności i potęgi.

Słyszac ten dźwięk i te fale téj mowy rytmu, rozumiałbyś, że to jakieś pochody uroczyste muzyki Beethovenowej, że to oratoria unoszące się na grzmiących skrzydłach organów kościelnych. Dziwisz się np. okazałości w mowach sejmowych Skargi, a majestatowi miary i brzmieniu jego peryodów? On podслуchał pulsów łaciny, zastosował je do mowy polskiej;—w tém tajemnica téj wspaniałości poważnej, a tych dźwięcznych akordów jego języka. Stąd też mowa Skargi podobna

do rzymskiej mowy; stąd ona kroczy to jakby uroczystym pochodem areykapłana w święto Boże, to jakby tryumfem bohatera uwieńczonego wawrzynem zwyciężkim. A cóż dopiero ta rozumna a logiczna budowa mowy rzymskiej, która tamuje swawolę, nie broniąc swobodnych ruchów myśli, która żąda dobitności i siły, ścisłego rysunku wyobrażeń i dokładności najwyższej w znaczeniu słów. Gramatyka łacińska— toć najzaśniejsze wyéwiezenie dla rozumu, ona nadaje myśli logikę, wagę i podwalinę, na której stanąć może, jako na ciosowém podnożu. Stąd też aż do końca żywota poznać zdołasz w iście naukowych ludziach piętno, które im nadała nauka łaciny, odróżniające ich od wychowania pochwyconego na dorywku, na żarty, z amatorstwa.

Słowem, język łaciński jest tak dzielnym a mianowicie tak rozumowym i praktycznym, jak sami Rzymianie. Stąd widać, iż mniej nadaje się dla fantazyi, że jest mniej językiem poezyjnym, lecz za to stał się językiem wszechświata. Nie przeczę bynajmniej trafności zdań przywodzących fakta historyczne, dla których ten język rozlał się na wszystkie ludy cywilizowane i doehował się w całej pełni do naszych czasów; nie zaprzeczam tych powodów, ale one są tylko przyczyną zewnętrzną, która nie byłaby wystarczyla do wyjaśnienia tak osobliwego i jedyne go w historii pojawu, gdyby w samym języku tym, we wnętrzu jego, nie było powodu prawdziwszego, a tym jest właśnie języka tego abstrakcyjność, rozumowość, jego istota ogólna, naginająca się tak doskonale do wszelakiej treści rozumowej, przeto do każdej nauki i umiejętności, stosująca się i do ducha każdego ludu, i do tętna każdego wieku,

do wszystkich epok cywilizacyi (\*). Przyznasz mi, że te różne okresy któremi przechodził ten język, te nawet spaczenia się jego w średnich wiekach, dowodzą zasobów i sił żywotnych nieprzebranych jego istoty. A zawsze i wszędzie dochował swojej potęgi tak czerstwój i tak zdrowej. On równie dzielnie się toczy we wierszach Lukretiusa i w mowie Cyncerona, jak w »Dies irae« lub »Stabat mater.« I prawodawstwo i filozofia scholastyczna i pieśni kościelne przejęły ten język, czyli raczej były przyswojone przez niego. Zaiste Rzym umierając zapisał testamentem mowie swojej świat cały i wszystkie cywilizowane narody; on przekazał jej na dziedzictwo długie wieki i lat tysiące. Rzym umarł tylko cieleśnie, ale mowa jego, niby duch jego zwycięzki, przebywa między nami, jest w atmosferze naszego żywota, nim oddycha myśl nasza.

Powyżej roztoczyłem ci ducha ludu rzymskiego, teraz wspomniałem o języku jego; to już niechaj będzie dostatecznem, by zgadnąć jaka jest i poczya Rzymu. Nie pisząc bynajmniej historyi literatury, wspomnę tylko o niektórych rzymskich śpiewakach z czasu najwyższego zakwitn poczyi, i tych nawet jedynie zwierzchnu i przelotnie dotykając.

Tryumwiraty mordereze już umarli, krew proskrypeyi wsiąkła w ziemię, porosły ją zioła kwieciste; August cesarzem, cieho na świecie, jak po ogniu, po morach,—pokój głęboki otulił ludzki ród. Po-

---

(\*) Co do języka i literatury Rzymian obacz głównie dzieła pr. Bernhardy, Bähr, Herrmann, Krause: wielce godne polecenia; przypominam również tutaj powyżej przywiedzione dziełko Małeckiego, dalej Wirgiliusza wzorowie rozbiera Wagner a Tybulla Richter T. I §. 9.

czucia przyszłości z lekka tylko zadrgały wróżbą w łonie dziejów; orły rzymskich legionów gdzieś przepadły na północy dalekiej w mrocznych kniejach dziczy germańskich, a na południu weszła na niebo ona gwiazda wschodu i zatrzymała się nad strzechą Betleemską! August płacze straty legionów, choć nie przeczuwa wróżby, co nań woła z południa; a wieść o gwiazdziejonej nie doszła uszu jego. Na świecicie eicho, spokojnie, teraz czas się bawić i brząkać na lutni i śpiewać i pieścić się i miłostkować! A August zachęca do lutni, do piosnek jako do cacka, i pielęgnuje sztuki, i buduje marmurowe miasto na miejsce starych świątń i domów ceglanych, poszarzanych czasem i poplamionych ludzką posoką. August niekiedy sam robi wiersze; a za przykładem z góry i cały Rzym wykształcony wierszami się pieści. Bo w stolicy świata, co morzem namiętności, szaleństw, kaprysów, dziwactw, przepychu i oglady, krystalizuje się teraz towarzystwo wytworne, wykształcone, wybrane, bawiące się w poezję i literaturę. Lecz nad tych elegantów, świecistych i strojnych dowieipem i smakiem, wznoszą się o głowę od nich wyżej poeci, co na prawdę wieszczą o talencie potężnym, o zaeném sercu i niezuciu czystém.

Z całego grona tych poetów wybiorę ci na pokaz trzech tylko, którzy wedle mojego zdania najtrafniej wyobrażają całą poezję rzymską. Wyznaję znów atoli chętnie, że i ci poeci są istni Rzymianie, ich nie porywa natchnienie o skrzydłach wichrowych, ich nie zagrzewa zachwyt od Bogów idący, w nich nie robi geniuszu potęga, wzbijająca się wiekuistą swobodą nad świat. Z tych wieszczów przemawia poezja, która

»odetchnęła wonią ziemskich owoców, i przybierając uczucia Rzymian, ich chęci i duszy pragnienia, przemawiała zrozumiałą im mową.« Ta poezya, to nie samorodne puszcze wolnej natury, co pod tchem powiewów a urokiem rosy niebiańskiej i promieni słonecznych wystrzeliły w chmurotyczne dęby, odziane w spłoty powojów kwiecistych, w bujne zioła i mechy bogate; ta poezya — to grządki kwiatów prześlicznych, sadzonych artysty ręką, co je pieści sztucznie i pielęgnuje z miłością.

Cheeszli mieć pojęcie jedném słowem o tej poezyi Augustowskich czasów, przypominam ci że pod tę epokę właśnie kochano się w Rzymie w ogrodach, które z górą tysiąc sześć set lat później niby wymyślił Le Nôtre na tak wielką admiracyą hardego Ludwika XIV, iż go nawet serdecznie wycalał! słowem, wtedy szalano w Rzymie za ogrodami w szpalery strzyżone, w chodniki wynuskanne i strojne w krzewy i drzewa udające kształty zwierząt lub postaci ludzkie; były w nich bukszpany wysadżane w cyfry, w imiona i t. d. Brakowało tylko przechadzających się robronów, korków czerwonych u trzewików i chłopiąt małych w jedwabnych frakach, długich kamizelkach, ze szpadą u boku.

Choć tedy pocii owocześni, jako ludzie nie na lada stopę, nie ulegali ślepo bezsmakowi swojego wieku, przecież i oni nie zdołali się w zupełności wyzwolić z pod tego społeczeństwa im atmosfery. Ich pieśni nie są skutkiem wszechmoceń potęgi co prze, i wre, i kipi w sercu, lecz talentu świetnego, wytwornego smaku; są to ludzie umiejący doskonale literaturę grecką, ale

nie są jęj niewolniczymi naśladowcami, bo w nich całą potęgą żyje hart rodzimy rzymskiej ojezyny. Ich fantazyi towarzyszy rozum, ten rozum rozsądkowy, który wszystko waży, liezy, mierzy i wiąże w ład i szyk. Z tą fantazyą łączy się wytrwałość niesłychana i pracowitość, co ich czyni dzielnymi mistrzami słowa i władzami języka; stąd w nich najwyższe wykończenie formy. Otóż więc te poczy, jak ktoś słusznie rzekł, są »istne areydziała złotnieze, dokonane nieznękaną pilnością, osadzone w perły i brylanty, szafiry, szmaragdy błyszczące, wyszlifowane z mistrzowska; tu najdrobniejszy szczegół do ostatka wyrobiony.« Nie tylko jednak w téj formie zewnętrznej okazuje się rozumowość praktyczna Rzymu, ona występuje i w dążności przeważającej do uylitarności, a co więcćj odzywa się nawet i w istocie poetycznych obrazów. Te obrazy, jako szaty myśli, najczęściej nie są dziełem szczęśliwej natehnionej chwili, ale są raczej troskliwie dobierane do téj myśli, jakby szaty na jęj miarę zrobione; są tedy skutkiem rozwagi, reflexyi, a tak stają się allegoryami.

---

Po Tivoli, wśród skalnych ścian, szumów wodospadów srebrnych, powiewów lekkich, pieszczących, wśród cyprysów i gajów oliwnych, przędzie się wzdłuż przepaści dróżka chędogą, wysadzana kwieciśtem krzewem; z daleka równina »Kampanii« Rzymskiej, zalana powodzią mglistego światła; a na ostatnim rąbku widnokręgu w sieżodze różowej rysują się lekkie kształty kopuł i wież stolicy świata. Na drożce téj zwykle ciągnie na osiołkach, konikach grono pań i obcych ich-

moseiów,— słyhać gadatliwe koncepta, i żarty i dowcipy, aż w końcu cała kawalkada, jakby na komendę, staje.— Przed nią zwaliska, sklezione sieni, otwory okien, bram, w koło gruzy, tu ówdzie ze strzelin powiewa oleander dziki i cyprys smętny. Te gruzy, prawi przewodnik, to resztki z willi, owęj luběj zaciszey Horatiusa.

Tuż znowu przy Neapolu jest góra opoczysta; w nięj wydrążona owa ulica długa a wysoka, którą nazwali grota Pansilipo. Nad tą grota, na zawrótnęj wysokości, samotnéj, odosobnionej od świata, od ludzi, jakby na napowietrznym przyładku skalnym, jest przestrzeń mała, ścianami opoki otoczona, na nięj plezą się bogate zwoje bluszczowe, i rozwiesił się kaktus pnący o purpurowych kwiatach. Tu Aloësy urosły w drzewa, figi ciemnolistne stoją nieporuszone, a długie zioła rozestwały się bogatym, miękkim kobiercem. Widać Neapol, otulony obłokiem kurzawy palącey się w gorących słońca promieniach: wrzawa hałaśna najkrzykliwszego na świecie miasta splata się i kłóci z hukiem sąsiednich morskich błękitnych fal, a znów pod tobą w głębi głucho dudni gwar, turkot przytłumiony, ryk, krzyki, dzwonki,— to wozy, konie, koeze strojne, trzody, i tysiące pieszych ludzi, co się eisną przez pausilipską grota. Życie dolatuje cię tutaj jedynie przytłumioném echem. Na téj samotnéj wysokości skalnéj, na téj przestrzeni drobnéj, oddzielonéj od świata, wyrósł mały wawrzyn, tuż przy nim wstęp do komory czworograniastéj, wykuty w skale. Ten wawrzyn sadził niegdyś Petrarka a odnowił go świeżo Delavigne; ta komora, jak nam prawią, jest grobem Wirgiliusa!



Horatius i Wirgilius,— imiona wdzięczne i ukochane! wszak do nich przedewszystkiem stosują się owe nasze zarysy rzymskich poetów.

Horatius, ów wielki mistrz mowy i rytmu, on pisze zwolna i rozważnie; i gładzi i struże i dłutkiem dzierga te myśli swoje, jakby figurki cudne z kości słoniowej, sztuczne i misterne, i dodaje im złota i kamieni drogich. Znać, że te pieśni jego nie urosły od razu jakby pod rószechką ezarodzieja; każda z nich jest areydzieniem mozolnej rozwagi i pracy niezwałtonej, a znać nawet, że różne części jej dorabiane w różnych ustępach czasu. Horatius zna świat i ludzi, on bystrym okiem rozumu przeniknął życie do dna, i dla tego też w jego poezyi pełno maxym, senteneyj tehnących prawdą głęboką. Naucz się Horatiusa na pamięć, a znajdziesz do każdej pory życia, do każdego wypadku wrzeeczywistości, do każdej chwili czy radośnej, czyli smętnej, trudnej czyli wdzięcznej, wiersz, co niby ustawa starodawna i uczy i radzi i kare i pociesza. Jego poezye mniej może dogadzają młodszym sercom, ale są roskoszą istotną starości doświadczonej, chłodnej. Ody jego, to nie potoki wypadające wywrótną potęgą ze serca alpejskich szczytów, to eiche i spokojne strumienie, które czystym źródłem wylewają się z duszy wytrawionej życiem, a płyną wśród brzegów kwiecistych, strojnych ręką ludzką. One płyną z czystego serca,—Horatius był uprzejmym, ale bez podłości; on nikomu nie dworaczył, jak twierdzą niektórzy oszezerey, zawistni obeej sławy.

Horatius pisze też i Satyry. Satyry te atoli, choć tak drwiące, burezące, są znów tak grzeczne a gładkie

i uprzejme, iż widać że to człek dobrego wychowania, światowiec genialny, który lubo uśmiechem pogani, ironią lekką ukarze, nie zrani przecież ani obrazi. Satyry Horatiusa podobne do owój pięknej pani, której doweip lekki, gracyjny niby skrzydelka motyle, uśmieszkiem, słówkiem, spójrzeniem, ulotnym żarcikiem ogromną prawdę wypowie; lecz tak wdzięcznie się sprawi, iż zanim się spostrzeżesz, już ów doweip zwinął skrzydelka swoje i uleciał, kędy trudno za nim pogonić.

Ale zważno—satyra to rzeczywiście rodzaj poezyi na gruncie rzymskim zrodzony; cheć jej baezyć, iż satyra, jako poemat, zwraca się przeciw stanowi społeczności, co właśnie znów ma głębokie znaczenie:—bo wróży, że rzeczywistość, że ten świat obyczajów, nie odpowiada więcej idei swojej, że już nie jest tém, czémby być powinien, że idea a myśl żywotna, która winna być treścią społeczności, ustąpiła z nięj jako z wyrażenia i widomej formy swojej, że treść nie znajduje się więcej w rzeczywistości, że jest jedynie ideałem przemierzającym już tylko w piersiach satyryka, a że świat rzeczywisty stał się pustą, bezduszną łupiną. Satyry Horatiusa radeby sprostować, poprawić ludzi; ale nie poprawia, nie sprostują one, choć tak gładkie i wdzięczne i grzeczne; raczej wróżą że zawistne Rzymowi potęgi już robią i pracują pod ziemią.

Horatius pisze też tę sławną »ars poetica,« co to na poły satyrą, lekką ironią na poetków-wierszokletków, a na poły poematem dydaktycznym;—niby z niechęcenia rzucena estetyka poezyi. Jeżeli tedy Horatius i w odach i satyrach uczy praktycznie, na przykładzie jak pisać,

w poemacie o »sztuce poetycznej« staje się wprost nauczycielem podającym teorye.

Spółczesnym Horatiusa a przyjacielem jego od serea jest Publius Wirgilius Maro.— Drugi człowiek zacny i szanowny.— Na świecie było cicho i spokojnie. Rzym dochodził południa swojej wielkości; był tedy czas zaśpiewać mu dzieje jego zarania, ozłocić, ustroić kolebkę jego i umaić zmyślonemi przez poetę mitami prozaiczne początki Rzymian. Zadzwonil Wirgilius w lutni swojej struny, uczniając i wielbiąc ideę ludowładnego Rzymu. Zaśpiewał więc Eneidę, co jest epopeją-hymnem. Wszak on sam woła wdzięcznym wierszem: »Niechaj inni tehną życie w marmury, niech udzielają duszy śpiżowym posagom; sztuką prawdziwie rzymską jest pogrom narodów i panowanie nad światem.« Słusznie ktoś z krytyków rzekł, iż obrazy Homera są malowaniem tehnioném na przezroczach eternu, a obrazy Eneidy są mozaiką lśniącą, cudną, złożoną z kosztownych i drogiech kamieni. Boć w téj pieśni ślicznój nie znajdziesz zaiste onego duchowego widzenia, co rozsuwa mgłę starych heroicznych czasów. Wirgilius patrzy na dawnych bohaterów odzianych całą gigantyczną ich potęgą;— te postaci jego ruszają się, mówią i działają jako oglądzeni Rzymianie z wytwornych czasów Augusta; to nie burza zachwytu, co unosi ducha wieszcza, to talent świetny, znakomity i studia i praca wytrwała (\*).

Wirgilius pisze jeszcze Eklogi, to jest sielanki. Dziwne to goście, te sielanki, które jakby bosc dziew-

---

(\*) Ob. dzieło Bähr.

częta wiejskie chodzą po złocistych pałacach Rzymian; lecz nie wierz tym maseczkom; wszak patrz jakie małe, zgrabne ich nóżki, jakie rączki białe; one pewnie nie były u żniwa, a darennie udają prostotę w mowie; ich wyrażenia tak dobrane, iż widać, że to salonowe wytworne damy; one dla fantazyi a kaprysyku przebrały się za wieśniaczki, by w odmienną postać doświadczyć mocy swoich powabów i wdzięków, jak to czyniły owe głośne damy głośnych Ludwików francuzkich.

Jakoż wieśniaki i pasterze tych sielanek—to przebrane znakomite figury Rzymu: jest między nimi nawet i umarły już Julius Caesar, jest i sam autor:—słowem, te sielanki są po prostu allegoryami. Wykwintny Rzym nie pojmuje, jakby się zadawać można z rzeczywistymi rolnikami, bartnikami, pastuchami, a on, jak wiesz, tak lubi allegorye. Te sielanki miały jeszcze przypomnieć zbytkującym, płochym i psującym się panom świata, niezucia rzewne i żywot ich ojców pełen prostoty i poczeiwego obyczaju; te pieśni sielskie są tedy zwierciadłem, w którym się miała przejrzeć społeczność i obaczyć, obok tych postaci czystych i niezepsutych, własne rysy twarzy, w karykaturę wykrzywione.

Jeżeli zaś *Eklogi* zlekka prostują i uezają, toć *Wirgilius*, śpiewając *Georgiki* swoje, wprost staje się nauczycielem, ale nauczycielem najmiłszym w świecie. Rzecz tak się ma. August patrzył z żalem— a kto wie— może i z wewnętrznym wyrzutem sumienia na opustoszałe pola Włoch, zniszczone długoletnią wojną; namówił tedy, jak słyhać, naszego wieszca, aby zatrudnienia wiej-

skie przydział urokiem czarodziejskim wdzięcznej poezji swojej. Ba! wtedy i serec były pustkowiem, a dusze zapyrzyły się chwastem; a ty wiesz, jak to zaprzyjaźnienie się z naturą, jak ta zaena praca około zagony uspakaja rozmiotane namiętności, jak ona koi rany od ludzi zadane; gdy osa ukąsi, mówią, przyłoż ziemi a ziemia pomoże na żądlu. Miał słuszość bardzo on August, jeżeli mu to wszystko przez myśl przeszło.

Śpiewa tedy Wirgilius o hodowaniu pszezół i drzew, o roli, o siejbie i zbiorze a śpiewa tak cudnie i lubo i słodko, że nawet niekiedy pogodzić się możesz z nie jednym szkolnym próżniaczkiem,—który, gdy mu już do żywego doskwirzy łacina, greeczyzna lub matematyka, na gwałt pragnie oddać się gospodarstwu, jako rajowi ziemskiemu, kędy godziny nie biją, kędy nie ma słyehu o książkach, a przepadły egzamina na wieki.

Rozum praktyczny Rzymu, upatrujący wszędzie użytku, kochał się też wielce w poezji uczącej, dydaktycznej. Wszak pojąć można łatwo, iż ten rodzaj poezji właśnie dla tego, że ma za swoją treść naukę, więc rozzumową ośnowę, nie jest dziełem swobodnej fantazyi,—treść a forma nie są ściśle z sobą zlane:—ta poezya, służąc jakiemuś obcemu celowi, nie odpowiada już ściśle istocie sztuki, która właśnie ma eel sama w sobie.

Bądź jak bądź, Georgiki Wirgiliusa brzmiały też we wszystkich ustaeh, a przed nim i po nim dydaktyczne poemata wszechodziły gęsto, niby posiane, na niwie poezji rzymskiej. Jeden zaśpiewał o Astronomii wierszami, drugi o ptakach, trzeci poeta udaje geologa i pisze wierszem o Etnie i powodach jej wybuchów. Lu-

eretius nawet, ten wieszcz znakomity, zabrał się do filozofii Epikura i z téj nauki jego, która jest pewnie najjałowszą metafizyką, jaką zaznała kiedy filozofia, uczynił prześliczny poemat. Owidius pisze rodzaj kalendarza, poetycznie wywodząc święta i uroczystości Rzymian; ale mniejsza o to. Leez, co więcej, wystaw sobie, ten Owidius wierszami napisał cały kurs sztuki kochania! Dalej ten sam wieszcz swawolny, niedyskretny, napisał inny poemat, »Remedia amoris,« co znaczy środki, niby lekarstwo na miłość! — i napisał jeszcze jedną pieśń »Medicamina faciei,« w której podaje sposoby na podratowanie a podwyższenie piękności! Niechaj mi wierzą wszystkie piękne panie, że ten Owidius w tych naukach swoich, weale nie jest bakalarzem pedanekim. On podobno nawet tak wysoko zastosował do praktyki te teorye swoje, iż August, co to przecież dość wyrozumiały na poetów, uczul się osobiście obrażonym. Nie wiem, co istic zgrzeszył Owidius o miłującém sercu, i nikt tego nie wie i wiedzieć nie będzie; rzecz cała jakby w wodę wpadła. To tylko pewna, że się przesiedział aż do śmierci jako wygnaniec gdzieś na północy, podobno słowiańskiej, między grubemi Getami. Przeto, wśród mrozów, biedaczysko chłodził zapaly miłośne i na wieczernicach uczył gospodarzy swoich łacińskie wiersze składać.

W pieśniach Owidiusa błyszczy, świeci dowcip, humor lekki, figlarny, fantazya ciągle na zawołanie, łatwość szalona do wierszy; sypią się obrazy jakby na wyścigi; a obrazy te malowane w gorące, przepyszne barwy, zwróty nowe, niespodziane, pełne świeżego i niesłychanego wdzięku. Ale cóż z tego, gdy mi tru-

dno bliżej rozprawiać o tych poeziach. Te amorki jego, śliczne wprowadzie pacholeta, gładkie to i dowcipne, zwinne i powabne; przecież znów takieto chłopięta swawolne i rozpustne, że podobno lepiej nie zaczepiać ich weale; a ten Owidius tak nieidealnie pojmuje miłość, on tak »niedyskretny« i zuchwały! Więc jakże tu pisać o tych pieśniach!—chybaby może po łacinie! Ale to znów niegrzecznie! Dajmy więc temu pokój, a powiedzmy słówko o Tybullu, który wprowadzie także rozkochanego temperamentu człek, ale przecież już inny jak Owidius.

I w Tybullu uśmiecha się miłość ziemską z niewypowiedzianą lubością i wdziękiem; lecz ta miłość jest uszlachetnioną, zidealizowaną; ona się wprowadzie na ziemi zrodziła, ale jęj wyrosły tęczowe skrzydła Psychy; stąd ona przypomina niebiankę na olimpie poczętą.—Elegie Tybulla— to nie kwiaty w szklance chowane, one nie wyciśnięte z mózgu zimną reflexyą. Dusza śpiewaka uciekła z zewnętrznego świata, bo jęj ten świat niemiły, tak zimny, pusty, bezsercy; utonęła tedy sama w sobie, własnym tajnym uczuciom dając posłuchanie. A te uczucia tak tkliwe i rzewne! tak głębokie a tak prawdziwe! Uczucia te, z razu zeicha szepeące, wzmagają się potęgą, i mówią i śpiewają, i nucą w piersiach poety; a co mu zanucą, co mu zaśpiewają, toć on pisze, a tak jawia się śliczna, dźwięczna i tkliwa elegia. Te pieśni Tybulla wyśpiewało serce po swojemu; nie znajdziesz tedy w nich rozumowego układu, artystycznego planu, ani ściślej jedności, bo o tém wszystkiém nie wie serce; są to słowiki, co sobie śpiewają od ucha, ale właśnie też dla tego te pieśni są tak

wdzięczne, tak uroczę.—Na tych miłościach Tybulla, jakby na liolkach młodych, drga jeszcze łezką rosa poranna.

Czyliż może być wdzięczniejsza, wyższego czarodziejstwa poezya, nad ten bukiet pieśni nazwany Sulpicia. Tutaj Tybullus mistrzem miłości—mistrzem światów żyjących w sercu niewieściem. Sulpicię słusznie nazwano Heloizą rzymską, pogańską; żary namiętne ochłonęły jój duszę, świat cały nie ma dla niój znaczenia; sereem jój serea, jój światem jest ulubieniee; ona go czei i kocha, miłuje i wielbi. Jój miłość daleka od idealności chorowitój, kłamanój, ale też daleka od ziemskich ogniów nieuzaenionych głębokiém, bogatém duszy uczuciem. Poświęcenie się jój jest bez granie a przecież bez sromu a poniżenia,—Sulpicia dumna swoją miłością. Kochanie jest jój chwałą i tryumfem jój wartości.

Zważ jednak,—ta Elegia jest odwróceniem się od świata, od rzeczywistości, a zwrótem duszy ku sobie! W téj poezyi przeto tkwi wróżba, że duch cofa się z rzeczywistości, ze świata zewnętrznego, że ten Rzym już nie zadawalnia, że go opuszcza duch, który już w sobie się zwinął obojętniejąc na sprawę publiczną; słowem, że treść duchowa rozstaje się z formą zewnętrzną; znać tedy, iż, jakby wąż, zeicha, niepostrzeżenie od ludzi zbliża się milezkiem przeznaczenie Rzymu.

Dość już o poetach Rzymskich; com o nich rzekł, wyświeca dostatecznie istotę fantazyi Rzymian wyłożoną powyżej. Nie ma więc czego rozszerzać się nad ich dramaturgią, a to tém bardziej, że ona nie wyrównywała doskonałością innym rodzajom poezyi. Wzory dramatu greekiego, takie świetne i wielkie, odbiera-



ły rzymskim autorom odwagę mierzenia się z ich geniuszem. Naśladowano tedy Greków i, o ile się dało, naciągano ich formę gwałtem do rzymskich stosunków i obyczajów. Brakło też dramatowi publiczności jednój, wielkiej, litój, mającej jedną spólną duszę. Kółko patrycyuszów oglądzone, wykształcone, ze smakiem wyrobionym na Grekach, z lekceważeniem dumnym patrzyło na zabawy grube i doweipy nieokrzeseane teatru, który bawił większą część mieszkańców. Co tedy było w rym ludowi, było odrazą patrycyuszom, a w czém się ci koehali, było niezrozumiałe a może jałowe i nudne dla ludu. Po eo nam atoli wehodzić w dalsze a głębsze przyezyny niepowodzenia w Rzymie dramaturgii; dość przypomnieć kilka faktów:— wiész, autorowie dramatyezni pochodzili albo z eudzoziemców, albo z klasy najbiédniejszój, albo nawet z niewolników, bo nikt sobie takiém autorstwem nie chciał ubliżyć, bo na artystów scenicznych spadała plama infamii; uważano ich sztukę za nikezenne a pogardliwe rzemiosło. Baczmy jeszcze, że komedya, chcąc się podobać ludowi, musiała mu się zapisać na służby blazeńskie a tak pozbyć się godności swojój:— cel jój była zabawa, to niby użytek płynący z niój. A jaka tego upodlenia nagroda? Oto, odegrywa się komedya pełna doweipu i żartów, lud się cieszy, chichocze i poklaskuje; wtém słyehać, że przybyli skoczki i mistrzowie sztuk łamanych; lud każe przerwać komedya i dla skoczków ustąpić aktorom!— Pod gruzami Pompei, zasypanój przez Wezuwiusz w 79 lat po nar. Jezusa Chrystusa, znaleziono też biulet wstępny do teatru; znać z niego, że miano grać właśnie wtedy jedną z komedyi Plauta. Gdy atoli ten czło-

wiek z tak świetnym talentem kwitnął na 200 lat przed Erą naszą, widać tedy już że najmniżej przez lat 280 był ulubionym komikiem rzymskiego ludu, choć trudno wątpić, że nierównie jeszcze dłużej sztuki jego napelniały teatralne ławy. Otóż ten Plautus wtedy, gdy talent jego okrył go już był sławą, gdy imie jego chodziło już z ust do ust, zapadł właśnie dla teatru w długie, oddany był przeto wierzycielom jako niewolnik i zmuszony był pracować za parobka w młynie. Nie popłacały też na scenie docinki i żarty strzelające tu lub ówdzie. Naeuius żartobliwy swój humor odpokutował w więzieniu, a później na wygnaniu. Tragedya jeszcze mniej była narodowa, mniej świetna; kłula się jak mogła niby roślina egzotyczna, w donniezecz na oknie chowana.

Widzisz tedy— i z rozwoju ducha Rzymian, i z historyi, i ze składu społeczności im właściwej—rodzaj ich fantazyi. To rozumowanie nasze potwierdza sama sztuka i poezya rzymska; wszędzie spostrzegłeś, iż cechą téj fantazyi jest allegorya, utylitarność, idea Rzymu, a przedewszystkiém brak ścisłego zlania treści i formy. Raz już powyżej rzekłem iż Romie samój brakuje téj ścisłej jedności formy i treści; formą jest państwo rzymskie, a treścią duch Rzymian. Lecz idea ziemiska, doczesna, nie była zdolną, by w sobie pomieścić całą treść ducha człowieka, zatem poszło, że słuby między duchem jako treścią, a Romą jako formą, nie były ścisłe, że się ta jedność ich rozwiodła, bo była gwałtowną. Ten zaród śmierci, który w przykładach powyższych, wziętych z epoki najświetniejszej Rzymu, odzywał się dopiero lekkim proroczym szeptem,

dawał znać o sobie coraz potężniej, głośniej, aż w końcu zagrzmiął wołaniem ostatecznego sądu nad konającym Rzymem.

Satyra, co niegdyś tak uprzejma z uśmiechem żartobliwym przyganiała wadom, staje się w ustach Persiusa i Juwenala ponurą, groźną, żółcią palącą, bo rzeczywistość zewnętrzna, wykrzywiona w poczwarną maskarę, jest coraz mniej tém, czémby być winna wedle prawdy swojej; między tą formą zewnętrzną a treścią coraz okropniejsza roztwiera się przepaść. Rzym psuje własny język swój, bo on stracił sumienie siebie, sam siebie zdradza i zapoznaje; on nie umiejąc własnej wewnętrznej istoty swojej, nie umie już odziać jej ciałem a formą swojej mowy.

Zerwała się tedy harmonia między duchem a rzeczywistością zewnętrzną. Człowiek nie zdołał już połączyć tych dwóch światów. Rzeczywistość jest teraz w Rzymie bezduchową łupiną; a duch już nie ma w sobie rzeczywistej treści. Więc człowiek albo porzuca z pogardą ten świat, zamyka się w sobie i dla siebie wymyśla harde teorye, osobną treść, nie będącą w żadnym związku ze światem rzeczywistym, którym pogardza, dla którego już nie ma współczucia, a tak czyni się niezawisłym w sobie, otula się płaszcem dumy swojej, słowem staje się filozofem stoikiem. Albo też, odwrótnie, nie mogąc wytrzymać otehlani próżnej własnego ducha, rzuca się w objęcie rzeczywistości zewnętrznej, którą dla niego jest teraz sama natura zmysłowa; rzuca się zatem w rozkosze cielesne, a szukając zapomnienia siebie, w chwili bezdenniej, zmysłowej chce utopić istotę duchową swoją, — i to nazywa filozofią

epikurejską. Albo nakoniec Rzymianin teraz w nie nie wierzy, niczemu nie ufa, rozpacza o wszystkiém, o sobie, o prawdzie, o rozumie, a tak sam staje się uosobioném nicestwem, słowem oddaje się sceptycyzmowi—onój filozofii rozpaczy. Te trzy filozofii rodzaje: bo Stoi-eyzm, Epikureizm i Sceptycyzm, które u Greków były tylko nauką, systematem filozoficznym, teorią, w Rzymie stały się straszliwą, okropną praktyką.

Świat stał się ementarzem, kruchą psujących się zwłok, i psuło się przez stólecia to ciało umarłej potęgi. Ród ludzki wzywał ratunku, anioł stróż dziejów świata wołał zbawienia. A z nieba szedł głos przez świat, przez ludy i przyszłość: »wy wszyscy, co pracujecie, przyjdźcie do mnie a ja was pocieszę!... a ja zostanę z wami aż do skończenia światów!«

Gdy w złocistym Rzymie szal roskoszy, boleści straszliwe, krzyki namiętności rozżwierzęconej i rozpacz hulają w dzikie zapusty; — pod ziemią, stuka i puka przyszłość.— Pod ziemią, pod Rzymem, w głębiach wyłomów kamieni modlą się, i płaczą, i radują się i cierpią,—to chrześcijanie, robotniki i czeladź Boża; z głębin tych katakomb ciemnych wyrośnie zasiew niebiański.

Na szerokich, niezmierzonych Azyi rozłogach, na przestrzeniach, co toczą się do ostatniego Wschodu, kędy słońce wstępuje na świat, szum w powietrzu, szaleństwo, brzęk, niby w pasiece ludzkiej, gdy się wyroić mają mieszkania milionowe. To szeszy, to ludy i rody, nieprzebrane tłumy, one mają porzucić błonia nieprzebyte i stepy niemające granic i puścić się wędrówką na Zachód im nieznany;—ich prze siła niewiedoma, opatrzna, mądrość żyjąca w dziejach ludzkich;

ta mądrość, niby matka pszczelna, wie dzie ich przeczu-  
ciem w nieznajome świata strony, jak wie dzie stada pta-  
ków wędrownych przez morza, przez kraje, do nowéj  
siedziby. I ich starodawne dzieje umarły, przebrzmia-  
ła przeszłość pradziadowa, bo na świat woła przyszło-  
ści duch.— Są te szczyty azyatyckie, germańskie, sło-  
wiańskie; one idą na odrodzenie świata.

Dreszczem przeczucia zadrgały serea rodów niezna-  
nych Rzymowi, serea ludów na Wschodzie zapadłym,  
na stepach bez granic, i serea ludów na Północy aż  
na onych skałach morskich, na górach mgłą odzianych.  
Ossyan śpiewa pieśń z dawnych lat, z lat, które prze-  
szły dawno, pieśń o dziejach pradziadowych, które  
skonaly dawno. I śpiewa bard samotny, jeden, tęskny,  
na skalistym brzegu, śpiewa o bohaterach, które usta-  
piły w kraj nieznany, i płyną w postaciach mglistych,  
rozwiwnych. I śpiewa Bard. »Lube są pieśni dźwię-  
ki! Słuchaj pieśni moich, słuchaj ich samotny mężu, co  
dumas na skale mgłą odzianą! Ty, coś na obcej ziemi  
zrodzon, chciój posłuchać pieśni moich! Rozbudziła się  
dusza we mnie i pełna jest treści upłynionych dawno  
czasów; wróciła mi się radość młodych moich lat.«  
I śpiewa bard, i słuchają pieśni jego koło pagory  
zielone a pieśni jego słuchają rozsypiska starych gro-  
dów, i ziola, co porosły stary tron, i słucha ich tar-  
cza, w której się lęguie puszczyk. Ale mąż samotny  
na skale milezał i dumał. On na obcej ziemi zrodzon,  
on w kraje mglistych rozwiwnych postaci, on w kra-  
je bardów, w ojczyznę Fiugala przyniósł wiarę zba-  
wienia, on w Chrystusie wychrzczony, on nowego świa-  
ta wysłannikiem.



## LIST XXV.

### Żydzi.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Śródziemném.— Palestyna.— Powołanie ludu Hebrajskiego.— Architektura — Przybytek.— Kościół Salomona i dzieje jego.— Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie.— Język hebrajski.— Pieśni święte.— Dzieje Hiobowe.— Pieśń Mojżesza dziękczynienia.— Późniejsze czasy.— Muzyka hebrajska.— Psalm.— Kaplica Syxtyńska w Rzymie.

Ucichło, onemiało dziś na forum dziejowładnej Romy; jej mównicę przywały rozsypiska świątyn dawnych bogów, bramy jej tryumfów porosły w kwiaty i zioła, jakby wieniec śmiertelny. Dziś samotno, mileząco na forum rzymskiem. Tu nie zalatują gwaryienne życia, tu nigdy wrzawa drobnych ludzkich kłopotów nie znieważa tej ciszy świętej.

Gdy się zmrúży słońce, gdy zaśnie dzień i uspi się cała w koło natura, wtedy historia chodzi wśród tych ruin i duma nad ludami i wiekami przyszłości, które jeszcze nie zrodzone spoczywają zwinięte w wieczności łonie. Wśród nocy milezącej duma historia na rzymskiem forum. A od Śródziemnego morza, co sąsiaduje z Rzymem, śpieszą duchy onych ludów, co na pobrażach jego napracowały się w służbie dziejów świata. Boć te wody Śródziemne śpiewały falami pieśni swo-

jéj tym ludom, gdy one, niby niemowlę w kolebce, nie marzyły jeszcze o wielkości i potędze światomożnej, która na nie w życiu z kolei czekała. Te wody rozniosły później wieści o ich sławie, gdy z kolei stawały na reju państwowym prowadząc je na odrobienie onéj pańszczyzny, którą im przeznaczył Pan. Te same wody Śródziemne śpiewały tym ludom pieśni grobowe na cześć ich skonu i twardego żywota.

I śpieszą duchy tych ludów z brzegów Azji, Afryki i Europy na rzymskie forum, kędy im wszystkim historia daje posłuchanie.

Patrz, to duch starego Egiptu! On przez życie całe zanurzony w przepaściach własnego wnętrza swojego i badał i dumał, i mocował się, by rozwiązać zagadkę świata i zagadkę ducha ludzkiego. I podsłuchiwał Memnony swoje, gdy tęskném wołaniem witały słońce wschodzące, i czekał azali Sfinx nie roztworzy ust kamiennych, prawiąc o tajemnicy śmierci. Ale Egipt nie zdołał zrozumieć Memnonów wołania, nie przemówiły do niego Sfinxy i milezały też własne serca przepaści; i umarł zaenry pracownik-lud. Może on dopiero przed śmiercią, może jakby w błyskawicznym jasnowidzeniu, w chwili skonania ujrzał rozdartą oponę, co mu przez życie całe zakrywała prawdę? Obok niego występuje inny duch, jego niegdyś sąsiad od Zachodu, co za żywota swojego na ziemi dźwignął miasto morzowładne; on z raną śmiertelną na skroniach, historia uwieczyla blade, krwawe czoło jego laurem, co świeci nocą niby aureola święta. Jest to duch Kartaginy. On przez życie całe frymareczył i kupeczył i rozsyłał okręty swoje po wszech świata krańcach i dufał skarbowi i złotu, i nie-

mi kupował obrońców zdrańczych i półki najemne; a przecież ten duch wyświecił się zaenością, bo zaenie stanął do walki rzymskim legionom, i gdy mu przyszło bronić krwią i śmiertelnym bojem ognisk swoich, i bogów swoich, i gdy mu wypadło już umrzeć, umarł poezewie, na tarczy, na wzór późnym pokoleniom. Gruzy palące się Kartaginy pogrzebały kilkakroć sto tysięcy jój synów, ale też te płomienie palące się Kartaginy zaświeciły w serce rzymskiego wodza rozjaśniając mu straszliwe wróżby o własnej jego ojczyźnie. A jeszcze dalej—ku zachodowi téj królowej mórz, po dziś dzień płatają się po świecie zwłoki żywe maurytańskiego ludu, którego duch już staje przed sądem historyi. Duch ten, póki żył na ziemi, świetności i eudów pełen, śpiewał miłość i cześć dla kobiet, i wypiastował uczucia rycerskie i budował Alhambry czarodziejskie, i nauczył się greckiej mądrości, i strzegł pilnie ołtarzy nauk w onych mrocznych wiekach, gdy inne ludy nie wyleniły jeszcze myśli swojej z pierwotnej surowizny a barbarzyństwa. Runęła Granada, a duch Maurów przeniósł się do dziedziny historyi, ustępując pirenejskiego półwyspu dwóm nowym ludom, z których jeden stanął Europie na czele, prowadząc ją przez dalekie, bajeczne oceany do mitycznego świata Indów, a drugi zdobył dla cywilizacyi świata nową świata połowę, a jaśniał chwałą ten naród i promienił wielkimi czynami, aż razem z onym ponurym okropnej pamięci Filipem był pogrzebiony w ciemnych sklepach grobowych Eskurialu.

Niedaleko od tych brzegów Hiszpanii, wody Rodanu niosą do morza wieść o trudach nowożytnych ludów, o ich dziejach, co rozpoczęte długo przed lat tysiącem,



przecież jeszcze są tak młode i świeże, iż się zdaje, że te wszystkie europejskie ludy przebyły dopiero jeden zupełny okres swojego żywota; — takto one są głośnym dowodem, że wiara chrześcijańska nadaje pierwiastek ciągłego odrodzenia i wyzdrowienia z niemocy narodom, co się wychrześciły wiekuistością na zaene sługi Zbawiciela.

I znów Italia wiecznie młoda, wiecznie rokoszy pełna ziemia, ona trzech części świata sąsiada, ona po dwakroć w tym samym Rzymie dźwignęła stolicę a ogni-sko wszech dziejów. Niegdyś Rzym mistrzował światu żelaznym orężem swoich legionów. Później wznosił wielki ołtarz wiary, co świeci na świat, i zaczął gościć przyjął u siebie dzieła sztuki staréj, promieniejące pięknnością, i przyjął je gościnnie i przytulił do serca, choć te dzieła—to bogi ludów, co nie przeczuwały jeszcze wiary, która miała przyjść na świat, ludzkości na zbawienie. I stanął duch Italii na rzymskim forum przed historią, i stanął w uroczéj postaci, jako jeden z najszlachetniejszych robotników około uczynienia człowieka; duch ukoronowany koroną wysadzaną, jako klejnotami, gorejącemi gwiazdami, a temi gwiazdami korony jego: to Decius i Fabricius, to Scipio, Cezar i Pompejus, Grzegorz W., Dante i Petrarka, Kolumb, Leonard da Vinci, Michał Anioł i Galileus i Pergolese i Palestrina, i wiele, wiele jeszcze świeci gwiazd na koronie Italii; one świeciły za życia i świecą po za grobem światłem przewodniem państwom i ludom. Więc też stworzenia Mądrość, budując twierdze lądów Europy, dodała Italii w posagu grono wysp, których imię grzmi głośno w historii starego i nowego świata, bo dodała

jěj Syeylią i Sardynią, dodała jěj jeszcze Korsykę i Elbę!

Gdy Italia patrzała się w świat széroki i słuchała, co jěj szeptały Śródziemnego morza fale, oto, do jěj południa, do jěj Syeylii, zawitali goście, co jěj przynieśli hołdem i kochaniem dary piękności, a przybyli z krainy niezbyt dalekiej, bo z owěj ojczyzny najwyższěj artystyczněj fantazyi, kędy śpiewali wieszece natehnione chwałę wielkich bogów na Olimpie, wielkich ludzi na ziemi, kędy stały świątnice wesole, strojne w uroki budowania, strojne w kwiaty i wieńce wonne, a kędy postaci marmurowe bogów, wdziękiem niebiańskim oblane, przemawiają śmiertelnym ziemi mieszkańcom, że piękność na doczesnych dolinach jest zaeną wysłannicą nieskończoněj prawdy, że ona ściele ścieżki, po których przyjdzie na świat wiekuistość bez opony, nie odziana już więć w szaty zmysłowe, zasłaniające prawdy Boże. Wszak to Hellada jest tą ojczyzną piękności wdzięcznej, ona to zabrzmiała pieśniami, ona to uceziła się urokiem swoich świątnic, ona to piérwsza w areydziałach marmurowych postaci ujrziała zacność człowieka i oddała nieskończoności cześć. Ta Hellada dziś sama skamieniała marmurową postacią, co niema, bezduszna z wysokiego podnóża na nas spogląda; oczy jěj bez żreniey, postać jěj zimna, usta jěj nieme; lecz byleś miłością gorącą Pigmaliona przytulił do duszy te zimne marmury i rozcieplił je rzewnością serdeczną, już te mroźne glazy ożyją, zatętnią życiem głębokim, oczy przewidzą a usta nieme roztworzą się pieśnią i za miłość twoją zaplącą, i zaśpiewają pieśnią cudowną, harmonii pełną o wszech wielkich synach Hellady; i ożyje chwałą Leonidas, Ary-

stydes, Cymon, Perikles, Epaminondas i Homer i Sofokles, Pindar i Plato i Sokrates, i płynąć będzie z ust rzeka wielkiej sławy. I staniesz przejęty podziwem, że ta kraina o tak szczupłych rozmiarach, o dziejach tak krótkich i przelotnych, zrodziła ten świetny orszak znakomitych ludzi, tak wielki i liczny, że Greeya odstępując ich połowę innym ludom, podniosłaby ich nieskończenie w znaczeniu, a mimo to sama byłaby jeszcze ludem najbogatszym w zasnę chwałę, byłaby jeszcze pierwszą mistrzynią w uszlachetnieniu człowieka! Więc też historia wita z miłością ducha Hellady, a wita go jako wybranego i najukochańszego syna swojego.

Na północ Greeyi mieszkał lud twardy i surowy, śmiały i mężny; on wszystkie uczucia swoje, wszystkie myśli swoje zebrał w postaci młodego Alexandra, króla swojego. Alexander zwyciężył bojem żołnierskim Greeya, a po zwycięztwie oddał się w służby jej wierne i zasnę, roznosząc dobytki jej ducha po szerokich obszarach Azji, siejąc język, nauki i myśli Hellady po ludach pradziadowych, gotując je do nowej epoki dziejów, która miała zadnieć nad światem.

Na wschód od Macedonów błyszczy miasto Konstantyna i świeci w złociste kopuły, przecierając się w toniach krystalicznych morza swojego, a natura w koło, sama czarodziejka, ustroiła się cudami swojemi, co, oczyniając człowieka, wznoszą go jako hymnem w nadobłoczne wysokości, to urzekając rokoszą miękką usypiają duszę. Wszak państwo Bizańtyńskie, stawszy się połowicą wschodnią dawnego rzymskiego świata, o tysiąc lat przeżyło zdobywie i zrabowanie Rzymu przez dziez westgocką; ono więc przeszło lat tysiąc było upio-

rem na ziemi, więc zgnuśniało w sobie, spróchniało na mocy, wysilając się obłąkaniem wojen domowych, ulicznych mordów i okrucieństw szalonych. A przecież, gdy duchowi Bizantium zebrało się na skonanie, umarł bohaterem; w godzinie śmierci swojej błysnął pamięcią starych dziejów, a szanownym bojem i krwią serdeczną zmył swoje winy, i został uczczony od dziejów, co sądzą i mierzą i przebaczą błędy, gdy one za ceną śmiercią zmazane. A za Hellespontem, na południu rozwija się bożą mapą Azja Mniejsza i Jonia. Tam stała Troja i mogiła Achillesa; tu śpiewał Homer i dumał Tales i głębokię treści Heraklitos; tu stał Efez pyszniący się kościołem swojej Dyany, co był cudem świata; tutaj Milet, miasto ojezyste Aspazyi. A jeszcze więcej na południe wzdłuż morza, rzędem stanęły porty fenicyjskie, w nich krzątał się ów ludek, co śmiały i mądry, awanturniczy, handlowny i żeglowny, puszczał się gdzieś przez Gibraltar, oceanem Atlantyckim, Kategatem na Pruskie pomorza po bursztyn, i posyłał karawany w Egipt i w Indye. Między Fenicyą starą a Egiptem, który rozpoczął przegląd historyi, weisnęła się kraina mała, drobna; jęj długość za ledwie ciągnie się na mil trzydzieści a szerokość ledwie na mil dwadzieścia; na dalekim widnokręgu budują się góry jednostajnych rysunków bez szczytów, bez wierzchołków śmiałych, a lasem cedrowym poszyte. Słuchaj—ta drobna krainka, co na poły pustynią głuchą, na poły czarodziejskim ogrodem, ona jest dla dziejów niebiańskich i ludzkich Ziemią Świętą, ziemią obiecaną; te góry, to—Liban, ta kraina drobna, to—Palestyna! Ta ziemia mała — ona była od ludzi poniżoną, zdeptaną, ona była zoraną od światoburzców Azyi, ona

była karmiona łzami, a przecież Bóg ją uzaenił i uczynił odkupienia ołtarzem. Nad wioską tój ziemi zatrzymała się gwiazda przewodnia, co sama jedna świeciła ludzkiej historii, gdy wszystkie gwiazdy pogasły na niebie, a nadzieje wszelkie już zagasły na świecie i w sercu ludzkości, gdy noc padła na świat i duszę człowieka. Wśród nocy samotnej, ciemnej, gwiazda wieczności błysnęła krzyżem na Golgocie—i Bóg umierał.

Tysiąc lat z górą przeminęło od pojawienia się gwiazdy-zwiastuny w ciemnej nocy, gdy Europa wyroiła z siebie krzyżowców miliony, co, parte tajemniczą potęgą, skrapiały krwią serdeczną stopy krzyża; a nowe i nowe zastępy śpieszyły tłumnie, by umrzeć na ziemi uświęconej śmiercią i zmartwychwstaniem Boga. Ludy różnej mowy, różnego rodu, u stóp krzyża umierały we krwi wspólnej, uznając się braćmi w duchu. Ale łzy i krew, boleści i śmierć, nie idą światu w zapomnienie. Europa utraciła grób święty, ledwie co zdobyty, ale sama zmartwychwstała z ciemnej nocy duchowej; uznał człowiek człowieka bratem w Zbawicielu, a duch ludzki, na krzyżu rozpięty, uwolniony od katuszy i poniżenia, uczczony był jako wysłannik pański na doczesności doliny!

Wszak to w tój drobnej krainie, kędy stało Betleem a Golgota, zachowana była światu od wieków wieków wiara w Boga jedyne, co jest Stworzycielem Nieba i Ziemi, a który duchem jest. Zachowana jest wiara, która była objawiona ludzkości przy stworzeniu jej, a która poszła w zapomnienie gdy człowiek odstał od Boga i własnej, wiekuistej istoty swojej, oddając się złowrogięj zmysłów potędze.

Lud hebrajski sam jeden uniósł przez wieki w sercu

wiernie cześć prawdziwemu Bogu, aż nie przysła na świat zbawienia chwila; więc wyrzekł się obrazów i posągów, chroniąc się od demonów bałwochwalstwa, które oczyiniły inne stare narody w koło. Tak w pierwiastkach swoich i zawiązku lud ten zerwał z całym Wschodem; Wschód starożytny umarł na wiarę hebrajską, jak sam hebrajski lud umarł na wiarę Zbawiciela. On przechował wiarę w jedynego Boga; z jego łona narodziła się nowa era, nowy czas nastał w dziejach bożych i ludzkich; wtedy lud hebrajski spadł z żywego drzewa historyi, jak, gdy ziarno dojrzeje, łupina pęka i spada na ziemię idąc wiatrom na pomiotło. Stąd lud ten jest ogniwem między Wschodem a Zachodem, między starożesną a nowożytną historią. I dla tego też dopiero w tym liście o nim mówić nam przystało.

Co więcćj — gdy lud ten z rozkazu Bożego wyrzekł się obrazów i posągów, wszelkiego uzmysłowienia swojej wiary, gdy wiernie stał przy prawdzie, którą miał objawioną sobie, stąd też rozprawiając o nim nie możemy o nim mówić trybem zwykle przez nas zachowanym, gdy rozbieramy istotę duchową innych ludów. Obok prawdy objawionej temu ludowi, obok ogromnego jej znaczenia, sztuka piękna i wszystko, eo połączone z pierwiastkiem zmysłowym, traciło na wadze, małało i nikło.

Widać przeto, że nam wolno będzie rzecz całą o tym ludzie zamknąć w szczipłych rozmiarach.

Gdy roztworzysz Pismo Ś. starego zakonu, zawieje cię jakby dech od trzech tysięcy lat. W nim, jakby w testamentencie dziejów Bożych na ziemi, słyszysz i dawne

mowy, i obyczaj pomarłych wieków, i sztuki starowieczne pomnikiem złożone.

Jak człowiek w biedach i trudach ziemskich ściera z siebie niedostatki duchowe i wśród ciężkiej pielgrzymki przez życie myślą nawraca ku Bogu, ufając, że przecież znajdzie miejsce, kędyby już mógł spocząć po twarym trudzie i rozpatrzeć się w téj wędrówce przebieżonej długą męką i znojem, tak i ten lud hebrajski ciągnie z Egiptu przez pustynię jałową. W koło głucho, samotno i ciężko mu na sercu, a wśród boleści, biedy i mokołu wyswabadza się z obłędu i ułomności duchowej; starey zwolna wymierają po pustkowiach, jako wyobraźniki dawnéj winy: ale lud cały wie, przecież ta otucha, że się dosłuży obiecanéj Ziemi Świętéj, kędy znajdą żyjący strzechę spokojną, a umarli grób spokojny wśród swoich. A on myślą i sercem zwrócił się ku Bogu i na rozkazanie Jehowy buduje przybytek Pański.

W tym przybytku nie upatruj sztuki architektonicznej, ale raczej ofiary, którą uczynił lud cały «sercem dobrowolném jako podarek uczyniony Panu» (ks. Mojżeszowe II, 25. 2.) a żydzi «uczynili Bogu świątnię, aby mieszkał w pośrodku ich» (I. c. 8). Nie było w téj świątńi wizerunków bożych, ale sam Bóg w niej zamieszkał.

Przybytek, jak żywot ówczesny całego ludu, był wędrownym namiotem, który łatwo było rozebrać i złożyć wedle potrzeby: deski i kobierce, otóż główny wątek tego przybytku; skromnych też był wymiarów (długość 30 łokci, wys. i szer. po 10 łokci). Lecz gdy w nim nie tak chodziło o sztukę samą, jak raczej o ofiary złożone podarem, więc deski były powleczone bla-

chami złotemi (l. e. 26, 29), a stały na «podstawkach ze szczerego srebra.» Były też «bogate opony umocowane na pętlicach a haczykach złotych» (l. e.)

Cały przybytek stał umocowany na słupach srebrem powleczonech. Rozdzielony był na świątnię i na świątnię przenaświętszą, przez «zasłony z hyacyntu i szkarłatn i z karmazynu dwakroć farbowanego i z białego jedwabiu kręconego, a na téj zasłonie robotą haftarską uczynione były Cherubiny» (l. e. 31 do 33). W przenaświętszój stolicy stała skrzynia czyli arka, w którój «było złożone świadectwo Pańskie;» opis téj arki w szczegółach równie znajdujemy w Piśmie Ś.: była ona z drzewa akaeyowego, lecz wewnątrz i zewnątrz powleczone złotem. Ona przykryta błagalnią (wiekiem) szczerozłotą: na niéj ze złota wyrabiane Cherubiny, osłaniające ją skrzydłami. I rzekł Pan do Mojżesza: «tam (w przenaświętszój świątnicy) z tobą się schodzić będę «i z tobą rozmawiać z ubłagalni, z pośrodka dwu Cherubów, którzy będą nad skrzynią świadectwa» (l. e. 22). I jeszcze uczyniono stół akaeyowy powleczone złotem czystém z koroną złotą w kolo; na ten stół kładziono chleby pokładne. Wyrobiono też świecznik o siedmiu konarach rozwijających się kształtem roślinnym w «orzechy migdałowe i kwiaty;» dalej ołtarz miedzią powleczone i inne sprzęty i naczynia święte unaoczniają sztukę owych starych wieków. W kolo przybytku szerzył się dziedziniec utworzony ze słupów, na których zawieszano kobierce i makaty kosztowne.

Słowem—w tym przybytku lud składał się ze swojej ehudoby; stawiając namiot pełen przepychu, czynił ofiary z rzeczy doczesnych, materyalnych na cześć i



chwałę Jehowie, najwyższemu Panu, a tak sam dał świadectwo sobie, że w obec Stworzyciela, eo odziany nieskończoności majestatem, przedmioty tuteczne, skończoności nie mają wagi, że nikną i ulatniają się, gdy je owionie nieskończoności duch. Bo światy i słońca wszystkie i stolecia są jedynie rąbkiem jego szaty, a same niebiosy gwiazdziste są podnóżem jego tronu, na którym kładzie stopy swoje.

Wiele lat upłynęło. Lud hebrajski zdobył sobie obiecaną ziemię, rozgospodarzył się na puściznie ojców swoich. Niewola egipska, co była twardą szkołą, stała się już jedynie echem, podaniem z dawnych lat i dawnego poniżenia. Wtedy po Dawidzie, owym królu-pasterzu, zasiadł na stolicy izraelskiej Salomon, syn jego. On sławą swoją olśnił Wschód cały, mądrość jego poszła w przysłowie, a azyatyckie ludy swoje bajki czarodziejskie wplotły w pamięć jego potęgi, mądrości i chwały, niby nic złotą, co choć się tu i ówdzie ukryje, znowu wystąpi pełnym blaskiem świecąc i błyszcząc. Wszak Talmud i ludy islamskie usnuły sobie o królu Salomonie mity a wieści tak czarodziejskie, iżbyś rzekł, jakoby wielki ten człowiek był iście bohaterem powiastek z tysiąca nocy i jednej! Cudotworność a dziwy otaczają jego postać obłokiem magii fantastycznej. Tak Talmud prawi o pierścieniu, co go Salomon nosił na palcu; na sygnecie tym wyrżnięte było tajemnicze słowo, którego już nikt wymówić nie zdołał. Tym pierścieniem Salomon stawał się świata panem; gdy go na palcu obrócił, z dala i z bliska, z dołu i góry śpieszyły zastępy nieprzeliczonych demonów, by słuchać rozkazu króla Izraela; gdy Salomon podniósł rękę w górę, wła-

dał falom wodnym, i płomieniom ognistym, i wichrom i deszczom i roślinom i zwierzętom, i rozumiał głosy natury i rozumiał mowę ptasząt. Pieczęci przyłożonej tym sygnetem już żadna ręka odjąć nie zdołała.

Wszak nawet i przez całe średnie wieki postać wielkiego króla wplatała się w powieści cudotworne, a sygnet jego nabierał symbolicznego znaczenia w naukach tajemniczych i ukrytych.

Niema się też czemu dziwić rozgłosowi tej wielkiej sławy Salomona po całym mu społecznym świecie, po wszystkich ludach i po wszystkie następne wieki. Pełen mądrości politycznej, bystrém, przenikliwém okiem odgadł potrzeby swojego ludu, przejrzał wskrós stosunki swoje do mocarstw ościennych. On otworzył morze handlowe izraelskiemu ludowi, a zholdował narody obce berłu swojemu. Więc państwo jego rozpromieniło się blaskiem niesłychanym, więc lud oddał mu cześć najwyższego podziwienia, a tłumy cudzoziemców dążyły do Jerozolimy, by obaczyć wielkiego człowieka, i napatrzeć się wystawie i świetności jego dworu, i tej stolicy jego jaśniejącej przepychem, który nawet lśnił oczy nawykłe do wystawności pełnej zbytku mocarzy wschodnich. Wszak przyjechała i królowa Saba z dalekiej Etiopii «usłyszawszy sławę o Salomonie i imieniu pańskim, aby go doświadczyła we wróżbach» (Król. III, 10, 1, i Kroniki II, 9). Gdy «królowa obaczyła wszystkie przepychy i wspaniałości jego majestatu, zdumiała się bardzo i mówiła do niego o wszystkiém, co miała na sercu i rzekła do króla: «Prawdziwać to mowa, którą słyszała w ziemi swojej o sprawach twoich i mądrości twojej. Ale nie wierzyła powieściom onym, ażem

»sama przyjechawszy oglądała to oczyma swemi. Ale  
 »mi tego nie powiedziano i połowy. Większa jest mą-  
 »drość i dobroć twoja, niżeli sława, którąm słyszała»  
 (I. c.) Potém czytamy dokładne rozwody nad wzajemne-  
 mi podarami, któremi się uczeili król i królowa obcej  
 ziemi.

Wśród takowój epoki gorejącój świetnością, stanął  
 ów głośniej sławy kościół Salomonowy w Jeruzalem, na  
 przyczolach góry Moria, lat tysiąc przed onym czasem  
 gdy Boży-Syn rzekł do Apostoła swojego, że jest opoką  
 na której zbuduję Kościół mój.

Wszak kościół Salomonowy jest zagadnieniem tru-  
 dném do rozwiązania dla historyi sztuki, bo mimo opi-  
 sów szczegółowych, które o nim znajdujemy w Piśmie  
 Świętém, mimo najświeższych badań i prac około przed-  
 miotu tak wielkiej wagi, trudno nam uczynić sobie do-  
 kładny obraz tego budowania, co był cudem dla spół-  
 czesnych, a promienił najwyższém bogaetwem.

Same już przygotowania do téj budowli były ogrom-  
 ne. Salomon posyła do króla Tyrskiego, aby mu pozwo-  
 lił drzewa z lasów cedrowych Libanu; poczem Salomon  
 wybiera »robotniki ze wszystkiego Izraela, a było wy-  
 »branych trzydzieści tysięcy mężów, które słał do Li-  
 »banu do dziesięciu tysięcy na każdy miesiąc na prze-  
 »miany; i po miesiącu mieszkali na Libanie, a po dwa  
 »miesiące w domu swym. Miał też król Salomon siedm-  
 »dziesiąt tysięcy tych, którzy nosili ciężary, a ośmdzie-  
 »siąt tysięcy tych, którzy rąbali na górze (na Libanie).«  
 A oprócz tych robotników było »przedniejszych urzę-  
 dników trzy tysiące trzysta« którzy byli przełożeni nad

ludem odprawującym robotę.« (Król. III, 5. i kron. II, 2).

Praca ta trwała lat siedm.

Widać z opisu, że kościół Salomona był zbudowany wedle wzoru pierwotnego przybytku, choć z przepychem a okazałością odpowiednią potędze ówczesnej Żydów.

Dwa wielkie dziedzińce otaczały do koła kościół. Sciany ich składały się z trzech warstw ciosowych a jednej belek cedrowych. Środkowy dziedziniec przeznaczony dla kapłanów, zewnętrzny dla ludu. Świątynia sama była prostokątem, a było jej wzdłuż na łokci 60, a na 20 łokci wszerz, wznosiła się też na wznwyż na 30 łokci. Widzisz że wielkość całego budynku jest areyskromna, gdy ją zechcesz porównać z ogromem budowli starego Egiptu lub z tumami chrześcijańskich ludów. Ten budynek był w środku w poprzek rozdzielony przepierzeniem (?) na dwie części, z których pierwsza stanowiła właściwy kościół (Cella), a druga była świątnią przenajświętszą, czyli Sanctissimum, w którym umieszczono arkę. Gdy zaś właściwy kościół (cella) miał długości 40 łokci, więc na świątnię przenajświętszą przypadało 20 łokci; długość tedy kościoła była 40 łokci, szerokość 20, a wysokość jak się rzekło 30 łokci. Sanctissimum zaś wedle tego, co powiedziałem, 20 łokci wszerz i wzdłuż, a zarazem 20 lok. wysokości; było tedy doskonałym sześcianiem. Lecz tutaj spotykamy wątpliwość główną, bo pytanie, jeżeli wysokość całej świątyni dochodziła 30 łokci a Sanctissimum jedynie do 20 łokci, cóż się działo z 10 łokciami wysokości, które jeszcze zbywały? Może tam była świetlica na chowanie sprzętów świętych, może była otwarta od góry. To py-

tanie nierozwiązane dostatecznie. Ale jest jeszcze druga wątpliwość. Na wstępie do kościoła był przedsionek, którego było wzdłuż 10 łokci, ale wysokość jego niepewna, choć wiemy, że był nierównie wyższym niż świątynia sama. Do tylniej ściany świątyni i do dwóch jej boków dłuższych przytykały budynki na trzy piętra, w których były komory, zapewne skarbee i schowania dla sprzętów i szat do nabożeństwa służących; te budynki, przylegające do ścian kościelnych, były jedynie na 10 łokci szerokie. Dach, jak się domyślają, był płaski jak to bywa na całym Wschodzie.

Trudniej nierównie wystawić sobie zewnętrzny kształt całego kościoła; wiadomo tylko, że jego ściany były pionowe a nie ukośne, jak to bywa w Egipcie, i że nie był otoczony kolumnami w koło. Pismo Ście wspomina, że na wstępie do przysionku stały dwie kolumny, z których jedna nazwana jest Boas, to jest moc Boża, a druga Jaehin czyli utwierdzenie w wierze. Nie wiemy przecież, czyli te kolumny były rzeczywiście podporami, czyli stały wolno, mając tylko znaczenie symboliczne, co bym uważał za podobniejsze do prawdy; bo, o ile się zdaje, one dopiero po wybudowaniu świątyni ulane były przez Chyrama z Tyru. Kolumny te były ze spiżu ulane, trzon ich miał wysokość 18 łokci, krom tego głowica była bardzo potężna, bo na 5 łokci wysoka. Każda była ozdobiona w lilie, otoczona dwoma rzędami jablek granatowych i ustrojona w siatki robotą dzianą i w sznury nakształt łańcuchów (król III. 7. 17 i następne, dalej 41 i następ. jeszcze kroniki II. 3). Rzeczą jest wielec niepewną, jako rozumieć mamy te sznury; niektórzy twierdzą, i zdaje

się, że słusznie, że te sznury niby przyczepione były do głowy kolumn i otaczały w koło świątnię (\*).

Widzimy tedy dostatecznie, iż świątynia Salomona mniej była dziełem sztuki architektonicznej w ścisłym znaczeniu, jak raczej, podobnie jak ów pierwszy przybytek, kosztowną ofiarą złożoną Bogu przez lud, który się błogosławieństwem Jego wzmógł i dźwignął z poniżenia w chwałę i potęgę. Że ten kościół nie był, ścisłe mówiąc, dziełem sztuki, znać z tego, że osnowa najwłaściwsza dla prawdziwej architektury, bo ciosy, mniej były w poważaniu u żydów. Wszak mury składały się na przemianę z trzech warstw ciosów, z jednej warstwy belek cedrowych, a opis wyraźnie wspomina, że nigdzie nie było widać kamieni. (król III 6. 18).

Bogaetwa i kosztowność budowy można sobie jedynie wytlómaczyć ze świetności panowania Salomona, który i wytknął był drogi handlowe żydom, dopiero co pasterskim, i zgromił ludy obce, zmuszając je do płacenia haraezu. Zadumienie pełne podziwu uderzało zapewne przychodnia, gdy wstąpił poza progi téj świątyni Bożej. Gdzieś spójrzył, świeciło złoto całym blaskiem swojej okazałości; bo cały strop, wszystkie ściany do koła, nawet podłoga, wyłożone były blachą złotą! Rędyś okiem potoczył: i z góry i z dołu i z boków, jakoby w zwierciadłach złocistych odbijały się jasności gorejących szczytów złotych świeczników; a było ich

---

(\*) P. Selvatico w *Historji estetyczno-krytycznej sztuki* 1852 I. str. 139 widzi w tych łańcuchach, obwodzących kościół w koło, zwyczaj, który zwykle zachowywany bywa u niektórych kościołów włoskich, niby łańcuchy jakie widzimy około naszego kościoła Maryackiego, i innych świątyni Krakowskich.— (?)

10, a każdy o siedmiu konarach, więc 70 płomieni rozświecały te bogactwa, okazałości pełne. W świątnicy stał ołtarz złocisty, i stół szczerozłoty na chleby pokładne. Ze świątnicy prowadziły do Sanetissimum drzwi z drzewa oliwnego, a na tym wejściu pozawieszano kobierce drogic i złote łańcuchy, na znak nieprzystępności i świętości miejsc. Samemu nawet areykapłanowi raz tylko do roku wolno było wstąpić w tę przenajświętszą świątnię. W niej stała arka przymierza, a było jej wzdłuż  $2\frac{1}{2}$  łokcia, a  $1\frac{1}{2}$  wszerz i tyleż wzwyż, a była z drzewa akacyowego powleczonego złotem, a wieko zaś było ze szczerego złota; obok arki stały dwa Cherubiny (10 łok. wys.) o rozpiętych skrzydłach, które tak były wielkie, że gdy skrzydło każdego zewnętrzne końcami dotykało bocznej ściany, skrzydło drugie, to jest, wewnętrzne, schodziło się w środku nad arką ze skrzydłem wewnętrznym drugiego Cherubina.

Tak po siedmiu latach stanął ten dom Boży gotowy; budowano go z kamienia już wyrobionego, »który przywożono, a młota, ani siekiery, ani żadnego naczynia żelaznego nie słyhać było w domu, gdy budowano. (król III 6. 7).«

Wystarczy nam tedy ten ogólnie i z lekka narysowany obraz kościoła Salomona. Nie będę się też już rozwodził nad innym budowaniem króla tego, choć wyznaję, że opis pałacu, który sobie wystawił, dalby wam wyobrażenie bliższe o sztuce hebrajskiego ludu, gdyż jego architektura światowa, będąc wyrazem fantazyi wolnej i swobodnej, wyświeciłaby nam dokładnie artystyczny jej kierunek. Ale podania o tym pałacu są

tak niedostateczne, że z nich trudno zbudować sobie w myśli obraz wierny; z tego atoli, co o nim wiemy, zdaje się, że można upatrzeć w nim jakieś podobieństwo do perskiego budowania, choć kosztowność materiału i ozdób była przeważającym charakterem w tym pałacu Salomonowym.

Dopiero co cztery wieki stały Salomońskie pomniki w blasku i przepychu, gdy od Babilonu zerwał się światobójca Nabuchodonozor i wziął miasto Jeruzalem, i króla oślepił, i okuł w łańcuchy, i zawiódł go do Babilonu; potem przyciągnął »Nabuzardan, Hetman żołnierski, sługa króla babilońskiego, i spalił dom pański, i dom królewski, i wszystkie domy w Jeruzalem, owe wszystkie budowania kosztowne popalił ogniem. Mury także jerozolimskie w około rozwalilo wszystko wojsko chaldejskie, które było z onym hetmanem żołnierskim.« (król IV. 25). A dawniej za pierwszym najazdem »wszystko Jeruzalem, i wszystkie książęta, i wszystek lud rycerski zaprowadzono do Babilonu; a teraz po spaleniu i rozwaleniu Jeruzalem, ostatek ludu, który był został w mieście i zbiegi, którzy zbiegli byli do króla babilońskiego, i inne pospólstwo przeniósł Nabuzardan hetman żołnierski.« (król I. c.). Bo Pan rzekł: »podam to miasto na spustoszenie i na świstanie; każdy idący mimo zdumieje się a świstać będzie nad wszystkimi plagami jego!—Tak stłukę ten lud i to miasto, jako gdy kto tłucze naczynie garncarskie!« (Jerem. XIX).

Wiadomo, jak to po pół wieku babilońskiej niewoli Cyrus dozwolił Żydom powrotu do ojezyny. Wtedy Zerubabel postanowił nowy dom Boży w Jeruzalem (około 520 pr. J. Chr.), który zaiste, jak się zdaje, był



wierném naśladowaniem kościoła Salomonowego, lubo mniej bogatym, z powodu mniejszój już zamożności żydowskiego ludu. Aż dopiero Heród, na 20 lat przed samą erą chrześcijańską, dźwignął świątnię pełną okazałości a majestatu, co już była przesławna na wszystkie ziemie w koło. Przecież sztuka rzymska a mianowicie grecka na ówczas już przejęła sobą świat, więc też ten kościół Heroda o tyle jedynie był przypomnieniem kościoła Salomona, o ile służba Boża wymagała rozkładu części zastosowanego do siebie, ale styl i szczegóły, i duch cały artystyczny był greckim. Ta to jest świątnia, która się tak ściśle wiąże z dziejami Chrystusa Pana; jój kolumny a stropy patrzyły się na zbawienie świata, które się gotowało rodowi ludzkiemu w tych świętych przestrzeniach. Atoli te mury, nieczczone obecnością Syna Bożego, nie dostały nawet stu lat, padły pod ciężkiem uderzeniem Rzymu; padło nazawsze Jeruzalem i nie podniosło się więcej z grobu swojego. Dziś nawet niepewne miejsce, kędy niegdyś stał kościół, a potomki onych mieszkańców, jakby ich widma pośmiertne, błakają się między nami, wśród świata obcego sobie, jako lud, co kona od wieków a umrzeć nie może.

Dziś w sąsiedztwie forum, wśród ciszy samotnój i natury prawie wiejskiej, dźwiga się budowanie, co okazałe, szlachetne, patrzy jakby z wysokości dziejów na sprawy ludzkie. Jest to brama tryumfaina Tytusa, pogromcy Jerozolimy, ona mu była postawiona po zgonie na oznakę ubóstwienia zwycięzcy. Dziś widać postać cesarza uniesioną przez orła ku niebu; gdy staniesz pod jój łukiem, bogate płaskorzeźby roztańczają ci, niby pi-

smem kamienném, historyą łzawą, co spełniła wieszeze proroków słowa. Wśród ciszy sielskiej, która cię w koło tu otacza, patrzysz na płaskorzeźby; widzisz mężów niosących skrzynie i lichtarz siedmioramienny: są to sprzęty święte z kościoła jerozolimskiego, niesione na tryumfie Tytusa; one użyte były jako świecidła by dodać blasku hardéj uroczystości nieużytych zwycięzców. Gdy dziś tryumfalne bramy zwycięzców hardych stoja samotne, niby grobowe pomniki na cmentarzu przeszłości,—gdy i po ludzie zwyciężonym, zgruchotanym nie zostały nawet miejsca, kędy stawiał budowanie swoje, gdy wszystko, co materyą, runęło w rozsypaniu,—zostało przecież światu puszczoną słowo,—została światu na dziedzictwo ona księga święta, co jest świętym testamentem dla ludzkiego rodu. W niej żyją głosy, które nie umilkną nigdy, w niej żyją pieśni, które po wieki wieków budzić będą wtórujące im dźwięki w sercu człowieka; ta księga już jakby deszczem niebiańskim zrosiła serea wszech ludów różnej mowy, różnego szepu; a już nie znajdziesz kraju, ani wyspy na oceanach, ani pustkowia, ani wysokości śnieżnych, kędyby te księgi nie przemówiły słowem Bożém i poiechą niebiańską.

A godne też i przeznacne szaty znalazły te pieśni w mowie hebrajskiej. Jak puszcza pierwotna Bożą ręką zasiana, po której nie powstały wrzawy ludzkiego żywota, po której nie prowadzą ścieżki, a wędrowiec wedle kory drzew a gwiazd kieruje kroki swoje, takim jest ten hebrajski język. Znawcy języków wschodnich, bystrością głęboką czyniąc porównania między hebrajszczyzną a innemi pobratymczemi językami, nie mogą się nadziwić téj mocy a świeżości, téj dzielności męż-

kiej mowy hebrajskiej; w niej żyje cała potęga i moc pierwotna ducha, niezwałtona, nieskalana. W tym języku słowa żyją, ruszają się, tętną oddechem, w nich płynie krew ciepła, żywa. Tutaj słowa czasowe nawet są jakby uosobieniem, są upostaciowaniem, a przymiotniki rodzą się z powiązania wyrazów, więc i one są żywe, niby myślące, czujące jestestwa. Do tej mowy, co czystym źródłem płynęła od świata początku, sięgali po słowa historycy i od Boga natchnione wieszczeli! A te słowa wyrzeczone są obrazem, każde zdanie przybiera ciało i krew, i dycha i woła, raduje się lub żali. Tutaj każda myśl wieła się w przenośnie, w porównania; każdy wyraz już sam przez się wyjawia istotę rzeczy, maluje naturę jestestwa, o które chodzi. Wszak sam Pan, »gdy stworzył z ziemi wszelki zwierzę polny, i wszelkie ptastwo niebieskie, tedy je przywiódł do Adama, aby obaczył, jakoby je nazwać miał.« (Mojesz 1. 2. 19). A tak nazwy stworzeń powstały, gdy człowiek obaczył na żywe swoje oczy jestestwa przez Boga stworzone. I dla tego ta mowa jest malowniczą prze cudną, dla tego wyraz jej każdy jest obrazem, dla tego słowo żyje, i jest przenośnią i uzmysłowieniem ogromnej głębi i znaczenia. O przykłady nie trudno. »Dwa uczynione są od Boga światła wielkie« światło większe aby *rzędziło* dzień, a światło mniejsze aby *rzędziło* noc i gwiazdy.« (Moj. 1. 1. 16) wody *wywiodły* płaz i ryby. Krew Aba *woła* do Pana z Ziemi!« a ziemia *otworzyła usta* swoje, aby *przyjęła* krew brata z ręki brata!

Stąd ta mowa tak uderzająca i potężna; ona płacze i weseli się chwytając za serce czytelnika, ona unosi

z sobą myśl do Boga i przenika je trwogą, ona pieści duszę i straszy ją strachem.

A ten sam język, który zrazu jest niby tak uzmysławiający, obrazujący, przecie w późniejszych wiekach znów nagina się do wyrażenia myśli i pojęć rozmownych i głosi światu najwyższe prawdy.

Gdy wszech ludy w koło odstąpiły od wiary w Boga jedynego, gdy świat w koło ociemniał a wszechnarody odpadły się od wiary przekazanej ludzkiemu rodowi od chwili jego poczęcia, ta Boża wiara dochowała się w sereu, jako w przybytku, jedynego tylko izraelskiego ludu. Czyliż tedy dziwno, że on, wierząc w Boga, który duchem jest, sam utonął w głębi ducha swojego, i był w przymierzu z Panem, że stał się iście ludem wybranym? Gdy inne narody Ignęły do Bogów materyi, co dowidzialne dla oczu cielesnych, lud żydowski sam jeden ze wszystkich widział Boga oczyma sereu swojego, więc skupił się w sobie a zebrawszy się w duchu swoim oddziaływał całą potęgą na bałwochwalstwo, i bronił się zarazie, co się rakiem rozjadła w świecie, tocząc duszę zepsuciem.

I dla tego właśnie, póki lud żydowski stał wiernie przy wierze swojej, póty też fantazya jego, będąc trzymana w karbach, nie zbłąkała się ani w bałwochwalstwo, ani w światy czarodziejskie imaginacyi, ani w panteistyczność, jak to czyniły inne ludy, u których fantazya była twórczynią religii. I dla tego też, jak do téj ziemi i tych dziejów jej nie możemy stosować miary, którą mierzymy inne ludy, tak też te jej pieśni już nie ulegają ani zwykłym sądom, ani rozbiorom używanym przy rozpatrzeniu się w sztuce innych ludów.

Z tego powodu zrozumieś, jak już wyżej rzekłem, dla czego w tém miejscu dopiero mówimy o Żydach i o ich pieśniach natchnionych tchem Bożym, i dla czego to nasze rozprawianie o nich, jest jakoby przysionkiem do świata chrześcijańskich ludów.

Z tych przyczyn tedy ograniczamy się li na wypowiedzeniu tych uczuć a wrażeń, jakie one czynią na duszy każdego człowieka, który został zdrowym na rozumie i zdrowym na sercu.

Chciej baczyc, że gdy lud ten oczyma ducha swojego widział Boga i zebrał się we wnętrzu ogniska duszy swojej, więc też zrodziło się w nim uczucie liryczne niewypowiedzianej głębi i odezwało się w nim jakby westchnieniem głębokiem. A jak on nie stwarzał sobie obrazów malowanych i rzeźb, tak też i w pieśniach nie dokończył obrazów i przenośni rozpoczętych. Najczęściej się dzieje, że obrazy dopiero się rodzące już rozpluwają się na inne a inne.

Tutaj zaiste dusza, gorejąc płomieniem świętym, który Bóg w niej rozpalil, niema dość spokoju w sobie, by dokonała w zupełności rozpoczętych obrazów i przenośni! A zważ, że się to dzieje mimo języka tak plastycznego, którego same słowa już, jak rzekłem, są obrazem, a same zdania już są przenośnią malowniczą. Niechaj ci się atoli nie zdaje być sprzecznością ta liryczność uczuć z jednej strony, a plastyczność języka z drugiej strony. Bo rzekłbym, że gdy właśnie w tym języku każde słowo jest rozpoczęciem obrazu i przenośni, już tém samém każdy wyraz następny nie jest rozwojem obrazu rozpoczętego przez słowo poprzednie, ale sam staje się znów zarodem nowego obrazu. Nie-

cheiędź zarzucić, że znajdujemy to w księgach Hiobowych, to w Psalmach, obrazy natury najwyższej doskonałości plastycznej, będące na wieki wzorem, jak malować naturę. Prawda, aleć ja też w powyższej charakterystyce kreśliłem tylko ogólne cechy tych pieśni świętych; a nadto zważ, że tam nawet, gdzie obrazy uderzają nas podziwieniem, najczęściej one złożone są z wielu po sobie idących obrazów, a co więćej, te malowania natury wszystkie bez wyjątku mają to właściwe sobie znamie, że w nich mniędź chodzi o naturę samą, jak raczej o to, aby wystawić Majestat i Moc Bożą; te obrazy są złotym haftem na rąbku szaty Pana na Niebie. Jak cała natura nie ma znaczenia przez się i jest jedynie podnożem Bożego tronu, tak też te opisy wspaniałe natury mają o tyle znaczenia, że są spotęgowaniem uczuć lirycznych, które wypływają pieśnią na chwałę a uwielbienie Pana!

Ta liryczność gorąca, serdeczna, wylewa się Hymnem, Odą, Psalmem; te pieśni święte, niby kadzidło ofiarne, wznoszą się ku niebu, otaczając Boży tron. A tchną one tęsknotą nieskończoną, miłością gorącą; w tędź tęsknocie rzewnędź a miłości gorąćej płacze serce za Panem; ale te pragnienia duszy, te upały serca, one dopiero znajdują ukojenie swoje, gdy sam Pan, sam Zbawiciel świata, stanie się człowiekiem i zestąpi wśród ludzi.

Wśród tędź liryczności głębokiędź a tęsknoty nieskończonędź, opowiadanie Bożych łask, przez naród cały i i pojedynczych ludzi doznanych, rosą pocieszenia uśmierza żary wewnętrzne i głębokie serce pragnienia. Jakoż te zdarzenia, w których lud żydowski miał jawne świa-

dectwo łaski Bożej zawsze i wszędzie mu obecnej, opowiedziane są tełnieniem z góry idącym, więc też poruszają serce czytelnika w najcichszych głębiach i grają mu rzewnością w duszy jego.

Wspomnij np. na historią Agary.

Abraham wstał bardzo rano i, wzięwszy chleb i łągiew wody, dał Agarze, i to włożywszy na jej ramię, odprawił ją z dzieciciem.

Agar z dzieciciem błąka się sama jedna wśród pustyni. Ale nie stało wody w łągwi! Matka złożyła dziecko pod drzewem. I odeszła, siadła naprzeciw niego tak daleko, jako na strzelenie z łuku. Bo mówiła: Nie będę się patrzyła na umierające dziecko!

A tak siedząc naprzeciw niemu, podniosła głos i płakała!

I wysłuchał Bóg głos dziecicęy. I zawołał Aniol Boży Agarę z Nieba. I wołał: co czynisz Agar! Nie bój się, wysłuchał Bóg głos dziecicia z miejsca, na którym ono jest! Wstań, podnieś syna i wzmocnij nim rękę twoją. Bo ja w naród wielki rozmnożę go. Wtedy Bóg roztworzył oczy jej, że ujrzała źródło wody; i poszedłszy do niej napełniła łągiew wodą i dała pić dzieciciu.

I był Bóg z tém dzieciciem. Ismael urósł i mieszkał na pustyni i stał się strzełcem (Mojż. ks. I. r. 21. w. 14).

Patrz, równie wzniosłym a pełnym prostoty jest opis następujący.

Jakób, w podróży do Mezopotamii, pewnego wieczora zaszedł w miejsce bezludne, opuszczone od świata. Słońce już zaszło. Tutaj Jakób chciał nocować. Wziaw-

szy jeden z kamieni, które leżały na tém miejscu, położył pod głowę swoją, i spał na témże miejscu. I śniło mu się, że widzi drabinę stojącą na ziemi, a wierzech jój dosięgał nieba, a Anioły, Boże wysłanniki, wstępowały i zstępowały po niej. A na jój szczycie stał Bóg i rzekł: Jam jest Jehowa, ojca twojego Bóg! . . . . . Oto ja jestem z tobą i strzedz cię będę, gdziekolwiek pójdiesz, i przywrócę cię do téj ziemi, i nie opuszczę ciebie, aż uczynię com rzekł!

A gdy się ocknął Jakób ze snu swojego, rzekł: Zaprawdę Pan jest na tém miejscu!—A jam nie wiedział!—i przeląkł się w duszy, i mówił: O jakże to miejsce jest straszne! Tu Boże mieszkanie! Tu brama niebiańska!

Świt pokazał się na niebie. Jakób wstał bardzo rańo. I wziął kamień, który był podłożył pod głowę swoją i postawił go na pomnik i nalał oliwy na wierzech jego. I nazwał miejsce to Betel, bożym domem. I uczynił ślub mówiąc: Jeżeli będzie Bóg ze mną, a będzie mię strzegł na drodze, którą idę, i da mi chleb i szaty, jeżeli się wrócę w pokoju do ojca mojego, wtedy Jehowa będzie mi za Boga! A ten kamień, który wystawiłem na znak, będzie Bożym domem!

Te lęki, które padły na Jakóba, to widzenie, które miał we śnie należą do historyi młodości jego. A on urosłszy w męża pasuje się z Aniołem oną noeną walką, która cię przejmie dreszczem byleś w niej duchem utonął. (Moj. I. r. 32. w 25) (\*).

Jeżeli dusza zabiegnie ci boleścią nieublaganą, gdy

---

(\*) Wykład Filozofii T. I. str. 342.



na serce padnie powątpiewanie i smutek nocny pełen rozpacz, wtedy roztwórz księgi Hiobowe i naucz się że świętokradzkim zuchwalstwem są wszelkie twoje sądy o rządach Bożych; naucz się, że płocze i grzeszne będą twoje szperania, gdy z nieszczęścia doczesnego lub szczęścia doczesnego zechcesz odgadnąć winy albo zasługi człowieka przed Bogiem. Że taką naukę wyniesiesz w życie z ksiąg Hiobowych, toć jest zdanie uświęcone orzeczeniem ludzi wielkiej powagi; toć jest prawda, którą potwierdzi własne serce twoje, byleś czytał te księgi ze skupieniem się w sobie! Księgi Hiobowe uczą byś stał wiernie przy Bogu i ufał całą głęboką ufnością w łaski Jego, a w końcu Bóg poda ci rękę i nie będziesz zawstydzony przed ludźmi w ufności twojej w Panu, a w nadziejach położonych w nim. A gdy cię Bóg nawiedza, to ufa tobie, że się nie zachwiejesz w sobie. A któryż człowiek, który z narodów tak pewny przyszłości swojej, by dufał że na niego nie przyjdą dni Hiobowe, dni łez i poniżenia, że nie dozna, co nawiedzenie Pańskie!

Zrozumiesz, że tutaj jedynie w wielce skróconej treści podać ci mogę dzieje Hiobowe; wszak one należą do najstarszych podań ludzkiego rodu.

Był mąż w ziemi Uz, imieniem Hiob, a ten mąż był doskonały i prosty, i bojący się Boga, a nie czyniący złego. I urodziło mu się siedm synów i trzy córki. A miał Hiob siedm tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów, i pięćset jarzm wołów, i innego dobytku bardzo wiele, tak iż on mąż był najmożniejszy nad wszystkie ludzkie na Wschód słońca.

I schadzali się synowie jego i sprawiali uczty i po-

śyłali do siostr, aby biesiadowały z nimi. I tak z kolei odprawowali uczty, a gdy biesiady obeszły w koło, wtedy wzywał ich do siebie Hiob, i wstawając rano czynił tyle ofiar, ilu było synów. Bo mówił Hiob u siebie: może zgrzeszyli czém synowie moi i nie błogosławili Bogu w sercach swoich!—Tak czynił Hiob po wszystkie dni....

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się, że przed Pana stanęli synowie Boży, a był też między nimi i szatan. I rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Okrążyłem ziemię i schodziłem ją. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłeś się słudze mojemu Hiobowi, że mu nie masz na ziemi podobnego? Mąż to doskonały i prosty i bojący się Boga i nieczyniący złego.

I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Azaliż się Hiob darmo Boga boi? błogosławiłeś sprawom rąk jego, i dobytek jego rozrósł się po ziemi! Ale ściągnij tylko rękę twoją a dotknij wszystkiego, co ma, a obaczysz czyli w oczy złorzeczyć nie będzie!

Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojej, tylko na niego samego nie ściągaj ręki twojej!—I odszedł szatan od oblieza Pańskiego.

Stało się pewnego dnia, że przybieżał posłaniec do Hioba i powiedział, jako przypadli Sabejczycy i zabrali woły orzące i pasące się oślice, i pozabijali sługi mieczem, a uszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przyszedł drugi i rzekł: ogień Boży spadł z nieba, i uderzywszy na sługi i owce spalił je. Jeszcze ten mówił, gdy przyszedł inny i rzekł: Chaldejczycy, rozsadiwszy się na trzy

hufce, wypadli na wielbłądy i zabrali je, i sługi pozabijali ostrzem miecza i uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przybieżał inny i rzekł: synowie twoi i córki twoje jedli i pili wino w domu brata swojego pierworodnego; a oto wiatr gwałtowny przypadł od onéj strony pustyni i uderzył na cztery węgly domu tak, że upadł na dzieci twoje i pomarły, a uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił!

Tedy wstał Hiob i rozdarł płaszcz swój i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. I rzekł: Nagim przyszedł na świat, nagi się wrócę. Pan dał, Pan odjął: jako się Panu podobało, tak się stało. Niechaj będzie imie Pańskie błogosławione.

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się pewnego dnia, że przed Panem stanęli synowie Boży, przyszedł też szatan między nich i stał przed oczyma jego. I rzekł Pan: Przypatrzylżeś się Hiobowi słudze mojemu, że mu nie masz podobnego na ziemi; mąż to doskonały i bojący się Boga a zachowujący niewinność swoją, choć trapiiony bez przyczyny! I odrzekł szatan: Wszystko, co ma, człowiek oddaje za duszę swoją, ale ściągnij tylko rękę twoją i dotknij się kości jego i ciała jego, a ujrzysz, czyli w oczy złorzeczyć nie będzie. Tedy rzekł Pan do szatana: Oto w ręce twojej jest! Wszakże żywot jego zachowaj!

Wyszedszy tedy szatan zaraził Hioba niemocą i raną od stopy nogi jego aż do wierzchu głowy jego.

Wtedy przyszła własna jego żona do niego i rzekła: Jeszcze trwasz w bogobojności twojej! Błogosław Bogu i umrzyj!

I rzekł do niej Hiob: Izali tylko dobre przyjmować będziemy od Boga a złego przyjmować nie będziemy!

A miał Hiob trzech przyjaciół dawnych; ci, gdy usłyszeli to wszystko złe, które nań przypadło, przyszli każdy z miejsca swojego, przyszedł Elifas i Bildad i Sofar. Bo się byli zmówili, żeby pospołu przyszedłszy nawiedzili go i cieszyli. A podniósłszy zdaleka oczy swoje, nie poznali go, i zakrzyknawszy płakali a rozdarłszy szaty swoje sypali proch na głowy swe ku niebu.

I siedzieli z nim na ziemi siedm dni i siedm nocey, a żaden do niego słowa nie mówił, bo widzieli, że się wzmagala gwałtownie boleść jego!

Wtedy Hiob otworzył usta swoje i zlorzeczył dniowi i noey urodzenia swojego. I mówił: Dzień on niech się obróci w ciemność, niech się o niego nie pyta Bóg z wysokości! Niech go zaćmią światłości i cień śmierci! Noc onę ciemny wieher niech zasiędzie! aby nie szła w liczbę dni rocznych i niechaj nie będzie policzona w miesiącach. Bodaj noc ona była samotna i aby w niej nie było śpiewania! Bodaj się były zaćmiły gwiazdy mrokiem jój, a czekając światła, aby się nie doczekała, ani oglądała zorzy porannój! Czemuż nie umarłem przed urodzeniem, albo czemu urodziwszy się nie zginąłem! Czemuż mnie piastowano na kolanaach, czemu byłem karmiony piersiami. Teraz bowiem odpoczywałbym i miałbym pokój!

Bo tam niebożnicy przestawają straszyć i tam odpoczywają spracowani siłą. Tamże więźniowie sobie wydychają, a nie słyszą głosu trapiącego ich. Mały i wielki tam sobie równi są, a niewolnik wolny od pana swo-

jego. Czemu nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są utrapionego ducha, którzy czekają śmierci a nie przychodzi, choć jej pilnićj szukają, niż skarbów ukrytych.

Wtedy Elifas gromi Hioba dla niecierpliwości jego, a powiada, że te utrapienia nań przysły od Boga dla grzechów jego, bo Bóg niewinnego nie karze.

I tak mówił Elifas: Jeżeli będziemy mówili z tobą, czyliż ci nie będzie bolesno? Otóż ty wielu innych uczyłeś i wzmacniałeś ręce obce, gdy omdlewały, upadającego wspierały mowy twoje a kolana zemdlone posilałeś; a teraz, gdy na ciebie przyszła plaga, ustałeś w mocy twojej i strwożyłeś się! Czyli pobożność twoja nie była ufnością twoją? Gdzież teraz jest moc twoja? Słuchaj! doszło mnie słowo ciebie i dosłyszało szepty jego ucho moje.—Było to w godzinie nocnych widziadeł, gdy sen twardy ludzkie zmorzy—zjął mię strach i drzenie—i wszystkie kości moje strachem zdjęte były! duch około mnie szedł, szedł tuż przed twarzą moją! a włosy stanęły na mojej głowie!—I stanął! Stanął ktoś a nie znałem twarzy jego. Kształt tylko jakiś był przed oczyma memi—oniemiałem—i słyszałem głos jako ciebiego powiewu:—Czyliż człowiek, porównany Bogu, będzie usprawiedliwion; czyli człowiek czystszy niżeli Bóg?—

Na to Hiob okazuje, że ciężej cierpi niż zasłużył, uskarża się na przyjaciół ciężko, że go opuszczają. I rzekł Hiob: Daj Boże, aby grzechy moje, któremi na gniew zasłużyłem, i nędza, którą cierpię, były włożone na wagę, a nędza ukazałaby się cięższą niż morskie piaski. Stąd dla boleści moich nie stawam mi słów.

Ale wy na łajanie słowa stroicie, a przewiewacie mowy utrapionego! Na sierotę targacie się i chcecie wyrócić przyjaciela waszego. Wszakż coście zaczęli dokonajcie, nadstawcie ucha i obaczcie, czyli mowa moja kłamstwem jest. Odpowiedźcie proszę bez swaru, a mówiąc, co jest sprawiedliwe, osądźcie. I nie znajdziecie w ustach moich nieprawości.

Daléj powiada Hiob czém żywot ludzki jest, mówiąc: Bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi, a jako dni najemnicze są dni jego. On jako niewolnik pragnie cienia, a jako najemnik czeka końca pracy swójéj!

Potém Hiob woła do Boga, śmierci żądając, i mówi: Wspomnij, o Panie, że żywot mój powiewem jest. Jeżeli rzekę do siebie: pocieszysz mnie noene łoże moje i ulży mi się, gdy będę z sobą mówił na pościeli, tedy mnie straszysz przez sny, i widmami trwogą trząsas! Sprzykrzyłem sobie żywot! Zaniechajże mnie, bo marnością są dni moje! Cóż jest człowiek, że go tak wielce ważysz, że go nawiedzasz na każdy zaranek? I że w każdéj chwili doświadczasz go?

Teraz Bildad Elifasowi wtóruje, gromiąc Hioba, i domawiając mu do żywego rzecze: takieć, jak twoje, są drogi wszystkich, którzy zapominają Boga, i tak nadzieja obłudnika ginie. Podcięta bywa nadzieja jego, jako siatka pajęcza, i ufanie jego.

Tak tedy wzmaga się spór jątrzący duszę Hioba. Przyjaciele coraz groźniej i twardziej nastają nań, mówiąc że on grzesznikiem wielkim jest, bo go Bóg tak srodze karze, że jego prawość dawna, sprawiedliwość była obłudą, a teraz zawstydzon jest w obliczu ludzi. A Sofar prawi, jako Hiob dwakroć większe karanie za-

służył. Tak każdy z nich, a każdy wedle własnego trybu a patrzenia swojego, przykrą a niesłuszną nauką jątrzy serce Hiobowe. Wtedy Hiob, nie będąc już siebie mocen, wywiaduje się od Boga przyczyny utrapienia swojego, woła: Jeślim bezbożny, biada mi! a choćbym też był sprawiedliwy nie podniosę głowy mojej, będąc nasycony pohańbieniem! Czemu mnie na żywot wywiodłeś! Ach bym był umarł, żeby mnie było oko nie widziało!

A później w chwili, porwany gorączką sporu i uniesienia, jakby zapominając siebie, woła: Przecież nie-pobożni żyją, starzeją się, wzmagają się w bogaetwach, a oni weselą się przy odgłosie muzyki!—Lecz wrychle cofa zbyt śmiałe orzeczenie i z boleścią, pełną rozrzwienia, przywodzi sobie na pamięć dawną błogość swoją. O bodajby mi się wróciły miesiące dawne! i dni one, w których jeszcze Bóg był mi opiekuńczym stróżem, gdy pochodnia jego świeciła jeszcze nad głową moją, a ja w jej promieniach przechodziłem ciemności! gdy za dni młodości mojej Bóg, siadając pod strzechą moją, był mi radą w żywocie moim! Wtedy Bóg był jeszcze przy mnie, a około mnie dziatki moje. Kędym stąpił ścieżki płynęły mléką, a ze skały płynęła oliwa strugami. Gdy wchodziłem bramą do miasta, na rynku rozpostarto dla mnie kobierce; widząc mnie młodzi ukrywali się, a starcy powstawszy stali, a książęta ucichli. Bo każde ucho słuchające błogosławiło mnie, a każde oko widzące dawało o mnie świadectwo; bom ja wybawiał ubogiego wołającego ratunku, byłem pomocą sierocie, który nie miał pomocy; mnie błogosławił, kto już miał zaginać, a serce wdowy napełniałem radośnym śpiewaniem. Ja przyoblekłem się sprawiedliwością jako szatą, przyodzia-

łem się prawem jako płaszczem i zawojem, byłem niewidomemu okiem, chromemu stopą, byłem ojcem ubogich, i ujmowałem się nawet za prawem nieznanym mi..... A teraz synowie tych, których niegdyś z pośród ludzi wygoniono, za którymi wolano jako za złoczyńcami, brzydzą się mną i oddalają się odemnie; stałem się śpiewką ich!

W końcu przeciwnicy Hioba umilkli, przemożeni wywodami jego. Ale występuje jeszcze czwarty, rzecznik Elihu, co był młodzieńcem; on, widząc milezących, strofuje starce z niemądrości, że nie umieli Hioba przekonać; namawiając tedy do słuchania, pokazuje nieprawość Hiobową i długo się wielec rozwodzi, lubo jemu już nikt nie odpowiada.

Ale w tém wichry zagrzmiały, a Pan przemówił z wiechrów. I przemówił Pan do Hioba. Któż to jest, co zaciemnia wyroki moje nieroztropnemi słowy! Gdzieżeś był, kiedym zakładał węgły światu? Któż uczynił rozmierzenie jego, gdy śpiewały wspólnie gwiazdy poranne, i radowali się wszyscy Boży synowie! Kto postawił bramę morzom, gdy się wyrwały na świat, jako rodzące się; kto morzu, jakby niemowlęciu zrodzonemu, dał obłoki za szatę jego, a ciemność za pieluchę jego! Czyliż ty skinąłeś na świtanie i okazałeś, kędy mają wchodzić zorza? Czyliż ty widziałeś śmierci wrota? wrota ciemne śmierci widziałeś ty? Powiedz, kędy droga do miejsc, w którym się rodzą światłości, lub w którym mieszkają nocne ciemności? Czyli umiesz powiązać z sobą gwiazdy niebiańskie, albo czyli możesz rozerwać związek gwiazd Oryonu, czyli powiedziesz gwiazdy po-



łudniowe, czyli powiedziesz wóz niebiański z gwiazdami jego!

. . . . . Któż przygotował krukowi pokarm jego, gdy wołają dzieci jego do nieba tuląc się, gdy nie mają pokarmu? Azali na twoje zawołanie wzbija się orzeł w górę i składa sobie na wysokich miejscach gniazdo swoje?

Tak Pan przywodzi na oczy i dalsze sprawy wszechmoennego majestatu swojego.

Wtedy Hiob korzy się Panu i wyznaje błąd swój. A Pan zwrócił się do Elifasa i dwóch przyjaciół jego, strofując ich, że nie mówili o Bogu z tą prawoscią jako Hiob sługa Boży. A Pan każe im czynić całopalenia ofierne dla oczyszczenia, i poleca, by prosili Hioba, aby się modlił za nich, bo jego oblicze przyjmuje Pan. A oni uczynili jako nakazał Pan, a Bóg przyjął oblicze Hiobowe. I gdy Hiob modlił się za przyjaciółmi swojemi, Bóg powrócił mu wszystko, co dawniej miał we dwójnasób, a Pan błogosławił późniejszym czasem Hiobowym więcej niż początkom jego.

Potém Hiob żył długo i oglądał syny swoje i syny synów swoich, i umarł Hiob będąc starym i dui sytym.

Te są dzieje Hiobowe. One należą do najdawniejszych pomników ludzkich dziejów, bo im pewnie 3,000 lat z górą. One przekazane światu, by ludzie wzięli je sobie do serea.

Widzisz w tém opowiadaniu onego wielkiego Bożego dramatu liryczność, wylewającą się z najskrytszych źródeł ludzkiego ducha. A cóż dopiero się dzieje w prawdziwej pieśni lirycznej.

Mojżesz po długich walkach a pasowaniu się wywiódł lud swój z egipskiego jęctwa, wszystkie tabory izraelskie już przeszły z dopuszczenia Bożego przez morze Czerwone, a zastępy egipskiej pogoni już pochłonięte są w topielach, pochłonięte jeźdźcy i konie i wozy wojenne. Wtedy nad morzem stanął Mojżesz, wybawca swojego ludu, a uczucie dziękczynienia wzdęło mu serce i natężyło piersi jego, i zaśpiewał! i wtórował mu chór mężów i wtórował chór niewiast. I śpiewał Mojżesz, wybawca ludu swojego!

Ja śpiewam Chwałę Panu. Bo mocny jest Bóg! Bóg, co wtrącił w morze i konie i wozy wojenne! Mocą moją i Chwałą moją Pan, i stał mi się zbawieniem Bóg. On jest Bogiem moim, i wielbić będę Boga, co jest Ojca mojego Bogiem. . . . .  
(Mojż. ks. II. roz. 15).

A jest druga jego pieśń przedśmiertna. Gdy po mokołach a długim pracowaniu i trudzeniu ujrzał nakoniec tę Ziemię Obiecaną, otuloną w dali słońcem niby przejrzystą oponą. Wtedy wyszedł Mojżesz i rzekł: »sto dwadzieścia lat jest mi dziś, a powiedział mi też Pan: nie przejdziesz za Jordan, i ty zajdziesz między ojeami twojemi!« A Mojżesz, przewidując odstępstwo Żydów od wiary, napisał słowo drugiego zakonu, a gdy je napisał, kazał je włożyć do Arki Przymierza i rzekł do ludu: Ten zakon będzie tam przeciw tobie świadectwem. I mówił do ludu. Znam ja upór twój i kark twój twardy. Oto, póki ja jeszcze dziś z wami żyję, byliście upornymi, cóż dopiero kiedy ja umrę! (Mojż. ks. V. r. 31, w. 27). Wtedy w obec wszystkiego zgromadzonego ludu zaśpiewał pieśń: Słuchajcie niebios

mowę moją; słuchaj słowa ust moich. Jako deszeze,  
 niechaj płynie uciechenie moje, niechaj słowa te rosą  
 jako wilży rosa, jako deszcz ziele młode, jako rosa wil-  
 ży trawę wszystką. Bo wielbię imię Boże; oddajcie Panu  
 cześć. Opoką jest Bóg, i bez chyby jest dzieło jego!  
 I wszystkie drogi doskonałe są! Bo On jest bez błędu;  
 Bóg sprawiedliwy i wierny jest . . . . .

. . . . .  
 . . . . .

(Mojż. V. 32.)

Ta liryczność pierwotna wzmaga się i rośnie majes-  
 tatem przez następne czasy, aż dosięga najwyższej swo-  
 jój potęgi za lat Dawida i Salomona. Wszak czasy Sę-  
 dziów, wyprzedzające panowanie królów, były pełne tru-  
 du twardego i pełne walki ze sąsiedzkimi szczepami,  
 a jak lud cały żydowski nabrał hartu, jak urosł w one  
 bohaterskie postaci: Jeftego, Gedeona, Samsona, tak i  
 mowa jego zmężniała w siłę a mocy godności pełnej.  
 W téj epoce mężczyźni rozwinał całe swoje głębie i wdzię-  
 ki swoje właśnie wtedy, gdy i państwo stanęło w ca-  
 łym blasku swoim. Dodaj jeszcze, że muzyka, równo-  
 rodna siostra pieśni, nastroiła je do melodyj a harmonij  
 swoich. Dawniej pieśń miała-li za miarę swoją instynkt  
 serca; jój rytmem były uczucia i natchnienie bezświa-  
 dome siebie; gdy się atoli złączyła z muzyką, już te  
 obrazy, pieśnią objęte, płynęły na falach tonów, a tak  
 pieśń sama winna się była stosować do tonów tych, a  
 tak nabrać muzycznego rytmu. To poślubienie muzy-  
 ki z pieśnią było bardzo dawne. Wszak ów hymn Moj-  
 zesa nad morzem Czerwoném był śpiewany chórem  
 przy odgłosie narzędzi muzycznych. Wiemy też że prze-

rozmaite były te narzędzia muzyczne, i że ich miało być 63 rodzajów; lecz choć wiemy, jak się nazywały, przecież trudno nam odgadnąć ich znaczenie i kształt. Wszak i wyobrażenia nasze o całej muzyce hebrajskiej są wiecej niedostateczne. Jest atoli pewna, że lud, tak pierwotny jak Żydzi, nie mógł mieć zapewne muzyki sztucznej, że jego melodye były zaiste pełne prostoty. Mimo tego jednak wątpić nie można, że muzyka ta ogromną potęgą chwytala duszę; bo całe usposobienie Żydów było wskrós liryczne, muzykalne. Samo podanie owo o Dawidzie, który śpiewem i muzyką urzekał obłąkanie Saula, i zaklinal ducha złego, który nim mიაတ, dowodzi i wykształcenia téj sztuki u tego ludu, i jej mocy nad sercem jego. Jakoż Dawid, zostawszy królem, ustanowił czteré tysiące Lewitów mających wtórować muzyką służbie Bożej; wiemy również, że do tego celu za jego czasów byli osobni nauczyciele śpiewu i 284 śpiewaków. Zdaje się, że to usposobienie Żydów do muzyki przetrwało wieki i wszystkie ich losy i koleje. Rozpatrz się w całym poczecie dzisiejszych wielkich muzyków, a obaczysz, że nieporównanie większa ich część jest starozakonnego pochodzenia, gdy tymczasem tak rzadko znajdziesz ich mistrzami w innych rodzajach sztuki.

Łatwo zrozumieć, że liryczność dosięgła najwyższej wysokości swojej w Psalmach Dawida. Arfa jego była mu za dni młodości jego pociechą i utuleniem w żalu, ona mu śpiewała ufnością w Boga.

Gdy na niego przyszły strachy, gdy lęki płoszyły serce jego, wtedy pieśń i muzyka dodawała mocy, a dźwięki jej uniosły z duszy ciemne grozy. A gdy znów

zajaśniały dni pogody, gdy radości uczyniły z serca jego przybytek wesela, wtedy, niby Anioły Boże, ze strumharły ulatują hymny uwielbienia, niosąc cześć Panu na wysokościach. Czyliż ci więcéj mam prawie o tych pieśniach Dawidowych? gdybym się i najwięcéj nad nimi rozwodził, toby słów brakło; boć one są najwyższą lirą, jaka kiedy pojawiła się między ludami. Żadna literatura Zachodu i Wschodu, żaden wiek ani starożytnéj ani nowożytnéj historyi, żadne stólecie niema takich pieśni, takich hymnów, jak są te Psalmy Dawidowe. Któż ich nie zna! Komuż one nie są towarzyszem przez życie. Jakoż dzięki niechaj będą Janowi z Czarnolesia—bo on je uczynił własnymi pieśniami naszymi, on je uczynił talizmanem każdego domu naszego, każdéj naszéj rodziny. Matki czytają te Psalmy jego nad śpiącym niemowlęciem, te Psalmy czytają i nad konającym starcem, czytają je mali i wieley, w nieszczęściu i w utraipieniu, w jasnych i ciemnych chwilach.

A z Psalmami już nazawsze brzmieć będzie w duszy Pieśń nad Pieśniami Salomona i będą myśli przyświecać przypowieści jego.

Czyli ci wspomnieć o wieszczych głosach Proroków! wszak one są jakby wyrocznice, które Bóg umieścił w sercu, świecąc w niém światłem. Boże myśli, co ogarniają gwiazdy, ześlubiają przeszłość i przyszłość, rządzą światami, co są wszechobecne, wszędzie rozlane, jako pulsa wszechistnienia i niewidoma jego krew a żywot, — te myśli Boże są także obecne i w sercu człowieka, bo są tehem Bożym, technionym na niego przy stworzeniu jego. A wedle czasu i wieku, narodu i człowieka, ten Boży dech, to przytłumiony, zaledwie błysnie

w sercu iskierką mdłą sumienia, tęsknego przeczucia lub sennym obrazem, to znów rozplomieni się jasnym światelkiem; lecz gdy człek Bożym jest wybranem, wtedy już w nim buchnie ogniem płomiennym i ogarnia całą duszę; cała dusza śmiertelnego człowieka zajmie się pożarem Bożym i gore ogniem proroczym za łaską a dopuszczeniem Bożem; — wtedy Pan sam przemawia przez usta śmiertelne.

Michał Anioł na stropie Sykstyńskiej kaplicy roztoczył historią zrodzeń świata; a u góry między ścianą a sklepieniem widzisz proroki, męże od Boga natchnione, co widzeniem duchowem, słuchem nie z tego świata poczętym, widzą i słyszą nadechodzące dzieje ludzkiego rodu! I przed nimi księgi przyszłości rozwarte, i obok nich stoją Aniołowie, wysłanniki Bożych dziejów, i szepcą i mówią. Obok Proroków mistrz pokazał Sybille ludów pogańskich; niemi miota przeczucie, przeczucie nieznanne, senne zapala im oczy, wstrząsa lękiem serce; bo do nich doleciał duch — duch, co wróży o przyszłym świecie zbawieniu. I znów około okien kaplicznych widzisz świat cichego rodzinnego życia: tutaj jaśniej świętość domowego obyczajów, nosobiona w postaciach przodków Panny Przenajświętszej. Oni od pokolenia do pokolenia piastują w sobie wiarę, że z ich rodziny wyjdzie Matka-Dziewica, Matka Zbawiciela; więc czekają chwili onęj wielkiej, gotują się do niej. Te postaci, piękności pełne i wdzięku pełne, są jakby uobrazowaniem tej tęsknoty, tych żalów rzewnych, tych pragnień, co brzmiały w pieśniach świętych izraelskiego ludu, które żyły w sercu wszystkich dziejów jego. Więc z zebraniem serca czekają przodkowie Panny Przenajświętszej

spełnienia się Niebios łaski, czekają w świętości nieskalanego obyczaju i gotują się do onój Wielkiej Nocy, w której się spełnią proroctwa proroków. I spełniły się! Na ścieżce wielkiego ołtarza Chrystus Pan Zbawiciel stanął na sądzie, by sądzić żywych i umarłych. Nad nim Bóg Ojciec i Duch Święty, obok Niego Rodzica Jego Przenajświętsza; trąby Archaniołów zagrzniały na sąd, ziemia się rozstąpiła, groby jako kretowiska się poruszyły; ziemia pęka, umarli zmartwychwstają, i piekło się rozwarło; szatany, złego potęgi, roztwarły na oścież państwo swoje. I niebo się rozwarło — tam pasowanie się potępieńców z szatanami, tu wniebowzięcie wybranych i niewypowiedziane wiekuiste wesele. Jest to Sąd ostateczny Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej.



## LIST XXVI.

### FANTAZYA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

#### Srednie wieki.

Wstęp.— W. oltarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza.— Włok wewnętrzny kościoła.— Ste Postaci na W. oltarzu.— Wrażenie których doświadcza widz.— Charakterystyka tego dzieła.— Porównanie téj sztuki z grecką rzeźbą.— Bliższe opisanie Stwoszowego dzieła.— Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele.— Dramatyczność.— Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów Chrześcijańskich.— Nowy kształt świata.— Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazyja.— Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich.— Cofanie się ducha w siebie a sztuka ludów Chrześcijańskich.— Zastosowanie téj prawdy do dzieła Stwosza.— Miłość niebiańska i Legenda.— Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje.— Skrucha.— Dokończenie o dziele Stwosza.— Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świetle Chrześcijańskim.— Rzeźba, dla tych samych powodów dla których jest sztuką odpowiednią światu klasycznemu, staje się sztuką mniej właściwą dla ludów chrześcijańskich.— A natomiast pojawiają się inne sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich.— Fantazyja romantyczna.

**W**ierzaj, ten podeszły krakowski gród jest jakby galeryą zabytków sztuki staréj, zostawionych od dawno-zapadłych czasów puęizną na artystyczny dorobek pokoleniom późnym. Wszak historia świata, przecho-  
dząc wędrówką po ziemi, nie mijala też nigdy nasze-



go mieściska; a co który wiek nowy pojawił się w ludzkich dziejach, znalazł też gościnę od serca w tym podsiwiałym domu; więc też każdy z nich, z kolei do wieczności się wyprawując, zostawiał w nim jakąś pamiątkę swojego pobytu, a na znak wdzięczności za uczciwe przyjęcie obdarował upominkiem, by się też miało czém pochwalić a ustroić miasto nasze. Stąd ten Kraków stanie za obrazkową książkę, w której się doczytasz gadek starych o uczłowieczeniu się człowieka, i o pracach jego wdzięcznych około umajenia doczesnego żywota.

Gdy ci spokojnie w piersiach, a cicho na dworze, na świecie, weź się przechadzać po tych ulicach, rynkach, kościołach, domach i szarych kątach naszych, a nie mało się nacieszysz, byleś miał oczy ku widzeniu, a troszkę uczucia, co to nie głuche, nie twarde na to wszystko, co ludzi obelodzi.

Ledwie się puścisz na taką wędrowkę estetyczną, a już cię zagadnie rzeźba mistrzowska, co na chwałę starych wieków wmurowana w ścianę kamienicy pradiadówój. Rzeźbione święte figury,—to arcydzieła sztuki gotykiej; one oddychają pobożnością umarłych czasów i, jakby pacierzem na kamieniu wyrytym, modlą się za one wszystkie pokolenia, które pod ich stopami długim szeregiem przebiegowały życie tuteczne. Postaci rzeźbione kwitną młodością wiekuistą swoich uroków, a owe pokolenia o drgającym sercu, o krwi cieplej, żywej, przeminęły jako sen. A znów nieco dalej zatrzyma cię na drodze kaplica kościelna, ubrana od ulicy, jakby na święto, w prze cudny Zygmuntowski renesans. Ta zaena sztuka szesnastego stolecia, przebudzo-

na z nocnych magicznych widziadeł wieków średnich, tak szlachetna i czysta, powitała świat uśmiechem wdzięków świeżych, a ufna w siły swoje a wiosenne czary patrzała na swoją przyszłość pełną nadziei tak bogatą a przecież tak kłamliwą, zawodną. Widząc te szlachetne linie, któremi tu biegną wyrabiane jej eiosy, tę muzykę rysunku, te pełnem uczuciem piękności wyrabiane liścianki, rosety, bisiórki, serce ci smętkiem zabiegnie na myśl, że chmury słotne, mroczne następnych stuleciów padły na ten cudnie piękny świat, i samowolnie nasunie ci się obraz dziewczyny młodej,— co wyrosła z marzeń sennych, zrodzonych eiemném serca przeeczuciem, co ufna swoim wdziękiem, narzeczona szczęściu, zaślubiona swojej miłości, pełna nadziei, otwartém sercem, jasnym okiem wita przyszłość uroczą,— bezświadoma chmurnych słot i nieszczęść przycajonych mileżkiem na dalszej drodze jej żywota.

Indziej znów, gdzieś w zakątku zapyłonej sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazya średnich stuleciów, owa wróżka czarnoksiężka, opłotła je zwojem gałęzi i liści misternych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiewające, drzewa, co rodzą, jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baję ezarodziejskie, słyszane niegdyś w dziecięctwie od nianiek przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królewne zakłète, lub smoki i karzełki, kur czarny i czarownice, i zbójców dwunastu; oto, że cię przywita znówu ta cała

hołotka drwiąca, świecista, psotna, co ei była strachem i radością, kochaniem i trwogą w chłopięcych latach. Oj nie!—ta furta od dawna zamurowana, za nią dziś komtoar handlowy! nie roztworzą się więcéj te progi, nie wystąpi z nich ów czarnoksiężki wdzięczny świat, zamknięte też na zawsze one tęsknoty młodości twojéj i marzenia złote i sny dziecięctwa twojego. W pobliżu tych gotyckich ozdób misternych, w ustroniu, na jakichś ciemnych schodach, odziane wielokrotną powłoką wapna stanęły, jakby na straży, dwie wysłannice z dalekiéj nadmorskiéj stolicy; one przechodniów witają cichym szeptem, ale witanie ich niedosłyszane, a mowa niezrozumiała, ona obca, cudza; są to dwie smętne i samotne kolumny bizantyńskie; one poważne, przysiadłe, wyrzynane w pierożki i o posępnéj głowicy. Znać, że w tym Krakowie, tuż obok siebie zesła się fantazyja gotycka Zachodu ze sztuką Wschodu; te kolumny, to graniczniki dwóch światów, dwóch cywilizacyi różnych a odrębnych od siebie.

Przejdź się kilka kroków, a zamizdrzy się znowu do ciebie brama kamieniczna epoki króla Sasa Drugiego, wykrygowana w rokoko, wyfiokowana niby dawna dworska galantka; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale uprzejma, zgrabna. Biedaczka ta brama! ona marzy o czasach, kiedy była młodą, śni jéj się o świecie dowcipnym, gładkim, delikatnym, pełnym czci dla dam; więcéj jéj markotno i ekliwo w tém naszym stóleciu na pół zdziczałym, o mowie zgrubiałéj.

Widzisz, jak tam ze śeiany kościoła (Świętój Barbary) na ulicę wyrósł cudnym kwiatem przypornik kamienny; rzekłbyś, że liście jego, miłości tehem rozwite, roztula-

ją się wonią niebiańską i życiem nieskończoném. Jednak krzywdy żywiołów, gwałty wichrów, mroźnych zawiści, zamieci śnieżnej, przeszły przez kwiat kamienny i odrywały po kawałku te jego liście cudne, rozsypując po ziemi okruchy; tak daremnie też dusza nasza roz tuliła się kwiatem miłości nieskończonej i niebiańskiej woni; bo gdy ten duszy kwiat zmrozą krzywdy światowe, gdy nań zawieją szarugi słotne życia, już po jednemu odpadają liście jego, odpadają miłości i nadzieje, wesela i tęsknoty, i rozsypują się po ziemi, idąc wiatrom na igrzysko!

Tak, kędy spojrzysz, kędy oczyma ducha się zwrócisz, odezwie się do ciebie jakaś niezabudka z czasów starych; chodzisz, jakby po muzeum sztuki, po tém mieście naszym. Chceszli atoli uradować się najwyższą radością i rokoszować areymistrzostwem średnich stuleciów, i obaczyć się oko w oko ze sztuką, którą romantyczną zowią, wstąp do naszego kościoła Panny Maryi i wpatrz się w areydzioło, którem się świeci ołtarz wielki.

Jest dawna wieść, wieść, co wróżbą chodzi między ludźmi, jako umieranie człowieka podobne jest skonaniu kagańca. Płomyk przed skonem dygoce, drży, mru-ga; lecz zanim zgaśnie na zawsze raz jeszcze strzeli jasném światłem i rozwidni całe otoczenie swoje. Tak się dzieje i z człowiekiem. Zanim skona, dygoce, drży serec z lęku, bo życie jest przecież »tak lubém nawyknięciem« (Göthe),—lecz wśród ciemnego śmierci potopu duch raz jeszcze strzeli wiekuistości płomieniem i rozwidni mu przeszłość i nieskończoność przyszłą. Co było w życiu potęgą mocy wielkiej, staje się bajką w sko-

nie, a prawdy bezdenne, niezgłębione stają się tak proste i łatwe jak uczucia pochołące.— Doczesność i jej troski i nieciechy, jej trwogi i radości, natura i jej gwiazdy, góry i łąki i bory, i wszystkie ludzkie zabiegi rozplywają się niby dymek obłoczny, ulatują jakby sen poranny, a tajemnice wieczności i życia, zagadki okryte dla oczu doczesnych obłokiem, występują teraz na obecny widny jaw, rozdarta jest ich obłoczna opona, jak rozdartą była opona Jerozolimskiego kościoła w chwili Bożego skonania. Jest-to wiekuistości jasnovidzenie.

Tak umiera człowiek, tak umiera epoka w dziejach ludzkich, tak skoła historia wieków średnich. Ona przed śmiercią zebrała siły gasnące, wzmogła je raz jeszcze w jasne promienie, w błyskawiczne światło, i zajaśniała nadchodzącym pokoleniom. Ona te ostatnie swoje promienie odziała w wielkie mistrze, a zajaśniała przyszłym pokoleniom dziełami tych robotników swoich. Jednym z tych mistrzów jest Wit Stwosz, a jednym z tych dzieł jest: *»Zaśnięcie N. Panny«* w naszym kościele Krakowskim.—Zaśnięcie Przenajświętszej Panny! wszak w tém zaśnięciu promienie Boga Rodzi-cy błysnęły na Ziemi jasnością jej skonu.

Wybierz sobie jedną z tych chwil, w których umilkną w duszy ziemskie głosy, w których słyszysz klukanie się własnych uczuć w głębinach serca twojego, w których słyszysz uderzenie skrzydeł wzbijających się myśli twoich, wtedy, stanawszy pod ołtarzem wielkim Maryackiej świątyni, daj posłuchanie duchowi. Godzina popołudniowa, — kościelne przestrzenie samotne, milezące powiewne tehy wieczności płyną przez budowanie świątyni, ty sam na sam z duchem pozostałeś,

Polotne sklepień wiązania uniosły się ku niebu w wysokości zawrótne, splatając się w gwiazdy i w krzyże misterne, pod nimi mroczą się wiekami przyćmione obrazy: malowane ich postaci niby widne, niby we śmie utopione, one jakby uczucia twoje na poły jasne i jawne, na poły ukryte dla ciebie, robią i pracują w tajnej serca topieli. Na podniosłych gżémsach obiegają kościół ganki lekkie, nad nimi światłość promienista, pod nimi na dole mroczno, wieczorno — te ganki jakby ścieżka ziemskiego żywota między niebem a doczesnością ziemską zawieszona. Jeszcze niżej, niżej, na ubocznym chórze drzemia, jakby śmiercią, organy; one umarły, ich metal głuchy, drewno martwe oniemiały jako beczule zwłoki duchowych harmonij: gdy jednak przyjdzie chwila oddania czei wiekuistemu Panu, beczule i martwe zwłoki ożyją, w nich wstąpi duch, a harmonie umarłe zmartwychwstaną, a pod akordem tonów zadrga życiem metal i drewno.

Jako krystaliczne wody potoku rzucają się z przepaści skalnej, grając różnobarwnym tęczy promieniem, — tak tu, przez wyniosłe ostrołukie okna a kolorowe szyby spada rzeka słonecznych światłości, mieniając się barwami malowanych na szkle obrazów. I te przejrzyste malowania i one również ucieleśnią dziełem sztuki starzej, i pobożności dawniej pracą ofiarną. Na nich jasnieją, jakby napowietrzne, promienne, niebiańskie wdziałła, dzieje Boga Rodzicy i palą się w słońcu szafirów, szmaragdów przepychem, pożarem rubinów, a ta troistość barw jest jakby troistym wiary, nadziei i miłości godłem. Tak światło słońca jest tu wyrazem jasności niebiańskich, co przeczyste, wiecznie jedne i te

same mienia się barwami ludzkiej istoty, gdy wpłyną w seree człowieka.

Rozlewa się powodzią po przestworzach kościelnych wielobarwna światłość słoneczna, i drga po potężnych filarach i po marmurowej posadzce i zapala złocistym ogniem spiżę odgrodných balasów u wielkiego ołtarza. I cicho w świątnicy i spokojnie. Jesteś sam na sam z duchem; powiewne wieczności tehy kroczą mileząc przez kościół; słyszysz tylko kłujące się uczucia w piersiach twoich i słyszysz skrzydła wzbijających się twoich myśli. Te myśli, one, niby ptaki wędrowne, one, choć na ziemi zrodzone, ciągną w jesieni żywota w niebiańskie krainy, choć jęj nie widziały nigdy, ciągną w nieskończoności ojczyznę,—kiedy nie ma zimy. Powiedz, kto ptaki wędrowne, kto myśli człowieka naneżył téj drogi?

Dumas i myślisz, a z wdziękiem niewymownej serdeczności patrzą na ciebie z ołtarza postaci, co się zrodziły w ciepłych piersiach Wita Stwosza. Mistrz stary je wystrugał ze suchego drewna, ale w to drzewo suche teznął nieskończoności dech i w drzewo to wlał tętno wiary, bijące w sereach milionów. Więc to drzewo stało się drzewem żywota, co nie więdnije nigdy, co wiecznie zielone, wiecznie młodą wiosną sieje nieśmiertelne kwiaty w seree ludzi. Te postaci,—to nawiedzenia pańskie, a miłości i przebaczenia proroki. Są chwile w których seree pęka nieznana, niewypowiedzianą tęsknotą, w tych chwilach burze i troski żywota nie przytłumia cichych płaczów w duszy; w takich chwilach, choć wśród ludzi, przecież na świecie i w piersiach głucho, pusto; zdaje się jakbyś chodził po popio-

łach spalonego rodzinnego miasta, jakbyś stał na pogorzelsku ojezystego domu, kędy gnają wiatry po sezer-niałych, popękanych ścianach, słoty gza się po pustkach; ledwie się dopatrzysz śladów dawnych izb, a mury, co niegdyś były ochroną i przybytkiem domowego życia, dziś sterczą jako straszydła wrogie i chwiejące się radeby cię zagrzebać w gruzach. Kto w takich chwilach szuka dla schorzałej duszy ukojenia w Bogu, już mu nieme usta tych postaci cichą mową szepną z ołtarza anielskie powitanie: »pokój sercu temu!« Znów w zbiedniałej duszy jego, jakby po długiej zimie, roztula się pączkiem stokrotki boże, dawne niewidziane goście! a serce jego znów ożyje żywotem, nadzieją w siebie i w świat.

Zważ,—iż gdy się opatrzysz sam z sobą i rozpoznasz się w duchu swoim, jakby w domu własnym, wtedy zrozumiesz, że trojaka potęga płynie z tych postaci do duszy twojej. Bo naprzód jakiś daleki głos brzmi głębokim, rzewnym akordem; na jego wołanie modli się serce w ciszy uroczystej: są to uczucia religijne, wiekuistości wróżby. I znów słyszysz, jakby westchnienie puszczy, gdy zimnej oddech północy przelatuje, jak chuch, przez starowiecznych dębów szczyty: to jest przeszłości westchnienie a chuch tych pokoleń, co tu z kolei modlić się przychodziły, co w tej tu posadzce przed tym ołtarzem wypłakały stóleciami żywot swój; dziś ich groby nieznane, zapomniane, dawno już trawą i knieją porosły.—Znów cię porusza trzeci głos: jest to przemówienie anioła wdzięków nadziemskich a przecież widomych, jest to dech anioła sztuki chrześcijańskiej; on niebiańskim wysłannikiem, co opuścił wiekuistą ojezy-



znę swoją, wzywając uczucie piękności, drżemiące w sercu człowieka, na sprzymierzenia wiekuistych, religijnych prawd.

Stąd też cheiěj nurkiem zapuścić się w siebie i cheiěj ściśle, o ile możesz, rozróżnić w sobie te trojaki uczucia i sam siebie zapytaj, ile w tych akordach brzmiącej w tobie muzyki jest brzmieniem uczucia piękności, przebudzonego dziełem starego mistrza; pytaj o ile sama sztuka jego poruszyła ducha twojego.

Orszak tych świętych postaci na ołtarzu otoczył gronem Boga-Rodzicę. Ona, ukoronowana koroną Nieba i Ziemi, zasypia skonem, który jest nieskończonym żywotem, nieskończoną chwałą. Ona i Matką i Dziewicą, »różą i lilią niebiańską.« Jakoż i ziemia nie zna wyższej miłości nad matki miłość, nie zna wyższej czystości, nad niewinność dziewicy. I dla tego nam tutaj tak błogo, tak rzewno i ufno w sercu.

Patrząc na te męże święte, cześć, uwielbienie niewypowiedziane, urzeczenie innego świata ima duszę twoją;— a przecież, mimo holdu i czei, mimo uwielbienia, nie zna tu serce lęku,—ta świętość nie jest poniżeniem dla ciebie; jest to majestat bez dumy, jest to wielkość duchowa a tak pełna słodyczy,—jest to świętość, a przecież tak poufna, potulna; na tych twarzach tyle dobroci słodkiej, tyle serdeczności rzewněj; z nich technie powiew niebiański, a przecież w nich nie ma zgrozy i grozy! Słowem, im więcej oczyma, sercem zapadniesz w tych postaciach, tém silniěj jakieś wspomnienia lubo echem dolatują z dawnych lat; rzewnosc dziwna rozbiera duszę, a odmładzają się radości, niegdyś uczuć twoich piastuny, i znów ci zaśpiewają

w duszy piosenki tak miłe, tak wdzięczne!—Toniesz w przeszłości, i przebierasz w obrazach pamięci, i dumasz i myślisz, aż, jakby serea błyskawicą, rozwiązują się zagadki uczuć twoich. Te echa, te pieśni, te wonie a radości dawne, toć wspomnienia drogie zmarłej matki twojej, co leżyła tehy duszy twojej, co promieniem serea swojego tonęła w piersiach twoich, co cię strzegła miłością dniem i nocą, i w pobliżu i w dali, a ta miłość jej była proroctwem i jasnowidzeniem nieznaną co oddalenie w przestrzeni, co oddalenie w czasie; życie jej syna było dla niej obecnością nieprzemijającą nigdy. Więc też otoczyłeś jej postać czecią i uwielbieniem, uwieńczyłeś jej oblicze aureolą jasną twojej miłości i czei. Otóż widzisz, czém jest dla ciebie téj matki twojej pośmiertne oblicze, świętą jasnością oblane, tém są te postaci co na ciebie patrzą z ołtarza. Czujesz że dla nich nie masz w sercu tajemnicy, radbyś pozalić się im z tego, co cię i trapi i boli, wypowiadać się nawet z winy jeśli jaka na duszy ciąży, pewien że znajdziesz pociechę i ochłodę, radę i utwierdzenie na téj drodze żywota twojego przez świat; a choć czujesz płynący od tych postaci wieczności powiew, nie znasz jednak co lęk, co groza, znasz tylko miłość i cześć.

Rzekłem dopiero że z troistego wrażenia, które w sercu nasze płynie, winniśmy z naszego stanowiska uwzględnić wyłącznie pierwiastek estetyczny, nie tykając mianowicie strony religijnych uczuć brzmiących w sercu naszym. Weźmy tedy pod sąd osobny pracę artystyczną naszego mistrza i uważmy, jak się pod tym względem wywiązał ze swojego zadania. Naprzód

patrzmy się z wierzchu na dzieło jego i zdajmy sobie sprawę z faktów zewnętrznych, które mamy przed sobą.

Otóż zaraz uderza nas osobniczość, indywidualność tych twarzy; każda z tych figur ma fiziognomią tak osobną, tak sobie właściwą, tak do niej wyłącznie należącą, iż znać wyraźnie, że widzisz wizerunki osób niegdyś żywych, które chodziły doprawdy po téj ziemi. To piętno indywidualne tak dobitnie się wyjawia w tych obliczach, iż od razu, za pierwszym rzutem oka rozpoznasz te same głowy, gdy je znachodzisz po raz drugi wśród grup wyrzeźbionych na drzwiach wielkiego ołtarza. Te oblicza wszystkie zaiste w niczem nie są podobne do tych rysów zatartych, splókanych, do tych twarzy powszednich, które tak często spotkasz w życiu zwyczajném; to istic głowy wysokiej szlachetności. Na czole jaśnieje myśli potęga, wejrzenie głębokie, a przecież otwarte, uśmiech pełen wdzięku rozlany na ustach, a zaćność i wyższość duchowa rozplynęła po całym obliczu. A przecież te twarze, tak rzewne a serdeczne, nie są greckich mistrzów nadziemskim ideałem; one nie są ową pięknoscią klassycznego świata, zrodzoną w nadgwiadnej ojezyźnie uroków nieskończonych; to nie są z wysokiego Olimpu przychodnie!—Wskrześ sobie w pamięci kształty greckich bogów odziane marmurową bielą i porównaj je z wyrazem téj naszej rzeźby chrześcijańskiej, a obaczysz jakto te bogi greckie wystąpią z całą wyrazistością swojej cechy; ich natura tém porównaniem dopiero stanie się zupełnie dla nas jasną i zrozumiałą. Te greckie posągi bogów, one tak obce, tak cudze sercu two-

jemu, bo one tak chłodne i harde i dumne pięknością swoją!—Te bogi wprowadzie zstępują niekiedy na ziemskie doliny, one niby kochają, czują i cierpią jako człowiek; ale te kochania ich i cierpienia nie sięgają głębi ich istoty, dotykają tylko wierzchu jej i przechodzą lekkim powiewem nie poruszając falą wiekui-stego ich żywota. Te postaci greckich bogów nie straciły nigdy błogiś ciszy głębokiego pokoju; stąd też one tak dumne w milezącym majestacie swoim. Mieszkańcy Olimpu z nadobłoczných wysokości patrzą się, jako z bezpiecznej złocistej stolicy, na mocowanie się i łamanie bolesne biednego ludzkiego rodu. Zrozumiesz tedy, że ta piękność ich nadludzka trzyma w nieśmiatłem oddaleniu znękanę ziemi mieszkańce i strapione doczesności syny. Te bogi »skamieniałe, te ich nieme, »nieruchome posągi mileżą, nie udziela nam rady; w ich »zimnych twardych marmurach nie zatętni krew cie- »pła, ani serce nie zapuka; one nie zstąpią z podno- »żów swoich,—nie zawitają w rzeczywistość naszą,— »i z nami i nad nami nie zapłaczą, i nie zasiądą z na- »mi do uczty życia i wesela.« (\*).

Oblicza tych bogów—to nie są wizerunki wzięte z koła rzeczywistości tutecznej, one więc też nie mają na sobie indywidualności piętna; ich piękność nie jest z tego świata, ona jest abstrakcją piękności, bo oderwaniem się od ziemskiej niziny, od ziemskich krzywd, i stąd też te wszystkie ideały greckie, ogólnie mówiąc, są do siebie podobne. Wszak żywot ich na wysokim Olimpie płynie im wszystkim jednak, płynie bez bu-

---

(\*) Wykład Filozofii §. 124. przyp).

rzy w nieskończonym pokoju, więc też nie wycisnął na nich tak silnie cechy osobniejszej, żywej i wyłącznej.

Odwrótnie w tych figurach Stwosza znać, że burze eierpień, głębokich boleści do dna roztworzyły te piersi ich, zostawując ledwie ukojone blizny na sercu; widać, że w ich duszy również kwitnęły tęsknoty i smutki, a rozłupały się radości i wesela ziemskie, prawdziwie ludzkie, że pragnienia i chęci świata, przyezajone na dnie ich istoty, zrywały się nadzieją i ochotą światową, a anioły niebiańskie, przebywające w ich sercu, zwijały niekiedy skrzydła swoje. Znać, że te postaci po naszymu walczyły i pasowały się ze światem i z sobą, że wiele przebolewały w życiu. Może te figury są wizerunkiem braci a przyjaciół od serca naszego snycerza, może powierniki jego trosk i radości domowych, opiekuny a obrońcy jego żony i dzieci, gdy się wybierał za robotą artystyczną do dalekiej Norymbergi. Te twarze też z taką bacznością miłością, a tak pilnie wyrobione, iż znać, że były jego sztuki ogniskiem. Zaiste, te głowy są arcydziełem; każda z nich jakby eposeją opowiada długie dzieje zacnego, świętobliwego żywota na ziemi.

Jeżeli zaś oblicza w dziele echrześcijańskiego mistrza nie zbliżają się do najwyższych ideałów sztuki klassycznej Greków, tém mniej zbliżają się do owych ideałów nadziemskich inne części ciała, a mianowicie ręce i nogi. Lubo ani wątpić, że i one są wypadkiem pilnych studyów przyrody, toć one są przecież jawnym dowodem że w téj średniowiekowej sztuce sama tylko twarz była ogniskiem najtroskliwszej baczności, reszta zaś ciała stała się jedynie czémś podrzędném a ubo-

ezném. Dążność takowa znowu wbrew przeciwna jest fantazyi Hellady, bo tam właśnie natura jest w prawie swojém, zatem właśnie tam ciało w nagości swojój jest eudem nad endy uroków idealnych. Stąd też tam i draperya ma inne znaczenie. Szaty greckich posągów są istnym poematem, płynącym na wdzięcznych falach luti; draperya tam nie jest ukryciem ciała, ale raczój objawem ruchów i mimiki, téj niemój, tak czarodziej-skiej muzyki jego. Ta draperya u Greków jest przeto raczój środkiem uwidomienia ciała, które przez te szaty świeci promieniem, jakby kagańca płomień zapalony w przezroczu lampy strojnej. Zupełnie inaczej się dzieje u Wita Stwosza; tutaj szaty są istnym zakryciem cielesności, a one choć wspaniałe, poważne, choć fałdy miękkie, są jednak sztywne niby sztuczne; rzekłbyś, że tu ciężkie a przemokłe sukno łamie się w różne tryby; one nie są idealizowane. Więc nie dziw, że puściwszy oczy po téj grupie, one od draperyi, od rąk i nóg ciągle nawracają do twarzy; wabi je ku sobie tajemniczym oczynieniem jakiś urok niesłychany, jakieś przeczuć nieodgadnionej jeszcze głębi (\*).

Zaprawdę, cudny to być musiał widok, gdy cała ta kompozycya figur, nagle odsłonięta ludowi, zagrała po raz pierwszy jakby koncertem kształtów, barw i złota! Bo wiemy o tém, że te postaci rzeźbione są jeszcze

---

(\*) Co tutaj mówimy o tém areydziele Stwosza, stosuje się też prawie do całego snycerstwa i malarstwa średniowiekowego w północnej Europie; obaczmy w późniejszym liście, że sztuka we Włoszech znów osobnym a sobie właściwym trybem wyraża ducha tych stuleciów średnich. Sztuka we Włoszech, mając ciągle przed oczyma dzieła starożytnego świata, ciągle obwiana była tehem klasycyzmu. Inaczej zupełnie dzieje się w Europie północnej.

z najwyższą starannością malowane i złoczone; i to jest dla nas nową charakterystyką tej sztuki dawniej. Nie mów, że polichromii używali i greccy rzeźbiarze. Wszak wiadomo że w Helladzie owa polichromia, owo powlekanie posągów barwą nie było nigdy istnieniem malowania, lecz miało raczej ten cel, aby różnaitością zlekkarzonej farby oznaczyć silniej różne części posągu, aby tym sposobem ulżyć fantazyi widza, która tak z ciekawością mogła tem łatwiej uzupełnić sobie cały obraz idealny mistrza. Grekom, malującym niekiedy rzeźby swoje, weale nie chodziło o zbliżenie się do natury, co już poznać można ze samej wielkiej lizeby areydział spizowych, które nam się po nich w dzieciństwie dostały; a nie zadawali sobie też oni żadnej pracy, aby malując spiz farbą naśladowali ściśle naturę. Bo Grecy albo nie tykali weale metalu, powierzając go tej prześlicznej barwie rodzimiej i jemu właściwej, albo też jeśli się takich środków, które właśnie są dowodem, że dbali jedynie, jakem rzekł, o lekkie potrącenie fantazyi, a bynajmniej o ściślejsze udawanie przyrody: tak np. mając ułać Jokastę a chcąc przypomnieć jej cierpienia, przymieszali do spizu srebra, by ją uczynić bladą. Wszak pokazują ei w Neapelu one aktorki tragiczne z Herkulanum, porywające nas ponurym majestatem; one stanęły jakby do chóru Sofoklesa, głosząc spizowemi ustami wyroki niezłomne światu. Te figury ciemne mają wprawione szklane oczy, a rąbki u tuniki pozłacane i na tem poprzestał ich twórca starożytny. Zważ jeszcze,—iż te marmury greckie tak są szlachetne, tak przezyczystej bieli, iż powlekanie ich farbą byłoby istnieniem barbarzyństwem, niewłaściwem owemu ludowi z tą wy-

soką czujnością i czułością artystyczną. Inaczej się dzieje z naszą grupą krakowską; figury jej są z drewna, wymagają więc koniecznie barw; malowano je też ze wszystkimi szczegółami ehoćby najdrobniejszymi, pragnąc ni-  
by jak najwierniej kopijować naturę. Ten naturalizm najsilniej się odbija na twarzach, włosach; boć i pęzel, jak widać, miał za cel indywidualność i oddanie wizerunków osób żywych, rzeczywistych, które były modłą dla artysty. Jeżeli w posągach greckich oko jest najczęściej bez źrenicy, tutaj przeciwnie ono jest żywym wróżbitą duszy przebywającej we wnętrzu cielesném. Błyszcza przeto barwy czerwone, zielone, błękitne i fiole-  
lety, a wśród nich obszerne przestrzenie pozłoty. Tę to pozłocie świecistę i szkleniu się barwy zawdzięczamy przedewszystkiem, że te rzeźby, choć kolorowane, w niezém nie są podobne do trupich a tak wstrętnych figur woskowych. Inne ważniejsze tego powody wypłyną nam jeszcze poniżej. Zwracam tylko uwagę, jak tutaj malarstwo w tej rzeźbie o przewadze swojej znać daje.

Malarstwo atoli wplata się do tej rzeźby jeszcze pod innym a głębszym względem; ta grupa postaci ma bowiem jeszcze rzeźbione tło, słowem perspektywę, która, jak wiesz, jest cechą malowania właściwego, nie zaś skulptury. Tę perspektywę silniej jeszcze widać na płaskorzeźbach strojących drzwi ołtarza i stalle.

Stalle w kilkunastu wystruganych obrazach roztoczyły historią Najświętszej Panny, a choć są niższej wartości, i, jak się zdaje, dokonane przez innego późniejszego mistrza, dziwnie wyjawiają ducha średniowiekowej fantazyi. Tutaj wglądasz w izby głębokie, w ulice miej-



skie, w świątnice, w domaszne ciche komnaty; widzisz powyrzynane wsehody, to wyrzeźbione sprzęty domowe, porozstawiane perspektywiecznie po izbie; spostrzeżasz okna na poły zamknięte lub otwarte, dalej naczynia, dzbany, stoły, krzesła, i te wszystkie lubie towarzysze zacisza domowego, co choć martwe i bez czucia stają się przez długie lata przyjaciółmi naszymi. Tak np. widzisz i obraz rzeźbiony:—Zwiastowanie. Panna Marya modli się w komnacie na klęczniku poduszką pokrytym, przed nią książka, w oddaleniu dwa okienka, ndany strop, posadzka, i t. d., przez drzwi otwarte anioł wstępuje do izby: Boga-Rodzica zwraca ku niemu oblicze. Za nią stołek gotycki, na stolku kotka stulona w sobie, jakby przestraszona widziadłem, i t. d.

Zważ, że wyobrażenia zwierząt domowych często bardzo się powtarzają w dziełach sztuki średnich wieków; wszak np. na drzwiach samego ołtarza widzisz powtarzane jeszcze dwa razy kształty zwierzęce; na-przód na oddziale wystawującym Narodzenie Zbawiciela: Najświętsza Panna klęczy modląc się, przed nią w koszyeczku dzieciątko święte. A przy nióm rozłożył się na ziemi wół potulny i cichy. Ale co więcéj, w oddziale następnym widać trzech królów oddających pokłon nowo-narodzonemu Panu: jeden z nich podniósł wysoko nad głową czapkę, jako na znak holdu; za nim stoi jego konik siwy, co sobie spokojnie trawkę skubie. Nie tylko atoli same wizerunki zwierząt są zaiste charakterystyką sztuki w téj epoce, ale nawet błędny ich rysunek ma tutaj również znaczenie swoje.

Krom tego, uderza nas bogaetwo architektonicznych ozdób wplatające się w tę rzeźbę. Wszak od stropu,

nad grupą główną, spuszcza ją się głęboko łuki, przystroje i kwiaty gotyckie, a tak tworzą jakby podniebek przezroczysty, grubo połączany. Wszak i przedziały na drzwiach ołtarza odosobniły się między sobą strojną architektoniczną przegrodą. Ta architektura silniej jeszcze splata się z górnym oddziałem wielkiego ołtarza, ustawionym wprost nad tą ową celną grupą jego. Ta przewaga architektury na tém wyższém piętrze tłómaczy się i samą naturą przedmiotu. Jakoż gdy w głównej części ołtarza «Zaśnięcie Panny Maryi» jest jakby dramatem świętym odbywającym się jeszcze na ziemi, przeciwnie u góry Najświętsza Panna, już do nieba wzięta, jako królowa świata stanęła w jasności swojej chwały i światłości wiekuistej; jest to liryczność, hymn, Hosanna, śpiewane przez Ziemię i wszech duchy stworzone na uwielbienie i cześć Matki Boga. Gdy tutaj przeto już nie ma dramatyczności, stąd postacie Bożej Rodzicy w swojej aureoli podobnie jak i reszta figur są więcej pomnikowe (monumentalne), są odosobnione, bo oddzielone od siebie architekturą własną. Każda z tych postaci staje pod misternym podniebkiem (baldachimem) strojnym, złoceistym, będącym jakby osobną świątynią, ale przezroczystą, przepromienioną niebios jasnym światłem.

Mówiłem o dramatyczności figur tych. Zaiste, choć średnie wieki, jak obaczymy, nie mają właściwego dramatu, toć te na ołtarzu postaci splecione są z sobą, jakby dramatem, odnoszą się nawzajem do siebie, wiążąc się w jedną całość, w jeden zupełny obraz, jak to bywa na dziełach malowanych. Rzekłbyś, że pierwiastek wewnętrzny duchowy poślubił te wszystkie postaci z so-

ba. Tę dramatyczność znajdziesz nie tylko na ołtarzu, ale i na drzwiach jego, ale i na stalach.

Chciój zważyć, że tego wzajemnego powiązania postaci nie znajdziesz w greckiej sztuce, wyjąwszy na ich płaskorzeźbach, lubo i tu nawet splot figur nie jest jeszcze ściśle dokonanym. A posagi, zdobiące otoczniny (fronton) wystaw greckich świątń, nie tak odnoszą się nawzajem do siebie, jak raczej do faktu zewnętrznego, który wprawdzie obchodzi wszystkie te figury, ale przecież nie jest bynajmniej potęgą duchową, zrodzoną w ich wnętrzu (np. w grupie Eginitów, Niobidów i t. p. (\*). Dla tego też prawie każda z tych figur greckich grup ma zawsze niby cechę pomnika, jest jakby całością dla siebie; każda z tych postaci, dumna swoją pięknoscią nadziemską, opiera się sama na sobie. Zważmy jeszcze że taki zbiór postaci greckich, jak nie był ścisłą całością, tak też ma za główny swój cel przyozdobienie architektonicznej przestrzeni, a tém samém jest zniewolony stosować się do miejsca, które właśnie zostało wolne — próżne. On nie istnieje dla siebie.

Przestańmy na tém lekkim wyliczeniu tych kilku cech charakterystycznych; wiem, iżby można jeszcze wiele innych przytoczyć, lecz te, które tutaj przywiodłem, wystarczą zupełnie dla naszego celu. Wytłómaczmy sobie atoli teraz bliżej tych cech znaczenie.

Wyznaj naprzód, że te wszystkie fakta, pochwytane na dorywku i przezemnie tu pośpiesznie nadmienione, byłyby głuchonieme, martwe, gdybyś wypuścił z pamię-

---

(\*) Dramatyczność rzeźby greckiej wykazuje się dopiero w późniejszych czasach, jako w Laokoonie, w grupie wołu farnezyjskiego.

ci, że w tę ucziwą pracę swoją snycerz stary «tehnął nieskończoności dech, że w postaci te wlał tętna wiary bijące w sercu milionów.» To dzieło drewniane jest pacierzem gorącym, rzewnym całego stolecia; uczucia wrzące, kipiące rozsadzały piersi ludu, a mistrz, by ulżyć sercu, zamienił uczucia w dzieło sztuki swojej. Obaczymy tedy jeszcze jaśniej, że te postaci bynajmniej nie są prostém natury kopiowaniem, jako nam się za pierwszym rzutem oka powyżej zdawało. Te cechy były dopiero uchwycone li zmysłami naszemi, duch nasz nie znalazł jeszcze ducha przebywającego w tém dziele.

Anioł Zwiastun— wysłannik Pański, niosąc rodowi naszemu zbawienie, wstąpił do wewnętrznego przybytku człowieka—roztworzyły się przed Zwiastunem niebiańskim bezdenne ludzkiego ducha głębie, a w tych ducha przepaściach drzemał drugi anioł; i przebudził go ze snu anioł-wysłannik, przebudził drzemiącego brata swojego, brata w światłości; a powitał w imieniu wiary i wiekuistego żywota. Przestrzenie duchowe, mroczne, nocne, za przebudzeniem się anioła, rozpromieniły się jasnością. Ludzki ród zadygotał w sobie dreszczem, jak dygocę puszcza ciemna, gdy się ocknie na powiew wschodzącego dnia; bo anioł, przebywający w duchu człowieka, zatęsknił do ojezyny swojej, i ludzki ród westchnął tą tęsknotą nieskończoną; a nieznana rzewność zaplakała mu w duszy, i zaplakała radością i lękiem; mrowie trwogi i miłości przeszło istotę jego; poczucie tajemnicze, dziwne wróżyło o gościu niebiańskim, co przemieszkuje w duchu stworzonym. Stąd też myśl człowieka cofnęła promienie swoje ze zewnętrznego świata, zebrała się sama w sobie jako w ognisku siebie: a

tak dokonany jest nawrót ogromny ku własnej wewnętrznej, nieskończonemu istocie. Człowiek, utonawszy w sobie samym, w swojej treści, wyzwolony jest od potęg doczesnych. Przemówiło wiekuistości słowo, a doczesność przemożona została; śpiewali aniołowie wyzwolenie ludzkiego rodu, i starta jest doczesności potęga, i śmierć jest starta; ona «sama umarła śmiercią.» Gdy tak w człowieku odezwało się poczucie głębin wiekuistości roztwierających się w duszy jego, już wtedy świat cały rodzi się w jego wewnętrznej istocie; ten świat jemu własny jest teraz ogniskiem, do którego on się odnosi, jako do najwyższej bezwzględnej, absolutnej prawdy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłwiałły i są dla człowieka tylko jawidłem marnym, ale co każdy w głębiach swoich przechowuje, to teraz jest prawdą. Ta treść atoli nie jest bynajmniej już rozumowaniem rozwinięta, ale pojawia się dopiero uczuciem.

Ludzkość jest teraz morzem punktów świecących, iskier wiekuistych; każdy człowiek jest taką iskrą, taką jednostką odrębną, co w siebie samego patrzy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłwiałły; teraz mało waży świat ustaw i praw zewnętrznych, nie waży świat zmysłowy, natura. Słowem—nie nie waży, nie nie ma znaczenia, co z zewnątrz przyszło, chyba o tyle, o ile głos wewnętrzny własny osobiste dał temu zewnętrznemu zjawisku uświęcenie i świadectwo. Te światy zewnętrzne stają nawet tylko środkiem, aby człowiek na nich wyraził tę nieskończoność treści swojej; lecz z drugiej strony przepaść, którą się rozdziela ta nieskończoność żyjąca w indywidualności człowieka, w jego wnętrzu, od doczesnego świata, jest tak ogromna, że ta treść

wiekuista nie zdoła nigdy już znaleźć wyrażenia w téj tuteeczności przemijającej.

Przecież, gdy duch eofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznych, gdy sam w sobie pozostał, wtedy mu ekliwo, smętno w téj samotności; nieskończona tęsknota rozbiera mu serce, bo ezuje sprzecznosc w sobie. On umieszczony na ziemi, w dolinach doczesnych, a niebo ojczyzną jego. I znów — obłożony będąc ciałem, otoczony naturą zmysłową, przecież w sobie ma wiekuistości wróżby! Stąd sprzecznosc pełna boleści. Walka i rozdwojenie jest jedną z głównych cech a piętnem romantycznej fantazy; jak to obaczymy jeszcze następnie wyraźniej.

Gdy zaś świat zmysłowy już nie starczy duchowi, gdy nie zdoła być dostatniem ducha wyjawieniem, gdy treść nieskończona, bez granic, zamieszkała w nieśmiertelnej istocie człowieka, już w rodzie ludzkim stanęła prawda przecznieiem, że sztuka, będąca właśnie uwidomieniem, weicleniem ducha, nie zdoła być zupełnym wyrazem jego, że piękność nie jest jeszcze prawdą najwyższą, szezycem szezyców dla najwyższych prawd. Piękność nie wyczerpuje teraz bynajmniej wiekuistego pierwiastku, który mieszka w piersiach człowieka, a jest wzniesionym nad wszystko, co zmysłowe, co widome.

Teraz z jednej strony prawda nieskończona żyje życiem wiary w człowieku, jest pewnością, już daną, już gotową, jest już dokonaną przed wszelkiem dziełem sztuki. Tak też sztuka jest teraz jedynie wypływem pragnienia, które prze i robi w człowieku, aby tę prawdę, już istniejącą i gotową w duchu, wprowadzić w naturę, aby z natury uczynić dzieło sztuki, aby tę prawdę,

o ile to być może, uwidomić w materyi, we formach doczesnych, w jestestwach materyalnych. Z drugiej strony — istnieje natura bezduszna, z której duch wycofnał promienie swoje; jest tedy, jak rzekłem, rozstąpienie się zupełne między wiekuistością a doczesnym fizycznym światem. Zrazu to odstanie jest zupełne, ale zwolna, stopniowo pasuje się i mocuje ludzki ród, aby obie te strony niby zbliżyć do siebie, aby ciężkim trudem zdobyć cały zewnętrzny świat i uczynić go odpowiednim téj prawdzie, która odżywa się w duszy.

Powiesz tu jednak może, że każda fantazyja artystyczna właśnie na tém zależy i tę ma istotę a przeznaczenie, aby uzmysławiała wdzięcznemi formami zewnętrznemi treść duchową; jeżeli tedy u ludów chrześcijańskich treść duchowa tak przerosła wszelką formę zmysłową, że takowa już jój nie wystarczy do uzmysławienia się jój, już tém samym ta fantazyja traci cechę czyniącą ją fantazyją artystyczną.

Oto — zarzut takowy jest mi iście na rękę, bo wyjaśni nam rzecz w zupełności. Uważ, że fantazyja chrześcijańskiego świata ma właśnie to powołanie, aby w formach swoich wyraziła właśnie to górowanie ducha nad formami temi! Uważ dalej, że gdy w samej téj treści duchowej jest niby przeczucie o téj sprzeczności między nią (to jest tą treścią duchową) a formą zewnętrzną, zatem to przeczucie, ta wiedza o téj sprzeczności sama już należy do téj treści i stanowi jój piętno, a tém samym fantazyja chrześcijańska, wyrażając we formach zewnętrznych, w dziełach sztuki, tę sprzeczność, już wyraża i główną istotę téj treści duchowej, wyraża główną jój cechę. Widzisz tedy, że i ta fantazyja romanty-

ezna odpowiada warunkom każdój prawdziwej fantazyi. W liście późniejszym, dokładniej jeszcze ten przedmiot rozbierając, wykazę zarazem, że już sama osnowa, która się nastreczy fantazyi romantycznój, będzie właśnie środkiem wyświeccenia téj sprzeczności powyżej wspomnianej, jako piętna, które jest jej cechą charakterystyczną.

Z tego zaś wszystkiego, co się rzekło, znać, że jak z jednej strony ta sprzeczność między prawdą wiekuistą a formami zewnętrznymi będzie się wyrażała już w tych formach stworzonych przez fantazyą romantyczną, tak z drugiej strony historia silenia się ducha, aby nieskończoność treści swojej wyjawił w tych formach, a zatem aby zniósł ową sprzeczność będzie stanowiła zarazem i historią fantazyi u ludów chrześcijańskich.

Téj pracy a mocowaniu się towarzyszy przecież jakby na pół zrozumiana a tajemnicza wróżba, że ziszczenie się zupełne tego pragnienia jest niepodobne, że wyrażenie się prawd wiekuistych ma miejsce właśnie dopiero po za granicą widomego świata, po za koniecznymi rzeczy materialnych. Stąd (jak ktoś z estetyków rzekł) «nieskończona tęsknota, jakiś żal słodki, miękki, uczuciowy, brzmi jakby tonem elegii w całej sztuce średnich wieków i dolatuje odgłosem rzewnym aż do naszych czasów. Bo piękność pracuje i pasuje się nad zadaniem, którego nigdy w zupełności nie dokona; i stąd jej żal i tęsknota rzewna, stąd w sztuce romantycznój ta sentymentalność» w najzacniejszym znaczeniu swoim. Podobne zjawisko rozpoczyna się i w innych sferach w sferach czysto ziemskich. W świecie chrześcijańskim człowiek daremnie się męczy i biedzi, aby w rzeczywistość wprowadził ideały rozkwitłe w duchu jego.



Inaczej się działo w sztuce klasycznej, zwłaszcza u Greków. Tutaj nie było jeszcze prawdy danej, gotowej, łaską użyczonej, a duch ludzki o tyle się dopiero rozwinał z pączka, iż mógł jeszcze być w zupełności wyrażony w świecie zmysłowym. Człowiek wewnętrzny a zewnętrzny świat równoważyły się harmonią (obacz List XX i nast.) Duch Grecyi nie zerwał jeszcze z naturą. On tedy, jej zaślubiony kochanek, w niej siebie widział, cały siebie jej oddał, nie dla siebie nie zostawując. Tutaj przeto cały duch Hellady świeci i goreje w tych posągach marmurowych, one są w nim, on jest w nich. Piękność była bóstwem Hellady, ich religia była religią piękności. Grecya nie miała prawd wiekuistych gotowych, danych; dla tego też duch jej, uzmysławiając się w świecie przyrodzonym, stopniowo sam poznawał siebie, sam dopiero dochodził do obaczenia siebie w dziele piękności; on ujrzał bogów swoich w formie idealnej piękności, jako wyszły z rąk areymistrzów swoich. Grecya, pracując około piękności dzieł, dopiero się dorabiała wiedzy o nieskończoności ducha, a dosługiwała się tej wiedzy o tyle tylko, o ile ta nieskończoność może mieć wyśłowienie swoje w dziele sztuki, o ile zdoła być poznana w formach doczesnych. A gdy Grecyi już nie stareżyły te formy piękności zewnętrznej, wtedy ona umarła.

Ten nawrót do siebie ludzkości chrześcijańskiej nie był nigdy dokonany w świecie starożytnym w całej prawdzie. Grecya, Rzym, jakieśmy widzieli, przy skonaniu swoim zerwały wprawdzie z rzeczywistością, człowiek i tu zebrał się w sobie samym; ale to zebranie było dopiero jedynie skutkiem niezadowolnienia ze swia-

ta i uznania jego doczesności; było to stuleniem się ducha w sobie i niby ucieczką ze świata zewnętrznego, dumą zacną, uznaniem własnej godności, rozpaczą nad światem, w obec rzeczywistości rakiem stoezonej. U tych ludów starożytnych atoli takowe stulenie się w sobie, ta ucieczka do własnego duchowego przybytku, nie były jeszcze wpływem rozstąpienia się na oścież głębin duchowych i przekonania o wiekuistości tętniącej w sercu człowieka. Ta wiekuistość a Boża prawda, bijąca jasnym płomieniem w duszy naszej, zrodziła się dopiero z Wiary Zbawiciela. Człowiek w świecie starożytnym tonąc w sobie znalazł w ognisku swoim dopiero zasady ludzkie, uczucia osobiste, ziemskie, albo w najsześliwszym razie jakieś proroctwa, wyrocznie, jakieś Sybille na poły zrozumiane, przemawiające jeszcze do niego jakby mową sfinxową.

Skreśliliśmy sobie przeto, lubo zlekka, charakterystykę tej nowej epoki świata i tej fantazyi romantycznej. Wszystkie przez nas przywiedzione powyżej cechy rozwiniemy sobie jeszcze bliżej za kilkakrotnym nawrotem. Chciiej atoli zważyć, że te znamiona są właśnie tłem ogólnem dla artystycznej fantazyi wszystkich ludów chrześcijańskich i do dziś dnia podwaliną prawie powszechną ich sztuki, choć różne ludy te i różne czasy ich rozwoju odznaczają się znowu różnym odcieniem tej głównej a spólnej im wszystkim barwy.

Obaczmy przeto dokładniej jeszcze i w szczególności, jako wieki średnie stosują po swojemu ten ogólny charakter do dzieł sztuki swojej. Ołtarz Wita Stwosza będzie w tej mierze wystarczającym dla nas wzorem i przykładem. Proszę atoli byś miał się na baczności i

pamiętał, że z tego, com dopiero powiedział, wypływa, że cechy, które w nim obaczymy a tém samém i wnioskowi, które z nich wyprowadzimy, będą koniecznie dwójakiego rodzaju; bo jedne wynikają wprost z tego ogólnego piętna fantazyi chrześcijańskich ludów, a drugie rodzą się znów z właściwej istoty wieków średnich. Dalszy ciąg naszych rozpraw wystarczy zupełnie do rozróżnienia tych dwójakiego rodzaju cech.

Gdy człowiek uznał wiekuiste znaczenie swoje, gdy sam spuścił się nurkiem we własną istotę podsluchując pieśni przebudzonego w nim anioła światłości, wtedy też, jakem rzekł wyżej, wycofnał ducha swojego z natury. Ta natura i jej wesela, tętnące ziemską radością, przygasły, obumarły; przyroda zubożyła w jego oczach, ona raczej stała się teraz jakoby pokusnym wrogiem, mącącem hymny niebiańskie, które duch nieśmiertelny śpiewał na cześć Panu.

Tak przeto fantazyja średnio-wiekowa nie tykała się niby zmysłowego świata, zostawiła go jakim był sam z siebie, nie rozpromieniając w nim piękności nadziemskiej. Rozumiemy tedy ów naturalizm Stwosza, pojmujemy dla czego te figury na pierwszy rzut oka zdają się być prawie naśladowaniem natury; mistrz w nich prawie zostawił naturę jaką była przez się i przeniósł w dziedzinę sztuki te indywidualności rysów, przypominające niejako wizerunki osób, które mu stały za model. Zważ nadto, iż gdyby mistrz był uczynił z figur swoich piękność najwyższą w greckim znaczeniu, już tém samém byłby je przeistoczył na piękność abstrakcyjną, niemającą już téj silnej, wybitnej indywidualności. A przecież właśnie człowiek indywidualny, pojedynczy,

nabrał w chrześcijaństwie nieskończonego wiekuistego znaczenia, bo on właśnie jest okupiony niebiańskim, nieskończonym okupem; tutaj chodzi o wszystkich ludzi pojedynczych a bynajmniej nie o samą jedną abstrakcyą ogólną ludzkiego rodu.

Widzisz następnie, że gdy tutaj celem głównym jest duchowa istota człowieka, a takowa wyraża się najpotężniej w obliczu jego, jako w widomej jęj stolicy, stąd też u figur Stwoszowych fizyognomie, twarze, są wyrobione z najwyższą staranną miłością; one są ogniskiem jego sztuki i pracy artystycznej. Po rysach twarzy tych przelatuje echem wewnętrzną mowa duchowa. Wspomniałem już powyżej, że te posagi greekie, mimo najwyższej piękności swojej, najeżęścięj nie mają źrenicy — one mają światło zewnątrz siebie, ale nie w sobie; tutaj w sztuce chrześcijańskiej rozwarła się źrenica, zdjęta już jest katarakta duchowa — te oblicza patrzą, widzą, bo w nich jest duch, we wnętrzu ich istoty jest światłość, która jaśniejąc sama świeci i oświeca. Zważ — te twarze to są portrety, w nich silnie wybita indywidualność. Widziałeś, że gdy w chrześcijaństwie każdy pojedynczy człowiek nabiera wiekuistego znaczenia, a więc też ta sztuka dąży ku temu, aby tę indywidualność jak najdobitniej wyrazić; ku temu celowi zmierza nawet i malowanie tych figur, wykonane z najściślejszą bacznością.

Widzisz, na wysokięj a śmialej tęczy naszego Maryackiego kościoła unosi się Zbawiciel ukrzyżowany; sama postać Jego i oblicze, lubo bywają tak odmienne w różnych wiekach i przez różnych mistrzów przedstawione, są przecież w głównych indywidualnych zary-

sach zawsze do siebie podobne, mają zawsze jedno i to samo główne piętno swoje. Bo Syn Boży zaprawdę dokonał dzieła nieskończonój miłości, zaprawdę zstąpił z Nieba na doczesności doliny, stał się człowiekiem,—jednym pojedynczym, indywidualnym człowiekiem—i umarł na świecie za świat; i odkupił z miłości ludzki ród, każdego pojedynczego człowieka.

Wracajmy atoli do pracy naszego Stwosza. Gdy te postaci jego wpływają do uczuć widza, potraćając najeichsze nawet struny duszy,—gdy i dygocą i grają te nieśmiertelności struny, jako tony arfy eolskiej, skoro na nie wionie od obłoków wianie, znać przeto, że te formy tych figur, choć na pozór z rzeczywistości wzięte, nie są bynajmniej istic wiernymi kopiami natury. Ten pozór ścisłych wizerunków, ta indywidualność ma jeszcze znaczenie głębokie, znaczenie spólne całej sztuce chrześcijańskiej. Tutaj dopiero wiekuistość istotnie zstępuje z wysokości niebios na doczesności doliny, przybiera na siebie postać ziemską, by pośredniczyć między niebem a ziemią; i toć jest sprawą miłości niebiańskiej. Każda miłość jest widzeniem siebie w drugim, jest przeistoczeniem siebie w przedmiot ukochany; stąd też miłość mądrości podobna, bo i mądrość widzi i poznaje w drugim własne myśli swoje. Miłość niebiańska, nieskończona, będąca też najwyższą mądrością, zrzeka się wiekuistój ojcowizny swojej; przeistaczając się w postać doczesną poświęca się z miłości. Gdy niebo na ziemię zstępuje, ziemia ku niebu się zbliża. Niebo rozwiera się ludzkiemu rodowi. Wysłannik Boży budzi niebian w sercu człowieka, budzi je z miłości nieskończonój.

Zaiste, człowiek nie dotrzymałby widoku wiekuistej prawdy, gdyby mu się zjawiała w jej właściwej promienistej postaci, lecz gdy ją obaczy odzianą w cielesność rzeczywistego człowieka, z całą indywidualnością, ze wszystkimi cechami tutecznych bólów i doczesnego pasowania się z żywotem i ze światem—już wtedy biedny mieszkaniec ziemi nie spłoszy się lekkim, poufali się z wysłannikiem Bożym, który mu się zdaje, jako jeden z ludzi śmiertelnych;—więc zwabiony niebiańskim oczynieniem słyszy jakby wołające na niego głosy, co utonęły gdzieś w dawniej—w dawniej bardzo przeszłości, lubiej, świętej. Coraz bliżej atoli nęci go wiekuistość i ku sobie pociąga miłością. Bliżej, choć jeszcze z sereem nieśmiałym przystępuje do niej człowiek,—ono dziecię boleści i cierpień,—bo on sierotą na ziemi! bo jemu tak tęskno, tak ciężko w duszy iżby rad wyżalić, wypłakać z siebie te biedy i te smutki swoje; a im bliżej się przysunie do wiekuistości, tém ona potężniej pociąga go do siebie i nęci go i wabi uśmiechem niewypowiedzianej lubości i tajemniczego uroku, aż go obejmie miłością swoją i niebiańskim kochaniem przytuli do łona, a człowiek, ono boleści dziecię a ziemski sierota, sam staje się wiekuistości synem, żyje życiem niebiańskim, nieskończonym. Przecież właśnie dla tego, że samo niebo odziało się postacią rzeczywistego, osobnego człowieka, że właśnie człowiek pojedynczy nabrał nieskończonego znaczenia, stąd też i człowiek, stając się wiekuistości synem, nie traci siebie;—nie traci osobności swojej osoby, żyjąc życiem niebiańskim, nieskończonym.

Wszak nie raz ci się przyśniła twoja matka zmar-

ła? widywałeś ją we śnie, jakby żywą była, choć odziana jakoby niebiańską poświatą; ona ci niosła radę i moc, wytrwanie i przestrogi. Powiedz mi, czyli nie przenikało duszę twoją przeczucie, że to są anioły niebiańskie przebrane w postać lubą, drogą zmarłej matki twojej?

Za prawdę takie są cuda miłości niebiańskiej, a miłość najwyższa najwyższém jest poświęceniem.

Małoż to wieści z tych stóleciów dawnych o miłości cudach! Posłuchaj jednej z nich; ona zaiste tkliwa, rzewna jakby słowicza pieśń, przywiana z dalekich mrocznych ducha twojego gajów, kędy rodziły się przeczucia święte młodości twojej.

Słuchaj!— Przed staremi laty, na urwistej hardziej skale urósł siwy, dumny gród; on wieżycą sięgał w przelotnych obłoków walki i patrzył na fale rzeki, co w głębi na wyścigi śpieszyły w daleką nieznaną dal. W zamku żył rycerz młody. On dumaniem sięgał nad obłoki, co płyną po jasnych niebios błękitach, a duszą tęsknił w daleką dal. Dumał i tęsknił, bo ze Wschodu, od Syonu, dolatywał głos o hufcach zbrojnych, co ciągną do grobu Chrystusa; głos o walkach w Świętej Ziemi, kędy Zbawiciel zbawił świat: ale rycerza młodego trzyma w oczynieniu do małżonki miłość, bo jej serce czystsze niż przeczystej rzeki fale. Przecież, jak grzmot daleki, od Wschodu, od Syonu potężniej i potężniej dolatywał głos o hufcach, o walkach za Świętą Ziemię!

Poszedł za wołaniem głosu rycerz młody.

Mijały wiosny o krzewach i drzewach kwitnących, o lesnych skrzydlatych śpiewakach; a krzewy i drzewa

w jesieni listkiem po listku płaciły za wiosenne kwiaty swoje; a lesne śpiewaki mileżeniem umarłym płaciły za wiosenne pieśni i kochania swoje. Zima nocna objęła świat. I Pani na zamku samotna,—serce jój zaszło zimą nocną, a z liców spadły róże kwitnące; ona smętkiem w duszy płaciła za kwiaty, za pieśni weselne, za kochania młodego życia. Wracały wiosny, a z nimi wracały liście i kwiaty, pieśni i kochania skrzydlatych śpiewaków. Leez w serce głuche młodej małżonki nie wróciły więcéj śpiewne wesela, ani ziemskiej miłości rokosze; nie roskwitły już nigdy jój róże na licach, nie zeszła już z duszy nocna zima mroźna, bo nie wrócił już nigdy z Świętój Ziemi serea jój kochanek. Ona zaślubiona na zawsze wdowieństwu; samotnéj tęsknocie zaślubiona na zawsze.

Ale chociaż w sereu nie zakwitły już nigdy ziemskie miłości, ani dusza światowém kochaniem, przecież serce zapłonęło inną miłością, bo zapłonęło niebiańskiem wiary uczuciem. Wiész—choć zima zalegnie kraj, choć pora nieużyta mrozem ściśnie przyrody ochotne wesela, choć skamienieje lodem życie młode, i pulsa natury zewnętrznej bić przestają, przecież ta Ziemia nasza ma własne ciepło swoje. W głębinach planety goreją ognie; one rzadko tylko buchną słupem złowrogim, płomiennym rozrywając piersi wulkanów; ale wicznie grzeją, wicznie płoną w sereu planety. Im głębiéj więcéj zapuścisz się szybem górniczym w jój oteblanie, tém gorętsze jój ukryte tajniki. Te ognie bronią ziemską kulicę by zewnętrzne chłody zimowe nie przestudziły jój serea, by jój wskrós nie przejęły mrozy. Podobnie bywa i z ludzkim sereem. Mniejsza o mrozy świato-



we, mniejsza o chłody, mniejsza o mrozy co od życia, co od ludzi, od pory przemiennej zimowej na uczucia twoje wieją; jeśli te uczucia twoje głębokie, nie wygaśnie w nich ciepło; uczucia tylko z wierzchu skrzepną, lecz w piersi głębinach tętnieją zdrojem wiecznie wrzące uczucia, a ognie święte ciągle płonące bronić będą serce, by nie przeszły go wskrós mrozy. Tak się stało z pobożną w zamku niewiastą; choć serce jej z wierzchu zabiegło ziemskich uciech zimą, Bóg w głębiach jej zachował źródło ciepły, ognie płonące chrześcijańskiej miłości, co zbudziły inne wesela, inne nieskończone pociechy. Jakby aniołów posłannica, zjawiała się po chatach niskich niosąc pocieszenie strapionym i chleb zgłodniałym; ona była już matką sierotom opuszczonym przez ludzi. Kędy postąpiła, z pod jej stop ustroiła się w róże wdzięczne ścieżka łzawa ziemskiego żywota; gdy się dotknęła cierniów doczesnego świata, ciernie zakwitły wonią i barwą a boleści radosnym ukojeniem; więc ją też czeił w koło lud biedny, jako Świętą, jako Boże kochanie.

Raz wieczorem,—gdy zima miała ustąpić wiosnie młodej panowania nad przyrodą, a świat czekał jedynie skowronków pobudki, jakby porannego dzwonka, co wzywa do życia i rozkoszy śpiącą snem naturę—Pani przechadzała się w mroku po obejściu zamkowym, rozmyślając o Bogu na niebie, a biednych ludziach na ziemi. Zrazu, zdziwiona w sercu swoim stanęła, bo zobaczyła krzew cierniowy okryty bielą jasną, co świeciła wśród mrocznego wieczora. Czyli to jeszcze zimy pożegnanie śnieżne? czyli to już wiosny kwieciste powitanie?—I przystąpiła bliżej Pani; o radości! ciernie

bezlistne, ostre, suche, obsypane, jakby gwiazdkami, rokosznym kwiatków rodem. Uszczknęła gałązkę, by nią ustroić obraz Boga-Rodzicy, który chowała z miłością w komnacie, puścizną po dziadach pobożnych. I uwieńczyła obraz w komnacie, jako cierniem doczesnego trudu, rozkwitłym wiekuistości kwiatkami, i ślubila sobie w duszy, że z każdym wieczorem świeżą gałązką uwieńczy Pannę Przenajświętszą.

Wróciła przeto nazajutrz wśród zmierzchu zachodzącego wieczora, ale lęki przeszły jęj duszę; krzewy cierniowe były jakąś promienną jasnością; zdawało się że goreje poświatą wdzięczna ciżba kwiatów!— Skąd kwiatom te jasne promienie, czyli to robaczków świecenie błyszczące, czyli może rozbojników utajone czaty! Trwoga przejęła duszę niewiasty, lecz pomna swoich ślubów, drżąc, z wejrzeniem spuszczone, zatrzymując tchy zbliża się do krzewów i dygotną ręką uszczknęła gałązkę i zaniósła na wieniec ofierny Boga-Rodzicy. Noc przeszła jęj na dumaniu i myślach, bo w niej robi i nie daje pokoju pragnienie, by rozwiązać tajemnice onęj dziwnęj promiennęj poświaty. Gdy przeto znowu nazajutrz dzień z Nieba spłynął, a nocne namioty rozpinały się nad ziemią, nad zamkiem, opuszcza Pani ciche samotne komnaty swoje, z nią sługa siwy, powiernik jęj stary, i kapelan, wierny sługa boży. I widzą, jak wśród wieczornych cieniów goreje krzew jasną poświatą, a jaśniej i jaśniej rozgorzał światłością. Ukłękło grono śpiewając hymny na cześć Pami. Przystępuje kapłan do świecących cierni, dłonią drżącą roztula gałązki kwieciste, świecące,— a wśród krzewów i kwiatów promieni się blaskiem niebiań-

skich jasności wizerunek Panny Przenajświętszej. »Bądź pozdrowiona Maryo! łaskiś pełna!« zawołał kapłan,— a wszystko troje, z sercem rozebraném radośną trwogą, zaśpiewali litanię na cześć Matki Boskiej; jakby w uczuciu niewymównego szczęścia; a tkliwiej i rzewniej brzmiały pieśni serdeczne, mocniej a świetniej jaśniał wizerunek święty Matki-Dziewicy. Obraz pełen prostoty, z drzewa rzeźbiony, pomalowany farbami, on to był onych jasności stokiem, on to promienił poświatą w cierniowych krzewach kwiecistych, on i teraz promienił weselem nieskończoném w sercu tych trójga ludzi. I zaniósł kapłan obraz cudowny do zamkowej świetlicy; za nim idąc Pani i sługa stary śpiewali koronki.

W świetlicy, w niży postawili obraz; ustroili go w kosztowne lichtarze i bogate sprzęty; noc całą przemodliło to zaene grono, a rzewne, serdeczne składali dzięki za łaskę tak wielką, że królowa niebios wstąpiła za progi doczesnego ich domu. Nazajutrz gromadzą się znów na modlitwę przed wizerunkiem świętym. Aleć, jakież był przestrah i gorący żal ich duszy, gdy nie obaczyli więcéj Boga-Rodziey; ona znikła z niży bogatěj, strojněj! Daremnie przenikają najskrytsze tajniki swojego serca, pytając czyli może jakieś uczucie światowe, jakaś myśl doczesna nie wplotła się w ich pobożność i nie skaziła modlitw i pieśni świętych! Pani atoli, wiedzona wewnętrzną tajemniczą wróżbą, poszła nawiedzić krzewy cierniowe, a dreszeze rokoszy nieskończonej przejęły jěj serce, gdy już zdala spostrzegła krzewy w powodzi jasności, a wśród kwiatów i gałązek promieniejący obraz Panny Maryi! »Niechaj się stanie wola twoja święta! Na tém miejscu niechaj się

wzniesie twój przybytek wybrany i dom!« zawołała niewiasta. Wkrótce też na miejscu cierniów zbudowany jest kościół, budowników cudo,— wspaniały i świetny darami całego kraju w koło; zdobny w rzeźbione na kamieniu konary i gałązki gotyckie, a poświęcony »Przenajświętszej Pannie w cierniach kwitnących.« Nie zadługo też stary rycerski gród ustąpił miejsca grodowi wiary, bo na podwalinach jego wzniósł się okazały klasztor dla niewiast pobożnych, które, cofnąwszy promienie ducha swojego z zewnętrznego świata, odwróciły się od uciesh doczesnych, co ulatują jako sen, jako rosy ranniej kropelka na liście drżącym, gdy ją wysie skwar pod życia południe. Pani starego zamku, ulegając próżbom i czei powszechniej, stała się pierwszą tego zgromadzenia matką. I przewodziła domowi, aż Cherubiny Pańskie śpiewem niebiańskim nie ukołysały jej bożym snem i nie przeniosły w one światy, kędy w nieskończonej jasności roztulają się już bez cierni kwiaty wiekuiste.

Spłynęło światem stolecie jedno i drugie, a w ustach ludu żyła dziedzictwem pamięć o cudowném powstaniu świątnicy i o Pani pobożnej. Zawsze i zawsze w klasztorze tak już bywało, że jedna z dziewięć z jej rodziny była ksienią kaplicy onego cudownego wizerunku Panny Przenajświętszej. Stało się tedy, iż jednego razu wybraną była na ksienią Bożenna młoda, wdzięcznej urody dziewczica. Jej duszy nie zawiąły klamliwe tehy światowe, jej uczucie nie doleciała wieść o grzechu doczesności ziemskiej. Jej serce przeczyste jak lilia śnieżna było mieszkaniem aniołów, co jej przynosiły wieść o królowej nieba i ziemi, i znów pa-

cierzem, z westchnieniem gorącej, pobożnej miłości dziewicy wracały do nieba, niosąc jej pacierze, westchnienia w ofierze Maryi Pannie, co się świeci w wysokościach nadgwiazdnych. Bo też najwyższem kochaniem dziewicy, najrzewniejszą jej serea tęsknotą była miłość ku Świętej Pannie, oniej lilii niebiańskiej, której poświęciła młody swój żywot i wszystkie tchy duszy swojej. Całą treść serea wylewała przed tym wizerunkiem, składając mu łzy radości w ofierze, niby perły kosztowne. Co wieczór, co rano, odwiedzając kaplicę cudowną, świeżym zwojem kwiatów stroiła przybytek Panny Przenajświętszej; co dzień rozwiewny dymek kadzidel wonnych lekkim obłoczkiem oteczył obraz, a przez obłoczek świeciły, jakby gwiazdki, lampy błyszczące jej ręką rozświetlone. Więc jej się zdało, że razem z królową niebios uniosła się już po nad obłoków i gwiazd krainy. Jak motylek w rajskich ogrodach przelatuje z kwiatów na kwiaty, tak jej przelatywało życie po niewinnych uciechach, w niezamąconym nigdy serea pokoju.

Otóż, zdarzyło się, iż pewnego razu ehlopek przyniósł wieść straszliwą, jako nieznany rycerz młody, ciężko od rozbojników ranny, zemdlony, z ostatkiem życia przyniesiony był do ehatki poblizkiej. Niewiasty świątobliwe były słynne po przez kraj cały znajomością leków, a nad wszystkie już celowała przezeuciem szczęśliwem Bożenna młoda; ona też przeznaczona została na opatrność ziemską konającemu młodzieńcowi. Z sercem ufności pełnem w moc leków, a z wyższą ufnością w pomoc Bożą, młoda służebnica Przenajświętszej Panny zwróciła staranne troski swoje

by wskrzesić umarłe życie w rycerzu nieznajomym. Waleczyła dnem i nocą, by przemodlić ohydne śmierci straszdydło, stojące przy łożu boleści jego. Co rano oddawszy swojej niebiańskiej Pani czesne służby swoje i pokłon serca, splotami kwiatów umaiwszy świetlice Królowej świętej, śpiesznie wracała do chatki nizkiej.

Jak po długiej zimie kłują się ledwie dostrzeżone okiem trawki młode, wywołane wiosennego słońca spójrzeniem, tak u młodzieńca, pod spójrzeniem jasnym dziewczęcy, wykluwały się pierwsze nadzieje znowu wracających sił; — lecz te nadzieje młode drżały, dygotały lękiem, by powrót mroźnych powiewów nie ścisnął skonem dopiero co rodzących się zdrowia oznak. Rzecznie, z duszą pełną gorącej wdzięczności modliła się swojej Pani dziewica; w radości jej serca zdało się, że jeszcze wdzięczniejsze kwiatów zwoje, że wonniejsze kadzideł obłoczki, że świetniej jeszcze jaśnieją lamp srebrnych gwiazdki błyszczące.

Dzień po dniu Bożenna witała wróżby bliższego a bliższego wyzdrowienia w wojowniku młodym. Spójrzenie jego już niekiedy błysnęło jakby słońcem myśli; w sercu, jakby ptaszków wiosennych tęskne śpiewy, odzywały się uczucia za światem, za życiem, a purpury Wschodu z lekka już ochuchały lica jego.

Rzecznie, z duszą pełną gorącej wdzięczności modliła się swojej Pani dziewica i stroiła radością przybytek Jój i dom. Ale, do modlitw, do pacierzów i pieśni pobożnych wglądały jakieś dziwne, jakieś niewymowne uczucia, jakieś zgrozy a uciechy zagadkowe. Ciężko jej było na sercu i łzawo, — serce zadygotało, bo głosy łube, słodkie, rokoszne, a przecież obec, trwo-

zące wznosiły się z głębin nieznanych jój duszy; to straszyły, to nęciły z kolei, a pieszcząc i grożąc przechodziły mrowiem jój istotę. Jak gołębica spłoszona, tuliła się myślą do Boga-Rodzicy, pragnęła wypłakać strachy i lęki ze sereca swojego, lecz przez lzy widziała postać Panny Przenajświętszej jakby za mglistą, ciężką oponą.

Biada niewinnej dziewicy!—jeszcze trwały powinności jój nałożone,—jeszcze i jeszcze zniewolona była wracać do chatki młodzieńca, a one niepokoje, one nętne, pieszczące, słodko-śpiewne głosy moeniżej a moeniżej brzmiały w piersiach jój! Jakieś postaci łube, z przymlajającym się uśmiechem, lekkie i urocze niekiedy otaczały ją tańcem hożym, wabiąc i pieszcząc piosenką dźwięczną. Te atoli postaci z innego pochodziły świata, ich uśmiech, to nie uśmiech niewinności rajskiej;—te piosenki, to nie pieśni śpiewane na cześć lilii niebiańskiej. Każdego wieczora, gdy, miotana niewypowiedzianym uczuciem, opuszczała chatę, zmierzając do zaciszny klasztoru, jeden z owych aniołków, co przemieszkowali w jój serecu, ulatywał do Nieba, a co który uleciał, już więcej z Nieba nie wracał do Bożenney biednej. Rzucała się krzyżem u stop ołtarza w cichej samotności świętego przybytku, i modliła się i płakała, i drżącą ręką opatrywała w kwieciste wieńce i rozświecłała kagańców płomienie; ale kwiaty, jakby chore, pochylały swoje główki wdzięczne, a płomyki lamp srebrnych mrugały smętnie i gasły. Oblicze Najświętszej Maryi tak teraz bolesne i poważne! i wnet też opona łzawa zakrywała ją przed dziewicę spójrzeniem.

Blżej, blżej otoczyła Bożennę siatka potęg zdra-dnych, siatka z róż ziemskich spleciona, i liczniej a

liczniej gromadził się orszak moey czarodziejskich, wezwanych wrogą sztuką złego młodzieńca. Zawrotnym wirem one postaci i widziadła hasały około biędnej dziewczey, a słodsze a wdzięczniejsze były pieszczoty ich pieśni. Już aniołki, w jój sereu żyjące, po jednemu uleciały na wysokości, i już nie wrócił z nieba żaden z nich. Jeden tylko aniołek pozostał w sereu Bożenny, sam jeden, samotny; tym aniołkiem była—miłość jój dla Maryi Świętej!

Pewnego późnego wieczora Bożenna blada, drżąca, ze spuszczoneym wzrokiem, o chwiejącej stopie wchodzi do kaplicy i padła krzyżem przed Boga-Rodzicą. Tyś mnie opuściła, o Maryo! zawołała ze łkaniem boleści, już ja nie dotknę się tych kwiatów nieskalanych, tych sprzętów świętych, jam już nie godna, bym była służebnicą twoją, już ja więcej tobie służyć nie będę! Przyjmij, o Matko Bolesna, łzy moje gorące, świadki mojej żalości serdecznej i katuszy.—I opuściła kaplicę i klasztor cichy, młodych czystych roskoszy raj.

Przeszła noc, uleciał dzień, jeden, drugi i trzeci, a Bożenna stanęła wraz ze zdradnym młodzieńcem na ojezystej jego ziemi. Tu zabrzmiały w koło niej ziemskie uieechy; tu zapieniła się odurzająca czara światowych roskoszy. Szał zabaw lueznych, szumnych unosił jakby wichrem niewiastę młodą, a roje młodzieży wytworniej, gładkiej, o duszy zepsuciem stoczonej, składały służby swoje jój wdziękom cudownym, otaczając ją dworem świecistym, złocistym; zewsząd słówka jedwabne, zwody sehlebne, mowy słodkie opajały jój myśl. Obsypana darami, strojem wykwiutnym, cackiem klejnotów, porwana dziką, zapustną zmysłów ochotą i



rozhasanych namiętności wirem, nie zdolna była upamiętać się w bezdeniach zamętu. Przecież, gdy choć na chwilę przebrzmiały czarnoksiężskie oczynienia, gdy się obaczyła sama z sobą, wtedy jakby od dziecięcia wymarzone obrazy senne o klasztorze, o kaplicy, o Najświętszej Pannie Cudownej snuły się przed oczyma jej duszy i pokazywały jej wrota zamknięte utraconych na zawsze rajskich ogrodów. W tych chwilach ichych żalność bez granic zabiegła jej serce, rzewność pełna palących niewymownych uczuć rozbierała jej duszę;— wtedy ona dobywała szkaplerza z wizerunkiem »Maryi w eierniach kwitnących« i tonęła nabożeństwem w tym obrazie przeezystym, bo szkaplerz i wizerunek święty były zawsze jeszcze najdroższym klejnotem uniesionym z czasów dawnych, tak szczęsnych, błogich i niewinnych. Wszakże nie śmiała dotknąć się skalanemi usty świętego obrazu, tylko łzy kipiące żarem boleści padały na szkaplerz, na obraz; a aniołek samotny, co sam jeden pozostał w sercu Bożenny, uśmiechał się radością niebiańską.

W rymle atoli, gdy samotność ustępowała wrzawie ochotnej, błyszczałej, znów zabawy, festyny huczne, strojne, znów opojenie światowe zalały powodnią serce niewiasty biednej, i uchwyciły prądem gwałtownym i zanosły daleko, daleko jej umysł od wspomnień drogich. Tak kilka lat przesunęło wśród hucznych mamideł, świetności ponętnych, wśród wrzaw burzliwych i opojenia rozkoszy zmysłowej, gdy ów młodzieniec, zdradny zwodźca, opuścił kochanie swoje.

Bożenna stanęła sama jedna na szerokim złym świecie. W koło niej rozstawione na czatach demony

grzechu, co wiecznie czujne, wiecznie stroją zasadzki nieopatrznemu sereu, które choć raz jeden powierzyło się ich kłamstwu pokusnym. Nieszczęsna niewiasta opuszczona, ujęta w matnię własnej swojej piękności czarownej, parta podstępem, zdradą i mocą nawyknienia, odurzona światem, zstępowała na coraz niższe szczeble sromu i straszliwego poniżenia. Silniej a silniej osiadały ją demoniczne potęgi, a w końcu pograżyły w trzęsawiska, z których świat nie zna wybawienia; do poniżeń i sromu przyłączyły się niedostatek i nędza sroga. Szaty wykwiłtne, stroje kosztowne, klejnoty błyszczące już od wielu lat rozplynęły; choroba nienbłagana, widmo śmierci głodowej zazierały w oczy,—to jedyne już jej towarzysze przez resztki życia. Żebraćka o prośalnym chlebie, o siłach zwątlonych i postaci chwiejącej, jakby żywe wyszydzenie dawnych uciech, włókła drżące stopy swoje, błagając ratunku. Często u wrót zamkniętych, nieużytych, padała ze czczości;—wtedy koleje przeszłe i przyszłość, świat cały, zakręciły się hasem kołowrotnym, dzikim; bezuzdnym pędem przemykały się demony chichotne. Długi szereg lat, długi jak wieczność, upłynął w tém powolném, powolném konaniu. Lecz przez ten długi szereg lat nie ustępował z jej piersi szkaplerz z wizerunkiem Panny Maryi, »w cierniach kwitnących.«

Na ustroniach samotnych, umarłych, kędy nie dochodziły wrzawy uliczne, dobywała szkaplerza swojego i z zeszklonemi oczyma zapadała sereem w niegdyś niebiańskie kochanie swoje. Wszakże już łzy palące, gorące nie padały na obraz święty, bo już łez nie stało, one wszystkie już wypłakane; w sereu atoli mie-

szał jeszcze ten aniołek miłości ku Maryi Świętej; choć samotny, choć sam jeden ze wszystkich bracizków swoich, które już dawno do nieba uleciały, on jedyny, samotny kwiateczek niebiański pozostał na cierniach żywota Bożennego.

Jakby długa noc, wlokło się wolne konanie nieszczęśliwej niewiasty; jakby noc boleści nieprzeplakana, nieprzeżyta, trwały katusze nędzy i cierpienie bez granic. Wsparta na kij, w męczarniach czyseowych szła od wsi do wsi, od miasta do miasta, z kraju do kraju, szukając miejsca, kędyby mogła już spocząć na wieki; lecz nigdzie, nigdzie nie mogła znaleźć grobu dla siebie.

Pewnego razu zapadły ją ciemności wieczorne, ponure, bezgwiazdne, mroźne jak jej życie; w koło zamieci śnieżne, wichry lodowe; w koło pusto, głucho—jęki zimowe same hulają po umarłej naturze. Żebračka mdlejąca żrenice topiła w ciemnicy wieczornej. Zewsząd pustkowie przyrody bezludne; zdala tylko na rąbku widnokładu mrugało światelko. Czyli to może już ostatnia gwiazdka przewodnia na drodze pielgrzymki doczesnej? Czyli to kaganiec, co mrugał ze samotnego domku? Ku światelku zmierza chodem omdłym, ociężałym, płacąc poruszenie każde ostatkiem opuszczających sił. Wątpienie padło na jej serce, czyli zdoła dosięgnąć jeszcze migocącego płomyka, azali może nie przyjdzie na samotnym polu umrzeć wśród zgrozy i mrozów! Idzie, idzie długo, przyeiskając szkaplerz swój do serca, które już bić przestawało, dźwigając z wysileniem schorzałe, strętwiałe zimnem członki. Dosięgła na koniec celu.

Na wzniosłości pagórów urwistych stał gmach wspaniały, niby pałac, niby gród; z okien wzniosłych biły

jasności w ciemną noc. Z natchnieniem ostateczném doszła bramy.— Zadzwoiła — głos dzwonka wywołał jakby echa z jakichś dawnych, dawnych lat—zadzwoiła — i padła nieprzytomna sobie; już jój brakło sił.

Z wskrzeszonym życiem, spójrzała w koło żebraczka, potoczyła okiem — te miejsca, kolumny i sklepienia, otaczające je w koło, tak dziwnie na nią spoglądały, jakby senne wspomnienia dawnych, dawnych wieści czarownych. Jakoż zakonnica pełna miłosierdzia cuci, dodaje sił wzmacniającym napojem.

«Gdzie jestem!» pyta żebraczka. «Alboż to nie wiesz biedna niewiasto moja, żeś w klasztorze Maryi Świętej w cierniach kwitnących!» Dreszcze żalów, ognie radości mroziły, paliły seree nędznej kobiety—i milezała długo. Nakoniec rzekła «Bywałam i ja niegdyś w tych murach świętych, ale to już dawno, już bardzo dawno, było to przed wielu laty, wtedy, gdy jeszcze siostra Bożenna żyła w klasztorze.» — «Lecz—rzecze siostra furtynka — siostra Bożenna ciągle jeszcze mieszka między nami.» — «Matko moja—rzekła drżąca żebraczka—ja mówię o téj siostrze Bożennie, która niegdyś była ksienią kaplicy cudownej, i tak, tak niegodnie, jak było słyhać, zdradziła śluby swoje święte.» — «Niechaj ci Bóg przebaży, niewiasto biedna; aleć ta sama właśnie siostra Bożenna jest zawsze jeszcze ksienią kaplicy cudownej. Ja od pół wieku żyję w tym drogim przybytku naszym, a żadna ze siostr nie skaziła nigdy ślubów swoich. Siostra Bożenna zaprawdę jest nam łaską Bożą, ona nam wszystkim wzorem świątobliwego żywota i uczuć świętych nieskalanych. Cały kraj w koło ma ją we czei najwyższej, boć ona wszystkim wzmoocnieniem,

otuchą niebiańską. Ale ona właśnie znajduje się w kaplicy — wszak znasz drogę — idź niewiasto moja i z nią się przywitaj.

Żebraczka w napięciu duszy, bez tehu, bez upamiętania przechodzi przysionki, korytarze, ganki, co były niegdyś dla niej światem całym a światem tak błogim rajskim. Już wstąpiła za progi kapliczne — tutaj uklęknęła, legła krzyżem, biła czołem w posadzkę kamienną. I widzi, widzi zakonnicę strojącą ołtarz świeżym kwiatów zwojem i rozświetlającą lampki błyszczące. Zakonnica zwróciła się ku niej chodem niedosłyszany i już się zbliża. Lęk, niepokój przejmując serce Bożenney — ta siostra! to ona sama! to sama ona Bożenna! To jój wizerunek żywy! to jój własna postać i oblicze! Ale jój wizerunek, jakim była niegdyś, przed laty, żyjąc w klasztorze jeszcze w wiosnie młodości niewinnej, nieskałanej. Zakonnica, przystępując do drżającej żebraczki, rzekła: — «Witam cię ukochana córo moja! Ja długo na ciebie czekałam, ale wiedziałam, jak mnie kochasz, że twoja miłość dla mnie znów cię tutaj napowrót sprowadzi. Gdy byłaś daleko odemnie, jam przybrała postać twoją, jam za ciebie służyła, by cię osłonić od sromu, od wyrzutów. Teraz poznałaś ten świat, wiesz jaka wartość jego, już jesteś moją na zawsze! już teraz będziemy razem z sobą, razem na wiekiistość całą! Witam cię dziecię moje! W twojej celi znajdziesz swoje dawne szaty; gdy je przywdziejesz, wrócona ci będzie z dawną postacią i młodością dawna niewinność i pierwotne nieskałanie, i będziesz czém byłaś niegdyś! Gdy to wyrzekła z uśmiechem anielskiej miłości wstąpiła postać na ołtarz i przemówiła tylko jeszcze: — «Pozdra-

wiam cię siostró ksieni! Kochaj Maryą, jak ona cię kochała!» — Rozpromieniła się majestatem jako Boga-Rodzica i Nieba Królowa!

W ten dzień na niebie obchodzono święto radośne, a na ziemi dnia tego wszystkie ciernie zakwitły kwiatem!

Czyliż ta powieść nie jest wymowniejszym świadkiem o zwrocie ogromnym rodu ludzkiego, niż wszystkie choćby najgłębsze rozbiory naukowe! ona jest jasnością, roświecającą znaeczenie świata, który teraz nastaje w dziejach ludzkich, i dla tego pozwoliłem sobie tak się rozszerzyć z tą powieścią: jest ona jedną z tych endnych historyi, które nam w naszych tu stronach za lat dziecięcych opowiadano, a która podobno utkwi w sercu na życie całe, z całą formą tak pełną wdzięku a prostoty. Boć też każdy, kto ją raz usłyszał, nosił ją w sercu swojém, jakby klejnocik od matki na pamiątkę darowany. Cieszyłem się gdym ją przed kilku laty widział skreśloną przez jednego z autorów francuzkich; gdym ją czytał, zdało się że wieloletni pył ścierał się z tego obrazku wspomnień pacholęcych; a lubo z tych powodów wiele winien jestem rzeczonemu autorowi, zdało mi się atoli że może zbyt nadal téj legendzie barwę romansu; wołałem ją tedy opowiedzieć po swojemu, trzymając się przytém wspomnień z młodości porannój; boć i one są podobnie «kwiatkiem na cierniach suchych żywota.» Lecz mniejsza o to. W każdym razie myślę że ta legenda, jedna z najpiękniejszych, godna była przełożenia, zwłaszcza iż nam się tak nadaje do celu naszego. Przyznaj, że ówczesny świat, który w duszy swojej piastował podobne obrazy niebiańskie, sam wprzód odro-

dził się wiekuistością i wyehrzeił się z więzów materialnej natury a przemijających, jako sen, uciech jego. Ten świat z tych powieści, jakby z przeczystego źródła, pił nieustannie tę prawdę, że niebo samo zstąpiło na ziemię, że przybiera na się postać ludzką, że miłością nieskończoną ku naszemu rodowi oddaje się w służbę doczesności i że z nim cierpi i płacze, bez granic się poświęcając.

Zaiste, człowiek zrazu nieśmiało, z lękiem w sercu zbliża się do gości wiekuistych; przyciągnięty jednak kochemiem bezdennym, rzuca się w ich objęcia, im się zaślubiając na wieczność całą. Przyciąga go własna wiekuistość, miłością obudzona. Im potężniej żarem roznieci się w nim ta miłość, tém potężniej w nim prze i robi bezmierna ku niebu tęsknota, i tém też nawzajem potężniej płynie prąd w serce jego od miłości nieskończoniej, która w niebie króluje; tém też nawzajem i niebo silniej tęskni ku niemu.

Prawda wiekuista bynajmniej nie jest samą wiedzą, przez rozum i pasowanie się myśli nabytą; ona jest i uczuciem, miłością gorącą serca naszego. Bo choć nie przeczyimy, że w sercu zarazem gnieźdzą się i złe uczucia, owe demony siatniki, co, legnąc się z doczesną naszą naturą, a przebrane w kłamliwe uroczyste postaci, mają i stroją nieopatrzny oohotom sieci zdradne; choć tedy nie przeczyimy, że tu potrzeba myśli oględnej, by stanęła na straży i po przez wdzięczne kształty poznała pokusne złego wysłaniec i odróżniła je od niebiańskich zwiastunów; toć przecież wyznać potrzeba, że prawda nieskończona, samą pracą rozumową zdobyta, że sama chłodna wiedza nam nie wystarczy, jeżeli zarazem nie

przejdzie w ciepłe serce i nie stanie się żywem, obecnem w nas uczuciem. Chciej zważyć, iż każda nauka, wiadomość, której się pracą myśli dorobiłeś, którą sobie przyswoiłeś, jest wprawdzie twoją, jest twoją własnością; ale dla tego, iż jest dopiero własnością twoją, nie jest jeszcze tobą samym. Wszak ty sam odróżniasz siebie samego od tych nauk, wiadomości twoich. Co jednak w sercu twojem żyje, co czujesz, co wierzysz, to jesteś ty sam, to twoja istota. A lubo uczucia same jedne nie wystarczą, to jednak, gdy ich brakuje, nie mogą być zastąpione samym rozumem; dla tego żądamy, aby wiara była w sercu, aby się stała sama istotą człowieka.

Jak umiejętność każda i mądrość jest poznaniem wewnętrznego znaczenia przedmiotu, zatem poznaniem myśli tkwiącej w nim, więc przeniesieniem tej myśli jego do naszej własnej myśli; tak też uczuciem odpowiednim mądrości jest miłość, bo i miłość jest znalezieniem, widzeniem siebie w przedmiocie ukochanym. Jak zaś najwyższa mądrość jest poznaniem wiekuistych prawd, tak miłość najwyższa jest ukochaniem prawd wiekuistych—jest miłością ku Bogu. Bo miłość odnosi się już koniecznie do osoby; pojęcie ogólne, abstrakcyjne, jakim jest prawda—idea—może jeszcze odnosić się do jakiegoś rozumowego celu; ale serce, ale miłość, uczuciem będąc, zwraca się do osoby. Dla tego idea—rozum wiekuisty i inne podobne wyrażenia abstrakcyjne nie wystarczą dla serca; dla miłości trzeba Boga będącego osobą, Bogiem żywym; ale i dla rozumu one abstrakcyjne nie wystarczą, gdyż są niedokończonym wypadkiem; sam rozum party jest potęgą, koniecznością



logiki, by te abstrakcyjne dalej rozwinał, by stanął u celu który wywróży to serec jasnowidzeniem, przeczuciem swoim.

Gdy taka miłość nieskończona zapłonie w sercu człowieka, już on zwróci się w siebie, na wewnątrz, ku słońcu, które w nim rozgorzało jasnością, wtedy człowiek zrazu cały tonie w samym sobie, przepada we własnej wiekuistości swojej, murzy się we wnętrzu swoim. Co tedy na zewnątrz niego istnieje, co doczesne, tuteczne, światowe, zrazu gaśnie, zmiera. Wtedy cała treść, tkwiąca w zewnętrznych rzeczach, ustępuje, znika; ten świat staje się dla niego bezduszną, bezjadrną lupiną, bo człowiek cofnął ducha swojego promienie z tego wszystkiego, co cielesne, co zewnętrzne jest. Odwraca się od tego doczesnego świata, co już jest bez znaczenia i obcym dla niego (\*).

To nie przyznawanie się do świata zewnętrznego, to wyrzeczenie się a utonienie ducha w sobie, dochodzi tej mocy, że się człowiek nawet wyrzeka własnych czynów swoich, boć i one należą do zewnętrznego świata; więc i one stać się mogą czémś obcym i cudzym względem nas. Aby zaś te własne sprawy stały się

(\*) Uważ że te zjawiska wszystkie zrazu się pokażą, bo w pierwszych chwilach ludzkość, czując w sobie gorejącą wiekuistość, olśniała jej światłem: nie widziała przeto zewnętrznój rzeczywistości. Trzeba było długiego czasu zanim ród ludzki, *nie tracąc wiedzy i uczucia o wiekuistości przebywającój w nim*, zająć się zdołał i naturą i rzeczywistością, więc całym światem zewnętrznym. Otoż, temi pierwszemi chwilami, onemi chwilami utonienia w sobie i odwracania się od zewnętrznego świata, temi chwilami dla ludzkości są Wieki Średnie, trwające 1000 lat, a ze stółcem XVI-tym, jak obaczysz w późniejszych listach, rozpoczyna się nawrot do rzeczywistości, bez utracenia skarbu wiekuistości żyjącój w duchu.

rzeczywiście czémś obcém i zewnętrzném, potrzeba aby z niego boleść wytopiła wszystkie pomyłki, jako ziemskie, marne i przemijające; wtedy to dopiero zaprawdę duch, wstąpiwszy w siebie do głębin swoich, uznać zdoła te błędne sprawy swoje, jako zjawiska tylko zewnętrzne, które nie poszły z istoty jego, ale jedynie ze słabój i nieopatrznej chwili; uzna tedy, że te sprawy nie były i nie są nim samym. Wtedy, nawracając do przybytku wnętrza swojego, znajdzie w nim wiekuistość, w której już będzie jako w domu ojcystym, i będzie obchodził święto nieskończone pogodzenia się z samym z sobą i z Bogiem.

Tak tedy z rozumowania powyższego widzimy znaczenie powieści przez nas przytoczonej. Wiekuistość istnieje w duchu, zatém człowiek zrywa z naturą, ze światem zewnętrznym, i czuje nieskończoną swobodę zamknąwszy się w sobie. Przecież gdy on ma również byt w świecie, w cielesności, więc następuje w nim walka dwóch pierwiastków, bo nieba i ziemi. W téj walce może chwilowo ulegć potęgom tutecznym, ziemskim, przecież gdy wiekuistości swojej nie traci, więc nieskończona tęsknota rozbierze serce jego, usłyszy wołanie w sobie, bo duszy tęskno do matki, do wiekuistości. Jeżeli tedy żal, żal serdeczny, głęboki wypalił z serca pomyłki i winy, już one staną się obce, jakby nie nasze; one z nas spadną, a dusza staje w czystej, pierwotnej swojej nieskalanej niewinności anielskiej.

Może tedy jaśniej jeszcze teraz wypłynęła ci prawda, już powyżej powtórzona, że sztuka piękna, odziewając nieskończoną treść człowieka w postać cielesną, już nie wystarcza nowój epoce świata; bo co materialne,

cielesne, zewnętrzne, straciło już wagę swoją i nie zdoła być wyrazem wiekuistości w całej jej bezdeni, jak ją teraz pojmuje ludzki ród.

Ta powieść rzewna, przytoczona przeze mnie, posłuży może i za komentarz ostateczny dzieła naszego Stwosza. Zdaje mi się bowiem, że z niej dostаточно wytłómaczyć sobie zdołamy i te wszystkie uwagi, które nam powyżej wypłynęły z zapatrywania się na tę zanną pracę jego.

Cheiejmy sobie jeszcze wyjaśnić niektóre fakta, na które powyżej zwróciłem baczność twoją.

Patrz—to cofnienie się w siebie, to życie wewnętrzne, które, rozpromieniając się najwyższą potęgą, staje się miłością nieskończoną, objawi się odpowiednią sobie formą, gdy będzie zastosowane do sfery rzeczy ziemskich; a najbliższym objawem takowym będzie życie rodzinne i ten cichy i święty obyczaj domowy; bo dom, bo rodzina jest równie cofnieniem się od świata, i tutaj człowiek słucha jedynie tętna własnych uczuć swoich.

Zaiste — rodzina w znaczeniu prawdziwém występuje dopiero na łonie wiary Zbawiciela. Wszak z tego, co już rzekłem, widać że dopiero u ludów chrześcijańskich uznane być mogło znaczenie niewiasty. U Greków, u Rzymian znaczenie to już wprawdzie pojawiło się w pączku swoim, który się dopiero mógł rozwinać w całej pełni, gdy duchowa istota człowieka uznana została w głębokiém znaczeniu swoim. Wszak bez uznania i uczczenia wartości niewiasty nie ma rodziny pojętej w całej jej prawdzie. Wiara z istoty swojej dokonała tego uznania. Następnie, niewiasty chrześcijań-

skie dokupiły się czei najwyższą krwią męczeńską niewiast świętych, które śmiercią swoją podniosły jeszcze nawet w obliczu świata całą pleć żeńską. Zważ że to życie niezuciowe, wewnętrzne, to zwrócenie w siebie, będące charakterem nowego świata, jest właśnie wyrażone przez niewiastę; ona jest kapłanką domowego obyczaju. Mąż jest zaiste i teraz głową i rozumem rodziny, małżonka zaś jest jej sercem i jasnowidzeniem.

Tak pod *osłoną* enót domowych niewiasty chrześcijańskiej stanęła jakby na opoce twierdza domowego życia; o ściany tego domu rozbijają się fale dzikie zewnętrznego świata; choć tam szumią wichry i mroźne zamieci, człowiek sam siebie odzyska, sam do siebie nawróci, gdy przestąpi progi swojego domu. Tu znajdzie ukojenie swoich trosk, gdy go owionie uśmiech małżonki, co matką domowi; tu gdy jego serce burzą świata skołatanę, niesmakiem żywota zmrożone, niechaj spójrzy na śpiące niemowlę swoje, a ten pokój głęboki, anielski na twarzy dziecięcia ukołysze mu duszę pokojem, wygoi serce bóleści (Chateaubriand). Wszakże pacholęta krakowskie wierzą, widząc niemowlę śpiące, że dusza jego bawi się z aniołkami, biegając z nimi po łąkach i kwiatkach. Mniejsza już o sloty zewnętrzne, o sloty światowe; ognisko pod własną lubą strzechą rozciepli uczucia, rozświeci, rozjaśni chmurne czoło. W ścianach zaenego obyczaju domowego wszystkie uczucia członków rodziny, choć każdy ma różną indywidualność, wiążą się wzajemną miłością w jeden spólny wieniec wśród szczęścia domowego.

Czyliż tedy dziwno, że w sztuce średniowiekowych mistrzów, że w dziele rzeźbioném Stwosza, wglądasz w to

zaczysze domowe, w komnaty, w izby, w tę widownią rodzinnych kolei, w tę historią skromną ścian domowych? Czyli dziwno, że tu nawet widzisz, jakim rzekł powyżej, porozstawiane sprzęty i te domowe graty, boć i one są towarzyszami przez życie; a serce, co przekipiało uczuciem, i im udzieliło po częsteczce swojej treści rzewnej, swojego kochania; te martwe, bezezule przedmioty są przecież świadkami przeszłych wydarzeń domowych, przeszłych ciemnych i jasnych chwil; one się patrzyły na trwogi, na radości, na biedy i na uroczyste obchody rodzinne; one userdiecznione uczuciem, uduchownione wspomnieniem, stają się jakby symboliczną kroniką własnego naszego żywota. Jeżeli zaś bezduszne sprzęty domowe nabierają już tyle wagi, tém więcej jeszcze mają znaczenia zwierzęta domowe, boć i one te senne uczucia swoje wplatają w losy owęj naszej strzechy, boć i my wglądamy oczyma ducha naszego w te obrazy zatarte ich marzeń; a one czują te spójżenia nasze, jakby promień wpadający z góry w niepewny mrok ich duszy.

Cheć jednak zważyć, że te komnaty, izby, ulice, są w samą rzecz wystrugane na tych rzeźbach, że tedy udają perspektywę; ale perspektywa, jak wiesz, jest przecież jedynie malarstwu właściwą! gdy do tego zważymy, że te rzeźby wszystkie są nadto rzeczywiście starannie i pilnie umalowane, więc już, jak powyżej rzekłem, najwyraźniej znać, że tutaj rzeźba przechodzi w malarstwo, zatem w rodzaj sztuki zupełnie od niej różny; rzeźba opuszcza właściwe sobie granice i wstępuje w obręb obcej sobie sztuki.

Wszak to szynceerstwo i w innym kierunku splata się jeszcze z trzecim rodzajem sztuki, bo z budownictwem,

jak to znać z ozdób i opraw architektonicznych nadających cechę tak wybitną całemu dziełu Stwosza. Na oba te fakta atoli zwróciłem już baczną uwagę; teraz raczej zapytajmy się, jaki powód tych właściwości, które tutaj tak silnie występują.

Otóż — skulptura z jednej strony bierze na się piętno malarstwa, z drugiej strony architektury; rzeźba niby wzywa na pomoc obie te sztuki; ona sama siebie opuszcza, jakby nie ufała swojej mocy. Toć znaczy zaiste że fantazyja średniowiekowa a raczej fantazyja ludów chrześcijańskich nie jest dostatecznie zadowolniona ze samej skulptury, że jej jakoś nie dowierza w zupełności; jest to instynktowe przeczućie, że rzeźba nie jest dla niej sztuką właściwą, że to raczej malarstwo i architektura jest objawem więcej odpowiednim treści, która praenje i robi w duchu.

Lecz dla czegoż skulptura mniej odpowiada fantazyi ludów chrześcijańskich? Oto, rzeźba dla tych samych powodów jest sztuką mniej odpowiednią fantazyi chrześcijańskiego świata, dla których była właśnie sztuką najwięcej właściwą fantazyi klasycznych ludów. Rozprawiając o fantazyi Hellady szeroko się rozwodziłem, dla czego właśnie skulptura była sztuką najłatwiej przypadającą do fantazyi greckiej; odwołuję się przeto do tego wszystkiego, co już tam powiedział (w Liście XII). Tutaj z lekka tylko przypomnę, co tam rzekłem o architekturze, malarstwie i muzyce.

Jakoż okazaliśmy w tymże powyższym liście naszym że jak z jednej strony architektura, będąca sztuką wyprzedzającą rzeźbę, nie zupełnie już odpowiada geniuszowi Greków, tak z drugiej strony malarstwo i muzy-

ka, występujące w dziejowym rozwoju i z samej istoty swojej później niż rzeźba, są rodzajami sztuki nadającymi się mniej dla fantazyi Hellady. Jakoż architektura z natury swojej jest sztuką symboliczną, a tém właśnie okazuje, że tylko przez przybliżenie zdoła wyrazić treść duchową we formach zewnętrznych; w architekturze duch przemawia jakby przez hieroglify na poły zrozumiane. Myśl grecka atoli właśnie dla tego, że była w zgodzie z sobą i ze światem, że była harmonią ducha i Natury, że tedy była jasną i zupełnie siebie świadomą, mniej ma skłonności do symboliki zagadkowej.

Rozbierając istotę malarstwa rzekliśmy podobnie, że tutaj materya się ulatnia, ustępując duchowi, który silniej już przeważa w dziełach malowanych. Zaiste, obraz właściwy jest tylko płaszczyzną, ma tylko dwa wymiary, stąd wszystkie warunki materyi, bo oddalenie, perspektywa, ciężkość, światła i cienie, są tutaj tylko zmysłów złudzeniem, są czémś idealnym; znajdują się tylko we widzu i w mistrzu, ale nie tkwią już w rzeczywistości, nie istnieją materyalnie w dziele samém; słowem, tutaj świat wewnętrzny, duchowy bierze górę nad materyalnym, a tak równowaga tych światów znika.

Więcej atoli jeszcze to przemaganie duchowości nad światem materyalnym wyjawia się w muzyce, w której wymiary materyalne przestrzeni sprowadzone już są do oscyllacyi a drgania narzędzi muzycznych; tony przeplatując lekkim skrzydłem potraćają struny duszy naszej, która pieśnią wewnętrzną wtoruje tej muzyce ziemskiej.

Wyłynęło nam przeto z tej istoty malarstwa i muzyki, iż żadna z tych sztuk nie mogła być pełną wyobraźnicą fantazyi greckiej, że atoli na ich miejscu skul-

ptura była tak przeważna w Grecyi, iż nawet, jak w owym liście rzekłem, zrodziła gimnastykę w najzacniejszem znaczeniu; co więcéj, że i poezya Hellenów ma piętno plastyczne. O téj zaś plastyczności poezyi greckiej rozwodziłem się już szeroko. Tutaj chciej raczéj baezyć, iż właśnie dla téj ogromnéj różnicy, która oddziela świat chrześcijański od świata klassycznego, rzeźba jest sztuką mniej właściwą dla téj nowéj epoki, dla téj fantazyi romantycznój, że w niej raczéj występują sztuki z przewagą pierwiastku duchowego, zatém że sztuki z ulatniającą się materyalnością stają się teraz przedmiotem ulubionym artystycznój fantazyi. Pojmujemy przeto, że malarstwo naprzód z całym cudem uroków zamieszkało w tym świecie nowym; że tu geniusz muzyki, ezarodziejski władzca uczuć i sere, rodzi się teraz w doczesności ehacie, by dźwiękami ulotnemi swojej harmonii przypominał ludziom nadziemskie światy, co niewidzialne, niedojrzane od oczu ziemskich, niedotknięte czuciem cielesném drgają w najświętszym wnętrzu duszy, śpiewając jéj pieśni, których nuty na niebie zostały.

Widzimy tedy, dla czego w dziele Stwosza rzeźba przechodzi w architekturę i malarstwo; bo oba te rodzaje sztuki są więcéj odpowiednie duchowi chrześcijaństwa, niż rzeźba. Co o istocie malarstwa mówiłem dopiero powyżéj, wystarczy; tutaj powiedzieć jeszcze wypada słów kilka o architekturze.

Wszak architektura jest sztuką symboliczną, bo jéj formy wyrażają silenie się ducha, aby w nich wypowiedzieć serea tęsknoty; dla tego właśnie architektura staje się sztuką panującą prawie we fantazyi chrześcijańskie-



go świata. Architektura zaiste jest najdobitniejszym wyrazem fantazyi romantycznój. Jeżeli inne rodzaje sztuki mienia się różną barwą, wedle różnego narodowego tła ludów echrześcijańskich, tak iż trudniój dopatrzeć już z nich charakteru spólnego im wszystkim; sztuka budowania zachowuje znamię więcćj ogólne, co znów właśnie stąd wypływa, iż architektura jest sztuką więcćj symboliczną, zatém więcćj abstrakeyjną; a dla tego właśnie już trudniój poddaje się różnicom mniejszćj wagi, zachodzącym między różnemi narodami echrześcijańskiego świata. I w tym właśnie widać rozdział między architekturą a muzyką. Bo choć obie te sztuki są niby symboliką uczuć wewnętrznych, to przecież architektura ma do czynienia z masą głuchą materyi, która wymaga umiejętnego obehodzenia się z nią, wymaga pracy wielu lat, nie jest rzeczą chwili; więc też ta symbolika, która się winna budowaniem wyrażać, winna mieć piętno ogólniejsze, przyjęte powszechnie; a to tём więcćj, że dzieło architektoniczne, z istoty swojćj mając być dziełem zewnętrzném, mając ostać się w świecie, wymaga charakteru i wyrazu, któryby trafił do ogólnego, powszechnego uczucia. Inaczćj dzieje się z muzyką, bo ta nie wymaga już, do wyrażenia treści duchowćj, ciężkićj nieużytej materyi; ona, co tylko chwila w sercu poczęła, przebiera w tony ulotne, a nawet w dźwięki własnego głosu człowieka; więc też lekki geniusz natehnienia, ulatując na skrzydłach melodyi, promieni się jasną barwą i świeci duszą kraju i ludu, kędy się rodził. Z drugićj jednak strony, oba genjusze tych sztuk odwrotnych, właśnie dla tego, iż są odwrotne, są do siebie podobne i zaślubiają się serdeczném kochaniem.

Dawno już, i słusznie bardzo, nazwano architekturę muzyką skamieniałą; czém w muzyce są tony, tém tutaj są massy materyi; czém tam jest rytm kroczący w czasie, tém jest tutaj wymiar w przestrzeni; gdy w muzyce przepływają z kolei tony w czasie, wiążąc się w akordy i melodye, w architekturze wzrok twój przepływa z kolei po przestrzeniach; to podlatuje pod wysokie łuki, to spuszcza się i potraça o filarów podnoża; to wpatruje się w melodyą głębokich cieniów i światła jasnych, to buja po ogromnych przestrzeniach, to znowu bawi się splotem wdzięcznym szczegółów, co spływając w całość uderzają akordem. A jak w muzyce tak i tutaj gospodarzy jedno żywotne a niewidzialne prawo, jest to *statyka*, co wszechhytna, niedostrzeżona, jest budowania kontrapunktem.

Ten kontrapunkt — on zaiste jest ustawą żywotną, a uderzeniem serca ludzkości odrodzonej; wszystkie tony nieba i ziemi, wszystkie dźwięki serca, i wszystko, co się na dnie ducha i natury święci, i gwiazdy, co się kłują w przestrzeni nieskończonej, i epoki ludzkich dziejów, co jeszcze drzemią w przyszłości, wiąże ten kontrapunkt wiekuisty. On rozwiązuje dysharmonie wszelkie i wszelkie dźwięki fałszywe, zlewając je w jeden zestrój, w jedno oratorium. Przecież w następnych listach nawrócimy do téj muzyki i architektury chrześcijańskiej; tam przeto, czegośmy się tutaj zlekka dotknęli, rozwinie my dokładniej, obszerniej.

Pytałeś się, skąd się bierze ten splot wdzięczny figur Stwosзовych, to ich wzajemne do siebie odnoszenie a spływanie w jedną dramatyczną całość?—One się spłotyły w jedną całość harmonii pełną, bo i we wnętr-

trzu ich rozwarły się wiekuistości głębie, co brzmią dźwiękiem pieśni nieskończonój; a choć tony ich duszy są różne, zlewają się przecież w jedną harmonią jednym zestrojem i kontrapunktem prawdy nieskończonój. Ich kontrapunktem jest miłość niebiańska. Te postaci gromadzą się około Boga-Rodziey, co zasypia niebiańskim żywotem, łącząc przymierzem miłości niebo i stworzony świat, a nad tą gromadką unosi się Duch Święty, który ją ogarnia; ta gromadka jest wyobraźnikiem jedności kościoła, jedności połączonej przez Wiarę.

---

Tak ogólnym zarysem skreśliwszy charakterystykę téj nowój epoki, przychodzi mi w liście przyszłym okazać, jakie formy ona zrodziła w stosunkach ziemskich, czysto ludzkich, a mianowicie, czém była fantazyja artystyczna tego nowego świata, którą zwykle *fantazyją romantyczną* zowiemy. Już teraz widzisz, że to głębokie bezdenne wnętrze chrześcijańskiego ducha jest odpowiednią, że i w tych ludzkich stosunkach liryczność płynąca z serea tajnej krynicy, że niezuciowość, serdeczność rzewna, że muzykalność fantazyi będzie tutaj piętnem główném.

---

# LIST XXVII.

## Średnie Wieki.

*(Ciąg dalszy).*

Wstęp.— Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego.— Powód figur podobnych w wiekach średnich.— Blższe ich oznaczenie.— Wojny krzyżowe.— Fantastyczność; poczya romantyczna.— Cechą tych wieków honor.— Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy.— Miłość ziemiska jest przejściem do miłości niebiańskiej.— Dante, Petrarca, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda.— Ziemskie pierwiastki życia romantycznego.— Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę.— Witellio i Roger Bako.— Dwie wręcz sobie odwrótne Filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła — Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą.— Katakomby.— Symboliczność.— Cimabue i Giotto.— Indywidualność inaczej występuje w dziełach sztuki włoskiej a inaczej na północy. — Angelico da Fiesole.— Poezya romantyczna.— Fantastyczny świat.

Było to za onych czasów,— gdy w Łobzowskim ogrodzie nie wznosiła się jeszcze Estery mogilka, którą natura, litując się miłośnicy biednej, co wiosna stroi w pierwiosnki i fiołki ciche, aby, gdy ludzie odmówili napisu grobowego, choć same kwiatki świadczyły, że tu kochanie pogrzebione;— było to za owych czasów, gdy w rynku krakowskim naprzeciw Świętego Wojcie-

cha pysznił się jeszcze w gotyckie floresy i dziergane okna starego Wierzyńka zdobny dom, kędy gospodarz posadził do uczy cesarza i czterech królów majestat;—było to w owe lata, gdy postać wspaniała Wielkiego Kazimierza, co dziś marmurem na Wawelu legła, żyła jeszcze życiem pełnem, tchnęła sereem ciepłym, uczuciem tkliwém, ludom mądrością władając. Otóż gdy tak jeszcze na świecie było, w Awinionie, mieście francuzkiém, zebrało się grono ludzi z nad Wisły i Warty, co radząc i ważąc rozmawiali o sprawach publicznych i o kraju i o Ojcu Świętym. Nie lada też było to ich zebranie, a najzaćniej w niém ważył ksiądz Jan-ko, co był Archidyakonem gnieźnieńskim.

Zanim zaś o tym szanownym księdzu Janku więcej opowiem, przypomnę, że to właśnie pod te lata w tém mieście stało jeszcze promienne Apostolskie krzesło; więc jak krew do serea, tak do Awinionu, jako do wielkiego ołtarza wiary a ogniska kościoła, napływały wysłańce ze wszech stron świata a wyobraźniki różnojęzycznych ludów. Ciągnął tam i pielgrzym skruszony, by u stop Ojca Ś. wybłagać, wypłakać łaski duchowe, by ulżyć sereu, co konało pod ciężkiem brzemieniem tajemnej winy. A byli znów i tacy, co z duszą swobodną, z myślą lekką, wesolą, wybierali się do téj pełnej uroków stolicy, co ich nęciła, wabiła, jakby pieśń ukrytej wdzięcznicy. Bo i w ustronia, najdalej od świata odsadzone, dolatywały wieści o błogiej naturze téj szczęśliwej prowansalskiej ziemi, o tém niebie jój, co tak cudnych jasnych lazurów, o tych pagórach ubranych w gaje oliwne, w gęstwiny chłodne figowych, migdałowych drzew, a bały wieści że tam pomarańcza, cy-

tryna wita wędrowca siejbą kwiatów wonnych a dziewice oczkiem jasnym, jakby spójrzenie gwiazdek na niebie.

Wszak w tej naturze tak lubego uśmiechu wybujała też i poezya jakby w ogrody, jakby w gaje pieśni dźwięcznych. Boć to tutaj przecież prowansalów, trubadurów ojcowizna! Tutaj na tej ziemi gniazdo swoje miały ich harmonie czarowne, co tak rozkochane, tęskne i rzewne, i znów tak wesole, ochocze, rozleciały się po świecie, niby ptasząt śpiewnych stado. Tutaj muzyka i miłość i piosenka umaili żywot ziemski. Obok ciżby posępnej ponurych, wyschłych pielgrzymów, ubranych we włosienice ciemne, w kapelusze muszlą naszywane, przyciśnionych brzemieniem winy, zabłąsnał orszak lekki urodnych, śpiewnych trubadurów w szatach błyszczących, w czapeczce z piórkiem, w powiewnym płaszczyku a z lutnią w rękę; a z lutni strun, z ust urodzonego śpiewaka zrywają się kaneony, i serenady, ballady i pastorelle i cały tłum piosenek światowych, co oblatywały, jakby amorki figlarne, piękne panie, szepcząc im i prawiąc i bając, aż też nie jedno serce rozebrały rzewnym, tęsknym marzeniem. I te pieśni wdzięczne, łube, miłosne, śpiewały od świtu do zmierzchu, od wieczora do zarania, a śpiewały przez dwa z okładem stolecia.

Patrz, trubadurów poezya nie umilkła jeszcze, tu i ówdzie jeszcze brzmiała ich śpiewka jakby pieśń słowika spóźnionego w miłości i kochaniu, gdy, pewnego razu, w tymże Awinionie,—w Poniedziałek, w sam wielki tydzień,—w kościele świętej Klary, pojawiła się postać niewieścia, oblana poświęcą wdzięków naj-

wyższych. Włosy jasne aureolą opłynęły niebiańskie oblicze, z pod długich rzęsów patrzyły słodcze duszy anielskiej, szata błękitna, w złote gwiazdki wyszywana, otuliła kształty idealne, nie z tego świata zrodzone; zdawało się, że widziadło nadziemskie, obłoczne, zstąpiło z wysokości rajskich wśród ludzi. Modliła się ta postać cudów pełna,—modliła się rzewnie, gorąco, jakby jeden z aniołów, gdy się modli za cały człowieczy ród. Obaczył ją młodzieniec, oparty w zaciszu samotném o kolumnę kościelną. Obaczył ją i jakby błyskawicą rozjaśniły mu się wszystkie własnego ducha głębie,—jakby wiekuistości iskra rozświetliła wszystkie jego piersi tajniki. Przyszły na niego strachy i dreszcze, mrozy i radości niewymowne; lęk tajemniczy, a wesele i tryumfy, mrozy i upały przejęły duszę jego; bo z przepaści duchowej dźwignęła się owa potęga co ni by własna a przecież obca, co cudza a przecież swoja!—Błyskawica miłości rozpałała w duchu płomień gieniuszu.—Młodzieniec, tą chwilą na wieszczą uświęcony, stał się prorokiem miłości po przez wszystkie czasy i wszystkie ludy. Bo miłość tych obojga kochanków,—ona tylko duchów ślubem; ona czysta, nieskałana ziemskim tehem, nieznieważona niezaeném uczuciem wywołała z piersi młodzieńczych nieśmiertelne pieśni, co tehnęły serea upałem, a przecież były tak czyste, co śpiewały melodyą cudowną, a były tak rzewne, uczuć tak głębokich! Młodzieniec śpiewał Sonety, Raneony, w których miłość jego, choć na ziemi zrodzona, promieni się światłem niebiańskiem; te Raneony, Sonety będą na wieki świadectwem żywém, nigdy niezwiędłym o mocy niewiasty, gdy jej wdzięki najwyższe, na ziemi

zrodzone, prześwieca uczucie bez skazy i niewinność anioła. To kochanie w piersiach wieszczą było mocniejsze niż śmierć, i przetrwało kochanki skon. Ulu-bienica zapaliła płomień natchnienia w piersiach śpiewaka, co go poprowadził na szczyt chwały, na kapitol Rzymski, po korony laurowe;— a wieszcz, tehnąc w swe pieśni cześć i uwielbienie dla kochanki duszy swojej, udzielił jój własnej promienistej chwały, udzielił nieśmiertelności swojej na ziemi; więc już godłem nieskalaną, przezystą miłości stało się na zawsze jasne Petrarki i Laury imię.

Widzisz tedy, że iście było po co ciągnąć do Awinionu wyobraźnikom różnorodnych ludów i wszystkich świata stron. Lecz też i dobrze wiesz, że choć tam w dalekiej dali może piękniej bywa i świetniej i wspaniałej, toć tam przecież braknie własnej strzechy i ojczystego nieba, co to drogie a mile; lubo strzecha tak biedna, a niebo tak zimne i szare, choć tam w dalekiej dali może piękniej i świetniej i wspaniałej, toć tam człek, jakby drzewo przesadzone, odehorować musi swoje,— a częściej jeszcze nie wychoruje się nigdy ze serea tęsknoty; a choć będzie w pełni lata swojego życia, żółkną jednak, jakby w późnej jesieni, liście duszy jego, i opadną liście zwiędłe, i nierozkwitnie już dusza myślą świeżą i ustanie w niej krążące życie; człek będzie, jako drzewo wyschłe, upiorem samego siebie. Stąd w dali zaświatnej, luby ci i wiatr z północy, i miłe wędrowne ptaszę, co żegluję przez morza do krajów, kędy nie ma mrozu; i witasz wiatry zimne, i ptaki wędrowne, jakby posłańce od ojezystych borów, od domowych chat;— stąd tak lubo i błogo, gdy



pod obeém niebem, wśród obcych ludzi, swój swojego obaczy; bo i miło razem z sobą pogwarzyć, i łatwiej już i poradzić się, i pocieszyć, i rękę sobie podać i obronić się biedzie jakiej. Tak już za granicą, wiele nie przebierając, tulą się łatwo swoi do swoich, jak to lgną do siebie powinowate pierwiastki, co lubo rozpuszczone w płynie zbierają się w kryształki. Nie ma tedy dziwu, że i w Awinionie mieli się do siebie ludzie spólnego pochodzenia, spólniej mowy, zbierając się razem w różne grona, wedle różnego obyczaju domowego i rodowych chęci. Tam założyli gospodę zamorskie Angliki, ondzie słyhać śpiewne grono Włochów, tu Niemcy poważnie radzą, tam Hiszpany harde wąża honoru sprawy; więc też trzymali się i Polacy razem, a przewodniczył im, jakem mówił, ksiądz Janko; bo też to był mąż i wielkiego wzięcia i zacnej powagi, on przyjacielem od serea swojego Arcybiskupa. Wszak to on bywał i przy królu Kazimierzu Wielkim, on później pilnował chorego pana swojego na zamku Krakowskim, on stał przy śmiertelném jego łożu; on to, pomysł, on widział na własne oczy, jak konał ostatni Piast. Prócz tego, ten ksiądz Janko napisał nam jeszcze kosztowną kronikę społecznych dziejów, z której wyjąłem obrazek, który ci tutaj kładę.

Otóż, jakeśmy rzekli, Polacy w Awinionie ręka w rękę żyli z sobą, a choć różne ich były sprawy w papieżkiej stolicy, przecież wzajemnie u siebie bywali i zwykle każdy znał każdego. Jednak wtedy żaden z nich nie przeczuwał, że nie daleko od Awinionu, w posępnym, od ludzi odbiegłym klasztorze żył mnich, ich ziomek, wielkiego rodu pan, krewny ich króla. On

przybył do Awinionu właśnie w czasie, gdy jeszcze żył Petrarka a Janko bawił jeszcze w tém mieście. Zaledwie jednak ten mąż tajemniczy ukazał się na dworze papieżkim,—gdy już nagle zniknął, zagrzebując się żywcem w tęsknych murach zakonnych.

Pod grubym habitem piekło się seree niepokojem bolesnym dręczone, pod kapturem ukryła się twarz, jakby pogorzeliśko namiętności gwałtownych, przytłumionych, ale niewygasłych. On, uelodząc przed światem, przed sobą samym, schronił się do celi klasztornej, samotnej; modlił się i płakał, i pościł, i martwił ciało swoje—daremnie. Po ścianach posępnych klasztornej, samotnej celi przemykały się obrazy żywe przeszłości, sceny dawnego żywota, ale jaskrawo oświecone magią onych nieubłaganych potęg, co raz w sereu przebudzone już nigdy nie usypiają, nigdy nie zmrużą czujnego oka. Daremne modły i łzy, posty i samowolne ciała katusze; dniem i nocą przed oczyma stawała postać kobieca, wdzięczna, luba, która niegdyś była jego życiem i kochaniem najwyższem. Zaledwie ten obraz rozplynał się marą a już na jego miejscu dźwiga się jawidło krwawe z raną śmiertelną na skroniach, co gniewne i groźne straszy i seree lękiem ziębi. Ten mniel—to książę Gniewkowski Władysław, co go lud zwał Białym. On żył niegdyś w szczęściu błogiem, możny na Kujawach pan, z sereem rycerskiem i butnem; wtedy on u króla był w łaskach, a we czci u narodu. Wyższym jednak nad światowe blaski było to szczęście, co mu kwitło radośnie w domowych ścianach. Umysł z przyrodzenia hardy i zuchwały, seree burzami miotane znalazło ukojenie w miłości małżonki. Ona uśmie-

chem, spójrzeniem, jakby talizmanem zażegnała cierpienia duszy jego, nakazując ciszę rozhukanym namiętności falom.

Wszak pewnego razu, w oddaleniu od małżonki, w nieopatrznej chwili, demony przyczajone w sercu jego pchnęły go w kłótnię o granice ze sędzią Kujawskim; moce zdradne oczyliły myśl gniewem—sędzia ciosem śmiertelnym legł z ręki Władysława. Widok własnej zbrodni wtrącił go w dumę i upor zacięty. Głuchy na rozkazanie królewskie, nie stawia się przed sądem, ubliża nawet majestatowi króla zuchwałą mową. Wtedy, jakby z bożego dopuszczenia, spada na niego grom niebios—małżonka, kochanie jego, umiera. Już na on czas duch Władysława, wstrząśniony do dna, korzy się i kurezy w boleści bez granic. Samowolnie odstępuje i lenności królewskich i dziedzictwa po dziadach; z przemożnego pana czyniąc się pokutnikiem, jako pielgrzym idzie do Jerozolimy, aby u grobu Zbawiciela znalazł ochłodę palących boleści. Znienacka atoli, wróciwszy ze ziemi Świętej, pojawia się w Pradze na dworze cesarskim; tu otoczony wykwinem i blaskiem wysokiego rodu swojego, rzuca się w zabawy zawrótne, świetne festyny, w turnieje; więc pieśni, więc muzyka, więc uroki niewieście zagłuszają na chwilę wewnętrzne niepokoje. Wnet atoli napił się do przesytu uciech dworskich, a znużony, znienacka, na podziw wszystkim, przyodziewa się w rynsztunek wojenny, rusza do Krzyżaków, przystaje do nich i wojuje Litwę pogańską. Na miejsce dworskiej wystawy, błyszczących uczt i tańców i śpiewów, teraz wołanie umierających,

konających jęki, oboźne śpiewy, bitwy, łamanie się, gra o życie i śmierć, obstały go do koła.

Wnet przecież, przykrząc sobie wojenne krwawe rzemiosło, Gniewkowski książę bierze na się postać skromną zwyczajnego wędrowca i dosięga granic Polski. Jak złe sumienie unika światła i ludzi, przebywa tajemnie Kujawy, swoją ziemię ojczystą, zdaleka widzi wieżycę własnych niegdyś zamków, słyszy z za boru głosy dzwonów rodzinnych kościołów. On milezkiem przepawił się, od nikogo niepoznany, przez ziemie i kraje swoje i obce, aż doszedł do Awinionu pod czasy, gdy tam, jak już wiemy, mieszkał właśnie Archidyakon Gnieźnieński. Rzekłem ci również, iż Władysław bez wiedzy swoich wstąpił do zakonu, naprzód do Cystersów, później do Benedyktynów, (*habitus griseorum et nigrorum mutavit*, jak docinając wyraża się Janko) (\*). Tu pogrążony w sobie żył modlitwą, dumaniem posępném, srogie odbywając pokuty; ze ścian cichej kryjówki, a przez okna błękitny niebios wglądają w serce jego tajemne pracowanie. Tak nad głową znękaną przeleciały lata, lata samotności głębokiej, smętnej.

Razu jednego, wśród ciszy klasztornej wbiegła lotna wieść o skonaniu króla polskiego Kazimierza. Wtedy zakonnik odtrąca precz od siebie pokuty, zrzuca kaptur a przeistoczony w butnego rycerza pędzi przez Strasburg, przez Niemcy na Węgry. Tam siostrzenica jego jest małżonką królewską. Władysław wyprosił od Węgierskiego króla świetne poselstwo z którym ciągnie do Ojca świętego, by wyblagać rozwiązanie za-

---

(\*) Sommersberg *Silesiacarum rerum Scriptores* T. II. pag. 111.

konnych ślubów. Odprawiony z niczém od apostolskiej stolicy, wziął się na zuchwałę, i na sobie tylko polegając, własnej potędze ufając, wiehrem przelatując ogromne przestrzenie krajów, staje w Kujawach, a mając z sobą jedynie czterech towarzyszy, którym także drwinką strachy, a życie stawką marną, zjawia się znienacka w Inowrocławiu. Sam widok księcia korzy mieszkańców; potulnie przysięgają dawnemu Panu na wierność. Zanim się mógł obaczyć starosta Kujawski, Władysław, to podejściem wojenném, to wstępnybm bojem, to przestachem zabiera grod po grodzie, miasta po miastach. Tak dokazał swojego. W rychłe rozpiera się na panowaniu całych prawie Kujaw, a nawet myśli o koronie, która mu czy marą czy nadzieją promieni z daleka. Butnie stawia czoło staroście i zastępom orężnym króla Ludwika; sztandary jego również szczęśliwe, jak zuchwałę, powiewały zewsząd na wysokich wieżycach zamków Kujawskich.

Jakby mu atoli jedynie chodziło o igry z losem, a krotochwile ze szczęściem i walką, wnet sekliwił sobie i boje i władze i rządy; porzuca zdobyte zamki, oddając je samocheąc Sędziwojowi staroście; zamyka się w odludnym zamku Ordzińskim. Zniknął światu z oczów; nikt go już nie widział; kto przechodził, obchodził z daleka Ordziń, a patrząc na te mury i baszty, jakby na gniazdo orla, natęczał zmysły, azali znów nie usłyszy potężnego szumu skrzydeł jego. Ale w zamku Ordzińskim cicho, opuszczono, samotno.

Rok cały Ordzin przeczekał w milczeniu. Wtém jednego poranku powitała Wielkopolan wieść bajeczna; senna; słyhać że Władysław dostał w jęctwo Krysty-

na starostę na Złotoryi, że uderzył na gród Raciążski, że wziął siłą orężną Gniewków. Pogłoski te jak burza rozbiegły się po Kujawach a nabrzmiały w olbrzyma, przewalając się od wsi do wsi, od zamków do zamków, przenikając trwogą i podziwieniem.

Nie mało by mi przyszło pisać, gdybym chciał choć polotem skreślić jakie to nowe teraz fantastyczne koleje miały życiem Władysława, na jakie on znowu puszczał się harce szalonej śmiałości, jako zdobywa grody warowne i znów je traci i znów odbija; jak raz odbieżony od swoich sam jeden ucieka Wisłą na łodzi, jak wnet znowu, nagle się pojawiwszy, gromi i bije i trwoży i straszy, i znowu dopada władzy; jak Władysław, swawolnie grając niby zlosem w kości, wszędzie i zawsze całego siebie na hazard stawia, a jak los, co to zwykle kocha się w śmiałkach, podrzucił go też na wysokości władzy.

Władysław jednak stroi sobie w końcu drwinki z losu, pogardza nim i znowu wypuszcza powtórnie samocheąc całą zdobycz, okupioną tak twardym trudem i tysiącznemi przygody, oddaje zamki i grody, ale to pod jednym warunkiem:— jemu jeszcze chodzi o to, aby opuszczając kraj rodzinny opuszczał go jako rycerz, ze czecią, z honorem. Stosownie do umowy tedy, gdy wyjeżdża w całym rynsztunku rycerskim przez most zwodzony zamku Złotoryi, czeka na niego Bartosz z Weisburga, rycerz nieskałanej sławy, a czeka na koniu, w zbroi, z kopią w ręku. Wedle układów złożyli kopie. Władysław ugodzony ciężko w ramie; mimo tego atoli dotrzymuje danego przyrzeczenia nieprzyjaciółom, ustępując z kraju.

Książę Gniewkowski, dopiero co przemożny władca, teraz tak ubogi że przeciwnicy jego wspierają go zasiłkiem pieniężnym, Władysław ciągnie na Węgry, tam zostaje—opatem Benedyktynów! Czyliż tu koniec tego fantastycznego życia? Bynajmniej. Opuszcza znów klasztor i t. d. Ale, com dotychczas opowiedział, wystarczy do celu naszego. Nie jestże to dziwne a fantastyczne zjawisko ta postać Władysława! Zaiste, nam ludziom dziś tak spokojnym, statecznym, potulnym, ten jego żywot lóźny, błędny, sprzeczny z sobą, migocący się we wszystkie światła i barwy, wydaje się jakby bajeczką wymyśloną na przekór codziennój, wymokłej prozie społecznego nam świata. A jednak ta cała figura awanturnicza jest typem wieków średnich; ba, to czasy romantyczne nosobione, wielone w kości i krew!(\*). Duch historyi chodził po ówczesnej Europie siejąc tę siejbę swoją, ona też bujnie wschodziła; zewsząd, po wszystkich krajach i ludach rodziły się postaci podobne do naszego Władysława; wszak nie jedna z nich nawet zasiadła na tronie, odziana purpurą a z hełmem rycerskim na skroniach.

Te postaci fantastyczne są pierwszą osnową dla fantazyi romantycznój, jak obaczymy jeszcze dokładnie poniżej. Przecież ta fantastyczność awanturna niekiedy przekroczyła daleko po za progi średnich stóleciów; zjawia się i w dziejach nowożytnych; przypominam ci one postaci, co występują w wojnie 30 letniej, jakby spóźnione romantyczne rycerze. W Polsce ten duch

---

(\*) Ten Władysław Biały, wedle mojego zdania, mógłby być wyborną osnową dla powieściopisarzy naszych.

powiewał jeszcze bardzo późno; przykładem są sprawy Elearów polskich, niegdyś Lissowezyków, co się biją w sprawie cesarskiej pod Wiedniem, a potem znajdziesz ich w stosunkach i do Bawarów i Hiszpanów i znajdziesz ich w Badeńskim i nad Renem i niewiedzieć już gdzie; a czyny ich wojenne tak zuchwałe i śmiałe, że czytając je w książce ich kapelana ks. Dembołęckiego zdawałoby się, że to powiastki wymyślone, cudotworne, fantastyczne. Nie trudno o podobne zjawiska i później jeszcze w Polsce. Przecież takowe figury są jedynie wyjątkiem w ostatnich stuleciach a prawidłem w wiekach romantycznych, bo w nich się rodzą, niby w rodzimém gnieździe swojém.

Skąd zaś wzięły się figury takowe w tych średnich wiekach, nie trudno zrozumieć, byleś się zgodził na wywody objęte moim listem ostatnim, a które ci tu z lekka na pamięć przywiodę. Rzekliśmy dawniej, że istotą ludów klasycznych był zestrój, harmonii pełny, łączący treść wewnętrzną człowieka ze światem zewnętrznym, więc też ducha z naturą. U ludów zaś chrześcijańskich nastaje ów ogromny nawrót ducha do samego siebie. »Anioł, wysłannik innych światów, rozwinął we wnętrzu człowieka głębie wiekuistych prawd, okazał mu nieskończoność przemieszkującą w bezśmiertnej jego istocie.«

Tak teraz człowiek czuje się być wyzwolonym od zewnętrznego świata; doczesność została przemożona;— natura traci panowanie swoje. Atoli świat średniowiekowy jeszcze surowy, jeszcze nieskruszony w bućności swojej, zuchwały i twardy, zrazu dopiero po ludzku pojął te prawdy nieskończone, zastosował je też



po swojemu rzeczy ludzkich, bo wedle doczesnej ziemskiej ochoty swojej; a tak niezucie nieskończoności, wyswobodzenie od więzów doczesnego świata, przetłómaczone z ludzka do ludzkich stosunków, zrodziło bunt, dufne opieranie się na sobie i swobodę nieskończoną. Każdy chce być teraz wolnym też od węzłów społecznych, każdy teraz tonie w sobie, w siebie się patrzy, staje się samoistny i odrębny. Stąd społeczność cała jest teraz niby morzem iskier odrębnych, zbiorem punktów świecących, indywidualności osobnych, z których każda odnosi się do siebie samej, jako do własnego ogniska swojego; tak rodzi się społeczność feudalna, a wyrażeniem kamieniem tego rozjednostkowania są one zamki rycerskie rozpojedyńczone, okrywające ówczesną Europę. Nie ma jeszcze ogólnego tła, nie ma jeszcze silnych ogniw łączących te jednostki osobne w jedną ścisłą całość; a tym samym świat takowy jest właściwą sceną, po której te jednostki mogą bujać samopas, samotnie, niezem niezwiązane. Każda teraz indywidualność w sobie wyłącznie znajduje środek własnej istoty, ona do siebie się odnosi, z siebie czerpie cały żywot swój,—ona jest wskrós liryczna. Ona cofa promienie duchowe ze świata zewnętrznego, cofa je ze społecznego składu i z natury. Ten świat zewnętrzny a przyroda, to teraz zwłoki bezduszne, puste i głuche w sobie, więc tracą dawne znaczenie swoje, i niby o tyle tylko jeszcze ważą, o ile są środkiem do wyrażenia tej przewagi i przemoicy indywidualności człowieka nad tym światem zewnętrznym. Lecz w tym wyrażeniu się człowiek słucha tylko siebie samego; on z tego własnego, osobistego wnętrza

bierze modłę postępowania swojego. Nieskończoność atoli, odzywająca się w nim, nie jest jeszcze rozwiniętą myślą, rozumowaniem; ona występuje dopiero ciemnym, nieodgadnionym parem, pojawia się jako uczucie. Przez barwiste więc szkiełka uczuć człowiek patrzy się teraz na świat; on wykonywa to, do czego go prze własne serce jego.

Gdy zaś ten zewnętrzny świat jest już teraz dla ducha ludzkiego bez znaczenia, gdy mu jedynie tyle zostało wartości, aby duch mógł na nim położyć oznakę nieskończonej przewagi swojej, przeto znać iż ta zewnętrzna rzeczywistość cała nie zdoła już wystarczyć duchowi; bo on radby obaczyć wizerunek własnej istoty swojej, a obrazem takowym nie może już być więcej tuteczny świat; bo w duchu odezwało się wiekuistości poczucie, lubo jeszcze niepewne, ciche, instynktowe, a świat ten z doczesności się rodzi, jest sam tylko przemijającym, marnym zjawiskiem. Stąd ród ludzki jest teraz jakby tęsknotą duszy młodzieńca o uczuciach niewymownych, z których sobie sprawy zdać nie zdoła; tęsknota nieskończona, niewytłómaczona brzmi w sercu jego; ta tęsknota robi w nim i pracuje i prze do czynów, wypiera w świat daleki; radby on coś stworzyć, coś zdziałać, obaczyć własną siłę swoją w dokonanych sprawach. To uczucie nieskończonego jakiegoś braku wzmaga się i rośnie a rośnie w potęgę, nie dając pokoju. Więc człowiek rzuca się w świat; a wodzi go przez świat, jak rzekłem, samo uczucie, a nie treść wyrozumowana, myśleniem rozwinięta. Stąd w tym parciu nie ma pewnego oznaczonego celu; radby on jedynie wytrząść z siebie ten niepokój gwałto-

wny, wyrzucić z siebie tę burzę a w łamaniu się z tą rzeczywistością wysilić z siebie te moce, co nim miotają; radby położyć na świecie zewnętrznym cechy swojej potęgi i śmiałości samoistnej. Szuka tedy przygod nadzwyczajnych, fantastycznych, puszcza się na awantury, igrając z losem. Jest to niepokój młodzieńczy; dla tego właśnie one czasy rycerskie butne i zuchwałe oblane są urokiem tak czarodziejskim dla sere młodzieńczych, żyjących jeszcze życiem wewnętrzném duszy.

Otoż i tu widać ogromną różnicę ducha awanturniczego średnich wieków od przygód bohaterów w świecie klasycznym. Można zaiste Odysseę Homerową nazwać poematem romantycznym klasyczności; ale mnie się zdaje, że to porównanie, podobnie jak wiele innych, choć dowcipne, jest powierzchowne, bo miesza dwie rzeczy zupełnie różne. Gdy najgłębszym gruntem swoim odróżnia się świat romantyczny od klasycznego, więc i pojawy ich winny być wskrós różne od siebie. Duch grecki właśnie dla tego, iż jest w harmonii ze światem zewnętrznym i rzeczywistym, ku temu się też ma, aby treść swoją, swoje uczucia niścił w rzeczywistości; słowem, jemu chodzi o cel swoich spraw. Ulisses w Odyssei przebywa w prawdzie awantury, jakby rycerz błędny, ale on nie szuka tych przygód dla przygód samych, one mu się nawijają same, on ich nie zaezepia, ma się tylko obronnie do nich, on dąży do pewnego celu; jemu chodzi o powrót do domu, do żony, do ojczyzny; on przemaga przygody częściej roztropnością, a w ostatnim razie depiéro używa męstwa. Przeciwnie zaś charakter na sobie oparty, odważny, śmiały, sadzący życie na igry aby właśnie okazać swo-

bodę zuchwałą, niezmie nie krępowaną, jest głównem tłem, na którym rysuje się postać rycerza średnich wieków.. Ta odwaga, to męstwo różni się od męstwa klasycznego tą właściwą sobie cechą, że rycerz waży życie, choćby bez celu (więc bez odnoszenia się do świata zewnętrznego), że je waży choćby tylko dla tego, aby okazał światu swobodę duchową i najwyższą niezawisłość, a co więcej, aby sam się uczuł w tej swobodzie, w tej dzielności butnej. Stąd zabawy i gry rycerskie, turnieje nawet często zaprawione krwią i skonem. Jak zaś u rycerza ta czynność zuchwałą, to pasowanie się z rzeczywistością wyjawia przewagę ducha nad światem zewnętrznym i posuwa lekceważenie tej rzeczywistości aż do igras a żartów swawolnych z życiem; tak znów odwrócenie się od świata tego, zrzeczenie się przyrody i społeczności, pogarda tego, co życie daje, zamknięcie się we własnych duchowych głębiach przemieszkuje w ścianach klasztornych. To życie zakonne jest również przewagą ducha nad rzeczywistością i pogardą a lekceważeniem jęj; jest również wycofaniem ducha ze świata, z własnego ciała, ze życia, choć zupełnie w innem, różnem znaczeniu, bo jest życiem czysto duchowem. We Władysławie, rycerzu-zakonniku, widzimy dwa te powołania uosobione w jednej i tej samej postaci, choć w różnych czasach. Oba zaś w średnich stóleciach spływają razem w zakonach rycerskich.

Czas ten, lubo tak kaleidoskopowy, lubo tak rzucający się bez oznaczonego celu, tworzy charaktery potężne, i ludzi dzielnych. Trzeba umieć życie ważyć, jeżeli tego potrzeba, by hartem wyrobić ducha swojego. Mło-

dzieniec, który nie przeszedł nigdy niebezpieczeństwa życia, nigdy nie widział śmierci przed sobą, który się nigdy z nią nie obaczył oko w oko, czyli to trafem czyli w dopełnieniu powinności, ten nie wychrzczył się na męża; duch jego wiotki jest niby bezkostnym mięczakiem.

Widać, że w średnich stóleciach istota człowieka rozpękała się na dwoje, bo duchowa strona przerosła zmysłową, idealna wzniosła się nad rzeczywistą; obie te potęgi zerwały przymierze swoje i nie łączą się więcej harmonijnie z sobą. Właśnie zaś dla tego, że człowiek jest istotą zmysłowo-duchową, gdy niezdolny wyrzucić z siebie potęg natury, zatém się też dźbiać musi, iż te moce zmysłowe, choć na czas uspięne, nie mogą być zniweczone i dopominają się o prawa swoje w nieopatrznych chwilach, a odzywają się tém gwałtowniej, że odstały od idealności, że się rozstały z duchem eoby je uszlachetnić, uzaenił. Stąd występują obok siebie i z kolei ostateczności, które miotają człowiekiem. A gdy, jak rzekłem, społeczność nie była jeszcze zorganizowaną, nie była powiazaną ścisłym węzłem towarzyskim, gdy nie znała tysiącznych nitek trzymających indywidualność w karbach prawa, obyczajn i zwyczajn; dla tego tém gwałtowniej pojawia nam się teraz wszędzie to dziwne przerzucanie się z idealności nadgwiadnej w nizkie młaki grubiej zmysłów ochoty,— z uczuć rzewnych, miękkich, tkliwych w barbarzyństwo twarde, okrutne. Ostateczności atoli, które teraz eiskają człowiekiem, nie rosną już w kształty potworne, które przerażają, trwożą myśl w Indyach. Bo w świecie chrześcijańskim idealność nie jest już więcej oną abstrakcją głuchą, bezdenną, która niby to-

pieleem ciemnym chłonie i naturę i człowieka; tę idealność teraz napelnia treść głęboka, rozwinięta, przepromieniona prawdami wiary zbawienia; a z drugiej strony też świeci nadzieja, że zmysłowa surowizna natury będzie obłaskawiona, okiełzana nauką chrześcijańską. Można by raczej twierdzić, że średnie wieki pod wielu względami przypominają romantyczność mahometańskich ludów; ale zważmy, że zachodzi przecież ogromna różnica w pojawach obu tych światów. Abstrakcyjne wyobrażenie o Bogu w Islamie ma tylko potęgę ujemną, ale nie ma treści dodatniej, nie przenika wszystkich stosunków człowieka, nie wznosi osoby jego do nieskończonej wartości. Wiara chrześcijańska zaś przejmując go wskrós, napelnia wszystkie serca przybytki, uświęca wszystkie drogi życia jego i nadaje mu znaczenie wiekuiste. Lecz zanim nauka ta Zbawiciela zdołała skruszyć, przemódcz dzikie barbarzyństwo średnich wieków, długo jeszcze pasował się w sercu człowieka anioł światłości z demonem ziemskim; więc długo jeszcze umysł ludzki, pełen sprzeczności, kołysze się niepokojem, wykazując to jasne, to ciemne strony istoty swojej.

Takim był człowiek pojedynczy, takimi były narody—ba, cały ówczesny chrześcijański świat. Rycerz błędny, o jednym koniu i rynsztunku, tak party jest niepokojem w daleki świat, jak Marco-Polo, co się puścił w zapadłe, nieznanym ludziom strony Wschodu, jak cała Europa, gdy nad nią hasłem zagrzmiało imię Grobu Świętego.

Wyznaję chętnie że wojny krzyżowe miały za jeden z głównych pierwiastków swoich niezucia wiary i

pobożności głębokiej, ale też trudno zaprzeczyć, że europejskie ludy parte były tęsknotą fantastyczną, nieskończoną. Kipiąca żądza przygód, awantur zaledwie nie rozsądzi piersi młodzieńczej Europy; trzeba było tylko słowa, nadającego nazwę tym uczuciom niewymównym, aby to słowo wielilo się w serca wszystkich ludów i zapracowało w nich wrzącem uczuciem. Piotr Pustelnik, ów pielgrzym zbiedniały, opasany powroślem, wyrzekł to słowo, a ono wpadło żarzewiem ognistém w duszę palną Europy, a ta stanęła pożarem, co ogarnął ówczesny świat od końca do końca, i wszystkie ludy i stany.

Ciągną więc do Grobu Świętego: Godfryd z Bouillonu, książę Normandzki Tankred, Rajmund hrabia Tuluzy, i wszystkie one postaci świetne, szlachetne, rycerskie, i biegną do Grobu Świętego tłumy tysiączne pacholąt, dzieci zbiegłych z rodzicielskiego domu, i przewala się na Wschód ów motłoch bez liczby, co, obrawszy sobie za przewodnicę gęś i kozę, rabuje, morduje po drodze, aż znów kupy onęj gawiedzi z kolei wyrzućte były do nogi; bo z dwóch kroć sto tysięcy awanturników, z których się składały, żaden nie ujrzał Ziemi Świętęj—wszyscy legli trupem jeszcze na europejskim lądzie.

Gdy hufce regularne dosięgły pierwszych palestyńskich pagórów, znagła stanęła na widoku Święta Jerozolima—cel życzeń serdecznych, a tęsknot gorących—oblana światłem różowém młodego świtu. Jęk radości niewymownej przeleciał długie wojenne zastępy; rzucają się twarzą o ziemię; płacz rzewny rozebrał stwardniałe od dawna uczucia; modlą się, płaczą, błogosławiąc godzi-

nę, w której się na świat rodzili, kwilą serdeczném dziękczynieniem; więc obejmują się uściśnieniem wzajemném radości; znikły nienawistki drobne, płaczą pancerne męże, rozezulone serce do serca przytulając.

Runęły warowne baszty i mury Jerozolimy; przez wyłomy taranów wpadają tłumy orężne. Wojownicy, dopióroco tak tkliwych uczuć, tak roztopnego serca, teraz, jakby morderczy zwierz pustyni, rzucają się na mieszkańców:— ryk wściekłego szalu, jęk, od ulicy do ulicy, od domu do domu gonitwa, mord, śmierć; bruki, ściany mieszkań posoką spluskane, kupią się trupy niewiast, dzieci, niemowląt stósem na stósach. W meczecie Omara zwyciężey brodzą powyżej kostek we krwi. Trwają mordy dzień i trwają noc; w końcu umilkły, bo nie stało sił zabójcom, nie stało i ofiar.

Jeszcze nie ostygła krew, tu i ówdzie dopióro z pod kupy zabitych słyhać ostatnie umierających westchnienia, — a już zastępy Europy przerzucają się w ostateczność, i znów ze łzami w oczach modlą się i płaczą, miękkie i czule, niby kobiety lub niewinne pachołeta.

Krzyżowcy nie widzą przedmiotu, czém jest w samym sobie, ale czém je czyni własna indywidualność wewnętrzna człowieka; jej szkiełkami patrzą na świat i własne dzieła swoje.

Lubo dotychczas w lekkich zarysach przypominałem ci dopióro jedną stronę dziejów ludzkich w wiekach średnich, będącą osnową dla fantazyi romantycznej, przecież myślę, że z niej już widać, iż ta sama



epoka historyi powszechniej, która z siebie zrodziła fantazyą romantyczną, nastęczyła jej zarazem bogatszą jeszcze ośnowę, aby ta fantazyja, ten cudowny kwiat miał się czem żywić w piękności swojej, by znalazł i ziemię, z którejby brał sobie soki i siłę do rozwoju swojego.

Zaiste, zechciej zważyć, że w samej tej butności samowolnej, rycerskiej, puszezającej się samopas przez życie, że w tym fantastycznym hareu, słuchającym jedynie natchnienia własnych osobistych uczuć swoich, zdradzającym więc sprawy tak różne i różne, tkwi jakiś pierwiastek, który zestrzaja te sprawy rozmaite, stojąc im za wspólne tło i dno. Zgadujesz zapewne, iż właśnie dla usposobienia, będącego cechą romantycznych wieków, ów pierwiastek również sam będzie potęgą wewnętrzną a odnoszeniem się ducha do siebie, jako do ogniska swojego;— on będzie również odwoływaniem się do indywidualnych osobistych uczuć, jako do najwyższych wyroków swoich. Tym pierwiastkiem a zakonem władającym jest cześć, jest *honor*.

Jak różne barwy w obrazie łagodzą jaskrawość swoją tonem wspólnym, co rozplywa, jakby chuchem, po całym malowaniu, nadając mu harmonią dźwięczną; tak i one sprawy awanturne, przygody różne, różnorodne nabierają jakiejś harmonii i całości, bo im wszystkim przyświeca honor, jako gwiazda oblewająca je wszystkie wspólną poświatą lekką, duchową.

Wszak honor i cześć, jak wszystkie pierwiastki rodzące się w średnich wiekach, pochodzi z własnych głębin człowieka, z opierania się jego na sobie samym; jakoż honor i cześć jest uczuciem zupełnie indywidu-

alnym, wypływającym z własnych osobistych głębin, z własnego sposobu zapatrywania się na świat. Każdy człowiek sam jest stroną i sam sędzią w sprawach swojego honoru. Co dla jednego jest obojętnym, jest dla innego ciężką obrazą. Drobnostka, niemająca sama przez się żadnego znaczenia, nabiera ogromnej wartości, gdy człowiek właśnie tę drobnostkę uważa za wyobraźnika swojej osoby, swojego wnętrza. Tak tedy i tutaj przedmioty zewnętrzne nie są więcej uważane za to, czém są same w sobie, ale za to, czém je mieć chce indywidualne przekonanie człowieka. Widzisz więc i tutaj przewagę ducha nad zewnętrznym światem! Dla tego wyrządzenie szkody materalnej, choć ogromnej, nie jest obrazą honoru, jeżeli nie płynęło z chęci obrazy, jeżeli czyn przeciwnika nie wypłynął, również jak honor, z wewnętrznych przybytków serca jego. Świat klasyczny nie znał honoru w znaczeniu ludów chrześcijańskich, bo ani w Grecyi ani w Rzymie nie roztworzyły się jeszcze do dna wiekuiste głębie człowieka, bo tam duch żył jeszcze w harmonii z rzeczywistym światem, z naturą i społecznością, żył jeszcze życiem zewnętrznym, i dla tego właśnie człowiek był raczej obywatelem, niż człowiekiem. Jak przeto w starożytności téj człowiek nie uznaje jeszcze ogromnej wartości swojej jako człowieka, tak też, żyjąc życiem zewnętrznym, uznaje jedynie dostojeństwa, które na niego jako na obywatela spływają, które mu tedy idą ze zewnątrz, ze społeczeństwa; widzisz przeto, że tam nie ma jeszcze honoru, ale są dopiero honory. Wszak jeszcze bohaterzy i króle Homerowe lżą się i przezywają ostatnimi słowy, którychby nikt dziś nie przeniósł

na zimno; ale za to ich blisko obchodzi co jest rzeczywistém, zewnętrzném, np. wszelkie niesprawiedliwe rozdzielanie łupów, a zatém krzywdy na własności dokonane; i toć to jest iskra, podpalającą sławny gniew Achilleśa za porwanie Brizeidy; ona nie jest jego kochanką w naszym znaczeniu, ale własnością, ale niewolnicą, nie mającą głosu w téj sprawie.

Wyobrażenia zaś o honorze mogą wystąpić w najprzeróżniejszych kształtach: to się jawią w formie zdrowej, pierwotnej surowości, to znów toż uczucie honoru kaprysi i przeradza się w dziwactwa chorobliwe.

Najdobitniejszych tego przykładów dostarcza Hiszpania, która właśnie jest krajem, kędy wyobrażenia o honorze rozwinęły się w całej bujności swojej. Któż nie słyszał o téj ciżbie pieśni, co zaśpiewały setkami sławę Cyda «el Campeador;» to był rycerz w całym znaczeniu; on przecież «był urodzonym w szczęśliwej godzinie, on w szczęśliwej chwili pasowany na rycerza.» Wiesz, że Cyd kocha Ximenę, córkę Gormaza, że ten zhańbił starego Diega, ojca Cyda, że Diego żąda od syna krwi obraziciela, że Cyd waży się w boleści serdecznej między miłością a honorem, że w końcu uczucie honoru przemaga, a ojciec ulubienicy pada z ręki młodzieńca; wszak to już wiemy wszysey z Corneilla, nam atoli mniej o to chodzi; daleko więcej, jak myślę, do naszego celu nadaje się scena następna, tak charakterystyczna, a znajdująca się w jednej z tych starych pieśni. Gdy jeszcze Diego, rozpaczając nad zadany m sromem, szuka mściciela z pośród trzech synów swoich—oni stają przed ojcem. Starzec pragnie doświadczyć ich dzielności. Choć głowę pokrywa siwizny biel, uczucie honoru dodaje sił

olbrzymich starć zlodowaciałej krwi. Ujawszy ręką dwóch starszych synów prawicy, tak je ścisnął, że obaj młodzieńcy krzycząc z boleści zawołali «puść nas ojeze, bo umrzemy.» Wtedy skonała prawie nadzieja zemsty w sercu ojca. Zbliża się atoli jeszcze do najmłodszego syna, którym właśnie był Cyd, i jego prawicę uściśnął ojciec; ale młodzieniec, obrażony tym czynem ojca, rozgorzał śmiałością i szaleń,» jak tygrysowi Hirkanii zabiegły z gniewu oczy krwią i krzyknął na ojca: «Odstąp ojeze, bo biada tobie! odstęp, bo ani będę zważał, żeś ojcem moim — ani zważać będę na żadne słowne przeproszenia; ja, jakby pugiłem, temi palcami moimi przebiję wnętrzności twoje!» — Wtedy ojciec zapłakał z radości i zawołał: — «O synu duszy mojej, twój gniew jest dla mnie pociechą — twoja tkliwość na obrazę jest najwyższą rozkoszą moją. Ty mi zdołdziesz honor utracony!» — Ojciec błogosławi syna i podaje mu własną szpadę. i t. d.

To się dzieje w XI-tym wieku, za naszego króla Razimierza I. (Mnieha) a 600 lat później Calderon w tragedyi «Lekarz swojego honoru» przedstawił, jak Don Gutierre zabija małżonkę swoją ukochaną niewinną; zważ, że w tém zabójstwie on nie tak szuka zemsty krwawej z powodu niewierności i popełnionej winy, jak raczej dla tego, że małżonka «w oczach świata» nie promieni już w czystości nieskalanej; więc nie miłość, śmiertelnie raniona, ale raczej utrzymanie honoru przed światem wymaga śmierci małżonki. Dla tego, po dokonaniem zabójstwa, Don Gutierre powiada do króla:

Kto rzemiosłem się trudni,  
wyjawia je wywieszonym znakiem;

mojém rzemiosłem honor jest,  
a ta ręka krwawa znakiem moim!  
Honor obmywa się krwią!

W końcu téj tragedyi ten sam Don Gutierre na rozkaz królewski zaślubia się małżeństwem Leonorze. On jéej nie kocha, ale winien jéej to zadosyćuczynienie honorowe, bo był niegdyś jéej narzeczonym, a opuścił podejrzewając ją o lekceważenie honoru jego. Wszak powiada do Leonory:

wiedz, że byłem honoru mojego  
lekarzem, a nie oduczę się  
umiejętności téj!

Lubo sprężyny, działające w téj tragedyi, nie są prawdziwém patos, wypływającém z głębin czysto ludzkiej istoty, to przecież całe zapatrywanie się jest nie równie jeszcze zdrowszém, niż owa kazuistyka z gruntu chorobliwa, którą w innych tragediach hiszpańskich spotykamy.

Przecież jak w każdej ostateczności tkwi jéej uleczenie, tak i samowolne wyobrażenie o honorze, dotarłszy do ostateczności swoich, nawraca w siebie, znów się miarkuje. Zaiste, uczucie honoru wypływa z własnego wnętrza człowieka, ale z drugiej strony znów na tém stoi, aby przecież honor był także uznany od innych ludzi; otoż to oglądanie się na innych ludzi już miarkuje, łagodzi osobiste, ciasne, zacięte wyobrażenia, zbliżając je do ogólnego się zapatrywania w świecie, za-  
tém do ustaw rozumu, bo te zaiste są ogólnemi prawami.

---

I ciemności były nad głębokością (Genes. 1. 2.)

Ciemne były i próżne światów bezdenne przestworza; lecz wśród nocnych przepaści, wśród głuchej bezdeni wstąpiła miłość, miłość światłością promienna. Więc wśród próżnej ciemnicy, wśród głuchej otehlani przebudziły się gwiazdy, ocknęły się gwiazdy do wzajemnej miłości, ocknęły się z marzeń ciężkich, a z głuchego snu. Gwiazdy jasne, słońca świeciste, jako druhy stworzenia, puściły się kołem weselném, wieńcem radośnym, i śpiewają i grają Bogu na cześć, miłości na cześć. Bo miłość jest nutą światów, a tonów ich miarą. Gdyby jednego z tych braei jasnych, świecistych brakło w kole weselném, jużby zmarły ich tany, jużby gwiazdy wszystkie wróciły do nocnej ciemnicy, do głuchego snu; więc te światy niebiańskie, miłością wzajemną złączone, w każdym równiku swoim wszystkie widzą siebie, a każdy z nich we wszystkich kocha i miłuje własny żywot swój; w każdym świeci się i zwierciadli cały naród gwiazd na niebie, i tany ich, i życie ich.

Ziemia śpi i marzy — dech jej ulata ku niebu i buduje się w obłoczne grody i wiąże się w fantastyczne chmur postaci, niby śpiącej ziemi widziadła senne. Niebo kochaniem wzajemném odplaca za duszy jej widziadła, za świeciste grody obłoczne, bo rozpływając się dżdżem po niwach jej i gajach jej poi życiem, poi rozkoszném weselem.

Miotają się w boleści morskie kipiące topiele, grzmi piorunny oceanu szal; to dęba stają kędzierne dzikie fale, to nikną, rzucając się w otehlanie pieniaące. Lecz choć miota się boleścią, choć grzmi szalem przepaść morskich wód, wzajem leżą, wzajem wazą, mierzą ru-

chy swoje rozhukane morskie fale : każda z nich, czy się wzbija, czy przepada, jest powodem, jest i skutkiem ruchów innych fal; każda czy się wzbija, czy przepada, jest powodem, jest wzajem i skutkiem całej morskiej dzikięj gry.

W domku drewnianym mieszka igielka mała, co jęj wiecznie tęskno, tęskno do biegunowych gwiazd ; choć odwrócisz ją przemocą, choć przetrącisz nawet, ona sili się i mocuje by ci wskazać piasty świata. Igielka cicha, nieporuszona patrzy, kędy ją miłość ciągnie, a miłość jęj na dwóch nieba kończynach. Ona cicha, nieporuszona, niby śni i marzy o kochaniu swojém ; lecz niespodzianie, nagle czegoś zadygotała w sobie, czegoś się rzuca, drży, jakby ocknęła się w nięj dusza, i miota się, i ciska to na wschód, to na zachód, to główkę wysoko podźwignie , to ją głęboko spuści i kołysze się i drży, jakby strachem, lękiem niepokojona. W tęg samęj godzinie, w tęg samęj chwile, po całej częsci świata, wszystkie igielki, choć zamknięte w ciasnęg izdebce swojęg, choć o setki mil od siebie odległe, miotają się, ciskają strachem i lękiem. Skąd igielkom te niepokoje i trwogi? Na biegunie, na piaście świata mocują się i łamią, i walezą potęgi Natury, pokrewne igielce; igielka czuje ich pasowanie się i jakby jasnowidzeniem serca odgadła wszystko, choć zamknięta w domku małym. Stąd jęg lęki i trwogi!

Pszczołka brzęczy wesoło — brzęczy poranny paciorek swój, i pozdrowiła kwiatek co tęsknił miłością i biedził się miłością, a kwiatek dał jęg miodu i powierzył pszczółce tajemnicę kochania swojego, i poleciała pszczołka w posły do drugiego kwiatka, co i przyjął oświad-

ezenie lube, i także słodko podziękował pszczołce, a ona tak się sprawiwszy ulatuje i brzęczy wesóło. Latem kwiat-miłośnica przeistoczył się w owoc wonny, złoisty i wdzięczny. W owocu tym ziarnka małe, a w ziarnkach we śnie zwinięte przyszłe drzewa, przyszłe kwiaty. Ten owoc wonny, złoisty, i te ziarnka małe, toć zaiste kochania kwiatów i pszczołki brzęczącej sprawy!

I był ogród, w nim tłumne rody ślicznych kwiatów, co postrojone w sukienki cudnie wyszywane, a wystroiły się i ubrały kwiatki, bo były miłości tęskne. Jedne rade holdom pszczołek, co im grały i śpiewały piosenki zakochane; inne patrzyły za motylkami, co utrefione w barwy światowe lekkim rojem oblatywały kwiaty zalotne; inne kwiatki smutne, że bez holdów pszczołek a służby motylków, zwiesiły główki i patrzyły w ziemię, drobnym świecącym robaczkom dając posłuchanie; jeden tylko kwiat samotny w górę zwrócił oblicze swoje i w niebo patrzył. A niebo spuściło na kwiaty rosę swoją, a i wszystkim kwiatom udzieliło po rosy kropelkę. Więc i onym kwiatom motylki, drugim pszczołki wypily rosy kropelkę, a kwiatki, co w ziemię patrzyły, wypłakały swoją kropelkę co była niebios darem, a ona, jak boża peretka, spłynęła, spadła i zginęła w ziemi niewidomie. Ten zaś kwiatek, co w niebo patrzył, niebu posyłając wonie na ofiarę, zachował kropelkę jakby oczko błyszczące, a w tém oczku jego przecierało się niebo całe.

Zaprawdę, co stworzone jest, tęskni miłością, tęskni miłością do innych jestestw, co równie wykludy się na cieplej stworzyciela dłoni; zaprawdę, wszystko co stworzone jest, zmierzone, zważone jest wedle innych stworzeń, jest zarazem środkiem i celem wszyst-



kich stworzeń; zaprawdę, wszelkie stworzenie brzmi tonem we wszech światów harmonii, a im wyżej postawił Ojciec jedno z jestestw swoich na szczeblach stworzenia, tém ono ściślej zestrojone do całego koncertu natury, tém wyraźniej z niego wysnuć zdołasz całość wiekuistej kompozycji i miary jej i akkordy; tém wyraźniej w nim złożona zarodem cała myśl stworzenia. Czyliż człowiek ma stać niżej gwiazdy, lub obłocznej igry, niżej ptasząt gromady i rozbukanych wód? niżej kwiatka lub owadu lub igielki bezdusznnej? Wszak człowiek jest przyczodem jestestw stworzonych; na nim spoczęły pierwsze promienie i ostatnie promienie myśli światorodnej; z miłości dla człowieka Bóg stworzył świat, więc człowiek był powodem stworzenia. Wszak Bóg stworzył człowieka, gdy świat stanął już gotowy przed Bożem obliczem, i gdy «wszystko, co było uczynione, było uczynione dobrze» (Genes. I.); tak człowiek był i skutkiem stworzonego świata a zarazem powodem jego. Więc też w nim złożony zaród, z którego się snuje całość oniej wiekuistej kompozycji; ten zaród jest w duchu jego, w duchu myślącym, czującym. Duch człowieka ogrzany, oświecony Bożą poświatą, rozwinął myślą zaród ten, rozsnuwając samego siebie, rozsnuwając się tęsknotą nieskończoną, miłością bez granic; bo duchowi stworzonemu tak ekliwo, tak tęskno i duszno w tém samotném oddzieleniu od Boga.

W piersiach człowieka świeci ducha kwiat, a na listkach kwiatu drży rosy kropelka, niby oczko niebiańskie; niechaj się duch ku niebu zwróci a w duchu przejrzy się wiekuistość cała. Wiara Zbawienia zwróciła też

ducha kwiat ku niebu, a nieskończoność rozpromieniła się w sereu.

Ckliwo i tęskno duchowi ludzkiemu, by wiekuistość swoją obaczył. Zanim zaś anioł śmierci, zesłannik Pański, zdejmie kataraktę z oczu duchowych, wprzód, by nie olsnęły nieskończoną Bożą jasnością, prowadzi jakoby za rękę człowieka na wyższe a wyższe szczeble, do wyższej a wyższej światłości; i anioł wiedzie go zwolna od ziemi na szczyty niebiańskie. Człowiek nawzajem, w miłośnej tęsknocie ujrzenia nieskończonej istoty swojej, pragnie gorąco rozświecić nawet ziemskie zjawiska, rozświecić je tym promieniem, co w nim światłością płonie. Takto ziemskie zjawisko, choć samo z nizin doczesnych zrodzone, staje przed nim w gloryi niebiańskiej chwały; bo wszelkie nawet uczucia ziemskie, byle przepromienione owym ogniem bożym, nabiorą świętości nieskalanej i wiekuistego znaczenia, a z nimi też i przedmiot ów, do którego uczucia tęsknią, otuli się nieskończonym, nadziemskim urokiem.

Tak się tedy dzieje, że gdy tęsknota bez granic rozbierze niewymowném uczuciem seree młode, czyste, nieznieważone grubym zmysłów pyłem, już wtedy miłość na świat się rodzi, miłość, której przyświeca wiekuistości płomień, miłość pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka.

Postać ukochana jaśnieje wdziękami nie z tego świata, bo seree miłujące użyczyło jój własnego nieba swojego; co zaeności, co uniesień szlachetnych, co uczuć świętych a prawd wiekuistych w sereu kochanka, tém wszystkiém on przyodziął postać ulubienicy swojej. Te anioły wszystkie, mieszkające w sereu jego, jako w nie-

bie swoim, ustroiły postać drogą, lubą w kwiaty wiekuiste, nzbierane w rajach Bożych. Tak duch kochanka przeziara się w postaci ulubienicy swojej; im tedy on sam bogatszym będzie treścią głęboką, im on sam będzie wyższej wartości duchowej, tém wyższym urokiem, tém wyższą świętością obłany pojawi mu się wizerunek téj jego ulubienicy. Tą kochanką jego jest iście sam duch jego własny; on się w niej widzi, sam się w niej kocho. Ten obraz jój jest jego własną duszą, jego własném życiem duchowém, więc on też za tę miłość swoją chętnie daje ziemskie życie. Tak miłość ta trwa po za groby, ona moeniejsza niż śmierć.

Gdy ta miłość jest najwyższym szczytem ducha, więc gdy znajdzie wzajemność, już wtedy na nią pada szczęście najwyższe, bo wzajemność jest świadectwem dla kochanka o własnej wartości jego. Tak miłość rozda i radości nadziemskie i rozpacz bezdenne; z miłości «wykwita i róża czerwona błogiego szczęścia, i róża biała skonu.»

Ta miłość duchowa, idealna, romantyczna, nieznaną pogańskim narodom, pojawiła się ludzkim dziejom w wiekach średnich; ona również poczęła się światu gdy głębiny wiekuiste roztworzyły się w sercu człowieka, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, zmysłowego, we własne przybytki, w świat idealny, nieskończony; jest ona echem śpiewów anielskich. Wszak Dantego u wrót niebios przyjmuje Beatryxa, co niegdyś była kochaniem jego na ziemi, życiem duchowém w doczesnym żywocie; ona go prowadzi przez wiekuiste państwo nieskończonych radości.

Słuchaj śpiewu wieszeza tego: «Jako orzeł w słoń-  
 »ce, ulubienica patrzała w jasności Boże, i spojrziała  
 »w oczy moje; a to spójrzenie błyskawicą wpadło przez  
 »oczy do wnętrza ducha mojego i rozpałiło w nim po-  
 »tęgi nadziemskie: więc już wzniosłem śmiało w górę  
 »wzrok, wzniosłem go śmiało do wieczności źródłu; lecz  
 »olśniony nie wytrzymałem żarów iskrzących, spuściłem  
 »żrenicę! A ona znowu patrzy się w jasne niebios krę-  
 »gi; a ja, odwrócony od wysokości płomiennych, ssalem  
 »oczyma światłość z oblicza jój — wyssałem zachwyce-  
 »nie! Zachwyecenia tego nie wypowie już żadna ziem-  
 »ska mowa; rozumie zachwyecenie tylko ten, kto łaską  
 »przebudzony! Czyli byłem w téj chwili duszą tylko?  
 »Powiedz mi, o miłości, ty niebios przewodnico! coś mnie  
 »na promieniach światłości twojej uniosła — uniosła do  
 »wiekuistych sfer.» (Paradiso, pieśń I).

»I znowu spójrzała na mnie ulubienica moja; z oczu  
 »płonęły miłości ognie, z oczu, co przeczyste, jasne, jak  
 »Boże żrenice, a ja przemożony już spuściłem wejrze-  
 »nie moje, tracąc samego siebie, a ona rzecze:—Jeżeli  
 »ci jaśnieję miłości żarem, jaśnieję światłością niezna-  
 »ną na ziemskich padolach; jeżeli promienie oczu moich  
 »mroczą żrenicę twoją, niechaj nie będzie ci dziwem,  
 »mój wzrok rozpalony jest owém widzeniem, co im w głę-  
 »szych nurtuje światłościach, tém potężniej pociąga ku  
 »sobie.» (Koniec pieśni IV i początek V).

A Petrarka po śmierci Laury śpiewa:

»Niebios ślakami uniosłem się na lotach duchowych,  
 »bym obaczył w niebie, co zniknęło dla ziemi! I oba-  
 »czyłem ją otoczoną trzecim niebios kręgiem; ona te-

»raz ochuchana wdziękiem wiekuistym, ona teraz już  
 »bez dumy podała mi rękę i rzekła: W tém jasności  
 »kole zaślubieni będziem na wieki; ja jestem miłością  
 »twoją, za którą mocowałeś się niegdyś tak ciężką wal-  
 »ką, jam opuściła ziemską pielgrzymkę przed żywota  
 »mojego wieczorem. Rozum ludzki nie obejmie szezę-  
 »śliwości mojej, oczekuję jedynie jeszcze ciebie, co tak  
 »długo kochałeś szaty doczesne, co już pochowane na  
 »dole — na ziemi.»

Tak jest, ta miłość idealna, romantyczna, ona po-  
 jawiła się światu, gdy się rozstały niebiańskie głębie  
 w duchu człowieka; ta miłość jest pokrewna owym zwi-  
 astunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu  
 człowieka; ona mogła pojawić się jedynie u ludów chrze-  
 ścijańskich, ona również jest skutkiem wycofania się  
 ducha ze świata rzeczywistego, bo kochanek w ulubie-  
 niey nie widzi, czém iście ona jest, ale widzi czém ją  
 uczyniła miłość jego. Miłość ta, będąc również, jak uczu-  
 cie honoru, życiem wewnętrznym człowieka, na sobie się  
 opiera, w sobie ufa. Gdy atoli honor jest wyrazem naj-  
 wyższym samoistności, miłość odwrótnie żąda zrzenie-  
 nia się siebie i oddania własnej istoty. Butność mło-  
 dzieńca i hardość łamie się o potęgę miłości; tutaj egoizm  
 po raz piérwszy się ściera; młodzieniec zuchwalstwo  
 swoje, samolubstwo i upór dumny, zacięty składa u stóp  
 kochanki. Miłość jeszcze potężniej i głębiej niż honor  
 jest odnoszeniem się do wewnętrznych uczuć człowie-  
 ka; więc jeszcze mniej niż honor ogląda się na obce  
 zdanie, na wtrącanie się, na rozsądkowanie cudze, boć  
 ona przecież nie powstaje w skutek rozsądkowania i sie-  
 bie świadomego myślenia a jest mocą, która owładnęła

ducha, stając się jego mistrzynią a panią. Miłość jest patos, co porywa, unosi bezświadomie, mimowolnie, i w tém podobna do geniuszu, który zarazem jest potęgą niby obcą, a przecież swoją. W miłości jest rozłamanie się ducha na dwoje; bo zarazem człowiek niby działa wedle woli swojej, a przecież jest bezwolny,— w nim świeci myśl jasna a przecież oczyniona—on jest sobą a przecież nie swój, nie jest sam sobą.

Barbara Radziwiłłówna pisze do Zygmunta listy pełne tęsknoty rzewnej i ufności bez granic «Jeżeli W. K. M. pan mój ze mną, któż przeciwko mnie?» i znów w inném miejscu: «Posyłam ja też W. K. M. pierścionek od wiecznej niewolnicy swojej, racz W. K. M. miłościwie przyjąć on zegareczek ode mnie, bogdajby mnie rychło oznajmił fortuną a wesolą godzinę przyjechania W. K. M. sam do nas.» W tych wyrazach pełnych prostoty i uczucia znać że Barbara kochała Zygmunta Augusta choćby i nie był królem, i dla tego też, gdy gromem spadła na niego śmierć ulubienicy jego, on w sloty i burze odprowadza jej zwłoki do grobów wileńskich; przez ciemne puszcze Litwy idzie droga do przybytków śmierci — czarne konie ciągną karawan, na którym Barbara w trumnie; obok karawanu na koniu król ze smętkiem w sereu. On wiedział że Barbara kochała w nim nie króla, ale kochanka (\*).

Więc też posłuchaj co pisze w téj mierze Heloiza przeszło czterysta lat wcześni.

Heloiza do Abelarda w jednym ze swoich listów łacińskich tak się wyraża: «Bogiem się świadeczę, gdyby

---

(\*) Ob. L. Siemieński w dodatku do „Czasu” r. 1850. N. 12.

»Augustus (Cesarz), pan wszechwładny ziemi całej, uznał  
 »mnie godną pojąć za małżonkę swoją, gdyby mi oddał  
 »cały świat pod panowanie moje, toćbym przecież uwa-  
 »żała być wyższej zacności stać się ulubienicą twoją,  
 »niż świata panią. Niechaj się żadna z kobiet nie łu-  
 »dzi, niechaj wie, że jedynie sprzedaje osobę swoją, gdy  
 »się zaślubia chętniej bogatemu niż ubogiemu mężowi;  
 »niewiaście takowej należy się raczej zapłata pieniężna,  
 »niż miłości cześć» i t. d.

Miłość zaiste nie radzi się myślenia. Póki miłość w sercu panuje, póty też człowiek nie zdoła odróżnić siebie od tego uczucia swojego; nie zdoła przeto badać i ważyć téj miłości swojej; bo gdy ją bada, rozbiera, gdy nad nią rozumuje, myśli, już wtedy odróżnił się od niej; już wtedy ona jest czemś różnem od istoty jego i już nie masz miłości. Właśnie zaś z powodu iż miłość jest tą mocą czarodziejską, tém uczuciem patetycznem, co czyni człowieka bezwolnym i wolnym zarazem, co go unosi, porywa nurząc się w najgłębszych toniach duszy jego; właśnie dla tego miłość jest tak niewyczerpaną, tak nieprzebraną nigdy osnową dla fantazyi chrześcijańskich ludów. Jak zasiew w Maju, tak puściły się pieśni miłości, i na wschód i na zachód, na północ i południe Europy i brzmiały te pieśni w ludach chrześcijańskich i germańskich i słowiańskich. Miłość wylewała się dźwiękiem lirycznym, uosobiała się w postaci epopei, aż i w późniejszych wiekach, w następnej epoce, stworzył się dramat miłości, który śmieje się i żartuje w komedyi, lub kona w tragedyi.

Nie zaprzeczam ci, że ta miłość romantyczna, tak idealna, właśnie dla téj idealnej natury swojej porywała

człowieka często w drugą ostateczność, w drugą sprze-  
czność, więc w grubą, brudną, zmysłową ochęć. Boć  
ostateczności są, jak wiesz, cechą średnich wieków. Tak  
obok wdzięków niebiańskich, niebołotnych Dantego i Pe-  
trarki nie brakło w całej ówczesnej Europie przygódek,  
jakie nam maluje Boccacio, lub przedstawia żywot nie  
jednego z lekkosereych Trubadurów. Bywały historyjki  
podobne do owych scen, które się odbyły między Wal-  
kierzem i Wisławem, a panną Helgundą, królowną fran-  
końską, która tak się roztkliwiła pięknymi śpiewkami,  
które jej nocą pod oknami nucił nasz Walkierz, że się  
też dała wyspiwać z ojcowskiego zamku i uprowadzić  
aż tu do nas pod Kraków, na zamek Tyniecki. Przypo-  
minam ci, jako ta dama zagraniczna spisała się w Pol-  
sce — jako ona zachwycała się urodą Wisława, które-  
go Walkierz trzymał w wieży Tynieckiej, jako ona  
w nieobecności małżonka, uwolniwszy ślicznego ryce-  
rza, uszła z nim do Wiślicy, i jako Walkierz wróciw-  
szy z wojennej wyprawy, po scenach, które pomijam, je-  
dném cięciem zabił oboje kochaństwo. Wszak długo  
poźniej jeszcze widziano kamień, w którym wyrzeźbione  
były sceny Walkierza i pani Helgundy, jako na prze-  
strogę a naukę moralną sercom kochającym.

Zgadzam się też chętnie i na to, że ta miłość ideal-  
na wyradzała się w przesady dziwaczne; wolno ci się  
uśmiewać, gdy sobie pomyślisz owego rycerza, co się  
wałęsa, błaka po świecie, i wyzywa i wależy i goni na  
ostre z każdym, coby śmiał wątpić o piękności damy,  
której poświęcił służby swoje. Wolno żartować z owych  
piękności, które przyrzekały rączkę i serce wielbiecie-  
lowi swojemu pod warunkiem aby np. za rok sześć nie-



dziel złożył u stóp jej z pół kopy wizerunków damskich, odebranych innym rycerzom walką krwawą. Niechaj sobie drwi dzisiejsze pokolenie z owjej miłości idealnej, romantycznej, przesadzonej, aleć mnie się zdaje, że choć sobie może żartować z owych czasów, jednak mu nie wolno niemi pogardzać: zacniej podobno dziwaczyć się z ideałami w sercu i gonić je uczuciem ponad gwiazdy, niż tarzać się w młakach samolubnych; z tym szaleństwem bezrozsądnym piękniej podobno ówczesnym rycerzom, niż wielom z dzisiejszych, których miłość spekulacyą a duszą tabliczka mnożenia.

Zważ jeszcze — jak miłość uczciwa, idealna, serdeczna łamie, jakieśmy rzekli, butność zuchwałego chłopca i kruszy w nim samolubstwo, tak też i ta miłość romantyczna głównie się przyczyniła do przemożenia barbarzyństwa dzikiego wieków średnich; ona pomogła do strącenia surowizny uczuć twardych, upartych, butnych, ona przekłuła serce, nieużytą skorupą odziane, i tak przygotowała Europę do cywilizacyi i kultury.

Otoż fantastyczność awanturnicza, dzielność samostnych charakterów, śmiałość mężstwa, honor, miłość idealna, były ziemskiemi pierwiastkami, które składały życie romantycznego świata. Moglibyśmy tu inne jeszcze wytknąć potęgi, które podobnie robiły i kipiały w sercu tych poetycznych czasów, lecz te, które wymieniłem, wystarczą. Chciiej tylko zważyć, że wszystkie te pierwiastki weszły w krew i soki nowożytnej Europy, że w niej żyją i tętnią pulsem żywym, choć często niewidnym.

Te pierwiastki wszystkie właśnie stanowią fantazyą powszechną (List XI), fantazyą rozlaną w duszy ludów,

a która jest osnową bogatą, a morzem nieprzebraném, wicznie żywym zdrojem, z którego czerpie fantazyja artystyczna wieków romantycznych; ta osnowa staje się jeszcze obfitszą, bezdenną, jeżeli będziesz baczyl, że te pierwiastki nie tylko występują po jednemu, z osobna, ale najczęściój ważą się z sobą, wależą w sercu, zderzają się i krzyżują kollizyą, a tak nowe a nowe zradzają osnowy, których nie znała fantazyja starożytna. Zważ jeszcze, że te moce i pierwiastki same znów odziane są w promienie wiary, nadając jej cechę tak przeważną fantazyji chrześcijańskich ludów, jak to widziałeś w liście moim ostatnim.

Ta osnowa wszystka — toć zaiste kopalnia nieprzebranych skarbów, co ukryte w podziemnych, nocnych przepaściach górskich, strzeżone przez demony zazdrośne; lecz ile razy zjawi się mistrz, zwiastun przeszłości, już różeczką czarnoksiężką odgadnie te skarby; one zapłoną ogniem, a zazdrośne demony uciekną spłoszone potęgą magiczną prawdziwój poczyi.

Cała ta atoli osnowa, wszystkie pierwiastki téj fantazyji powszechnój rodzą się właśnie z owych głębin duchowych, które rozpromieniły się we wnętrzu człowieka; one wszystkie były wypadkiem onego nawrotu ducha ku sobie i jego odstania od rzeczywistego świata, one więc wszystkie mają cechę rozdzielenia się wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ztąd też osnowa téj fantazyji powszechnój jest odpowiednia społecznej, artystycznej fantazyji, więc dziełom sztuki czasów romantycznych. Bo jak poczucia nieskończoności, zrodzone nie z tego świata, rozdzielają ducha człowieka od rzeczywistości, tak też i w dziele sztuki znać, że nieskończo-

ność a dzieło, w które ona jest wlana jako we formę swoją, nie są sobie odpowiednie, znać, że treść nieskończona nie zdoła się pomieścić w dziełach sztuki, jako w wyrażeniu swoim zewnętrznym.

Otoż wiemy jakie były pierwiastki duchowe w tych wiekach, wiemy, jaka była fantazyja powszechna, a tém samém jaka była osnowa dla fantazyi mistrzów tych średnich stuleciów. Przecież to wszystko tém jaśniej wyświeci się, tém szerszej roztworzy nam duszę swoją, jeżeli zwrócimy jeszcze baczną, jakto zapatrywał się człowiek w średnich wiekach na rzeczywistość zewnętrzną, a mianowicie na świat zmysłowy, czyli na Naturę i na świat duchowy, zwłaszcza na dzieje powszechne ludzkiego rodu. Nie trudno ci wywróżyć, co nam się pod tym względem wyjawia, byleś chciał mieć na myśli całe usposobienie umysłowe średnich wieków, rozwinięte powyżej: więc owo pogrążenie się ducha w sobie, a odwrócenie się od rzeczywistości, od natury, która go otaczała do koła; a przedewszystkiém chciaj już pamiętać, com rzekł powyżej, że właśnie dla tego usposobienia swojego duch o tyle tylko sobie ważył świat ten zewnętrzny, te formy natury, o ile były mu środkiem do wyrażenia treści swojej indywidualnej, która w nim pracowała, miotając nim i robiąc.

---

Jak będziesz kiedy w Krakowie, przejdź przez Wisłę, potem weź się na prawo, zostaw po za sobą i mogiłę Krakusową i ów samotny, dziki jar opoczny, co go lud szkołą Twardowskiego zowie; bo podobno on tam, jak słyhać, miał się uczyć po nocach od szatana ele-

mentarza czarnoksiężkich sztuczek swoich; a gdy już miniesz całą ścianę skalną stromych krzemionek, wtedy miej się ciągle pod wodę, a nieza długo staniesz w Borku. Borek—to wioska, co warta pamięci i czei. Bo widzisz, będzie temu lat sześćset, gdy ludy europejskie dumaly marząc w ciemnej noey duchowej; zegar dziejów ludzkich za ledwie był wybił północ głuchą; wtedy, jakby ptaki noene, ciężkiem skrzydłem wałęsały się po świecie roje zabobonów i guseł, a snuły się po ziemi straszidła szkaradne, a chodziły wśród żyjących spragnione upiory. Otoż w tej grubej noey, siedział właśnie w tym Borku szlacheie, co się bawił światłem. Zwał się on Witellio, bo się ciołkiem pieczętował. Otoż ten szlacheie od rana do wieczora kreślił jakieś figury matematyczne, liczył i rachował, i badał światło, i uważał, jakto się promienie jego odbijają, jak się łamią, i nadstawiał im to płaskie, to wklęsłe, to wypukłe zwierciadła, i znów czasem ostrokątowe; i prawił o zbieraniu się światła, o ognisku tych zwierciadeł, nawet był przekonany, że mocą takich zwierciadeł i ogień rozniecić można! Znów rysował i liczył i tłómaczył teorią ludzkiego oka. Patrzył też często to na słońce, to na księżyc, i dla tego nieraz wychodził na górę Lasotę, a nawet na stojącą na niej mogiłę Krakusa; bo tam mógł więcej nieba i świata obaczyć. A gdy się już dużo napatrzył, i naraehował, i figur nakreślił, jał się pióra i napisał Optykę; a co on skreślił w tej książce swojej, toć potwierdził i uczony Paryż; szkoda tylko, że dopiero w pół tysiąca lat później. Widzisz, że nie ma się czemu dziwić, że go społeczeńi za ezarodzieja mieli; ale szczęściem dla niego, iż oni dopiero po śmierci tak się

na nim poznali. Właśnie w te same lata, gdy nasz Ciolek sobie chodził z dworku swojego na Krakusową mogilę, a z mogiły do dworku, żył daleko od niego, bo za morzem, bo w Anglii mnich, nawet mu z imienia nieznany. Lecz choć się oni nie znali, oba byli przecież braćmi z geniuszu i natchnienia. Roger Baco, bo tak było na imię mnichowi temu, także był za czarnoksiężnika, ale za życia jeszcze, uznany. Wysechł więc w katuszach więziennych, w podziemnych ciemnicach, odgradzony od ludzi i od słońca, a głodem morzony. I on bawił się światłem! A ciągle sobie roił po głowie niestworzone rzeczy, a co mu się uroiło, toć i zapisywał w wielkiej księdze (opus majus). Zważno, co on w niej pobajał: »można sprawić zwierciadła, co przybliżą słońce i księżyc do ziemi, a pacholę, przez zwierciadła takie widziane, powiększy się w olbrzyma; połącz razem saletrę i siarkę i węgiel, a będziesz miał zaprawdę co udaje doskonale błyskawicę i grom, a siła jój tak potężna, że i miasta rozwali. Nie cuda też złożyć wozy, powiada, coby i bez pomocy zwierzęcej przebiegały z szybkością wiechrów ogromne przestrzenie; możnaby też takie wymyślić statki, któremiby zdołał pokierować sam jeden człowiek; ktoby chciał, mógłby też za pomocą machin nawet unieść się w powietrze jak ptak, albo spuścić się w bezdna morskie i obaczyć ciemne wód tajemnice.

Patrz—takowe to geniusze świeciły na onczas gwiażdą płomienną! Choć atoli świeciły jasnością, a choć i światłość była ich ulubienicą, której oddawały służby i życie swoje, przecież ciemno, nocno i głucho było po ziemi. Natura i zjawiska jój, one bezduszne wiekuistej mądrości zwiastuny, były jeszcze dla ludzkiego rodu księ-

gą tajemniczą, na siedm pieczęci zamkniętą. Cała umiejętność bawiła się dwojaką filozofią. Jedna była owa scholastyczna; dla téjto filozofii nie było natury, ani rzeczywistości; ona popisывała się bystrością osobistą w sylogistyce sztucznej, będącej jedynie wyskokiem subtelności rozumowój; nie zostawała więc w żadnym stosunku do zewnętrznego świata. Obok téj filozofii scholastycznej, zasadzającej całą mądrość na formach rozumowania, na sztukach łamanych logiki ówczesnej, żyła w średnich wiekach druga, dla której zdrojem prawdy było widzenie wewnętrzne, patrzenie się w objawy prorocze własnego ducha, kontemplacye tajemnie własnego serca: słowem, była to filozofia mistyczna, głęboka, bezdenna a pragnąca w zapadaniu w siebie połączyć się z Bogiem. Obie te filozofie średnich wieków, lubo sobie odwrotne, były przecie koniecznym wypadkiem ducha téj epoki, one obie są wzajemnym sobie dopełnieniem, obie nie uznają znaczenia natury i rzeczywistości.

Duch człowieka w średnich stóleciach, w siebie się patrząc, miał dla cudów przyrody olśnione źrenice. Natura — to wroga, to pokusna potęga, — ona przyczajona rozpina zdradnie sidła nieopatrznej zmysłowój ochocie. Ztąd pogarda dla pięknych, uroczych form; ztąd człowiek wzdryga się na myśl wcielania, zmateryalizowania prawd świętych w postaci wzięte ze zmysłowój natury. Fantazyja, odwrócona od cudów przyrody, była głuchą na jój muzykę, ślepą na jój wdzięki czarowne. Duch modlił się w sobie, uczucia płakały z rozrzewnienia w cichym, samotnym sercu przybytku.

Dopiero późno, bardzo późno, gdy brzask młodego dnia rozwidnił świat średnich stóleciów, zwolna znikala

mglista opona z dramatu natury; a po jednemu roztwierały się okienka duszy, i powiew świeżego zarania oświetlił zadumaną Psyche; a ten powiew zarania i pierwsze łuny świtu nowój epoki wyjęły duszę z samotnej wewnętrznej świetlicy w ten piękny Boży świat. Późno, bardzo późno zjawilo się przekonanie w duchu, że najwyższa świętość na niebie w najwyższej piękności na ziemi znaleźć winna zaene uwidomienie swoje.

Zapuć się pielgrzymką w zamętne Rzymu lub Neapolu katakomby. Tu miasto Boże rozrasta się labiryntem podziemnych konarów. Uliczki wąskie, niskie, biegną, krzyżują się; znów odstępują od siebie i znów się wiążą; wszędzie i wszędzie u góry, u dołu, we wszystkie strony, i z prawej i z lewej w ścianach wykute niże podłużne, kędy robotniki w winnicy Pańskiej złożyły kości swoje—one spoczęły około męczenników wiekuistej prawdy, jako umierają pszczelne roje około swojej matki. Gdy zaświecisz w te niże, obaczysz jedynie popioły i kostki martwe, lecz słyszysz w nich tajemne bicie ich serca; słyszysz i odgłosy ich tryumfów w skonaniu. I zewsząd ciągną się ulice, krużganki śmierci, i groby przy grobach; zewsząd towarzyszą ci na podróży po ciemniach umarli, umarli w światłości a za żywot wiekuisty. Wędrowcy, przyświecając sobie drogę zapalonemi gromnicami, ciągną długim sznurem światełek błędnych, jakby orszakiem pogrzebnym, po przybytkach zmartwychwstania. Niekiedy rozstapia się ciasne korytarze i dźwigną się wysokim stropem, — to niegdyś kaplica; ława kamienna, jama u góry, — to niegdyś ambona; grobowiec świętego męczennika, Bożego wybrańca — to ołtarz, ołtarz ofierny. Podnosisz po-

chodnię, co niepewném światłem drży po ścianach, a po ścianach, po stropie dygocą przedwieczne malowania. Rzekłbyś, że psalmy, hymny, pieśni święte, łzy i płacze wcieliły się w te malowania, co jak krzewy wonne rozpięły się po ścianach, po stropach kaplicznych. I toniesz okiem w tych obrazach, i toniesz z lękiem i czcią w sercu w tych postaciach, co tu jakby Bożem przykazaniem żyją i mówią wśród popiołów, wśród cielesnej niemoty. Te malowania rozkwitły tu po grobach przed półtora tysiącem lat w owych pierwszych wiekach chrześcijańskich, kiedy ziarno Boże puszczało lekkie kielki z pod wrogich mrozów świata. Te malowania tak rzewne, tak niewypowiedzianym wyrazem wglądają w duszę twoją; i ty nawzajem toniesz w nich myślą i sercem.

Zrazu dreszcze i uwielbienia i lęki przebiegły cię mrowiem, a braknie upamiętania, zebrania w sobie, byś zdołał widzieć artystyczność, która władała pędem starego mistrza; bo ty zrazu, podobnie jak on, jedynie oczyma ducha widzisz te dzieła jego; mileżą zmysły cielesne, olśnione nadświatnym promieniem.

Gdy się nieco rozpatrzysz i nawrócisz do siebie, wyznasz, że w rzadkich wyjątkach tylko znajdziesz formy ścisłe artystyczne, a to jedynie o tyle, o ile je zawierały jakby przypomnienia z umarłej już sztuki klasycznej Greków; o ile zaś one urosły samoistnie z ducha pierwszych chrześcijan, o tyle znać w nich lekkieważenie sobie natury i w postaci i w draperyi. A przecież mimo braku ścisłego rysunków, mimo twardości i skostnienia tych figur, one ogromną potęgą uderzają na widza, bo przez te formy nieartystyczne wygląda treść



wiekuista; treść ta przerosła formę, która pęka niby łupina wymietna wypuszczając z siebie Boże ziarno, owoce niebiański. Tutaj wszędzie znać kompozycyą ogromną, pomysł całości genialny, obok niedostatku w samém wykonaniu; wszędzie widzisz, że forma zewnętrzna, widoma sprostać nie zdoła treści tak nieskończonój jak wieczność. I tutaj, jak i wszędzie w tych stóleciach, poznajesz że świat zewnętrzny, że ta natura, że życie doczesne nie ma znaczenia dla człowieka, dla ducha, że ona o tyle jedynie waży, o ile jest dla niego środkiem a znakiem do wyjawienia jego treści wiekuistój. Te malowania, to iście himny i psalmy; jest to modlitwa, co śpiewa w duchu człowieka, jest to źródło, co wypada z sereą pełnym potokiem bez względu już kędy popłyną wody jego; jest to malowania liryczność najwyższa.

Widziałeś tedy jaki był powód głęboki braku artystyczności i natury w pierwszój sztuce chrześcijański; już ten powód spoczywał na dnie ówczesnych wieków i tkwił w nich nawet bez ich świadomości jasnej. Średnie wieki, choć nie znały ducha co w nich żył, miały wstręt instynktowy do form uroczych natury, więc do pięknych obrazów, do cudnych posągów i same tłómaczyły sobie tę niechęć swoją niby obawą, aby te dzieła sztuki nie były przypomnieniem pogaństwa.

Zważ jeszcze, że gdy ta prawda już wyświeciła nam się jasno ze samego wykonania tych obrazów, toć ona jeszcze silniej nas uderzy, gdy zwrócimy baczną uwagę na ich osnowę. Jakoż najczęściiej w tych eichych przybytkach żyjących-umarłych przedstawia się postać dobrego pasterza, statku miotanego burzą, baranka, pal-

my i t. d.; aleć podobne obrazy są symbolami, a symbol właśnie ma dwojakie znaczenie: bo jedno widoczne, dotykalne, niby zmysłowe, a drugie znaczenie nadane, duchowe. (Palma np. raz znaczy wprost palmowe drzewo, drugi raz pokój niebiański). A to znaczenie duchowe właśnie tutaj waży, ono jest duchem tych obrazów; te przedmioty nie dla siebie istnieją ale dla znaczenia swojego; one są tylko środkiem dla wyjawienia się ducha, są widocznym jego znakiem; znaczenie ich naturalne, przyrodzone tak nie waży, jak i natura sama. Wszak później znajdziesz wprawdzie sceny z pisma Ś. Starego Zakonu, ale i te mają znaczenie symboliczne: są to allegorye, bo się odnoszą do prawd wiary chrześcijańskiej. (np. Abraham, ofiarujący syna, jest przenośnią, wyrażającą Niebiańskiego Ojca, co Syna jednorodzonego poświęca światu na zbawienie).

Owo pomiatanie naturą znajdziesz i w starych mozaikach, które ubrały kościół Wenecki Ś. Marka, lub świecą tak poważnie po najdawniejszych bazylikach Rzymu. Znajdziesz to lekceważenie form przyrody na całym chrześcijańskim wschodzie w owym bizantyńskim malowaniu; te oblicza ciemne, oczy rozwarłe, pełne grozy, ten nieruchomy wyraz twarzy, ta draperya i układ jej, one zaiste nie zrodziły się z zapatrywania się na naturę, co tak pełna krwi i życia i ruchu. W tych postaciach nie tętni serce ciepłe, ustały pulsa i tępy. W koło też nich nie widać natury, pełnej wesela, nie widać drzew, łąk kwiecistych, źródeł strumieniowych. Zamiast wizerunków malowanych tej przyrody żyjącej, grającej, błyszczy złote tło, wyciskane w różne wzorki, niby kobierce świecciste. To tło błysz-

eząc i jaśniejąc potęguje jeszcze wyraz grozy owych ciemnych, uroczystych twarzy. Ztąd też widok ich uderza jakimś głuchym strachem; patrząc się na te oblicza czujesz jakieś oczynienie i zawianie duszy jakimś chuechem z innych światów.

Jakoż zwolna, stopniowo wyzwalała się sztuka.— Po jednym, niby ptaki wędrowne, wrózbity nadehdozającj wiosny, pojawiają się długim szeregiem wieley mistrze, wysłanniki nowj epoki sztuki. Tak przodem staje Cimabue. On roztwiera serce swoje przyrodzie, a choć się jeszcze nie zdoła wyswobodzić z pod urzeczenia bizantyńskiej sztuki, toć przecieź jego malowane oblicza, jego pojmowanie natury tak do serca przemawia, tak jest lubie i wdzięczne, że wykończenie jego obrazów staje się świętém narodowém dla ludu i dumą najwyższą zaenych jego ziomków. Wszak wizerunek jego Najświętszj Panny przenoszą uroczystym pochodem z pracowni mistrza do kościoła, a orszak świetnego rycerstwa i grono możnych książąt włoskich towarzyszy uniesionemu radością ludowi.

Raz, pewnego wieczora, aniołek malarstwa wyprowadził mistrza w dalekie łąki i gaje. Wśród skał samotnych spostrzega Cimabue pastuszka, co, leżąc po swojemu na ziemi, rysował kamykiem wizerunek swojjej kozki ulubionj. Cimabue bierze za rękę bosc pacholę i wie dzie z miłością do przybytku sztuki, i uczy i pieści chłopczyne, aż z niego wypiautował onego Giotto, który był również wielkim mistrzem w architekturze i w malarstwie i w rzeźbie. Właśnie to on zwrócił sztukę na nową drogę, którj nie przeczuwał nawet świat. Giotto, również jak przyjaciel jego od serca— Dan-

te — uczy się na starożytnych mistrzach i patrzy się naturze w serce, i w oczy, i pyta ją o radę. On ją z serca ukochał. Ta jednak miłość jego jest jeszcze nieśmiała; jest to jakby pierwsze kochanie młodzieńcze, trwożne, bojaźliwe, nie ufne sobie. Giotto, otoczony w koło bogactwem nieprzebranej różnaitości téj kochanki swojej — natury, chodzi lękliwie po jęj pałacach, i nie ośmiela się przebierać wśród tych kształtów rozmaitych; więc też jego obrazy jeszcze wiązane są jakąś architektoniczną symetrią, jego oblicza malowane mają jakiś wspólny sobie typ; brak im indywidualności. Ztąd już wyraźnie znać, że one nie tak są umiesione z natury, jak raczej wszystkie, niby braciszki rodzone, mają jedno spólne gniazdko swoje, — a tém jest właśnie serce i duch samego mistrza.

Baczmyż przeto teraz na różnicę włoskiej a północnej fantazyi. Różnica ta dobitna, choć tu i tam panuje jeden i ten sam pierwiastek, bo cofnięcie się ducha w siebie i lekceważenie sobie natury. Widziałeś na dziele Stwoszewém Krakowskiém silnie wyrażającą się indywidualność na postaciach rzeźbionych; bo mistrz, nie mając innych wzorów, trzymał się natury, czyniąc z nięj wizerunki, portretując ją, ale nie zdołał téj naturze nadać własnej swojej indywidualności, nie zdołał wyrazić zmysłowo własnych uczuć swoich które mu w sercu grały. We Włoszech zaś to samo przebywanie ducha we wnętrzu swoim wyraża się właśnie tém, że mistrz siebie, swoje własne osobiste zapatrywanie maluje w obrazach swoich, i dla tego te postaci, pęzlem jego stworzone, są tak podobne do siebie; nie są wzięte z natury, nie mają właściwej indy-

widualności, któraby je różniła między sobą, i dla tego są tak idealne, duchowe i wyrażają uczucia mistrza. Tak indywidualność, będąca cechą wieków średnich, występuje w północnej Europie tym trybem, że tu mistrz wyraża ją w dziele swoim, jako w wizerunku wziętym z rzeczywistości; a we Włoszech owa indywidualność objawia się tém, że mistrz w dzieło swoje wciela wprost treść idealną, wewnętrzną, swoją własną indywidualność, nie bacząc jeszcze na naturę i jej różnorodność. W obu zaś tych razach widać jeszcze rozdzielenie ducha, bo treści wewnętrznej mistrza a zewnętrznego świata, czyli natury. To zaś rozdzielenie, ten dualizm, jak wiesz, jest właśnie piętnem ogólném, spólném wszystkim wówczas krajom i ludom (\*).

---

(\*) Zważ jeszcze, że mistrze włoscy mają tu ciągle przed oczyma zabytki kosztowne starożytności sztuki klasycznej, które właśnie są tak idealne, ogólne; — co więcej duch starożytnego świata żył jeszcze w tradycyi, żył w urządzeniu, w składzie i lądzie miast włoskich, a historia kraju włoskiego w średnich wiekach jest historią miast włoskich. Tutaj przeto indywidualność ludzka nie mogła tak wybijąć samodzielnie jak w Europie północnej, bo wzięta była w karby przez wspólne prawa, ustawy, obyczaje i t. d., więc przez moc również ogólną. Przeciwnie na północy rozkołysał się tak silnie feudalizm, że prawa ogólne mniej miały wagi, ale za to indywidualność, każdemu właściwa, wyrosła butnością i z całym zuchwalstwem mocy, która sobie ufa i żyje oparta na swojej potędze. Otóż, o ile sądzić się ośmielam w tej sprawie, takowy jest powód różnicy fantazyi ludów północnych a włoskich mistrzów. Odważam się przy tém powiedzieć, że też odpowiedni tej różnicy jest historyczny rozwój sztuki. We Włoszech idealność ku temu się ma, aby się indywidualizować, a na północy indywidualność postaci ku temu dąży, aby się zidealizować! Każda z tych fantazyi dąży do tego, aby idealność i naturę, — indywidualność a piękność nadziemską zestroić w jeden dźwięk, słowem, aby ześlubić z sobą fantazyą romantyczną i klasyczną spólném przymierzem; co się też ziści, jak obaczymy, w przyszłej epoce bo w XVI stuleciu, które jest szczytem sztuki nowożytnej.

Wracając atoli do Giotto, uważ, że u niego pierwiastek ogólny i tém się jeszcze wyjawia, że obrazy jego lubią allegorye, bo znaeczenie przenośne, choć to nie są czeze, głuche allegorye, ale takie, co mają w sobie życie i krew. Jak ten pierwiastek tkwi, z jednéj strony, w mistrzu samym i w jego ludzie i w czasie, tak z drugiejj strony i przyjaźń jego z Dantem, przemawiającym tak często przez allegorye, a nadto echa, dolatujące ze symboliki piérwszėj sztuki chrześcijańskiėj, były téj allegoryezności Giotta przyczyną zewnętrzną.

Mimo atoli tego, że Giotto nie oswoił się jeszcze z naturą, przecież niesłychany wdzięk żyje w tych malowaniach jego; one tak piękne i lubę, że znać, że to kochanek natury malował oblubienicę swoją, choć lękliwie i nieśmiało. Trudno mi wspomnieć o tych wszystkich mistrzach wielkich, którzy zacnym promiennym orszakiem przeszli po włoskiejj ziemi. Mimo różnocy ich i co do geniuszu i rodzaju ich talentu, na nich wszystkich jednak spoczywa już choć z lekka tehnienie romantycznėj fantazyi.

Patrząc się na ich dzieła, rzekłbyś, że już naturę opłynął świt różowy, odsłaniając stworzenia cuda, lecz że we własnym domu ducha jasno płonące światłości olśniły jeszcze oczy fantazyi, że jēj tedy trudno rozpoznać kształty, które już dniały na tym pięknym świecie Bożym. Rzekłbyś, patrząc na ich obrazy, że nie tak widzisz przedmioty malowane, jak raezėj głębiny wewnętrzne duszy każdego z tych mistrzów zacnych; ich dzieła, to liryczna pieśń, która z piersi wytrysła, by użyć seren, co przepelnione kipiącém uczuciem, a pieśń ta i jēj dźwięki i uczucia krystalizują się i ści-

nają w barwy i światła obrazów malowanych, uczuciowych a pełnych sentymentalności miękkiej. Tak na pograniczu prawie średnich wieków a szesnastego stolecia klęczy pobożna postać zakonnika-malarza o uczuciach niebiańskich, czystych jak pieśni aniołków około bożego tronu; więc go też nie darmo zwano *Giovanni Angelico* da Fiesole (1387+1455). On zakonnikiem, on maluje bez zapłaty, li z serdecznej miłości dla Boga i ludzi, on pracuje na cześć Bożą i Matki Jego przecnajświętszej; a gdy maluje, płacze z rozrzewnienia, bo widzi te święte niebiańskie postaci przed sobą, i modli się i krzyżem leży, i z duszy błaga Boga-Rodzącę, by też na niego zesłała łaski swoje, by go natchnęła błogosławieństwem swoim. W klasztorze Florenckim świętego Marka, po cellach, po korytarzach, po kaplicach widzieć możesz dzieła jego; to jego modlitwy malowane, to jego łzy, to jego tęsknoty ku niebu; one przybrały na się kształty widome, a tak przeczyste jak ta lilija promienna, co mu tehem bożym w duszy rozkwitła. Ztąd też kościół beatyfikacyą uczcił anielskiego malarza. Otóż na jego obrazach nie szukaj ścisłości rysunków form cielesnych; ale za to ułożenie tych figur, wyraz ich oblicza,— to z nieba przychodnie, co stanęły w celli obok mistrza, by miał wzór świętości przeczystej, a barwy jego tak łube, tak pełne wdzięcznej harmonii! Mówią, że mu się postać szatana nie udawała; zaiste, bo go nie miał w sercu!

W miarę jak człowiek w tęsknocie swojej zbliża się do natury, podpatrując jej kształty i podsłuchując jej mowy, coraz też więcej a częściej występuje ta przyroda bezduszna w obrazach. Więc pojawiają się

już zwolna widoki okolic, niebo, drzewa, góry dalekie, otaczając ludzkie postaci; a dzieje się to i na południu i na północy. Przypominam ci te uroczyska kompozytów Jana van Eycka, onego arcymistrza staréj flandryjskéj szkoły. Lecz zważ, że natura jest tutaj wszędzie niby dopiero oprawą dla postaci człowieka; ona nie istnieje dla siebie, ale istnieje jako środek dla figur ludzkich. Natura nie pojawia się tutaj nigdzie jeszcze samoistnie i odrębnie; słowem, nie masz jeszcze tego, co nazywamy malowaniem pejzażu, kędy natura jest przedmiotem głównym, a figury ludzkie jedynie dodatkowym środkiem do spotęgowania jéj znaczenia, a tém mniej znajdziesz w téj epoce malowania roztańczając samą naturę bezludną, samotną, żyjącą dla siebie i w sobie. Uważ, że ta cecha, niby ta nieśmiałość do natury, tak silnie jeszcze władnie w dziełach fantazyi romantycznej, że spotkać możesz nawet jeszcze jéj ślady w następnej epoce sztuki, więc w epoce, gdy one geniusze olbrzymie, one kapłany piękności w XVI wieku stwarzają cuda, światu na uwielbienie. Patrz na bitwę Konstantyna w Stanzach watykańskich, malowaną przez Rafała;— konie, jak dawno uważano, są błędnie rysowane obok postaci ludzkich nadświatowego uroku.

Ten sam duch, który żyje w malarstwie romantycznych stuleciów, śpiewa również i w ich poezyi. Rzuć okiem, czy to na epopeje, czyli na liryczne pieśni, i Francuzów i Niemców w średnich wiekach, a wszędzie i zawsze obaczysz, jak oszczędnie wieszczowie malują naturę, dotykając się jedynie mimochodem jéj uroków czarodziejskich. Nawet w miłosnych piosenkach trubadurów i minnesengerów usłyszymy wprowadzić jakieś



potrącenie o struny otaczającej ich w koło przyrody, ale dźwięki tych strun nie zlewają się nigdy wdzięcznymi akkordy z treścią główną samej pieśni. Kochankowie w tych pieśniach (jak mówi jeden z dzisiejszych estetyków) niby dużo i często prawią i o słowikach i o różach i o porach roku; zważmy jednak, że te słowiki i róże i wiosny tak słabo łączą się z treścią poematu, że jakby stereotypy wracają przy każdej pieśni, i słusznie powiedziano, że to są zewnętrzne arabeski, otaczające rysunek ramką w koło, ale nie splatające się z rzeczą samą. Te wspomnienia natury są kwiatkiem, który bynajmniej nie rozwinął się ze samego gruntu pieśni, ale jest gdzieś tam urwany i przypięty powierzchownie do niej; słowem, te obrazy natury nie wiążą się organicznie z poematem, ale stanęły obok, z lekka o jego treść oparte.

Prawda, że Dante cudownie umie śpiewać wdzięki Przyrody; lecz teżto Dante wykarmiony był na klasykach starożytnych, a, jak wiesz, sam Wirgiliusz był jego przewodnikiem przez Piekło, Czyściec i Niebo. W ogólności chciejmy pamiętać, że weczesne rozwinięcie się Włochów w średnich wiekach stanowi ważną ich różnicę od ludów Europy. Bo oni duszą gorącą patrzą na naturę i rzeczywistość, a do tego weześnie byli wychowani na sztuce klasycznej greckiej i rzymskiej. Wszelako o tém już mówiłem właśnie powyżej. A przecież znów, mimo tego wszystkiego, Petrarka, co także Włochem, co także wyuczony od starożytnego świata, podróżując po Francyi, Anglii i po Renie, ani słowkiem nie wspomina o naturze tych krajów, jak to Humboldt uważa. (Kosmos T. II). Znać, że Petrarka, mi-

mo klasyeczności swojej, czuł się pod tchem właściwym średnich wieków.

Ten charakter poezji średniowiekowej już był wyświecony przez nie jednego ze znawców téj literatury francuzkiéj, niemieckiéj i włoskiéj; aleć ja myślę że nawet i poezya słowiańska średniowiekowa, co tak świeża, pierwotna jak puszcza boża, nie znieważona gwałtami człowieka, że ta poezya słowiańska jest podobnież potwierdzeniem naszych uwag powyższych. Niezmiernie rzadko, a oszczędnie, i to kilku słowami znajdziesz w niej odrysowany pejzaż jakiś natury, np. w Ruskiéj Wyprawie Igora, czytamy: »Drugi dzień rano »zorza z krwawym wschodem świt wiodą, tuez w elmu- »ry się piętrząca ciągnie od morza zaćmieć cztery słoń- »ca. Drżą sine błyski, piorun po piorunie bije, i z Do- »nu strzałami deszcz lunie« (tł. Aug. Bielowskiego)—albo:

»Już noc z północnej chyliła się pory, rzedniały cienie nad szarawym rankiem; cyt, mówił Wyhoń do księcia Oldrzyka i t. d.« (Oldrzyk i Jarmir, krółodwor-ski rękopis tłum. z czesk. L. Siemieńskiego). Wyszli na górę—stanęli—kraj lasu; tam mileży Praga w zaranném marzeniu, Wletawa mglistą kurzyła się parą, za Pragę góry w błękitnym cieniu, świt za górami wdziewał barwę szarą. (tamże).

Takowych dłuższych rozwiniętych obrazów natury nie wielebyś znalazł w pieśniach ludów słowiańskich; najczęściéj pieśń ledwie potraça o naturę, ledwie ją czyni lekkim tłem, na którym odbywają się sprawy ludzkie np. stoją góry z prawicy, stoją góry z lewicy, na ich wierzehy kończate zsyła słońce oświatę (Czestmir i Wlastaw tamże).

Ten stosunek człowieka do natury jest wprost skutkiem nastrojenia lirycznego duszy w średnich wiekach, która raczej tonie we własném wnętrzu swojém, a mniej ma zmysłu dla świata, roztaczającego w koło nas wdzięki swoje.

To nastrojenie, wręcz przeciwne usposobieniu Greków, było powodem, że i jestestwa, któremi świat klasyczny zaludniał naturę winny były być wbrew różne od tych jestestw, któremi ją napelniała fantastyczność wieków romantycznych. Widziałeś z naszego wywodu bogów i niższych bóstw starożytnego świata, że one stworzone są tym trybem, iż ich pierwszy początek pochodzi zawsze od potrącenia, które fantazyja odbiera od natury; człowiek spostrzega zjawisko w przyrodzie, które go uderza, więc uosabia moc w niéj ukrytą, a tak rodzi się zawiązek jednego z bogów. Wiész atoli równie że taki początek ideału, idący od zewnętrzne-go potrącenia, jest prawdziwie artystyczny i dla tego te bogi greckie są tak piękności pełne. Choć atoli to potrącenie idzie od natury, choć zawiązek rodzi się z spostrzeżenia zjawisk zewnętrznych, przecież Grek chwytą ten zawiązek twórczą potęgą fantazyi swojéj, rozwija go i roztacza mity, uroczą bajeczkę o tym bogu, tak pełną wdzięku i poezyi jak te ich rzeźby i budowania i pieśni.

Inaczej, a nawet zupełnie odwrótnie, ma się rzecz w średnich wiekach. Wiara chrześcijańska zagroziła tutaj wprawdzie fantazyi tworzenie sobie bóstw, ale za to ta fantazyja zaludnia naturę jestestwami nadprzyrodzonymi; bo roje upiorów, karłów, gnomów, rusałek, strachów, czarownic, czarodziejów i innych dziwaków,

diablików burmistrzują po świecie. Te wszystkie jestestwa, co straszą, broją i stroją figle ludziom, najeźściej biorą swój początek nie tak z potrącenia natury jak raezėj z własnego wnętrza człowieka; dla tego one nie mają na sobie cechy właściwej potęg przyrody, dla tego one nie są odpowiednie bynajmniej z istoty własnej żywiołom, w których sobie broją i gospodarzą (wodzie, podziemiom górniezym, lasom i t. d.) owszem one są wprost kapryśnym wymysłem fantastyczności swawolnej człowieka, który patrzy na naturę, ale jėj jeszcze nie widzi. Ztąd też ta wszystka czeladź rzadko tylko jest piękną, i ubiera się jedynie we wdzięki ile razy czyha pokusą na ludzi; zresztą najeźściej są to garbate, szpetne, kulawe i jakieś dziwne potwory; bo jak tutaj nie znajdziesz pięknej, greckiej mitologii, tak nie znajdziesz i rozumu i dowcipu i uroku greckich bogów. Przecież te same uczucia własne serea, wyprawiane w świat zewnętrzny, nie zawsze biorą na siebie kształty osobne, na ich własną miarę wymyślone, ale te uczucia odziewają się w jestestwa już zupełnie w naturze gotowe; do tych jestestw ma się tedy człowiek jak do własnych uczuć swoich, z niemi rozmawia, jakby z sobą samym. W onėj prześlicznej pieśni serbskiej dwa czarne kruki siadają na wieży Kruszewca, one przybyły z Kosowego Pola i widziały klęskę krwawą; więc gdy głucho w zamku i cicho, jeden z kruków zakrakał do drugiego: »Czy to zamek sławnego cara! czyliż nie ma nikogo w wieży?« Caryca Milica, usłyszawszy rozmowy kruków, wychodzi z wieży i rzecze: »Bóg z wami dwa czarne kruki! zkadże tak wczesnym rankiem, czy może nie z Kosowego Pola?—A kruki na to:« Bóg zapłać Caryeo

Milico, z Kosowego Pola leciemy ... i t. d. i tak następnie dalej roztacza się ta przecudna pieśń. W Igorze, »rankiem w maju kukulka kukaniem się żali;— a w Zbychowiu (czeskim)« »Lata gołąb' siwy i po drzewach »siada, los swój nieszczęśliwy lasom rozpowiada:« latał ja w te lasy w lepsze nieraz czasy i t. d. i t. d. (Królodworski rękop.) Lecz po co nam dalekie przykłady? takie cechy i zwróty codziennie się koło nas rodzą w poezyi ludu jak poziomki w borze, jak kwiaty na łąkach. Puść się przechadzką w wioski nam przyległe a znajdziesz je żywe w powiastkach, w krakowiakach, w przypowieściach i bajach.



## LIST XXVIII.

### Średnie Wieki.

(*Ciąg dalszy.*)

Bliższe określenie średniowiekowej fantastyczności. — Ścisłejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznej. — Brak niezucia plastycznego we fantazyi romantycznej. Za to występuje liryczność potężna i muzyka. — Ś. Ambroży w Medyolanie. Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodków muzyki kościelnej. — Muzyka światowa. — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich. — Porównanie jej z Kłamekłem budowaniem. — Architektura ta jest wprost wpływem cech fantazyi romantycznej, powyżej wykazanych.

**W**idziałeś tedy, jako pierwiastkiem a cechą średnich romantycznych stuleciów było owo cofanie się ducha we własne głębie, więc lekceważenie zewnętrznego świata a mianowicie Natury; poznaliśmy również niektóre najgłówniejsze tryby wyjawienia się tego pierwiastku w świecie i w życiu i w sztuce. Obaczmy teraz jeszcze inne wypadki, które również wypłynęły koniecznie z tego samego usposobienia Europy w średnich wiekach. Wszak gdy człowiek w owych czasach mniej znaczenia przywiązywał do natury, więc też nie uznawał praw niezmiennych, będących tłem jej zjawisk i zakonom. Ztąd powstała wiara w magiczne, duchowe potęgi, w ich przewagę nad przyrodą, ztąd przysła moc czarów, czarow-

nie, czarnoksiężników, wróżbiarstw i t. d. Tak dziwna sprzeczność objawia się i pod tym względem w średnich wiekach. Bo człowiek niby rozsądnie się zachowuje do rozsądku natury, a przecież znów w niej widzi potęgi magiczne, co łamą i gwałcą ten rozum natury i jego prawa.

Tak na miejscu natury prawdziwej, rzetelnej wysuwa się inna mieniąca, błyszcząca jakby świat czarodziejskiej opery, która zasłania średnim wiekom przyrodę rzeczywistą. I to jest także jedna z głównych cech stóleciów romantycznych, o której jeszcze w liście następnym obszernie pomówimy. Teraz zważ tylko, że podobnie się dzieje z historią powszechną. Wypadki dziejowe, figury historyczne, oddzielone od siebie przestrzeniami krajów i stóleciów, bohaterzy Grecyi i Rzymu, i króle i rycerze chrześcijańskie, olbrzymy i bogi greckie i czarowniki mieszają się w kalejdoskopie podań, powieści i sagów. Człowiek stwarza sobie i w dziejach i naturze świat osobny, a co mu się zradza w głębiach nieznać jego, to wszystko wynosi na zewnątrz i rozstawia jakby przyrzady naturalne, malowane, czarodziejskie ogrody, drzewa śpiewające, pałace zaklęte, zamki brylantowe. Więc gdy sobie to wszystko umieści wśród rzetelnego i prawdziwego świata, wśród przedmiotów rzeczywiście istniejących, już wtedy tak zmieni ten świat prawdziwy, iż sam nie pozna, co zmyślane a co rzeczywiste, a to tém więcej, że fantazyja oświecili ten endotworny świat sztuczniemi ogniami, lampkami kolorowemi i zapuści go rusalkami, dziwożonami, upiorami, diabłami, karłami, strachami i innemi mieszkańcami swojego chowu, co tam czmychają, hulają, broją

i dokazują. Świat cały się teraz mieni, błyszczy i mąci z sobą niby maski zapustne. A życie średniowiekowe, już samo przez się fantastyczne i awanturnicze, jeszcze się potęguje dziwami i migoce się pod tchem fantastyczności rozlukanój, rozbujalój.

W téj pięknej ziemi klassycznej, w onój cudnej Grecyi fantazyja zradzała bożków i bogów; w średnich wiekach zaś czarnoksiężników, straszdyła, zmory, karłów zradzała fantastyczność. Grecya była w harmonii z naturą i z sobą; jój wolno było wywodzić bogów swoich, jakby z zaródów, z potęg przyrodzonych; wolno jój było wierzyć, że te bogi i bożki, choć są jestestwa jednostkowe, ciałem odziane, władają światem. Średnie wieki zaś były już uduchowione, były wzniesione nad jestestwa fizyczne, a przecież miały wiarę w takowe jestestwa; były tedy te wieki i pod tym względem w sprzeczności same z sobą, a ta sprzeczność i rozdwojenie stanowi właśnie ich fantastyczność. Wszak wewnętrzna sprzeczność wszędzie i zawsze jest cechą ogólną téj epoki. Jest to ta sprzeczność fantastyczna, która rycerza tęsknotą nigdy nieukojoną pędzi przez świat na awantury, nie dając pokoju; która go czyni niepodobnym do siebie samego i wręcz przeciwnym samemu sobie; jest to ta sprzeczność, która, jako uczucie samowolne honoru, w drobnostce pokłada znaczenie całej osoby i godności swojej, a pomija sprawy większej wagi; jest to ta sama sprzeczność, która w onój idealnej, nadziemskiej miłości tehuła wiekuiste znaczenie na postać ukochaną, co przecież sama, z doczesności zrodzona, jest śmiertelną; jest to ta sprzeczność, która stawia człowieka wśród uroczego dramatu przyrody, a znów go od-



wraea od rzeczywistości, bawiać go fantasmagoryą eudotwornych widziadeł. Wszędzie też widzimy zstąpienie ducha w głęboki szyb własnej swojej istoty, a wszędzie widzimy ów rozwód głęboki treści wewnętrznej człowieka a zewnętrznego świata; ztąd dusza, nie wiązana światem zewnętrznym, to buja nieskończoną swobodą, to znowu niby harfa brzmi samotną tęsknotą, rzewną, niezuciową, lubą, bo jej struny wtórują głosom niebiańskich chorów, dolatującym z wysokości nadświatnej.

Dawniej, w liście XI powiedzieliśmy, że fantazya jest dwojaka, gdyż jedna powszechna a spólna wszystkim ludziom, bo każdy człowiek ma przecież mniej więcej fantazyi sobie dodanej; a drugi rodzaj fantazyi jest ten, który niektórym tylko wybrancom szczęśliwym dostał się udziałem, bo mistrzom, poetom; słowem, który jest artystów posagiem. Otoż w całym liście poprzednim rozprawiałem o fantazyi średniowiekowej, bo romantycznej, ale nie odróżniłem jeszcze dostatecznie obu tych rodzajów fantazyi: zatem teraz nastęcza się nam pytanie, jakże się ma w tych wiekach średnich fantazya *powszechna*, rozlana po całym ówczesnym świecie, zatem fantazya gminna, ludowa, do fantazyi artystycznej?

Widzisz, jak sobie gospodarzy w średnich wiekach fantazya powszechna, wszystkim właściwa,— fantazya ludu. Ona, jak rzekłem, stwarza sobie osobną naturę, przyrodę czarodziejską, osobną historią, która jej zasłania naturę rzeczywistą i historią prawdziwą. Średnie wieki patrzą się na świat rzeczywisty, ale go nie widzą; one widzą jedynie świat wywołany magią fantastyczności swojej, one się patrzą przez szkiełka czarodziejskie na rzeczywistość otaczającą w koło człowieka.

Gdy atoli już téj fantazyi ludowéj, powszechnéj istotą i cechą jest owo zanurzenie się w duchu, a odwrócenie się od rzeczywistości, przerobienie i przeistoczenie jéj po swojemu, zatém znać, że ta cecha i istota nie tylko winna się znaleźć także i we fantazyi artystycznéj, ale winna w niéj zakiepić w stopniu wyższym, spotęgowanym.

Jeżeli tedy fantazyja powszechna, to jest fantazyja ludu, gminu, biorąc sobie za ośnowę rzeczywistość, takową sobie fantastycznie przerabia i przetwarza; fantazyja artystyczna nie przestaje na tém, ale najczęściéj bierze sobie za ośnowę ten świat, już przeistoczony przez fantazyję gminu, i przerabia go raz jeszcze.

Widzisz tedy, że słusznie już od dawna orzeczono w literaturze naszéj, że sztuka romantyczna zwykle pożycza ośnowę swoją z podań ludu, z wieści gminnéj; brakowało tylko bliższego określenia téj prawdy.

Tak tedy rozwijając głębiéj ten rodzaj sztuki, wskazaliśmy teraz przyczynę, dla której zwykle sztuka romantyczna udaje się właśnie do tych podań i wieści gminnych, jako do ośnowy swojéj. Powyżéj zaś oznaczyliśmy właściwy charakter i istotę téj ośnowy; albowiem przyznasz mi, że samo obrobienie artystyczne podań ludowych nie stanowi jeszcze istoty sztuki romantycznéj; potrzeba zrozumieć dla czego te podania ludów chrześcijańskich są właśnie dla sztuki a mianowicie dla poezyi romantycznéj ośnową stosowną, bo inaczej wieszczę i mistrze greccy i rzymscy byłiby także romantykami, o ile ezerpali z podań ludowych.

Teraz wypada jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Zważ bowiem, czyli to samo spotęgowanie się fan-

tazyi powszechnéj wystarczy, aby ją zamienić na artystyczną? czyli doprawdy już będziesz poetą, byleś czerpał z podań gminnych, z wieści ludowéj? I na odwrót, czyli sięganie po osnowę do podań ludu ma być już konieczną i niezbędną cechą poezyi romantycznéj? czyli poeta, nie czerpiący osnowy z podań gminnych, ale sam z siebie ją wydobywający nie może być poetą romantycznym?

Wiemy już z listu XI że fantazyja artystyczna nie tylko stopniem wyższym spotęgowanym różni się od ogólnéj, powszechnéj, lecz się różni od niéj nawet rodzajem swoim, trybem swojego postępowania. Obaczymy właśnie teraz, jak ta prawda stosuje się do danego nam wypadku.

Fantazyja romantyczna, jeśli jest doprawdy artystyczną, niechaj bierze za osnowę dzieł swoich całą treść, którą jéj podaje fantazyja powszechna, gminna; niechaj ją przyjmie z całą sprzecznością i walką, tkwiącą w niéj, z całym jéj wewnętrzném rozdwojeniem, bo tym sposobem właśnie ta fantazyja artystyczna wyrazi w dziełach swoich, że ona sama należy do czasów romantycznych, to jest do epoki dziejowéj, w której duch odstąpił od rzeczywistego świata, w której on jedynie słucha wróżbitów serca swojego, wróżających mu o nieskończoności tęsknotą rzewną. Tak ta fantazyja artystyczna w dziełach wyjawi tę walkę, tę sprzeczność, którą się rozstąpiło własne wnętrze człowieka.

W tych dziełach okaże się przeto owo rozdwojenie między duchem a materją—dooczesnością a światem wiekuistym, między istotą nieskończoną a naturą przemijającą, między treścią niebiańską a formą zewnętrzną

z ziemi zrodzoną. Takim sposobem fantazyja artystyczna dopiero będzie istic miała na sobie cechy średnich wieków i stanie się fantazyją romantyczną.

W tém, co rzekłem, okazuje się już związek między fantazyją artystyczną a powszechną średnich wieków; obie są romantyczne, bo obie mają za istotę sobie spólną owo rozdwojenie wewnętrzne a rozłamanie się człowieka na dwoje.

Atoli obaczmy również różnicę głęboką między tą fantazyją powszechną a artystyczną. Fantazyja powszechna w średnich wiekach ma wprowadzić onę dwoistość wewnętrzną za dno swoje, bo ona jest cechą ogólną ówczesnego świata duchowego, ale fantazyja powszechna, choć ma w sobie tę sprzeczność, toć przecie nie wie o téj sprzeczności; ta sprzeczność ją boli i płacze w duszy, lecz lud i fantazyja jego nie pojmuje jasno, co ich boli, co w sereu kwili i płacze. Fantazyja ta gminu nie pojmuje tego rozdwojenia własnego, bo sama jest bierną, bo sama jest aktorem w walce tych przeciwnych sobie pierwiastków i nie pojmuje, co nią podrzuca i ciska. Aby pojąć to rozdwojenie i sprzeczność tych potęg walczących, do tego potrzeba wzniesienia się nad samo to mocowanie się a walkę, potrzeba patrzeć się na pasowanie się pierwiastków z wysokości; a tego dokazać jedynie może artystyczne natchnienie. Mistrz zdoła ujrzyć to rozdwojenie a sprzeczność okiem gieniuszu i dla tego on zdoła wyrazić to rozdwojenie w dziele sztuki swojej, które też właśnie dla tego staje się dziełem romantyczném. Nie rozumięj atoli, jakoby mistrz miał wiedzę wyrozumowaną, filozoficzną o téj sprzeczności i rozłamaniu się ducha w sobie, bo w ra-

zie takowym dzieło jego, będąc jedynie uzmysłowieniem zimnego rozumowania, nie byłoby więcćj dziełem sztuki, kwiatem żywym fantazyi, ale kwiatem robionym, martwym. Mistrz, jak rzekłem, poczućciem swojego natchnienia, instynktem artystycznym, jasnowidzeniem gieniuszu odgaduje ją i przeczuwa, bo takowa jest właśnie istota fantazyi artystycznój (\*).

---

(\*) Czytając te wyrazy moje, może uczynisz mi zarzut, jakoby w samém rozumowaniu mojem była sprzeczność zamknięta. Powiesz może, że wszelkie dzieło sztuki, czyli należy do fantazyi klassycznój, czyli do romantycznój, winno być w każdym razie wyrażeniem, uzmysłowieniem nieskończonego pierwiastku przebywającego w człowieku. Z tego wynika naprzód, że to dzieło sztuki winno być wcieleniem treści duchowój samego mistrza, a powtóre, że to dzieło samo, wzięte w sobie, właśnie dla tego, że jest wcieleniem takowem, winno być w sobie doskonałą jednością, całością; bo ta idea, którą to dzieło wyraża, uzmysławia, uzwętnia, sama jest jednością i całością w sobie. Z tych warunków, które powinny towarzyszyć każdemu dziełu sztuki, wyprowadzisz może następne wnioski i powiesz, że ponieważ fantazyja romantyczna gruntuje się właśnie na rozdwojeniu ducha, to jest wiekuistego pierwiastku, a świata zewnętrznego, zmysłowego, wynika ztąd, że *naprzód* treść duchowa, przebywająca w mistrzu, będąc w rozdwojeniu ze światem zewnętrznym, zmysłowym, nie zdoła się wyrazić w dziele sztuki, bo się nie zdoła uzmysłowić w świecie zewnętrznym; *powtóre*, gdy w duchu mistrza także mieszka to rozdwojenie pierwiastków sprzecznych, będące piętnem jego wieku, zatém też ta treść duchowa jego, wcielona będąc w dzieło sztuki, sama uczyni to dzieło czemś rozdwojonem i nie da mu tej jedności i całości, która przecież jest warunkiem każdego dzieła sztuki; co więcćj, to dzieło sztuki samo, właśnie dla tego, że jest dziełem romantycznem, winno się stać odbiciem onego rozdwojenia i sprzeczności, i tak z tego powodu nie będzie ową doskonałą jednością a całością w sobie. Przypominasz sobie może, że już w inném miejscu z lekka potrafiłem o stosunek sztuki romantycznój do warunków sztuki w ogólności. Przecież rzecz cała za nadto jest ważna, byśmy nie mieli poddać jęj pod ściślejszy jeszcze rozbiór.

Wracam tedy do zarzutów twoich.

Zgadzaś się zupełnie na te warunki, które kładziesz każdemu dziełu sztuki, bo one wypływają z całego wykładu tych listów naszych; nie mogą się atoli zgodzić na twoje zastosowanie ich do sztuki romantycznój. To

Zdaje mi się, że to wszystko, co już w tym i w ostatnim liście powiedziałem, wystarczy do lekkiego określenia fantazyi romantycznój w średnich wiekach. Obejdzie się też zupełnie bez przeglądu szczególnych rodzajów sztuki, by niemi jako przykładami objaśnić, com

zastosowanie byłoby zupełnie w swoim miejscu, gdyby chodziło o fantazyą powszechną, gminną, nie artystyczną. Lecz gdy, jakżeśmy rzekli, prawdziwy mistrz unosi się nad te walki i rozdwojenia, właściwe wiekowi swojemu, gdy on o nich wie natchnieniem, z tego już wynika, iż nad niemi panuje, iż je zdoła przemódz w sobie, a tém samém że z jednój strony treść jego wewnętrzna, którą wiecła, którą uwidamia w dziele sztuki, a z drugiej dzieło same nie będą od siebie rozdwojone. Następnie, gdy mistrz zdoła przemódz to rozdwojenie, więc widać, że w samym mistrzu, w treści ducha jego także to rozdwojenie jest przewyciężone; dla tego on choć w dziele swojem, jako w romantyczném, wyrazi to rozdwojenie i sprzeczność, przecież, mimo tego, to dzieło będzie co do formy rzeczywiście jednością i całością artystyczną. Mistrz w niem okaze walki i sprzeczności, właściwe wiekowi swojemu, a przecież uczyni samo dzieło jednością.

Zaiste, sztuka romantyczna i sztuka klasyczna to mają sobie wspólnego, że każda z nich winna wyrazić treść wiekuiatą ducha w pojawach zmysłowych, z rzeczywistego świata pożyczonych, bo taki jest warunek każdój sztuki; różnią się atoli osnową swoją. Sztuka klasyczna, jak ów cały świat jój społeczny, ma za osnowę swoją harmonią ducha i natury; sztuka romantyczna ma za osnowę rozdwojenie ducha a natury, wewnętrznego a zewnętrznego świata; więc też ona to rozdwojenie wyjaśnia w dziełach sztuki, a tém samém wyjaśnia treść ducha społecznego jój. Przecież, mimo tego, samo to dzieło jest znów w sobie jednością harmonijną — całością artystyczną.

Spytasz się atoli może teraz, czyli wedle tego, com rzekł, mistrz romantycznych stuleciów nie ma już żadnej innój cechy, sobie właściwój? Owszem jest w nim i bardzo silna cecha. To rozdwojenie świata wewnętrznego a zewnętrznego, bo odwrócenie się od rzeczywistości zewnętrznej a utonienie we wnętrzu swojem, będące właściwe wiekom romantycznym, okazuje się także w mistrzu romantycznym tém jeszcze, że średnie wieki nie wszystkim rodzajom sztuki poświęcają się z równem zamiłowaniem i szczeniściem, że te jedynie rodzaje sztuki są dla mistrza właściwe, które płyną ze samego wnętrza ducha, jak to zaraz obaczymy.

Jakoż nie odwołuję się weale do ciżby pieśni lirycznych, która jest tak ogromna w porównaniu epopei, ale postrzedz łatwo, że same te epo-

powyżej rozwinał, a tém mniejsza tego potrzeba, gdym powyżej już się dotknął, przy sposobnościach różnych, tych wszystkich rodzajów sztuki. Tutaj zwrócę tylko uwagę twoją na kierunek właściwy téj fantazyi, więc na te rodzaje sztuki, które najsilniej przeważać musiały w téj epoce dziejowej.

Przyznasz mi, że z całego naszego rozwoju wypływa sama przez się cecha i dążność poezyi średniowiekowej. Wszak to zapadanie się człowieka w siebie, to odnoszenie się jego do wewnętrznych przybytków ducha jego—słowem, to nastrojenie jego liryczne jest powodem, że poezya ówczesna będzie miała także głównie charakter liryczny. Liryka, która czerpie z wnętrza duchowego, jest daleko właściwszym rodzajem poezyi dla średnich wieków, niż epopeja; dramatu zaś weale tu nie znajdziesz. Bo też inaczej działać się nie mogło w średnich wiekach. Kto chce widzieć zewnątrz siebie widziadło swojej fantazyi, powinien niby siebie zapomnieć, utonąć na zewnątrz. Tego nie zdołała dokonać fantazyja średnich wieków; ich duch nie zdołał wystąpić z siebie na zewnętrzny świat, nie mógł sam wychylić się z siebie, bo cała jego waga ciążyła na wewnątrz. Duch w téj epoce świata tak był zajęty sam z sobą, treść wewnętrzna tak mu śpiewała i grała, tak mu łśniła i świeciła, że stracił wzrok i słuch duchowy dla zewnętrznego świata (\*).

---

peje mają na sobie cechę liryczną. Im brakuje nnaocznienia, brakuje plastyczności; co już najdobitniej okazuje się we figurach, które nie dość silnie są wyrobione i nie dość wydatnie występują z ogólnego tła, na którym są malowane.

(\*) Brakło tedy i w tych epopejach panowania nad światem zewnętrznym; to samo usposobienie ducha okazało nam się w figurach Stwoszowych sposobem odwrótnym, bo jakąś niemocą wzniesienia postaci rzeczywistych (z natury wziętych) do idealnej piękności.

Jak tedy rzeźba, plastyczność była właśnie sztuką najwięcej Grecyi właściwą, sztuką wybraną, najwięcej od niej ukochaną (obacz list XII), tak też poezya plastyczna, której wyobraźnią jest epepeja, stała u kolebki tego szczęśliwego ludu, i jako nianka wypiaستowała go na śpiewach Homerowych, — a jak plastyczność i rzeźba była rodzajem sztuki najmniej odpowiednim epoce wieków średnich (obacz list przedostatni) tak też i w poezyi plastyczność ich figur rozplynęła, gdy zaśpiewała lira całą głębią nezuć, nutą, którą układali aniołowie w nadprzyrodzonych światach.

Nie eheić nazwać lekkodusznością, że niby jednym kolorem oznaczyłem poezya wszystkich ludów europejskich, przecieć tak różnych między sobą. Lecz właśnie dla tego, że one tak rozmaite między sobą, wolno mi mówić tylko ogólnie bardzo o spólnym charakterze ich poezyi. Nadto zważ, że ta różnica przelicznych narodowości nie była tak silną w średnich wiekach, jak jest dziś. Bo ta różnica i indywidualne piętno każdego narodu wyrabia się dopiero najgłówniej przez historya, przez wielkich ludzi, przez rozwój literatury i języka. Narody tém podobniejsze do siebie, im bliższe swojego dziecięctwa, bo wtedy jedynie zachodzą różnice, idące od usposobienia szepowego, przyrodzonego, a te różnice wszelkie, właśnie jak to wszystko, co od natury pochodzi, mniejsze miały znaczenie w średnich wiekach. Przypomnij sobie nadto, jak się nawzajem mieszały narodowości w owych czasach, w wyprawach krzyżowych, na uniwersytetach, na jarmarkach, turniejach, pielgrzymkach, ceebach i t. d.

Nie będę ci weale przytaczał przykładów, abym wska-



zał brak plastyczności figur w epopcjach średniowiekowej Europy; biorę jedną z tych pieśni, która zaiste należy do najświetniejszych pojavów poezyi i niemalém podziwieniem przejęła każdego umiejącego czuć, co piękne i charakterystyczne. Mówię tu o pieśni «Wyprawa Igora na Połowców.» Patrz np. na postać samego Igora. Igor nie ma postaci wydatnej, plastycznej, własnego indywidualnego oblicza; jego postać jest raeżej wyobraźnią całego ludu. Kontury obłoczne téj figury rozplywają się pod tchem gorącym uczuć lirycznych. Rzekłbym, że w téj pieśni mniej o Igora chodzi jak raeżej o losy, o płacze, o tryumfy Rusi samój; tutaj serce Rusi jest śpiewcą i bohaterem zarazem. Więcej wprawdzie mają indywidualności i rysunku wydatnego bohaterowie w owych prześlicznych poematach serbskich (choć późniejszych); ale i tu cechą wielce charakterystyczną jest brak silnego zarysu indywidualnego figur pojedynczych. Patrz np. na onych braei Jugowiczów; oni zupełnie do siebie podobni: myślą, działają, mówią nawet temi samými wyrazami. Nie są to akkordy, ale tony jednobrzmiące, co wtórując wrażeniom ogółu potęgują je silnie i ogromnie. Jugowicze, razem zaproszeni do uczty, razem siadają do stołu; wszyscy dziewięciu odzywają się do ojca razem, zachęcając, by pił wino—wszystcy dziewięciu témi samými słowami doradzają, jak wynagrodzić giermka; wszyscy dziewięciu zrywają się od stołu, dobywając, pełni gniewu, szabel, gdy słyszą, że ich siostra Milica ma być giermka nagrodą (\*).

(\*) Wykrzyknęli ku ojcu synowie:

„O Rodzicu, sędziwy Bohdanie!

„Czemu wina nie pijesz z téj czasy,

„Którać Łazarz doręczył z pokłonem?

A gdy zająć miała potrzeba pod Kossowem, Milica każdego Jugowicza z kolei jako brata prosi, by został z nią na zamku białym, a każdy z kolei odpowiada prawie temi samemi słowy — każdy z nich śpieszy do bitwy — i wszyscy dziewięciu polegli.

Dla téj przemagającej liryczności, dla tego samego usposobienia ducha w średnich wiekach, nie znajdziesz tutaj, jak rzekłem, rzeczywistego dramatu; jest wprawdzie już zaród silnej komiki, ale komedyi jeszcze nie ma. Bo do dramatu, mianowicie do tragedyi trzeba znać zakon, którym się rządzą dzieje ludzkie, trzeba pojąć

Odpowiedział sędziwy Jug Bohdan:

„Dziatwa moja, mili Jugowicze!

„Czaszę wina spełniłbym z ochotą,

„Ale myślę, przemyślałam w mój głowie,

„Czém nawzajem obdarzyć Łazarza.”

I wołali na nowo synowie:

„Łaeno Tobie obdarzać, nasz Ojciec!

„U nas koni, sokołów dostatek,

„O! dostatek i piór i kołpaków.”

Wnet się zręcznie przymówił car Duszan:

„Łazarz dosyć ma koni, sokołów,

„Ma tu dosyć i piór i kołpaków,

„Łazarz tego wszystkiego nie chceiwy,

„Łazarz łaknie Milicy dziewicy,

„Owój ślicznej Milicy Miziniej,

„Lubćj siostry braci Jugowiczów.”

Na te słowa wszyscy Jugowicze

Poskoczyli równemi nogami,

I sierzniści jęli się do mieczów,

Aby natrzeć na cara przy stole.

Modlił synów sędziwy Jug Bohdan,

„Stójcie, stójcie przez Boga żywego,

„Na gościnie, kto dotknie się Cara,

„Na wiek wieków niech będzie przeklęty!

(Tłom. Boh. Zaleskiego.)

ład i szyk moralny świata i te potęgi opatrzne, które stoją na straży świata, mierząc i ważąc losy człowieka i ludów; temu wszystkiemu jednak nie podolały średnie wieki, one nie umiały czytać w rzeczywistości, a tém mniej znały potęgi tajemnicze, które mistrzują losami ludzi sprawiedliwém choć nienbłaganém prawem.

---

Widzisz atoli że ta liryczność, ten żywot wewnętrzny obudziły w średnich wiekach właśnie tę sztukę, która również wewnętrznie dygoce w duszy człowieka, która również rodzi się w najtajniejszych głębiach duszy, która także wolna od zewnętrznego świata, wolna i oswobodzona od natury i jej praw, która podobnie jest zestrojeniem wszystkich duchowych potęg; — tą sztuką jest *muzyka*. Muzyka jest sztuką wewnętrzną, ona więcéj odwrócona od świata zewnętrznego niż którakolwiek bądź inna.

Turnia tatrzańskich granitów, gwiazd sąsiada, milczy w eichym majestacie, milczy w nieméj samotności harda i dumna. Na dole, pod nią, w głębi niedójrzanéj mrówią się sprawy ludzkie i kłują się stólcia i lat tysiące i narodów losy, a niewidna i niespostrzeżona kroczy Historia świata. Turnia tatrzańska harda i dumna nie dowidzi dziejów ludzkich, nie dosłyszy ani jęków, ani tryumfów rodzących się i konaających pokoleń. Ona milezy; u podnoża jej swawolą obłoki, biją się i harcują bezduszne natury potęgi, lęgną się gromy i błyskawice, hasają wichry i burze. Turnia milezy i patrzy w gwiazdy. Przelatują wieki po wiekach; — lecz chyłkiem, nieznacznie u stop turni pracują zdradne przyrody moce; one nie usypiają nigdy,

nie spoczywają nigdy;—dnem i nocą, latem i zimą, od roku do roku, od wieku do wieku robotnice nieznękanę trawia hardéj, nieméj turni twarde podnoże, jak eierpienia i żale trawia serce, co dumne w niebo się patrzy, jak życie życiem się trawi. Pracują zdraadne robotnice, a ziarno po ziarnku opuszcza granitowe turni podnoże, i porywają ziarno wichry, i unoszą je w przepaść ulewy. Turnia dumnie, hardo milezy,—aż nagle grzmot głuchy, łoskot piorunny zadygotał w kolo krajem, przeleciał go lękiem: turnia runęła!—ona, co wicznie mileząca i niema, w upadku swoim jękla jękiem boleści, ona zawołała grzmotem w skonanu.

Ocean legł w dolinach przepaściowych ziemskiego planety, i cicho i spokojnie patrzy się w Niebiosą,—on się kocha w niebiańskiéj bezdeni, więc ubiera się w barwy ulubienicy swojej, on podziela jéj uczucia, on zwierciadli jéj ciemne i jasne chwile,—na obliczu jego błyszcza jéj gwiazdki; on się weseli, gdy kochanka zajaśnieje światłością promienną, on się rumieni, gdy purpury zarania zapalą się na kochanki licach; a eicha jest ta miłość oceanu, a niema jego cześć dla niebios bezdeni. Ale gdy zerwą się wichry, gdy hukną szaleńcem burze, gdy potęgi dzikie przyrody uderzą na siebie, ścigając się gonitwą i waleząc po oceanu wodach; wtedy on się zmarszczy, postawi strome fale i zagrzmie gniewem; a fale jak struny piorunne zahuczą, i sykną piany wrzące, i łomot zamętny strachem uchwyci serce żeglarzy.

Wszak i puszcza milezy świętecznie, uroczysto; ona zbudowała się w tajemniczy natury kościół, wydzwignęła

swoje drzewa w kolumny potężne i przysklepiła je gęstym stropem konarów, gałązek i liści. W mrokach zielonego splotu, ziemia ziołami się modli; tutaj w zajeiszu niedójrzone odbywają się tajemne roślin miłości, ich zrodzenia i skonania; w każdym listku, w każdej gałęzi, trawce lub meszku natura słyszy swoich pulsów pukanie. Ona дума i myśli w tych drzewach pradziadowych, czuje kwiatkami i tęskni w zalecankach swych ptasząt. I eicho w borze i spokojnie. Dopiero gdy powiew przeleci nad puszcza i dotknie się jej skrzydłem ciemnym, dopiero gdy burza znieważy głębokie milczenie i uderzy bór; wtedy szarpną się drzewa, poruszą gniewnie konary; i bronią się i grożą konary jakby olbrzymów ramiona; strop puszczy rozkołysze się, zagrzmie falą, każda gałązka zakwili, każdy listek westchnie sykiem, bo w każdej gałązce, w każdym listku dygoce lękiem i gniewem demon osobny, niewidzialny; on się obudził ze snu i woła i jęczy. Organy leśne zahuczą pełnym, głębokim, piorunnym akordem; wszędzie i wszędzie rozlega się krzyk, hałas i świst.

Tak i granit i fala przepaściasta i bór ciemny milczą, one nie mają z siebie głosu; dopiero, gdy zewnętrzne potęgi w nie uderzą, gdy w nie biją obce, eudze im moce, wtedy one jękiem, łoskotem, hukiem, brzękiem, szelestem dają znać o sobie, a wedle wewnętrznego składu tych różnych jestestw, wedle różnego powiązania ich cząstek, różne też będą i głosy ich, którymi się odezwą za potrąceniem zewnętrznym.

Dopiero w tym gwarnym, hałaśliwym świetle zwierzęcym natura odzywa się samodzielnym głosem; zwierzę w głosie własnym samo siebie słyszy, słyszy

i czuje wewnętrzną budowę ciała swojego. Jak atoli dusza zwierzęca jest dopiero niby zidealizowaniem materji, jój wonią; tak i głos zwierząt jest dopiero echem, dosłyszalném odbiciem ich żywota, ich chcenia i wstrętu, które także są materialne, także do rzeczy zmysłowych się odnoszące. Głos zwierząt jest dopiero wyrazem boleści lub radości fizycznej, objawem ochoty, tęsknoty cielesnej; jest odniesieniem się materji do materji. Żwierzę odzywa się głosem, bo czuje, że jest tylko ułamkiem w ogóle zmysłowego świata; głos zwierzęcy jest jeszcze skutkiem stosunków ze światem zewnętrznym. Jednak wśród gwarnej wrzawy a loskotnych hałasów bezrozumnej przyrody, wśród brzęków i szelestów bezduchowego żywota słyhać muzykę. Muzyka! ona nie z natury poczęta; te jój tony przywiałe tchnienie boże z nad gwiazd na ziemskie poniża. Ton nie jest natury głosem; on głosem duchów, on słyszalnym promieniem wiekuistej jasności. Natura nie ma tonów; tony są dziełem sztuki, wrodzonej człowiekowi; one są instynktową umiejętnością; one są matematyką uczuć.

Wytłumaczę ci się bliżej.

Powietrze otuliło ziemską kulicę morzem przejrzystém i osklepiło ją w jasne błękity; w niém oddycha żywot wszelki zmysłowy, w niém rodzi się i żywot duchowy, bo mowa i muzyka.

Gdy materya, gdy ciało jakie zadygoce w sobie, wtedy już, jakby po zwierciadle eichém jeziora, rodzą się po tém morzu powietrzném kręgi po kręgach; one niewidome rozplywają się w coraz większe i większe pierścienie, aż nie uderzą w słuch. Zważ, gdy morska

fala bijąc w skalne brzegi wraca się, a w tym powrocie spotyka drugą nadchodzącą falę, już obie zderzają się z sobą, łamią się, i razem ogromnym kipiącym bałwanem wznoszą się, wzbijają w górę, a tak bez końca u brzegów powtarza się ta gra; tak też grają w słuchu fale powietrzne, co idą od drgającej masy. Zważ atoli, gdy ciało jakie np. struna dygocze tym trybem, iż drgania się powtarzają jednostajnie, bo w jednakowych ustępach czasu, wtedy też w jednakowych ustępach czasu każda fala, już odbita, wracając się spotka nową nadchodzącą falę, a tém samém i w jednakowych ustępach czasu odbędzie się owo wspólne ich wzniesienie się, wzbijanie, co uderzy w słuch. Otóż ta prawidłowość i jednostajność zdradza ton muzyczny. Gdy zaś te fale nie będą nadchodziły w jednakowych ustępach, wtedy się zrodzi zamęt bałamutny fal nowo nadchodzących a już odbitych, wtedy nie będzie tonu muzycznego, wtedy zrodzi się łoskot jako grzmot walący się turni, jako gwar puszezy, jak owa swawolna gra i szum morskich bałwanów, jak ryk i świst, wrzawa zwierzęcego świata; słowem, powstają te wszystkie głosy niesforne przyrody, których nie zdołasz udąć żadnym tonem, których ująć nie zdołasz żadną sztuką ani nutą. Natura bezdechowa dygocze w sobie, ale jej dygotanie nie odbywa się prawidłowo, nie w pewnych ustępach czasu. Ona nie oblicza matematycznie tych drgań swoich i dla tego nie zna muzycznych tonów. Zważmy następnie, że różnice tonów, że niżenia i podwyższenia ich są właśnie skutkiem różnej ilości tych drgań w jednym i tymże samym czasie. Jeżeli zaś ton ma się godzić z drugim tonem, wtedy potrzeba,

aby liezba drgań jednego tonu w pewnym czasie zostawała w pewnym matematycznym stosunku do liezby drgań, które odbywa ten drugi w tymże samym czasie (np. jeżeli w tym czasie jedna struna odbywa dwa razy tyle drgań, co druga, wtedy zrodzi oktawę; jeżeli zaś jedna w tym samym czasie odbywa 2 drgania kiedy druga trzy, wtedy powstaje kwinta i t. d).

Te tony są iście dopięro żywiołem pierwotnym, początkowym materyałem, z którego muzyka buduje czarodziejskie a rozwiewne pałace swoje. Powiesz atoli, zkąd ów pastuszek tatrzański, co zna tylko trzodkę kozek swoich na ziemi, a drugą bożą trzodkę gwiazdek na niebie, przyszedł do téj matematyki? zkąd mu te tony pieśni jego, co radośne jak wiosny tełnienie, świeże jak zióła błyszczące rosą niebiańską? Pytasz, zkąd pastuszkowi te rachuby sztuczne? Wszak on na samotni skalnej rozmawia jedynie z echem, odgradzony od świata obłokiem, co żegluje nadpowietrznym statkiem pod stopami jego!— Przecież wiesz, że prawdy, na których spoczał świat, drzemią zwinięte w piersiach każdego człowieka, czekając rozkwitnienia swojego. Jakoż prawdy o Bogu, o nieśmiertelności, o tém wszystkiém, co zaene i sprawiedliwe westehnęły już wszystkie uczuciem, instynktem w piersiach naszych, zanim pózna filozofia roztoczyła je całością umiętną. Tak i matematyka natury, co mierzy i liezy stworzenia potęgi, co wodzi krążące gorejące światy po wiekuistój przestrzeni nieba, wprzód zamieszkała w bezświadomém sereu człowieka i w niém żyje jako przeczucie, jako instynkt, zanim umiętność przedstawiła je kalkulem rozumowym dla jasnój wiedzy jego. Jest to, jak rzekłem, ma-



tematyka uczuć, umiejętność wrodzona duchowi człowieka; te tony są sztuką naturalną; człowiek z nią na świat przychodzi. Ta matematyka jest tylko duchom właściwa, nie wie o niej materyalny świat, on nie wie, co muzyka; ba, nie zna nawet co tony. Głosy, na które się przyroda zdobyć może, mają się do muzycznych tonów, jak materya a duch, jak niebo a ziemia, jak doczesne pojawy do wieczystego trwania. Farby przypylone, pomieszane na pałecie malarza, to są dźwięki wymuszone gwałtem zewnętrznym na przyrodzonych jestestwach, a promień słoneczny, niebiański rozszezepiony w pryzmacie krystalicznym na siedm przezzystych barw tęczowych, to są siedm tonów muzyki.

Wszak, gdy każdy ton zostaje w pewnym stosunku matematycznym do innych tonów, więc już każdy ton z istoty swojej tęskni, by ten stosunek swój w rzeczywistości objawił, tęskni do powiązania się z innemi tonami, jako uzupełnieniem swoim. On zaś wiązać się może trybem dwoistym. Bo albo łączy się w następstwie czasów, gdy ton po tonie się rodzi, a tak powstaje melodia, albo gdy więcej tonów razem się rodząc spływają z sobą, a tak dają początek harmonii.

Melodia i harmonia, to dwa Boże anioły, które pozostały na Ziemi, gdy ona utraciła niewinności raj—te nieba posłannice śpiewają w oniej harmonii i melodii, co wiąże wszechistnienia stworzone w jedną kompozycyą wiekuistą. Te anioły pańskie śpiewają o myślach Bożych, które żyją życiem tajemniczém we wszech światach, i witają himnem anioła-dzieciątka, co się zrodziło w ciasnej chatce serca twojego, otulone pro-

mieniem, światłością powite. Melodya owa nieskończona płynie od wieków, płynie przez światy od pierwszego stworzenia dnia; jęj falami lat tysiące, jęj tonami, to gwiazdy na niebie, to narody na ziemi; a harmonia wiąże te lat tysiące i gwiazdy i ludzkie dzieje, i wiąże skon i zrodzenie, przeszłość dawną, zmarłą i przyszłe stolecia, co się zrodzić mają; ona wiąże ciemności i światła, i cierpienia i wesela, żale serdeczne i nadzieje w jedne wspólne akordy. Ta harmonia doleciała odgłosem z gwiazd do ducha Platona, ale ona była dla niego tylko szczęśliwym snem wróżącym; on jęj dosłyszał w jednę chwile szczęśliwego zachwyty; ona dopiero powodzią światła otuliła chrześcijańskie ludy; świat chrześcijański dopiero usłyszał tę harmonię świętą co goi i koi sprzeczności i odstęptwa od ducha, co jest snem i jawem, śmiercią i zmartwychwstaniem. Tę melody, tę harmonii spisał nóty wiekuisty kompozytor, zanim stworzył gwiazdy, zanim zagrał na promieniach światłości swojej; tę melody, tę harmonii odgłosy ciche żyją w muzyce ziemskiej, żyją w sercu człowieka.

Już dawno przedemną inni okazali, jako natura nie zna melody, ona nie zna harmonii; ona zna jedynie, i to bardzo rzadko, najniższy pierwiastek muzyki, bo rytm (takt; np. krople spadające mogą wypukiwać rytm, koń czwając lub kłusujący kopytem,— przepiórki głosem wybijają rytm, przeznaczony im od stworzenia świata. Lecz i ten rytm jest tutaj tylko przypadkowy, bo bezświadomy, a w muzyce on tylko jest podścieliskiem melody i harmonii. Tak jak ton, takt, melodya i harmonia są wykwitem a dziełem swobodnym du-

cha, jego dziełem samoistném, wzniesioném nad świat materyalny.

Gdy w malowanych obrazach, gdy w rzeźbionych dziełach żyje choćby przypomnieniem natura zewnętrzna, więc jój ludzkie postaci i kształty, zwierzęce i roślinne, i kwiaty, i owoce, i góry i wody i obłoki; — w poczyi i w dramacie żyją dzieje ludzkie i uczucia serca i sprawy człowieka; w muzyce niema tego przypomnienia; w niej brzmi, maluje się, rzeźbi się jedynie państwo duchowe i mieszkańce jój w głębi piersi zrodzone. I dla tego też możesz odpowiednio słowami wypowiedzieć treść obrazu, rzeźby, poematu, ale nie zdołasz opowiedzieć treści kompozyeyi muzykalnej; bo muzyka zerwała ze światem rzeczywistym; bo muzyka jest rozmową ducha z sobą. Nie zdołasz opowiedzieć treści kompozyeyi muzykalnej mocą słów, wyrazów, bo mowa ludzka jest wyjawieniem myśli, a muzyka jest rzeczą uczucia; uczucie zaś jest niewymowne, nie da się słowami określić. Słowa, jak myśli same, oduoszą się zawsze do przedmiotu jakiegoś wyraźnego, oznaczonego, bo i przedmiot każdy, choćby należał do zewnętrznego, zmysłowego świata, jest szatą myśli, — myśli stworzenia.

Cheć teraz spojrzeć wstecz na to wszystko, cośmy dotychczas o muzyce powiedzieli.

Naprzód okazało się iż każde brzmienie odbywa się w czasie i przestrzeni, a choć wszystkie jestestwa zmysłowe istnieją w czasie i przestrzeni, jednakże czas i przestrzeń nie są zmysłowe. Tak tedy już samo brzmienie, jakiegokolwiek będzie, jest jakby cieniem bezśmiertnym jestestw zmysłowych. Widzieliśmy również,

iż brzmienie objawia skład mechaniczny, wewnętrzny jestestw, pochodzi z ich wnętrza, jest jakoby symboliką ich istoty wewnętrznej. Tak się rzecz ma z każdym brzmieniem, a cóż dopiero rzec o tonie, który stosunkiem lirycznym, mogącym być jedynie pojętym przez duchów, odróżnia się od brzmienia. Między tonem a brzmieniem niema ogniw pośrednich, jak niema ogniw pośrednich między naturą bezrozumną (choćby ona była najzmysłniejszym zwierzęciem), a duchem rozumnym człowieka.

Jak atoli brzmienie okazuje układ mechaniczny, wewnętrzny jestestw materialnych; tak ton, tak melodye i harmonie, tak muzyka jest wyrazem duchowego wnętrza człowieka, najgłębszego wnętrza jego; ona rodzi się tedy z uczuć i jest uczuć objawem — a uczucie jest właśnie to, co jest najwięcej wewnętrznym, najwięcej osobistym w duchu człowieka. Każdy człowiek ma prawo do uczuć własnych, bo co myślą pojął, to jest jego własnością, co czuje, to jest on sam. Jeżeli zaś tony muzyki nie są więcej materią, ale jedynie jej zidealizowaniem, jeżeli są jakby symboliką wzewnętrznienia się wnętrza jestestw, jakby zerwaniem stosunków ducha a grubiej natury zmysłowej, jeżeli muzyka jest ducha nawrotem i pogrążeniem się jego w sobie, więc już znać, że to właśnie muzyka ze wszystkich innych rodzajów sztuki odpowiada najsilniej usposobieniu duchowemu ludów chrześcijańskich, że jest sztuką wybraną, ukochaną ich fantazyi, która również jest zerwaniem ze światem materialnym, która również jest wskrós liryczną. Widać przeto, że muzyka jest sztuką chrześcijańską w najwyższej swojej

potędzie. Gdy sztuka każda stoi właśnie na pogodzeniu dwóch światów sprzecznych, bo ducha i materji, głębin wewnętrznych i zewnętrznej rzeczywistości, ztąd to pogodzenie sprzeczności idealizuje się w muzyce, bo się staje zestrojem tonów odwrotnych sobie.

Obaczmy atoli zaraz, że wieki średnie rzuciły dopiero siejbę téj sztuki anielskiej, a siejba ta weszła dopiero w dziejach nowożytnego świata.

Rzekliśmy powyżej, że fantazyja romantyczna, o ile jest doprawdy artystyczna, właśnie tę ma istotę, iż ona tę sprzeczność, to rozdwojenie, te więc tęsknoty społeczne sobie wyjawia w swoim dziele; ale je godzi, koi i goi, a tak staje się wyrazem nieskończoności ducha, nieskończoności owéj, która zlewa, zestraja razem sprzeczne światy spólną harmonią. Ta potęga godząca, kojąca właśnie wyjawia się w muzyce, a przedewszystkiém w harmonii. Tak tedy nastąpiło koniecznie, że ludy chrześcijańskie z tą głębią w sercu, w duchu, która im się roztworzyła na wołanie wiary zbawienia, zrodziły z siebie harmonią i stały się piérwszymi piastunami prawdziwéj muzyki. Takiéj muzyki nie miała starożytność, bo nie miała harmonii. Niéma muzyki prawdziwéj, krom muzyki ludów chrześcijańskich, a tę poczęły właśnie w sobie stólecia średniowiekowe.

Muzyka wykwitła na ołtarzach wiary zbawienia. Jest temu półtora tysiąca lat, gdy Śty Ambroży rzucił ziarno przyszléj muzyki w Medyolanie, a Śty Augustyn tak mówi o tych śpiewach medyolańskich: »Głosy wpływały w duszę moją, prawda wiekuista sączyła się w serce, a nabożeństwa uczucie wylewało się

»radości łzami, pełnemi słodyczy.« Później Grzegorz Wielki zasiadł na stolicy apostołskiej a na tronie muzyki (r. 590); on zakładał pierwszą szkołę śpiewów. W trzysta lat potem zakonnik we Flandryi, ów Huckbald, ośmielony gieniuszem, owiany technieniem anioła tonów, zanurzył się w tajnikach bezdennych harmonii i wyniósł na świat zarodek pierwszy kontrapunktu, więc poczęcie nowej muzyki, co miała dźwiękami przerodzić serce Europy. A już od dawnych lat organy głosem uroczystym, grzmiącym łączyły się z nabożeństwem po bożych domach. I znów niezadługo przeradza Guido z Arezzo tryb ujęcia tonów w znaki pisane — w noty. Tak to poczęte zostało zacne dzieło muzyki pod błogosławieństwem nieba, a było ogrzane sercem rzewném i przezrystą pobożnością wielkich mistrzów, a szerzej, szerzej rozkwitało się czarowne państwo tonów. Obok muzyki kościelnej, co płynęła rzeką wspólną, pełną, uroczystą, ciekły też świeżym, krystalicznym źródłem strumyki muzyki światowej. Śpiewają trubadury, minnesengery, towarzysząc melodyą pieśniom lekkim, pieśniom uciechy i światowego kochania.

Przecież wiadomo ci może, że średnie wieki nie zdołały rozwijać tych pięknych zarodków muzyki kościelnej; ona straciła później swoją głęboką, uroczystą i świętą grozę, wyradzając się w sztuczność, w czeze, pedantkie formy, co trwało aż do XVI stulecia. Zkąd to poszło? — Ośmielam się wytłómaczyć to zjawisko, właśnie z całego naszego pojmowania powyższego. Duch cofnął się w siebie; to zapadanie się w siebie miało — jak wiesz — dwojaki skutek. Raz duch ujrzał

w sobie samym najświętsze tajnice istoty swojej, prawdy wiekuiste, rękojmię nadziemskie, łączące go z niebem i z nieskończonością. Z drugiej strony jednak to zapadanie się w siebie, to uczucie siebie zrodziło też wypadki ziemskie, bo ludzkie pomyłki; to samo poczucie siebie wydało bowiem, jak wiesz z powyższego listu, ową nieograniczoną dufność w siebie, która okazywała się tak często w chęci awanturowania się, w swawoli pragnącej nacieszyć się swoją swobodą, uczuciem téj swobody nieskończonej, osobistej. Ztąd poszło owo rzucanie się w świat, goniące za przygodami, ztąd poszły wszystkie one zjawiska, właściwe średnim wiekom. Ztąd też zrodziła się owa filozofia scholastyczna, swawoląca sylogismami, mająca upodobanie w popisywaniu się z bystrością osobistą. Ta filozofia dufając sobie, a niedbając o prawdę, która tkwi w rzeczach samych, pragnęła nacieszyć się zwinnością awanturną swojego sztucznego rozumowania, nie mającego w sobie treści. Zupełnie podobnym zjawiskiem była muzyka; i ona się wyrodziła, i ona mniej dbała o prawdy, tkwiące w muzyce samej, żyjące w jej głębiach. Kompozytorom chodziło o to, aby się popisać sztucznością, aby awanturować się wedle kaprysów swawoli, aby gwaleić prawa kontrapunktu i melodyi, byle zadowolnić osobiste swoje zachcianki. Widzisz tedy, że i ta muzyka była objawem swojej nieskończonej a spazzonej dufności w siebie.

Może się zgodzisz na takowe moje tłómaczenie muzyki ówczesnej; w późniejszym liście okażę, ile mię stać będzie, dla czego to właśnie wiek XVI był stółcem odrodzenia muzyki. Tutaj tylko chciej je-

szeze zważyć, że gdy tym trybem muzyka umiejętna, uczona, paezy się i skręca szkolnictwem, muzyka gminna, bliższa natury, bliższa serea ludzkiego, płynęła ciągle zdrojem skromnym ale świeżym, krystalicznym, Jak śpiewki ptasząt, brznią pieśni trubadorów, minnesengerów, minstrelów, towarzyszą im melodye lekkie, wdzięczne o uczuciu lotném, skrzydlatém, o sercu ciepłym, kochającym.

Te tehy nadziemskie, a niewymówne tęsknoty, co żyją w kościelnej muzyce, te jej melodye i harmonie, akordy i tony, gdy nie uleca ku niebu, lecz zatrzymane na ziemi uwidomią się oczom śmiertelnym, już wtedy skamienieją glazem, stają się architekturą tumów i onych świątynie uroczystych, co je nam przekazały średnie wieki, jako Boże strażnice a zadatki święte naszego przymierza z wiarą i z duchem dawno pomarłych pokoleń.

Wszak od dawnego już czasu ludzie gienialni porównywali tę muzykę z architekturą. To porównanie trafne dokonywali ich następcy coraz dobitniej i ściślej. Nie rozwodząc się zbyt szeroko, pragnę w kilku słowach podać ci wypadek ostatni ich badań szczęśliwych, odsyłając cię po bliższe roztoczenie przedmiotu do dzieł, których nie brakuje literaturze europejskiej. Zaiste i muzyki i architektury pulsem jest liczba i matematyczny stosunek. Obie te sztuki leżą i mierzą i wiążą. Jak muzyka płynąc tonami rodzi się i przemija w czasie, tak budowanie dźwiga się i szerzy w przestrzeni. Muzyka buduje sobie z tonów własne domy Boże, a budowanie gra na glazach, jako na strunach



święte psalmy i himny, i z nich wydobywa i rytmy i harmonie i melodye swoje. Jak muzyka przeistacza niesforne głosy natury, one łoskoty i szумы i szelesty na tony przeczyste, tak architektura przerabia skalne, niesforne opoki na ciosy, na figury geometryczne, i nadaje im kształty piłą, dłótę i młotem. Dla tego też architektura, równie jak muzyka, nie pożycza sobie kształtów od natury, nie odziewa treści duchowej w szatę jestestw zmysłowych; więc też obie te sztuki jako siostry rodzone wyzwalają się od zewnętrznego świata; każda z nich stwarza sobie osobny dla siebie świat. Muzyka rodzi go z serca i w nim żyje, w nim tonie nie słysząc wrzawy tłumnej rzeczywistości przyrodzonej; architektura, budując dzieło swoje, odgradza się również od zewnętrznego świata; stwarza własne sobie przestrzenie swoje i przebywa w nich, jako w domu własnym. Muzyka i architektura są sercem hieroglyfem, symbolem przeczucia, co robi, co się rusza i mówi na pół zrozumiane w duszy, a wieci się we formy tonów i formy architektoniczne. Gdy atoli architektura, krom surowego, dzikiego materyału, nie weale nie unosi z natury, gdy ona używa jedynie natury za środek do objawienia potęgi duchowej, gdy przyroda ma jedynie dla niej znaczenie ujemne, gdy ona, podobnie jak muzyka, całą osnowę swoją czerpie z tajników najskrytszych piersi naszych, gdy ona po ideał swój sięga do głębin duchowych; więc też ona jest najwolniejszą córą fantazyi artystycznej każdej i każdej wielkiej epoki w dziejach ludzkich. Gdy zaś architektura, jak już w inném miejscu rzekłem, tém znów różni się od muzyki, że ona już nie ma do czy-

nienia z dźwiękiem ulotnym, rodzącym się w chwili i znikającym w chwili, gdy ona buduje przez długie lata, a niekiedy i wieki, gdy jój dzieło jest rzeczą jakby całego ludu i stólecia, a ma zostać w świecie zewnętrznym na widoku wszystkich ludów i narodów; ztąd znać, że architektura nie jest wyrazem jednej fantazyi indywidualnej, fantazyi jednego pojedynczego ludu, ale jest jakby wykwitem sere tysięcy i milionów, że tedy architektura więcej niż którakolwiek sztuka spoczywa na fantazyi, którąśmy fantazyą powszechną, ogólną nazwali, więc jest symboliką uczuć powszechnych. I zaiste, pomijając tę architekturę bazilik, w których tak potężnie i uroczo występuje duch chrześcijański, cofający się do wnętrza swojego, pomijając również architekturę bizantyńską, zostawując na uboczu budowanie romańskie, które wypiastrowały wzory architektury klassycznej, zwrócimy się wyłącznie do budownictwa w środkowej Europie, które zwykle gotykiem zowiemy. Ono właśnie jest tą architekturą, która w całej wolności, bez wzorów i reguł narzuczonych, wyrosła z sere średnich wieków. Ono też jest najwyraźniejszém odbiciem fantazyi romantycznej i usposobienia duchowego średniowiekowych ludów.

W tych tedy tumanach gotyckich na oczy własne dotykalnie obaczymy i zerwanie ducha z naturą, i cofnięcie go w siebie, owo zwrócenie ku sobie od zewnętrznego świata, utonienie w sobie, a zatem uczucie nieskończoności swobody, niewiązanej już zewnętrznemi względami. Obaczymy zatem z jednej strony wybujałe, fantastyczne osobistej indywidualności istoty człowieka, lekceważenie natury zmysłowej;

a z drugiej strony uczucie sprzeczności wewnętrznej; ta sprzeczność niewymowną rodzi tęsknotę, jakby nieśmiertelnego ducha za wiekuistością wołanie. Lecz znów zarazem ta architektura, jako dzieło fantazyi artystycznej, będzie zestrojem téj sprzeczności, tego rozdwojenia,—ukojeniem tego rozstania się dwóch światów.

Obejdz kościół nasz Maryacki, albo Dominikański, lub katedrę w Krakowie; przypatrz się, jak te kaplice, kruchty, zakrystye, skarbee i te wszystkie budynki drobniejsze przeróżnym trybem występują na zewnątrz; spójrzj potem na górę, na te dachy strome, co w odmiennych bardzo wysokościach pokryły różne części kościoła, a wyznasz, że całe założenie tego budynku bynajmniej nie miało na wglądzie zewnętrznej strony jego, że tutaj budowała się myśl, patrząca się we wnętrze swoje, że ta architektura odwróciła się od otaczającego ją wkoło świata, że jest zebraniem się w sobie, cofnięciem się we własne tajne przybytki, w sobie się budując i w duchu się modląc. To cofnięcie się do wnętrza a skupienie się w sobie jest pierwszą cechą każdego gotyckiego budynku, mianowicie kościoła, wyrażającą się nawet i tam z całą potęgą, kiedy niema tych występujących budowli pomniejszych, i gdy, jak to najczęściej bywa, gmach składa się z jednój całości; bo wszędzie obaczysz, że zewnętrzny kształt jakby nie istniał dla siebie, że ma wprost tylko znaczenie ujemne, jak natura, jak cały świat zewnętrzny. To zewnątrz świątń jest wprost wypadkiem budującego się wnętrza. Kościół gotycki jest obrazem kupienia się w sobie, onego zmrużenia się zmysłów światowych, utopienia się w sobie. Dla te-

go, gdy cię obstapiają wewnętrzne, święte przestrzenie, gdy cię otoczą wkoło cichym, niemym majestatem i nawy i filary, i łuki i chór i sklepienia śmiałe, gdy cię uderzą, akordem harmonii pełnym, i światła i cienie i perspektywa uroczysta; wtedy odezwie się budowanie całe pieśnią tajemniczą i przejmie duszę dreszczem niewymównym; wtedy uczujesz, że te wewnętrzne przybytki są iście jednością artystyczną, zamkniętą i ukończoną w sobie; że tutaj zebrały się promienie całej budowy, jako uczucia zbierające się w pierśsiach twoich. A sercem tego wnętrza, a ogniskiem tych promieni jest ołtarz wielki, co króluje spotęgowanym przepychem zdobnych bogactw i sztuki.

Cheć teraz przywieść sobie na pamięć świątnięc staro-grecką. Tutaj wszystko inaczej się dzieje. Wszak istotą fantazyi Hellady była właśnie równowaga ducha a materyi, świata wewnętrznego a rzeczywistości zewnętrznej. Ztąd też świątelnia jej buduje się i ku światu; te zdobne frontony, te przedsienia urocze a kolumny strojne są zaiste całą jedną połową świątńey, a one również, jak ich bogi, patrzą uśmiechając się na świat, na naturę, miłą się ludziom, zwracają się wdzięcznie i poufale do żywota ziemskiego, co robi radością i weselem. Podobnie też i od góry świątelnia Greków często bardzo nie odgradza się od natury; ona i od góry nie zamknięta. Dach otwarty, wykrojony czyni wnętrze świątńey niby dziedzińcem odkrytym. Więc promienie słoneczne opływają swobodnie posąg boga, a nad nim rozpina się wesoło jasny niebios sklep, a przelatują obłoki, a przelatuje ptasia lekka gawiedź. Duch Grecyi nie był skupionym w so-

bie, nie tonął w sobie. Ołtarz ofierny nawet stał najczęściej na zewnątrz, przed świątynią, kiedy zbierał się lud, oddając bogom wesołym pokłon wesoły. Aleć i pod innym względem, jak ci wiadomo, w tych budowlaniach greckich iści się ten endowny zestrój ducha i przyrody czyli materyi. Wszak fantazya Hellady obliczyła się ściśle z prawidłami mechaniki, statyki, bacząc pilnie na wszystkie warunki materyi, więc na warunki mocy i trwania budynku. Takowe atoli właśnie stosowanie się jój do natury, do głuchój materyi stało się dla Grecyi źródłem architektonicznój piękności (List XII); technika, jako wzgląd na naturę i jój prawa, stała się zarazem estetyką, bo względem duchowym na wdzięki i urok artystyczny. Harmonia przednia wszystkich części świątńey jest zarazem rękojmią jój trwałości i mocy, a każdy członek architektury, jak może być wytłumaczony rozumowo z potrzeby technicznój, tak również jest zarazem przystrojem i ozdobą. Tutaj ciążenie massy ku ziemi, właściwe materyi, nie jest ukryte; występuje owszem na jaw, ale będąc zestrojone z siłą dźwigających kolumn spływa z nią wdzięcznym akordem.

Inaczój się pojawia fantazya w architekturze goetyckiej. Sklepienie tutaj niby nie ciąży na filarach, ale z nich wyrasta, z nich się unosi. Żyły sklepienia, nadające im utwierdzenie potężne i kształt i rytm, już często nawet istnieją w zarodzie w filarach samych, przechodząc przez ich głowicę, a z tych znown strzelając w górę w żyły sklepienia, jako konary palmowe rozpinają się po sklepieniach siatką kształtną, łącząc filary między sobą. To ostrołukie sklepienie jest naj-

wyższej swobody wyjawem; tutaj ciężkość ku ziemi ciśnieca, ów pierworodnej materyi grzech, jest starta, pokonana; tu materya odrodzona zmartwychwstaniem, uskrzydłona duchem, lekko unlatuje w górę, zrywa z rzeczywistością; a kościelne sklepienie, błękitne, podobne patrzy się gwiazdkami złotemi z zawrotną wysokością na mrowienie się ludzkie, co jeszcze na ziemi, co jeszcze doczesnością nękanie. Tak tutaj lekkość form, dźwigających ogromne masy, jest zwiastuną przewagi ducha nad naturą i przemożenia ciężkiej materyi. Podobne tryumfy ducha nad przyrodą obaczysz spozierając na ściany kościelne. One odgradzają świątynię od zewnętrznego świata, ale to nie ściany, to raczej filary wysokie, śmiałe, połączone olbrzymiemi oknami; tutaj znika potęga jednostajnej kupiącej się materyi.

Okna, sklepienia ostrołukie wzlatują ku niebu—im ekliwio na ziemi. Ta forma ostrołuka zaprawdę jest tętnem tej architektury i świadczy, że duch już przełamał linią poziomą, równoległą do poziomemu, będącą w Grecyi wyrazem onego ciśnienia materyi ku ziemi. Te linie gotyckiego ostrołuku chwytają oczy i serce widza i unoszą je z sobą nad gwiazdy nieskończonem przeczuciem. Lecz już w wieży potęguje się najsilniej ta kipiąca tęsknota; tu wezbranie nczuć a wrzących pragnień niewymownych, tu oderwanie się od rzeczywistości, od nizin doczesnych, od świata i gwarne go żywota. Te wieże kościelne strzałą lotną, budowaniem nadpowietrznem w dzierganą koronkę, wzbijają się w niebiańskie błękity. Głazy, z przepaści ziemskich wydobyte, teraz sąsiadują ze światem obłocznym, piętrzą się sennie, przejrzyste, eteryczne, niby prorocze głosy onych milionów

sere, co pozostały na pielgrzymce żywota. Przez tkanki przezroczyste, plecionki wyrabiane, hafty ciosowe tych wież przeziera niebo i przeglądają gwiazdy, prawie ludzom, że materya złamana, zidealizowana stała się matką zwyczajstw duchowych. Ta strzelistość a podłożność, ten kierunek pionowy, ta tęsknota ku niebu a siłenie się, by się oderwać od ziemi wyjawia się i tętni w całej świątnicy, i w ostrołuku, i w sklepieniu, i w bramach, i w oknach, i w filarach i w wieży, nawet w wieżbie i zrębie stromego dachu. Nie myśl bowiem, jakoby ta spadzistość jego była względem technicznym na północne śniegi; ona się zrodziła wprost jako wypadek ogólny charakteru i całej dążności onęj fantazyi romantycznój; bo z odwróceniem się od natury nastaje niby lekceważenie technicznych względów (\*).

---

(\*) Przypominam atoli, że jeżeli tu mówimy o lekceważeniu sobie zasad technicznych i o strojeniu sobie żartów z potęg natury, toć się rozumie, że te lekceważenia i żarty są tylko czémś pozorném; techniczność jest tutaj ukrytą, choć zachowana z pewném zuchwalstwem a wyzywaniem sił przyrody. Nie mieszejmy tedy architektury gotyckiej z arabską: choć obie są wielce do siebie podobne, choć gotycka pewnie doznała wpływu tehu budowania maurytańskiego, który jęj zawiał z Hiszpanii, i choć nakoniec obie te fantazyje są jakoby spokrewnione z sobą i obie są fantastyczne. Z drugiej strony jednak przypomnij sobie, jako powyżej rzekłem, że każda z tych fantazyi jest fantastyczną sobie właściwym sposobem, że fantazyja wschodnia ma się do fantazyi ludów średniowiekowej Europy, jak abstrakcyjny, głuchy teizm Islamicki,—przeradzający się tak łatwo w swawolny panteizm—do wiary zbawienia, co tak pełna głębokości wiekuistej treści, przenikającej wszystkie życia kierunki. Otoż ta moc ducha chrześcijańskiego przeniknęła sobą i przemogła zacnie potęgę natury, ale nie puszcza się w swawolę w tych architekturach swoich; ona dochodzi do najwyższego stopnia śmiałości w przewyciężeniu materyi, ale igrając niby z niebezpieczeństwem umie mu zapobiedz. Czyliż inaczej te misterne tumy, te przezroczyste wieże mogłyby przetrwać tak długi szereg wieków i dochować się naszym stóleciom? Architektura gotycka ukrywa tylko baezenie swoje na techniczne wzglę-

Rzekłbyś, patrząc się na tury średniowiekowe, że duch onych starych ludów stroił sobie żarty z żywiołów, które przyroda zawistna urokiem dzieł ludzkich wysyła jako czeladkę swoją, by je trawiły, psowały nieznaną nigdy pracą.

Właśnie te wyrabiane, misternie dziergane ciosy, te załamki, zakręty przerozmaite, tak właściwe gotyckim budowniom, jawnie świadczą, że mistrz nie ogłądał się na żywioły niszczące dzieła rąk ludzkich, że bu-

dy, ale ich nie gwałci; i dla tego ona rzeczywiście jest budowniczą, ona doprawdy buduje, ona nie jest kuglarstwem jak maurytańska, jej dzieła nie są dekoracyjne; nadto, duch artystyczny natchnieniem prawdziwem przenika całe to budowanie i czyni je całością organiczną.

Inaczej dzieje się w maurytańskiej architekturze. Tam fantastyczność jest swawolą, drwinkami z materji; tam fantazja czynia materją, czynia widza czarnoksiężką sztuką. Ta moc czarodziejska a pełna wdzięku tego budowania ma atoli sprawę z innym klimatem; a zresztą, jak ci wiadomo, jest czasem li dekoracyjną np. w onęj Alhambrze i w innych budowach maurytańskich, w których gęsto bardzo znajdziesz wrzekome tylko sklepienia, bo nie z ciosowych cegieł ale z kawałków drzewa pilnie, misternie ułożone, a w innych miejscach znowu sklepienia są raczej oszalowaniem belek dachowych. Niedziw tedy, że takie sklepienie, udające murowanie, spocząć może na istotnie cienkich słupach i uderzyć podwyższeniem czarodziejskiem. Nie przytaczałbym tej właściwości, samęj przez się może drobniejszój, gdyby ona zarazem nie przypominała nam onęj istotnej cechy ducha i fantazyi Arabów, bo onego bujania bez granic, co raz senne, bezużadne, opojone, a znów zamienia się na jałową rozsądkową prozę, tak, iż tam chwila uniesienia, zachwycenia fantazyi nie jest zarazem chwilą mądrości, onego artystycznego jasnowidzenia. Tak, jakem rzekł dawniej, na Wschodzie, po chwilec upojenia, przystępuje rozsądek, co wiąże i waży i rafinuje. Ztąd te ornamenta i przystroje maurytańskie, nie będąc kwiatem natchnienia, nie są niby z jednego odlewu; one równie jak wschodnia poezja, jak cała architektura, nie są organiczną całością.

Toć jest, jak mnie się zdaje, istotna różnica onych dwóch fantastycznych fantazyi, bo europejskiej średniowiekowej a islamiickiej; toć jest różnica onych dwóch architektur, choć obadwa te światy są romantyczne i na pozór podobne do siebie.



dował im się na przekor, i wyzywając je jakoby do zapasów i walki. Zważ, że to samo sklepienie nawet jest tak misterne i lekkie, że nie zdoła wstrzymać pożaru, skoro płomienie ochłoną wiązanie dachu, jak tego smutnym dowodem nasz rok 1850.

A czyliż same olbrzymie rozmiary tumów średniowiekowych, przypominające budowanie starego wsechodu, nie świadczą równie głośno pod tym względem, że duch człowieka potęgą swoją przeparał materią, że jój przyznaje tylko wartość ujemną, zostawując na niej oznaki swoich tryumfów? Sam ogrom świątnie świadczy, że duch człowieka położył tutaj stopę swoją na bezdusznój naturze, jako na podnożu wiekuistości swojej. I zaiste, jeżeli ludzie nazywają ojca zaenym, co z miłością w sercu dla swoich dzieciak szezepi drzewka, o których wie, że już nie jemu zaświecą owocem; cóż rzec o tych szanownych pokoleniach, co nie litując krwawego trudu, z wysileniem bez granic, z nabożeństwem w sercu a miłością gorącą dźwigały te tumy ogromne, choć przewidywały, że nawet ich późne prawnuki nie doczekają się końca tej pracy a mocowania się. Przystępowało pokolenie po pokoleniu zmieniając się w robocie, i umierały i rodziły się z kolei pokolenia, a dom Boży rósł a rósł na chwałę wiary i na cześć narodu, który w nim złożył świadectwo głośne, wymowne, że umiał żyć i umierać dla myśli, która się stała pulsem jego serca, żywotem ducha jego na ziemi.

Choć atoli one wieki i pokolenia zaene, ręka w rękę, ramię w ramię, spólną pracą, jednem spólnem sercem jęły się budowania tego, toć przecież po tych dziełach ich znać, że to były «ezasy, w których indywidualność

»ludzka wybujała swobodą samodzielną, a człek każdy  
 »uważał się za jednostkę osobną, o sobie stojącą; słowem, były to czasy, w których, jak to w inném miejscu rzekłem, społeczność cała była zbiorem punktów  
 »świecających, iskier odrębnych, z których każda odnosiła się do siebie saméj jako do ogniska swojego»  
 (feudalność — list poprzedni). I zaiste znać w téj architekturze, że przeczucie nieskończoności wartości roztworzyło głębie bezdenne w duchu, że człowiek każdy czuł się być jednostką osobną, o sobie stojącą. (Obacz oba listy poprzednie).

Jako, gdy drzewo się rozwija w konary, w gałęzie, gałązki i liście, każdy konar, każda gałązka, każdy listek jest jakoby całością dla siebie, osobnym drzewem, osobną rośliną; tak podobnie w budowaniu średniowiekowym każda jego część, każda cząstka, każda nawet drobnostka rada niby stać się całością odrębną, rozwijając się po swojemu, nie oglądając się na inne; więc każda, udając całość, w siebie się cofa i w siebie się patrzy. Gdy u Greków znajdziem najprostsze założenie świątyni na prostokątnej jej podstawie, — w gotyckim kościele całość rozszerza się na mnóstwo kaplic, kapliczek, drobniejszych świątyni, z których każda jest odrębnym dla siebie kościołem, z których każda ma ognisko własne w sobie i do siebie się odnosi. Ba, niekiedy nawet te kaplice, to obszernością swoją, to umieszczeniem swoim względem głównej świątyni, nabierają niby znaczenia rzeczywistych kościołów odrębnych a przecież należą do wspólnej całości; przykład nie daleki: wszak sam lud, i słusznie, nasz ko-

ścioł franciszkański w Krakowie nazywa kościołem o siedmiu kościołach (\*).

Podobne rozjednostkowanie się na osobne całości i całości znajdujesz w budowaniu wież. Spójrz na nasze dwie wieże maryackie. Owa niższa wyrosła wierzchołkiem baniastym swoim; lecz obok niego osiadły cztery jemu podobne, z których niby każdy jest dla siebie całością. Wyższa zaś wieża, tak śmigła i strzelista, otoczyła się u góry ośmią wieżyczkami, co równie strzeliste, śmigłe, z których każda o gałęce i chora-giewce pokazuje po swojemu prądy wietrzne i drogę obłokom. Wyznaję, że forma téj wieży jest oryginalna, i, o ile mi wiadomo, nie ma nigdzie sobie równej. Natomiast na Zachodzie i na germańskiej północy, cała przednia strona świątynie a mianowicie już wieże ustroiły się w bogactwo bujne, niedoliczone ornamentów zdobnych. Bujają, cisną się tłumem, przędą się i śpinają niby bluszczem wyżej i wyżej, szérzją a szérzją najcudniejsze skamieniałe dziwy fantazyi, a każda ich cząstka jest niby czémś osobnym, odrębnym, niby samoistną całością. Jeżeli zaś już na rękę téj fantazyi są formy ze świata roślinnego wzięte, zatém sploty i zwoje gałęzi, konarów, kwiatów, owoców i liści, a nawet formy zwierzęce; toć zgadniesz że z istoty swojej najwięcej się rozkochać musiała w owéj drobnéj, niby miniaturowéj architekturze, w onych niżach, baldakinach, kościolkach, kapliczkach, wieżyczkach; słowem,

---

(\*) Powie może czytelnik, że przecież w Grecyi i Rzymie widzimy podobne zjawisko! Ale w Grecyi i Rzymie dwie lub więcej świątynie budowanych około siebie nie składają jedności, ale są to całości materialnie tylko powiązane z sobą a z istoty są zupełnie odrębne.

w tych zdrobniałych architektonicznych całościach, bo takowe właśnie są niby czémś zupełném w sobie, odnoszącém się do siebie, do wnętrza swojego, jako do własnego ogniska. Tak na przyporach, trzymających zewnątrz ściany kościelne, wytrysły takie miniatury kościolków, splecionych jakby ze zwojów gałęzi, konarów; one wyrosły wysoko nad okap dachu; często bardzo znów te świątniczki oznaczone szezytem gotyckim; a częściej a gęściej jeszcze, ba prawie zawsze na tych szezytach, i kędy tylko miejsce się zdarzy, sterczą one wieżyczki czworosienne występujące w świat jedną krawędzią, a przykryte dachem spiczastym, co to o czterech okapach i z kwiatem na wierzchołku a z perlkami na krawędziach. Te wieżyczki są pełne, niewydrażone, one są niby niewykończoną, ślepą kapliczką, w której miał być umieszczony posążek.

Słowem, kędy spójrzysz, obaczysz założone niby świątniczki, zamurzone kościolki, rozpoczęte szezyty; rzekłbyś, że mimowolnie one się rodzą w rysunku mistrza. Wszak i we wnętrzu znajdziesz niżej, niby kapliczki osobne, świątniczki obstępujące filary; nawet w kształt kościoła budowany często bywa ołtarz wielki, ławki, konfesjonały, ambony, ba nawet święte sprzęty kościelne, np. monstraneye średniowiekowe najczęściej wyrobione są trybem kościolków gotyckich, nawet często opatrzone w rury, niby na ściek wody, zakończone w głowy, w paszcze fantastyczne, jak to bywa u prawdziwych kościołów.

Widzisz, że te wszystkie rozpojedynienia się, rozjednostkowania, te wszystkie zewsząd kipiące stroje

i ornamenta to mają do siebie, że ciągle, wiecznie strzelają w górę, mają dążność pionową, i, ile ich stać, rade przełamać, poprzecinać linią poziomą; dalej uważ, że one nie są w żadnej styczności z naturą, z rzeczywistością; one są wykipieniem swobody duchowej i jej wykwittem, bo nie rodzą się bynajmniej, jak greckie ozdoby architektoniczne, z praw i warunków technicznych, i nie mogą być wyjaśnione rozsądkiem prozaicznym, bo one nie są uzasadnione potrzebą.

Pomyśl też, co się dzieje, gdy promienie słoneczne przejrzą się po tych ornamentach; cienie i światła ostre, dobitne, wąskie, potężne, odejście od siebie, uderzą całą siłą swoją. Widok ten jest tak różny od gry światła na świątnicy greckiej, gdzie i jasności i cienie, mroki zwolna łagodnieją, spływają z sobą przelewając się nie-spostrzeżonym tonem.

Chciej baczyc, że to rozjednostkowanie się w odrębne niby niezawisłe całości, z których każda do siebie się odnosi, o sobie stoi, wyjawia się najpotężniej, gdy znajdzie nosobienie swoje,—a toć właśnie się dzieje w onych rzeźbionych osobach, figuraeh, posągach i posążkach o przeróżnaitych wymiarach, co tłumną ludnością ożywiły i zewnątrz i wewnątrz kościołów gotyckich. Te figury wysadziły węgary i podwoje kościelne, mieszkają po wieżach, stanęły pod baldakinem na spornikach, pod podniebkami; to znów stanowią kapitele filarów, to znów patrzą się na ludzi ze szczytów, ganków, przypór i t. p.

Te posągi i posążki święte tak płyną ze samego

serea i ducha téj architektury, że wykwitają nawet na wzniesieniach, z dołu okiem niedostrzeżonych (\*).

Rozumiem, że com powyżej powiedział, wystarczy, by ci wskazać tę dążność do indywidualizowania się, do swobody odrębnej, niezależnej, do wyjawienia jakby osobistości oddzielnej, która, jak widziałeś, występuje we wszystkich kierunkach życia średniowiekowego i świeci niby iskrami, niby błyszczącymi punktami udzielnymi, odrębnymi.

Proszę byś, obok téj cechy tak wydatnej, miał na pamięci greekie świątnice, te ich ściany zewnętrzne tak jednostajne bez okien, bez niź (bo te nierównie później się zjawiają). W gotycezmie ta dążność do indywidualności, do odrębności ściśle się łączy z dążnością przeżycia wielkich mas ciężkiej materji, i nadania jój lekkości duchowej, idealnej. Tak filary kościelne rozjednostkowwały się na cienkie, odrębne kolumny; są tedy raczéj pękiem, wiązką, snopem filarów. Czasem one są bez kapitelów i wprost, strzelając w górę, przeistaczają się na żyły sklepienia; czasem znów, a to najczęściej, każdy z tych cienkich misternych słupków ma kapitel swój własny, a tak okazuje indywidualność swoją. Niekiedy pęk kolumn cienkich, strzelających z dołu, u góry kończy się spornikiem, na którym stoją figury pod podniebkiem, od którego znów te słupki cienkie wzno-

---

(\*) Uważ np. że samo zewnątrz marmurowe katedry medyolańskiej liczy tych figur półpięta tysiąca, z których większa część osadzona w onych wieżach i wieżyczkach dzierganych, przezroczystych. Ono wszystkie marmurowe, misternie, pilnie wyrobiono i wyrzeźbiono, a tak drobne, że chcąc je obaczyć trzeba stanąć na tym płaskim dachu kościelnym, a tu nawet zda ci się szkło bystre, byś ich wdzięk i sztuczność mógł podziwiać.

sza się w górę, rozwijając się, niby gałęzie, w żyły sklepienia, jak to widzisz w głównej nawie katedry krakowskiej.

Takowe rozjednostkowanie się niekiedy tak bywa potężne, że spotykamy w jednej i tej samej nawie kościelnej rozmaitość, zatem odrębność i udzielność; tak np. w głównej nawie naszego kościoła Śtój Katarzyny, po prawej stronie kończą się kolumny zdobnemi szczytami gotyckimi; poczem, po małej przerwie, nad temi szczytami sznuruje grzems, na tym grzemsie stanęły podnoża nowych kolumn, te kolumny wznoszą się pod sklepienia, gdzie zamieniają się na ich żyły. Po lewej stronie tej samej nawy, słupy idąc od dołu dosięgają grzemu su przecinającego i strzeliwszy bez przerwy pod sklepienia tam rozszczepiają się na żyły sklepienia. Jeżeli tedy po stronie prawej grzems panuje przerywając kolumny, na stronie lewej władztwo przeważne ma kolumna, boć ona przerywa grzems. W tym samym kościele kaplica Śtój Moniki i zakrystya tém się oznaczają, że ich sklepienie opiera się na słupie jednym środkowym ośmiokątnym. W kaplicy żyły rozwijają się z krawędzi słupa, w zakrystyi zaś wyrastają ze środka jego ścianek. W kościele krakowskim «Bożego-Ciała», w nawie głównej, słupki cienkie wznoszą się jednostajnie aż pod sklepienia, kędy rozkładają się w konary jego; w nawach pobocznych zaś — z jednej strony żyły na ścianie kończą się w sporniki, a na ścianie przeciwniej kończą się w ostrza misterne i t. d. Inaczć się znów dzieje w kościele dominikańskim, inaczć w kollegium Jagiellońskim i t. d.

Przypatrz się teraz oknom gotyckim kościelnym—

one, choćby równej wielkości, najeźściiej przecież każde odróżnia się od innych właściwą sobie indywidualnością; w każdym środkowe słupki i węgarki wysmukłe rozgałęziają się osobnym wzorem, osobnym rysunkiem, w każdym tedy inne kontury szybek; co więcćj, te środkowe węgarki niejako znów dzielają okna na dwa, trzy, cztery i więcćj okien. A jak całe okno ma osobny swój szczyt a w nim np. swoją różę, tak znowu każde z tych okien pomniejszych ma swój szczyt i w nim różę własną, często i własny rysunek swój. Tak się dzieje przynajmniej najeźściiej, najgęściiej. W kościele Śtój Katarzyny jedna z pobocznych naw ma okna od siebie oddzielone, w drugiećj okna umieszczone są parami.

Otoż to rozjednostkowanie, ta indywidualność, ta swoboda i odnoszenie się do siebie powtarza się i w najdrobniejszych szczegółach; wszak nawet te żłobki, tak płytkie w greckiećj architekturze, są tutaj głębokie i nurzą się w téj głębi swojej, a tak okazują to odnoszenie się do siebie, do swojego wnętrza, to cofanie się w siebie. Jak cała świątnica u Greków występuje na zewnątrz, tak też u nich cały rysunek gźemsów, opraw występuje w świat; w Gotycezmie zaś właśnie ten sam rysunek okazuje cofanie się idzie na wewnątrz. Krawędzie, które u Greków pojawiają się jako kąt prosty, tu zaś jako kąt ostry lub rozwarty. (\*).

Wszak już dość tych skazówek, boć i tak nie miałem na celu wyczerpania rzeczy całej, pragnąłem je-

---

(\*) Ob. co o téj architekturze gotyckiećj pisze Vischer, Hübsch, Kugler, Schnaase, Ramée, Bourasse z których tutaj korzystałem. Rozumie się że autorowie protestancy mnićj życzliwie oceniają te gotyckie budowania, uważając je za katolickie.



dy nie niektórymi przykładami potrącić baczenie twoje; chodziło mi mniej o poparcie całego rozumowania, roztozonego w tych trzech listach moich, jak raczej o wyjaśnienie bliższe całego sposobu zapatrywania się naszego.

Racz przeto jeszcze pozwolić, bym ci i w architekturze wskazał ono rozłamanie się na dwoje, oną walkę dwóch pierwiastków, oną sprzeczność, będącą istotą i cechą wieków średnich, a zarazem zestrojenie tych dwóch pierwiastków mocą fantazyi artystycznej,—i pogodzenie ich i zlanie w jedną pełną harmonią. Otóż i pod tym względem kilka skazówek zupełnie nam wystarczy.

Pierwsza sprzeczność jest właśnie ta, o której teraz mówiłem. Cały budynek jest zaiste całością i dąży, by był jednością; tym czasem, jakoby sam sobie był przeciwny, wykwiła w nieskończone drobne całości, z których każda rości sobie prawo, by była czémś osobnym, osobistym, odrębnym. Powtóre, gotycka świątelnica cała odnosi się do wnętrza swojego; ona jest ntonieniem w sobie, duch tutaj cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznej; kształt więc zewnętrznej strony ma tylko znaczenie ujemne. A tak masz w tej odwrótności strony zewnętrznej a wewnętrznej pierwszy dualizm a sprzeczność tego budowania.

Aleć znów nową sprzecznością jest sama ta zewnętrzna strona, bo ona niby nie ma mieć znaczenia dla siebie, a przecież znów jest tak bogato ustrojona! Mianowicie też wystawa naczelna (front) nabiera tak ogromnej wartości, że się zdaje, jak gdyby to ona była przeważną częścią całej budowli; tak i podwoje głów-

wne ubrane najwyższym przepychem, utkane w rzeźby misterne, wykwiłtne.

Leez w tych samych ozdobach znów jest sprzeczność, bo one zdobią zewnętrzną stronę kościoła a przecież każda z tych ozdób ma cechę odnoszenia się do swego znów wnętrza, do siebie; wszak one są świątniczkami, kapliczkami, podniebkami i t. d.

Tak i wieże również są częścią zewnętrzną; a one właśnie są spotęgowaném areydzieniem sztuki gotyckiej, dźwigającém się z całém wysileniem onych pracujących stóleciów. Słusznie też powiedziano, że one często więcéj kosztowały trudu i roboty i wydatków niż sam kościół, którego są przyczynkiem i ozdobą.

Zważ nową sprzeczność: te same wieże ulatujące w obłoki, a krypta podziemna!

Świątnica gotycka jest całością w sobie, a wieża, do niej będąc jakoby przybudowana, roztrąca tę jedność na dwoje.

Ale te sprzeczności mnożą się, są jeszcze dalszym nieskończonym szeregiem. Tak zważ ogrom okien, ich wysokość i szerokość; one są tak olbrzymie, iż, jak rzekłem powyżej, zostawują między sobą przestrzeń, będącą raczej filarem niż ścianą; znać tedy, że chodzi niby o powódź światła, która pełną rzeką wpływać ma do wnętrza świątnicy. Te ściany atoli, właśnie osłabione ogromem okien, zradzają znów potrzebę przypór zewnętrznych a nawet łuków przypornych, a często znowu nad temi łukami piętrzą się drugie i trzecie bogate, zdobne łuki. Te jednak przypory i łuki przyporne wstrzymują światło, ściemniają okna, a tak niby okna te nie osięgają pierwotnego celu swego, a to

tém mniej, że te okna znów pyszną się w malowane szyby, co mroczą barwami święte wewnętrzne przestrzenie świątń.

Gotycka architektura buduje świątnię, w niej okazując zebranie się w sobie i skupienie wszystkich promieni w jedném spólném ognisku (np. w wielkim oltarzu); a przecież wbrew téj dążności stwarzając obok głównego oltarza wiele innych ognisk pomniejszych (pobocznych oltarzy, kaplie, naw pobocznych, poprzecznych) rozsypuje znów duchowe promienie dopiero co w jedném ognisku zebrane, i z kolei znów je kupi i zbiera. To kolejne bez końca zbieranie się i rozsypywanie, będące jedną z wielu sprzeczności, właściwych budowaniu gotyckiemu, gra w światłach, co strugą barwną, migotną, wpływawszy malowaniami szybami, mieni się i świeci po całej świątyni.

Dzieło architektury romantycznój jest całością, jednością; a z drugiej strony wykwita bogatym światem ornamentów, przystrojów, z których każdy jest całością osobną. Budowla jest z prawa swojego architektury; przecież znów ornamentów kamieniarskich i rzeźbiarskich jest taka ciżba, że pokrywają ściany całe, że właściwa architektura kryje się i chowa i cofa przed nawałem innego rodzaju sztuki. Rzekłbyś, że budownictwo jest tu tylko tłem dla rzeźbiarza, by miał po czém bujać, cieszyć się i tworzyć.

Architektura ta zuchwale sobie żarty stroi z ciężkiej, nieużytej materji, nadając ciosom dłutem, młotkiem formy fantastyczne, dziergane, przezroczyste; ale wnet, znów zniewolona uznać prawa materji,

przekuwa żelazo na kotwy, zwory, naciągi, aby nie-  
mi pośpinać i utwierdzić te ciosy i mury.

Patrz—w tych kościołach wszystko technie świętą  
powagą, głęboką uroczystością; a obok rzeźb rzewnych,  
religijnych widzisz znów często figle, koncepta, kary-  
katury wyrobione z kamienia, sceny komieczne, nawet  
burleskiady, często weale nie skromne; prawda że to  
są przenośnie, niby symboliczne wyobrażenia, ale one  
wręcz są sprzeczne innym rzeźbom i całemu duchowi  
budynku.

Otóż takich sprzeczności możnaby wiele jeszcze  
przytoczyć, bo dużo też rozprawiano o tém wszystkiém  
w architektonicznym świecie. Przywiodeę atoli jeszcze  
jedną tylko okoliczność. Wszak tu panuje wolna, ni-  
czém niekrępowana fantazya, co buja, igra i przedzie  
z siebie te świątynie i stroje, to zdobne, przepyszne bo-  
gaćstwo ornamentów; a przecież zdaje się, że na dnie  
tęj fantazyi, niby bez granie wolnej, były prawidła krępu-  
jące ją, nakazujące przeróżne kombinacye i przeróżne  
połączenia liezb, figur jeometrycznych. Tutaj wielkiej  
wagi były trójkąty, sześciokąty, sześciiany i. t. d. Obok  
tedy fantazyi swobodnej znalazły się prawidła wiążące  
jēj butność i swawolę. Ztąd też być może słuszne  
twierdzenie tych, którzy są zdania, jakoby umiejętność  
budowania była tajemnicą przechowaną wyłącznie  
w ceehu budowników. To być może, zwłaszcza że ar-  
chitektura średniowiekowa nie jest wypadkiem samej  
natury i istoty rzeczy i prawideł podanych przez wzglę-  
dy techniczne, jak to było w Grecyi; ale jest raczej  
córą fantastyczności trzymanej na wodzy przez prawi-  
dła dowolne i wyobrażenia przyjęte. Bądź jak bądź,

fantastyczność a matematyka! czyliż może być przeciwieństwo silniejsze, ogromniejsze?

Zwracam ci uwagę że, jako już w inném miejscu rzekłem, architektura jest sztuką symboliczną; widzisz tedy że to wszystko, com dotychczas mówił o architekturze gotyckiej i co jeszcze powiem o niej, okazuje się symbolicznie w całym budowaniu; duch średnich wieków w ciosach wyraża, co się we wnętrzu jego dzieje, ale wyraża to bezświadomie; ta symbolika rośnie z głębin jego niby kwiat; on sam nie zna własnej sprawy swojej. Przecież obok tej symboliki bezświadomej jest druga świadoma; mistrz, budujący w średnich wiekach, rysując plan kościoła, już w położeniu jego, w rysunku poziomym, w rozmiarach, w stosunkach liezbowych z najzupełniejszą wiedzą wyraża myśli symboliki tajemnicze odnoszące się do wiary kościoła. Ta sama symbolika jeszcze potężniej okazuje się sobie świadomą w ornamentach, w figurach ludzkich i zwierzęcych, fantastycznych i t. d. Lecz do rozpraw o tej świadomej symbolice nie staje nam miejsca; a do naszego celu też daleko więcej się nadaje i nierównie więcej jest zajmująca ta symbolika instynktowa, bezświadoma, która prze w najgłębszych toniach średniowiekowego mistrza.

Com powyżej rzekł dostatecznie nam dowodzi owego rozdwojenia, onej walki i pasowania się w średnich wiekach; wszak to wszystko było właśnie przedmiotem tych naszych trzech listów o fantazyi romantycznej. Widzieliśmy wszędzie tę sprzeczność bujającą całą nieskończoną swobodą, wolnym szerokim oddechem, wszędzie spotykaliśmy tę treść duchową, która kipiała

i warzyła się w sercu człowieka. Natura z całym zachwytem porywającym a duchowość w sobie zamknięta, rzeczywistość hulaśna, wesola, tłumna a pokutne zamknięcie się w sobie i wystąpienie do wewnętrznej pustelni serca, dzikość twarda, okrutna a skrucha miękka, topliwa, rozplywająca się rzewnością, doczesność z wieńcem różowym, a wiekiistość w gwiazdzistej koronie, śmiechy światowe a łza samotna, paląca, spokój cichy słuchający pieśni cherubinowych a awanturne miotanie się po świecie, tęsknoty nicukojone, unoszące duszę w nieznana dal, a lekkie, skoczne, ziemskie radości, kipiący pułch ucieszeń doczesnych a ostateczne sądy, śmierć i życie wieczne, kolebka i dół grobowy, żarty i drwiny i gromy piorunne, słowem to wszystko, co się roi i burzy, i tętni i żyje w sercu człowieka, słowem wszystkie rozdwojenia i walki, co robią w duszy naszej, zebrały się, spłynęły w te sprzeczności, które skamieniały w architekturze świątyni gotyckich, które nas w koło otaczają niby Bożym światem, niby wszechnią stworzenia. Te walki a rozdwojenia są niby wbudowane w tę architekturę, bo istnieją w duszy średnich wieków, bo są pulsem ich serca i uderzeniem.

Przecież z kąde, mimo tych sprzeczności, tego rozdwojenia, ta świątynia uderza cię taką potęgą niewymówną? Z kąd ci to mrówie uszanowania, te dreszcze czei i podziwienia chodzą po duszy? Dla czegoż nie widzisz, nie czujesz tych sprzeczności, téj walki pierwiastków, gdy świątynia ta, jakby wieczność, obstąpi cię do koła? Wszak, gdy spojrzysz na te przybytki, nie możesz się upamiętać, a twoje życie całe, treść cała

ducha twojego ożyje w piersiach; w nich przeszłość zmartwychwstanie, a przyszłość żywota twojego, nieurodzona jeszcze, ubierze się w lekkie, eteryczne, barwne okien promienie i przemówi w falach organów, w światłach i cieniach sklepienia i kolumn.

Zkąd to budowanie, co niby tak pełne sprzeczności, a przeciwnieństw, zaśpiewa ci jednak tą kamienną, niebiańską harmonią i uspokoi, zagoi wszystkie rany, wszystkie sprzeczności bolejące w sercu, i zaleje pociechą nadziemską palące rany duszy twojej?—Pytasz zkąd się biorą te dziwy, te cuda! Oto—bo to budowanie jest jako Boży świat, jako wszechnica stworzenia!—bo mistrz był na prawdę mistrzem, bo on, jak powyżej rzekłem, wyraził w dziele budowaném swoim sprzeczność, dwoistość, i pasowanie się i łamanie, będące znamieniem epoki świata, z której on wykwitł, niby z ziemi swojej. Ale mistrz ten, właśnie dla tego, że jest mistrzem, wyrażając tę sprzeczność w osnowie swojego dzieła, umiał ją zarazem zestroić spóldźwiękiem, harmonią; on mistrzem będąc wzniósł się nad ostateczności rozdzierające świat mu społeczny, a tak je przemógł, przezwyciężył i w duchu z sobą pogodził, pojednał; on piersiami objął ten kontrapunkt, w którym zlewają się, topnieją dyzharmonie rzeczy skończonych.

Tak jest, ta świątynia gotycka, niby sama tak pełna najgłębszych sprzeczności, goi i koi i łagodzi sprzeczności bolejące serca twojego,—bo ona jest jako Boży świat, jako wszechnica stworzenia.

Przypatrz się życiu i światu w szczegółach, a znajdziesz nieprzebrane morze sprzeczności, tak, że

każda jednostka będzie zagadką nierozwiązaną; znajdziesz walkę i wojnę wszystkich jestestw, wszystkich potęg, znajdziesz bezpotrzebne katusze i męki, rozpacz bezdenna, cierpienia bez winy, szczęśliwość bez zasługi, obaczysz miliony pączków zwarzonych mrozem, zanim rozwinęły się w kwiaty, obaczysz miliony pączków ludzkich, złożonych w trumienki, pogrzebionych po cmentarzach, zanim wykwitły ku gwiazdom uczuciem pełnym, jasną wiedzą ku Bogu. Obaczysz, jak to w tém życiu nie dochodzą najświętsze, najgorętsze serca pragnienia, jak to rzeczywistość nienublagana, nieużyta, szydzi z tęsknot, z nadziei, co umierają samotne, nieznane w piersiach naszych, jak to same ślepe, grube potęgi, bezwidne, bezuzdne młóce w niwecz obracają nawet najświetniejsze areydziała ducha ludzkiego, co miały pójść na chwałę całego naszego rodu. W życiu, w świecie słyhać jęki, kwilenia boleści, słyhać gwałty i krzyki rozpacz, widać rządy wrogiego przypadku, co jakby fatum, jakby zmora ciąży na duszy rodzaju człowieka.

Tak jest, tak się istotnie rzecz ma, gdy się zwrócisz ku światu krótko-wzrokiem zmysłem doczesnym, gdy patrzeć się będziesz jedynie na szczegóły, na jednostkowe jestestwa we wszechstworzeniu, wtedy dostrzeżesz jedynie dyzharmonie i usłyszysz jęczące dźwięki fałszywe. Ale gdy, natchniony mądrością, gdy wznieśiony uczuciem wiekuistości nad te ułamki i okruchy biedne, obejmiesz światy wszystkie i doczesne i wiekuiste, i światy materji i światy duchowe, niekonające nigdy; wtedy nie dosłyszysz już dyzharmonii, zostawisz je na tutecznych nizinach; okruchy, ułamki



zrosną się w jedną całość, jak kości rozsypane Indów zmarłych na ostatecznym sądzie; rozdwojenia się i sprzeczności, wszelki dźwięk fałszywy, przetopią się w jedną ogromną harmonią, w jeden hymn, w jedno oratorium, które słyszą anieli; świat materji skończonej i nieskończonej, doczesny i wiekuisty, złoży jeden wielki Boży dom. Tak i gotycka świątelnia w szczegółach sprzeczności pełna; jej zaś całość, ogół jest prze-  
czuciem harmonii nadgwiezdnej, odgłosem innych światów, co tu zebrał się w kamienne budowanie i pozostał wśród ludzi, wśród ziemskiego żywota.



## LIST XXIX.

### Stólecie XVI.

Wstęp. — Wysłańcy nowój historyi. — Kolumb, Kopernik, Keppler. — Franciszek Bako, Böhme, Des Cartes i Malebranche. — Machiavelli. — Paracelsus. — Wynalazki. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznój. — Charakter i istota fantazyi artystycznój w XVI stóleciu. — Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w tej nowój epoce. — Zestrój ducha i natury, będący istotą tej nowój poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassyczności dawniej, starożytniej. — Sztuka klassyczna nowożytnych czasów. — Różnica jęj od fantazyi klassycznój starożytnych ludów. — Inne znamiona tej nowój fantazyi. — Fantazyja późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI. — Powody tego zdania i przykłady.

Gdy słońce opuści tamtę, nam odwrotną, półkulę naszego planety,—gdy pożegna nieskończone jęj oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata,—gdy jego tarcza, ta pani światłodaweza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spójrzenie swoje po naszej północnej połowie ziemi; już wtedy ogrzane jęj promieniem duchy natury obudzą się po długim snie zimowym, i, przeciągając się, leniuszki ziewną, spójrzą w koło siebie, i zabiorą się ochoczo, rzesko do wydzielonej im pańszczyzny. Jedni z tych duchów-wyrobników imają się łąk, gajów i gór i roli, i chuchają na wszystko, co rosnące, kwitnące, więc na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i

przędą eieniuchne włókienka, i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tehną na nie wonią— a wnet Karpaty, co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jój objęcin śpieszą na Bałtyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmładniały wiosną i z wysokości swojej patrzą kwiatkami na blonia i gaje i na grody stare. Ba, wszak i na jednej z zsiwiałych baszt krakowskich, na jój samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jój bukiet ślubny. Tym ogrodnikom a gospodarzom niewidzialnym są też niepomału na rękę innego znów eechu braciszkwowie, co ulatując w powietrze, wzgórze, wysoko siadają na obłoczkach, na chmurkach, a płyną na nich, jakoby na statkach niebiańskich, i wszędy patrzą eiekawie, a kędy posucha, tam kierują te rozptylne statki swoje, to kropią dżdżem, luną ulewą, to zasłaniają nasze pszeniczne łany chmurną oponką od skwarów palących; a tak co sił pomagają onój czeladce na dole, co to od urodzajów wszelkich a chlebowawczych plonów. Inna drużyna ma znów oddane sobie wszystkie żyjące, więc zaraz z wiosną pierwszą co tehu wyprawiają się w zamorskie południe i wnet wracają przez Tatry, wiodąc za sobą gęste bocianów półki, i wskazują drogę przez powietrzne morze jaskółkom domasznym, i sprowadzają nad Wisłę wszystkie one zmarzlaki skrzydlate, co ciągną pod jesień, pod zimę tam, kędy pomarańcza kwitnie a ryż i daktyl rośnie; bo im biedakom tak chłodno i srogo i dygotno u nas wśród mrozów sarmackich. A czeka je też z tęsknotą bocian

biedny przed gankiem staroczesnego dworu; on sam jeden się zabałamucił i został z nami na północy, więc wita braei radośnie i gościnnie, i rozpowiada biedy swoje zimowe i chłody i smutki.

Po ziołach, po trawach i liściach, po wodzie i trzcinie coś się szmerzy i rusza i szumi i kluje i burczy—to owadki, robaczki o zbrojach błyszczących, o szmaragdowych, rubinowych pancerzach, jakby żywe stworzenia klejnoty; inne rozpinają jak żagle skrzydełka błękitne i muskają po wodzie, przezierając się zalotnie w jej szklistych zwierciadłach. Wszędzie tego życia pełno, wszędy się coś burzy i robi, i huczy, i roi, i w liściu, i w krzewiu, i w strumieniu, i w powietrzu i w ziemi i w trawce, na grobach i w ogrodach.

I wierzaj, choć to sam człek, jako natury pan, zasiadł na myśli swojej tronie—choć się udrapował hardą purpurą swojej wiedzy, toć jednak nie wie, że i on sam oddany jednemu z tych niewidomych cechów. Te robotniki natury, choć udają, że mu są potulne i posłuszne i korne, rade go przecież omajaczyć, uczynić, i najeźszyć też postawią na swoim. One chichocząc z ciebie wabią i kuszą, byś czasem westchnął, patrząc wśród zimy na góry, na bory i jary, co zamknięte w ramkach zawiesiłeś na ścianie; to znów przebierają się za wróbla, rozpustnego paliwodę, co czepia się u okna i dziobem puka w szybę zmarzłą, drwiąc sobie z ciebie, coś zamknięty w izbie, jako w więzieniu zimowym. Ot, te duchy przez całą zimę grają z tobą «w zielone»; one się ezają na ciebie w tych biednych ogródkach, coś je porozstawiały w donizkach na oknie, lub się kryją w bluszczu, co nie wiedzieć po co pnąc się od stolika, lub

sobie żarty stroją, jawiąc się w trupich kwiatach robionych, lub w owocach z cukru i wosku.

Niechajno atoli wiosna już na prawdę zawita, toć to dopiero z tych ichmościów wielomocne, czarnoksiężkie pany, one ci cały dom przewrócą i na głowę zburzą w nim ład zimowy. Gdy pierwszy raz na oścież roztworzą się okna, wtedy też szeroko, na oścież roztworzy się dusza, i odetchniesz serdecznie, głęboko; wtedy zewsząd do mieszkania wpadną one duchy odmlodnionej przyrody, i nuż się krzątać, nuż wietrzyć; wyścigają cały zimowy tryb oknem i kominem, wypłoszą ekliwość stęchłą i plotki i bajki, owe niedorodne dzieci stariej zimy, i wypędzą je precz — aż na Łysą Górę.

Gdy z wiosną, na święto nasze miejscowe, od wielu wieków i pokoleń mnogich obchodzone, wyroi się miasto nasze jakby z uła, gdy się wyroi co żywe do słońca, do powiewów świeżych, do ptasich pogadanek; wtedy dziwnie się coś i w duszy zaświeci, i coś się w niej kluje, i rusza, szmerzy i burzy i roi i brzęczy: jakieś przeczucia wróżby w piersiach gwarzą i szepeą, i tęsknotki westelną, i znowu jakieś swobody, słodycze koją, tulą biedki kwilące, i pieszezą te uczucia, co to grymaśne, zdrażnione w sereu chorują.

A cóż dopiero dzieje się w sereu młodém, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodzieńczy podrostek trzyma fiołki w ręku, oddycha ich wonią, i dusza rada im się wypowiedać, ale jój słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fiołki w jój piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jój się w nocy przyśniły, że to owe marzenia, co ją dniem pie-

ściły, rozbierając serec rzewną, tkliwą tęsknotą—nie-skończoném proroctwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha, a duchy przyrody po krzewach, po gajach ukryły słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne; aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jój sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jój duszy nie rozsadzają. Nadleciał też i motyl wietrznik, siadł tuż przy niej na kwiatku, i rozwinał skrzydełka swoje, i pokazuje jój hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona дума i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać — i дума i myśli i tęskni. Któż jój rozwiąże owe wróżby i przeczucia, owe wonne i śpiewające proroeki? Kto jój przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify, popisane na skrzydełku motylém?

Oto — jak w świecie przyrody, tak bywa i w świecie historyi; dzieje też ludzkiego rodu mają swoich duchów, Bożych wysłańców. Gdy się kończy jedna epoka, jedna pora rozwójów dziejowych na ziemi, a gdy nastaje nowy rzeczy zwrot, już wtedy, jakby na wiosnę, wszędzie pełno szeptu, szmeru, wszędzie się coś kluje i burzy i rusza i robi, bo duchy historyi, rozpuszczone po krajach, po narodach pukają zrazu zeicha, wnet mocniój i mocniój do duszy, do wnętrza owych ludzi, co serecem, co głową wyrośli nad miarę powszednią, codzienną, co zdolni przeczytać hieroglify, popisane na skrzydełku tych duchów historyi.

Taką epoką dziejową, taką porą nową a zwrotem duchowym było szesnaste stólecie. Przecież historia już w końcu piętnastego wieku wyprawiała zaenych wysłańców, a promiennych gieniuszem gońców swoich,

by gotowały ścieżkę nową, po której chodzić miały dzieje ludzkiego rodu—o nową myśl, o przerodzoną artystyczną fantazy.

Jaki to był kierunek tej myśli, jaka to nastąpiła nowa cecha fantazy?—Łatwo zgadnąć, byleś chciał pójść ze mną i podpatrzeć onych wysłanników historyi, i uważał, jakich ludzi oni do pracy wzywali, i jak każdy z wezwanych wybrańców dokonywał wydzielonej mu roboty na tej roli pańskiej. Zdolasz też dokładnie ocenić i cel ich mozolów twardych i silenia się zacnego, jeżeli nie wypuścisz z pamięci, że średnie wieki zeszły już z widowni dziejów, że inny nowy dramat ma wystąpić z poza kulis świata, że tym samym cecha, stanowiąca istotę stuleciów romantycznych, miała teraz odbyć przemienienie swoje na inną, zupełnie od niej różną. A wiesz, że ową cechą było właśnie ono odwrócenie się od natury, zatopienie się wyłącznie w głębinach wewnętrznych, duchowych, a opieranie się na osobistym, indywidualnym nastrojeniu umysłu. Ztąd też wypływało owo rozdwojenie ducha i przyrody, myśli a zmysłów potęgi, owe dualizmy a sprzeczności i złamanie się człowieka na dwoje; ztąd ona tęsknota niewymowna, ztąd też niepokój miotający człowiekiem i ścigający go przez życie awantur i przygód. Wszak przypominasz sobie również, że te moce wewnętrzne, żyjące w duszy człowieka, stwarzały sobie na miejscu natury i historyi osobną naturę, osobną historią, pełne widziadeł magicznych, oświeconych czarodziejskim płomieniem. Tak w średnich wiekach rzeczywistość cała, zasłonięta światem złudzeń optycznych, czarno-księżkich, nie istniała niby dla ludzkiego ducha. Otoż

te wszystkie moce, robiące w sereu wieków romantycznych, doznaly w szesnastém stóleciu przestroju i ważnej przemiany.

Wśród głuchój oceanów pustyni, co samotna jak grób, rozłożysta jak wieczność — kołysze się statek — pod nim ziewają wodne, ciemne otchłanie i patrzy stółka śmierć; nad nim eiche, spokojne niebios bezdenie, kędy mrugają gwiazdki ufnością, nadzieją. Upłynęły długim szeregiem dnie, upłynęły tygodnie, miesiące — jak widmo senne zniknęły wędrowcom obrazy brzegów ojezystych; już drwinami gaje, góry, strzechy domowych stron, już bajką, lądy i stała twierdza; pod stopami kołysze się statek, a seree kołysze się strachem, szałem rozpaczy, gniewnym buntem. — Statek goni — śpieszy na Zachód, bo na rozpięte żagle jego tehał duch historyi! — Europie duszno, dławno, brak jēj oddechu, pobraża jēj ciasne, ona już sobie nie wystarczy; duch ją prze, by wystąpiła z siebie. Na statku Kolumb sam jeden, jak te gwiazdy na niebie, cichy i spokojny w sobie, choć w koło wre szął rozpaczy i strach i rokosz mściwy. Bo Kolumb w jasnowidzeniu gieniuszu obaczył wizerunek całego, ziemskiego planety; on natury prorokiem, on dziejom ludzkim ma roztworzyć nowe pracownie, nowe zawody, by ezłowiek dorabiał się własnej a nieznanej mu istoty swojej, by się doczekał chwały i pociechy z siebie. Kolumb, sam jeden na statku, jest synem nowoezycznej epoki świata; jego towarzysze, toć jeszcze wyobraźniki średnich stóleciów; ich śeiga, goni przez morskie przestrzenie ża-



dza przygód i awantur. Kolumb prorokiem natury i kochankiem jęj. Jak ulubieniec o wdziękach kochanki swojej, tak on prawi o urokach przyrody odkrytego przez niego świata (\*). Opisuje, malując pędzlem natęhnienia, i palmy powiewne, i gaje wiecznie strojne w liście gęste, bujne, w kwiatów tłumy, w owoce cudnego wejżenia. Dniem i nocą podstuchuje ciżbę ptaków śpiewnych i świerszszków świergotanie, i pogadanki krystalicznych wód strumieni, — i dziwi się i raduje, gdy patrzy na harde góry, co czarnoksiężkiem malowaniem rysują szczyty na czystém niebios przezroczu. Uczucia serdeczne, wzniosłe czynią blisko 70-letniego żeglarza malarzem, poetą, gdy roztacza obrazy téj nowéj, niewidzianéj jeszcze Natury, i żali się i boleje, że ręka jego, «oczyniona» czarem uroków przyrody, nie zdoła opisać tych opatrności cudów, że języków tysiące nie sprosta tym niewymownym wdziękom, które go otoczyły do koła; więc śni czarodziejskiém marzeniem, więc woła, że mu się zdaje, jak gdyby nigdy, nigdy nie mógł pożegnać tych rajskich, pełnych piękności, cudnych stron. Tak ludzka myśl, nosobiona w Kolumbie, obchodzi śluby swojej miłości z naturą.

Zaledwie duch Europy puścił zagony swoje w młody, odkryty świat, a już drugi Anioł pański, zwiastun Bożéj chwały, rozpina skrzydła i zbliża się z nowém wysłannictwem do naszego planety. Anioł nocą spuszcza-  
jąc się na ziemską kulicę, ujrzał w blasku księżycowéj poświaty wstęgę Wisły srebrną; wysłannik nadgwiezdny stanął wśród milezących murów starego krą-

---

(\*) Ob. Humboldt „Kosmos” T. II.

kowskiego grodu. Oniemiały błyszczały świątynie, uspięne rynki, ulice. Anioł dumiał i myślał, kogoby z naszych uwieńczyć miał koroną wiekuistej sławy, ku uchezeniu tej ziemi całej, która od dawna i krwią serdeczną wychrzcila się na wierną Bogu służebnicę. A w tych murach żył mąż, co dumaniem zapadał w topielach ducha swojego; w nich jakby na firmamencie paliły się myśli, niby gwiazdy, a to niebo w piersiach jego było bezobłoczne, przezyste, żadna chmurka samolubna nie przyćmiła niebiańskiej pogody duszy. Tak ten mąż, łamiąc się z sobą, uświęcił się na mądrości Bożej wieszcza, na zanego tłumacza wszechstworzenia dzieł. Bo kto duchem ma sięgnąć w sprawy wiekuistej miłości, niechaj sam wprzód będzie w doczesnym żywocie miłości obrazem; kto się chce zaślubić jej mądrości nieskończonej, niechaj sam wprzód wystąpi z ciasných, dusznych szranków samolubstwa; niechaj wyrzuci z siebie myśl, jakby wewnątrz jego osobiste było wyłącznym ogniskiem prawdy wszelkiej; niechaj, nie tracąc siebie, wie przecież, iż jest tylko jednym tonem w spółdźwięku wszech jestestw, żyjących w wiekuistym zakonie.

Zaprawdę, w tej miłości nieskończonej skapał ducha swojego Mikołaj Kopernik. On dumiał w samotnej komnacie i czuwał gorejącą myślą wśród snem uspięnego miasta. Roztaczał w duszy umiejętności stare podania; i ważył i badał naukę, co ją był przywiózł z Padwy, Bononii i Rzymu na ziemię ojczyzną; z miłością przechodził słowa Brudzewskiego, co mu był niegdyś pierwszym w umiejętności przewodnikiem w Krakowie, w Jagiellońskiej szkole. I dał gwiazdom posłuchanie i

ważył je i mierzył i zgłębiał; tęsknił głęboko za prawdą i wierzył nabożeństwem serca w łaski Boże, i ufał im jako twierdzy niezachwianej. Wtedy Bóg z duchem jego rozmówił się na gwiazdy, wtedy stanął Anioł prawdy, wysłaniec niewidzialny, obok Kopernika, i tętnął tchem na dumające ezolo; wtedy dreszcze, idące od Ojca na niebie, przejęły mrowiem duszę, a myśli stworzenia, dawniejsze niż światów poczęcie, zrodziły się po raz drugi w nieśmiertelnym duchu człowieka. Jak w onym dniu, gdy się wykluwały gwiazdy, rozgarnęły się ciemności od światłości, tak w tej chwili w myśli Kopernika jasność rozgarnęła się od mroku wątpienia. Rozstał się strop niski samotnej komnaty — anioł uniósł w górę ducha wybrańca swojego. Mijali gwiazdy, księżyc, mijali światy płomienne, przyświecające im niby kagańce natury po ciemnej, nieskończonej przestrzeni. Kopernik na własne oczy duchowe widział kołowroty planet około słonecznego ogniska i słyszał psalmy aniołów, co je wiodły przepaścią bezdenną, bez chyby — jako boże zegary.

Nowy system świata zrodził się dla umiejętności ludzkiej, a zrodził się miarkując, łagodząc potęgę uczuć osobistych, a dufanie w siebie pełne pychy. Planeta ziemski uznał, że to dawniejsze uważanie siebie za ognisko wszech jestestw, za środek wszech ciał niebiańskich jest kłamliwem samolubstwem. Za Kopernika słowem, ziemia wystąpiła z ciasnych szranków miłości własnej, uznała, że sama jest jednym tylko tonem w onym spółdźwięku gwiazd żyjących, w wiekuistym Bożym zakonie. Przejrzał planeta ziemski i obaczył, że on oraz z innemi światami, braćmi swoimi, obchodzi ognisko

światłości, zład im wszystkim płynie jasność i ciepło i wszelkiego żywota zdroj. Mikołaj Kopernik nieskalaną, niebolotną a śmiałą i pobożną myślą przemógł ducha wieków średnich, poślubiając znów seree człowieka z naturą a ścierając zarozumiałe odnoszenie się do siebie, jako do ogniska a środka wszelkiej prawdy. On przyprowadził myśli ludzkiej skrzydła, by się puściła w one «boże ogrody» kędy kłują się planety, niby zioła, a słońca, jako kwiaty.

Kolumb i Kopernik, toć dwaj bracia po duchu. Kolumb oduczył starą półkulicę ziemską, a Kopernik oduczył całego planetę pychy samolubnej. Obaj roztworzyli na oścież dla myśli nowe nieznane światy, by duch człowieka w swojej tęsknocie za nieskończonością, za wiekuistą prawdą, miał kędy oddychać w doczesnym żywocie, by się wychowywał, gotował i rósł w sobie, zanim go cherubin zmartwychwstania nie poprowadzi przed oblicze Wszechmocności i nie pokaże całego gospodarzenia mądrości wiekuistej aż do kończyn światów. Kolumb otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy historia doczesna rozwija pole dla ziemskiej pracy człowieka; Kopernik otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy, jak gwiazdy płomieniste, chodzą nasze przeczucia o tamiecznym żywocie, kędy wznoszą się tęskne serea naszego proroki i wróżby eiche.

Miał swoich następców Kolumb w onych genialnych a dzikich awanturnikach, na polu rycerzach, a na polu zbójcach, co je wysyłała Hiszpania na zrabowanie Ameryki i uświęcenie jej krwią pierwotnych mieszkańców dla przyszłych dziejów ludzkości. Miał swoich następców Kopernik w tych ludziach, co, podjąwszy nie wielkich

myśli jego, snują i przędą w cichości ducha tę nić, po której śpinać się ma nauka pod stolicę wiekuistej mądrości. Są to one szanowne umiejętności zakonniki, co żyjąc tylko dla tej jednej myśli wybranej, dla idei umiejętności, wyrzekają się świata i jego uciech, żyją wśród trudów cierpkich, walki ze światem i z boleścią własnego serca. Takim pracownikiem był Keppler. Kopernik wyrzekł, *co* się dzieje na niebie, Keppler duchem wywróżył, *jak* się to dzieje; wywróżył duchem prawa świata światów. Gwiazdy zwierzyły się geniuszowi jego z ustaw matematycznych, które je wodzą po przestrzeni bez granic. Gdy do Kepplera mówiły myśli Boże, chodzące płomiennemi drogami po niebie, niedostatek głodowy zazierał do domowych jego ścian; gdy geniusz jego jasnością rozświecał tajniki pierwszego dnia stworzenia, na małżonkę jego padła noc obłąkania, w skutek okropności ówczesnej wojny.

W tych właśnie latach, w których Keppler mocował się ze światem o chleb powszedni dla siebie i dla swoich, wtedy właśnie żył w Anglii wielki pan, przemożny lord, hr. de St Alban, wielki kanclerz połączonych królestw Brytanii. Świecisto i butno i hardo było w przepysznych pałacach a zamkach magnata; strumieniem płynęło złoto z rąk jego, słowo z ust jego władało publiczną sprawą, a w myśli jego pracowały zdolności tak genialne, że miały rozwidnić ścieżkę do umiejętności dla przyszłych pokoleń. Tym lordem a kanclerzem był Franciszek Baco na Werulamie. Choć atoli on był imiennikiem onego szanownego ziomka swojego mnicha Rogera Bacona, co uzaenił sobą całe średnie wieki; choć hardy lord, równie jak korny za-

konnik, przesiedział wielką część żywota swojego w więzieniu, przecież byli oni wręcz odwrótni sobie charakterem. Roger Baco umiejętność swoją opłacił więzieniem; wielki kanclerz Brytanii, potomek sławnych zasługą przodków, choć przemożny władzą a świecący bystrością talentu, znieważył się nieceném przekupstwem, matactwem; ztąd mu poszła utrata dostojęństw i czei, ztąd więzienie jego.

Niechaj mu jednak odpuszczone będą te winy, boć one i tak od dawna przez ludzi zapomniane. Co Baco zgrzeszył sereem, wynagrodził sowiecie światu głową, i toć zostało we wdzięcznej pamięci. Wszak to on przetarł oczy Europie ówczesnej i kazał jęj się patrzeć na zjawiska natury zmysłem zdrowym, nieomajaczonym; on spłoszył widma fantastyczne, czarodziejskie, zasłaniające przyrodę, bo nauczył jak to czynić spostrzeżenia, doświadczenia, jak badać pojawy zmysłowego świata: on podał ludziom metodę w dochodzeniu prawd.

Baco jest wskróś Anglikiem, jest człowiekiem z gruntu praktycznym; sponiewierał on wprawdzie idealność w zapatrywaniu się na rzeczy: on był właśnie twórcą tęg filozofii podszadzistęg, materyalnej, tęg filozofii, co zakłęła myśl w kółku ciasném zmysłów, która temu jedynie ufa, czego się ręką dotknie, a to tylko wiedzieć chce, o czém się na oczy zmysłowe przekonać może. Prawda, że taka filozofia nie jest jeszcze najwyższą filozofią, ale i to prawda, że Baco przysłużył się ogromnie światu swoją metodą zdrową, trzeźwą nie mającą bielma na oczach, że się stał wzorem jasnego języka, że wymiółł po za progi nauk, jako śmieci, one syllogizmy i czeze gadaniny filozofii scholastycznej średnich

wieków, że pogodził człowieka z naturą, że potłukł kolorowe szkiełka, przez które dawniejsze stólecia patrzyły się na rzeczy, a tak widziały nie rzeczy, jak raczej swoje własne osobiste usposobienie i własne marzenia.

Gdy Baco jeszcze był młodzieńcem a już stał się podziwem otoczenia swojego, i już podobno myślał nad napisaniem książki: »O stanie Europy«, którą w rzeczy samej wydał, mając lat dziewiętnaście; wtedy, zdaleka od świetnego, błyszczącego angielskiego panieza,—bo w Gorlicach, w miasteczku Luzacyi, siedziało zamysłone, ubogie pacholę w drobnym szewskim kramie. Było to z wieczora,—małe chłopię, zostawione samo w sklepiku, czegoś się od dawna głęboko zadumało. Ocknęło się przecież, bo drzwi skrzyły, otwarły się i jakiś obcy zapytał się o cenę pary trzewików. Chłopczyna w kłopotcie,—bo nie był upoważniony od majstra do sprzedaży,—więc zacenił bardzo drogo swój towar; nieznajomy zapłacił żądane pieniądze, zabrał trzewiki i wyszedł. Leez z ulicy zawołał: »Jakóbie wyjdź też do mnie.« Chłopiec zdziwiony, że nieznajomy wiedział, jak mu było na imię, wyszedł. »Słuchaj Jakóbie,«—rzekł do niego obcy, z twarzą serdecznej życzliwości, a głosem uroczystym, »słuchaj Jakóbie, tyś jeszcze mały, ale ty tak urośniesz wehwałę, że aż się świat będzie wielkości twojej dziwił! Bądź pobożnym, miej bojaźń bożą w sercu a cześć dla słowa Jego!. Doznasz wiele biedy, ubóstwa i prześladowania w życiu; ale ty stój przy Bogu, bo Pan Bóg łaskaw na ciebie!«

Otóż ten szewczyk mały, toć ów sławny Jakób Boehme, ów Philosophus Teutonicus, co się stał praszczurem

całej filozofii mistycznej nowożytnych czasów. Przez życie aż do śmierci pilnował sumiennie niezwiastego rzemiosła swojego, a przy tém, choć nieuczny prostaczek, pokochał filozofią, i ona go też pokochała wzajemną miłością.

Mądrość Boehmego jest widzeniem, natchnieniem. Iskra geniuszu, tlejąca w duchu jego, niewidzialna dla ludzi, jemu samemu nieznana, czekała tylko lada przyczyny zewnętrznej, lada podwiania, by buchnąć jasnością promienną. Toć się i stało. Pewnego poranku, wtedy Boehme już był majstrem został, słońce całą światłością zajrzało przez wąskie okienko do izby szanownego rzemieślnika, i uderzyło w sprzęt miedziany, błyszczący na półce; sprzęt, niby zwierciadło, odbił blaski słoneczne, i jakby rozgorzał płomieniem. Widok ten rozebrał serce Boehmego, i iskra jaśnią płomienną rozgorzała mu w duszy. Jak światła słoneczne przyświecające planetom przejrzały się w biednym naczyniu, tak światło wiekuiste, co jest wszech duchów światłem, przejrzało się w duszy nieumnego prostaczka. Gdy Böhme zoczył one blaski na sprzęcie, już sobie nie mógł dać rady; ledwie mu serce nie pękło. Wybiega z domu, wybiega za bramę w pola zielone, w laski zielone, by się jakoś upamiętać wśród natury, by nawrócić do siebie. Odtąd on już, choć jego ręka ociężała pracą, w chwilach wolnych zabiera się do pióra i skreśla te pisma swoje, które przez długi szereg lat leżały w zapomnieniu, pogardzone od szkolnych pedantów, jako od biednego, nieumiejętnego szewca popisane, dziś zaś odebrały cześć sobie należną. Zaprawdę, gdy weźmiesz do ręki te dzieła jego, toć



zajmujący będzie widok popatrzeć, jak tu miota się geniusz głęboki, jak się sili, by dla téj treści nieskończonéj znaleźć formy, znaleźć wyrażenia i słowa. I zaiste Böhme pasuje się i sili z językiem, z mową, w któraby rad ubrać treść, co mu się tak w duszy warzy i kipi. Ale, aby słowami ująć treść, którą natchnienie podaje, aby tę treść już ujętą, zrozumianą, wydać jasnymi, odpowiedniami słowy, do tego potrzeba wykształcenia naukowego i wprawy, a tych warunków właśnie brakło Boehmemu. Zatem myśli abstrakcyjne, myśli najgłębszej spekulacyi ubiera w wyrazy oznaczające rzeczy zmysłowe, materyalne. Tak, rozprawiając o prawdach kłujących się w wiekiistości łonie, obejmujących pierścień nieba i ziemię, o zakonie żywym, który istniał przed światem stworzeniem, używa wyrazów: saletra, merkuryusz, siarka, słodycz, kwas, gorycz, separator, tynktura i t. p. Takowa forma barbarzyńska téj książki, obok głębokiej, przepaścistej spekulacyi, czyni dzieło jego tak ciemne, mroczne, zagadkowe, jak ten rysunek położony przy tytule jego dzieła.

Przecież te pisma jego - to nocne podmorskie ciemnice, w których rosną korale i perły kosztowne. Lubo książka »Aurora we wschodzie« jest najważniejszą z jego dzieł, toć przecież nas tu obchodzi osobliwie druga książka, co ją nazwał: »Signatura Rerum.« W niej to widzisz, jak on zacie rozтворzył duszę swoją przyrodzie; on ma to wewnętrzne przekonanie, że na kim duch Boży spoecznie, już wejrzeć może w serce roślin, kamieni i gwiazd, że zdola z zewnętrznych postaci rzeczy stworzonych odgadnąć ich duszę i ich wiekuiste znaczenie. Bo u niego natura jest zmateryali-

zowaną myślą Bożą, słowem Bożem, które się stało światem, a treść każdego jestestwa stała się jego formą zewnętrzną. Tak i Boehme, również jak Baco, przywrócił niby dobrą sławę, ogromne znaczenie naturze; Baco wziął ją ze strony zmysłów, Böhme uczył tę naturę, jako usymbolizowaną myśl Bożą. Boehme jest odwrótnym Baconem, nie tylko pod względem położenia zewnętrznego do świata i życia, nie tylko pod względem jasności tłumaczenia się, ale głównie z powodu, że droga obu jest odwrótne. Baco bierze rzeczy przyrodzone materyalnie, zmysłom tylko wierząc,— jest z gruntu empirykiem, zmysły u niego gotują dopiero treść dla myśli. Boehme odwrótnie rozpoczyna od myśli, i bez doświadczeń bliższych, bez badań, z kształtu zewnętrznego jestestw natury chce z góry natchnieniem wywróżyć ich serce, ich duszę. Obaj są wieczeniem dwóch ostateczności, i dla tego właśnie jak Baco tak i Boehme nie dosięgnęli celu swojego.

Przecież choć Boehme nie osiągnął celu swojego, choć jego filozofia jest mistyczną, choć tedy nie poprowadziła wyrazistych granic między duchem stworzonym, a mądrością wiekuistą, światem władnącą; toć jednak z nią się mierzyć nie mogą one bezmóźnie mistycyzmy, co straszą po głowach w nowożytniej Europie; a które zapewne dla tego tak wiele znalazły zwolenników i chętną czeladź, że podawały wielce wygodną zasadę, ucząc: że się obejdzie bez pilnego badania, bez trudu a skrzętniej pracy, że najwyższą mądrością jest pograżenie we własnem wnętrzu. Ztąd też lada kto poszedł za tą radą i pograżał się w tém wnętrzu swoim, wierząc prostodusznie, że z tych pustko-

wiów, niezbogaconych pracą i nauką, że z téj czezej niewidnej nocy wyniesie tanim kosztem, ba, za bezcen mądrość głęboką i proroctwa, któremi rozwidni świat. Nie ma się też czemu dziwić, że każdy zaenieczszy na sercu a wyższy na rozumie, choćby na chwilę oczyniony tą wrzekomą tajemniczą nauką, w rychle wyzdrowieje z téj chorobliwej pychy serca a zwróciwszy ducha do rzeczywistości otrzeźwieje prawdami staremi jak historia i świat.

Co w Jakóbie Boehmie jest dopiéro natchnieniem, poczuciem, toć rozwinął rozumowo, umiejętnie Des Cartes, choć nie znał uczciwego majstra z Luzacyi. I Des Cartes bowiem również rozpoczyna od wnętrza duchowego, od myśli. Trzy słówka: »myślę, więc jestem,« przez niego wyrzeczone, stały się węglem całej nowożytnej filozofii. Te słówka, na pozór biedne i puste, choć dopiéro łączą myśl z jej własném istnieniem, mają w sobie jakby w zarodzie zwinięte ogromne zadanie. Na tych słówkach Des Cartes zbudował swój dowód o bytności Bożej, dowód tak ogromny, że gdy go przeczytał pierwszy raz Malebranche osłabł i zachorował na serce. Te słówka, tak na pozór biedne, wpłynęły potężnie na całe przyszłe dzieje następnej filozofii, bo rzuciły jej zadanie, aby rozsunęła naprzód myśl ludzką, i wykazała w tém roztoczeniu wszystkie jej coraz wyższe stopnie, a potem, aby stosowała tę myśl, tak już rozwiniętą, do rzeczywistości całej, do wszelkiego istnienia, więc do natury i do świata duchowego. W tym atoli świecie duchowym, wśród innych nauk, wielce waży historia. I do niej swoją miłość zwrócił świat odrodzony. A już przed innemi jaśniej Machiawelli,— ten

wielki, skrzywdzony, zapoznany człowiek; on, krom ogromnej wagi dzieł, napisał historią tej cudnej ojczyzny swojej — Florencey w tych jego księgach płynie mowa tak czysta, że jest już sama areydzielem geniuszu, a ta mowa, jeszcze rozwijając najgłębszą sztukę pragmatycznego pisania historyi, świadczy, że autor rozumiał moce władzące w ludzkich dziejach, że przeniknął ich najskrytsze tajemnice.

Jak tedy w naturze tak i w świecie duchowym roztworzyły się duchowi nowe światy, a światy niezmyślane, światy rzetelne i prawdziwe.

Słowem, dech nowy, świeży zawaiał całą Europę; gdy wionął po krajach, narodach i ludziach, wszędzie dał znać o sobie i odezwał się w przeróżnych zjawiskach. Zrozumiesz łatwo, że gdy ogarnął ludzi o mniej potężnej myśli, już ich upoił szalem, przyprawił o zawrót głowy, miotając nimi a podrzucając. Tacy ludzie, oczynieni duchem, który na nich padł, sami nie wiedząc, co im się stało, co ich posiadało, wykręcali się i wypaczali w karykatury polityczne lub umiętne. Tak wiele lat wczesniej od Boehmego, żyjącego w zaciszu pokornym, w głębokości ducha swojego, zaszumił, zahuczał po Europie ów hałaśnej sławy Philippus Aureolus Theophrastus Paracelsus Bombastus de Hohenheim, co tak buńczuczny jak to imię jego. On ciężko wyćwiczony po wszystkich wszechnicach europejskich, a uczył się jeszcze, jak sam powiada i od mądrych i niemądrych, od zakonników i cyrulików, od czarodziejów i katów; on był iście nosobieniem tego opętania i niepokoju, który pada na ród ludzki, gdy jakaś nowa epoka się rodzi a stara epoka umrzeć jeszcze nie chce

i nie może. On zwiedził świat od Lizbony do Litwy, od Londynu do wyspy Rodos, od Wołoszczyzny do Paryża. Sam był mędrceem i szarlatanem, niby geniuszem i obłąkańcem, kuglarzem. Przecież mniejsza o to wszystko, dla nas on tu ważny jako człowiek, który, mimo dziwaetwa i wrzaskliwój zarozumiałości, miał tę wielką zasługę, że również zwrócił cały zapal do badania przyrody. On na głos woła, że natury nie można się nauczyć przy kopciu lampy, w zapyłonej komnacie, ale przy jasném świetle słońca; więc publicznie na rynkach wznosi stosy i pali stęchłe pisma średniowiekowe o sztuce lekarskiej. Paracelsus sam się mianuje królem i ogłasza ludom, że jego monarchią jest natura cała i woła na wszystkich świat: »Wy coście z Montpellier i z Paryża, wy co żyjecie w Szwabii i Miśni, wy z po nad Renu i Dunaju, wy Włochy i Dalmaty, wy wyspy na morzu! I ty Greeyo i ty Arabio i ty Izraelu! dalej za mną, dalej za mną do mojej monarchii!!!

Przecież dość już tych przykładów, mógłbym ci na oczy postawić cały jeszcze szereg znakomitych figur, jako wysłańców nowego nadehodzącego zwrótu w dziejach ludzkich. Com atoli do tychczas rzekł wystarczy do naszego celu.

Jak na wiosnę zewsząd coś się gotuje, roi, rusza, szmerzy i rośnie; w powietrzu, w wodzie, pod ziemią, w ziołach, w kwiatach pełno życia i niepokoju; — tak wszędzie już zaiste spostrzegłeś w tym XVI stóleciu wystąpienie człowieka z pogrążenia się w jego wnętrzu osobistém, roztworzenie się jego oczu na świat, który go w koło otacza; wszędzie już brzmi uchechenie natury i niby przywrócenie jej dobrej sławy. Odtąd oso-

biste uczucia, w sobie, jakby w twierdzy, zamknięte, nie są więcéj wyłącznym zakonem w świecie,—odtąd owo opieranie się uporne na sobie znika z pośród ludzi. Przywiedź sobie na pamięć wszystkie one wypadki, które zatrzęsły szesnastém stóleciem a wyznasz, że one wszystkie zmierzały ku temuż samemu a spólnemu celowi, boć one wszystkie rosły ze spólnego tchu, który wówczas przeszedł światem. Przypomnę ci tylko trzy potęgi, które nastaly w dziejach ludzkich. Pierwszą jest druk; on choć dawniéj wynaleziony, dopiéro w tém stóleciu staje się potęgą, a potęgą, co, upowszechniając wiedzę ludzką, wyprowadzając tedy myśl z ciasnoty osobistéj, nadaje jéj cechę ogólną, zbliżającą wyobrażenia do siebie. Obok téj potęgi staje druga, równieź dawniéj znana, nabierająca atoli właściwéj sobie wagi w szesnastym wieku; jest to wynalazek prochów. Obie te potęgi są niby sobie odwrótne, bo jak druk jest pierwiastkiem duchowym, tak broń palna jest potęgą fizyczną, materyalną, a przecieź obie zarówno łamią przewagę osobistą ludzi pojedyńczych; jak bowiem drukowane księgi przekonywają, że zdanie osobiste, opierające się li na sobie, nie wystarezy, a tak zniewalają człowieka do poddania się ogólnym prawdom i zasadom uznanym w świecie, tak broń palna przekonywa, że dufanie rycerskie swojéj osobistéj sile cielesnéj i odwadze serca, słowem swojéj indywidualności już więcéj nie wystareza, a tém samém zniewala do poddania się zewnętrznemu ogólnemu szykowi bojowemu, więc zasadom sztuki wojennéj. Dodajmy jeszcze, że szesnasty wiek spotęgował powagę monarchiczną, nosabiającą się przez świetny poczet wielkich ludzi, zasiadających właśnie wtedy pra-

wie na wszystkich tronach, a pojmiemy że na on czas konał feudalizm romantycznych stóleciów, które uczyły, jak już rzekłem, »ze społeczności zbiór punktów świecących, odrębnych, z których każdy odnosił się do siebie, w siebie dufając, na sobie się opierając.«

Łatwo nam zgadnąć, że ten zwrót ludzkiej historii w szesnastém stóleciu był i zwrotem fantazyi artystycznej; nie trudno też z tego, co do tychczas powiedziałem, oznaczyć choć ogólnemi rysami téj fantazyi cechę a oblicze.

Patrzmyż,—duch człowieka wychylił się z siebie i godzi się z rzeczywistością, więc z historią a mianowicie z naturą; on po długim, tęsknym rozstaniu z Przyrodą Bożą, odnawia z nią zrekowiny swoje. Fantazyja objęła tę naturę promieniem, prześwieciła ją jasnością, ocieplila płomieniem swoim a natura się nduchowniła, a duch przemienił naturę, i tak znów w niej znalazł wyrażenie swoje. Teraz duch człowieka, co wyszedł z ciepłej dłoni miłości nieskończonój, i natura, co dla niego jest stworzona, poznały się po długim, tęskliwym niewidzeniu się. Fantazyja żyje więc teraz rękę w rękę z naturą, a obie wypiaستowały arcydzieło piękności.

Teraz ułagadza się tedy ono przełamanie człowieka na dwoje, teraz miały uciechnąć w sercu jego walki i mocowanie się ducha a ciała, wiekuiste a doczesne potęgi połączyły się przymierzem;—sprzeczność rozzierająca tak długo duszę człowieka, tęsknota do natury, nieukożona, niezagożona, teraz przebołała pokojem, eiszą.

Widać przeto, że teraz natura nie jest więcéj

ową naturą fantastyczną średnich wieków. Człowiek teraz już własnymi oczyma patrzy na przyrodę; nauki zażegnały moce magiczne, które broiły po świecie stworzonym; pogasły ich lampki czarodziejskie, migotne, błyskotne; poświata, majająca ducha, spłynęła z rzeczywistości; ów ludek karłów, ondyn, olbrzymów, czarnoksiężników, spłoszony uciekł gdzieś do ciemnych nieprzystępnych jarów, pochował się w zapadłe doliny, w zaświatne góry, kędy nie zazierał świt duchowy, kędy nie dochodziły wołania nowej epoki. Teraz już gdzieś podziały się upiory, gnomy i uroki psotne, pokusne, swawolne, drwiące, chichotne, co broiły między ludźmi;— słowem zmyślony, choć pełny wdzięków, świat skończył się, jakby opera czarodziejska; ten świat uleciał niby sen, niby mgła noena; a na miejscu przyrody uludnej pojawił się oczom rozumu i fantazyi artystycznej świat rzetelny i natura w prawdzie swojej. Fantazyja otrzymała teraz z pierwszej ręki naturę, to wspaniałe Boże dzieło, tę księgę obrazkową wiekuistej mądrości. Teraz umiejętność wzięła na siebie powołanie, by się ucieszyła naturą, by przejrzała jęj zagadki a rozświeciła jęj tajemnice; teraz jest powinnością fantazyi artystycznej, a mianowicie poezyi, by się obeznała, choć ogólnie, z tym dorobkiem bogatym umiejętności, by jęj nie były obce nauki przyrodnicze. Te nauki i umiejętności właśnie będą pomocą główną dla fantazyi do stworzenia obrazów i przenośni, do wcielania treści duchowych w kształty zmysłowe, z natury wzięte. Boć przecież te uzmysłowienia, te przenośnie a obrazy są duszą fantazyi; bez nich nie ma sztuki, nie ma poezyi. Zaprzyjaźnienie się mistrza z na-



turą, jak mu potęguje ducha i nadaje siłę i dzielność, tak również staje się nigdy niewyczerpanym światem postaci i figur poetycznych.

Co z naturą, toć się dzieje również i z historią i z rzeczywistością całą.

Teraz się kończy ona historia fantastyczna, gmatwająca sobą figury z różnych epok, odległych między sobą o stolecia i lat tysiące; dzieje ludzkie przestały być gadką czarodziejską, po której hulają i dokazują moce magiczne, cudotworne. Umiejętność teraz ku temu się ma, by w samej rzeczy wywieść na jaw zdarzenia wielkie, by wskrzesić postaci dziejowe, przemawiające o drogach, któremi opatrzna mądrość prowadziła ludzki ród. Ta mądrość, to opatrzne oko Boże, czuwające nad dziejami świata, jest tak cudów pełne, że się fantazja artystyczna już obejdzie bez oniej cudotworności czarnoksiężkiej, zmyślonej, czyniącej z historyi dziwny kaleidoskop fantazyi; podobnie i zapatrywanie się na naturę obejdzie się już teraz bez wiary w magiczne moce; zjawiska zmysłowego świata, w swojej prawdzie pojęte, wystarczą, by podziwiać z uwielbieniem uzmysłowione w nich wiekuiste słowo, i wysłuchać w nich nieme modlitwy i psalmy wszech jestestw stworzonych.

Zaiste, właśnie dla tego, że jedna ogromna epoka się skończyła, że one lat tysiąc, stanowiące historią średnich wieków, już do przeszłości należą,—właśnie dla tego w szesnastém stolecu fantazja genialna może się spojrzeć wstecz za siebie, na tę przeszłość, którą ród ludzki przeżył, może zrozumieć historyczne znaczenie każdego z tych wieków i zajrzeć w duszę wiel-

kim ich wydarzeniom i dopatrzeć się wiekuistej ręki, która wiodła wielkich ludzi po dramacie świata.

Cheiejmy się atoli porozumieć; wszystko, com dotychczas wyrzekł o pojednaniu się fantazyi artystycznej z naturą, z historią i rzeczywistością całą, nadaje się do szesnastego stulecia o tyle, że w tém stuleciu ten nowy zwrót fantazyi ma swój początek i zaród; lecz ziszczenie się tego nowego pierwiastku sztuki miało być zadaniem następnych wieków. Wiész albowiem że historii nie śpieszno nigdy; ona ma wiele czasu do szafunku swojego. Jak dalece zaś te późniejsze epoki dokonały zadania owego, o tém wspomniemy później, choć kilku słowami.

Spytasz się atoli, czyli ten tak wdzięczny, zajmujący fantastyczny świat romantycznych wieków już ma być stracony dla nowożytniej sztuki? czyli ta natura i historia czarodziejska z całą ludnością swoją magiczną, majaczną mają pójść na odstawkę, jako już niegodne fantazyi artystycznej? Czyli podania ludu, owe wieści gminne, owe wdzięczne kwiaty fantazyi powszechnej, o ile wprowadzają do siebie świat czarnoksiężki,—już zupełnie dla nas przepadły?—Bynajmniej. Fantazyja mistrza w nowożytnych czasach, zyskując dla siebie naturę i historią rzeczywistą, zbogaciła się nieprzebranyim skarbem, a nie traci przecież fantastycznego świata średnich wieków;—winna jednak mieć na pamięci, że ten świat fantastyczny nie ma już dawnego znaczenia, że spadł na wartości swojej; a powtóre, mistrz nowoczesny niechaj nie wypuszcza z uwagi, że jego stosunek do tego czarodziejskiego świata różni się wielce od sto-

sunku, którym się miał do niego mistrz średniowiekowy. Wytłómaczę ci się dokładniej.

Świat fantastyczny, uludny, zmysłowy stracił dla sztuki na znaczeniu swoim, bo obok niego stanął świat rzeczywisty, a rzeczywisty tak pod względem natury jak i historyi. Ów świat fantastyczny przeto już dla tego jest mniej ważnym, iż przestał być jedyną, wyłączną osnową dla fantazyi artystycznój, a następnie dla tego, że nie zdołał się równać ani z pochodzenia, ani z godności, ani z treści ze światem rzeczywistym. Świat fantastyczny jest zrodzeniem samowolném osobistych uczuć człowieka, kapryśną igraszką omajaczonego umysłu jego; świat rzeczywisty jest uwidomioną bożą mądrością, jój weicieleniem i szatą, — on jest symboliką myśli wiekuistój.

Mistrz nowoczesny niechaj pamięta, że zachodzi walna różnica między nim a mistrzem stóleciów romantycznych. Ten wierzył sam w gusła i czary, w całą gawieź duchów i strachów mącących rozumny ład świata; mistrzowi naszych czasów nie wolno jest okazać téj wiary swojój w dziele sztuki, bo albo wyjawiłby tém, że nie jest synem swojego stólecia i uczyniłby się śmiesznym, — albo też udając wiarę, którój nie ma, pisałby bez natchnienia; dzieło jego wymuszone byłoby jałową pracą, wysileniem się niepoetyczném. Dla tego poeta, roztaczający świat czarodziejski, niechaj nam w niój raczej przedstawia lud, który ten świat wynosił, wypiastował w swojój fantazyi; osnową artystycznego dzieła będzie tedy nie tak sam ten świat czarowny, nadprzyrodzony, jak raczej lud, który jest jego piastunem. Siadłeś nocą przy ognisku razem z grupą goral

tatrzańskich;— zdaleka ciche gawory wodne morskiego oka wtórują szumom stóletnich świerków, górskie szczyty obstały cię do koła, otulone światłem i cieniem księżycowej poświaty; w ich szczelinach granitowych pochowały się orły,—zasnęły kozy dzikie;—po wondolach i jarach wysokich, wzniosłych, po ostrych szczytach hasają wichry; a światła czerwone rozpalonych ognisk dziwnie się migocą po twarzach onych chybkich a fantastycznych tatrzańskich synów. Wtedy słuchaj, co prawi juhas, (pasterz) jeżeli chętny do gadek,—słuchaj co mu się baje o téj cudotworności jego gór, borów, przepaści i jezior. I baje i baje góral o królu co zaklęty w tych skałach czeka póki nie stopnieją śniegi po jarach, i z nim czeka 1000 rycerzy na koniach; a rycerze w rynsztunku, z brodami po pas; te rycerze drzemią i czekają, póki na nich nie zawoła król;—i znów mu się plecie o węźu ogromnym, widzianym od starego stryja, co śpi na dnie morskiego oka, i jedynie po długich latach głowę z wody wystawi i ziewnie i wróży i połknie kilka owiec i t. d. To wszystko widział rodzony dziad juhasa-gaduły. Jeżeliś poetą a gracko się sprawisz, nieiszysz nas śliezną powieścią, lecz pamiętaj przecieź, że w téj powieści sam ten góral-pleciuga winien stanąć na główném a przedniém tle; niechaj ciebie nie będzie tam widać, boś ty sam niewierny, ten góral jest tutaj poetą; on osnową dla siebie; on sam primadonną téj powieści twojej. Słowem, niechaj będzie znać, że ty nie do prawdy mówisz. Możesz tedy duchów i czarownic i czaruksiężników użyć w znaczeniu symboliczném; możesz w nich wystawić owe moce, co nie zewnątrz nas ale w nas samych mają łęgowisko swoje,— one mo-

ce, co jakby albo anioły do zachości wodzą, albo jako pokuśnice złego wtrącają w przepaść zbrodni. Możesz także téj czeladki użyć za figury komiki; możesz też z rzeczą całą obchodzić się jako z żartem poetyckim. Nie będziemy się gniewali, jeżeli, opatrzony świetnym talentem, tak nas omajaczysz, uczynisz powieścią swoją, że na chwilę się sami oswojemy z duchami i strachami, i że nam się zdawać będzie, jakoby taki świat dziwaczny na prawdę mógł istnieć; ale tego wszystkiego znowu wtedy jedynie dosięgniesz, gdy mocą genialności twojej rzeczy nadnaturalne naturalnemi się wydadzą, gdy w tym bezrozumie znajdzie się rozum, bo wtedy dopiero sobie powiemy: gdyby były na świecie strachy i upiory, toćby zaiste one się właśnie tak sprawowały a nie inaczej. Pamiętaj przeto, że do téj fantastyczności ogromnego talentu potrzeba, a to właśnie dla tego, że, jak rzekłem, tutaj nienaturalność ma być naturalną, a nierozum rozumem. Pamiętaj przeto że lada bezrozsądne androny i duby, że niedorzeczności, które ten lub ów prawi jak na mękach, nie są bynajmniej poezją fantastyczną. Choćbyś atoli miał talent najświetniejszy w opowiadaniu fantastycznych powieści, przecież nie zapominaj, że one zawsze są tylko żartem poetyckim; co właśnie okazać się winno nawet już samym drobnym ich wymiarem. Któż nie zna Hoffmana, onego genialnego fantasty? Jemu, jak prawią, najszaleńsze koncepta się roily, gdy siedział nocą w podziemnych knajpach berlińskich. Tu wśród wrzawy ochoczej kompanii, wśród kart, lamp i świeczek, wyziewów piwnych i dymów fajezanych kłębamii dziwaczny snuły się i wiły i wiązały, wydrzeźniały

straszydła, postaci senne, mary, szataniee i diablęta. Hoffman tu widział świat fantastyczny; a co tu zobaczył, wplótł w powieści swoje, wplótł tak z mistrzowska w życie codzienne, prozaiczne, iż ci się zdaje, że te straszydła a dziwaki, wglądające w ten powszedni ład domowy, a mieszkające się w prozę życia, rozumieją się same przez się, że nie są niczém nadzwyczajném; więc z podejrzeniem patrzysz na tego lub owego uczciwego jegomości z myślą, czy to nie jaki przemajaczony demoniek. Mimo tego wszystkiego, te powiastki genialne Hoffmana byłyby nie do zniesienia, gdyby które z nich były kilkutomowój długości, jak one czarnoksiężkie romanse, które dziedzictwem na nas spadły po wiekach romantycznych. A ów Holender Breughel, co tak maluje strachy, straszki, szatanów i czarownice, iżbyś rzekł, że te ligury, co na poly węże, niby krokodyły, niby małpy, niby ryby, niby niewiasty zrodziły się w mózgu gorączką przepalonym; ale choć ten Breughel szaleńcem, toć przecież jakby po przez tę okropność widzisz drwiącą z ciebie twarz mistrza, a genialnym instynktem te sceny piekielne mieszczą się w szesnastopiętrowych ramkach; są to najeczęściej małe obrazki, bo inaczej byłby żart za gruby. Krótko mówiąc, prawidła są tu zbyt czyste: instynkt, zmysł artystyczny sam powie prawdziwemu pocięciu, jak się ma obejść z fantastyczną pracą swoją.

Teraz zważmy, że ta endotworność jest tylko podrzędnym pierwiastkiem fantazyi romantycznój; obaczmy jeszcze, jaki obrót wzięła ta fantazyja pod innym a ważniejszym względem.

Mówiłem, że fantazyja w XVI stuleciu po długim,

tęskném rozstaniu z naturą, znów się jęj zaślubia, znowu ziemia patrzy się na kochanie wzajemne Psychy, onęj córy z doczesnego świata zrodzonęj a boga piękności — boga, co zstąpił z wysokiego Olimpu. Teraz tedy nastaje serdeczne zapatrywanie się człowieka na przyrodę. Sztuka rozpoczyna od najgłębszych studyów zjawisk zmysłowego świata. Teraz i ta cicha, martwa natura, jęj skały i góry, wody i powietrze, obłoki i światła, dźwięki i tony, wszystkie królestwa roślin i kwiatów, borów i bloni, i państwo zwierząt, i kształty i formy człowieka są przedmiotem sumiennych i pełnych miłości badań. Fantazya teraz ogarnia już całą rzeczywistość, niby ojcowiznę swoją; więc się też uczy i duchowego żywota. Ona podsłuchuje, jak niezucia pukają w serce człowieka, ona wзира w głębie charakterów ludzkich, wróżąc potęgi, co pracują niewidzialnie w głębiach duszy, do działania porywając. Podobnie też fantazya bada i serce ludzkiego rodu, co pracuje w dziejach świata; fantazya proroczy o potędze, co prze do dzieł i czynów stólecia i narody, i występuje na jaw dzienny wielona w postaci wielkich ludzi i bohaterów światowładnych.

Tak mistrz, promieniem gieniuszu od nieba danego, przenikając naturę i rzeczywistość wszystką, czyni z nich ciała dla swojej treści nieskończonęj; on je przemienia na krew, na kości swoich dzieł; on cały ten świat zewnętrzny, widomy zamienia na naczynie swojej chwały.

Powiesz atoli, że ten zestrój ducha z naturą i całą rzeczywistością musiał już zrodzić w XVI wieku powrót do klassyczności, bo klassyczność starożytna, a zwa-

szeza greeka, jest właśnie tym zestrojem i tą harmonią cudną onych dwóch różnych od siebie światów.

I tak się też stało. Gorącą miłośnią wzięto się do wzorów sztuki i poezyi klassycznej. Imiona wielkich mistrzów i wieszczów rzymskich i greckich stały się przedmiotem czei serdecznej. Otworzył się nowy świat! Kto żył pięknoscią, całą duszą oddawał się studjom starożytnych mistrzów; dech Hellady zawiał na fantazyę Europy i przerodził ją i orzeźwił. Ten dech wiać będzie aż na późne stolecia, a póki on wiać będzie, uratuje świat od zepsucia, od znieważenia godności swojej. (\*).

(\*) Zanim atoli bliżej się téj rzeczy przypatrzymy, cheiejmy się pozbyć do dna uprzedzenia i przesądu, który i dziś jeszcze dość powszechnie a gęsto chodzi między ludźmi. Jakoż najczęściej nasłuchać się i nazytać można zdania, jakoby ten nawrót do klassyczności był skutkiem studyów pilnych i głębokich około wskrzeszonych wzorów starożytnego świata; jakoby właśnie zdobycie Konstantynopolu w XV wieku przez Turków, więc napływ ztamtąd do Włoch uczonych Greków, unoszących zabytki starćj sztuki Hellenów, nie mało się przyczynił do przebudzenia z martwych téj zacnej fantazyi artystycznej dawno umarłej, i rozszerzenia się jćj po Europie. Takowe zdanie jest nowym przykładem, jak to często, sądząc o dziejach, bierzemy skutek za przyczynę, a przyczynę za skutek; jak nam skoro i łatwo czepiać się wypadków zewnętrznych, płynących po wierzchu, na widoku, im przypisując światowładną moc, a pomijamy inne potęgi, które właśnie działają w głębiach historyi i wysyłają one wypadki a zdarzenia widoczne na świat, jako sługi a wyrobniki swoje. Jeżeliś bowiem przystał na cały powyższy rozwój mój, zgodzisz się też ze mną, że zwrót świata do klassyczności był skutkiem koniecznym całego rozwoju historyi ludzkiego rodu.

Średnie stolecia dobiegły swojego kresu z końcem XV wieku: one dogorzały i dla dziejów świata i dla fantazyi artystycznej, a tém samém i badanie zjawisk natury, które było wręcz przeciwne duchowi średnich wieków, właśnie obudzić się musiało z całą miłoscią, z całą potęgą. Prostem skutkiem tego zwrotu fantazyi do natury było nezenie się wzorów sztuki klassycznego świata, bo w nich właśnie również tętniała pulsem ona harmonia wdziężna ludzkiego ducha z całym państwem przyrody. Zważ jeszcze, że fantazyja XVI stolecia, przestając być fantazyją roman-



Leez, mimo téj ogromnej potęgi, którą wpłynęła sztuka starożytna na nowożytną fantazyą, zachodzi pytanie, czyli fantazyą XVI stolecia i następnych wieków, słowem, czyli nowożytna sztuka mogła się stać z gruntu klassyieczną? Na to odpowiadam: nowożytna fantazyą jedynie ulagodziła ona dufność nieskończoną w sobie, ale jéj nie zniosła. Jak ta fantazyą umiarkowała tylko nieskończoną tęsknotę i wewnętrzną sprzeczność w sercu człowieka, tak ta fantazyą ani się stała, ani mogła się stać doprawdy i w całym znaczeniu klassyieczną; jéj nawet niewolno było chcieć być do dna klassyieczną i spłynąć w jedno ze sztuką Hellady i Rzymu. Ta prawda wyświeci się nam do syta, jeżeli zeczeemy porównać świat klassyieczny i nowożytny, a porównać oba te światy pod różnemi względami.

Świat klassyieczny, mianowicie grecki był klassyiecznym *pierwotnie, bo z rodu swojego; on* tę harmonią

---

tyczną w znaczeniu dawném, straciła zrazu podstawę wszelką pod sobą, a będąc jeszcze za młodą, żeby się zdołała opatrzyć i nową, właściwą sobie, pójść drogą, rada była chwycić się wzorów sztuki Helleńskiej, znajdując w nich spokrewnionego sobie ducha; te jéj studia około starożytnej sztuki były przeto nie przyczyną, ale skutkiem całego nawrotu tego fantazyi. Prawda, że właśnie w tym czasie wypadki historyczne w samą porę nastęrczyły, czyli raczej ułatwiły światu sposobność nauczania się areydział, sztuki klassyiecznej, ale temu nie ma się czego dziwić; bo mądrość, władająca dziejami rodu ludzkiego, ile razy wywołuje nową epokę. by odświeżyła świat, podaje jéj zarazem i sposobność, by urosła, by się spotęgowała, jest to ta sama opatrzna mądrość, co pamięta o rozwijającej się lilii polnej, o pisklęciu, co się dopiero wykluło ze skorupy swojej. Bądź co bądź, to jednak pewna, że z nową odradzającą się klassyecznością, że ze zmartwychwstaniem cudów starożytnej sztuki, owianej najwyższą pięknoscią, i sztuka chrześcijańska wzmódc się musiała urokiem idealnym, jakby nie z tego świata zrodzonym. Piękność klassyieczna staje się przeto teraz jednym z pierwiastków, jedną z cech głównych nowożytnej sztuki.

ducha i natury, stanowiącą istotę klassyeczności, wziął z urodzenia swojego, ona była jego duszą, pierwiastkiem jego żywota. Greeya z urodzenia była uwidomieniem, wyjawieniem zewnętrzném téj harmonii i wdzięcznego zestroju. Ta harmonia była tedy istotą, ba, całą istotą i żywotnym warunkiem Greeyi.

Inaczej zupełnie się rzecz ma z wiekiem XVI i z artystyczną jego fantazyą.

Sztuka XVI stolecia, jak cała fantazyja nowożytnych czasów, nie mogła być klassyczna w tém znaczeniu, jak nią była fantazyja grecka, a to już naprzód dla tego, że stolecia nowożytne nie *były klassyczne pierwotnie ze samego urodzenia swojego*. Świat chrześcijański wprzód napasował się, nałamał z sobą przez półtora tysiąca lat, zanim znówu zbliżył się do natury, zanim pełen dla niej miłości serdecznej objął w objęcia swoje rzeczywistość całą, a tak zbliżył się do téj harmonii zewnętrznej, która klassyeczność stanowi. A gdy po tak długim czasie ten świat zabrał się do klassycznych wzorów starych mistrzów, te wzory nie były przecież własnymi dziełami jego, one nie powstały z własnej kości, z własnej krwi chrześcijańskich ludów; te wzory były przybrane, obce, wzięte po ludzie zupełnie różnym, po epoce w dziejach świata weale innej i która dawno już ustąpiła z dramatu dziejów powszechnych. Tak przeto z góry już spostrzegamy, że klassyeczność dawna nie zdołała w całej prawdzie swojej przyjąć się na gruncie nowożytnej historii.

Z tego, co właśnie teraz rzekłem, już widzimy że sztuka nowożytna zamyka w sobie klassyczną jako jeden ze swoich pierwiastków, lecz właśnie dla tego nie

jest w zupełności klassyieczną; tak jak ciało żywe zamyka w sobie ten i ów organ, a przecież ciało całe nie jest tylko tym lub owym organem. W dziełach nowożytnej sztuki znajdziesz równie i ducha starożytnego, klassyiecznego świata, ale znajdziesz w niej jeszcze inne jej właściwe pierwiastki; wszak nawet w areymistrzowskich naśladowaniach poczyi klassyiecznej uczujesz jeszcze powiewy nowożytnego ducha. Ta prawda potwierdzi nam się jeszcze dokładniej gdy porównamy pod innym względem starożytność klassyieczną z nowożytnym światem.

Jakoż, uważ jeżeli w Helladzie treść duchowa z rodzaju swojego była w harmonii zupełnej z naturą i z całym światem zewnętrznym, rzeczywistym, to ta harmonia miała miejsce znów dla tego, że duch Grecyi właśnie o tyle był urósł, że cała treść jego mogła się jeszcze zupełnie pomieścić w rzeczywistości zewnętrznej; więc też ta treść ducha Hellady we formach z natury wziętych a zidealizowanych, zatem w dziełach sztuki mogła znaleźć zupełnie odpowiednie a najwyższe wyrażenie swoje. Wyrażenie zaś takowe było tak zupełne, ta harmonia między treścią a formą była tak doskonała, że co było w treści téj, czyli co istniało w człowieku wewnętrznym, znalazło w zupełności odbicie i wezelenie swoje we formie zewnętrznej; to jest w jego prawach i naukach, w jego religii, w historyi jego; co więcéj, człowiek zostawał nawet w harmonii z naturą fizyczną swojego kraju a ukształtowaniem jego powierzchni, z klimatem i t. p.; słowem, cały świat rzeczywisty, zewnętrzny był tylko uwidomieniem treści wewnętrznej człowieka. Tém więcéj Grecya w dziele sztuki, jak w wol-

ném i swobodném dziele ducha swojego, mogła się przejrzeć i obaczyć całą istotę swoją; przeto w pieśni, w posagu, w świątnicy budowanej Grecya wypowiedziała całą treść ducha swojego, nie już w sobie nie zachowując; i nawzajem też ta forma właśnie tyle jedynie miała w sobie osnowy, ile służyło do wyjawienia treści owej, ani więcej ani mniej. Tak przeto w Grecyi co było w treści, było i w formie, a co w formie istniało, toć się znalazło w treści. Tę całą myśl przeprowadziłem przez owe trzy listy, w których rozprawiałem o fantazyi greckiej. Tam również rzekłem, że stanowisko takowe *raz tylko* w historyi świata pojawić się mogło, a potem przebrzmieć bezpowrotnie. A tak i klasycyzność prawdziwa nigdy już nie mogła wrócić się światu; nie wróciła się też nigdy, bo w dziejach rodu ludzkiego nie ma nic starego, co się tu rodzi, rodzi się po raz pierwszy i po raz ostatni. Historia jest wiekuście młoda.

Otoż takowej ścisłej harmonii między treścią duchową a światem zewnętrznym, rzeczywistym, takowej harmonii, jedynie Grecyi właściwej, takowej tedy klasycyzności nie było, ani być nie mogło w stóleciu XVI, ani też w całej sztuce nowożytnej. Treść duchowa już nie zdołała się pomieścić w rzeczywistości, bo w formie zewnętrznej, w naturze, choćby podniesionej przez fantazyą w krainy nadziemskie ideału. Wiara chrześcijańska nawiedziła wewnętrzne tajnice serea ludzkiego, rozwarła w niém głębie wiekuiste, nadała im treść nieskończoną. Jak przeto teraz człowiek w świecie zewnętrznym, rzeczywistym, jako doczesnym, nie znajdzie wyrażenia treści swojej, tak też tej treści bezdenniej człowiek nie zdoła wyśpiewać pieśnią, nie zdoła jęć wyja-

wie obrazem malowanym ani rzeźbą. To co istnieje życiem wiekuistém, co żyje w przybytkach piersi twoich, tego nie zdołasz uzmysłwić areydzieniem piękności; boć właśnie co jest najwyższą treścią twoją, to nie jest z tego świata zrodzone. Dzieło piękności będzie jedynie tehem nieśmiertelnego ducha, ale nie będzie nim samym. Choć się ustoi ten gwałtowny niepokój, co miotał wnętrzem człowieka, ciskając go po ostatecznościach wręcz sobie przeciwnych; choć się ułagodzi ochota do przygod nadzwyczajnych i awantur; przecież zostanie na dnie ducha ukryte niezadowolenie z rzeczywistości doczesnej i z siebie samego,— zostanie w głębinach istoty naszej niewypowiedziana tęsknota, rzewność bezdena, żalność słodczy pełna, odzywająca się w chwilach cichych, spokojnych z całą potęgą — dusza uczuje, że jest gościem na ziemi, i że ziemia jest przemijającą gospodą. Ten nastrój, będący piętnem ducha nowożytnych, znajdzie też wtórowanie swoje i w sztuce nowoczesnej. W nadniebnych widziadłach madonny Rafaelowej usłyszysz tęsknoty aniołów, usłyszysz je w mszach świętych Palestriny, w akkordach Bethowenowych; owa tęsknota rośnie i dźwiga się w sprzeczność, staje się niekiedy śmiertelną boleścią, rozłamując serca wieszczów, jakim jest Byron. I właśnie dla tego, mimo zbliżenia się człowieka do natury a rzeczywistości, nie uleciała i w nowych dziejach ona dufność człowieka w siebie, ono opieranie się na sobie, ona sprzeczność we wnętrzu duchowym. Te pierwiastki jedynie się umiarkowały, ułagodziły, ale nie znikły.

Widzieliśmy tedy, że mimo onęj przybranej klasycyzności swojej, nowożytna fantazya całym światem rozdzieliła się od sztuki Helleńskiej.

Lecz chciaj mieć baczność, że obie te fantazye przegrodziła jeszcze inna ogromna różnica, a różnica odnosząca się nawet do rzeczy ziemskich, tutecznych. Greya była ludem żyjącym wśród zarania ludzkich dziejów, i ona przeminęła tak rychło, jak spływają purpury z porannego nieba — życie Hellady tak było krótkie! Ona, mimo genialności, nie miała czasu zdobyć sobie treści tak bogatęj, tak pełnêj, jakięj się dosłużyć jedynie może lud, który liezy żywot swój, doświadczenie swoje, na długi szereg wieków. Inaczej dzieje się z Europą XVI wieku; ona tak wiele już była przecierpiała, tak wiele przeboleła! Historia średnich wieków, toć to była szkoła twarda a długa dla ludów chrześcijańskich, ta szkoła uczłowieczyła świat, ona nauczyła go czei dla kobiet, a wpoila uczucie honoru i uszanowania siebie i drugich. Ta długa tysiącoletnia walka rodu ludzkiego, napęlniając ludzi bogatą, nieprzebraną treścią, a treścią przerozmaitą, wyrobiła zarazem barwę osobniczą, indywidualność odznaczającą tak silnie ludzi między sobą.

Widzieliśmy w poprzednich listach, że ta indywidualność, będąc skutkiem wiary chrześcijańskięj, jest jedną z cech sztuki romantycznęj, a nie zatarła się ona i w nowożytnych dziejach; owszem ona się jeszcze silnięj spotęgowała, jak rzekłem, przez długą historią, przez doświadczenie tak twarde tych ludów chrześcijańskich. Ta indywidualność nadająca osobną, że tak rzekę, fizyognomią duszy każdego człowieka, wycisnęła się na jego dążnościach, na rysach jego twarzy, w ruchu i mimice jego. Ale co więcéj, te wszystkie potęgi, które się przyczyniły do wyrobienia tęg indywidualności, nadały też głębokość ogromną człowiekowi, o któręj nie

ma śladu w sztuce starożytnej. O tej głębi w duszy, będącej piętnem sztuki nowożytnej, będziemy jeszcze mówili w liście następnym. Tutaj proszę tylko, byś porównał posągi bogów greckich między sobą, a znajdziesz, ogólnie mówiąc, wielkie między nimi podobieństwo, a treść ich tak prosta, że niby cała wykwitła na wierzeh; gdy, odwrotnie, madony Rafaela, choć tak liczne, choć one wszystkie mają jedno wspólne piętno, choć one wszystkie jakby marzenie śniącego o niebie anioła, przecież one wszystkie są inne a inne: każda ma swoją indywidualność i jedynie do siebie samej tylko podobna. Każda z nich ma treść głęboką jako niebo całe, o każdej mógłbyś napisać dzieje rzewne a długie jak wieczność. Porównaj figury tragedyi greckich z figurami Shakespearą, a wyznasz, że tamte, jakem już wyżej powiedział, są podobne do posągów, bo cała treść ich mogła zkamienieć w jednej chwili; gdy przeciwnie figury Shakespearą potrzebują długiego rozwoju w dramacie, aby nam wykazać tę treść głęboką, bogatą, nieprzebraną, która w nich przebywa a która jest wypadkiem onej praey ciężkiej, którą się mocował ród ludzki przez lat tysiące. (\*).

---

(\*) Widziałeś w liście, w którym kończyłem rzecz o Grekach, jak cudowną jest tragedia Sofoklesa *Antygona*. Wspomniałem ci o zachwyceniu, w które wprawila widzów teatru paryzkiego, bo co piękne, jest wечно piękne, a przecież mimo tego każdy naród, każda epoka nadaje swojej właściwej fantazyi całość, tchnienie i barwę, i rade siebie widzieć w dziele sztuki; i dla tego też, mimo zachwycenia publiczności pięknoscią *Antygony*, rzadko bardzo ta tragedia bywa przedstawiana na teatrach, o ile mi wiadomo. Dotychczas pojawiła się w czterech czyli nawet w trzech tylko miastach europejskich..

Nikt tak nie umiał naśladować Horacyusza, jak nasz Sarbiewski; to mistrzostwo przyznała mu cała Europa, a przecież, czyli właśnie dla tego, poczyje jego są prawie dla nas exotycznym kwiatem.

Takowych różnie, oddzielających fantazyą nowożytnych mistrzów od sztuki klasycznej, moglibyśmy wiele jeszcze wytknąć; one wszystkie zrodziłyby się z téj głównej prawdy, że mimo nachylenia się sztuki nowoczesnej do klasycznej fantazyi, pierwiastki duchowe, właściwe ludom chrześcijańskim, były tak potężne, że nie mogły pójść w zapomnienie, że żyły z całą świeżością w nowożytnych mistrzach. Owszem duch chrześcijański, jak coraz potężniej przenikał wszystkie światosunki, jak coraz silniej a silniej przejmował wszystkie tajniki duszy, tak i teraz był tłem główném, i życiem i sereem artystycznej fantazyi; i teraz tedy sztuka romantyczna trwa i nie ginie, ale ona ulagodziła swoje barwy jaskrawe, swoje sprzeczności sztuką klasyczną i nią się wzmogła i uzaeniła. Tak tedy pod tym względem mają słuszość estetycy, którzy twierdzą, że sztuka nowoczesna jest cudnym połączeniem romantycznej i klasycznej fantazyi. Pamiętajmy atoli, że to połączenie nie jest bynajmniej obojętném istnieniem obok siebie tych dwóch różnych żywiołów; to połączenie jest organiczną jednością, jest onym zestrojem, akkordem dźwięcznym dwóch odwrótnych sobie tonów. Tak tedy powołanie sztuki nowoczesnej jest ogromne, olbrzymie, ale dla tego właśnie niezmiernie trudne. Mistrz nowożytnych czasów nie dopełni powołania swojego, jeżeli nie zanurzy ducha swojego w krystalicznym źródłu piękności klasycznego świata, a przytém nie zachowa piętna własnego swojego czasu i narodu, do którego należy.

Przekonywasz się przeto, drogi przyjacielu mój! jakie są cechy główne téj sztuki nowożytnej. W niej



znajdziesz idealność klassyczną, a zarazem całą głąb' uczuć chrześcijańskiego świata, pogodzenie się z naturą i całą rzeczywistością, a zarazem tęsknotę za światną, rzewność pełną słodyczy i wdzięku, dalej piękność niebiańską nadgwiadną a zarazem indywidualność wyrobioną, pełną siły a potęgi. Czyliż mam wyliczać dalej jeszcze znamiona żywotne, będące tętnem téj nowoczesnéj fantazyi? Rozumiem, że ci samemu już nie trudno będzie roztoczyć jeszcze ich szereg długi, byleś zechciał zgodzić się na cały wątek rozumowania naszego. Złóż i powiąż razem z sobą to wszystko, com ci rozwinął w dawniejszych czterech listach moich, mówiąc o Grecyi i Rzymie, z tém, com znów rzekł w trzech listach poprzednich, rozprawiając o fantazyi średnich stóleciów, a już same przez się wypłyną dalsze cechy sztuki nowożytnéj, a mianowicie XVI stólecia.

Historya fantazyi nowoczesnéj, doprowadzona aż do dni naszych, jest tak bogata, tak treści pełna, że bynajmniej nie ośmielam się, choćby ogólnym zarysem, skreślić ci jój wizerunku. Gdybym się chciał jako tako wywiązać z podobnego zadania, gdybym miał zwłaszcza jeszcze oznaczyć charakter sztuki różnych ludów w tych ostatnich stóleciach, wypadaloby mi popisać całe tomy takich listów; bo inaczej sądy moje byłyby czezemi ogólnikami, wyrokowaniem zuchwałém, traciłyby niepomału zarozumiałością lekkomyślną. Przystanę tedy i skończę rzecz na wieku XVI.

Tutaj atoli odpowiedzmy sobie tylko, choć z lekka, na pytanie, czyli rzeczywiście sztuka piękna w ostatnich wiekach ziściła w zupełności zadanie swoje? Czyli jój dzieła są w saméj rzeczy wyrażeniem doskonałym

tych cech, właściwych nowożytnéj fantazyi, zrodzonéj w XVIém stóleciu. Śmiało odpowiadamy że jedynie w dziełach niektórych geniuszów wybrańców, a szczęśliwych namaszczeńców piękności, a zwłaszcza żyjących w tém XVI stóleciu, iści się duch nowożytnéj fantazyi z całą świetnością nieskończoną. Najczęściej zaś, a to mianowicie w późniejszych stóleciach, dzieła sztuki nie sprostały jeszcze zadaniu, które na nie włożyły dzieje świata, a które zapowiedziane były przez ten cudny wiek szesnasty.

Zdaje się, że Europa dzisiejsza nie skończyła nawet piérwszego okresu téj epoki sztuki, która się zawiązała z oném stóleciem szesnastém. Prawda, że fantazyja artystyczna miała areytrudne zadanie, znalazłszy się znienacka w obce istnéj natury i całej rzeczywistości prawdziwéj, która stanęła na miejscu owéj fantastycznéj, zmyślonéj; — fantazyja nie mogła się zrazu obaczyć, upamiętać, czując, że jéj nagle zabrakło podstawy, na którój przywykła stać przez lat tysiąc onych wieków średnich. Co więcéj, to zadanie było jeszcze dla tego tak trudne, iż było tak wielkie a ciężkiéj wagi; zasadzało się bowiem na zestrojeniu romantycznego a klassycznego świata, a zatém dwóch ostateczności wręcz przeciwnych sobie; tak przeto sztuka nowoczesna miała być współdźwiękiem a harmonią najwyższą tych wszystkich cech, tych wszystkich pierwiastków, z których kilka wyliczyłem ci powyżéj.

Temu zadaniu tedy tak trudnemu często bardzo nie zdołała sprostać nowożytna fantazyja; ona często nie była dość silna, aby jemu poradzić, aby ująć i zespolić te różne a rozmaite dźwięki. Działo się tedy, że czę-

sto te różne tony odstały od siebie, że te pierwiastki nawzajem się odstąpiły, że każdy z nich samopas, z osobna, odrębnie się rozwinał bez drugich współdzwięków, że zbyt w śród innych wybujał, nie będąc już trzymany na wodzy przez tamte pierwiastki. Gdy zaś te pierwiastki z istoty swojej miały właśnie przeznaczenie, aby się zlewały z sobą, więc też każdy z nich, gdy pozostał sam jeden, nie tylko wybujał zbyt, ale musiał koniecznie się jeszcze wypaczyć i zwichnąć.

Do naszego celu wystarczy, bym ci natracił, choć dla wyjaśnienia, kilka przykładów. Tak np. jednym z pierwiastków, zapowiedzianych przez to wielkie i świetne stolecie szesnaste, była znów owa wskrzeszona miłość do natury; ten pierwiastek, puszczając się sam bez idealności, doszedł do ostateczności, zrodził przeto później ową sztukę zmysłową, materyalną, zakochaną w naturze grubiej, poziomiej, powszedniej a nie zidealizowanej tchem duchowym; (np. obrazy Caravaggio i innych późniejszych naturalistów).

Albo się też stało wręcz przeciwnie; bo wychyliła się jakaś idealność fałszywa, która bez zapatrywania się na rzeczywistość, bez słuchania praw, którym z natury swojej ulegają przedmioty zewnętrzne, chciała być najwyższej piękności mistrzynią. Ta idealność, sama sobie oddana, a nie uświęcona natchnieniem artystyczném, wypaczała się w swawolę kapryśną, majaczyła się w dziwaczne kształty, w których nie dojrzysz istoty rzeczy samej, ale raczej chorowitość epoki, nosobioną w mistrzu; (przypomnij sobie np. one rzeźby, udające postawy złych komedyantów; one budowania, kędy kamień i mury fryzowane, wyci-

nane, powykrawane jakby papierki,— słowem, on czas rokoko;— przypominam te malowania »manierowane,« mianowicie widoki natury, drzew, na pamięć robione, one sztuczne, poetyczne figle wymuszone i płaskie, kędy koncepta udają skoczków na linach i t. d.). Tego odstania od rzeczywistój treści, od natury nie mieszajmy atoli ze zjawiskiem sztuki romantycznój, bo w wiekach średnich ono odstanie od natury, ono pogrążenie się w duchu właśnie dla tego, że było pierwiastkiem rodzimym, zrodziło ten cudowny kwiat fantazyi romantycznój; przeciwnie w nowożytnych czasach to odstanie od rzeczywistości, od natury zdradza często one chorobliwe, osobiste zachcianki, które niekiedy niby uśmiecniają się i miłą, ale częściej są dziwaczkami, które udają fałszywą sentymentalność, lub chodzą na szeszydłach skłamanój wielkości.

Wiesz równie, że jednym z owych pierwiastków jest także techniczność; jest ona warunkiem ogromnój wagi dla mistrza.— Lecz gdy ona sama jedna wybuja, wtedy zamienia się na wirtuozowstwo, co bezpłodne, co oczynia, oślepia na chwilę, a potem znika, gaśnie bez śladu wśród sztuku i puku, jako sztuczne ognie.

Jeszcze jeden przykład:

Wszak sztuka nowożytna ma w sobie jako pierwiastek i klassyczność; występuje tedy klassyczność a mianowicie we Francyi. Wyżej zwróciłem już uwagę twoją, że wskrzeszenie prawdziwój klassyczności w nowoczesnój sztuce było istnieniem niepodobieństwem; a samo pokuszenie się o to, co nie mogło być osiągnięte, sięgnęło na się konieczną karę. Otóż właśnie tragedia francuzka stała się niby klassyczną pod względem zachowania formy zewnętrz-

něj. Ona trzyma się ściśle prawideł greeckich, a zwłaszcza żyje w ciągłej obawie, by nie ubliżyć prawidłom Arystotelesa o trzech jednościach dramatycznych (\*).

Naśladowano klassycznych tragików co do formy, ile ich tylko można naśladować, a przecież mimo tego, mimo mocy a wzniosłości Corneilla, mimo nieskończonych wdzięków i harmonii Racina, mimo zgrabności zwinnej Voltaira,—ta dramatyczna poczyta nie tylko nie jest dziś powszechnie uznana za klassyczność prawdziwą, ale, co więcej, ośmieliłbym się powiedzieć: jest wręcz odwrótną klassyczności prawdziwej. Bo jeżeli ta opiera się właśnie na harmonii ducha z rzeczywistością i naturą; w onėj wrzekomėj klassyczności nie ma ani natury, ani rzeczywistości. Występują tam figury tak gluche i zimne jakby allegorye jakie; są to uosobione myśli abstrakcyjne bez krwi i ciała, których nie ma w naturze; są to figury bez treści, bez barwy indywidualnej, bez fizyognomii własnej. Autor w nich nawet nie stosuje się ani do rzeczywistości wschodu, ani starożytności, z którój bierze osnowy swoje; nadto on nie stosuje się ani do rzeczywistości, która żyje

---

(\*) Wiész że po dziś dzień te prawidła wrzekome Arystotelesa uchodzą za przykazania nietykalne, za powagę świętą. Przecież, mówiąc po prawdzie, każdy poeta prawdziwy i bez Arystotelesa powinienby czuć, że bez jedności w czynie dramatycznym nie ma dramatu, jak nie ma żadnego dzieła sztuki. Co do jedności czasu, téj wcale nie podaje Arystoteles, jako prawidło, wspomina o niej zupełnie przypadkowo, przygodnie a to raz jeden tylko, i to jeszcze jako zwyczaj, który zachowany bywa. Co się zaś tyczy jedności miejsca, o téj ani słówka nie ma w całym Arystotelesie. Otóż przykład jak studyowano starożytnych autorów, i jak łatwo uprzedzenia się redzą w świecie, jak wystarczy, by ktoś wyrzekł zdanie choć mylne, a już wszyscy powtórzą za nim gadkę, a nikt się nie przekona, nikt nie zajrzy w źródło, by obaczyć, czyli też owo twierdzenie jest prawdziwe!

w jego własném społeczném stóleciu, zbogacóném treścią i pracowaniem się tylu wieków, która żyje w narodzie własnym autora. Bo ta poezya jest dworską, nawet dworacką, zamkniętą w kółku osobném, oderwaną od reszty świata. Więć te postaci bez treści głębszój mają treść przyuezoną, udaną; nie czują, nie działają, ale deklamują rozprawy o uczuciu, o sercu, o działaniu i t. d. Te figury same są uosobioną abstrakcyą od rzeczywistości; popisują się osobistą treścią, a ta treść sama jest zmyślona, nie rzeczywista, bo nie jest z życia wzięta. Prawda, że to wszystko może i ztąd poszło, że nie Eschylus, że nie Sofokles, ale Eurypides był wzorem tój poezyi. Przecież ten Eurypides, choć jest Grekiem, jest właśnie wyobraźnikiem późniejszój greckiej historyi, boć w nim już brzmi zerwanie ducha z naturą i rzeczywistością, które się dopiero u niego wyradza w popisywanie się sentymentami, w rozprawianie o uczuciach, o powinnościach, w sentencye i maksymy. O ile zaś Eurypides jest jeszcze Grekiem, o tyle wyrządzono mu gwałt, gdy mu kazano zmartwych wstać i wystąpić przed dworem Ludwików francuzkich. Lecz cała rzecz ta już była nadto ogadana, aby nam było potrzeba rozwodzić się jeszcze w tój mierze; powiedzmy raczej, że mimo tych niedostatków studyowanie klassycznych tragedyi francuzkich i po dziś dzień może pójść nie jednemu na zdrowie. Nie mówię już tutaj o szlachetności Corneilla, ani o cudności wiersza Racina, bo któż ze wszystkich poetów do tój chwili pisze piękniejszym, wdzięczniejszym wierszem? To wszystko już pomijam;—jest atoli inna koczysć stanoweza, którą wynieść możemy z czytania

tych klasyków francuzkich. Jak bowiem ta klassyczność wzięła w karby dziką i surową wyobraźnię północnych ludów, i nie tylko Francuzów ale całą Europę odueczyła gburowatości i rubasznój swawoli, tak dziś jeszcze może być napomnieniem nie dla jednego autora, by tę muzę swoją, źle wychowaną, nie umyłą, rozezochraną jakoś przecie uczynił przyzwoitszą, by ją ogładził i ucywilizował (\*).

---

(\*) Godzi się też aby ze czcią wspomnieć tutaj o naszych tragikach a mianowicie już o szanownym wieszczu Franciszku Wężyku. Wczytanie się w takowy dramat, jakim jest jego „Barbara Radziwiłłówna” może pójść wielce na zdrowie poczynającym talentom, bo nauczy formy artystycznej i przyzwoitości a przede wszystkim nauczy jakto kochać to wszystko co historia uczciła serdecznym holdem. Dawnoż to, gdy jeden z młodych pisarzy, ze zdolnością prawdziwie świetną, ale jakby przepojony szalem poetyckim, brudnym piórem dotknął się tej przeczystej postaci Barbary i skalał to, cośmy od wieków szanowali i kochali, oszargał pamięć Barbary, aby uczynić może swój dramat (czyli liryczność?) więcej efektowym. Myślę iż każdy przyzna że owi starzy tragicy francuzcy bez wątpienia są mistrzami w swoim rodzaju, ale się też zgodzi że te ich figury są abstrakcyjne i głuche, bez wyrazistej indywidualności; o przyczynach tego niedostatku nieco rozprawiałem powyżej, przecież niechaj o jednej z nich wspomnę wyraźniej jeszcze kilku słowami. Ci tragicy francuzcy wprowadzają figury to rzymskie, to greckie, albo nieco żydowskie lub azyatyckie, to historyczne, to mitologiczne, a mimo tego żadna z nich nie ma piętna ani swojego narodu ani wieku, ani cechy osobistej indywidualnej, bo one wszystkie weśnzione są w formy dworskie króla Ludwika XIV, one wszystkie nie mają prawdy. Inaczéj u Wężyka. Figury jego są rodzime, swojskie, one urodziły się na tej samej ziemi, której językiem przemawiają Zygmunt August nie jest wcale takową abstrakcją, on się poecie zrodził z historyi rzeczywistej, więc jest indywidualnością, więc rusza się i działa, czuje nawet i mówi tak, jak go nam kroniki przechowały. Zatem widzimy tutaj formę klassyczną połączoną z treścią historyczną, a z treścią swojską tak serdecznie od autora ukochaną. I w tém właśnie jest moc i potęga Wężyka. Do przesytu już nasłuchać się można że formy klassyczne są przeżyte. Przecież pół stolecia minęło od pojawienia się Barbary p. Wężyka! a od półstolecia nie znalazła się u nas żadna tragedia coby obok niej stanęła.

I powiedzmy prawdę, w najnowszych czasach jaśniały zaiste w wielu krajach Europy znakomite talenta w téj szkole, co się romantyczną zowie; lecz gdy im się bliżej przypatrzysz, poznasz, że ta romantyczność, mimo talentu niezaprzeczonego autorów, najeźścić jest tylko potęgą ujemną; moc tych pisarzy rodzi się bowiem najeźścić, że tak powiem, »z opozycyi« przeciw onéj fałszywéj klassyeczności, niby z chęci zrzućcia z poezyi przewagi cisnącej a cudzej, czyli to greckiej, czyli nałożonej przez inne obce a współczesne narody. Jeżeli zaś znajdziesz geniusze promieniste, co obok téj siły ujemnej mają jeszcze w sobie pierwiastek twierdzący, własny, twórczy, toć zapewne zdołasz się ich na palcach doliczyć.

Przystaję na tém, com dotychczas powiedział; obejdzie się bez wywodzenia innych jeszcze pojavów w sztuce, które podobnie ztąd się rodziły, że pierwiastki fantazyi artystycznej, właściwe epoce nowożytnéj, zamiast się zestrajać w harmonią, odstawały od siebie. Tak tedy często jeden z tych pierwiastków a żywiołów, zbyt się rozpierając, przytłumił inne; a z tego powodu konieczne dzieła sztuki musiały się wyradzać i zwichnąć. Wszak gdy w ciele organiczném jeden z organów zbyt się rozwinie, już tém samém głuszy działanie innych i psuje całość, hamuje organizm, wypaczając go w chorobę.

Obejdzie się przeto już i bez rozbioru bliższego onéj poezyi zatrutej i trującej, co w rozpaczliwym przesycie, obmierziwszy sobie rzeczywistość, zerwawszy z nią do dna, zamyka się w sobie i po to jedynie występuje między ludzi, aby z prawdziwą lub skłama-



na boleścią poniewierać całym bożym światem, niby lupiną pustą, wymietną. Czyliż mamy znówu wdawać się w wyroby owych niewydarzonych poetów, co, pożegnawszy się z rozsądkiem, częstują czytelników bezsenssem i andronami, nazywając je kwiatem genialności fantastycznój!— A cóż dopióro owa poczya, co po śmieciaskach towarzyskich poluje na ośnowę dla siebie, a jakby z krynicy kastalskiej czerpie natchnienie z płuczych stęchłych społeczności!

Bez tego wszystkiego iście się obejdzien, zwłaszcza że nad światem jaśniejce przecież konstellacya gwiazdzista prawdziwych wieszczów i artystów. W to piękności niebo się patrzmy! one niech nam przyświecają i rozswiecają duszę, w chwilach gdy zajdzie smętkiem i życia żalobą!

Zrozumiesz, że znamiona fantazyi nowoczesnój, skreślone powyżej, są ogólną, bardzo jedynie ogólną i lekką charakterystyką; wszak te cechy mieniły się wielec pod wagą wielkich wydarzeń historycznych, pod wpływem znakomitych okresów dziejowych; roztoczenie atoli tych zrodzeń nie jest tutaj zamiarem naszym. Nie trudno równie zgadnąć, że każdy lud wywiązywał się po swojemu z powołania wziętego na siebie; możnaby przeto i tutaj okazać jako usposobienie ogólne, duchowe każdego nowożytnego narodu odbiło się w jego fantazyi artystycznój, jako np. Bacona filozofia zapowiada cechę angielskiej fantazyi, tak jędrnój, zdrowej, ujmującej z gruntu rzeczywistość i rzetelny świat, i jako znów Boehmego teozoficzna filozofia w sobie tonąca, mistyczna, wewnętrzna jest wysłannicą onój głębokiej liryki niemieckiej, zwróconej w świat wewnętrzny; jako np. zno-

wu duch Kolumba odpowiada téj fantazyi ludów romańskich południowój Europy, téj fantazyi gorącej, ogni-stej, żyjącej z naturą w wiecznym, nigdy nierozzerwanim przymierzu.

Przecież, puszczaając mimo się to wszystko, napomknę jeszcze słówkiem o owym wypadku dziejowym ciężkiej wagi, który podzielił Europę na dwie połowice, odróżniające się tak potężnie pod względem umysłowym. Tym wypadkiem są wywroty religijne XVI stolecia. Nie wspomniałem o nich powyżej, natracając twojej pamięci pierwiastki dziejowe tego wieku XVI, bom pragnął właśnie dla ich ważności przytoczyć je z osobna.

Protestantyzm, zwłaszcza niemiecki, ulotnił wiarę; ona z ciepłych, tajnych duszy przybytków, z głębin serca przeniosła się do głowy; co było proroctwem świętym uczuć, staje się tutaj pojęciem rozsądku, abstrakcją rozumową. Ale rozsądek, pojęcie, wiedza, myśl nie rodzą natchnienia, nie znają, co zachwyt artystyczny. Myśli i pojęcia filozoficzne, choćby wcielone w formy zmysłowe, nie stworzą dzieła piękności; one, jak rzekłem tyle razy, zrodzić zdołają jedynie allegoryą zimną, głuchą, bezsercą. Wszak też mówiłem już przy innój sposobności, że co człowiek wie, co rozumem ogarnął, co myślą zbadał, toć jest wprawdzie jego własnością, ale własnością tylko przyswojoną, a zatem nie jest jeszcze jego istotą; co zaś człowiek czuje, co on wierzy—to on sam, i to jedynie właśnie może się stać natchnieniem jego i przybrać na się formy sztuki pięknej, w których się przeziara nieskończona, wiekuista natura ludzka. Widzisz przeto, jakto Protestantyzm sam się pozbawił jednej z najważniejszych

osnów sztuki, i dla czego obrazy, jak je maluje np. Angelico da Fiesole, lub Madonny Rafaela stały się niepodobnemi dla protestanckiego artysty; co więcéj, zarazem z tém ochłodzeniem wewnętrzném serca, rozplynął ów świat legend, podań religijnych, wspomnień ciichych a rzewnych, co są przedmiotem tak cudownym, osnową już gotową dla natchmionéj fantazyi uświęconego mistrza.

Przecież czas bym ukończył list ten i nawrócił do właściwego naszego przedmiotu, bo teraz przyjdzie nam choć ledzielnym zarysem oznaczyć w liście następnym kierunek, który nabierał każdy rodzaj sztuki w tym czasie. Łatwo zgadniesz, że ten kierunek będzie właśnie wypadkiem ogólnéj cechy całego stólecia, a tém samém stanie się i ostateczném jéj wyjaśnieniem.



# LIST XXX.

## Stólecie XVI.

(Ciąg dalszy.)

Architektura XVI wieku. — Bramante. — Palladio. — Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz. — Leonardo da Vinci, Rafael, Szkoła Wenecka. — Muzyka i Palestryna. — Tasso, Ariosto i Kamocens. — Cervantes. — Jan Kochanowski. — Shakespeare.

**Dopisek.** Wyprawienie tych listów.

**Z**nasz te uczucia, co grają na pół zrozumiane, na pół dosłyszane w sere toni? Znasz te uczucia, co żyją i tętnią w duszy, jako głuchy szum podziemnych wód—jako grzmotny huk ogniów ukrytych w ciemném ziemi wnętrzu? Oto—co tam w sereu żyje uczuciem, to występuje na jaw we właściwych postaciach przez fantazyą powszechną stworzonych, przez tę fantazyą gminną, wszędzie rozlaną. Gmin tę treść swojej duszy, na pół mu zrozumianą, odziewa w legendy, powieści, klechdy; on ją wyśpiewuje piosenką, albo wypuści z głębin duszy melodyą swojej muzyki; a te piosenki, te muzyki swoje wyczytuje, jakoby w piśmie kamienném, w szezycach, w liniach światnie, które mu stawiali mistrze jego. Zaiste, te budowania, te z ciosów dzwignione fantazy,

te architektoniczne linie są jedynie artystyczną przenośnią tych uczuć zagadkowych ludu, są jedynie symboliką serea gminu.

Wiesz, że w romantycznych stóleciach główną osnową dla mistrza była treść podana mu właśnie przez fantazję powszechną; on ją ujął miłości pełen, przerobił na dzieło artystyczne, a co wziął od ludu swojego jako kwiatek polny, oddał mu jako kwiaty niebiańskie, uwite w wieńce chwały promiennej.

Wiesz atoli równie, co się stało w XVI wieku? Choć i w tém stóleciu, jak po wszystek świat i po wszystkie czasy, mistrz nie przestawał być synem swojej epoki i swojego narodu—choć on zawsze był jeszcze wyobraźnikiem jego uczuć, choć i teraz w nim słyhać tętno serea całej ziemi i tehy rodzinnych powiewów, i gawory jego gajów i wód, przecież dla mistrza ta fantazja powszechna, te powieści, legendy i klechdy, te symboliki uczuć ogólnych nie były już główną osnową jego dzieł artystycznych; on teraz najczęściiej zaczął udawać się do rzetelnej historyi, do prawdziwej natury po treść swoją. Tak tedy już z tego względu fantazja mistrza a fantazja powszechna odstawały od siebie. Ale nadto sama ta fantazja powszechna osłabła w sobie i zwałowała, bo straciła jednolitą swoją moc: nowa nastąpiła epoka, runęły wieki średnie, zewsząd nowe wyobrażenia powodzią wylały się na Europę, uczucie nie mogło się upamiętać; więc i fantazja powszechna się zachwiała, ta fantazja, co była dawniej tehem żywotnym, wszędzie rozlanym; ona, co była dawniej jakby akordem wszystkich tonów, wszystkich sere, ona teraz pozrywała struny, w sobie mącąc się i bałamucąc. I tać była druga

przyczyna, dla której fantazyja artystyczna zerwała dawną ścisłość ślubów swoich z fantazyją powszechną gminu, i z tą symboliką jego uczuć.

Lubo zaś to zerwanie było stratą dla mistrza, przecież ją sobie wynagradzał w poezyi, malarstwie i rzeźbie; trudno mu jednak było zastąpić tę stratę w tym rodzaju sztuki, która właśnie jest wskrós symboliczną, która więcéj niż którykolwiek inny rodzaj sztuki jest odbiciem zagadkowej treści zamkniętej w serca głębinach, w uczuciach na polu zrozumianych. Tą sztuką, jak ci wiadomo i jak dopiéro co rzekłem, jest przede-wszystkiém architektura.—Ona jest wskrós symboliczną, ona nie przemawia postacią uosobioną, wyraźną jak rzeźba lub malarstwo, ona nie przemawia słowami, mową jasną jak poezya; jéj wyrazem jest symbolika płaszczyzn i linii; w niéj ona składa pryncypia swoje i zagadki serca na polu zrozumiane, żyjące na dnie serca całego ludu; ona, więcéj niż którakolwiek inna sztuka, spoczywa na uczuciach ogólnych, wszędzie rozlanych, i na fantazyi powszechnéj; boć ona nawet niéma, jak inne sztuki, oparcia i pierwowzoru w formach przez samą naturę podanych, w onych postaciach ludzkich, kształtach zwierzęcych, widokach kraju i wód i gór.

Jasna tedy rzecz, że gdy powszechna ta fantazyja, ta symbolika ludu stała się w XVI stóleciu czémś obcém dla mistrza, gdy ona w sobie omdlała, zwałała,—już tém samém i architekturze XVI stólecia zabrakło rodzimego źródła; nie stać było téj sztuki na zrodzenie wskrós nowego rodzaju budowania, nowego architektonicznego stylu. Jeżeli zaś sobie zarazem przypomnisz, iż właśnie ten wiek szesnasty nawrócił do klassyczności, więcéj

rzecz jest jasna, że architektura teraz, w tym braku rodzimego, swojskiego pierwiastku, udaje się do wzorów, które jęj zostawił świat starożytny. Z tego zaś powodu ten nawrót właśnie się najwcześniej odbyć musiał we Włoszech, jako w kraju, który nawet przez całe średnie wieki patrzył własnymi oczyma na puściznę umarłego klasycznego świata. Gdy we Włoszech łatwiej było o wspaniałe i majestatu pełne zwaliska rzymskie, co jeszcze harde i pyszne choć w upadku i poniewierze, niż o wzory hellenickiej architektury, stąd też Włochy raczej z tych gruzów rzymskich, w których żył zaklęty duch pogromców świata, brały wzory dla swojej architektury. Tak stało się budowanie, pełnione wspomnieniami Rzymu, owiane atoli chrześcijańskim powiewem; tak zrodził się ów pierwszy prześliczny *Renaissance*.

Ten styl Renaissance choć rzymski, przecież łagodny i wdzięków pełen, uśmiecha się bogatym przystrojem, brzmiącym harmonią cudowną. Te ozdoby jego tak misterne, jakby były onych trzech graeyi lubem marzeniem, a przecież są dziwniej szlachetności i czystości rysunku; te przystroje są tak zamożne, bujne, a przecież w nich nie widać napuszystości popisującej się próżnością; tutaj dobrze zrozumiane bogactwo obok zaćnej prostoty; a lubo tu są wskrzeszone rzymskie formy, przecież w nich żyje świętością wiara. Jak to widzieć możesz mianowicie na budynkach, którymi zagrał na duszy meledyą kamienną Bramante (ur. 1444 † 1514); wszak on jest jednym z wczesnych wyobraźników tej odrodzonej architektury (stylu *Renaissance*).

Jeżeli atoli zapragniesz zajrzeć w samo tajemni-

cze seree starorzymskich budowników, a zarazem obaczyć czém się staje ta architektura klassyczna, gdy ją wywoła gieniusz nowożytnych czasów, wtedy patrz na dzieła Andrzeja Palladio. Ten wielki mistrz a istny syn szesnastego stólecia (ur. 1518) w okrucach a zwaliskach zapadlój Romy podsluchał życie dawnój klassycznój fantazyi i umiłował ją jako oblubienicę swoją i w tém swojém kochaniu stał się areywładzą tój harmonii, co się rodzi z dźwięcznój proporeyi a wymiarów w przestrzeni. Palladio atoli wskrzesił przezyste architektoniczne formy starożytnych ludów, a jednak nie stracił siebie samego a własnej samodzielnej oryginalności, którą od natury wziął posagiem w świat; on do zmartwychwstania wezwał myśli, które niegdyś robiły w duchu artystów-budowników, będących chwałą wieku Augustów, Trajanów, a przecież ten wielki mistrz, stawiając kościoły chrześcijańskie, dźwigając twórczą potęgą okazałe pałace, daje znać że go wykołysała wiara Zbawiciela, i że się wskrós przejął potrzebą, dążnością, smakiem, obyczajem i całą atmosferą nowożytnych czasów (\*).

---

(\*) Zaiste żałować mi przychodzi, że szczupły zakres tych listów nie pozwala nam bliżej przypatrzeć się, jakto pod tehem odradzających się sztuk i nauk klassycznych wykluwał się w architekturze styl Renesansowy. Byłoby to rzeczą arey zajmującą obaczyć jak on się zachowywał do wyprzedzającej go architektury średniowiekowej, więc głównie do gotyckiej i romańskiej. Lubo mówiąc w jednym z powyższych listów o architekturze średniowiecznej ograniczyliśmy się stylem gotyckim, bo on najwydatniej i najsilniej przedstawia nam ducha owych czasów, toć przecież i styl romański jest także, choć już słabszym i mniej wyraźnym, odgłosem tój głębi duchowej, tój indywidualności, która była piętnem średnich wieków. Gdy atoli styl ten przez długi czas był przeważającym we Włoszech, więc w kraju w którym właśnie najwcześniej rozwinął się



Przecież, mimo potęgi tych gieniuszów, mimo sile-  
nia się tych świetnych mistrzów, architektura XVI stó-  
lecia nie miała w sobie zarodu wielkiej przyszłości.  
Bo gdy ta sztuka nowoczesnego budowania nie miała,  
jak się rzekło, własnej podstawy pod sobą, gdy jej brakło  
rodzimego żywotnego pierwiastku, z któregoby się mo-  
gła rozwinać i urosć sama z siebie, dla tego nie dziw,  
że się też wnet wypaczyła, że jej przemiany późniejsze  
nie były bynajmniej postępem. Co więc, do dziś dnia  
nawet nie stać nas, by stworzyć właściwy nam styl archi-  
tektoniczny; dzisiaj najwyższym szczytem sztuki budo-  
wania jedynie są studia gruntowne stylów całej prze-  
szłości i umiejętne ich naśladowanie! Przypatrz się bu-  
dowom dzisiejszym; najlepsze z nich są najczęściej te,  
które są mistrzowskim powtórzeniem dawnych czystych  
stylów, a te, które żadnej nie mają wartości, które są  
«murowaną niedorzecznością» najczęściej bywają arle-  
kinadą pomieszanych stylów.

renesans, więc tém trudniej wykazaćby nam przychodziło stosunek tego  
renesansu do poprzedzających go stylów i wykluczenie się jego z nich, nie  
wyświeciwszy wprzód istoty architektury romańskiej; a która znowu była  
głównie wypadkiem stylów chrześcijańskich, więc bazylikowego i bizan-  
tyńskiego, choć za przyczynieniem się innych jeszcze wpływów a miano-  
wicie za działaniem rozwijającego się coraz postępu duchowego.

Dla uniknięcia pomyłki czynimy atoli tutaj uwagę, żeśmy pod jedném  
ogólném imieniem: *Renesansu* objęli i styl Bramantego i Palladiusa; dla  
tego bośmy tą ogólną nazwą pragnęli oznaczyć całą epokę odrodzenia.  
Przecież niechaj zechce pamiętać młodszy nasz czytelnik że style tych  
dwóch mistrzów, lubo oba się poczęły pod wpływem sztuki klassycznej,  
są wielce od siebie różne. Prosimy również mieć na pamięci, iż styl tak  
wdzięczny, który zwykle w życiu renesans zowiemy (np. kaplica Zy-  
gmuntów w Krakowie), lubo jest także stylem odrodzenia (w ogólném  
znaczeniu) ma swoje właściwe cechy, które go różnią od czystego pra-  
wie klassycyzmu, co go stworzył Palladio

Zważ jeszcze, że ten brak żywotnych warunków w architekturze nowoczesnej stał się przyczyną, że ona tak łatwo zmieniała się i przeradzała za dotknięciem schorzałego już czasu, lub w kapryśnych rękach wielkich mistrzów. Tak prze cudną piękność Renaissance został zwieczniony w genialnym a zuchwałym ręku Michała-Anioła Buonarrotiego; — on, tytan w ludzkiej postaci, dźwignął świątnię S. Piotra w Rzymie, na podziw światu, na tryumf śmiałości sztuki, przemagającąj bezmierne massy i przestrzenie; ale te wszystkie tryumfy nie są tryumfem najwyższej artystycznej piękności.

Ten sam Michał-Anioł jest rzeźbiarzem: on młotem uderzył w głuche marmuru bałwany, a jak z przedświatnych bezkształtnych zamętów wystąpiły na Boże skinięcie światłości i słońca i księżyc, i wszystko żyjące; tak za uderzeniem dłota mistrza tego, z bezkształtnych marmurowych bałwanów wystąpiły postaci jego. Te postaci, to nie wizerunki ludzi śmiertelnych; w nich żyją całe pokolenia, z nich patrzą na nas całe epoki i lat tysiące, one są odziane siłą i potęgą, jakby ich wykarmiły moco natury wstrząsające światem; a przecież na nich wyciśnięte piętno indywidualności; gdy stajesz w obec nich, czujesz, że to oblicze, te rysy, te ruchy w kamieniu raz tylko w świecie się pojawiły, że one nie są ślepą, bezduszną abstrakcją — w nich tętni prawda żywa. Patrz na posąg Mojżesza, co jest najwyższym klejnotem jednego z rzymskich kościołów. Zasiadł zakonodawca tak poważnie i uroczysto, jakby na stolicy wszech ludów; w oczach jego i wejrzeniu, i w obliczu całym, w jego rękach, ba w szatach, we fałdach téj długiej spływającej brody technie i goreje duch

męża, co sam na sam rozmawiał z Bogiem, wśród obłoków i błyskawic i gromów. Czujesz, widzisz duchem, że to jest mąż, co stworzył naród; owszem, co więcej dokazał, bo dźwignął z upodlenia naród swój, naród, co widział i Faraonów Egiptu i przepych Babilonu i Assyryą ludowładną, co zapamiętał, kiedy Rzym się rodził, co był przy skonaniu jego, który przeżył wszystkie ludy, państwa, wszystkie tysiące lat a przecież jeszcze snuje się pomiędzy nami, chodzi wśród ludów nowych prawnucznych, bo żyje swoją wiarą, choć w rozsypaniu, choć jest niby upiorem pośmiertnym przeszłości zapadłej. Buonarrottego geniusz, sam tak olbrzymiego a posępnego majestatu, zrozumiał onego prawodawcę bogochwaleczego ludu, więc obaczył oblicze jego wśród błyskawic własnego swojego geniuszu.

Ten sam Michał-Anioł widział, jakby na własne oczy swoje, strachy i grozy ostatecznego sądu; on jakby stworzenia prorok patrzył na chwilę zrodzeń natury, na losy pierwszego człowieka, na jego winę i upadek; i chwycił za pęzel i w Sykstyńskiej kaplicy Watykanu w malowanych obrazach zostawił i ten sąd ostateczny i te wszystkie widzenia swoje, jakby epopeję Bożą, jakby dramat wiekuistości, i zostawił te widzenia swoje nadchodzącym pokoleniom na puściznę po sobie a piorunne «memento» swojego przejścia po ziemi.

A lubo Buonarrotti jest malarzem, jakby od wiekuistości w służby wziętym, toć nie on przecież jest wyrazem a nosobieniem malarstwa XVI stolecia. Michał-Anioł nie jest wyobraźnikiem ani żadnego stolecia, ani żadnej w szczególności sztuki, ani żadnego narodu; on sam siebie jest wyjawem, i dla tego wyobraża wszyst-

kie czasy, wszystkie sztuki, wszystkie narody. Ztąd też nie Buonarrotti ale Leonardo da Vinci stanął na reju temu świetnemu pochodowi malarzy wielkich, którzy przeszli stółeciem szesnastém przez świat na uczezenie rodu ludzkiego. Leonardo jest zaiste piérwszém uosobieniem i poczęciem sztuki nowoczesnéj, on jest klasykiem i romantykiem zarazem. Z jego obrazów spogląda idealna piękność Greeyi i indywidualność chrześcijańskiego świata; tutaj wdzięki natury odziały ciałem one proroki, co wróżą o zbawieniu w głębiach duszy człowieka.

Leonardo bada przyrody tajemnice, on zgłębia prawdy matematyki, dokonywa cudów w mechanice; a przytém harcuje na koniu i składa się orężem jakby rycerz średniowiekowy; on najurodziwszym mężem swojego czasu, on wielbi piękne panie, a obok ziemskiego kochania żyje w sereu jego niebiańskiej miłości kwiat: więc też Franciszek I król francuzki, co sam był uosobieniem monarchii XVI stółecia, uczeił sam siebie uwielbieniem i serdeczną przyjaźnią dla malarza, który w skonananiu umarł w objęciach króla, a umarło i areydzieło mistrza: owa Wieczerza Pańska w refektarzu medyolańskim! Moce bezmyślne natury a dziksze jeszcze barbarzyństwo ludzi zabily, sponiewierały na ścianie te postaci święte! Przecież w tejże lombardzkiej stolicy, w jednéj z bogatych jój galeryi znajdziesz dziś na jednéj ze ścian zawieszone ramki skromne — za szkłem papier zmięty o roztrzępionych, podartych brzegach, na nim malowanie o lekkich rzutach, niedokończone, tu i ówdzie przebijają jeszcze zarysy ołówka—to głowa Zbawiciela, to karton do onój wieczerzy — on się zrodził w natchnieniu, w zachwycie nadziemskim Leonarda.

Zaiste, gdy zanurzysz duszę w tym strzępku papierowym, wyznasz że łaska Boża tehuęła na duszę mistrza, by dreszczem przeczuć rozebrał serca ludzi, by je przejął rozrzewnieniem gorącym, bezmiernym. Mistrz przywiódł tu na oczy cielesne i żal niebiański do zradnego ucznia, i przebaczenie i słodycz nadziemską! Wiekuistość i doczesność spłynęły w tém obliczu. Znać że Leonardo widział oczyma geniuszu dzieje Boże; widział, jako ludzki ród uwiedziony samowolą odstaje od miłości wiekustej, jako wiekuista miłość zstępuje do niego na ziemię, i sama staje się człowiekiem, i w postaci ludzkiej cierpi jak człowiek, umiera jak człowiek, a tak ześlubia znów człowieka z niebem, godzi wiekuistym okupem wiekuistość z ziemskim żywotem.

W sąsiedztwie starego rzymskiego forum i mamertyńskich więzień, tuż pod kapitolium, w akademii świętego Łukasza jest także malowanie nadpsute; treść jego taka: malarz pracuje nad obrazem Najświętszej Panny; oczy mistrza jaśniejają blaskiem nie z ludzi poczętym — oblicze jego goreje światłem promiennym. Obok na poły dokończonęj pracy jego stanął mu wzór — widziadło lekkie, przejrzyste, wdziękiem nadświatnym odziane,—to sama Boga-Rodzica. I wpatruje się mistrz w niebiańskie widziadło; więc jaśniejają oczy jego blaskiem nie z ludzi poczętym! Obok krzesła natehnionego malarza stanął młodzieniec urodny; z napiętą duszą wpatruje się w prace starszego mistrza i tonie w powstającym obrazie, i uczy się jako malować Królowę Nieba, uczy się wieić i w barwę i w postać widomą niewinność anielską, dziewiczą i kochanie, co nie ma granic: otoż tym mistrzem malującym, któremu modlą

jest widziadło nadniebne, tym mistrzem jest Łukasz Ś.; a młodzieńcem, co uczy się od niego, jak malować Matkę Bożą i niewinność anielską dziewczęą i kochanie, co niema granie — tym młodzieńcem jest Rafael Sanzio z Urbinu. Wszak ten obraz cały w Akademii jest jego ręki!

Powiedz, jeżeli pomyślisz duchem o wizerunkach Boga-Rodzicy, onęj przeczystej lilii niebiańskiej, czyliż duchem nie złączysz jej postaci ze wspomnieniem o Rafaelu, co czyste niby lilia ziemską! Tak w duszy twojej ciałem przyémionęj żyją i wizerunki niebiańskiej Maryi Świętej, i żyje pamięć Rafaela malarza z Urbino—co rozdził się w Wielki Piątek i umarł w Wielki Piątek—w dniu najwyższej boleści i najwyższej chwały Boga-Rodzicy.

Słuchaj słów, które wyrzekł o Rafaelu spółczesny mu Vasari: «O szczęśliwości i błogosławieństwa pełny duchu! O tobie z roskoszą człek każdy rozprawia i sławi czyny twoje, i podziwia dzieła twoje. Zaiste, gdy mistrz ten umarł światu, mogło umrzeć i malarstwo; gdy on zamknął powieki, mogła też olsnąć sztuka na zawsze!..... Niebo tyle mu udzieliło miłości, że wszysej artyści nasi, którzy z nim spólnie pracowali, łączyli się związkiem serdecznym, wzajemnym; a gdy on w ich kole się zjawiał, już z sereą każdego ustąpiła wszelka żądza niedobra; na sam widok mistrza tego uleciała każda zła, niezaena, pozioma myśl. A to się stało, bo każdy był oczyniony jego uprzejmością i artystycznym geniuszem, a więcęj jeszcze czystém sereem jego, które już było tak szlachetne i tak miłości pełne, że nie tylko ludzie ale i zwierzęta oddawali mu cześć!»

Podobno trudno nam już dodać więcęj do tych słów

zaenego Vasarego; wspomnij sobie tylko jeszcze ten orszak szkół, które chwałą wiekami nieprzeżyta rozwinęły się po miastach włoskich, a mianowicie te szkoły, co je urodziła Wenecya. Wszak mistrzowie Wenecyi malowali tak, jakby już to czyste niebo nad niemi, palące się w barwy tęczowe, było ich paletą malarską, a o których tak trafnie wyraża się A. Raczyński, mówiąc, że ich obrazy, to kwiaty żywe, rozsypane na tle jasnego srebra. W Wenecyi geniusz malarski nawrócił silnie do natury i pokochał ją rzewną, gorącą miłością; na tych obrazach postaci cudowne tętną radością i weselem doczesném; a przyroda w koło i jej góry i morza i rośliny i zwierzęta obchodzą jakby święto stworzenia swojego.

Wszelako nie brakło i europejskiej północy wielkich malarzy; więc na północy, na południu i na wschodzie i na zachodzie obaczysz miłość do natury, lecz miłość ta wszędzie unosi naturę w świat niebiański piękności idealnej. Piękność ta nie tylko ucześciła ideałem postać człowieka, ona sereem szerokiém, wielkiém i zacném rozlała promienie swoje na całą naturę, a nawet i na tę ciemną, bezduszną w koło przyrodę; ona uduchowniła swoim kochaniem wszystkie stworzenia ziemskie. Tak też zrodziło się na świat piękności malowanie widoków natury—pejzażów, co już jest najwyższą oznaką ześlubienia się powtórnego sztuki z przyrodą.

Już dawniej rozwinąłem ci zdanie, że rzeźba ze samej istoty swojej jest nad wszystkie inne sztuką klasyczną; widzieliśmy zarówno, że malarstwo ma to do siebie, iż w niém nikną wymiary materji, że oddalenia, skrócenia, światła i cienie nie istnieją w rzeczywisto-

ści, ale istnieją jedynie dla widza obrazu, że tedy malarstwo jest sztuką już więcej idealną, duchową, niż rzeźba. Otóż zrozumieć możemy dla czego i w XVI wieku mimo geniuszu Michała-Anioła, że i później za naszych czasów, mimo świetności dłota Thorwaldsenów, rzeźba była zawsze i wszędzie uczennicą klasycznej skulptury, gdy przeciwnie malarstwo chrześcijańskie roztworzyło sobie nowe światy dla swojego żywota i swojej chwały.

Gdy zaś ludom chrześcijańskim odsłoniły się czarodziejskie dziedziny malarstwa, cóż dopiero się dzieje z muzyką, z oną sztuką duchową, o eterycznej postaci, której stopa nie dotyka się już przestrzeni ani czasu, i jakby zwłoki doczesne zmiata z siebie szaty materji. Wszak muzyka niby woń przywiana z rajskich ogrodów, niby szept miłości wiekuistej, ona nie dojrzana śmiertelnemu oku—dowidzisz jej zjawienia tylko po lecie rzewnej, po rumieńcu, co obłoczkiem przelatuje po liach, po tęsknieniu sereą pukaniu. Muzyka nade wszystkie sztuki jest sztuką idealną; ona przemieszkuje w sanctissimum duszy naszej, ona tą kapłanką świętą, co najwierniej pilnuje ognia niebiańskich uczuć człowieka.

Wiesz, jak to w wiekach średnich w ród ludzki padł błogi zaród muzyki przyszłej; wszak już z niego miały się cudownym kwiatem rozwinać tajemnice kontra-punktu. Te średnie stolecia atoli z istoty swojej nie zdołały wypiełgnować tej roślinki niebiańskiej. Bo choć w sereu ludzkości wiara rozwarła bezdenie nieskończone, a tak nauczyła człowieka czuć ogromne swoje znaczenie; toć właśnie, jak już dawniej rzekłem, to znaczenie wiekuiste było po ziemsku poczone i wyrodziło



się w dufność w siebie bezmierną, w samowolę osobistą, w kapryśną ochotę popisywania się samym sobą a pomiatania rzeczą. To odnoszenie się do siebie samego a poniewieranie rzeczywistością i prawami, które w niej władają, wylęgły z siebie w średnich wiekach oną filozofią scholastyczną, co ślepa na istny, zewnętrzny świat, na zakon, którym się rządzą i rzeczy duchowe i zmysłowe, puszczała się łózem w subtelności czezych syllogizmów, w których już nie o to chodziło, co jest prawdą w istocie, ale o to, aby okazać misterność własnej (osobistej) bystrości rozumowej; tak tedy wyradzała się w sztuczne, pedanekie gadaniny. Otoż to samo odnoszenie się do siebie a poniewieranie rzeczywistością i prawami jej, ta sama dufność w osobistą, samowolną powagę pogwałciła świętokradzko muzykę. Muzyka, ta córa nadziejskiej krainy, była zwiechnięta kaprysem kompozytorów, spaczona grymaśną ich ochotą popisywania się. Tak zwolna melodia zupełnie zaginęła, a na jej miejscu występuje silenie się na sztuczne subtelności kontra-punktu. Gdy muzyka gminu nieuczna śpiewała sobie od serca, gdy trzymając się li wrodzonych uczuć, nie opuszczając świeżego źródła natury, zachowywała i prawdę swoją i wdzięk melodyi; inny kierunek wzięła muzyka umiejętna, a mianowicie kościelna. O tém wszystkiém wspomniałem atoli obszernie w liście ostatnim. Słuchaj, co nam spółczesni prawią o téj muzyce: «im kombinacye dziwaczniejsze i powikłańsze trudności, im mniej Kanon jaki podobny do rozwiązania, tém piękniejszą zdawała się być muzyka, a kompozytor nazywał się boskim mistrzem.» Ta swawola wyrodziła się nawet w niezręczne proste burdy; tak donoszą nam

np: «że gdy jeden głos śpiewał pieśń *alma mater*, drugi swoim dworem *Regina coeli*, a trzeci sobie *inviolata, integra, casta.*» Wszak i na naszej północy pewnie nie było lepiej, gdyż Jan Kochanowski żaląc się mówi: «wniesiona jest muzyka do kościołów i tak postanowiono aby ludzie ku nabożeństwu pobudzała: czego tak dalece ci nowi prorocy nie baczą, którzy mniemają, że to wszystko w taniec kiedy organy słyszą i tym kościoły porządne ludziom hydzą.» i t. d. (*Wróżki*).

Znać, że muzyka podnieść się mogła z upadku a ponieważ w tym dopiero czasie, gdy człowiek zaczął uznawać prawa rzeczywistego świata, prawa ogólne, a tym samym ukroił w sobie samowolę osobistą, i wziął samego siebie w karby; a takim czasem, jak wiesz, był właśnie wiek XVI.

Jak muzyka rozwiązuje sprzeczność tonów zlewając je w harmonię, tak i fantazja artystyczna XVI stolecia, jako rzekłem, umiała zjednoczyć sprzeczność, zestrajając w harmonię świat wewnętrzny i zewnętrzny, myśl i naturę, ducha nieprzebrane głębie i rzeczywistość doczesną.

Jak stólecie XVI było epoką odrodzenia muzyki, tak nie trudno zgadnąć, że potęgą odrodzenia i podniesienia jej z upadku i poniżenia był kościół; boć muzyka jest nad wszystkie inne sztuki sztuką chrześcijańskich ludów, z nią zawarła wiara zacne przymierze swoje. Tak się też stało. Na Trydenckim Soborze, a 22 posiedzeniu jego, właśnie w połowie Września r. 1562, zapadła uchwała stanowiąca o przeistoczeniu muzyki kościelnej.

A gdy dziś po blisko trzechset latach odbywasz piel-

grzymki wędrowne po przestrzeniach bezmiernych kościoła Ś. Piotra w Rzymie, gdy ta świątynia, jakby nie przez ludzi śmiertelnych dźwigniona, obejmuje cię w koło ogromem swoim niby światem Bożym, wtedy w nawie poprzecznej okazują ci miejsce, kędy złożony: «Johannes Petrus, Aloysius Praenestinus, Musicae princeps»—To jest Palestryna! to on człowiek, co tak godnie i święcie odpowiedział nadziejom soboru zebranego w Trydencie.

Po śmierci Palestryny znaleziono na jednej z jego mszy skreślone słowa: *Domine illumina oculos meos* (Panie rozświeć oczy moje!) Snać, że zacny mistrz z Bogiem poczynął prace swoje. Więc też te tony nieskończone harmonii cudownych, te dźwięki co rozlane po światów przestrzeni przygrywają gwiazdom cichą pieśnią, wodząc uroczysty pochód ich, te harmonie i akordy, co zabrzmiały, gdy się światło rodziło, a co prowadzą ludzki ród przez stolecia i lat tysiące; te spółdźwięki i tony Boże, co grają choć niedosłyszane w sercu każdego uczeziwego człowieka, te tony, harmonie i akordy wszystkie zebrały się w duchu Palestryny; a co mistrz od Boga otrzymał, toć wszystko oddał wierne ludziom śmiertelnym—on muzykę niebiańską, przedświatną przetłómaczył na muzykę ziemską. Te kompozycye jego już mieszkają między ludźmi; one to jedne z tych aniołów co stanęły dziejom ludzkim na straży, by nie zdziczały chucią zmysłową i nie przepadły w zapomnieniu siebie.

Są, którzy porównywali Palestrynę z Homerem, lub z Platonem, a to już zapewne dla tego, że Homer plastyczny, że on jest wieszczem zapominającym siebie i

osobiste ochoty swoje w postaciach, które z duszy swojej wyśpiewał, im się już w zupełności oddając. Wszak i Plato tonie w nadświatowych ideach, w onych pierwotnych wzorach wszechrzeczy stworzonych, wykazując marność jednostkowych jestestw i wyobrażeń osobistych. Podobnie jak Homer, jak Plato, Palestryna też nie siebie ma na celu, nie o własną osobę, tę jednostkę mu chodzi, on oddał siebie wiekuistym piękności pierwotnym. Dla tego on żyje i żyć będzie po wieki; bo to tylko umiera śmiercią, co się samolubnie buntuje ogólnym prawdom, siebie na szczytach stawiając; co zaś żyje w prawdzie, toć jest wiekuiste, jak prawda sama. Malarze uczą się na obrazach wielkich mistrzów XVI stulecia, architektura ćwiczy się na wzorach Helleńskich i gotyckich, rzeźba wpatruje się w puszynę bogatą, która jej po świecie klasycznym i po wiekach Michała-Aniela została. Słuszność tedy, jak myślę, mają znawcy muzyki gdy się dziwią, dla czego sami muzycy tak są trudni, by się uczyć od Palestryny albo od Orlando Lasso, co przecież swojego czasu był także eudem. A lubo często gęsto mowa o tych mistrzach sławnych, toć przecież nie usłyszysz ich muzyki, a już do nadzwyczajnych zjawisk należy, gdy kiedyś duszę skąpać i pokrzepić możesz w dziełach światopomnych Sebastjana Bacha. Muzyka Palestryny stanęłaby za niejeden z dzisiejszych koncertów, a równie nam słuchającym profanom jak i artystom poszłaby na zdrowie. Lecz aby go słyszeć trzeba aż do Rzymu jeździć (\*). Boć tam do

---

(\*) Właśnie atoli dowiadujemy się z Kolonii, że chęć znania i prawdziwa miłość do starożytnej muzyki kościelnej spowodowała towarzystwo muzyczne w Brühl (nad Renem) do wznowienia kompozycji starych mi-

dziś dnia w kaplicy Sykstyńskiej Watykańskiej, w wielki tydzień, gdy kaplica obrana ze wszelkich przystrojów, оголоcona z przepychów bogatych, świeci jedynie malowaniem Michała-Anioła— wtedy, w obee jego Sądu Ostatecznego, co grzmi zgrozą i strachem— płacze, kwili się muzyka Palestryny. Wtedy roztopia się serce, choćby od wielu lat oskorupiałe cierpieniem lub pychą, wtedy myśl ulatuje po nad doczesności doliny; żalność, pełna niebiańskiej słodyczy, radości i tryumfu, nieskończone tęsknoty wpływają w duszę słuchacza, budzą w niej i rozwiązują najgłębsze tajemnice życia i śmierci, tudzież wszystkie światła zagadki. Boć też i skon i boleść ścisnęły serce samego mistrza i zwróciły je ku niebnym wysokościom. Palestryna stracił przez śmierć małżonkę ukochaną; on w żarach swojej rozpaczycy stanął u grobu kochania swojego i zaśpiewał muzyką, pieśnią; i śpiewał Palestryna u grobu małżonki swojej a tęsknił, aby w rychłe się z nią połączył; ale znowu padły na niego lęki i powątpiewania, bo zgrozą i mrozem przejęła go myśl, że jego własne winy a grzechy odgradzą go może na zawsze, na wieczność całą od żony ukochanej! i paliły lęki w duszy jego, i żary boleści— Anioł muzyki utulił boleści wybrańca swojego — śpiewał u grobu

---

strzów. W Sierpniu 1854 odśpiewano tedy między innemi arcydziełami także następujące trzy kompozycye Palestryny: *Missa solennis Papae Marcelli*, *alma redemptoris mater*, i psalm *Jubilate Deo*. Że wykonanie odbyło się w sposób znakomity, widać z tego że przeszło 200 dzieci z różnych szkół elementarnych całej okolicy śpiewało Sopran i Alt! Do miasteczka Brühl zjechała się publiczność ze wszystkich stron, wiedzona uwielbieniem dla muzyki starój. Takowe koncerty odbywać się będą co rok; założycielem tego towarzystwa muzycznego i jego duszą jest proboszcz katolicki małej mieściny i przyjaciel jego nauczyciel szkoły elementarnej.

małżonki Palestryna a tony pieśni jego ulatywały do nieba, do gwiazd, i wracały z nieba rosą,—rosą niebiańskiej pocięchy!

Jeszcze żył Palestryna, gdy umierał Correggio, co także piękności wybranym ulubieńcem; on przed śmiercią zasnął, i obudził się raz jeszcze, raz ostatni na ziemi; zeszkłone oczy zapromieniły ogniem i szepnął: »radości pełen umieram, bo będę połączony z Palestryną, jam go widział teraz w Niebie!« poczem skonał wielki mistrz-malarz.

Tegoż samego jeszcze roku, gdy z processyą uroczystą, tłumną zanieśli zwłoki Palestryny pod sklepy Ś. Piotra, jego kompozycye śpiewając, przybył w jesieni do Rzymu wieszcz. On jeszcze w pełnej potędze wieku swojego, ale o znękaném, padającym się sercu, o licu wybladłym, schorzałym, o ranie śmiertelnej w duszy. Papież wezwał do Rzymu wieszcza, by był uczczony najwyższą chwałą, bo ukoronowany wieńcem laurowym na kapitolium,—na kapitolium w obliczu wiekuistego Rzymu i w obce świata całego. Papież, pragnąc by wysłannicy różnych ludów Europy mogli zdążyć na koronacyą Tassa, odroczył uroczystość świąteczną na wiosnę, na czas gdy natura się wieńczy w kwiaty, gdy ptaki śpiewają swoje radości weselne.

Tymczasem przyeisała zima szarugą słotną naturę; bladły, bladły lice schorzałego wieszcza, a głębiej, głębiej roztwierała się śmiertelna rana w duszy jego.

Na onęj starosławnéj górze Janiculus stanął klasztor Ś. Onofrio; w głębinach, u podnoża rozkłada się mappą Rzym chrześcijański; a dalej, dalej, rozwaliska

niegdyś starorzymskiej pogańskiej stolicy. Do tego klasztoru zaniesiono omdlałego wieszca. On tak z serca pragnął przemieszkąć zimę w celi samotnej, eichěj, odsuniętej od gwarów światowych, i w téj celi, eichěj jak trumna, skonał Tasso na wiosnę; wtedy właśnie, gdy kapitol Rzymski, gdy zebrana Europa czekała go napróżno z wieńcem laurowym.

Dziś osiwiwały zakonnik prowadzi cię ścieżką przez sad klasztorny. Tyki z pnącym się winem,—jarzynne grządki,—a w dali resztki zwalonego dębu. Pod tym dębem siadywał w dni pogodniejsze zimowe Tasso umierający, i patrzył na nieprzeliczone świątynie i kopuły, co w głębi, jakby wyspy skalne, wznoszą się nad morzem kamienném ulic, rynków nowego Rzymu, i znów oczy zapuszczał w dał zieloną, kędy wśród bukietów drzew i ogrodów i pol dźwigają się harde, pełne majestatu zwaliska, niby pośmiertne pomniki dawnego Rzymu, i widział jak kroczy Tyber odwiecznym, uroczystym pochodem i szepee o starych latach, bo on sam jeden tylko pamięta dzieje zapadłe. Wyprowadzano wieszca umierającego pod cień starego dębu i on rozmawiał z dziejami świata; aż i nie wrócił więcej pod stary dąb, skonał w celi swojej eichěj, samotnej. Dziś w téj celi cicho, spokojnie, nabożno. Krzesła drewniane, stół, szafa, łoże proste,—toć puścizna cała po wieszczu zmarłym; w ramkach za szkłem list ostatni Tassa, pisany przed skonem do przyjaciela Antonio; do tego na ścianach napisy chwalne późnych pokoleń i porozwieszane wieńce laurowe zwiędłe, rozsypujące się w pył.

Choć się atoli rozsypują zwiędłe wieńce na ścia-

nach, »Jerozolima wyzwolona« zieleni się wiecznie w świeże laury i w kwiaty nigdy nieumierającej ehwały.

Poemat Tassa jest przejęty wskrós fantazyą właściwą XVImu stuleciu. Żyje w nim życiem pełnem, potężnem i duch klasycznego świata i duch romantycznej poezji. Jakoż znać z tych pieśni wyuczenie się mistrza na wzorach klasycznej literatury, znać nawet, że Virgilius był wybranym przewodnikiem jego. Dalej obrazy cudowne przyrody, przedmiot wzięty z prawdziwych dziejów świata, forma wdzięczna, wykończona najwyższą artystycznością, są z jednej strony cechą tego nieśmiertelnego dzieła.

Z drugiej zaś strony również w tych pieśniach fantazyja romantyczna tętni pulsem świeżym, a zwłaszcza ów pierwiastek wewnętrzny człowieka, ono opieranie się na natechnieniu własnem, na potędze osobistej, wszędzie tutaj znać o sobie daje; wszędzie też widać przewagę wewnętrznego człowieka nad światem zewnętrznym. To zaś okazuje się i pod względem osnowy dzieła i pod względem usposobienia mistrza samego.

Tą przecież osnową a treścią jest czyn najwzięcej romantyczny romantycznych czasów!—bo wojny krzyżowe. Tak tedy figury pojedyncze są to właśnie one rycerze, z których każdy, na sobie się opierając, idzie za osobistém wewnętrzném natechnieniem, sobie ufając i mniej bacząc na świat zewnętrzny; są to właśnie postaci, które ci skreśliłem w jednym z listów o fantazyi romantycznej. Drugą zaś cechą romantyczności jest tutaj własny stosunek Tassa do téj treści pieśni jego; bo lubo śpiewca trzyma się wątku prawd historycznych, przecież własne jego uczucia gorące, to serce jego pło-



nące żarem, cała wewnętrzna osobista jego treść przeniesione są do pieśni jego. Tak historia, którą on śpiewa, jest raczej historią jego własnej duszy; te figury, które on maluje, są raczej nosobieniem jego uczuć, są naczyniem jego wesela i boleści. Nie są to przeto figury plastyczne w znaczeniu ścisłym, bo mistrz nie oddaje im się w całości, nie zapomina samego siebie w nich; on zanadto zajęty własnym życiem wewnętrznym, aby się mógł oddać w zupełności zewnętrznemu światu, który żyje w poemacie jego. Dla téj natury lirycznej jego epopei, przedmiot nie jest wyczerpanym w całej głębi swojej, wiele jego stron nie było weale tkniętych przez Tassę; co więcej, dla téj liryczności, przeważającój w wieszczu, cała też epopeja nie jest sama z sobą ściśle powiązana; mógł ją tedy lud włoski rozbrać sobie na pieśni pojedyncze i mieć z niej najcenniejsze ułamki. Wszak do ostatnich czasów i rybaki w Sorrento i gondolier wenecki śpiewali pieśni jego Jerozolimy wyzwolonej. Dziś w Sorrento zaledwie ci dom wskażą, kędy się rodził wielki mistrz; nie wiedzą że wśród ich ojców żył niegdyś Tasso, jako żebrak obłąkany; a w niemocie i w ciszy bezspiewnej przesuwają się, jakby czarne trumny, gondoly po lagunach Wenecyi, onej wodnej pani, co płynie w głębokim tęsknym milezeniu na falach, niby marmurowa lilija morskich topieli.

Dopelnieniem Tassę jest Aryost; bo lubo ten, również jak Tasso, stał się istnym wyrażeniem XVI stulecia, toć przecie jest mu wręcz odwrotnym.

Tasso ukochał sobie przedmiot ściśle historyczny; ale, malując ten przedmiot, raczej siebie w nim malu-

je; w obrazach jego jaśnieją, promienieją barwy i światła własnej duszy jego. Odwrotnie Aryost w swoim »Orlando« (czyli Rolandzie) wymyślił sobie przedmiot; ten więc przedmiot nie tylko nie jest uniesiony z dziejów, nie pożyczony z rzeczywistości, lecz jest wskrós fantastyczny; za to znowu ten przedmiot, choć urodził się w zupełności z duszy mistrza, nie jest bynajmniej odbiciem tego wnętrza jego, tych uczuć jego; ta jego epopeja nie jest tedy bynajmniej natury lirycznej. Aryost przedstawia przedmiot swój wskrós plastycznie; jego sceny i figury nie są bynajmniej wyobraźnikami uczuć poety, ani jego indywidualności osobistej; te postaci jego mają własną swoją indywidualność, własną fizioznomią; one mówią i działają za siebie, wedle własnego usposobienia swojego. Te sceny, figury wiodą ród swój z wnętrza poety, w niém są poczęte; lecz one działają wedle usposobienia własnego, a to znowu usposobienie nadał im sam mistrz. Co więcćj, one są dziećmi fantastyczności tak kapryśnej, żeć się zdaje jakoby Aryost stroił sobie żarty ze wszystkiego, co tylko fantastyczne, ba! rzekłbyś nawet, że sobie drwił ze samej poezji fantastycznej, bo tak w niej przesadzał. On roztoczył istny świat czarnoksiężki. Niby snem na jawie przemykają się cudotworne sceny i obrazy, a są to żyjące, żywe obrazy, wrzące krwią i zmysłowością; a te postaci i sceny, te wypadki i ta natura całego świata, migocą jakby w ogniach sztucznych; bo na figury i naturę Aryost puścił poświatę magiczną, uludną. W epizodę jedną wplata się druga, a w tę drugą znów trzecia; tu nie niema statku ani celu, tu niby wszystko igraszką swawolnego trafu, tu wszystko się gma-

stwa, wikła; bo to państwo oczynienia, cudów i dziwów. Tutaj dokazują czarnoksiężniki i czarodziejki, hulają karły, olbrzymy, wszędzie awanturują się rycerze waleczni i damy prześliczne, harcują bohaterzy o tarczach zaklętych, świecą zamki urzeczone, mroczą się gaje pokusne. Ale już pierwszym czarnoksiężnikiem w tym świecie czarnoksiężkim jest sam Aryost, on gospodarzem a pierwszym cechmistrzem w tym świecie utrudnym, cudnie pięknym, ehoć tak bajecznym i szalonym. Te pieśni Aryosta o Rolandzie, toć iście kwintesseneya a wyskok w najwyższej potędze onych bajeczek romantycznych, które na nas spłynęły po poetach stuleciów średnich, tych bajeczek i powieści tak wdzięcznych i powabu pełnych, lubo tak majaczych i cudaczych; z tą atoli różnicą, że gdy owi poeci średniowiekowi prawią sobie na dobre te bajki cudotworne, Aryost zaś drwiarz maluje tę cudotworność romantyczną w szalonej przesadzie; sam się uśmiecha nad dziełem swoim, a tak dowodzi, że jest iście już synem nowej epoki w ludzkich dziejach.

Już Karol V, dwóch światów pan, uwieńczył był wawrzynem Aryosta; już sława wieszeza tego obleciała oba te światy, gdy od ostatnich kończyn zachodniej Europy, od pobrzeżów portugalskich zabrzmiała pieśń wzniosła, harda, świetna; zaśpiewał ją Ramoens. Wieszeż portugalski czuje się być wznioślejszym od Aryosta i woła, że wyższe dzieła śpiewa niż Rolanda sprawy!— I Ramoens miał słuszność; on zaprawdę jest wieszczem XVI stulecia w całym, pełnym znaczeniu. Gdy Tasso obiera sobie przedmiot z rzeczywistego świata, ale zamienia go na wyraz wewnętrznych uczuć swoich, gdy

odwrotnie Aryost czerpie treść z własnego wnętrza swojego, ale, raz ją stworzywszy, obchodzi się z nią jakoby z przedmiotem rzeczywistym, prawdziwym, nie pokazując już w nim uczuć swoich własnych, toć Ramoens łączy i Tassa i Aryosta w Luzyadzie swojej.

Ramoens, równie jak Tasso, ujął w swojej pieśni treść pożyczoną z rzeczywistego świata, ale on, równie jak Aryost, obchodzi się z treścią swoją jako z przedmiotem rzeczywistym; Ramoens, podobnie jak Tasso, wlewa w przedmiot uczucia swoje i całą treść wrzącą, kipiącą sereą; ale w tém znów równy Aryostowi, że postaci, sceny, figury, które przedstawia, nie ułatniają się z sereą tonami; one, choć są nobrazowaniem uczuć wieszczą, zachowują całą plastyczność; one działają, mówią, ruszają się po swojemu, nie tracąc własnej swojej lizyognomii;— mistrz w nich tonie, im się całkiem oddając, im się powierzając. Tak świat wewnętrzny poety a świat zewnętrzny rzeczywisty, będący przedmiotem jego pieśni, zestroiły się w harmonią prawdziwie mistrzowską, klassyieczną.

Pytasz zaś, skąd te dziwy, pytasz skąd wieszczowi temu ta potęga zestrzajająca tak wszechmoenie ostateczności wręcz przeciwne?— Ramoens mógł przelać sereę swoje w przedmiot historyczny a przecież nie spaczyć uczuciami osobistemi przedmiotu tego; bo uczucia jego, choć wrzące, gorące, nie były uczuciami li osobistemi, one były serdeczną miłością dla treści, którą śpiewał. Podobnie i przedmiot jego zdolny być przedmiotem uczuć ciepłych, obecnych w piersiach śpiewaka; bo przedmiot ten, choć historyczny, nie jest światem tak obcym i oddalonym, jak wojny krzyżowe,

które śpiewa Tasso, ani jest przedmiotem zmyślonym, jak również obeym i endzym sereu, jakim był świat fantastyczny, migocący się w pieśniach Aryosta, w który sam Aryost już nie wierzył:— słowem, treścią pieśni Kamoensa były wielkie czyny własnego ludu jego, tym przedmiotem była świetna chwala Portugalii, ojczystego, serdecznie od wieszeza ukochanego kraju. Tak tedy Kamoens mógł zestroić serdeczne uczucia wnętrza swojego z przedmiotem rzeczywistym, historycznym. Rycerskie wyprawy ziomek jego do Indyi zagrzniały podówczas po wszystkich krajach i ludach; więc wiesz zachwycony obrał sobie te wyprawy, te dzieła bohaterskie za ośnowę swojej pieśni i ucieił je najwyższą cześcią i uświęcił najwyższém uwielbieniem, najwyższą miłością. Tak tedy co było u niego w sercu, co było pragnieniem kipiącym duszy, co radości, wszystko to miało ziszczenie swoje w przedmiocie prawdziwym, rzeczywistym, i nawzajem, co było w tym przedmiocie zewnętrzném, brzmiało i żyło życiem głębokim w sercu wieszeza.

Takie to jest rozwiązanie tych dziwów! ztąd to przyszła Kamoensowi ta potęga jego pieśni! Geniusz od Boga mu dany, wypiaśtowany miłością wielkich spraw własnego kraju, urósł w olbrzyma!

Więc słusznie tedy zaeny wiesz bohaterów swoich wyżej kładzie nad Rolanda i całą drużynę rycerzy Aryostowych; mógł tedy w pieśni swojej zwrócić się do swojego króla śpiewając:

„Osądź, sławę poddanych słysząc w wierszu pianym,

„Czy lepiej nimi rządzić, niż być świata panem?

„Słuchaj! a nie usłyszysz w pieśni moich treści,

„Ani czezych bajek, ani dziwacznych powiesci;  
 „Ujrzysz jak nad zmyślanie wyższą wielkość szczera,  
 „Przedniejszą niż Rolanda sprawy lub Regiera.”

(Pieśń I. tłum. J. Przybylskiego).

Kamoens zaiste spłynął z przedmiotem swoim, on sam jest wieszczem-rycerzem, on sam waleczy za chwałę swojej Luzytanii, a składa pieśni wśród łomotu bitwy; on uczczony kalectwem na oko, strzałem. Kamoens wieszcz-żeglarz płynie po dalekich Oceanach; wszak nawet pewnego razu zgruchotał się statek jego; wtedy Kamoens wśród bałwanów waleczy z nimi o życie; lecz po nad pieniące wody podnosi rękopism pieśni swojej, która będzie chwałą i mistrza i kraju i Europy wszytkiej.

Jak Luzyada jest poematem romantycznym już nawet dla samej romantycznej treści swojej i dla głębokich uczuć mistrza, tak znowu ma cechę klasyczną dla onego cudownego zestroju wnętrza poety ze światem rzeczywistym zewnętrznym; ta harmonia czyni Kamoensa śpiewakiem do Homera podobnym. Dodaj jeszcze do tej cechy dźwięczną formę jego śpiewu, a nadewszystko przepyszne obrazy indyjskiej przyrody, którą on widział w całej butnej, przemożnej potędze, choć tak pełną wdzięku i uroku, a zgadniesz jaki duch, jakie moce przebywają w tych pieśniach jego. Ten też duch a moce pokrzepiały go i tchnęły na niego pociechę i wytrwanie, gdy w późnej starości stracił podporę w królu swoim, co zaginął w afrykańskich wojnach; ten duch poił wieszca pociechą, gdy on, śpiewca chwały ziomków swoich, żywił się jałmużną, którą wyprosił od ludzi sługa jego, chodząc nocą po ulicach i żebrząc za swojego pana.

Ale nagiłł czas — był czas wielki, aby wieszczowie obu półwyspów południowej Europy pośpieszyli się z Epopeją; boć w sąsiedztwie ojczyzny Kamoensa, w Hiszpanii, mniej szezęśliwie rozwinął Epopeję swoją Alonzo d'Ercilla, mimo świetności swojego talentu i mimo cudnych ustępów swojego poematu. Co więcćj, w téj samej Hiszpanii zjawił się Romans niby epopeja, niby żart co śmiejąc się płacze. W tym romansie zajaśniała niby błyskawicą wiedza o tych światach sprzecznych sobie, które tak cudnie zestroił z sobą Kamoens, wiedza co niby wróżka odgadła gotującą się w świecie sprzeczność między ideałem w sercu wypieszczonym a życiem zewnętrzném — między uczuciem ciepłym duszy a rzeczywistością zimną — między duchem a zmysłowością. Mistrz genialny przejrzał wskrós świata tajnice, przejrzał je wskrós i poznał, że ta harmonia pierwiastków odwrótnych, którą ci powyżej wywiodłem jako eeehę fantazyi XVI stólecia, nie istnieje w swojej prawdzie wśród ludzi, że pojawienie się téj harmonii jest jedynie przechodnimjawem, że brzmienie fałszywe zakrzyknie boleśnie dyzharmonią w życiu i w fantazyi, w rzeczywistości i w krainie ideałów; że ta dyzharmonia odezwie się jakby zerwana struna w sercu, a jęk jój zapłacze wśród wesela i radości żywota. Patrz—to wszystko ten mistrz wypowiedział a wypowiedział wśród żartów i dowcipów; on te sprzeczne pierwiastki, co mają być w jedność zlane, zestrojone z sobą, objął wprawdzie jako jedność w swoim geniuszu, ale w dziele je rozłączył, rozerwał, a drwiąc i żartując przedstawił jako rozdzielone na dwóch ludzi, na dwie figury osobne. On tego dokazał areymistrzowstwem swoim w romansie

tak wysokiego znaczenia, że już nie znajdziesz drugiego we wszech-literaturze, którybyś mógł godnie z nim zmierzyć.

Pytasz zapewne, kto był tym areymistrzem, co z uśmiechem na liściach a raną bolejącą w sercu, co z krotchwilą wdzięczną na ustach stał się wróżbitą rzeczy lżawych, co żartem, doweipkiem, drwinką wypowiedział najgłębsze prawdy? Pytasz, jak się zwał, jakże wyglądał ten powieściarz-filozof? Niechaj on sam za siebie mówi; słuchaj, co prawi żartując sobie z własnego wizerunku na rycinie: «Człek, którego tu widzicie przed sobą, o orlęj twarzy, ciemnych włosach, z czołem gładkiem i swobodném, z nosem zagiętym (ale weale nie szpetnym), z wąsem potężnym, brodą dziś srebrną co niedawno była złocistą, z cerą świeżą, trzymający się nieco pochyło, jest to człek, którego zwykle zowią Miguel de Cervantes Saavedra; on to napisał Don Quichotą i Galateę.» (Cervantes w przedmowie do swoich powieści).

Wiesz jak to Don Quichot czytywał wiele romansów rycerskich, i czytał i marzył, aż mu się w głowie skrzyknęło na prawdę. Więc biedny oblakaniec wybiera się w świat na koniu, z kopią w ręku, by walczyć za te marzenia swoje jako rycerz błędny ze światem, z olbrzymiami ezarodziejami; pewien że chwala nieśmiertelna czeka go z koroną laurową, nigdy niezwiędłą, że miłość szlachetnych dam czeka go z wieniec różany! I pojechał rycerz na koniu swoim Rossinante w świat, by potężném ramieniem wytepił nieprawości i nadużycia na świecie. I harcuje i kruszy kopie za zane chęci swoje, lecz kędy się zmierzy z tym światem, już spotykają go drwiny, poniewierki i guzy.



Możesz sobie to wszystko naprzód wytłómaczyć w ten sposób, że epoka Cervantesa, że wiek XVI już nie jest więcej czasem romantycznym, że średnie stolecie naprawdę przeminęły, że nastala z gruntu inna społeczność, która sobie żartuje z czasów rycerskich. Ktoby tedy puszczał się teraz na romantyczne awantury, a błędne rycerstwo, daremnie szuka guza, i swego nie dokaże i będzie od ludzi za obłąkańca miany. W tém znaczeniu przeto ten romans byłby niby satyrą na czasy romantyczne.

Są inni, którzy znowu, biorąc rzeczy zupełnie odwrótnie, prawią, że ten Don Quichot jest nosobieniem dawniej Hiszpanii, téj Hiszpanii, chwala promiennój, co tak szlachetna, wzniosła i zaena a dawno umarła, zapomniana od wnuków wyrodných; że nastał czas upadku, znikczemnienia, czas oszargany własną lichotą. Więć też czas ten Don Quichota, rycerza z dawnych lat, nazywa obłąkańcem, bo Hiszpanie już nie zdolni, by się wznieśli do zaenoci jego, by go pojąć mogli. W Don Quichocie atoli ta jedyna wina, że się nie poznał na ich ubóstwie duchowém, i że nie spostrzegł, że już on sam jeden tylko, niby upior wielkiej przeszłości, błaka się od nikogo już niezrozumiany wśród pokolenia o sereu wymoklém, skurezoném. Nie pomylisz się może zaiste choćbyś i tym trybem myśl Cervantesa pojmował, uważając dzieło jego jako satyrę na czasy późniejsze nieromantyczne.

Choć sam Cervantés powiada w końcu dzieła swego, że miał tylko po prostu na celu ohydzić światu romanse rycerskie, toć się i u niego isei prawda, jako zwykle geniusz objawia najgłębsze idee bez wiedzy swo-

jéj; że, dokonywając ogromnej sprawy, sam nie zna jéj głębokiej wagi; więc jéj przypisuje powody mało znaczące, powierzchowne, nie znając potęgi, która w nim prze. Nie dziw tedy, że z jego romanssem dzieje się jak z każdym arcydziełem sztuki; im bliżej w nim się roznasz, tém wyższe piękności w nim odkryjesz, i tém więcej świetnych stron w nim zaświeci, niby ścianki przepysznego brylantu.

Rozsłommy tedy to dzieło jeszcze z trzeciej strony, weźmy figurę Don Quichota w całkowitości, więc z jéj dopełnieniem; więc bierzmy rycerza z Manchę z giermkiem jego, którym, jak wszyscy wiemy, jest ów Sancho Pansa.

Don Quichot i Sancho giermek jego—to nieodstępni towarzysze, choć wręcz sobie odwrotni,—są to dwie połowiec jednej i téj samej całości, uzupełniające się nawzajem, jak dwa bieguny magnetyczne, i dla tego właśnie tak nierozdzielne.

Don Quichot ma się do Sanchy jak dusza do ciała, jak człowiek wewnętrzny do zewnętrznej strony swojej — jak teoria do życia praktycznego, jak ideały w sercu ciepłym wypieszczone do rzeczywistego świata, jak duch do materii, jak fantazja niebolotna do powszedniej, grubiej prozy życia,—jak marzenia nadświatne do zmysłowości poziomej. Słowem, są to one sprzeczne pierwiastki, które z istoty swojej powinny się zlać w cudną jedność harmonijną, które nawzajem się wymagają, które wzajem tęskniąc do siebie, nawzajem się wążąc i miarkując, dopiero stwarzają zupełnego, całego człowieka. Te pierwiastki w romansie *Gerwantesa* zerwały jedność swoją, rozdzielone są na dwie osobne fi-

gury, z których tedy każda staje się karykaturą własną, które obie stają się wzajemną siebie satyrą — cierpką ironią.

Sam Don Quichot pełen uczuć wzniosłych, człowiek szlachetny, odważny, poświęcający się za ideę swoją, ale słuchający jedynie osobistego, wyłącznego natchnienia swojego, nie uznaje prawd władających światem. On rozprawia wielec mądrze i uczenie o świecie, o życiu; ale gdy rozmowa dotknie onęj struny panującej w nim, wtedy ta struna duszy jego zabrzmie dyzharmonią; wtedy mu się rozum émi, pada na niego obląd, mającą się i mieszają myśli i rzeczy, a on świat i przedmioty wszystkie widzi już przez szkiełko téj idei wyłącznej, która go posiadała. Tak karczma szynkowna w jego oczach jest grodem zameczystym, wieżastym, o srebrnych kopułach, fosach i mostach zwodzonych; pastuch trzody, strębiący nierogatych podwładnych swoich, to u niego karzeł, co daje znać straży zamkowej o zbliżaniu się obcego rycerza; wiatraki, to w jego oczach machające rękami olbrzymy złośliwe; biedna wychudła szkapina, która zaledwie pod nim nogi wlecze, ów jasnokościsty Rossinante, zdaje mu się być rumakiem przepyszny, któremu «ledwie sprosta Bucephalus Alexandra W. lub Babiesia Cyda;» a brudna dziewczyna ładaco, to u niego piękności eudo, jęj poświęca idealną miłość swoją, jęj poprzysięga służby swoje, jęj się poleca w myśli przy każdym niebezpieczeństwie, w każdej krwawej potrzebie.

Tuż za rycerzem naszym zbiedniałym, suchym i tak już wychudłym, że «przez niego przeświecają promienie księżycowe» wlecze się na osiołku małym krótki,

podpasły, pękaty giermek jego Sancho; przed nim ukołchane sakwy nabite prowiantami, bo to przedmiot najtroskliwszych starań jego. Sancho—to chłop z wioski Don Quichota. On widzi rzeczy tak jak są, on materyalista, daleki od wszelkiej fantazyi, od wszelkich idealów, człek co się zowie praktyczny, bo temu tylko ufa czego się dotknie, w to tylko wierzy co ukąsić i połknąć może, on istną prozą; zresztą tełórz, głowa dość ciasna, ale za to człek w gruncie poczeiwy, wesóły, pełny konceptów, ma prosty chłopski rozsądek; dla tego też cała mądrość jego w przysłowiaeh, których umie mnóstwo niezliczone, które stosuje do każdego wypadku, a nie bączy, że prawie na każdy wypadek znajdą się zawsze dwa przysłowia zbijające się nawzajem. Więc, mimo praktyczności rozsądku i przysłów, dał się otumanić przez obłąkanego pana swojego. Bo ideały, choć spaczzone i krzywe, nielada przecieź «imponują» Sanchom Pansom choćby najpraktyczniejszym i najprozaiczniejszym, zwłaszcza gdy te idee wyrzeczone są przez człeka o uczuciach gorących, o sercu szlachetném. A co więcćj: Don Quichot przyrzekł uroczyście giermkowi, że zdobędzie dla niego wyspę, w której Sancho będzie święcie wielko-rządzą; tak i cieiwość i nadzieja osobistych korzyści omajaezyły giermka. Sancho też, dufny w swoją mądrość polityczną, przy lada sposobności mówi do rycerza: «Jasny Panie Don Quichocie! dajcie mi onę wyspę, bo choćby była i najogromniejszą, toć się czuję dość silnym na duszy, bym nią rządził tak mądrze a tak dobrze, jak ktokolwiek z tych wszystkich, którzy kiedyś wyspami rządzili.»

Tak tedy ci dwaj nierozdzielni towarzysze puszczejają

się w świat na przygody. Don Quichot, nie widząc rzeczy, jakie one są w rzeczywistości, lecz tak, jako je sobie wymarzył, zderza się ze światem; więc łżenia, wyśmiecchy, bolaki i trudy daremne są jedynym plonem, jaki zbiera za poświęcenia swoje. Szereg nieskończony awantur dziwacznych, najrozmaitszych rozsnuwa się przez całe cztery tomy arcymistrzowskiego romansu tego. Atoli te awantury właśnie dla tego, że z jednej strony zależą od zewnętrznego trafu, a z drugiej od przywidzeń obłąkańca, nie są z sobą powiązane żadnym koniecznym następstwem; kolej ich jest zupełnie przypadkowa; nieby nie zawadziło, choćby były następowały po sobie inną zupełnie kolejną. Z tejże samej przyczyny te przygody nie mają końca; jest to romans bez zakończenia, co właśnie odpowiada istocie całego dzieła. Koniec jego także jest przypadkiem szczytem, jest to nie spodziana śmierć rycerza z la Manchy.

Pewnego razu Don Quichot wróciwszy do domu zachorował — trawi go boleść że nie zdołał przeprowadzić zamiarów swoich; lekarz orzeka że mu serce pęka—to serce biedne a tak szlachetne! Chory zasypia; po przebudzeniu urok obłąkania spływa z oczu duchowych—duch przejrzał—poznaje, że przez życie całe cisnął go obłąd wrogi. Synowica, przyjaciele, krewni płaczą, bo przeczuwają, że powrót do rozsądku jest wróżbą nadchodzącej śmierci. Sancho o duszy niezmiernie, ciepłej, stojąc w kącie, serdecznie szlocha.

«Cały dom, mówi Cervantes, był w ciągłej trwodze i nieustającym niepokoju a szczytem smutku, lubo synowica smacznie zajadała, a gospodyni popijała, a Sancho dogadzał sobie ile tylko mógł. Nadzieja bowiem

sukcesyji, mówi dalej Cervantes, zawsze jakoś ułagadza choćby najszezersze boleści, sprawione przez śmierć spadkodawcy!»

Umarł Don Quichot, bo mu, jak mówił lekarz, serec pękło. Sancho zaś, choć bez wysp obiecanych, żył jeszcze długo i zdrowo, wesoło pożywając darów tuteżnego świata.

Skończyła się komedia łzawa, tak krotochwilna a przecież tak tragiczna. Ale choć się skończyła w romansie, żyła na jawie; krzyknęła dyzharmonią zerwaną w duszy struna, brzęczała tonem fałszywym w ludzkim życiu i w łzawych dziejach świata; dzwięczała dyzharmonia i w nadehodzącym już XVII-ém stuleciu i w tym wieku XVIII, co dopiero kiedyś zrodzić się miał. Bo ten wiek XVI miał przeminać jak sen uludny, jak poranek wiosenny.

---

Już jęła tonem fałszywym, dyzharmonią owa zerwana w duszy struna i miała zapłakać po dziejach świata, po serecach ludzi. A serea tęskniły za pociechą, za utuleniem boleści serdecznój.

I zabrzmiały na półnoocy akordy rozplynne, eteryczne, jako innych światów pieśni; a na półnoocy tony niebiańskie ciągnęły przez dusze, jako Cherubinów wołanie, niosących ukojenie boleści palającej. Te akordy, te tony,—to są harmonie owój harfy, co niegdyś grała na Syonie, to są dźwięki i pieśni święte harfy Dawidowój. Król-Psalmistą, Boży śpiewcą, użyczył tych dźwięków, tych harmonii, tych pieśni swoich śpiewakowi z Czarnolesia, a on ujął tę harfę nadziemskich tonów, uderzył

w struny świętego wieszczą, a pieśni syońskie rozplynęły po ziemiach Północy i po wodach jej, i górach i borach, i padły niby rosa boża na grody i groby, i chaty i dwory, uświęcając umarłą i przyszłe i żyjące pokolenia. I zestroiły się w harmonią niebo i ziemia, śmierć i żywot, boleści, rozkosze wszystkie, i przeszłość z przyszłością, i natura i duchów królestwo. A nie miało już być żalu bez ulgi, ani lży bez pocieszenia; bo te pieśni już miały pozostać nazawsze między nami i śpiewać przy ognisku domowém, i na cmentarzach i w świątnicy Pańskiej, miały śpiewać w duszy rankiem i wieczorem.

Gdy serce boleje boleścią bez granic, gdy zwątpiony świat, żywot oplakany, gdy niema się czego człowiek jąć stroskany, wtedy: «Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całém prawie sercem ufa Jemu; tego nie dostąpi żadna zła przygoda, ani się najdzie w domu jego szkoda» — bo Pan radzi o swojej na świecie czeladzi!(\*). Te pieśni już zostaną z każdym z nas aż do śmierci! One przejęły sobą duszę każdego zanego człowieka, one mu pofolgują boleści, gdy z niemi nad sobą zapłacze, a gdy się weseli uroczystém świętém duszy, już wtedy one dodadzą naszym weselom radości niebiańskich a wieszczowi z Czarnolesia tryumfu. Niechaj mu będzie chwala i cześć!

Powiedz, mamże się rozpisywać szeroko nad Janem Kochanowskim? mamże się dotknąć miarą i cyrklem estetycznym tych drgających strun, brzmiących tak pełną harmonią? — Pewnie, żeby to była nie w porę rzecz a zbyt uczona; już wieszczą z Czarnolesia kto in-

---

(\*) Jan Kochanowski w Psalmie XXII i XCI,

ny lepszy przedemną a po mistrzowsku ocenił; a zaiste trudna tutaj krytyka wszelka. Dla czego? powiem szczerze—a wiem, że co rzeknę, toć tobie i innym będzie po sercu. Wiesz—Jan Kochanowski tak już przejął dźwiękami a harmonią swoją wszystkie serca, tak je przelał w krew i dech duszy naszój, że się stał jakoby własną duszą i oddechem naszym, jakoby był już całém naszym sumieniem i miłością i wiarą naszą; dla tego też tak nam trudno osądzić artystyczną wielkość jego. Bo sądzić możemy jedynie o tém trafnie, co jest czémś odróżniającém się od nas, niby czémś obcém dla duszy. Ale Kochanowski, ale sumienie nasze i miłość i uczucie nasze,—toć my, to przecież my sami. Kochanowski, jako wiesz, to nie jest ten człowiek pojedynczy, jeden, co żył w onym pewnym czasie; on krajem całym, on wyrazem uczuć wszystkich. Czytając Jana, każdy z nas jedynie siebie samego w nim znajdzie, choć nie już siebie, jako powszedniego, codziennego człowieka, przyémionego pyłem téj ziemi, i jakby znieważonego wadami, co się rodzą z téj ubogiéj a ułomnéj natury naszój; ale znajdzie siebie w Kochanowskim, jakim jest bez tych biedek a ułomności, bo uzaenionym, wzniesionym nad siebie, i jakoby oblanym światłością wyższój swojej istoty.

I dla tego tak trudno, prawie niepodobna ocenić Kochanowskiego; trzebaby być na to wieszczem, równym jemu z chwały i dosługi.

Przecież wiesz, że w tych listach pisanie rozbiórów estetycznych nie było nigdy moim zamiarem, a jeżeli przywoziliśmy dzieła sztuki, to już w téj myśli, abym na nich, jako na przykładzie, objaśnił rozwinię-



te teorye, lub lekkie moje orzeczenia o charakterze jakiego stólecia.

Podobny też był mój cel, gdym w dwóch tych ostatnich listach prowadził cię jakoby przez galeryą wielkich ludzi, którzy byli wyobraźnikami XVI stólecia, więc i synami a zarazem twórcami spólezesnego im wieku. Rozpocząwszy tedy od Kolumba i Kopernika pochod nasz po téj świątnicy chwały, teraześmy zatrzymali się z tobą przed postacią promienną Jana Kochanowskiego, eo się wznosi nad nami na tak wysokiém podnożu, że mu ledwie pod stopy sięgamy. Cheiejmy przeto i teraz przyjętym przez nas obyczajem rozpatrzeć się w téj postaci, jedynie z tą myślą, aby w niej wykazać choć lekkim słowem zarysy XVI stólecia.

Jeżelim ci rozwinął powyżej, choć może niedostatecznie jeszcze, pierwiastki żywotne, które zaświeciły tak cudownemi barwy w tym dziwnie uroczym wieku XVI, toć wierzaj, że te pierwiastki wszystkie, w nim żyjące, zebrane są, jakoby w ognisku swoim a sercu, w poezyi Jana Kochanowskiego. Jeżeli tedy cheesz zrozumieć tego wieszca, nie dość, byś go ujął na tle literatury polskiéj a na podstawie rodzinnego kraju, boć to jest tylko jedna strona istoty jego; stroną drugą, również tak ważną, jest stosunek jego do onych potęg a mocy żyjącey w sztuce spólezesnej mu Europy. On równie jest poetą Europejskim jak jest polskim wieszczem. I dla tego, jak niepodobna jest przetłómaczyć Kochanowskiego na obcy język, tak też i nawzajem nie podobna go pojąć nie rozpatrzywszy się w pierwiastkach fantazyi artystycznój, która żyła screen po lu-

dach i krajach społecznego mu świata. Chciej też baczyc, że prawie w tym samym roku, w którym się rodzi Kochanowski, umiera Aryost i Corregio, że choć dwanaście lat wprzód przypadł skon Rafaela, lecz wtedy mistrz ten kwitnął jeszcze wiosenną młodością swoją;— że Kochanowski był młodzieńcem, gdy rodził się Cervantes a konał Kopernik,— że był mężem w całej potędze swojego geniuszu, gdy na świat przychodzi Bako, Keppler, Shakespeare a żegna życie pełne chwały Michał-Anioł i Ramoens, nakoniec że tylko w dziesięć lat po skonie Kochanowskiego umiera także Tasso i Palestryna.

Zaiste, byleś się wczytał w duszę Jana z Czarnolesia, a już wszystkie tony XVI stolecia zadrgają ci w piersiach; zwłaszcza odezwą się cudnym zestrojem uczucia chrześcijańskiego świata i piękność klasyczna. Toć to jest ta sama harmonia, co naprzód, choć dopiero symbolicznie, zabrzmiała w rysunku, w liniach owęj Architektury Renaissance a przemówiła liniami, przestrzenią, jakoby wrytnie i tonach, w miarach i akordach. Dla tego, gdy się zanurzysz w pieśniach Kochanowskiego, już uczucia twoje przebudzone mimowolnie zwiążą się i zbudują w kaplicę uroczą Zygmunatów katedry Krakowskiej, boć i ona Renaissancem szlachetnym, wdzięcznym i ona jakby odgłosem ducha Bramantego, i ona kwiatem marmurowym przesadzonym z ziemi klasycznej, rozwiniętym pod tehem ciepłym uczuć chrześcijańskich. W téj świątnicy grobowej, jakby w pieśniach naszego wieszeza, panuje ten cichy, święty spokój głęboki, ta strojność przezaena, ten wdzięk wyższy, szlachetności pełen a zamożność i wykwiit bez prze-

sady. I tutaj lśniąca błyskotność została na zewnętrznej kopule złoconej, a wewnątrz kaplicy same linie i ruchy dźwięczne grają muzyką światła i cieniów, wywołanych jasnością z góry płynącą. Wśród tej jasności z góry płynącej, wśród tej muzyki światła i cieniów spokojnie dumają dzieje stare w poważnej uroczystości, w cichym majestacie. Ta kaplica—to zaiste duch Kochanowskiego Jana w ogólnym, symbolicznym zarysie.

Znać zaprawdę że studia starożytniej klasycznej literatury były pierwszą kąpielą w której się zanurzyła fantazja poetycka mistrza naszego; a z drugiej strony przecież Kochanowski miał serce otwarte dla rzeczywistości żywej, obecnej, bo dla mowy ojczystej; on całą miłością utonął w tej mowie, on na nią tchnął ducha swojego, on podsłuchiwał jej serca tętna, on ją ogrzał kochaniem swoim; więc też i ona, nawzajem miłość miłością płacąc, zaśpiewała mu duchem jego. Mógł on tedy z ucheiwą dumą zawołać: »wdarłem się »na skałę pięknej Kalliopy, gdzie dotychczas nie było »śladu polskiej stopy.«

Jan Kochanowski jest pierwszym mistrzem mowy polskiej. Więc kto sobie dziś rości jakieś prawo do polskiego języka, niechaj poprzez życie całe, poprzez wszystkie lata swoje pije z tej przezczystej krynicy pieśni jego, a ta krynica go ożywi, pokrzepi, wyzwoli od wszelkiej niemocy i uchroni mowę jego od kalectwa i wypaczenia, od swawoli świętokradzkiej, od ulicznej rozpusty. Nie będzie pisarzem polskim, komu język Kochanowskiego nie jest talizmanem chroniącym, broniącym, wodzącym.

Jan Kochanowski był twórcą mowy swojej a pieśniom swoim nadał formę klasycznych idealnych wzorów; te pieśni jego zaiste mieszkają na wysokościach Helleńskićj »Kalliopy«; one jakoby posągi starożytne w przezrystej piękności, one tak wykończone, tak spokojne, niby olimpijskie bogi, a jaśnieją i świecą najwyższym urokiem; a przecież pod tą formą marmurową roztwierają się głębie duchowe, wiecznością promieniące;—te poezye są iście zarazem córami chrześcijańskiego świata. Posłuchaj tych Trenów, któremi wieszcz zapłakał nad umarłym dzieckiem swoim. Żalność jego serdeczna, bolesna, smętna staje tutaj w formie elegii klasycznój; ta żalność odziana formą tak szlachetną, iżbyś rzekł, że to ów posąg Nioby florenckićj, onego areydziela starożytnych mistrzów. I Nioby oblicze pełne wzniosłój boleści, i w nićj nie widać rozpacz bezdennój, bez granic. Niobe przytula do siebie córeczkę najmłodszą, co przed śmiercią ucieka do matki, do nićj się tuląc, a matka z boleści skamieniała marmurem. Taką Niobą, takim posągiem marmurowym o prze cudnych formach klasycznych jest żalność serdeczna, głęboka czarnoleskiego wieszcz. Ale gdy się dotkniesz tćj Nioby Kochanowskiego, już uczujesz pod tą idealną formą serec bijące, krew ciepłą, tętniącą; pod tą marmurową bielą poczujesz, że tam serec boleścią się pada, że łza spływa po tych marmurowych licach i Niobe polska przemówi:

„Pańska ręka mię dotknęła!  
 Wszystkie mi radości odjęła,  
 Ledwie w sobie czuję duszę,  
 I tę podobno oddać muszę!

Lubo wstając gore jaśnie,  
 Lubo padnąc słońce gaśnie;  
 Mnie jednako serce boli,  
 A nigdy się nie utuli.  
 Oczu nigdy nie osuszę,  
 I tak wiecznie płakać muszę;  
 Muszę płakać o mój Boże!  
 Któż się przed Tobą skryć może!" (Tr. XVII).

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,  
 Moja droga Orszulko, tém zniknięciem swoim.  
 Peluo nas, a jakoby nikogo nie było;  
 Jedną małądką duszą tak wiele ubyło!" (Tr. VIII.)

„Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziła?  
 W którą stronę, w którąś się krainę udala?  
 Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona,  
 I tam w liczbie aniołów małych policzona?" (Tr. X.)

„Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była  
 Albo nie umierała lub się nie rodziła;  
 Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,  
 Za tém nie odpowiedniém pożegnaniem twojem!  
 Omyliłaś mię jak nocny sen znikomy!" (Tr. XIII.)

„Próżno morzem nie pływamy,  
 Próżno w bitwach nie bywamy,  
 Ugodzi nieszczęście wszędzie,  
 Choć podobieństwa nie będzie.  
 Wiodłem mój żywot tak skromnie,  
 Że ledwie kto wiedział o mnie,  
 A zazdrość i złe przygody,  
 Nie miały mi w co dać szkody." (Tr. XVII.)

Ta boleść, trawiąca serce ojcowskie na jawie, za  
 dnia, staje nocą przy łożu jego, »nie dając długo zam-  
 knąć oczu i uspokoić zemdłonego ciała i ledwie na  
 godzinę przed świtaniem sen otulił duszę jego ciemne-

mi skrzydły. Wtedy we śnie jak niebiańskie widziadło ukazała mu się matka jego, co go niegdyś wypiastrzyła miłością bez granic; a teraz żalność i cierpienia syna zabolęły w sercu matki umarłej, i z grobowych światów i z krain bardzo dalekich przywiodły ją w te nasze strony, by syna pocieszyć.« Pojawia się mu matka śpiącemu, mając na ręku jego ukochaną dziewczynkę, »którę i twarz rumiana, i włoski pokręcone, a oczy ku śmiechu sklonione,« jako wtedy gdy po paciorek ranny do ojca przychodziła. I rzecze matka: »Czyli nas umarłe macie za stracone, I którym już na wieki słońce jest zgaszone? ... O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie, Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie!... Ona »między anioły i duchy wiecznemi, Jako wdzięczna jutrzeńka świeci, A za swemi rodzicami się modli, jak to umiała z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała!« I pociesza matka ukazując marność ziemskich rozkoszy, bo w nich więcej frasunków i żalności więcej, a roztacza obraz rozkoszy niebiańskich, kędy: »troski nie panują a praey nie znają, kędy nie-  
»szczęścia miejsca przygody nie mają, ani śmierci ła-  
»mi karmionćj, kędy widny Stwórcę wszechrzeczy w je-  
»go majestacie.« »Doznałeś« mówi »co świat umie  
»i jego kochanie.«

Powiedz, w tój rzewności głębokićj, w tём widziadłe niebiańskiem nie z tego świata zrodzoném, w tём cofaniu się we własne sanctissimum naszego serea, w wiekniste głębie jego, czyliż nie żyje życiem nadziemskiem ona poezya romantyczna, co tutaj tak wdzięcznie zaślubiła się formom klassycznym. Tutaj one zrękowiny świetne form starożytnych a uczuć głębo-

kich, właściwych jedynie chrześcijańskim ludom. Tutaj zestrojone jakby kontrapunktem światy tameczne, niebiańskie, z doczesności żywotem. Jak śmierć ukochanej małżonki zagrała boleścią na duszy Palestryny, a tony duszy jego zapłakały, jakby śpiewem aniołów, nieskończoną zagrobową tęsknotą, zestrajając w akordy świat tuteczny z nadziemską krainą, tak skon drogiego dziecięcia wywołał z głębin serca Kochanowskiego tony tęskne, rzewne, co, ulatując do nieba, wracały z nad gwiazd, przynosząc utulenie boleści i rosę niebiańskiej pociechy, a te tony wstęgą niewidomą wiązały ziemię i niebo!

I zważmy, ten sam wieszcz, którego duch zwrócony w siebie podслуchuje wiekuistości głosy, żyjące we własnem wnętrzu jego, ten sam wieszcz znów zwraca się do spraw zewnętrznego świata, do politycznych spraw kraju. On przemawiając do Zygmunta Augusta pisze poemat o wadach publicznych.

Przecież ten sam znów człowiek, co tak z mistrzowską prozą i wierszem dotyka się pełen miłości i żalu ran publicznego życia, umie także i zniżyć i nastroić pieśni swoje, i śpiewać życie eiche, prywatne, codzienne; więc to żartem, to krotoczwila gani z lekka, łaje usterki, oddając zaerności hołd i obyczajom domowym cześć. To znowu śpiewa czyny wielkie, roztaczając historyczne karty przeszłości bohaterskiej i wielkie wypadki dziejowe. Poczém uderza znowu w nowe strony i zwraca się do natury, i wywołuje sobie z duszy one prześliczne Sobótki, niby sielanki ludowe, a nawet tłómaczy poemat Arata o gwiazdach i ich biegach po przestrzeni niebiańskiej. Poczém znowu duszę nurzy

w rozpływne tony, nadziemskie harmonie arfy Dawidowej.

Słowem, wszystkie barwy i tony, na pozór różne i sprzeczne, jednoczą się uroczym dźwiękiem w tym wielkim wieszezu, który już splótł w sobie wszystkie żywioły i pierwiastki fantazyi artystycznej XVI stulecia. Dodaj do tego jeszcze, że słusznie powiedziano, jako on pierwszy z pośród wszystkich Europejskich pisarzy stworzył dramat wedle prawideł sztuki Hellenów, jak to jego »Odprawa posłów greekich« jest dramatem iście greekim w całej świeżości swojej. Wszak to wszystko tém wyższego jest znaczenia, gdy zważysz, że dramaturgia klassyczna francuzka, ten zwielniony klassycyzm, pojawia się nawet dopiero w sto lat po urodzeniu naszego wieszeza.

Zaiste dramat mógł wystąpić na świat dopiero w XVI stuleciu! które przejrzało, które dopiero pierwsze ujęło koleje świata i ludzkich dziejów w prawdzie ich głębokiej. Wieszezy duch ludzkiego rodu, jak dopiero teraz poznał zakon rzeczy przyrodzonych a materyalnego świata, tak też teraz dopiero poznał ustawy i prawa, co, choć niewidne na zewnątrz, wiodą losy ludów i mistrzują od wieków sereem człowieka. Jak na szczycie wszelkiej poczyi stanęła dramaturgia, tak na szczycie dramaturgii, która jest ostatniem słowem XVI stulecia, stanął Shakespeare (\*).

---

(\*) Co do zjawisk duchowych w XVI stuleciu a mianowicie co do Shakespeara obacz: Schmidt (Romantik) Cariere (Weltanschauung)—Ulrici i Gervinus (Shakespeare) dalej Phil. Chasles i Guizot. Wszakże i pod tym względem wypada mieć baczenie na stanowisko często zbyt jednostronne protestanckich pisarzy.



Przeliczne, przeróżne moce i potęgi przyrody, rozwiewne, niewidome rozpływają po wszem świecie; a cicho, spokojnie w naturze, póki te moce równoważą się harmonią w wielkiej pracowni stworzenia, słuchając ogólnego zakonu i wiekuistych prawd. Cicho, spokojnie, uroczysto wówczas w naturze, jakoby w wigilię wielkiego święta wszechjestestw. I obłoczki świeciste igrają lekkie, barwiste po szklaném morzu powietrzném, i spuszczaają się wieńcem rozlotnym na górskie przyczółą, przelewają się w piersi szczytów skalnych, tętnią w ciemnych, chłodnych wnętrzościach gór, aż się pojawiają na wierzech źródłem krystaliczném; wtedy już rosną gawornym potokiem, potężują w rzekę poważną, by spłynąć do nieskończoności oceanów. Z oceanów tych wznoszą się znów wody wyziewem, i znów obłoczkiem lekkim, barwistym płyną po szklaném, powietrzném morzu. I z cicha igrają powiewne tchy, i z cicha, tajemnie gospodarzą moce przyrodzone w tém wielkiém państwie bożém, równoważąc się i miarkując nawzajem. Więc spokojnie, uroczysto, i w atmosferze i nad ziemią, na dolinach i górach, i spokojnie w podziemnych sklepiach, kędy mieszkają moce wielowładne. Przecież, gdy te potęgi wszystkie zerwą wzajemne przy mierze, gdy się zbuntują ogólnemu prawu, gdy się wyłamią z pod ogólnej prawdy, która jest ich mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie; już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płyny niewidome ściskają się w twierdze ciężkie czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne, i zagrzmią, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne

szarpia się, rozsadzają sklezione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrząsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się gniewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając w koło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie, jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne moce serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiej, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak honoru uciecie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju, i te wszystkie inne moce, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie te same potęgi są zamknięte i w każdym z osobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człka, i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie; i spokojnie też w piersiach pojedynczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich jak jest wzajemnym ich podniecaniem się tak i wzajemnym ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichém, choć bezświadomém, uznawaniem ogólnego prawa, uciezeniem ogólnej prawdy wiekuistej, wewnętrznej, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie samej, i zestraja je wszystkie w sobie. Leez gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną bezwzględną, gdy pęknie łączące ich przymierze,

gdy jedna z tych moey szczegółowych dźwignie się olbrzymem, samodzielnie w piersiach, gdy przygłuszy inne moce, inne pierwiastki, inne prawdy, wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onęj ogólnej prawdzie Bożej, eo jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sereu jego, demoniczném oczynieniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowładną mistrzynią i panią, wtedy rzuci go o innego człowieka, w którym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych moey jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą téj jednéj miotającej nią siły, eo stanowi ję życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotém ją oplaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sereem własném.

Rzekłem już i po innych listach moich, że każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszość, a zarazem niema słuszości. Jest bowiem w prawie swojém, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za którą życie daje, jest jedną z onych wielu prawd szczegółowych, które władają światem, które są przytomne i w każdym z nas; dla tego właśnie skon i los ję tragiczny wzbudza w nas spółczucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiey strony figura tragiczna zawiła w tém, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do ję posłuchu mają prawo, że tém samém obraża oną prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, oną prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dla tego też postaci

tragiczne zderzeniem śmiertelném, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadosyć uczynieniem za grzech przeciw onéj prawdzie wiekuistéj; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w ręku, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tém wszystkiém atoli wspomniałem już na innych miejscach; powtórzyłem tutaj to zapatrywanie się nasze na tragiczność, aby nam tém łatwiéj przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną klassyczną a Shakespearem.

Zważ, że to wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest spólném i tragiczności starożytnéj i Shakespearowskiéj. Obaczmy teraz, w czém między niemi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onéj prawdy nieskończonej, wiekuistéj, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnymi, słowem, z temi wszystkiemi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samém sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym człowiekiem, aby się mógł obejść bez powagi zewnętrznej; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Zatem idzie, że owa prawda wszystkich prawd, owa prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty

też on nie zdola się na nią patrzeć, jako na moc zewnętrzną, któraby była li mocą a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niej, już tym samym rodzi się rozdwojenie, dysharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą. Zatem idzie, że też moce, które go za winę karzą, są również w jego oczach czémś obcém, cudzém, zewnętrzném, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczej zupełnie ma się rzecz w tragiczności Shakespear'a. Tu świat chrześcijański w całym znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka; świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje, człowiek ma całą wagę swoją na wewnątrz, człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem bożem, niezmrużoném nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw téj prawdzie wiekuistój, bezwzględnej, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwa ja się we własném wnętrzu swoim. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy téj prawdy ogólnej, wiekuistój, to jój skon jest właśnie zadosyć uczynieniem téj prawdy, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Zatem idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedyi klassycznej (greckiej), zderzając się

jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznej, a zatem ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nierozdzielna w sobie, całym brzemieniem istoty swojej waży w stronę, kędy ją porywa jej losowładne uczucie. Ona jest niby z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża tylko jedną pojedynczą myśl, która nią włada; dla tego te postaci są tak plastyczne, do posagu rzeźbionego podobne, w którym przecież «równie jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem.» Wynika ztąd, że figury tragedji klasycznej mniej są charakterami rozwijającemi się, jak raczej typami prawie nieruchomemi, niezmiennemi od początku do końca tragedji. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedji klasycznej niema potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które unosi figurę tragiczną do czynów, a które ona za prawdę najwyższą uważa, lubo ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, nieskończonej, obejmującej w sobie wszystkie one szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzną, więc ją zastępuje chór tragedji greckiej, który także jest jawieniem zewnętrznym, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka; ale jest bezwładnym, beczynnym.

Inaczej u Shakespeara! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własnem sercu człowieka; stąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do

swojego wewnętrznego przekonania, jako do wyroczni niemyłnej. Widzieliśmy atoli w czterech ostatnich listach, jako ta ufność, która z istoty swojej winna być poleganiem na prawdzie wiekuistej, przebywającej w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca. Dla tego też człowiek w średnich stuleciach, nie rozumiawszy tej własnej dufności ku sobie, tej niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jej zadosyć uczynić puszczeniem się na awantury fantastyczne. Co więc, człowiek, nie zdolając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokusnych od wołania bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzny, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli jakie się stąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące li osobistym, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiarą Zbawienia, a która nigdy nie zmruży wiekuistej źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Shakespear'a w obec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samowolnego, uczucia osobistego. Przecież, gdy w tym samym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistej, zatém człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści powątpiewanie o sobie samym. Ale im moeniżej w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc, im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się w sobie, tém więc, jakby przez nową reakcję, ów popęd złowrogi napręża się w sobie, potęguje, podnie-

ca się i skupia w sobie, by nie uleść onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dla tego właśnie te uczucia, te namiętności w tych figurach rosną, a rosną przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadne uczucie, żadna wewnętrzna potęga, żadne patos, które prze do działania bohaterów tragedyi klassycznej; dla tego też właśnie te figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistej prawdzie istniejącej zewnątrz, ale przeciw własnej nieskończonej istocie swojej; bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdej figurze dramatów Shakespeara, mimo wysilenia się duszy jęj, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna wечно stoi na straży, wечно żyje w jęj sercu; wynika stąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnej formie, wedle różnej indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiegokolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach ona prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna będzie dla nich najwyższą wyrocznią, której one ufają bez granic, bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczmy, dla przykładu, niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Shakespearowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistym patos swoim, z onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorie życia, osobne tryby zapa-



trywania się na świat, a tak widać, że w téj figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niej; ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III np., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa przecież oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dla czego chce być ludzkości wrogiem. Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydłą, potworną — ludzie go nie-nawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sponiewierać jéj ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkim, odplacić się za krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat urosł w szatana. (Ryszard III, scena I).

Podobny mu Falstaf, choć on jest komieczną figurą komedyi. On dowcipny, żartobliwy i prawdziwy geniusz cynizmu; jest to figura, na jaką tylko duch olbrzymi Shakespeara zdobyć się mógł. Falstaf jest wskrós zmysłowym; on wierzy jedynie w grube, ziemskie rozkosze, bierze życie li ze strony cielesnej; reszta u niego bajką. On drwi z honoru i ze sławy, a talając się w cynizmie filozofuje, argumentuje i dowodzi, że jego sposób zapatrywania się jest jedyną najwyższą mądrością na świecie, jest właśnie prawdą ogólną, bezwzględną. (Henryk IV, 1-a i 2-a część). Więc w charakterach, tak zupełnie sobie różnych jak Ryszard III i Falstaf, prawda bezwzględna odzywa się podobnym trybem, gdyż oba wyrozumowali sobie osobne teorye życia, by ją przyluszyć, uiszyć w sobie. Znowu w innéj figurze, jako w Lady Macbet, w innéj formie pojawi się ta prawda

wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jój się zdaje, że zamordowany Dunkan tak podobny do jój własnego ojca! to znów ze świecą w rękę, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają zmyć krwi z jój małej, białej ręki! Albo prawda wiekuista znów w innej, nowiej a zupełnie właściwej i odwrótniej postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnej zbrodni dokonanej na ojcu jego. Ale Hamlet tém grzeszy, że nie ma właśnie żadnej namiętności, żadnego popędu i energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania; on z natury swojej bezezynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zaćności, charakter trwożliwy, szperający, wątpiący, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniach nad wiecznością, śmiercią i życiem, nad sobą i prawdą, waży i mierzy i kołysze się w zdaniu, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnią ojezyma i w słabość pełną winy własnej matki swojej, bo ma wstręt do wszelkiej czynności; i w tém właśnie jego wina, tém właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tę ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcej tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Shakespearą? Odstępuję od zamiaru tego, byś mnie nie pomówił słusznie o lekko-myślność, że się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zоста-

na źródłem żywym mądrości artystycznej. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich objaśnień i komentarzy, do których cię odsyłam. Czynię ci tylko tę uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżej rzekł, okazuje się cała przepaściasta głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań w której mieszka wiekiistość; stąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak na sobie się opierające, stąd tyle wewnętrznej energicznej potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tém właśnie widzisz iscie pierwiastek romantyczny w całej swojej mocy,—ów żywioł, który napotykalismy w średnich stóleciach.

Tak tedy Shakespeare, nadając głębie niesłychane tym figurom swoim, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyi ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stóleciów romantycznych w dramata swoje (np. duchy, czarownice, widma i t. d.) Ale z drugiej strony, Shakespeare jest synem XVI wieku, a to już właśnie dla tego, że jest autorem dramatycznym! On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i moce, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznóm prawem jego. Shakespeare ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historią wewnętrzną człowieka, on czynił studia psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co już rzekłem, widzisz już że Shakespeare jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI stulecia; ale spytasz się: gdzie znajdujemy w nim pierwiastek klasycyzmu. Wszak ten pierwiastek klasycyzmu jest również żywiołem XVI stulecia? a przecież geniusz Shakespeara, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrótnym biegunem wszelkiej klasycyzmu?

W liście przesyłanym powiedziałem, że poezja klasyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytnie stulecia, że klasycyzm wśród ludów chrześcijańskich będzie zawsze rośliną egzotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. W niniejszym liście starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedją klasyczną a pojmowaniem Shakespeara; ale zatem nie idzie bynajmniej jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech wspólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na wspólnej podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżej ogólnej zasady tragicyzmu, będącej wspólną i klasycyzmu i Shakespearowskiej tragicyzmu.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął ci w szczegółach dramata Shakespeara i okazał o ile one mają pierwiastek wspólny z tragedją starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Arystoteles był Grekiem, a zatem już z samego urodzenia swojego człowiekiem-klassykiem; on przecież miał przed oczyma areydzia wielkich tragików greckich, zatem swoich ziomków a prawie mu współczesnych; on, zapastrując się na te wzory a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawa poezyi, rozwinął teorię

dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat są prawdą, a będą prawdą póki ludzie będą wierzyć w rozum i czuć prawdę. Otoż ustawy, które skreślił Arystoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Shakespearą. Rozumie się atoli, że ja tu mówię o Arystotelesie prawdziwym, nie o tym Arystotelesie spaczonym, którego sobie wymyślili klasycey nowożytni, przypisując mu nawet zdania i zasady, o których tamten prawdziwy Arystoteles nawet nie pomyślał.

Zaiste, Shakespeare dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Arystoteles. Pochodzi to stąd że, co Arystoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacyą rozumową i ze wzorów geniuszów dramatycznych własnej ojczyzny swojej, to ucznił instynktem natchnienia Shakespeare. Od Arystotelesą do Shakespearą świat, ród ludzki urósł blisko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnej, bogatej. Więc jak z jednej strony mistrz angielski zadosyć uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Arystoteles, tak z drugiej strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klasycyżność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jako organa różne w żywym ciele. Gdyby tedy dziś żył Arystoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Shakespearą, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, aleby te prawidła rozwinął, roztoczył, i kto wie, czyliby ten filozof-klasyk nie przyznał się chętniej do Shakespearą, jak do nowożytniej, zwiechniętej klasycyżności. Czem byli Francuzi klasycey dla świata francuzkiego dworu, tém są tragicey Greey dla całej starożytności, dla każdego człowieka nieco ukształconego, tém jest i bę-

dzie Shakespeare dla wszystkich narodów i wieków. Dosyć być człowiekiem z trocha zdrowém sercem a głową nie chorą, aby złożyć mu czesé i uwielbienie.

Zważ — nie ma pierwiastku żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównej jakiej figurze Shakespeara. Każdy z tych pierwiastków przybrał się w ciało i krew jednego pewnego człowieka; a choć pierwiastek ten, np. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki, i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Shakespeara pojawiają, mają tyle silnej i oryginalnej indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Shakespeara figura jest całością i zupełnem zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epopeją, w której występują moce serea ludzkiego; ale poprzez ten świat tuteczny, po przez mocowanie się, walkę potęg patrzą się oczy wiekuistości.

Shakespeare, stojąc jakby na opoce nadświatnej, pogląda na świat, na ludzi, na dzieje duchowe i daje posłuchanie światu, i sądzi jakby sądem ostatecznym całą serea treść, wszystkie moce i potęgi. Bo geniusz stworzył mu oczy, i wieszcz był jakby przytomny wtedy, gdy był stworzony ludzki ród; on wtedy patrzył, gdy demon złego kusił człowieka, i widział upadek ludzkości, i słyszał owo odkupienia słowo, co wróżyło w Prorokach i Sybillach!



## Dopisek.

Tak tedy doprowadziłem te dzieje fantazyi do epoki, którą sobie oznaczyłem za kres praey majej. Nie będę ci już mówił o celu tych listów, o myśli przewodniczącej mi w czasie ich pisania, bo o tém wszystkiém rozwodziłem się już dość szeroko w końcu tomu drugiego; co tam wyrzekłem stosuje się zupełnie i do tego trzeciego tomu. Widzisz, że, mimo sporęj liczby tych listów moich, nie wyczerpałem bynajmniej całej treści estetyki; zaiste, gdybym tego chciał dokazać, przyszłoby mi najnniej drugie tyle ich napisać, a nie wiem czyli mi się kiedy na to zbierze; dla tego lepiej podobno iż się nie zwiążę żadnym w tym względzie oświadczeniem, bo choć dopełnienie wziętego na mnie obowiązku mogłoby być dla ciebie dość obojętném, dla mnie zaś stałoby się powinnością, z którejby się koniecznie uiścić należało, a bez którejby się nawet i obe szło, a to tém więcej, że te listy tworzą niby jakoś całość skończoną w sobie. Owszem, zamiast wchodzić w nowe zobowiązania, raczej mi przystoi wytlómaczyć się przed tobą, dla czego przez tak długi czas nie wywiązałem się z danego prawie wyraźnie przyrzeczenia przy końcu tomu pierwszego. Zaiste, widzę potrzebę

wyjaśnienia powodów téj odwłoki; zwłaszcza że, jak się spodziewam, uznasz ich słuszość.

Zważ — w literaturze każdego kraju, każdego narodu dwie są główne dziedziny; jakoż jedna część piśmiennictwa odnosi się do literatury nadobnej, pięknej, a druga zajmuje się pracą około nauk i umiejętności poważnych. Literatura nadobna — toć jest kwiat umysłowy, to wonny, barwny, luby ogród co otacza wiankiem wdzięcznym mieszkaniu doczesne człowieka; a zamilowanie jego w tych rajskich kwiatach, unosząc go po nad kłopotki i biedy ziemskie, jak jest cichą wróżbą serca, że człowiek nie zdoła poprzestać na powszedniem przemijającym życiu, tak jest zarazem rękojmią, że dusza jego nie wyschła, nie zjałowaciała wśród skwarów a krzywd światowych. Piśmiennictwo atoli, trudniące się nauką i umiejętnością, więc uprawą wiedzy ludzkiej, jest twarde łamaniem się mocy duchowych. Tutaj nie słyszeć tonów uroczych pieśni, tutaj nie brzmią muzyki uczuć lubych, tutaj niema fantazyi — onęj niebiańskiej wystanicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodniczą. Na téj roli od weczesnego świtu do późnego zmierzchu twardo idzie robota, na téj roli nie rozstulają się róże, nie wonią fiołki; ale za to błogosławną siejba spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowej, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na téj roli nie rozstulają się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie żygodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i pożył owoc jego, wtedy stał się wygnanym z ogrodów rozkoszy; odtąd już krwawym znojem upra-



wia téj wiadomości rolę »i w ciężkiém utrudzeniu je chleb z niéj.« Ale, choć ta praca nad wiedzą jest tak twardém pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia pełną, przecież ona jest ludzkiego rodzaju świętém prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrzyłem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno było mi dójrzyć, że u nas literatura naderdobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grona nierównie liczniejsze pisarzy; a tych właśnie prace same jedne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im, jako owocom znakomitych i świetnych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiero potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiej publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego), przecież, mimo to wszystko, smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętnie, najwyższej wagi, opłacone wysileniem długoletniém bystrego rozumu i głębokiej nauki, stały na uboczu niewidnój, przeoczone od wielkiej publiczności i patrzyły z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieniec chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwej nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziej jeszcze pojawiają się bez ofiary materyalnej własnego mienia tych zaenych pracowników (\*).

---

(\*) Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie.  
LISTY Z KR.—T. III.

Nie dziw tedy że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznój czei i hołdu z całej duszy; bo to oni przecież téj pracy i trudu ciężkiego nie podejmują zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści, ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętnem ich serea jest miłość przezczysta, bo gorejące pragnienie służenia zaeną pracą oświacie prawdziwój; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na oną rolę,

---

Bo nie sięgając po nie do innych miast, kędy równie nie brak mężów wysokićj zasługi w naukach, poprzestając tylko na przykładach, które nam Kraków nastrocza; co więcćj, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najnowszych czasach przysłużyły się umiętności. Otóż prace PP. *Muczkowskiego, Majera, A. Z. Helcla, Skobla, Czerwiakowskiego, Steczkowskiego*, zbgaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy że podobne księgi nie mogą być tak znane więkšej publiczności jak pisma liczące się do literatury pięknej, wiemy że niesłusznieby było wymagać po publiczności aby się obznajomiła np. z dziełami matematycznymi, lekarskimi, prawnymi i t. p. ale zdaje mi się że można wymagać najwięcej od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z osnową dzieła i od tych, którzy sami obruli sobie miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słusne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniej ze względu na samych autorów, bo tych już wynagradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionej zaenie powinności; ale wymagamy tego oddania czei zasłudze raczej ze względu na publiczność, której się to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowymi i dowiedziałaby się, komu też naprawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną — Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnej, tak jak gdyby umiętności i nauki już na świecie nie było; więc też się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał i winszując literaturze polskiej, że tak celujących posiada pisarzy.

na której za ciężkim ich mazołem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowej. Są to zakonniki-asce-ty szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowały się bóstwu przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany pilnujące świętego ognia cywilizacji każdego kraju; bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowym ludów, sama nie wystarczy aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszym znaczeniu. Wszak historia i jeografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na półbarbarzyńskie a świecące przeciw uroczą, cudnie piękną poezią i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku! Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwej cywilizacji czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi samej; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiej rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytłumaczysz sobie tym trybem, jakoby ja niedość cenił pracy około literatury pięknej, boć przecież trzy tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją wazę, a forma ich nie naukowa i lekka czyni te książki przeciw ni- by dziełem beletrystyczném. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty pierwszego tomu téj książki, widząc tak szeszupły a przytém tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi się nie go- dziło raczej wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie zagadnałem, czyli mi samo sumienie nie nakazuje zaniechania na czas

dłuższy pracy nad piękną literaturą, więc tych listów moich, i czyli raczej nie wypada zabrać się, ile mnie stać, do pracy ściśle naukowej?

Pragnąc mówić do ciebie z całą otwartością, nie waham się wyznać, że ostateczne postanowienie w tym względzie nie przyszło mi weale bez walki.

Chodziło mi bowiem o przerwanie pracy około tych listów tak lekkiój a miłej, że mi raczej była zabawą i ochłodą po trudach codziennych powołania mojego; wypadło również zrzec się wszelkiój próżności wrodzonej jakby każdemu prawie autorowi; jakoż wiadomo ci jak wielce życzliwie, jak łaskawie był przyjęty od publiczności tom pierwszy; nie dziw się tedy że sama miłość własna parła chęć moją bym raczej zajął się następnymi listami, do których i tak zebrane już były dostateczne materiały; a mogłem już mieć pewną nadzieję, że ten dalszy ich ciąg znajdzie również życzliwego a liczego czytelnika. Słowem, miałem się uczynić, jak się powyżej wyraziłem, dobrowolnym wygnańcem »z onego lubego ogródka co otoczył wdzięcznym wiankiem« choć kilka miesięcy życia mojego, w którym się już zbierało nie na jeden pęczek dla mnie, a może nawet na jaki kwiatek skromny, a natomiast miałem się napowrót przenieść na tę rolę umiętności, pełnej grozy, kędy życie jest »twardém łamaniem się, kędy od wezesnego świtu do późnego zmierzchu idzie praca pełna trudu.« Przewidywałem z góry, że, zajmując się ściśle naukowym przedmiotem, znajdę nie liczne, bardzo szczupłe grono czytelników, że dla większej części publiczności książka, do której się zbierałem, przejdzie bez śladu, bez imienia nawet; wie-

działem dobrze że mnie czeka w najściślejszym znaczeniu to, co zwykle nazywają pracą niewdzięczną. Przecież wszystkie te względy z istoty swojej nie są dość silne, aby mogły powodować człowiekiem, bo my w życiu doczesnym nie jesteśmy na rozkosze stworzeni; tu nie chodzi bynajmniej o to, co nam jest wdzięczne, miłe i pożyteczne, ale raczej o to, co naszą powinnością być uważamy. Nakoniec wyznaję, że we mnie przeważał w końcu zupełnie wzgląd na samą naturę umiejętności, która miała być przedmiotem roztoczenia mojego, to jest wzgląd na istotę Filozofii. Uważałem że szeroko u nas rozwijany jest dech owęj filozofii, co, upiorem bezsensnym chodząc po świecie, wysysa, jakby krew ciepłą żywotną, najświętsze, najdroższe prawdy z piersi ludzi, ich samych na upiory bezserec zamieniając. Od uściśnienia téj nauki dławiącej nie ochronią żadne rozprawy choćby najświetniejszych talentów, nie obronią żadne przedstawienia ani namowy, bo owa filozofia, umiejętnością będąc, jedynie także przez umiejętność pogrzebioną i zakłętą być może. Bo co drogą umiejętności jest zepsute, jedynie także drogą umiejętną naprawić zdołamy. Tak zapatrując się na tę naukę, co pada dżumą na ducha i okrywa ciemnym skrzydłem prawdy o istocie nieśmiertelnej człowieka, o przeznaczeniu świata i ludzkich dziejów, o Bogu, zdawało mi się być obowiązkiem, abym naprzeciw nauce takowej rozłożył umiejętność, którą oddawna wynosiłem w myśli mojej. Należało mi tedy rozwinąć i w szczegółach tę umiejętność, powiązać jej ogniwa ścisłą logicznością i rozwinąć ją w książce przed oczyma czytelnika, jako całość systematyczną ukończoną w sobie.

Tą tedy chęcią ostatecznie powodowany zabrałem się do téj roboty i dokonałem jéj, ile mnie stać było, w przeciągu znacznego szeregu lat wytrwałej i sumiennéj pracy (\*).

Tak wyłożywszy ci powody, dla których przerwałem dalszy ciąg tych listów moich, jako mniej znaczącj pracy, ufam że mi téj przewłóki nie policzysz na niekorzyść moją!

Jednak, gdy przejęty jestem najmocniéj zdaniem, że jest rzeczą arcyważną aby stosunek piszącego do czytelnika wyjaśnił się do czysta i w zupełności, więc już nie wahałem się jeszcze wynurzyć ci się z niepewności, która zrazu dość ciężko przycisnęła mi duszę. Otóż, gdy owa praca umiejętna już była dokończona, gdy m tedy dla odpocznienia sobie po niéj chciał nawrócić, choć na czas niejaki, do lżejszego pisania, a przedewszystkiém do tych listów, nachodziły mnie dwojakie wątpliwości, które, mimowolnie z głębi ducha wypływając, trapiły mnie niemiłe a natrętne.

Bo naprzód nasuwała mi się niepewność co do owéj pracy poważniejszój. Jakoż sobie samemu zadawałem pytanie, czyli też ona dosięgnęła celu swojego? Czyli z niéj iście zrodził się skutek tak gorąco upragniony, dla którego przecież porzuciłem miłszą, wdzięczniejszą a już rozpoczętą pracę, dla którego poświęciłem tak znaczny szereg lat a podjąłem tak ciężkie pasowanie i twarde łamanie się myśli? Słowem, czyli ostateczny wypadek jéj obstoi za poświęcenie a ofiary łożone? Na

---

(\*) Wykład systematyczny Filozofii, obejmujący wszystkie jéj części. Tom I. Kraków 1849 r. Tom II. Wilno 1852 r. u Józefa Zawadzkiego.

to pytanie trudno mi odpowiedzieć. To tylko Bóg wie! Pocieszałem się atoli tą wiarą, iż przecież każda praca, choć słabszymi siłami, ale za to w niezmiętej chęci podjęta, nie jest nigdy zupełnie straconą, gdyż jest za prawdę rzeczą niepodobną aby na nią nie spłynęło błogosławieństwo z góry; więc mniemam że i moje usiłowania nie pójdą na zupełny rozwiew i poniewierkę, bo dobra chęć stanie w nich za moc i uodolność duchową. I pomyślałem u siebie: że choćby część posianego ziarna padła na opokę, a drugą część zagłuszyły chwasty, a inną znów wyjadły kruki czarne, toć przecież choć może cząsteczka przyjmie się na ziemi urodzajnej i wyrośnie kłosem na chleb pożywny ludziom a Bogu na chwałę.

Druga zaś wątpliwość, która mi chodziła po myśli rodząc we mnie nieufność ku sobie, odnosiła się już do samego dalszego ciągu tych listów. Jakoż tyle lat już upłynęło od pojawienia się owego pierwszego ich tomu, iż bardzo się stać mogło, że czytająca publiczność zobojętniała i na dawniejsze listy i na późniejszy ich szereg, zwłaszcza że od tego czasu wystąpiło na jaw niemało pisarzy o znakomitych a prawdziwie świetnych talentach! Ta niepewność tém zdawała mi się słuszniejszą, że sam wątpiłem czyli kreśląc te listy zdołam nastroić znów umysł do tego samego usposobienia, którego byłem wówczas, gdy pisałem pierwszy ich tom; czyli przeto ten ich następny szereg nada się bez naciągania do nich i z barwy i z tonu i z ciepła duszy? Bym tego mógł dokazać, wypadłoby abym i ja sam tym samym był co przed laty. A tu przecież upłynęło lat dziesięć. A lat dziesięć— to przeciąg długi, bardzo

długi w życiu człowieka! Przez lat dziesięć ileż to w duszy światła zgasnie, ile uczuć gorących ochłodnie pod zawieją mroźną świata, ile nowych ułud wdzięcznych zemrze w sereu, ileż ufnych nadziei, uniesień wymrze w piersiach, ileż ogłuchnie w nich tonów i zerwie się strun! a choćby nawet w życiu zewnętrzném zostało

»Wszystko, tak jak było,

Przecież się do starości więcej pochyliło!«

Tak wyznaję ci że niemają miałem wątpliwość o sobie samym, azali zdołam duszę cofnąć w upłynione, w młodsze epoki życia, i znów odmłodnić ciepłem uczuć i wskrzesić, rozeźblić dawne serea pukanie!

Gdym się tak wahał a bił z tą własną, a tak nie-miłą myślą moją, przyszła mi na pamięć owa gadka, którą ci opowiadałem jeszcze przy końcu pierwszego tomu, owa historia o górniku a zaślubionej mu kochance jego.—Przypominam ci treść tej powieści.—Pewien górnik młody, zaślubiony kochaniu swojemu, przed samemi godami weselnemi zginął, a nikt nie przeczuwał że przepadł w otchłani kopalni głębokiej. Pół stolecia przeleżał w ciemnicach górskiego szybu. Wody metaliczne przesiąkły ciało jego i uchroniły od zepsucia. Gdy po pięćdziesięciu latach znaleziony był i wyniesiony na świat słoneczny, zdziwione tłumy otoczyły w koło ciało młodzieńca, nikt go przecież nie poznaje; młodzi z cicha pytają zgrzybiałych starców;—ale ten górnik martwy i zimny, niegdyś towarzysz ich młodości, wygaś z ich pamięci bez śladu. W tém, patrz,—jakaś niewiasta, złamana wiekiem, okryta bielą późnej siwizny, na kulach, chwycając się i drząc zbliża się, wiedzioną



natechnieniem niewypowiedzianego przeznaczenia; znagła te jęj omdlałe oczy zatlily się błyskawicznym ogniem,— z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na lica dawno zbladłe i oblał je, jakby młodości barwą. Nie-wiasta biedna rzuca się na młodzieńca i okrywa zimną twarz jego gorącym ucałowaniem i rzewnemi łzami bolesnej radości. To jest narzeczonny jęj, to jęj kochanek! Ten młodzieniec był jęj zaślubiony niegdyś, przed pół wiekiem. Ona przez tak długie lata przechowała dlań pamięć i miłość gorącą! Ta miłość była jęj talizmanem przez tak długie ekliwe lata; ta miłość odrodziła teraz blade lica zgrzybiałej niewiasty młodości rumieńcem, zapaliła światła w źrenicy ześlonej,— ona znowu zapukała w sereu życiem pełnym, zbudziła z martwych świat cały wspomnień lubych, ulud wdzięcznych, niby dawno w duszy pogrzebionych; ona w niej rozgrzała, rozepliliła wszystkie uczucia, od tak dawnych czasów zawieją świata zmrożone. Tych cudów dokazała miłość wiernie kochaniu swojemu zaślubiona: ona w sereu nawiązała struny do dawnych pieśni, co uniosły duszę w dawne młodości lata, w dawne zachwycenia, w raj uczuć błogich.

Patrz— ta gadka i mnie wróciła ufanie w siebie i przejęła wiarą, iż miłość będzie i dla mnie talizmanem, że ona przemoże dawno upłynione lata i nastroi duszę moją do dawnych tonów, do uczuć dawnych, a to tém przecież więcej, że mojem kochaniem to nie młodzieniec martwy, umarły, przez długie lata w górskich ciemnicach pochowany; to nie człowiek pojedynczy, śmiertelny przedmiotem mojej miłości, której tę pracę moją poświęcam,— to młodzieniec ciągle odradza-

jący się życiem i uczuciem; tą miłością moją jest duch wszystkich czytelników naszych. Ale, czy to kochanie znajdzie wzajemne współuczucie i życzliwe przyjęcie? Ufam całym sercem; bo słuchaj co prawi dziadek u naszego enego i ukochanego Ignacego Chodźki:

»A póki skryptury i księgi wasze z taką miłością  
 »czułą i serdeczną i z takim żyzeniem dla braci  
 »waszych pisać będziecie, z jakimi stary dziadulek  
 »naucza katechizmu swoje małe wnuczeta i broni je  
 »od zgorszenia, z jakimi naprzykład ja ciebie naucza-  
 »łem, póty nie lękajcie się Zoilów.«

Lubo ja nie mogę sobie rościć prawa do téj świętej powagi, jaką ma dziad uczący wnuki swoje, i lubo treść, w tych moich książkach zamknięta, daleką jest od znaczenia, jakie mają wiekuiste prawdy wiary, toć przecież, z bożej łaski, nie brak im czulej, serdecznój życzliwości i dobrej woli.

Dla tego też i ja, pełen ufania, wyprawiam tę pracę moją z krzyżykiem w świat.

*Kraków, w Jesieni 1854.*

## TREŚĆ LISTOW

ZAWARTYCH W TRZECIM TOMIE.

---

LIST XX. str. 3.

### *Historja Fantazji u różnych ludów.*

(Ciąg dalszy.)

FANTAZJA LUDÓW KLASYCZNYCH.

#### Grecya.

Wstęp 3 — Stosunek Grecyi do starego Wschodu 9. — Stanowisko Grecyi w Historji Powszechnej 10. — Znaczenie fantazji klasycznej 13. — Piękność i młodość cechą Grecyi 14. — Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków 17. — Jak Grecy pojmują obyczaj 21. — Idealizują nawet potrzeby cielesne 22. — Uczucie piękności rozpowszechnione 23. — Mitologia grecka 25 — Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową 30. — Te szczepy jednoczą się językiem, religią i spólnymi igrzyskami 30. — Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zdradza charakter niby z jednego odlewu 34. — Z téj harmonii i historyja grecka jest arcydziełem 38. — Aspazya wyrazem ducha greckiego 40. — Sokrates 41. — Czasy greckie i nowożytne 44. — Grecya umiera na piękność.

## LIST XXI. str. 46.

**Grecya.***(Dalszy ciąg).*

Pestum 46.—Świątnice Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiej, jako ściśle klassycznej 50.—Wróżba o skonaniu Hellady 65.—Mit o Prometeuszu i Herkulesie 69.—Torso belwederski Herkulesa 73.—Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiej, zatem rzeźba jest sztuką najwięcej celującą w Helladzie 81.—Wysokie znaczenie urody cielesnej u Greków, stąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota 84.—Uczta ateńska i Sokrates 90.

## LIST XXII. str. 100.

**Grecya.***(Dalszy ciąg).*

Poezya grecka 100 — Jój charakterem jest plastyczność 103 — Bliższa cecha poetów greckich 105.—Homier i świat jego 113.—Lira grecka 119.—Tragedya w Helladzie jest wróżbą jój skonu 122.—Znaczenie tragiczności w świecie greckim i nowożytnym 127.—Eschylus 129.—Sofokles 129.—Eurypides oznaką blizkiego skonu 134.—Arystofanes 136.—Sokrates i Arystofanes 137.—Grecya umiera na filozofią Sokratesa 139.—Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków 142.—Sokrates i Antygona Sofoklesa 143.—Filip i Alexander Macedoński.

## LIST XXIII. str. 151.

**Rzym.**

Wstęp 151.—Forum Romanum 162.—Zadanie Rzymu w Historyi 165.—Idea panująca w Rzymie 167.—Stąd usposobienie jego duchowe 167.—Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich 169.—Duch historyi rzymskiej (użyteczność) 172.—Rodzina rzymska 174.—Wiel-

kość rzymska 176.— Bogowie rzymscy i greccy 178.— Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi 179.— Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym, ani filozoficznym 182.— Zemsta bogów 184.— Z tego usposobienia ducha Rzymian wypływa też piętno ich fantazyi 186.— Architektura rzymska i techniczność 187.— Rzeźba 189.— Kilka słów o poezyi rzymskiej 198.

## LIST XXIV. str. 201.

### R z y m.

(*Dalszy ciąg*).

Poezya i język rzymski 201.— Wiek Augusta 204.— Piętno poezyi rzymskiej, odpowiednie usposobieniu tego ludu 205.— Allegoryczność 207.— Horatius i Wirgilius 208.— Przewaga poezyi dydaktycznej 213.— Owidius 214.— Tybullus 215.— Dramaturgia 216.— Satyra, właściwa poezya rzymska 219.— Skon Rzymu.

## LIST XXV. str. 222.

### Ż Y D Z I.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Śródziemnym 222.— Palestyna 228.— Powołanie ludu Hebrajskiego 229.— Architektura 229.— Przybytek 229.— Kościół Salomona i dzieje jego 233.— Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie 241.— Język hebrajski 242.— Pieśni święte 244.— Dzieje Hiobowe 249.— Pieśni Mojżesza dziękczynienia 258.— Późniejsze czasy 259.— Muzyka hebrajska 259.— Psalmi 260.— Kaplica Sykstyńska w Rzymie 262.

## LIST XXVI. str. 264.

### *Fantazyja u ludów chrześcijańskich.*

### Średnie wieki.

Wstęp 264.— W. ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza 269.— Widok wewnętrzny

trzny kościoła 269.—Święte postaci na w. oltarzu 271.—Wrażenie których doświadcza widz 272.—Charakterystyka tego dzieła 274.—Porównanie tej sztuki z grecką rzeźbą 275.—Bliższe opisanie Stwoszewego dzieła 277.—Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele 279.—Dramatyczność 282.—Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów chrześcijańskich 283.—Nowy kształt świata 284.—Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazja 286.—Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich 289.—Cofanie się ducha w siebie i sztuka ludów Chrześcijańskich 289.—Zastosowanie tej prawdy do dzieła Stwosza 290.—Miłość niebiańska i Legenda 295.—Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje 311.—Skrucha 314.—Dokończenie o dziele Stwosza 315.—Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świecie Chrześcijańskim 315.—Rzeźba, dla tych samych powodów dla których jest sztuką odpowiednią światu klasycznemu, staje się sztuką mniej właściwą dla ludów chrześcijańskich 318.—A natomiast pojawiają się inne sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich 318.—Fantazja romantyczna.

## LIST XXVII. str. 324.

### Średnie Wiekі.

(*Ciąg dalszy*).

Wstęp 324.—Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego 330.—Powód figur podobnych w wiekach średnich 336.—Bliższe ich oznaczenie 336.—Wojny krzyżowe 342.—Fantastyczność: poezja romantyczna 342.—Cechą tych wieków honor 345.—Miłość: miłość jako ustawa wszechrzeczy 350.—Miłość ziemską jest przejściem do miłości niebiańskiej 354.—Dante, Petrarca, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda 355.—Ziemskie pierwiastki życia romantycznego 359.—Zapartywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę 363.—Witellio i Roger Bako 364.—Dwie wręcz sobie odwrótne Filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła 366.—Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą 366.—Katakumby 367.—Symboliczność 369.—Cimabue i Giotto 371.—Indywidualność inaczej wy-

stępuje w dziełach sztuki włoskiej a inaczej na północy 372.—  
 Angelico da Fiesole 375.— Poezya romantyczna 376.—  
 Fantastyczny świat 379.

## LIST XXVIII. str. 382.

### Średnie Wieki.

*(Ciąg dalszy).*

Bliższe określenie średniowiekowej fantastyczności 382.—  
 Ścisłejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznej 385.—  
 Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznej 392.—  
 Za to występuje liryczność potężna i muzyka 395.— Ś. Ambroży w Medyolanie. Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodków muzyki kościelnej 405.—  
 Muzyka światowa 406 — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich 408.— Porównanie jej z Islamiakiem budowaniem 415.— Architektura ta jest wprost wypływem cech fantazyi romantycznej, powyżej wykazanych 417.

## LIST XXIX. str. 434.

### Stólecie XVI.

Wstęp 434.— Wysłańcy nowej historyi 438.— Kolumb, Kopernik, Keppler 440.— Franciszek Bako, Böhme. Des Cartes i Malebranche 445.— Machiavelli 451.— Paracelsus 452.— Wynalazki 454.— Feudalizm ustępuje powadze monarchicznej 454.— Charakter i istota fantazyi artystycznej w XVI stuleciu 455.— Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w tej nowej epoce? 458.— Zestrój ducha i natury, będący istotą tej nowej poezyi, nie jest atoli nawrótem do klassyczności dawniej, starożytniej 463.— Sztuka klassyczna nowożytnych czasów. Różnica jej od fantazyi klassycznej starożytnych ludów 464.— Inne znamiona tej nowej fantazyi 470.— Fantazyja późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI 473.— Powody tego zdania i przykłady 475.

## LIST XXX. str. 484.

## Stólecie XVI.

*(Ciąg dalszy).*

Architektura XVI wieku 486.—Bramante 487.—Palladio 488.—  
 Michał-Aniol, jako architekt i jako rzeźbiarz 490.—Leonardo  
 da Vinci, Rafael, Szkoła wenecka 492.—Muzyka i Palestry-  
 na 496.—Tasso, Aryost i Kamoens 502.—Cervantes  
 511.—Jan Kochanowski 518.—Shakespeare 528.

Dopisek. Wyprawienie tych listów 543.





## LISTA PRENUMERATORÓW

którzy na dzieło niniejsze podczas druku jego pośpieszyli zapisać  
swoje imiona.

---

Bagieński Józ. Dr Med.  
Barancewicz Antonina.  
Becker Teresa, Obyw. gub. Woł.  
Belke Gustaw i Kremer Alexander (11 ex.)  
Berezowski, Ob. g. Kijow.  
Berkman Michał, Naucz. w Wil. Dworzańs. Ptój Szkole.  
B. L.  
Blum Xawery, Ob. g. Mińs.  
Bortkiewicz Karol.  
Bośniacki L., Ob. g. Wołyńs.  
Ks. Brudzyński, Dziekan Braclawski.  
Bulhak Józef, Obyw. gub. Mińskiéj.  
Butrymowicz Ksawery, Ob. gub. Mińs.  
  
Chlewiński Władysław, Ob. gub. Kow.  
Ks. Chlewiński, Dz. Lidzki.  
Chodakowski Aleks., Ob. gub. Kow.  
Chomiński Pułkownik, Marsz. Ptu Święciańs.  
Czapska Zofia Hr.  
Czechowicz Zygmunt, Ob. Ptu Święciańs.  
Czerniewski Bolesł., Ob. gub. Kow.  
Czerwiakowski Teod., Pom. Kontrol. Litlands. Izby Skarb.  
Czosnowski Hrabia Jan, Obyw. Pow. Krzem  
Czyż Ignacy, Okr. Naczeln. w Rosieniach.  
  
Dołobowski Alex., Obyw. gub. Kow.  
  
Falewicz Karol.  
  
Gan Konstanty, Inspektor w Gimnaz. Mińsk.  
Giejsztor Jakób, Ob. gub. Kow.  
Gliński, Redaktor Wil, gub. Wiad.  
Gniewiewski Walery. Ob. gub. Kow.

Godlewski Wład., Dr. Med. w Kamieńcu Pod.  
Gombrowicz Onufry, Ob. gub. Kow.  
Górska Emma, Ob. gub. Kow.  
Grabowiecki, Urzędnik Kanc. Wileńs. Wojen. Gub.  
Grocholski Hr. Mikołaj.  
Grużewski Emiljusz, Ob. gub. Kow.  
Gucewicz Zofia.  
Gużewski, Ob. gub. Kow.

Horbacewicz Karol, Nauczyeiel W. R. Szkoły.  
Horwatt Aleksander, Obyw. Gub. Mińs.

Jagiellowicz Klementyna, Obyw. gub. Wołyńs.  
Jałowicki Floryan, Ob. gub. Kow.  
Jankowski Wład.  
Jaroszyński, Ob. gub. Wołyńs.  
Jeleński Jan, Ob. gub. Mińs.  
Jelski Józef, Ob. gub. Grodz.  
Jełowicka Emilja, Ob. gub. Kijows.

Kalinowski Andrzej, Dyr. Wil. Dw. Inst., Radz. Stanu.  
Kazigrodzki Cezary, Ob. g. Grodz.  
Karwowski Wincenty, Rzeczn. Stud. CESARSKIEGO Mosk. Uniw.  
Kędrzycki Julian, Ob. gub. Woł.  
Kiełczewski Skarbek Jan, Ob. gub. Mińs.  
Kobyliński Adolf, Ob. gub. Mińs.  
Ks. Kontonowicz w Odessie.  
Kopańska Izabella z Montrymowiczow, Ob. gub. Kow.  
Kopański Stanisław, Uczeń Wil. Dworżańs. Inst.  
Korbutt Assesor Kol.  
Kordzikowski Ferd., Obyw. gub. Kow.  
Kordzikowski Józef, Obyw. gub. Kow.  
Kordzikowski Luc. Ob. gub. Kow.  
Korecki Hilary.  
Kościełski Bonawentura, Ob. gub. Podols.  
Koziellowa J., Obyw. gub. Kowieńs.  
Ks. Kozłowski, Kan. Kat. Wil., Rektor Semin. Dyec. Wil.  
Krasiecka Marja, Ob. gub. Wil.

Lipiński Wienczysław, Ob. gub. Pod.

Łapicki Michał, b. Assesor Izby Cywil. Mińs.  
Łopacińska Idalja.  
Łukaszewicz Wincenty, Obyw. ptu Wilkom.

Mackiewicz.  
Mickiewicz Nap.  
Mierzejewski Seweryn. Ob. gub. Mińs.  
Mikulski Jan.  
Morawski Apollinary, Obyw. gub. Wil.  
Morgulec Erazm, Urzęd. Pskowskiego gub. Rządu.  
Morykoni Lucyan Hr.

Nargielewicz Jan, Ob. gub. Mińsk.

Obrapalski E., Ob. gub. Wil.  
Olechnowicz Konst., Ob. gub. Kow.  
Orwid Elżbieta. Ob. gub. Kow.  
Oskierko Leopold. Ob. Gub. Witebs.  
Osuchowski Bogusł., Ob. gub. Gr.  
Osuchowski Michał, Ob. gub. Grod.

Paulina z Bożego Świata.  
Pawłowski, Ob. gub. Kow.  
Piasecki Kazimierz, Ob. gub. Wilens.  
Pietkiewicz.  
Pilsudzki, Ob. gub. Kow.  
Pietraszkiewicz Onufry, Urzęd. Tobols. Opieki Pow. Op.  
Pinińska, Ob. gub. Wol.  
Plater Hr. Włodzimierz.  
Pomernacki Jul., Ob. gub. Wilens.  
Potocki (Hr.). Ob. gub. Wołyns.  
Prozor Władysław, Ob. gub. Mińs.  
Przeborowski Stefan.

Raczkowski Apol., Podkom. Ptu. Upitsk.  
Rdułtowski Eustachy, Ob. gub. Mins.  
Reuttowa, Obyw. gub. Witebs.  
Rodkiewicz Gedymin, Ob. ptu Oszm.  
Romanowski Felic., Ob. gub. Kow.  
Rómer Seweryn, Ob. gub. Wil.  
Rómer Ryszard, Ob. gub. Wil.  
Rudomina Wincenty, Ob. gub. Kow.  
Rusiecki Kanuty, Prof. Inst. Dw. Wil.

Sieklucki Luc. Obyw. g. Wil.  
Siesicki Leonard, Obyw. g. Kow.  
Sipajłowa, Obyw. g. Mohil.  
Skulski, Dr. Medyc.

Sławiński Witold, Ob. gub. Mohyl.  
Słobodzińska Róża.  
Słodkowski Podporucznik.  
Ks. Smigielski Benedykt Prałat i Archidiakon Kated. Żmudz.  
Sołtan Hr. Michał.  
Staniewiczówna Justyna.  
Staniewicz Mieczysław, Ob. Ptu Poniew.  
Starorypiński Zygmunt, Ob. gub. Pod.  
Stypulkowski Teofil.  
Sumowski Adam, Ob. gub. Wołyńs.  
Świacki Józ., Obyw, gub. Mohil.  
Szaniawski, Doktor Med. w Wiatce.  
Szymkiewicz Jan, Ob. gub. Wil.

Taborowski, Obyw. g. Woł.  
Ks. Tolloczko Franciszek.  
Trzebiński Adolf, Ob. gub. Wołyńs.

Ks. Ussowicz Bonawentura.

Walewski Michał, Obyw. g. Woł.  
Walicka Leokadya, Obyw. g. Grodz.  
Wańkiewicz Edward, Ob. gub. Mińskićj.  
Węgrzynowski Arkadiusz, w Odessie.  
Wereszezyński Piotr, Radea Dworu.  
Wilczyński Karol, Dr. Med.  
Ks. Wiśniowski Józef, Kurat. Kat. Mińs.  
Ks. Wnukowski, Prałat Kanclerz Katedr. Żytomir.  
Ks. Wobolewicz Teodor, Kanon. Lateran.  
Wołodkowiczowa z Hr. Tyszkiewiczów, Ob. gub. Mińs.  
Wróblewski Jan, Ob. gub. Grodzieńs.  
Ks. Wróblewski, Wizyt. Koś. Dyec. Wil. Kan. Kat. Wil.  
Wyszkowski Stanisław, w Petersburgu.

Zaleski Floryan, Obyw. gub. Wołyńs.  
Zaleski Karol, b. Marsz. gub. Grod.  
Zessel Aleks., Prof. Wil. Dworz. Inst.  
Zubkowa Antonina, Obyw. g. Mińs.

Żaba Edward.  
Żukotiński Felix, Obyw. gub. Pod.













B  
4691  
K743L5  
1855  
t.3

Kremer, Józef  
Listy z Krakowa

PLEASE DO NOT REMOVE  
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

---

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

---

